

Leonard

Inkarnacja

Los człowieka ma wiele twarzy. Niezliczone są jego wcielenia. Żadne nie jest niemożliwe - nawet takie jak to. Choć może Ty pomyślisz inaczej.

Opracowanie graficzne: Michał Bernaciak

Redaktor: Stanisław Jeżyński

Redaktor techniczny: Maria Braszczyk

© Copyright by Leonard

© Copyright by Wydawnictwo Ministerstwa obrony Narodowej Warszawa 1986 r.

ISBN 83-11-07232-9

Printed in Poland

Warszawa 1987 r. Wydanie II poprawione

Nakład 60 000 +170 egz. Objętość 28,35 > ark wyd. 27 ark. druk. Papier druk. mat. IV kl. 70 g, format 81X86/16. Druk z odbitek kredowych ukończono w lutym 1987 r. w Wojskowej Drukarni w Gdyni. Zatr. > nr 0828. 86 r. L-4 Cena zł. 480.—

ROZDZIAŁ I

Z maszynowni doszło uderzenie dzwonu — pora na wachtę. Martin Strang, pierwszy oficer m/s „Golden Creek”, podniósł się ze swojej koi. Popołudniowe słońce zaglądało przez otwarty bulaj do kabiny, kładło się na nie zasłane od rana łóżko, na puste butelki, na stos niedopałków umazanych krwawą kredką do ust, jakimi nowokaledońskie demimondes starają się upodobnić do filmowych piękności z Hollywood. Tańcząc promieniami w rytm kołysań statku po resztkach nie przespanej nocy, jak gdyby mówiło z wyrzutem: „Ej, Mart, Mart...” Ze zdjęcia wciśniętego za lustro przypatrywała się łóżku dziewczyna w bluzie Australijskiego Lotnictwa Królewskiego. Z jej niebieskich oczu przebijał spokój kobiet z wiecznie zielonego stanu Wiktorii, umiających nie dostrzegać rzeczy w pewnym okresie życia mężczyzny naturalnych, które przecież, choć nieobojętne, przeminą. Ale bardziej niż oczy i usta, rozciągnięte w uśmiechu, zwracała uwagę dedykacja u dołu fotografii: „Twoja Beris”. Napisana zdecydowanym szarpnięciem pióra, jak gdyby z jakimś nieodwołalnym postanowieniem.

Martin zabrał z biurka okulary przeciwsłoneczne, papierosy i sięgnął do klamki. Stojąc już w drzwiach przypomniał sobie o kapoku. Na całym Pacyfiku nie pokazał się ani jeden nieprzyjacielski okręt, nie zamajaczył na niebie ani jeden samolot z emblematami państwa Wschodzącego Słońca. Z flotą Nipponu kłapa. Kaputt. Harakiri. W tej części świata zygzakowanie na kursie i pływanie w konwojach są już od prawie roku zbędne. Ale Dudley żąda stałego noszenia kapoku. Jak długo jest się z kimś na stopie wojennej, nie wolno odkładać broni. Nawet kiedy przeciwnik dyszy już resztkami sił — dobra dewiza dla człowieka, co szmat życia spędził na drażnieniu kontynentów w poszukiwaniu złota, na przestrzeniach oceanów z nie zawsze podniesioną banderą... Martin przewiązał kapok na piersi i wychodząc posłał dziewczynie całusa. Zaraz się jednak cofnął, wyrwał zdjęcie zza lustra, wsunął je do portfela i skacząc po parę schodów wybiegi na mostek.

Za rufą, już niewidoczna, pozostawała Noumea. Ostatnie tony rudy niklowej wrzucono do ładowni wczoraj po południowej przerwie, było więc dosyć czasu na załatwienie formalności i opuszczenie portu za dnia. Jak zwykle po skończeniu załadunku Martin zszedł na nabrzeże i sprawdził zanurzenie statku. Należało to do jego obowiązków. Od kiedy jednak w Los Angeles zamustrował na to pudło — tylko dlatego, że via Hawaje, Nowa Kaledonia szło do Australii — zamienił się przy tym w precyzyjnego zegarmistrza.

— To mój statek, mój własny! — Kapitan Dudley Nihoun bije się w pierś i pokazuje swoje sękaty dłonie. — Niczego w życiu nie dostałem za frajer i, na Boga, nikt od starego Duda darmo nic nie wyciągnie!

Zanurzenie wykazywało różnicę na niekorzyść Duda o sto ton!

Ten sękacz to naprawdę twarda sztuka. Panowie z Societe Le Nickel mieli przyjemność się o tym przekonać.

Rozmiękczenie go rozpoczęto w jego kabinie, ciąg dalszy przeniesiono do lokalu z ładnymi Polinezyjkami tańczącymi hula-hula, finał — z tym bywa różnie. W języku morskim niezgodność między ilością towaru wpisaną do papierów a wykazaną przez zanurzenie statku nazywa się „dispute”. Ładne słowo. I ładnie się je wymazuje.

Martin nie chciał o tym myśleć. Nic teraz. Adieu Nouvelle-Caledonie, hula-hula, wszystkie porty świata. Na zawsze!

Dziób statku krajał gładką płytę oceanu. Tysiąc mil od nosa statku, skierowanego na południowy zachód, leży ładne miasto. Półtora wieku temu wylądował w tym miejscu z tysiącem skazańców kapitan króla jegomości Jerzego III Arthur Philip i nazwał je: Sydney. Błogosławieni, którzyście w surowej wtedy Anglii kradli, podpalali, mordowali, czy też tylko wykazywaliście nieposłuszeństwo swoim panom, albowiem z was powstał ten wielki kraj. Niech się święci zło, które wydało tak wspaniałych ludzi!

W tej chwili w mieście tym do pociągu idącego na północ zbliża się dziewczyna. Wysoka, niebieskooka, stawiająca swe długie nogi jak baletnica na scenie. Odprowadzająca ją

koleżanka całuje ją na pożegnanie w policzek i mówi:

— Szczęśliwej podróży, Beris. Jeżeli się da, przywieź go tutaj. Bardzo chcielibyśmy go poznać.

W tej chwili w Melbourne pan Thomas Gwinne, który w poprzedniej wojnie pospieszył z pomocą swojej surowej dla jego rodziców prababce Anglii i przyplacił to utratą pod Gallipoli prawej ręki, mówi do żony:

— To bardzo rozsądna dziewczyna, mam do niej zaufanie. Nie powinnaś brać sobie do serca przeszłości jej wybrańca. W końcu mężczyzna musi się wypróbować! Pomyśl, Edna, ile odwagi potrzeba, aby mając lat piętnaście opuścić dom rodzinny i o własnych siłach udać się w świat.

— A gdyby zrobił to twój syn?

— Ale my już...

Ciszę, jaka nagle zaległa w ba wialni, przerywa uderzenie zegara na kominku.

— No tak, tak... — Pan Gwinne całuje skroń swojej małżonki. — Już piąta, słyszałaś? Jak ten czas leci!

Sydney... Melbourne... Brisbane... Punkty: A — dworzec w Sydney, B — bawialnia państwa Gwinne, C — port w Brisbane, D — statek Duda Nihouna na oceanie. Połączone linią ciągłą tworzą figurę geometryczną doskonale zamkniętą. Są równaniem bez niewiadomych. Wszystkie wątpliwości Martina Stranga zostały ostatecznie rozproszone: wewnątrz tej powierzchni znajduje się przystań, której szukał, na świecie dziesięć lat...

— Hej, Francis! — zawołał bez potrzeby właściwie. — Fantastyczna jest dzisiaj ta woda, nie? Ale asystent go nie usłyszał. Zajęty był przygotowaniami do ustalenia pozycji statku z gwiazd. Będąc na mostku zawsze znajdował sobie zajęcie. Dudley, w którego oczach każdy członek załogi uważa pływanie na jego statku za katorgę i myśli tylko o odpajkowaniu wachty, ma o nim wysokie mniemanie. I się nie myli. Przyglądając się, z jakim pietyzmem Francis przygotowuje sobie stoper i sekstans, sprawdza, czy poprzednia wachta go nie rozstroiła, zgrywa wskazania chronometru z zegarkiem, można niekiedy stracić cierpliwość. Ale jego pomiary są za to doskonale precyzyjne. Martin lubił go obserwować. Niedługo, z lewej burty, powinien ukazać się Krzyż Południa ukryty jeszcze w przeraźliwie błękitnym niebie. Za niespełna dwie godziny nastąpi zmierzch, na tych szerokościach geograficznych najpiękniejsza częśćka doby. Świat zaciągnie się kolorami zdawałoby się niedorzecznymi, wylanymi na płótno przez rozkojarzonego daltonistę. Patrząc na to szaleństwo barw można by pomyśleć, że się ogląda kosmiczną wystawę jarmarcznego kiczu. W stałej metamorfozie kolorów ciepłe ochry, brylantowe błękity, soczyste czerwienie przedzierzgną się w jednej chwili w granat i zapadnie noc. Cały statek zrosi się nagromadzoną za dnia w atmosferze wilgocią, ale nie będzie ona dusząca, zimna, jak gdzie indziej. Ta część świata pławi się w łaskach natury nieprzerwanie. Źródłanie czyste krople, co spadną na statek, oczyszczą atmosferę i pozwolą po upalnym dniu nasycić płuca świeżym powietrzem.

Francis zdaje się tego nie dostrzegać. Dla niego to codzienny widok, pora na wykonanie kolejnego obowiązku. Kiedy słońce zniży swą skrwawioną twarz, on pograży się w wyliczaniu miejsca, w którym powinno ono zetknąć się z horyzontem. Tak, świat zaludniony przez takich Francisów byłby z pewnością bardzo dochodowym przedsiębiorstwem. Dispute nie zdarzałyby się nigdy. Hula-hula byłyby świętokradztwem. Włóczęga niespokojnych dusz z jednego krańca ziemi na drugi — zbrodnią. A gdzie piękno, gdzie miłość?

Niedobrze ze mną, zaczynam filozofować, pomyślał Martin. Byłem sprzedawcą gazet, pucybutem, chłopcem na posyłki, rancherem w Teksasie, studentem prawa, lotnikiem w Amazonii, jeszcze trochę, a zabiorę się do naprawiania ludzkości. Przez jednego takiego rodem z Austrii świat przechodzi obecnie niezłe konwulsje...

Wyszedł na nie osłonięte skrzydło pomostu i zaciągnął się powietrzem. Rozsadzało go uczucie dziwnej lekkości. Mógłby skoczyć za rufę i pomóc statkowi, bo jeszcze sześć dób wlec się będzie to pudło. Jeżeli pogoda się utrzyma, nie zacznie dmuchać wschodnim wiatrem, nie wykrepi czegoś cyklon — radio nie odebrało żadnego ostrzeżenia! — zatokę

Moreton osiągną w środę, potem dzień na prześlizgnięcie się w górę rzeki, wyczekiwanie na przypływ i w piątek... Będzie dość czasu na pobieganie po sklepach. W szufladzie jego biurka leżał pluszowy, przyjemny w dotyku futerał, na który w Los wydał fortunę. „Ceny pereł podskoczyły pod niebo — brak dostaw. Poławiacze zmienili chwilowo zawód, pan rozumie... Ale to okazja” — zapewnił jubiler. Martin w to nie wątpił. Naszyjnik urzekł męskie oko, a coś dopiero kobiece. Do kompletu dobrał sygnecik z brylantem i obrączki. Tę dla niej brał na oko. Pomógł mu doświadczony w tych sprawach sprzedawca. „Młoda pani... — słyszało się” dużą literę, gdy to wymawiał — ma pięć stóp i osiem cali wzrostu, wysoka jest! A dłonie? Długie? Krótkie? Szczupłe? Pełniejsze?... Zastrzelił go tym pytaniem. Beris zbudowana jest doskonale, pamiętał każdy skrawek jej ciała, ale taki szczegół... Resztę zakupów zrobią razem. Potem udadzą się do Penthouse Old Place na dobrą kawę i złapanie oddechu, a stamtąd — jak podczas pierwszego wspólnego wieczoru — na Wzgórze Bartleya.

W Penthouse było wówczas tłoczno, jak gdyby cała amerykańska armia Pacyfiku obrała sobie ten lokal na punkt wyjściowy inwazji na Japonię. Propozycję przeniesienia się gdzie indziej przyjął z zadowoleniem. Myślał o kąciku dla dwóch osób, gdzie mógłby powiedzieć o błękicie w jej oczach. Wzgórze za miastem, gdzie się znaleźli się całkowicie sami, zaskoczyło go. Piękna dziewczyna w szykownym mundurze porucznika Royal Australian Air Force, która w tym opanowanym przez wojsko mieście pewnością na każdym kroku zaczepiana jest przez urlopowiczów z frontu, i on — obcy przybysz w zwykłym, cywilnym ubraniu.

Jeszcze przedtem, gdy zderzyli się w wejściu do budynku Admiralicji, ona nie wzięła tego za zaczepkę. Jego „Przepraszam panią. Naprawdę!” brzmiało dla niej prawdziwie. Odpowiedziała mu uśmiechem, a dalej pokierowało nimi...

Spędzili samotnie parę godzin, nie dotykając się nawet ramionami. O rzeczywistości przypomniał mu zmierzch. Spadający tutaj na ziemię jak wszystko w subtropiku — bez uprzedzenia. Na atramentowogranatowej zatoce Moreton zamigotały wstydliwie światła pozycyjne statków wyczekujących na wejście do portu. W tysiącach domów w mieście spuszczano żaluzje. Wojna już nie zagrażała temu miastu, lecz jej prawa obowiązywać będą aż do jej zakończenia. Zrobiło się późno.

Martin podniósł się z ławki i wyciągnął rękę. Dziewczyna, podając mu swoją, wspięła się na palce i musnęła go ustami w policzek. Długo nie dowiedziała się, jakiego zamętu dokonała tym w jego głowie.

— Hej, szefie! Szefie! — zawołał wachtowy na skrzydle mostku. — Niech pan popatrzy. Tam!... — Głos jego był wyraźnie zaniepokojony.

Martin spojrział w kierunku, który wskazywał brudny palec marynarza. Poza niedużym kumulusem, jakie pod wieczór tutaj się zbierają, niczego godnego uwagi nie dostrzegł. Świejące jeszcze słońce, rozszczerzone na sicie chmury, padało złudnym refleksem na przedpole horyzontu. Smugami promieni słonecznych Martin wjechał w głąb nieba, stamtąd powrócił do pomarszczonej chuchnięciem wiatru plamy na dole. Ogniskując na niej lornetkę, przyjrzał się dobrze temu, co dostrzegał już gołym okiem. Nie, to były delfiny sunące ku statkowi.

Wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze sternikiem. Oswald Jest na „oku”...

W Noumei dostawiono Oswalda do portu w koszu, jakich Nowokaledończycy używają do transportu ryb. Zaczęło się rozwidniać. Statek, już z pilotem na pokładzie, był gotów do odbicia od

nabrzeża, gdy Martin zauważył pod ścianą magazynu kosz ze zwiniętym w kłębek białym człowiekiem. Spitym do nieprzytomności, w samych kalesonach.

Oswald się kończy. Ta wycieczka jest ostatnia, powtarzał, robię wysiadkę w San Diego, Honolulu, Papeete. Teraz wygraża się Brisbane. Ale to tylko gadanie. Zarabia na tym pudle dwa razy więcej niż robotnik przy taśmie u Forda i jeszcze ma darmowe utrzymanie. Pływanie na frachtowcu podczas wojny jest warte zachodu pod warunkiem, że urobku nie zostawia się w burdelach. Sternik założył się z Oswaldem, że ten nie wysiadzie. Bakcył morza, powiada. Kto raz go połknie, stracony jest dla lądu na zawsze. Ale bakcył bakcyłem, a

wątroba wątroba: Oswaldowa wylewa mu się już na oczy. I taki ma odróżnić rybę od czubka peryskopu?

Delfiny podплыły przed statek i ocierając się grzbietami o stewę dziobową, harcowały figlarnie. Podczas długich, monotonnych rejsów dostarczały Martinowi ciekawych obserwacji. W przeciwieństwie do niego Dudley nie ma dla tych zwierząt czasu.

— Te skurwysyny — strzyka płwociną za burtę — prując w ciemnościach wodę pełną fosforyzujących glonów, wysiadają jak torpedy. Powinno się je powystrzelać, nie sądzisz, Mart?

Pytanie to jest czystą retoryką. Kapitan Dudley Nihoun nie pyta. Wszystko, co on mówi, jest twierdzeniem.

Eskorta statku powiększyła się o dwójkę albatrosów. Szybowały nad powierzchnią wody i zdawało się, że nie lecą, ale płyną na swoich wielkich skrzydłach, nie wykonując nimi najmniejszego ruchu.

Boy przyniósł kolację na mostek, w samą porę przyleciały. Dud żywi załogę jak Bóg, czyli Dud da. W tropika, gdzie nagrany słońcem pokład przepala zelówki, a kłamki nie da się chwycić gołą ręką, kucharz serwuje corned beef — łykowatą wołowinę z bawołów odstrzelonych jeszcze przez Buffalo Billa, kupowaną u pokątnych shiphandlerów, której w Stanach nawet psy nie chcą już zjeść, kukurydziany chleb, kukurydziany placek, sproszkowane jajka, vegetables z puszki, a żeby pasztet ten mógł przeleźć przez gardło, dodaje kalifornijskiego sikacza po trzydzieści pięć centów butelka. Porcja Francisa poleciała w darze albatrosom. Artylerzyści z rufy, zajęci pokerem, dorzucili im swoje corned beefy. Francis jest niezastąpiony na mostku. Jego obliczenia pozycji nie mają sobie równych pod względem dokładności w całej flocie handlowej Stanów Zjednoczonych, ale na albatrosach się nie zna. Ptaki te nie zebrają o odpadki z kuchni jak psy kundle, na to są za dumne. Sunie taki stalowy wieloryb, narobi śrubą szumu, napędzi stracha makrele, smakowitym latającym rybom, wystarczy otworzyć dziób, a brzuch pełen. Ale to do albatrosów niepodobne.

— Rzuć im łososa! Wędzonego! — zakpił dowódca dziada z zapatrzonego w ptaki Francisa. — A nie ten wasz śmierdzący beef...

Parsknął śmiechem zadowolony z siebie. Na poligonie w New Mexico, gdzie z powodu płaskostopia skierowano go do wojsk Ochrony floty handlowej, też podawano beef. Ale świeży, me doprawiany karaluchami, których tu wszędzie pełno. Że też ta wylegarnia robactwa trzyma się na wodzie i trzeba jej jeszcze bronić!

W spodenkach tylko, oparty o lufę swojej ośmioletniej, która podczas całego rejsu nie oddała jednego strzału, czekał na reakcję z mostku; na tym milczku od podglądania gwiazd może na sobie poużywać, niech jego podkomendni wiedzą, jakiego to chwata mają za dowódcę. Asystent oderwał się od relingu. Popatrzył chwilo na czyste niebo i nie odpowiadając na zaczepkę znikł w kabinie map. Ten sierżancik pozwala sobie, pomyślał Martin. Ale nie zamierzał się w to wtrącać. W Brisbane bidzie więcej czasu, chłopcy z pokładu, jak podsłuchał, już wymyślili sobie zabawę z tymi wojakami...

Omiótł wzrokiem przestrzeń dokoła statku. Pustynia wody, na gładkiej powierzchni, aż do linii horyzontu, królowała niepodzielnie „Golden Creek”. Dorobek całego życia Dudleya Nihouna.

Stare pudło wygrzebane z cementarzystka. Gdyby nie wojna, poszłoby do pieca: ćwierć wieku dla statku to kupa łąt. Przetopiony na szyny kolejowe, na modne dzisiaj armaty uległby zapomnieniu jak wszystko na świecie, a dzięki Dudleyowi pruje dziobem wodę. ślamazarnie. Osiem węzłów — tyle wyciągnął w próbie maszyny i tyle wpisano mu do rejestru — to dzisiaj ślimak. Statek o tej prędkości byłby kulą u nogi konwojów na Atlantyku, musiałby wlec się bez eskorty sam, niewesoły byłby jego los. Osiem węzłów...

Przed próbą siłowni, nim jeszcze pojawili się na statku przedstawiciele towarzystwa klasyfikacyjnego, Dud wezwał do swojej rupieciarni na górze pierwszego mechanika. Statek był gotów do inspekcji i wystawienia dokumentów. Robotnicy stoczni demontowali rusztowania okalające nadbudówki. Skompletowana po wielu trudach załoga pokładowa

zdejmowała z burt pajęczynę siatek ochronnych, uwijano się z zamalowywaniem ostatnich placków ceglastej minii, wyglądającej jeszcze tu i ówdzie spod stalowoszarej powłoki, w jaką oblekano cały statek; kto nie widział go przed wprowadzaniem na suchy dok, nie poznałby w tym trampie skorodowanego wraku, jaki od lat straszył na dawnym rumowisku statków wielorybicznych w Seattle. Dud zadbał, aby

roboty paliła się ludziom w rękach. Remont był jeszcze w lesie, jak on podpisywał czarter na rejsy między portami zachodniego wybrzeża Stanów a Australią. Stawki frachtowe w czasie wojny kształtowały się wysoko. Komunikaty prasowe o postępach aliantów we Francji, o nowej ofensywie Rosjan, o wylądowaniu marines na jakimś kolejnym archipelagu na Pacyfiku podcinały akcje przemysłu zbrojeniowego. Każda godzina przybliżająca zakończenie wojny spędzała armatorom sen z oczu zmorą chudszych dni. Dud nie wyznaje się w zawiłościach ekonomiki transportu morskiego. Finezje polityki eksploatacyjnej floty, powiązania producentów z załadowcami, arkana walki o zdominowanie morskich szlaków przewozowych — wszystko to jest dla niego tak samo obce jak znajomość praw rządzących satelitami Jowisza. Ale rachować umie. Ze swoich bogatych doświadczeń życiowych wysnuł prawidło, które powtarza przy każdej okazji: Jeśli chcesz zarobić, rób robotę sam, żadnych spółek!

Niekiedy jednak trzeba wciągnąć kogoś w sprawę.

Rozmowa odbyła się w cztery oczy, między Dudem a mechanikiem. Ale ściany mają uszy... Według tego, co się o nie odbiło, przebiegała następująco:

— Co to ja chciałem?... — zaczął głos Duda poprzedzony bulgotem whisky i stuknięciem szklanki o szklankę. — Aha! Niedługo zjawią się faceci z rejestru statków. Cholerne kundły, mówię ci. Będą obwąchiwać nity, burty, pomieszczenia załogi, ładownie, szalupy ratunkowe, kabestany, bomby, szakle, łańcuchy, olinowanie...

Głos mechanika:

— Maszynę, pompy, kotły... Dud:

— ...system sterowniczy, radiostację... Głos mechanika:

— ...ciśnienie pary, sprawność kotłów; siłownia przede wszystkim. Od tego zależy klasa statku.

Bulgot whisky, stuknięcie szklanek i dalej Dud:

— To też, naturalnie, niczego nie przepuszczą. Ci faceci idą łapa w łapę z tymi od asekuracji, cholerny to gang. Nie stanie ci taki jeszcze dobrze na burcie, a już woła o dziennik okrętowy, czego to oni nie chcą. Ale my jesteśmy w porządku. Chłopaki ze stoczni odnowili statek od stępki po komin, nafaszerowali go techniką, możemy śmiało upominać się o najwyższą klasę. A ta, rozumiesz: im więcej wydusisz z niego na próbach, tym będzie wyższa. Za siedem węzłów masz u mnie trzysta dolców.

O ściany odbiło się westchnienie mechanika, potem drapanie po brudnym od smarów karku. Poprzedni właściciel tego pudła dużo zaoszczędził na jego konserwacji — mechanik nie ukrywał swego poglądu na ten temat — a jeszcze więcej na żyłowaniu siłowni, tego nie zamaluje się żadną farbą. Dud nie kłamie: sporo przeżartych rdzą części wymieniono na nowe, ale kotły pozostały stare, nie potrzeba być fachowcem, aby wyobrazić sobie, jak zareagują na dosunięcie im pary.

— Sześć — oznajmił sucho mechanik — wyciągnął przed odcieniem go na sznurek. Był wtedy o cztery lata młodszy... jeżeli mu dosunę, kotły mogą nie wytrzymać. A wtedy zatrzymamy się dopiero na dnie oceanu. Wyobrażasz sobie, jaki tam idzie ścisk?

W kabinie zapanowała cisza, ale tylko chwila. Przerwał ją głos Duda. Pogodny jak skowronka.

Dobryś, Stanley, słowo honoru, podobasz mi się. A więc dogadaliśmy się. Masz u mnie osiemset dolców! Trzysta za siedem węzłów i pięćset za ósmy. Daję ci do ręki dobry statek. Stać go na to.

„Golden Creek” nie przedstawiał się imponująco. Jego gruszkowaty kadłub, jakie budowano w okresie liczenia opłat za przejście Kanału Panamskiego od szerokości pokładu, tępo ucięty

dziób i żerdziasty komin, zabezpieczony stalowymi linami przed zmyciem przez fale, upodabniały go bardziej do przedpotopowego gada niżeli do współczesnego statku handlowego. Ale nie dla Duda. Całe swoje życie wysługiwał się panom. Myśląc o swoim dzieciństwie spędzonym w głodnej Irlandii, przypominał sobie matkę okutaną w postrzępioną chustkę, gliniany czworak w majątku ziemskim należącym do jednego wielkiego pana z Anglii, kopalnię węgla innego wielkiego pana z Anglii, w której on w szóstym roku życia rozpoczął pracę jako woźnica ociemniałego konia; widział piece hutnicze, fabryki, statki — miejsca jego harówki, wszystkie należące do pewnych wielkich panów Anglii. Ukrytych pod szyldem „Mr Taki Owaki and Co.”, nabywców jego siły roboczej — przekłety świat. Opanowany przez panów całkowicie. Gdziekolwiek by się ruszył, na jakim lądzie postawił stopę, szyldy ich, niczym klatki zastawione na dzikie zwierzęta, wszędzie na niego już czekały. I prawa tych panów. Pisane językiem z epoki handlu niewolnikami, określające, nijak wszystkie prawa w Anglii, tylko obowiązki i kary. Uwolnienia od nich szukał w ucieczce na inne kontynenty, nie wiedząc, że polega ono... na przedzierzgnięciu się ze skóry sprzedawcy własnej siły roboczej w kupca siły innych.

Długą drogę przebył Dudley Nihoun od czasu dokonania tego odkrycia. Patrząc na niego, jak popędza ludzi do roboty, jak przelicza każdy rachunek, sprawdza — sztuka po sztuce, niezmordowanie — dostawy zaopatrzenia, jak ze skrzydła pomostu nawigacyjnego mierzy dumnie tę nieforemną stalową wysepkę kolebiącą się na falach, czuje się, jak z serca wyparowuje nieufność do tego niemłodego już człowieka, a jej miejsce zajmuje urzeczenie jego siłą. Oto stał się panem. Późno, ale stał się. Już nie będzie zgiął krzyża pod czyjś batem!

Od chwili odbicia od nabrzeża do południa — bite sześć godzin — Dud spędził w sterówce. Wyjście z Noumei nie jest tarasowane siecią przeciwko okrętom podwodnym, nie ma też pół minowych na redzie. Ale otaczające wyspę rafy koralowe, zauważalne często dopiero z bliska, wymagają bacznej nawigacji; Dud nie powierzyłby swego statku nawet Martinowi. Z Hawajów do Noumei trasa wiedzie przez setki wysp Zachodniej Samoa, Fidzi, Nowych Hebrydów obsianych dokoła niezliczonymi rafami, nie zawsze wyraźnie oznakowanymi; bardzo jest zdradliwa; trasa na zachód od Noumei nie jest lepsza. Nie na darmo ta część oceanu nazywa się Morzem Koralowym.

Pierre zaproponował jeszcze pół godziny zabawy. Potem, powiedział, można wracać na statek. Ale tam ciasnota, na wszelki wypadek zarezerwował w hotelu dwa apartamenty...

Zmęczonymi oczami uśmiechał się filuternie. Francja, mówił nimi, ta w Europie lub na drugim końcu świata, zwycięska czy pokonana pozostanie zawsze ludzka. Owszem, obcinała głowy, lecz nigdy za uprawianie miłości, jak gdzie indziej... Miał na myśli Anglię, perfidną Anglię panoszącą się w zamorskich posiadłościach Republiki jak na swoim, traktującą Francuzów per noga; serdecznie nie znosił tych pyszałków.

Liczebna przewaga w hotelu bluz amerykańskich nad angielskimi, nie tylko w Noumei, lecz także w posiadłościach korony brytyjskiej na Oceanii, nasunęła mu pewną myśl, jakże przyjemną jego francuskiemu sercu. Cóż, takie jest życie: dzisiaj oni rozpierają się u nas, jutro jankesi urządzią im taki sam kawał. — Vive la France! — zawołał ciągnąc partnerkę na parkiet.

— Vive la France! — odkrzyknęła solidarnie dziewczyna. Każdy mówił coś, wygłaszano toasty, może, wpadło jej do głowy, generał de Gaulle wylądował w Noumei, a ona nic o tym nie wie. — Vive le General de Gaulle! — Wzniosła na parkiecie ramiona w górę.

— Nie wygłupiaj się! — Pierre przyciągnął ją do siebie.

Ale oficerowie z administracji wyspy już podchwycili okrzyk. — Vive le General de Gaulle! — podjęli chórem.

Orkiestra przerwała hula-hula, rozległ się tusz. Przepity baryton spod baru zaintonował „Marsylianę” — którą skontrolowało protestujące: — Niech żyje Generał MacArthur! — Baryton nie dawał za wygraną. Dociągnął do „... contre nous de la tyrannie”, gdy powietrze przeciął okrzyk na cześć Stalina. Pianista rozejrzał się niepewnie po sali. Podniosły nastrój

zniknął ustępując atmosferze licytacji: MacArthur!. De Gaulle!... Long live the King!... Stalin!...

Rozgardiasz przerwał jakiś zawiany cywil. Ze szklanką w ręku wdrapał się na podium i zawołał: — Mam w dupie tych nadmuchanych pacanów! Płacę podatki, chcę się bawić! Martin nie miał ochoty na tańce. Dud ze swoją mademoiselle. Zniknęli mu z oczu, prawdopodobnie ulotnili się na górę. Ostry Dud. Nie przepuścił ani jednego tańca, wlał w siebie morze alkoholu, a teraz... „Najlepsza zabawa w moim życiu. — Ścisnął wylewnie Pierre'a. — Tak dobrze nie czułem się jeszcze nigdy”. e do pokonania jest ten Dudley Nihoun! Martin z przyjemnością pozostał przy stoliku ze swoją partnerką. Miała czarne, gładkie włosy, spięte na karku klamrą, uśmiechnę oczy i białe jak perły zęby. Ale na Melanezyjkę nie wydała, była na to zbyt jasna i smukła. Dużo francuskiej, naszej i różnych innych piratów krwi wiano w tygiel, z którego wyszła ta śliczna dziewczyna, pomyślał Martin. Przedstawiając mu ją, Pierre zatoczył gest, jakim Francuzi mówią wszystko i nic:

— Moja...

Orkiestra już grała, maitre d'hotel kiwał się z kartą napojów ręku. Nie potrzebował kończyć. Gdyby to było gdzieś w świecie białych, dodałby: „sekretarka”, „współpracownica”, „przyjaciółka”; tutaj te rzeczy są zbędne.

Nouvelle Caledonie to oczywiście nikiel, nikiel, nikiel, po tysiąc razy nikiel, najwięcej tego białego złota skupionego w jednym miejscu. Panu Bogu, po stworzeniu świata, zostało prawdopodobnie sporo tego materiału i nie wiedząc, co z nim począć, idł go na to pustkowie. Ponadto wyspa ta jest rajem na ziemi panów znudzonych urokami Paryża, Marsylii, Monte Carlo, Brukseli, Londynu.

W drodze do centrali Pierre rzucił znad kierownicy: — Anglicy, ich poznałem, przepadają za rudymi, Amerykanie za błonami, ja... kolor włosów u mnie nie gra roli. A Irlandczycy?...

Oho, zapowiada się wieczór z kobietami, pomyślał Martin. Ale beze mnie. Już nigdy więcej! postanowił.

Od wyjścia z San Diego minęły cztery miesiące. Z Hawajów, zamiast do Brisbane, skierowano statek z ładunkiem zezłomowanych samolotów z powrotem do San Diego, stamtąd kluczyci idąc po portach Zachodniego Wybrzeża Stanów, aby wreszcie, via Hawaje i inne wyspy Pacyfiku — wyruszyć do Noumei po rudę dla Australii. Czas ten wydawał się Martinowi wiecznością. Dzień w dzień to samo: wachty, samotny odpoczynek w czterech ścianach kajuty, posiłki w towarzystwie tych samych ludzi mówiących wciąż o tym samym — można zwariować! Chętnie by się trochę rozerwał.

Po podpisaniu dokumentów załadowczych kapitan Dudley Nihoun uśmiechnął się zawadiacko do Francuza.

— Wobec tego przyjmujemy pańskie zaproszenie — powiedział. — A co do tych rzeczy... — przeczesał palcami swoją bujną, siwą czuprynę — kolor u mnie też nie gra roli... Więc dokąd pan proponuje?

— A-a-a, tak... Panowie pozwolą, że na chwilę przeproszę. Tylko jeden telefonik do mojej...

— Zniknął w drugim pokoju.

Nieobecność Pierre'a nie trwała długo. Wrócił odświeżony, w czystej koszuli, natarty dobrą wodą kolońską. — Będzie nas z przyjaciółkami oczekiwać w hotelu — zakomunikował. — Proszę do samochodu.

Martin dał się namówić. Kolacja w lokalu, ewentualnie taniec niczego złego nie oznacza, stwierdził nie bez racji. On też czuł się jakiś napięty.

W hallu luksusowego hotelu „Sebastopol” czekały na nich trzy czarnowłose, smagłe dziewczyny.

I Hotel wywarł na Martinie wrażenie. Nabierał uznania dla stylu Francuzów. To już dekadencja przenosić to na wysepkę zagubioną na końcu świata, myślał przyglądając się dziewiętnastowiecznej ornamentacji hallu naśladującej najlepsze wzorce paryskie. Ale jakże przyjemna! Hotel ma nazwę rosyjskiego miasta, ulica także. Francuzi mają sentyment do siły. Od czasów Napoleona. Rzadko który naród hoduje w sobie sentyment do narodu, od którego

dostał w skórę, tak jak oni od Rosjan. Jeżeli Niemcy po wojnie zaczną nazywać swoje hotele i ulice nazwami miast rosyjskich, przy piwie będą śpiewać: „Oczy czarne” zamiast „Mein Lieber Augustin”, oznaczać to będzie regułę. Ano, poczekamy, zobaczymy.

Zbliżała się północ. Wyjście z portu Dud zamówił na szóstą rano. Pilot, szybrowie holowników zjawia się na pokładzie pół godziny wcześniej. Czas przed odbiciem od nabrzeża jest na pomoście nawigacyjnym zawsze gorący, dobrze jest wówczas mieć głowę wypoczętą. Ale Dud się wciąż nie pokazywał.

Myśl o powrocie na statek wydała się naraz Martinowi jakimś nieporozumieniem. Płynął do Beris, oczywiście, ale to nie tłumaczyło wszystkiego. Opadły go dręczące pytania, zresztą nie pierwszy raz. Czy ta jego ucieczka przed domem rodzinnym, przed wszystkim, co ma związek z Anglią, ma jeszcze jakieś uzasadnienie? Czy przypadkiem nie świadczy o jego niezdolności uwolnienia się od dziecięcych urazów? Przecież od tamtego czasu minęło dziesięć lat!

Postanowił zerwać z włóczęgą po świecie raz na zawsze. Niedługo skończy ćwierć wieku, pora się ustatkować. Jeszcze kilka miesięcy i — po wojnie. Koszmaru tego nie da się prędko zapomnieć, ale czas i Beris zrobią swoje. Jej jednostka stoi obecnie w Sydney. To piękne miasto, malowniczo położone; klimat też ma bardziej umiarkowany niż upalne przez okrągły rok Brisbane, problemów będzie dużo, lecz powoli wszystko się ułoży. Chwilowo i Beris, i on muszą ciągnąć do mety rydwan wojny. Ona w swojej jednostce, on... Nikt rozsądny nie zmienia konia pod koniec biegu, będzie więc nadal pływał pod banderą Wuja Sama. A to oznacza dalekie rejsy oceaniczne na szlakach wytyczanych potrzebami walczącej armii: Pacyfik albo Atlantyk, jak panowie z US Merchant Marine zadecydują. Martin nie chciałby zostawiać Beris długo samej. Z dwójga złego wolałby kręcić się na niedużym statku po Morzu Koralowym. Widywaliby się wówczas częściej. A po wojnie, której kres już bliski, zobaczy się.

Nigdy nie rozmawiali ze sobą o tych sprawach. Miłość zostawia tak mało miejsca na sprawy przyziemne, wydają się one zresztą zupełnie bez znaczenia. Ale małżeństwo to wielka rzecz. Słowa: „kochana”, „droga”, „jedyna” dźwięczą tonami i najwyższymi, ale i lekko, niekiedy nic to nie znaczy. Słowo „żona” jest mocne. I poważne. Tak, stary koniu, myślał Martin z odcieniem pobłażliwej ironii, nawet się nie spostrzegłeś, jak młodość, niefrasobliwość zostały daleko za tobą i stałeś się dojrzałym człowiekiem. Okres uczuciowej pustki, skakania z kwiatka na kwiatek to przeszłość. Zapamiętaj to sobie!

W Stanach ma to i owo do załatwienia: musi dopełnić formalności w sądzie związanych z przyznaniem mu naturalizacji; podjąć odszkodowanie za utracony na ostatnim statku majątek osobisty; zlikwidować mieszkanie w Los Angeles. I ciekawostka: „Mam zaszczyt poinformować, że Pańska prośba o przydział do Royal Air Force została rozpatrzona pomyślnie. Prosimy zgłosić się do attache lotniczego naszej ambasady w Waszyngtonie, który zajmie się formalnościami związanymi z Pańskim przyjazdem do Wielkiej Brytanii. Z poważaniem...” Jakiś trybik w pracującej wolno maszynie biurokratycznej Jego Królewskiej Mości zaciął się i po czterech latach zaskoczył znowu. Martin zachował to pismo jako dowód utrzymywania się w jego rodzinnym kraju tysiącletniej tradycji odpowiadania obywatelowi bez względu na warunki i termin.

Czas na łodzi przemija tak szybko. Dwie pierwsze sprawy wymagały udania się do Kalifornii — spory kawałek drogi. Zresztą to w tej chwili nic pilnego. Co innego likwidacja mieszkania. Fani Langley chętnie się nim opiekuje, Amy, jej jedyna córka, również... Tym bardziej należało postawić sprawę jasno. Zwłaszcza kiedy kobieta zdecydowana jest nie dostrzegać uników mężczyzny.

Zostawił te rozważania.

Na sali panowała atmosfera beztrioskiej zabawy. Wojna toczyła się bardzo daleko stąd. I — widoczne to było na każdym kroku — tchnęła życie w spokojne wysepki Oceanii. Mnóstwo tu było młodych lotników i marynarzy rzucających pieniędzmi na lewo i prawo. Toteż hotelarze nowokaledońscy szczerze im sprzyjali. Tutejsze dziewczęta też nie miały nic

przeciwko tym chłopcom. Niektóre, takie jak Dore, mogły zawrócić w głowie niejednemu.

Już w hallu zapatrzyła się w niego jak urzeczona.

— Comment vous appelez-vous? — spytał ją Martin swoim nieporadnym francuskim.

— Comment... comment... Moi? — wskazała palcem na siebie. Kiwnął głową.

— Dore. — W jej ciemnych oczach zamigotała niepewność. — Do-re — przesyłabizowała.

— Comprenez-vous?

— Pięknie. — Martin przeszedł na angielski. — Dore, złota. Bardzo ładne imię. Moja dziewczyna nazywa się Beris. Beris też ładnie, prawda?

Jej angielski musiał być o wiele gorszy niż jego francuski.

— Beris! — Nie zrozumiała. — Oh tres bien, Beris. Roześmiał się.

— Tak, na imię mi Beris.

Z koniakiem w rękę wyciągnął się na kanapce. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Dore, przytulona do niego, pociągała szampan małymi łyżkami. Zdawała się nie dostrzegać rozkołysanej fali ciał na parkiecie, nie słyszeć muzyki. Tyle męskich spojrzeń kierowało się ku niej, ale ona widziała tylko jego.

Bardzo słaba bariera oddzielała Martina od pochylecia się nad jej gołymi plecami. Zapach jej ciała — mieszanina jaśminu, kwiatu nocnego powoju i zachodzącego słońca, jeżeli coś takiego w ogóle istnieje — drażnił mu nozdrza. Podczas jednego tańca jakiś Australijczyk zaproponował wymianę partnerek, mógł sobie wówczas obejrzeć ją w ruchu. Porywające widowisko. Cała sala biła brawa. Okrzyki: Magnificent! Wonderful! nie ustawały długo. A on nie mógł oderwać oczu od jej roztańczonych nóg.

Wieczorowa suknia w białe i czerwone kwiaty. Wyobraźnia Martina podsuwała tysiące skojarzeń. I ta jej milcząca zgoda... Ślepy zaułek. Ale nikt go weń siłą nie wciągał. Jeżeli się boi, może wstać i — au revoir.

Złym statkiem wybrał się w drogę do swego małżeństwa. Powinien był inaczej. Jeżeli miłość jego jest prawdziwa, a co do tego nie ma wątpliwości, szanowni roztańczeni awanturnicy wszelkiego autoramentu, cwaniacy spod ciemnej gwiazdy czy

tylko zwykli szczęściarze, którym ta oaza urzekającej pięknością natury dała w tych zwariowanych dniach swoje słońce i dziewczyny, to powinien był wsiąść do samolotu i niczym kometa przemknąć nad oceanem. Tak powinien był zrobić. Miłość jest głodem, jeżeli szybko się go nie zaspokoi, może umrzeć. A ja? Były morza, oceany, góry, puszcze; były przestworza, świat cały. Pytasz o mój dom rodzinny. Jaki był? Pytasz o Florence... Milutka mała, siostrzyczka. Pytasz o moją matkę... Powiesz pewnie, że jestem bez serca. Ale ja nie pamiętam nic innego, jak tylko to, że bawiła się mną jak lalką, mizdryła się do mnie językiem niemowlectwa, jej twarz o oczach psa wisiała nade mną dzień i noc, nieustannie śledziła każdy mój krok, ani na chwilę nie zostawiała mnie samego. Taka jest prawda: była niewyczerpana w swej zachłanności.

To z miłości, mówisz. Matczynej. Nie rozumiesz, jak mogłem przez tyle lat nie dać jej o sobie znać, nie zainteresować się, czy w ogóle żyje. Pytasz, czy wyobrażam sobie jej tragedię, kiedy rano nie zastała mnie w domu. To musiała być bardzo nieszczęśliwa kobieta, powiadasz. Jesteś przekonana, że nie zaznała miłości mężczyzny.

Plaże Queenslandu są inne od wszystkich plaż świata. Są łóżem wyścielanym złotem. Spełniła się tam nasza miłość. Samoistnie, bez udziału myśli, jak samoistnie spada dojrzały owoc z drzewa. Ciszę, jaka potem zapadła, przerwałaś słowem: Twoja. Przeraziłem się go. Uciekłem na drugi koniec świata. Statek musiał iść na dok, pamiętasz? Oznaczało to miesięczny pobyt na lądzie. Trzydzieści wspólnych wieczorów i nocy, mnóstwo godzin, podczas których z ust moich powinno paść to samo słowo. Obawiałem się, że nie zadźwięczy tak nieskazitelnie czystym tonem. Prawo wyłączności? Znalazłem się w potrzasku — niedobrze ze mną — uciekłem się do kłamstwa. Wojna pokrywa nikczemności małe i duże. Tak łatwo zasłonić się nią w potrzebie...

Odetchnął z ulgą. Wtulona w niego dziewczyna napawała go wiarą w siebie. Edna Gwynne ogarnęła wzrokiem ogród. Jej mąż, pochylony nad kosiarką, wciąż pracował. Zbliżała się

dwunasta. Za kilka minut Tom wyprostuje plecy, nabierze powietrza w płuca, popatrzy na słońce. Jeżeli dostrzeże je nad czubkiem dzakarandy, Wyłączy kosiarkę i rozglądając się po łąkach ściętej trawy, skieruje się do domu.

Mogłaby się założyć o cały swój dobytek, że wraz z krokami Toma wybije godzina dwunasta. Tom orientuje się w czasie na podstawie obserwacji natury. Wysoka na pięćdziesiąt stóp dzakaranda, rosnąca pośrodku ogrodu, jest dla niego nieomylnym wskaźnikiem. Jak zegar słoneczny na ścianie katedry Świętego Pankracego. W pochmurną pogodę, jaka w Melbourne zdarza się często, Tom również zerka najpierw przez okno, dopiero potem wyciąga z kieszeni zegarek. Uśmiech, jaki pojawia się w jego szarych oczach, świadczy nie tyle o nieomyślności zegarka, ile o precyzji zjawisk przyrody.

Ogród państwa Gwynne należy do najładniejszych w tej dzielnicy, a według Beris — w całym Melbourne. Dziewczyna przesadza. Mówiąc tak, chce zrobić ojcu przyjemność. Jednak niewątpliwie ogród jest ładny. Jego pagórkowata konfiguracja, na tle zielonkawej płaszczyzny obmywającej go rzeki Yarra, przyciąga oko każdego. Ale to tylko część urody tego okazałego ogrodu; to, co zatrzymuje przypadkowych przechodniów, jest dziełem dwudziestu pięciu lat pracy Toma.

Nieraz w ciągu tego ćwierćwiecza jego małżonka czyniła sobie wyrzuty, że zgodziła się na zakup tej posesji; w owym czasie, zaraz po tamtej wojnie, było tu zupełnie pustkowie. Życie skupiało się wokół śródmieścia. Młode małżeństwa, imigranci z Wielkiej Brytanii, których przybyło sporo, osiedlały się w nowo budowanych dzielnicach miasta. Nikt nie trudniący się hodowlą zwierząt czy rolnictwem nie uciekał tak daleko od skupisk ludzkich.

Tom wrócił z wojny w Europie całkowicie odmieniony. Zdarzają się dramaty, lecz trudno o bardziej złośliwą kpinę z człowieka rozkochanego w muzyce tak jak on: pianista z zawodu traci prawą rękę do łokcia... Nie były to łatwe dni dla młodej kobiety nie przyzwyczajonej do życia w odosobnieniu. Mogła była zerwać zaręczyny, zostawić bohatera Australii, lub zgodzić się z jego decyzją, choć nieraz zapytywała siebie w duchu, czy ugodzona ambicja męża nie zaciąży nad ich losem.

Nie mogła się teraz go doczekać. Plusk wody w łazience na górze, kroki do sypialni, gdzie mąż przebierał się do lunchu — czas ciągnął się w nieskończoność. Przesada, myślała, ten jego nawyk przebierania się przed każdym lunchem. Są w całym domu tylko we dwoje. Poza listonoszem, doręczycielem ze sklepu — od czterech miesięcy nikogo innego tu nie było. Tyle czasu minęło od dnia, gdy Beris, wyskoczywszy z samochodu, rzuciła się jej na szyję z radosnym okrzykiem: „On wraca! Wraca, mamó, rozumiesz? Pobieramy się!”

Nie wiedząc, co powiedzieć, Edna rozplakała się. Ale nie ze szczęścia.

Gdyby ją spytano, czego obawia się w życiu najbardziej, odpowiedziałaby: samotności. Wybranek serca Beris jest marynarzem. Niepokojny duch, który nigdzie nie znajdzie dla siebie miejsca; to nie materiał na męża.

Gdyby ją spytano, co o nim myśli, odmówiłaby odpowiedzi.

Martina zna tylko ze zdjęć. Duże oczy pod gęstymi brwiami, wyraźna linia ust, silny podbródek, figura — jedynie Andrew „Boy” Charlton, cudowny pływak, bożyszcze Australii z lat jej młodości, mógł dorównać mu budową ciała. W jego twarzy jest coś niespokojnego, szczególnie w oczach. Są kobieco wielkie, kobieco piękne, zaciągnięte smutkiem. Tak, Martin nosi w sobie nieszczęście. Wisi nad nim jakaś groźba. Tom śmieje się z jej przeczuć. Nazywa je przewrażliwieniem, które jej samej szkodzi. Mężczyźni tego nie rozumieją. To sprawa kobiecej, matczynej intuicji.

Na stole leżał list od Beris. Dzień był jasny, pokój wypełniało słońce i taka sama radosna była treść listu. Najchętniej pobiegłaby z nim wtedy do Toma, nad rzekę. Ale w życiu Tomasa Gwynne'a wszystko miało swój wydzielony czas.

Na piętrze nie ustawały odgłosy jego krzątania. To prawda, jednoręki człowiek potrzebuje na wszystko więcej czasu. Musi być wyrozumiała. Chętnie by mu w przebieraniu pomogła, lecz on w takich chwilach nie znoślił niczyjej obecności. Przywykła do tego. Protest przeciwko traktowaniu go jako człowieka fizycznie niepełnosprawnego. John był niepodobny

do ojca, całkowite przeciwieństwo Beris. John... Do końca życia nie zapomni jego młodzieńczej wszechobecności w tym domu. Dla Toma to przeszłość. Był, nie ma — koniec! Tak jak z jego ręką. Była, nie ma. To straszne.

Niecierpliwie czekała na koniec tej operacji. Rozsupływanie woreczka z tytoniem, wsunięcie weń fajki, nabijanie cybucha, wiązanie woreczka, zabiegi z zapalkami — fascynujące widowisko, gdyby nie list na stole, nie wyjęty jeszcze z koperty. Nic nie potrafiło zakłócić spokoju Toma.

Dzisiaj piątek, sklepy otwarte są dłużej. W planie był wyjazd do śródmieścia, pochodzenie po domach towarowych, kino i jak we wszystkie piątki w ciągu tych dwudziestu pięciu lat — wspólna kolacja w Haymarket Restaurant. Melbourne w tym czasie bardzo się zmieniło. Z niewielkiej miejsciny nad Zatoką Philipa rozlało się zabudowaniami po obu stronach Yarry, tworząc imponującą metropolię południowo-wschodniej Australii. Rozrostowi miasta towarzyszyła przebudowa śródmieścia. Zniknęły niskie domki wiktoriańskie, miejsce ich zajmowały okazałe gmachy godne wielkości tego kraju. Ale ludzie zdawali się nie nadążać za tempom przemian. Powyrastały wspaniałe hotele, restauracje, Tom jednak każdą wyprawę kończył niezmiennie w starej Haymarket.

Tym razem do tej zwykłej, cotygodniowej wycieczki dojdzie rzecz niezwykła: wizyta w siedzibie Partii Liberalnej.

Tom zdecydował się chwycić za broń. Polityczną. Zamierza kandydować na razie do parlamentu stanu Wiktorii, później — zobaczy się.

Tom odżegnuje się od wiązania tej sprawy z niepotrzebną jego zdaniem śmiercią Johna. To nie jest żaden odwet. Motywy jego decyzji nie są osobiste. Politycy muszą przyświecać względy ideowe. A więc nie John, nie jego własne ambicje, nie cele nowo powstałej partii, ale Australia. Tak powiedział: Australia! Zmieniają się czasy, zmieniają związki polityczne. Lata wojny ujawniły kruchość podstaw, na jakich opiera się Brytyjska Wspólnota Narodów. Jesteśmy częstką organizmu, którego centrum władzy oddalone jest od nas o dwanaście tysięcy mil. O wszystkich sprawach politycznych naszego wielkiego kontynentu decyduje Londyn na zasadach ustanowionych jeszcze za czasów traktowania Australii jako miejsca zsyłki elementów przestępczych, a nam pozostawia prawo kiwania palcem w bucie... To anachronizm. Nie możemy zgodzić się na pomiatanie nami jak jakąś kolonią afrykańską! Jesteśmy nadużywani w tej wojnie. Oddaliśmy do dyspozycji królestwa wszystkie nasze zasoby gospodarcze. Nasi chłopcy walczą na najgorszych frontach Afryki i Europy. W pojedynkę dźwigają ciężar walk w Papui. To właśnie oni — Tom potrząsa kikutem swego ramienia z nie znaną u niego pasją — nie Brytyjczycy, nie Amerykanie, lecz nasi Aussies zastopowali pierwsi niepowstrzymany dotąd pochód Mikada! Sowiec płacimy za to krwią. Wydarzenia wykazały, że w zagrożeniu musimy liczyć na własne siły. Że prędzej czy później Azja znowu wyciągnie łapy po nasze ziemie, musimy być na to przygotowani. A jak? Otworzyć Australię dla białej emigracji z Europy, żywności starczy nam dla stu milionów! Utworzyć unię z Nową Zelandią, z wyspami Oceanii; to nasi sąsiedzi i naturalni sprzymierzeńcy! Ale na to trzeba się wpierw uniezależnić od Londynu.

Gdzie on chce znaleźć zwolenników tego radykalnego programu? Ludzie są tak przywiązani do Korony...

Edna nie miała dziś głowy do tych rzeczy. Nie zamierza mężowi niczego odradzać, na nic by się to nie zdało. Kiedy on będzie się układać z tymi krzykaczami, ona posiedzi w kawiarni i przemyśli pewne sprawy.

Ślub Beris miał się odbyć w porcie docelowym statku Martina, w Brisbane, gdzie oboje się poznali. Tam zamierzali spędzić swoje miodowe dni. To było cztery miesiące temu. Tymczasem jednostkę Beris przeniesiono do Sydney. Z urlopu, który cały zarezerwowała sobie na to wydarzenie, otrzymała tylko dziesięć dni.

Wszystko się pozmieniało, pomieszało, jak gdyby zmałowane czyjąś

Okropne przeszkody powyrastały na drodze do małżeństwa tej dziewczyny, coś się jej wyraźnie nie układa. Ale to dopiero początek: ślub — i co dalej? Jeżeli wszystko potoczy się

dobrze, pisze Beris, do Sydney wrócą razem, a może nawet wpadną na dzień lub dwa do domu; chciałyby koniecznie pokazać mężowi swoje rodzinne gniazdo. Kochana dziewczyna. Nieustępliwa w swych zamierzeniach, pod tym względem zupełnie podobna do ojca. I jak on lubi ryzyko.

Niestety, żyłkę tę odziedziczył po nim również John. Nie musiał jeszcze iść do wojska, a tym bardziej do lotnictwa. Wszyscy w tej rodzinie połknęli bakcyła latania. Tom powinien mu być to wyperswadować, uświadomić, jakie to niebezpieczne. Kiedy on został zestrzelony, wszystkie te nowoczesne bronie do niszczenia samolotów w powietrzu nie były jeszcze wymyślone, a mimo to dostali go! Że też mężczyźni nie wyciągają wniosku z tragicznych lekcji. Karmić dzieci opowiadaniem o pojedynkach w przestworzach — po wszystkim, co sam przeżył?

Życie Edny upłynęło w stałej trosce o dzieci. Gdy nie słyszała ich rozbrykanych głosów w domu czy ogrodzie, patrzyła w górę na wierzchołek palmy kokosowej albo na gałęzie dzakarandy, a potem biegła jak szalona nad wodę. I tak dzień w dzień. Wysokość czy zdradliwa toń, nic nie wywoływało obaw u tej dwójki: Jedyni sąsiedzi na tym odludziu, Masonowie, sprzedali swoją posiadłość za pół darmo tylko dlatego, że bali się o Jacka; zaważyła na ich decyzji ta historia z olbrzymim rekinem, co wdarł się głęboko w Yarrę.

Patrząc na męża Edna odniosła wrażenie, jakby po drugiej stronie stołu siedział nie ten sam człowiek. Jakiś nowy ogień skrzył się w jego szarych oczach. W klapie marynarki spostrzegła miniaturkę Krzyża Wiktorii. Ten mały skrawek metalu zawieszony na barwnej wstążeczce spoczywał ćwierć wieku w biurku Toma. Boże, pomyślała, jak to współgra z jego pustym rękawem!

Zwykle ich rozmowa na temat małżeństwa córki miała identyczny przebieg. Na zakończenie ona rzucała niecierpliwie: „No więc?...” A on zza obłoków niebieskiego dymu spoglądał na nią pytająco. Dzisiaj zaskoczyła go.

— Masz rację — położyła rękę na jego barku — jestem po prostu uprzedzona do tego chłopca. Nasza Beris będzie z nim z pewnością szczęśliwa.

Martin spacerował w myślach ulicami Brisbane. Były tak samo szerokie jak ulice San Francisco, Los Angeles, tak samo wiecznie skąpane w słońcu jak plaża w Kalifornii „W zasadzie różnią się one, ulice i plaże — tłumaczył idącej u jego boku dziewczynie w bluzie Australijskiego Lotnictwa Królewskiego — tylko jednym: wszystko po tej stronie Oceanu Spokojnego jest spokojniejsze od wszystkiego po tamtej stronie. Ameryka jest już nieco zatłoczona. — Zatrzymał dziewczynę. — Zakotwiczymy na stałe w Australii?”

Dziewczyna nie miała nic przeciwko temu. Australia jest w porządku. San Francisco, Los Angeles zna jedynie z filmów — ładne są — szczególnie San, ale... godzi się z jego wyborem. A więc Brisbane albo Sydney, zresztą obojętnie gdzie, byle razem. Jeżeli zdecydują się na Bri, ranki spędzać będą na krążeniu jachtem między wysepkami koralowymi, upalne południa przeleżą gdzieś w cieniu, a kiedy spiekota popuści, spacer pośród zieleni Ogrodu Botanicznego lub alejami dzakarand. — Och, Mart, nie wyobrażasz sobie, jakie te drzewa są piękne wiosną! — wieczory zaś kulturalnie: teatr, koncerty symfoniczne, odczyty.

„W porządku. — Martin zatwierdza plan dnia. — Ranki na jachcie, południa: sjesta, popołudnia: zieleń Ogrodu Botanicznego, aleje dzakarand; miliardy błękitnomodrawego kwiecica, jakimi wiosną te drzewa się obsypują, to musi być coś naprawdę fantastycznego, dzakarandy stałą pozycją dnia, tak jak wieczorami teatr, koncerty symfoniczne, odczyty...”

„Przecież teraz październik, karnawał! — przypomniało się dziewczynie. — Tydzień nieprzerwanych parad, śpiewu, tańca na Warana Square.....Okragłe siedem dni karnawałowego szaleństwa na ulicach miasta... Więc co z planem?”

„Już się robi poprawkę kursu — uspokaja Martin dziewczynę. — Alan, ster piętnaście stopni w lewo — rozkazuje — kurs prosto na Warana! Tylko przepływając rzekę, nie zawadź mi tym cholernym kominem o most imię Kapitana Cooka... Tak trzymać!”

Staje na baczność przed dziewczyną.

„Poprawka wzięta, Moja Królewska Mości, idziemy na Warana. Spoglądasz nieufnie na mój

pojazd. Nie dziwię się, może wzbudzić obawy, ale nie daj się zwieść pozorom. Jest on bowiem szczerozłotą karocą zaczarowaną dla niepoznaki w to pudło; tak samo ci przebierańcy na pokładzie. Ten w rozchełstanej koszuli przy kole sterowym to Alan, osobisty sternik Neptuna, absolutnie niezawodny w żeglowaniu w dzień czy w nocy, na pustyni lub oceanie, obojętnie; ten szczuplutki paż o ładnej dziewczęcej twarzy, co kręci się nieustannie wokół przyrządów pomiarowych, ten, który właśnie pochyla się nad mapą i coś tam kreśli, to Francis, bezbłędny w obliczaniu pozycji naszej karocy na tej planecie dobrych ludzi, arcy mistrz matematyki, fizyki, astronawigacji, człowiek, który może zapomnieć o jedzeniu i spaniu, o ojcu, matce i samym Panu Bogu, lecz nigdy o żadnym z tysięcy ruchów, jakie jego ręce mają wykonać podczas pracy na pomoście. Zerkasz podejrzliwie na tego hultaja na oku«. Rozumiem, wygląd jego nie budzi przyjemnych skojarzeń. Gdybym nie wiedział, jakie moce drze mi w tym zalanym potem ciele, ile tajemnej wiedzy umieścili bogowie w jego popaćkanej wątrobianymi wylewami czaszce, nie uwierzyłbym, że to Oswald. Nie poznajesz go, widzę. Nie dziwię się, w tym przebraniu... Ale to on! Słynny na obu półkulach, opiewany przez poetów Oswald, który w bezpośrednim starciu pokonał samego Bachusa... Ale niech cię to, królowo moja, nie napawa zbędną troską. Morze niebiańskich trunków, jakie wątroba jego przemieniła w śmierdzący mocz i pot, nie padło mu na wzrok. Natura, wystawiając go na taką próbę, nie poskażyła mu odporności, a za uporanie się z tym ochlajem z Olimpu dała mu siły Tytana i wzrok orła, aby już bez przeszkód dobrnął do kresu swojej wędrówki. Przeto ufności, moja święta. Nie straszne nam wrogi, kiedy straż nad nami trzyma Oswald! Nie jest on jedyny w tym zbożnym środowisku, spójrz, proszę, na tych przyjemnych chłopaczków przy armacie. Razi cię pewnie ich swawola. Rozebrani do rosołu... W służbie.....Na pokładzie karocy Pana Wszechoceanów wiozącej najpiękniejszą córę Ziemi... Ale wybac im, młodzieniaszkom. Miałyby przyjść chwila próby, zaręczam, lepszych obrońców nad nich nie znajdziesz. Tak więc... Nie podoba ci się nerwowość tego hultaja. Przyznaję, to wywijanie łapami nie przynosi mu zaszczytu. Pozwolisz, że...”

— Hej, Oswald, co tam znowu?

Wachtowy na skrzydle pomostu nagle wrzasnął:

— Torpeda!!!

Jednym skokiem Martin znalazł się przy nim. — Gdzie? Co? — Omiatał błyskawicznie gładką powierzchnię oceanu.

Nagle szarpnięcie statku pchnęło go na wiatrochron. To Alan bez komendy położył ster na burtę. Dobry numer. Torpeda z prawej — ster na prawo i cała naprzód. Statek, jeżeli nie może ująć jej z drogi, winien ustawić się do niej obłym dziobem, po którym to świństwo, nawet trafiając, ześlizgnie się i pójdzie dalej. Tak bywało na Atlantyku z używanymi tam torpedami. Ale uczeni niemieccy, ci cholerni niemieccy ramole książkowi, uzbroili te cygara w magnetyczny nos samonaprowadzający je na cel. Goni taka rzecz za statkiem jak wyżeł za zającem, nie na wiele przyda się przekładanie steru. Reakcja Alana jednak jest właściwa. Dobry sternik.

Martin trzymał lornetkę przy oczach. Cał po calu przejeżdżał nią po szmaragdowej płycie oceanu. Gładkiej jak lustro i przezroczystej. Głębokiej w tym miejscu na dwa tysiące sążni. Jakby zapraszającej do orzeźwiającej kąpieli. Oprócz płetwy rekina prującego ku oddalonemu od stada, samotnie baraszkującemu delfinowi niczego przypominającego peryskop nie spostrzegł. Ani z lewej, ani z prawej burty statku. Żadnej spienionej smugi wody, żadnych bąbli, tylko ten trójkątny maszt zakrzywionej do tyłu płetwy grzbietowej. Znajdowało się to sto jardów od statku, ale już było widać, że należy do jakiegoś wyjątkowego okazu.

— To tygrys... — odezwał się poważny głos Francisca. — To ich akwen.

Dowódca kanonierów walnął do płetwy z karabinu. Pocisk musiał trafić w unerwione miejsce, bo woda zafalowała i tuż pod powierzchnią błysnęło kometą srebra. Kilkanaście jardów długą, zakończoną potężnym ogonem. Olbrzym majtnął nim majestatycznie na to bezczelne ukąszenie, jakby w pogardzie dla dziwnego stworu, z którego ta igła została

wystrzelona, zatoczył krąg i zniknął w głębinach.

Zanim ten żarłacz poszedł pod lustro wody, pomyślał Martin, mógł go wprowadzić w błąd. Narosła na grzbiecie i paszczy, mieniające się w płytkim zanurzeniu połyskliwą zielenią, mogły na pierwszy rzut oka wydać się Oswaldowi Bóg wie czym.

— Nerwy w garść, Oswald! — Starał się o wyrozumiały ton. — Te rzeczy na tych wodach nam już nie grożą, przekonałeś się sam. Przemierzyliśmy w pojedynkę cały Pacyfik i żadnego żółtka. Ani na niebie, ani na wodzie. Uważnie penetruj przestrzeń i tylko spokojnie. A jak co, to wprawkiwnij na mnie, dobrze?

Jeszcze dwie i pół godziny wachty, pomyślał niewesoło. Facet jest gotowy, najwyższy czas z nim na ląd.

Nie miał go na kogo wymienić, Noumea nadwerżyła siły prawie całej załogi. Niezupełnie całej. Czuł na sobie kpiące spojrzenia artylerzystów, którzy splukali się na Tahiti, i w Noumei spędzili czas przykładnie na statku.

— Miało się pełne gacie, co? — usłyszał zza pleców.

Nie chciało mu się robić przedstawienia. Ten sierżancik na swoim dziewiczym rejsie „bojowym” przebrał miarę. Zaszedł za skórę już tylu ludziom z pokładu i maszynowni. Martin wolałby dać mu nauczki dopiero w Brisbane. Ale nie mógł nie przyjąć wyzwania.

Odwrócił się twarzą do rufy.

— Sierżancie! — zawołał. — Daję wam wszystkim minutę na wciągnięcie spodni. — Jesteście na służbie.

Pod działkiem zarechotało od śmiechu.

— Sierżancie — Martin podniósł głos — to był rozkaz! A za ten strzał zameldujecie się rano u kapitana, rozumiano?

Wesołość nie opuszczała nagich kanonierów. Takiej próby sił jeszcze nie widzieli. Martin się zdenerwował. Postawił stopę na schodkach.

— Sierżancie, powtórzyc rozkaz!

— Yes, sir — wydusił z siebie dowódca działka. Wskazał na porozrzucane wokół armatki spodnie i koszule. — Słyszeliście?

Martin przyglądał się wykonywaniu rozkazu. Wojsko, stwierdzał z przyjemnością zwycięzcy w tym małym pojedynku, to jednak niezła rzecz. Przy okazji dokonał niesmacznego odkrycia: cztery miesiące dobrej wyżerki, wylegiwania się na słońcu odłożyło się na młodych kanonierach fałdami tłuszczu; nie tak przedstawia się na afiszach werbunkowych obrońców Ameryki przed zaborczym smokiem Nipponu: na zapalkę ostrzyżone włosy, zrolowane rękawy koszuli na muskularnych ramionach i uśmiechnięte, lecz groźne oczy — niezawodna przynęta na młokosów marzących o wyrwaniu się spod kurateli rodziców. I kogokolwiek by te afisze przedstawiały — marynarza, lotnika, zwykłego piechociarza, którego dla zwabienia w szeregi przezwano romantycznie „marines”, w każdego wpatrzono są w zachwycie piękne lale. Martin uśmiechnął się mimo woli. Teoria i praktyka w jednym akcie... Jak wszędzie.

Ten otyły sierżant, co puknął w rekin, będzie po powrocie do domu zanudzał otoczenie bajkami, jak to on walczył z okrętami podwodnymi na Pacyfiku. Cóż, walczył...

A swoją drogą chętnie by spotkał się z nim w cztery oczy gdzieś w ciemnym kącie.

Przechył statku zbudził Dudleya. W rurze głosowej rozległ się gwizd. Martin wyciągnął zatyczkę.

— Mostek — zameldował się.

— Co tam za tańce wyprawiacie?

— Ach... na kurs wszedł rekin. Nie mniejszy od twego statku. I ani myślał ustąpić. Nie chciałem się na nim rozbić. — Martin przytknął ucho do nagrzanego mosiądzu, ale oprócz ciężkich posapywań nic nie usłyszał. — Na gorze wszystko w porządku, możesz odpoczywać — dodał. — Nie potrzebujesz czego?

Sapanie w rurze umilkło.

— Nie, nie potrzebuję — odezwał się naburmuszony głos Duda. — To wszystko.

— A może jednak? — rzucił Martin w rurę, której koniec wystawał nad koją kapitana. Już

głuchą, zatkaną.

Ocean wokół statku nic się nie zmieniał. Jak okiem sięgnąć, rozpościerał się pustką bez końca, męczącym bezmiarem wody. Nawet albatrosy, już nasycone latającymi rybami, zniknęły niepostrzeżenie.

Na dole jest Dud, myślał Martin niespokojnie. Sam w tej zawalonej gratami rupieciarni. Z całym dobytkiem swego życia. I z czymś jeszcze. Czyżby znowu?...

Nakazał Alanowi dać oko na wachtowego i biorąc po kilka stopni na raz, zszedł do kapitańskiej kabiny. W wejściu uderzył go nieznośny upał i smród alkoholu.

Przez zaryglowane iluminatory nie miało prawa wedrzeć się w tę gęstwinę nic z zewnątrz. W półmroku patrzyły na niego podkrążone oczy.

— Czego? — warknął kapitan. — Twoje miejsce na górze. Uciekaj!

I jak po śmiertelnym wysiłku jego oczy zgasły. Duży Dud Nihoun był już po wstępnej rundzie. Ring był ten sam, przeciwnik również. Znali się jak dwa kundle ze schroniska dla opuszczonych psów. Jeden milczący, zasłonięty swoją szklaną gardą, drugi — jak popadło. Walkę zaczynał zawsze Dud. Wstępna wymiana ciosów rozluźniała mu język. Cholerny świat! — tak mniej więcej zaczynał i okładał przekleństwami tego drania, dopóki nie zboczył na kobiety. Runda ta wiodła przez dziesiątki, setki istot bez imion, nazwisk, miejsca zamieszkania, anonimowych odżywek dla jego chuci, zastrzyków siły do dalszej walki, i kończyła się rundą ponurego milczenia. Kryzysową dla Duda. Jeżeli po niej nie poddawał się walkowerem, nie uciekał na pomost albo do maszynowni — byle dalej od swego przeciwnika — z kolejnego zwarcia nie było już wyjścia z ringu, ciosy tego w szklanej koszulce robiły z niego obrzydliwą galaretę.

Puste butelki od piwa i whisky wystawiały Dudowi chlubne świadectwo siły. Dodane do flaszek opróżnionych z Pierre'em, wspólnie z dziewczyną w pokoju hotelowym „Sebastopol”, która piła z nim łeb w łeb, czyniły z niego mocarza. Do pokonania czekał na niego stos kartonów ustawionych przy koi. Dziś pierwszy dzień walki, która trwać będzie równo dziesięć rund. Przez dziesięć kolejnych dni Dud nie wytknie nosa ze swej klitki, będzie pił, kopał cygaro po cygarze, rzygał przez iluminator, do obtłuczonej umywalki, do śmierdzącej muszli klozetowej, na posadzkę, zachlewać się będzie do nieprzytomności — i tak aż do zapadnięcia w stan letargu. Potem wyjdzie na pomost człowiek wycieńczony, z oczami matowymi ze wstydu z powodu swojej dziesięciodniowej dezercji ze stanowiska dowódcy tej garstki zatracieńców.

Niech to lichy — Martin aż się skręcał na widok ludzkiego łachmana na koi. Co ja na tym przeklętym pudle porabiam?

Pytanie to zadawał sobie tysiąc razy. Co młodego mężczyznę gna w to pustkowie wody, każe mu dobrowolnie odcinać się od ludzi? Jaka moc wypędza go z gwarnych, oświetlonych ulic? Ludzie na lądzie kochają się, kłócą, wymieniają myśli, uzgadniają sprawy, chodzą do kina, do parku, cieszą oczy zielenią drzew, wdychają zapach kwiatów, robią miliardy rzeczy ważnych i nieważnych, opowiadają sobie o snach, marzą o jutrze. I nie czują się z tego powodu pokrzywdzeni, bo do szczęścia wystarcza im mecz baseballowy, pogawędka z kolegą przy piwku, a plany dotyczą kupna nowej lodówki lub nowego samochodu. Światem ich jest segregator biurowy, horyzontem — próg własnego domu, marzeniem — wyjechać wreszcie na Florydę i pokazać temu zarozumiałcowi Smithowi, z kim ma do czynienia. Niespokojne duchy! Wielcy marzyciele! Przyjdźcie do tej kabiny i zobaczcie, co was czeka. Spójrzcie na dorobek życia tego łachmana. Kurtyna w górę, romantycy, i patrzcie!

Na scenie leży nie przegrany, ale zwycięzca... Te pudła, torby, zawiniątka, skrzynie nadzarte przez czas i rdzę to jego trofea. Znajdziecie tam jarmarczny obrazek świętego Patryka, srebrną koronę od matki zawiązaną w chustkę z pościelowego płótna, gipsową figurkę bohatera Irlandii, de Valery; wyrzeźbione w hebanie posążki Buddy, Chrystusa, boginki Saraswati z lirą, fujarką i pędzlem; są tam także cenniejsze rzeczy, takie jak walizkowa maszyna do pisania, radio na słuchawki, czerwono-białe lakierki, w których w młodości naganiał do łóżka nowojorskie siuśki, szczęka rekina ludojada; te skrzynie w kącie to jego

zbrojownia. Są tam między innymi: sześciostrzałowy colt z lufą jak armata, winchester Buffalo Billa, meczety południowoamerykańskie, niemiecki pistolet automatyczny zdobyty na Atlantyku na jakimś u-bootmanie, tuziny noży, sztyletów; w kufrze przewiązanym paskiem od spodni gniecie się jego bielizna; traperska torba zawieszona na drzwiach nie zawiera samorodków złota, lecz zasuszony wianek z jaśminów tahitańskich, w skórzanym woreczku na szyi, z którym się nie rozstaje, mieści się jego skarb nad skarby: perła jakiejś Porimy. I co, marzyciele, nie płaczecie?

Jestem bez dna,

Jestem bez granic.

Dla nieustraszonych jestem!

Jesteś! Bez dna i bez granic — żadnej w tym przesady. Dla nieustraszonych — to też się zgadza. A w nagrodę masz dla nich burdele całego świata, chińskie dzielnice nędzy, syfilis; jako współlokatorów przydzielasz im szczury, karaluchy, pluskwy, kości ich skręcasz reumatyzmem i w bebechach swoich strawiasz ich szczątki doczesne. Neptunie, w zachłanności swojej jesteś nienasycony!

Mierzyli się wzrokiem. Ten z koi, prawie nagi, porośnięty jak zwierzak, zdawał się zbierać do skoku.

Chryste Panie, westchnął Martin, cały wyładunek statku w Brisbane spadnie na moją głowę... Nie! postanowił. Nic mnie to nie obchodzi, umowa kończy się z chwilą zacumowania do nabrzeża.

— Jazda na górę — warknął ten z koi.

— Wpuszczę ci trochę powietrza — odparł Martin ze spokojem tresera, który wie, jak z tym zwierzakiem postępować.

Odkręcił śrubę klapy sztormowej i otwarty iluminator zablokował zasuwą. Ocean za burtą wydawał się gęsty, lepki niczym syrop. Dziób głęboko zanurzonego statku krajał tę lepkość i odrzucał na boki jak pług ziemię. Pracy tej towarzyszył nieprzerwany, miarowy rytm maszyny i pojękiwanie spojeń kadłuba. Martin skierował się do wyjścia.

— Gdybyś coś potrzebował...

— Wchodzimy w rewir tych cholernych raf. — Głos tego z koi zmiękł. — Uważaj.

Ale to nie było to, co chciał powiedzieć, tak się Martinowi wydawało. Rify, wysepki bezładne, jakich tu sporo, są dobrze oznakowane. A poza tym jeszcze dwie godziny słońca.

— Tak... — powiedział nieobecny głosem. U góry przy kole sterowym stał samotnie niezawodny Alan, na „oku” przydeptywał wachtę nerwowy wrak, któremu byle mucha mogła wydać się bombowcem. Miejsce jego było tam! — Tak... — powtórzył.

Za jego plecami panowała cisza, nawet posapywania ustały. Martin odwrócił się. To, co zobaczył, przeszło jego oczekiwania.

— Coś ty! — Cofnął się przed wyciągniętej ręką Duda z woreczkiem od Porimy i zalakowaną kopertą z impregnowanego papieru. — Skąd ci to przyszło?...

Ręka nie opadała.

— Bierz!

— Ale po co?

— Dla... no... przechowania, oddasz mi w Brisbane. W Brisbane, rozumiesz? — Wcisnął mu obie rzeczy pod rozpiętą bluzę. — A teraz na górę. Jazda!

Na pomoście też nie było czym oddychać. Martin zgarniał w Siebie parne powietrze jak po uciążliwej gonitwie. A raczej ucieczce, poprawił się w myślach. Ale przed czym? Nie próbował teraz tego rozwikłać. Później, kiedy postawi stopy na twardym gruncie, a u jego boku będzie Beris.

Raptem przyszła mu do głowy Dore. Skończone. Absolutnie i na zawsze! Amy Langley z Los Angeles, ta szczwana natrętnica, czarowała go angażem do United Artists...

Oparł się o wiatrochron i przymknął oczy.

Dobre sobie, myślał, ona i United Artists... Strzelili ze mną próbne zdjęcia, jak Boga kocham! Jeżeli ja wyglądam teraz tak jak kanonierzy, to wesoło, od dziś nie jadam kolacji... Te przek-

łete muchy! Skąd na otwartym oceanie, tysiąc mil od Australii, biorą się australijskie muchy? Mniejsze od amerykańskich, szare płateczki obsiadające człowieka chmarami. Jedyne sposoby na nie to deszcz, tropikalna ulewa, tajfun, cyklon. Ale dziś nic z tego, radio nie odebrało ostrzeżenia; tajfun hula na Filipinach, w rejonie południowych wysp japońskich; Okinawa, Formoza to jego ulubiony zakątek. U nas cisza. Dzisiaj, jutro, przez kolejne tysiąc lat — spokój. Wichury poszły na drinka. Wypięły się tyłkiem na Dudleyowych ludzi. Nazbierało się na pokładzie tych latających ryb; za burtę z tym, bo już się rozkładają... Mój książkowy imiennik Eden, w ciszy popadał w depresję. Cisze na morzu są zdradliwe, pisał. Kiedy sprawy się ułożą, wybierzemy się do Torquay, trzeba przekreślić dziecięce urazy. Florence to już pannica, bidzie miała dziewiętnaście lat, a ojciec... Nigdy nie podnosił głosu, żyli zgodnie... Duda zabierzemy ze sobą — jeżeli do tego czasu się nie zapije. Mógłby przystąpić do interesu ojca, Donald J. Strang & Dudley P. Nihoun — Shipping Company... Ale beze mnie, chyba że w Australii... Od Noumei mieliśmy tysiąc mil z kawałkiem. Idziemy dwanaście godzin, to znaczy, że w zatoce Moreton rzucimy kotwicę...

— Hej, Francis, ile mamy jeszcze?

Z kabiny nawigacyjnej wychyliła się głowa.

— Dokładnie tysiąc, szefie. Pudło porosło w ciągu tych miesięcy wodorostami, straciliśmy na prędkości. Robimy tylko sześć i trzy czwarte.

Tysiąc podzielone przez sześć i trzy czwarte... Martin przymknął oczy. Nieskończoność! O, królowo moja pachnąca ambrą, cierpliwości, błagam!

Wachta ciągnęła się w nieskończoność. Jak ciągle wyświetlany, nudny film.

Chwilę później na pomost wyszedł radiotelegrafista.

— Zmiana destynacji — zakomunikował. — Mamy iść do Sydney.

— Co?! — zawołał Martin. Z niedowierzaniem czytał rozszyfrowany już telegram podpisany przez agenta statku: „s/s Golden Greek” port wyładowniczy Sydney. Potwierdzić”. — Oni tam zwariowali! — wybuchnął. — To jakaś pomyłka! Nadawaj, że nie zrozumiałeś, niech powtórzą.

— Już to zrobiłem — odparł radiotelegrafista. — S-y-d-n-e-y — przegłoskował. — Starego możesz sobie darować, już to widział Kazał ci zmienić kurs samemu, nie będzie windować się na statek. Zresztą w jego stanie... Podpisz odbiór.

— Sydney... A niech to cholera! — miotał się Martin. — Dlaczego!

Poczuł się, jakby był pijany. Od wyjścia z Ameryki wysyła z każdego portu telegram z coraz to inną datą przybycia; dziewczyna gotowa pomyśleć nie wiadomo co. „Golden Creek” został zacarterowany na podróż do Brisbane. Via kilka dziur po drodze, ale portem docelowym miało być Brisbane — stolica stanu Queensland w Australii, żaden inny port. Oto dlaczego z tuzina statków idących ze Stanów w tym kierunku, zamustrował właśnie na ten. Było to cztery długie miesiące temu! Tymczasem jednostkę Beris przeniesiono do Sydney, do Sydney nadejdzie jego telegram o wyjściu z Noumei do Brisbane. Kołomyjka do kwadratu. — Co teraz? — westchnął bezsilnie.

— A co ma być? — Radiotelegrafista nic nie wiedział o jego osobistych planach Zmieniamy kurs, nie pierwszy raz na tym pudle. Jeśli o mnie chodzi, wolę Sydney, znam tam jedną taką...

— Blok z telegramem położył na pulpit sterówki i mówił dalej: — Radio australijskie donosi o zażartych wałkach o Rabaul na Nowej Brytanii, o Bougainville na Wyspach Salomona, o szybkich postępach MacArthura na Filipinach; całe garnizony japońskie, nie będąc w stanie stawić naszym chłopakom czoła, popełniają zbiorowo samobójstwo. Moim zdaniem żółtki długo już nie wytrzymają. Admiralicja nadała komunikat specjalny: „Na południowo-zachodnim Pacyfiku zaginął w tajemniczych okolicznościach statek handlowy”. Z całą załogą. Stało się to przed sześcioma tygodniami, ale podali dopiero teraz. Nie rozumiem, dlaczego ta zwłoka. Co o tym sądzisz?

Martin nie słuchał. W liście czekającym na niego w Noumei Beris donosiła, że pomimo wszystko los wreszcie uśmiechnął się do nich. Otrzymała pewne zadanie służbowe do wykonania w Brisbane. Dzięki temu przybędzie tam kilka dni przed zawinięciem statku i

będzie mogła załatwić sprawy. Czyż to nie dobry prognostyk na naszą przyszłość? — pytała optymistycznie.

— To gdzieś tu, na naszych wodach. — Radiotelegrafista skakał przymrużonymi oczami po gładkiej tafli, obojętnej na pojękiwanie wciąż jeszcze przeładowanego parowca i kłęby dymu kładącego się czarnymi welonami daleko za rufą. Ale niczego poza wodą i dymem na tym pustkowiu nie dostrzegał. — Z całą załogą — powtórzył nieskory do powrotu do swojej samotni z gałkami stacji radiowej i przyciskiem telegrafu — rozumiesz?

Martin wrócił do rzeczywistości.

— Jak to z całą? Statek nie przepada ot tak. — Strzelił palcami. — Ktoś musiał się uratować.

— Ale się nie uratował. Ani żywy, ani martwy. Wszystko, co znaleziono, to trochę niezatapialnych gratów, z resztą uporały się z pewnością rekiny. Według mnie mina albo okręt podwodny.

— Na minę statek wchodzi, uderza w nią dziobem, czasu na opuszczenie szalup jest zawsze więcej. Chyba że magnetyczna, co przykleja się gdzieś pod śródokręciem. Ale wówczas są też szansę.

— A torpeda?

— Torpeda? Od ponad roku nie ma na tym akwenie japońskich okrętów podwodnych. Ich flota jest wykończona. To, co im jeszcze zostało, używają daleko stąd jako transportowców wojsk, tak twierdzi nasza Admiralicja, i inaczej nie może być. Każdy skrawek oceanu znajduje się pod stałym nadzorem lotniczym. Ukryć się przed nim jest po prostu niemożliwe.

— A jeśli się myli?

— Daj spokój — zniecierpliwiał się Martin. — Wracaj do siebie.

Może w tej chwili odwołują ten głupi nakaz, a ty tutaj. Frank! — zawołał na asystenta. — Zmieniamy kurs.

Liniał, leżący na mapie generalnej w kabinie nawigacyjnej, jednym końcem przecinał Noumeę, drugim mierzył w Brisbane. Kurs dwieście trzydzieści stopni. Godzina szósta, Alan powinien zamienić się rolą z Oswaldem. Wykonywanie przy kole sterowym manewru tym roztrzęsionym wrakiem poprzewracałoby kucharzom garnki, więc Martin zdecydował się zostawić obydwu na swoich stanowiskach do końca wachty. Z Oswaldem — w jego stanie — przy kole sterowym trzeba by co chwilę powtarzać kurs i samemu go sprawdzać na kompasie, bo nawet z odczytywaniem bywają u niego kłopoty.

Jedną z dwóch ekierek ułożył na mapie równoległe do kursu, drugą odchylił od południka dwieście dziesięć stopni. Różnica na dwa palce, myślał, głupie dwa paluchy, a jaka przepaść! A więc zmiana. Podał sternikowi nowy kurs. — Tylko powoli — upomniał go z przyzwyczajenia — nie wykładaj za mocno steru w lewo- Bierz po pięć stopni. Po pięć i co pięć zgłaszaj.

Beznamiętny głos Alana meldował zmianę kursu. Statek płynął pod jego ręką, zdawałoby się, wciąż idealnie prosto — na Brisbane, na zatokę Moreton, gdzie za tydzień rzucą kotwicę, przyjmą pilota, który wprowadzi go do nabrzeża ładunków masowych. Tylko spieniony, biały ślad torowy zostawiany za rufą, malujący się w rozległy łuk, zdradzał ponurą dla Martina prawdę. Nie będzie porannego krążenia jachtem między wyspami koralowymi, wylegiwania się w cieniu palm podczas spiekoty południa, spacerów alejami dzakarand, wieczorów w teatrze, słuchania koncertów, odczytów, oglądania roztańczonych przebierańców na Warana Square... — zdawał się mówić tor. — Cierpliwości, zaokrągłę się jeszcze o pięć stopni, tylko o pięć, i pociągnę znów jak strzała...

— Dwieście dziesięć! — zameldował Alan.

— Tak trzymać!

Na tabliczce sternika Martin naniósł nowy kurs. Będzie on drogowskazem dla Alana, dla jego następców przy kole, aż do zacumowania przy którymś z nabrzeży Portu Jackson w Sydney, gdzie radiotelegrafista zna „jedną taką”...

Martin zaciągnął się łapczywie papierosem. Z Sydney do Brisbane, obliczał w myślach, pięćset mil, to jeszcze żaden dramat. Kwestią jest, jak długo zadanie ma trwać i ile dni urlopu

Beris dostała; najprawdopodobniej zapomniała mu o tym donieść.

W notesie miał jej adresy — domowy i jednostki w Sydney. Wystarczy telefon i będzie wiedział, gdzie jej szukać, a te pięćset mil to pociągiem sprawa jednej nocy. Ale pozostał inny problem: Dud. Którego dziesięciu rund picia nie jest w stanie przerwać nawet trzęsienie ziemi. Wraz z jego trędowatym pudłem i pięcioma tysiącami ton ładunku. On nie może mu po prostu powiedzieć: Umowa wygasła, good bye!

Usłyszał pomruk samolotu. Francis z lunetą sekstansu przy oku już go wypatrzył. — To nasz... Catalina... Tak, na pewno.

Z zawieszoną pod płatem łodzią samolot stawał się coraz wyraźniejszy. Catalina. Anioł, stróż statków handlowych. Przed którego oczami nie ukryje się w głębinach żaden napastnik. Latający przyjaciel ludzi morza.

Hydroplan leciał na niewielkiej wysokości. W promieniach zachodzącego słońca wyglądał jak królewski jacht, który, znudzony żeglowaniem po oceanie, wznosił się w przestworza.. Ale nie zrobił tego chyba jedynie z nudów. Przelatując nad statkiem pokołysał skrzydłami jak dobremu znajomemu, zatoczył łagodny łuk i znów był nad nimi.

— Z nadzoru lotniczego — odezwał się radiotelegrafista. — W Noumei mają swoją bazę. Widziałem te kolubryny w zatoce.

— Jazda do swoje budy! — wskoczył na niego Martin — Może on ma coś dla nas na a ty tu!

Nastawiając stację na kanał łączności lotniczej, radiotelegrafista odczytał ze skrzydeł znak rozpoznawczy hydroplanu. — Tu s/s „Golden Creek”, wzywam ASWPAC pięćdziesiąt pięć. Czy mnie słyszysz, odbiór!

Nasłuchiwał chwilę, ale samolot nie odpowiadał. Włączył się ponownie.

— I co?

Radiotelegrafista wzruszył ramionami.

— Ale moja aparatura w porządku — uprzedził atak Martina. — To chyba coś u nich. Może coś ze stacją albo...

— Co?

— ... nie słuchają.

Martin wykluczył tę możliwość. Gdyby to była załoga amerykańska, nie dałby za to głowy, ale australijska — wykluczone! — Nie ustawaj, wywołuj go!

Ponawiane próby nic nie dały: samolot nie odpowiadał. Kręcił się nad statkiem jakoś nieporadnie, w końcu odleciał w kierunku Noumei. Maszyna należała do dywizjonu Nadzoru Powietrznego Obszaru Południowo-Zachodniego Pacyfiku; chłopak, który poderwał do jednego tańca Porę, miał naszywki tej jednostki. Może, pomyślał Martin, przy drążku siedzi akurat on i w ten sposób żegna się z nami. Miał fantazję, to byłoby do niego podobne

Krażenie pilota nie mogło mieć nic wspólnego ze zmianą kursu — Martin odrzucił tę ewentualność. Może spostrzegł płetwała błękitnego odpoczywającego bez ruchu. Olbrzymy te, widziane z wysokości, niewprawnemu oku wydać się mogą przyczajonym okrętem podwodnym Pilot bowiem — w przypadku awarii stacji radiowej — posłużyłby się manewrowaniem. Martin nauczył się tego latając z pocztą nad Andami. Kołysanie płatami oznacza „do widzenia, życzę dobrej drogi”; pętla — „powiodło mi się”; latanie nad obiektem — „uwaga, mam dla was wiadomość” — i tak dalej. Dużo można powiedzieć językiem płatów i statecznika. A poza tym jest jeszcze kod rakietowy.

Powrócił do sterówki.

Ślad torowy nie napinał się już w łuk. Zgodny był z osią statku co do cala. „Golden Greek” jak gdyby myszkował jeszcze dziobem, sprawdzał, czy kurs, na który go naprowadzano, jest dobry, nim drżenia kadłuba wywołane manewrem ustały.

Martin zerknął ze sterówki na lewo i na prawo. Wszędzie jak okiem sięgnąć rozpościerał się ocean jak samo potulny jak rano jak - południe, Jak w ciągu całej wachty, choć niezupełnie taki sam: lustrzanie gładka przed chwilą powierzchnia wody rozkołysała się w łagodne fale, statek, żeglujący dotychczas niczym w powietrznej pustce, zaczął nabierać życic- Wszystkie znaki ładunkowe na burtach znajdowały się wciąż pod wodą, lecz fale rozkołysu nie były tak

duże. aby wlewać się na pokład. Jutro o tej samej porze, kiedy palacze przepuszczą przez paleniska kilkadziesiąt ton bunkru, statek wynurzy się o parę cali, a nim rzuci kotwicę w zatoce Botany, nikt z władz portowych nie pomyśli, że wypłynął z Noumei przeladowany. Z rufowego drzewca zwisała na bezwietrze czerwono-niebiesko-biała pasiasto-gwiazdzista flaga floty handlowej Stanów Zjednoczonych Ameryki, z przeciwległego krańca głęboko zanurzonego kadłuba wystawał flagsztok dziobowy. Patrząc ze środka sterówki na ten obłazły z farby kij — jeżeli igła kompasu nie urwała się biegunowi przyciągania ziemskiego — ciągnąc wzrokiem daleko od dziobu, zobaczyć by się Sydney. Ładne miasto. Jak na australijskie miary — duże. Przycupnięte przy malowniczych wzgórzach nad Parramattą i zatoką, zabudowane płasko i choć od niej tak odległe — wypisz wymaluj wiktoriańska Anglia. A biorąc dwa paluchy w prawo od tego kija i pozwalając oczom biec przed siebie tysiąc mil...

Weź się w garść, chłopie, skarcił się Martin. Przecież nie ma w tym ani żdźbła twojej winy!

— Jak idziemy? — rzucił do tyłu.

— Dwieście dziesięć — odpowiedział spokojny głos Alana.

— W porządku, tak trzymać!

Tom Gwynne przemierzał bawialnię z kąta w kąt, jego małżonka wodziła za nim pytającym wzrokiem. Rzeczowa dyskusja z nią w tej chwili była niemożliwa. Pykając fajkę rozmyślał nad sprawą. Czarnowidzenie żony irytowało go, ale w duchu przyznawał jej szóstemu zmysłowi trochę racji.

Jeszcze przed wyjściem z domu żona była w najlepszym nastroju. Dwie minuty później zjechała wozem na pobocze i gestem bólu chwyciła się za skronie. Niedobry znak. W rozkładzie zajęć spotkanie z ludźmi z Liberał Party. Zamierzał zaprezentować im swoją wciąż jeszcze piękną panią i partnerkę w przyszłej kampanii wyborczej, a tymczasem ona chwytła się za głowę... Później miało być szperanie po magazynach w poszukiwaniu prezentów dla młodej pary, obiad w Heymarket, ewentualnie kino i wieczór przy kominku z lampką czegoś nastrojowego. Za kilka dni ważna rocznica w ich życiu. Tom wyczuwał myśli żony, kobiety o takich rzeczach nie zapominają. Zazwyczaj był to dzień wspomnień, podsumowywania czasu przeszłego, przyjemny dzień. W tym roku śmierć Johna wszystko odmieni. Ona będzie myślami nieobecna, będzie zerkać bezwiednie w okno, jak gdyby wypatrując pojawienia się syna na tarasie, on musi uważać, aby nie wypowiedzieć jego imienia — bardzo to męczące. Decydując się na walkę wyborczą, Tom myślał częściowo o niej. Dopóki dzieci były w domu „Yarra Valley”, jak nazwali swoją posiadłość, tętniła życiem rodzinnym. Ale gdy pewnego dnia zabrakło przy stole jednego stałego domownika, potem drugiego, idylla prysła. Sprawy publiczne miały teraz wypełnić tę lukę i jemu, i Ednie.

Nie było szperania po magazynach ani obiadu w Heymarket. Po półgodzinnym spacerze po śródmieściu Edna zaproponowała nagle powrót do domu. Na nic specjalnego się nie uskarżała. Ból głowy, złe samopoczucie ludzie przepędzają tabletką aspiryny albo łykiem koniaku. Ale nie ona. U niej wszystko musi się zawsze zawalić. Toteż nie podejmował dyskusji.

Przecucia Edny i tym razem się sprawdziły.

Przed domem spotkali nadjeżdżającego na motocyklu doręczyciela telegramów, a z otwartych okien dochodziło uporczywe wydzwanianie telefonu. Jednostka Beris otrzymała drogą radiową wiadomość z prośbą o przekazanie jej dalej. Nadawca, pan Martin Strang, przybędzie nie do Brisbane, jak było umówione, lecz do Sydney. Beris przed paroma godzinami opuściła jednostkę. Państwo Gwynne zechcą przekazać córce tę wiadomość czy ma to zrobić jednostka? — pytała uprzejmie jej komendantka.

Telegram od Martina był mniej więcej tej samej treści. Nadany został przed piętnastoma minutami. W oszałamiającym tempie pracuje współczesna telekomunikacja, spostrzegł Tom. Podczas ubiegłej wojny list z Australii do Londynu szedł cztery miesiące, z Londynu do jego eskadry we Francji — nieledwie skok przez Kanał — miesiąc, kolejny miesiąc odlegiwał się w biurku cenzora i kiedy osiągał adresata, wszystkie ważne sprawy, o których donosił, traciły

zwykle aktualność. Niebywały rozwój. Istnieją jednak środki telekomunikacji jeszcze szybsze niż radio i telefon...

Tom zerknął ukradkiem na żonę. W jej dużych oczach czaiło się cierpienie. Starła się go nie uzewnętrzniać. Czując spojrzenie męża podniosła rękę, jakby zasłaniając się przed nadmiarem światła.

Przemierzając salon Tom chwycił się na tym, że mimo woli uległ nastrojowi żony, to przecież nie ma sensu. Beris jutro rano przybędzie do Brisbane i już na dworcu otrzyma wiadomość o zmianie destynacji statku — telegram wysłał, nie pozostaje nic innego, jak czekać. W gruncie rzeczy złe samopoczucie żony bierze się stąd, że wciąż nie może się pozbyć uprzedzeń do chłopaka Beris. A małżeństwo córki stanie się przecież wkrótce faktem

Martin przyglądał się krwawomiodzianej tarczy słońca dotykającego już horyzontu. Orgia kolorów gasnącego dnia fascynowała go zawsze, ale teraz nie zwracał na nią uwagi. Był wściekły. Z tych wiecznych zmian terminów Beris może wyciągnąć niewłaściwe wnioski. Jeszcze wczoraj dokładał starań, aby statek wyszedł w morze jak najszybciej, wyklócał się z dokerami o każdą minutę przeciągania załadunku — daremne wysiłki, jak się okazało. Nic nie obchodzili go kanonierzy zabawiający się znowu jak dzieci, biel brzuchów umykających przed statkiem dwóch wielkich żółwi, różne zwierzaki morskie widoczne jak na dłoni w podświetlonej pod kątem ostrym, przejrzystej wodzie, stojący przy sterze Alan, z którym zwykle wymieniał kilka słów, ani leżący ospale na wiatrochronie Oswald. Jeszcze parę minut i Alan pójdzie na „oko”, Oswald — do koła; mając go pod ręką nie da mu w ciemności usnąć. Nagle wachtowy chwycił się za pierś i jak trafiony gromem, bez słowa, runął na pokład. Serce! pomyślał Martin. Pobiegł na skrzydło pomostu i stanął jak wryty.

— Torpeda! — wrzasnął. — Ster prawo na burt!

Szarpnął za manetkę telegrafu. Cała wstecz! Podwójna! Alan zakręcił kołem sterowym do oporu w prawo, ale to nie mogło już niczego zmienić: strzelisty kształt torpedy, mierzącej w śródkręcie, dzieliło od statku kilkadziesiąt jardów.

Martin zdążył dowlec nieprzytomnego Oswalda do sterówki, gdy ogłuszająca eksplozja rzuciła nim w masę pękających blach Wszystko, co jego umysł zdołał zarejestrować, to oślepiający wybuch słońca tuż za śródkręciem — w maszynowni; wirujące w powietrzu ściany sterówki, płyty burt, ludzkie strzepy. Potężne uderzenie w głowę zamroczyło go. Przywalony dachem sterówki pomyślał jeszcze, że do rozdartego wnętrza statku wlewa się Niagara wody, że drewniane nadbudówki stanęły w ogniu, że kiedy płomień dosięgną beczek z benzyną lotniczą na międzypokładzie trzeciej ładowni, nastąpi wybuch, który całą tę oszalałą konstrukcję rozniesie w drzazgi.

Ludzie w maszynowni i palacze zginęli — to świadomość jego zarejestrowała. Wśród jęków i wycia rozróżnił normalne głosy. Ktoś krzychał o zniszczonych szalupach ratunkowych, ktoś inny nawoływał do opuszczenia statku, do skakania za burte, jeszcze inny głos, Alana, zatrzymywał uciekających. — Do roboty — wołał — bo strzelam! — Tupot nóg nie ustawał. Rozległ się strzał, głuche uderzenie padającego ciała i znów głos Alana: — Stać, skurwysyny, bo rozwalę! Tam leży Pierwszy! — Żar dławił Marina. Jeżeli, rejestrował jego mózg, nie dostanę szybko powietrza, koniec ze mną. Nie odczuwał ran ani smażenia się pod płonącym dachem sterówki. Jego system nerwowy informował go o tym inaczej. To piekielne gorąco... Ta duszność... Brisbane jest stanowczo za upalne, palmy przed niczym nie chronią. Pojedziemy do Torquay zobaczyć się z moją matką, z Florence... Jak ty, dziewczyno, wyrosłaś! Piękna jest ona, prawda? I to światło... Beris, więcej! Więcej!...

— Obudź się! — Alan potrząsał nim. — Szybko, bo toniemy.

— Ca z Dudem? Francisem? — były pierwsze słowa Martina. Cały w oparzelinach wyszarpnął się z rąk sternika. — Co z Dudem?

Nie czekając na odpowiedź skoczył w czeluść poskręcane go żelastwa. Po drodze ręce jego chwyciły walający się dziennik okrętowy i wcisnęły za pasek. — To nie ma sensu! Toniemy! Zginiesz! — wołał za nim Alan.

W wyrwie w ścianie rupieciarni leżał bez ruchu Dud. Tymczasem woda wdzierła się z bulgotem na zdemolowany pokład kapitański, w mgnieniu oka pięła się do iluminatorów. Dud Nihoun ważył tysiąc ton. Martin chwycił go za ramiona i szarpnął w górę, ale Dud przybrał na wadze jeszcze tysiąc ton — o tysiąc ponad siły Martina. — Boże, pomóż! — jęknął. Wpełzając pod bezwładny wór rejestrował chłodno, że statek kładzie się nie na lewą, lecz na prawą burtę, że przekleństwa, wycia, tupot nóg cichną; że jeszcze chwila, a to, co było pokładem kapitańskim, zamieni się w pułapkę bez wyjścia. Nie chciał zginąć. W alei dzakarand czeka na ratunek dziewczyna. Potop odciął jej wszystkie drogi, pochłania kontynenty, ale choćby świat miał stanąć na głowie, on dziewczynę musi ocalić! Ze zwierzęcym zacietrzewieniem parł z milionem ton na plecach ku jasności w górze, aż jakaś obręcz zacisnęła się na jego ramienia i wydzwignęła go z topieli.

Z pokładu łodziowego rozpościerał się widok oglądany na Atlantyku wiele razy: trzepotanie rąk o wodę, wołania o pomoc, nieskończony bezmiar oceanu z przyglądającym się temu obojętnie słońcem. Jeszcze chwila, a cało to nieszczęście spowije całun wieczności i zapadnie cisza.

Rozzerwany statek z flagą na maszcie, targaną podmuchami płomieni, wbrew wszelkim prawem nic zamierzał iść na dno. Stary „Golden Creek” nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Chyląc się na burtę obwieszczal przyczajonemu w głębi wrogowi, że choć śmiertelnie raniony, gotów jest do ostatecznego zwarcie. Tylko uważajcie na te cholerne rzeczy! — przestrzegł swoich ostatnich kompanów. — Trzymajcie i lizaki ognia z dala ode mnie, bo nie gwarantuję...

— Skaczemy! — krzyknął Alan. — Zostaw go, on już gotów!

Martin zdawał się nie dostrzegać niebezpieczeństwa. Otwartą ranę na plecach kapitana, z której wygląda cała płachta płuca, owinał opatrunkiem z koszuli, obojętny na wszystko, co się wokół niego rozgrywa. Przyglądając się temu, Alan zauważył, że ręce i głowę Martin na potwornie spalone, że żadna operacja plastyczna nie przywróci mu jego twarzy. Byłoby lepiej, gdyby zginął, przemknęło mu przez myśl. Przecież on już nigdy...

Ku ocalałym tratwom wiosłowało rozpaczliwie kilkanaście par rąk. Ocean, który dzielił je od zbawczych placków, obciążonych już rozbitkami, nie miał końca. Cały świat był wodą, wodą, wodą, wodą bez brzegu. Niedługo, myślał Alan, rozgorzeje tam walka na śmierć i życie o miejsce, o kawałek zwisającej linki. Zaraz potem zapadnie zmrok, a kiedy żarłacze wyczują krew...

Zrobiło mu się zimno. Wnętrze maszynowni zamienione w trupiarnię, rozerwany statek lada chwila rozpadnie się na dwie części — bez szansy utrzymania się na powierzchni oceanu, jeszcze sekunda, a płomienie dosięgną beczek z benzyną lotniczą, gdy tymczasem Martin odstawia egzamin ze skróconego kursu sanitarnego...

Całą mocą swych muskularnych ramion wypchnął go przez reling, wziął na siebie bezwładnego kapitana i rzucił się z nim za burtę. — Uciekamy! — komenderował z wody. — Zaraz wystrzeli benzyna... Potem kotły... Szybciej!

Pracowali ze wszystkich sił. Ku tratwom nie było co płynąć. Rozglądając się za drewnianymi szczątkami statku, Alan spostrzegł z przerażeniem, że jego towarzysz jest bez kapoka. Również wielu innych rozbitków — także otyły sierżant artylerii — płynęło bez kapoków. To nie potrwa długo, obliczał brutalnie trzeźwo doświadczony w tych sprawach sternik. Żeby tylko nie zgubić się przed zapadnięciem ciemności. Nie tracił nadziei, że kiedy statek pójdzie na dno, uwolnią się samoczynnie pneumatyczne tratwy; jakieś musiały jeszcze pozostać! Jeżeli nie spłonęły...

Dwie potężne eksplozje, złane w jedną, wstrząsnęły oceanem. To wybuchły kotły i benzyna. Kiedy Alan wypłynął na powierzchnię, w miejscu, gdzie stał płonący wrak, wrzała pusta kipiela, a sto metrów dalej wyłaniał się z wody kiosk okrętu podwodnego.

— To ten skurwysyn! — wrzasnął Alan. — Ale nie mamy wyboru!

Z tratw dobiegły okrzyki radości. Okręt był duży, miejsca dla rozbitków powinno być dosyć.

Alan zapomniał o nienawiści do Japończyków — koniec wojny bliski. Pomagał swemu słabnącemu towarzyszowi hodować bezwładnego kapitana. — Już niedługo, Mart! Tylko do tej cholernej burty! — posapywał; takiego olbrzyma jeszcze nie miał.

Dopiero pod burtą spostrzegł swoją pomyłkę. To nie był japoński okręt podwodny. Na kiosku, z którego wsypywali się marynarze, widniał napis: U-1852... Załoga pokładowa rozstawiała się wzdłuż relingów z pistoletami gotowymi do strzału... Zza pasów marynarzy wystawały trzonki niemieckich granatów ręcznych... Obsługa działka szybkostrzelnego kierowała lufę w nadpływających rozbitków...

— Gdzie jest kapitan? — wywoływał przez tubę dowódca u-boota w bezbłędnej angielszczyźnie. — Kapitana! Dawać kapitana!

Sierżanta artylerii, który próbował wdrapać się na pokład, odepchnięto bosakiem od relingu.

— Kapitana! wołano przez tubę. — Szybko!

— Tu! — krzyknął Alan. — Kapitan i pierwszy oficer statku! Obaj są ciężko ranni!

— Podpływać! Szybko! Dawać go tu!

Za pomocą bosaków wciągnięto na pokład prawie nagie ciało. Jeden z oficerów pochylił się nad nim. Gestem lekarza sprawdził tętno, zajął w nieruchome oczy i — tak! Alan widział to dokładnie — wykopał je za burtę. Przeszukał mu najpierw kieszenie spodni i, niczego nie znalazłszy, zepchnął go nogą w wodę... — Die Schweinehunde haben uns verhöhnt. Er ist schon fertig!*

Bosaki wyciągnęły się hakami po Martina. Dowódca okrętu kołysał się niecierpliwie na rozstawionych nogach. Z pluskających wokół rozbitków przenieś wzrok na znikające słońce. — Szybciej! Szybciej! — ponaglał marynarzy. — Are you the mate? — spytał. Wyszarpnął wystający Martinowi zza pasa dziennik okrętowy. — Parowiec „Golden Creek” — czytał głośno — port macierzysty Seattle, pojemność 2867 ton; nośność 4927 ton; załadowany rudą niklu; destynacja Brisbane. W porządku”

Kiwnął palcem w czarnej rękawiczce na stojącego pod kioskiem oficera z dystynkcjami głównego mechanika.

— Proszę go zastrzelić! — rozkazał.

— „Zastrzelić!” — tak Alan usłyszał. Zastrzelić bezbronny, straszliwie popalony Martin...

Trzepot rąk o wodę, błagania o pomoc, płacz sierżanta artylerzysty, przekleństwa tonących, nic nie uchodzi jego uszom. — Proszę go zastrzelić! — powtórzy! tamten.

Niewiarygodny teatr. Majaki: Wynurzony kadłub wielkiego okrętu podwodnego... Lufy pistoletów maszynowych... Ładowanie działka szybkostrzelnego... Ten spod kiosku z dystynkcjami głównego mechanika, wzrostem równy Martinowi, stoi pod kioskiem, jak stał. Jak gdyby nie do niego.

— Wykonać rozkaz! — krzyczy dowódca okrętu. — Zrozumiano?

Ton z dystynkcjami głównego mechanika zakłada ręce do tyłu. Robi to ociężale, jak gdyby pisał się na szafot.

— Bardzo mi przykro — prostuje się — ale moje miejsce podczas wynurzenia okrętu jest w maszynowni. — Ludzie wyciągają ramiona do relingu burtowego, ktoś wrzeszczy o rekinach, inny błaga o litość, a ten z dystynkcjami mechanika salutuje jak na honorowej odprawie warty: — Herr Fregattenkapitan, pozwoli pan, że się odmelduję.

* Te świnię sobie z nas zadrwiły. To już trup (niem.). Pan jest pierwszym oficerem? (ang.).

Robi w tył zwrot — nic go nie obchodzi mina dowódcy — znika w kiosku.

To już nie teatr, to na jawie. Odmowa wykonania rozkazu, Alan wie, co to znaczy.

— Wróć, rozkazałem go zastrzelić! — krzyczy dowódca u-boota w próżnię po mechaniku. — To był rozkaz!

Alan nic z tego nie rozumiał. Język niemiecki znał, ale ta akcja...

Wszystko, co potem nastąpiło, Alin odbierał jako makabryczny majak. Skręcający się z bólu Martin z wypaloną twarzą zadartą w niebo; dowódca okrętu rozkazuje sprowadzić tego z dystynkcjami na pokład; kontredans marynarza włączającego do wnętrza kiosku i wracającego bez mechanika, znowu w dół i na górę, w dół i na górę, meldującego, że Herr Leitende Ingenieur odmawia pozostawienia maszynowni bez nadzoru. Wreszcie finał: dowódca okrętu rozkazuje marynarzowi zastrzelić oficera w wypadku kolejnej odmowy powrotu na pokład.

Sprowadzonemu pod broń mechanikowi dowódca u-boota wciska w rękę czyjś pistolet, zarazem wyciąga swój i na oczami załogi oraz rozbitków daje mu trzy sekundy na wykonanie rozkazu.

Z pistoletem przystawionym do skroni swego głównego mechanika zaczyna liczyć: — Jeden... dwa...

— Mordercy! — wrzasnął Alan. Zachłysnął się wodą. — Zbrodniarze! Przekłęci zbrodniarze, zawiśnięcie...

Strzały z pistoletów maszynowych ugodziły jego i Martina. Jednocześnie otworzono ogień do rozbitków w wodzie. Strzelano krótkimi seriami z wszystkich luf. Działko szybkostrzelne zajęło się ludźmi na ocalałych tratwach. Zapadła gwałtowna noc — tak się Alanowi zdawało. W ustach poczuł smak miodu. To był miód, nie siarka. Na pewno miód, rozpoznała świadomość Alana i tak jak zapałka na wietrze — zgasła.

Ręka dowódcy u-boota opadła. Uzbrojeni marynarze wskoczyli do spuszczonej na wodę tratwę gumowych. Jedni strzelali w głowę, w piersi, w plecy — co wystawało z wody — dobijali rozbitków, inni ściągali z trupów kamizelki ratunkowe. Robole ich oświecała resztką tarczy słonecznej; uwijali się jak w ukropie. — Szybciej! Szybciej! — wołał oficer, który badał ciało Dudleya Nihouna. W jedyną kołyszącą się jeszcze tratwę rzucił granat. Szarpnął zawleczkę i — żeby nie odrzucono go z powrotem — odbezpieczony przytrzymał dwie sekundy. Operacja usuwania świadków oraz dowodów zbrodni przebiegała jak w zegarku. Po rozbitkach zajęto się wyławianiem oznakowanych nazwą statku kół ratunkowych. Dowódca okrętu, omiatając z pokładu lornetką pobojuwisko, kierował tym osobiście. Rychło nie pozostało na powierzchni oceanu nic, co by świadczyło o tragedii, jaka się tu rozegrała.

Cios był dobrze wymierzony. Torpeda rozsadziła maszynownię wraz z nadbudówkami i radiostacją. Nie zdołano nadać SOS, podać pozycji statku. Samoloty rozpoznawcze, które jutro rozpoczną poszukiwania, nie dostrzegą nic godnego uwagi.

W zapadających ciemnościach pojawiły się trójkaty płetw — grabarze mórz już zbiegali się na swoją ucztę.

— Akcja skończona! — ogłosił przez tubę dowódca U-1852. — Wracać! Szybciej, nie marudzić!

ROZDZIAŁ II

— „Golden Creek” — komandor McGovern zaczął od odtworzenia trasy zaginionego statku — opuścił Noumeę wczoraj o szóstej rano, wyjście przez trudną nawigacyjnie strefę raf przybrzeżnych zajęło mu około czterech godzin i o dziesiątej wszedł na swój kurs, którym podążał bez zakłóceń aż do momentu otrzymania zmiany destynacji; chwilę potem patrolująca ten obszar catalina widniała go już na nowym kursie. To są ostatnie informacje o tym statku. Nawigacyjnych niebezpieczeństw, takich jak rafy, sztormy, na jego dalszej trasie nie było. Od paru tygodni Pacyfik z Australią włącznie znajduje się w obszarze wysokiego ciśnienia, widzialność jest idealna, statek, nawet w wypadku awarii radiostacji pokładowej winien być przez poszukujące go samoloty już wykryty. Zakładając, że nic tragicznego się nie wydarzyło, to z punktu, gdzie wczoraj statek był zauważony, winien obecnie być... — czubek kija przyłgął do mapy rozwieszanej na ścianie — gdzieś tu.

Zadzwoił telefon. Komandor Kenneth Wall z wywiadu marynarki przyglądał się ze swego miejsca przy stole, jak McGovern odkłada kij i przyciska słuchawkę do ucha. Choć jego pościągła, opanowana twarz niczego nie zdradzała, komandor domyślił się, skąd telefonowano i co donoszono. Była druga po południu.

— Poszukiwania nadzoru powietrznego trwają nadal. Spenetrowano całą trasę, jaką od ostatniego kontaktu statek winien był zrobić. Do akcji włączono wszystkie jednostki znajdujące się na tym kursie — powtórzył potem McGovern, potwierdzając domysły Walla.

Było to oczywiste. Włączenie statków do akcji poszukiwawczej to rutyna. Od osiemnastego dnia wczorajszego upłynęło dwadzieścia godzin. Przy nie zmienionej prędkości — awarię maszyny należy wykluczyć, gdyż statek tkwiłby niedaleko od punktu, gdzie został dostrzeżony — „Golden Creek” winien był zrobić nie więcej niż sto czterdzieści mil, pół godziny lotu cataliny. Samowolna zmiana kursu — dedukował Wall — odpada: brak przyczyny. Penetrowanie oceanu trwa już siedem godzin. Biorą w tym udział: eskadra catalin, flotylla szybkich kontrtorpedowców, sześć znajdujących się na tym kursie statków handlowych — w sumie armada powietrzno-morska, która na tej niedużej przestrzeni mogłaby znaleźć igłę. Toteż nasuwało się nieodparcie pytanie, które zadał:

— A jeśli statek zatonął?

McGovern niechętnie odstępował od szczegółowej analizy wszystkich wariantów, a założeń skrajnych wołał nie brać pod uwagę.

— Jak długo akcja poszukiwawcza trwa, zawsze istnieje szansa, że da pomyślne rezultaty.

— Nie sądzi pan, że upłynęło już dosyć czasu? Do przeczesania został skrawek pustego oceanu — rozumował chłodno Wall. — Buszują tam od rana cataliny, okręty wyposażone w radar. Widzialność jest doskonała, z kabiny samolotu dostrzec można pojedynczego rekina, a co dopiero duży statek z ogonem śladu torowego... Trasę statku samoloty przeleciały już z pewnością wiele razy, sfotografowały każdy jej cal, zdjęcia zdążono odczytać. No więc? Podtrzymuję moje pytanie — dodał.

McGovern spojrział wyczekująco na przewodniczącego posiedzenia, kontradmirała Sleigha. Z milczenia najstarszego na sali oficera wywnioskował to samo, co drażyło go od chwili odebrania wiadomości o zaginięciu statku.

— Przyznam, że sprawa nurtuje mnie od początku — zaczął — gdyż wody te, od raf przybrzeżnych okalających Nową Kaledonię, uważamy za całkowicie bezpieczne. Ale zdarzyć się może wszystko. Co mogłoby być powodem zatonięcia? W rachubę wchodzi trzy przyczyny, ewentualnie cztery: miny, zderzenie z innym statkiem, wybuch kotła możliwy na parowcu. Wejście na minę wykluczam. Japońskie okręty wojenne nie zapuszczały się na ten akwen, a dla samolotów jest on niedostępny ze względu na oddalenie od baz; wykluczam również zderzenie z innym statkiem, gdyż nawet w wypadku zatonięcia obu byłoby dosyć czasu na wysłanie SOS; pozostaje trzecia przyczyna — kocioł. Wybuch, jeżeli maszynownia i kotłownia mieszczą się na śródkręciu, jak to ma miejsce na „Golden Creeku”, mógł spowodować przełamanie i zatopienie statku w ciągu minuty, jeżeli nie paru sekund. Tą czwartą przyczyną mogłoby być storpedowanie.

— Tę ja wykluczam — odezwał się Sleigh.

Spojrzenia wszystkich zawisły z zaciekawieniem na jego twarzy.

— Mówię teoretycznie, panie kontradmirał ..

Sleigh był autorytetem w strategii przeciwpodwodnej. I wiedział, że ostatni japoński okręt podwodny przepędzony został z tych wód jesienią ubiegłego roku. Od tego czasu morza Korolowe i Tasmanckie stały się bezpieczne dla żeglugi.

— Storpedowanie uwalam za całkowicie wykluczone! — powtórzył stanowczo.

Wall nie miał podstaw do podważania logo oświadczenia. Ale wobec tego gdzie się podział „Golden Creek”? Siatki nie ulatniają się jak kamfora. Tonąc pozostawiają po sobie ślad. Na pokładzie każdego frachtowca jest mnóstwo rzeczy niezatapialnych - deski sztauerskie, beczki, nie mówiąc o tratwach ratunkowych; im starcze pudło, brudniejsze, tym bardziej zagracone. Chyba że przed zatonięciem doszczętnie spłonął. Momentalnie stanął w ogniu od

dziobu do rufy. Ale taki pożar nie mógłby być dziełem przypadku. A załoga?

Przebieg zdarzenia można sobie wyobrazić. Rzecz rozegrała się nocą. Zmęczeni upałem i nudą ludzie śpią. Ktoś z załogi, mając jakiś po temu motyw, wymyka się chyłkiem z koi, rygluje od zewnątrz kajuty, za pomocą noża rozprawia się z wachtą na mostku — scenariusz kiczowaty, ale możliwy, opanowanie statku przez jedną, dwie osoby jest technicznie prawdopodobne; potem granatem w beczki z benzyną lotniczą, którą frachtowiec ma na pokładzie, i gotowe. Makabryczny fajerwerk. Niemiecki „Bismarck” zrobił taki fajerwerk z pancernika „Hood”, dumy Royal Navy, a mimo to paru marynarzy statku ocalało. A tu nic. Zbrodnia doskonała popełniona na dużym statku wraz z załogą. Pozostaje pytanie: co ze zbrodniarzem?

— Istnieje możliwość — referował McGovern, rzecznik prasowy Admiralicji, obdarzony szóstym zmysłem przewidywania — w obecnym układzie sił stron walczących najmniej prawdopodobna: przejęcie statku przez wroga i zmiana kursu. Wzięliśmy to pod uwagę, lotnictwo spenetrowało akweny oceanu w kierunku na Nowe Hebrydy i Fidzi...

Choraągiewki wbite w mapę na ścianie znaczą straty statków handlowych, jakie ponieśli sprzymierzeni w początkowej fazie wojny.

— Na zachodzie Pacyfiku — ciągnie Admiralicja ustami swego sztabowego przedstawiciela — japońskich okrętów podwodnych nie ma. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy nie został tu zatopiony ani jeden frachtowiec.

— A niemieckich? — spytał jeden z młodszych oficerów McGovern obrzucił go zdziwionym wzrokiem.

— Pan chyba nie mówi poważnie... Młody oficer stracił pewność siebie.

— No... wojna jeszcze się nie skończyła, a Niemców stać na niejedno. Operując z Penangu zadali nam na Oceanie Indyjskim dotkliwe straty.

— To przeszłość. Wszystkie okręty, które operowały z tej bazy, zostały zatopione. System eskortowanych konwojów i nadzór lotniczy uporały się z nimi tak sarno jak na Atlantyku. U-bootwaffe jako siłą praktycznie nie istnieje. Jej bazy we Francji są w rękach sprzymierzonych, koniec wojny w Europie bliski. Niemcy są wykończeni. Mamy informację o poufnym wyznaniu wielkiego admirała Doenitza, że jego broń przegrała swoją wojnę. A poza tym sprawa odległości. Żaden ze znanych typów u-bootów nie ma takiego zasięgu, natomiast zaopatrywanie z morza jest obecnie wykluczone.

— Chyba tak... to oczywiste... — bąkał młody oficer. — Przepraszam.

Spojrzał przepaszająco na swoich starszych kolegów i schronił twarz w obłoku dymu z papierosa. Wallowi zrobiło się go żal.

— A pańskim zdaniem, kontradmirał? — rzucił zaczepnie.

— Czy może pan z równym przekonaniem, jak poprzednio mówił pan o Japończykach, wykluczyć obecność okrętów niemieckich?

— Mamy wszelkie podstawy do przyjęcia takiego założenia — usłyszał. — Jeśli to pana zadawała?

Wall uśmiechnął się niewyraźnie.

— Powiedział pan „założenie”, a to nie to samo, co pewność... Wywołał tym nieoczekiwaną reakcję.

— A czy pan — odwrócił pytanie kontradmirał — ma podstawy do wysuwania innego wniosku? — Energicznie podniósł się z fotela. — Jeżeli jako szef sekcji wywiadu marynarki ma pan w tym względzie inne informacje, o których ja z kolei nic nie wiem, to będę zmuszony podać się do dymisji.

Wall takiej riposty nie oczekiwał. Istotnie, od dłuższego czasu wywiad nie otrzymuje meldunków o obecności niemieckiej u-bootwaffe na Oceanie Indyjskim ani na Pacyfiku. Przeprószył kontradmirała.

A więc zagadka, jedna z wielu, jakie się zdarzają podczas każdej wojny. Nie ma statku, nie ma ludzi, nie ma śladów. Równanie z samymi niewiadomymi.

Przed sześcioma tygodniami na południowo-zachodnich wodach Australii w podobny sposób

zaginął frachtowiec zmierzający z Adelaide do Kapsztadu. Miesiąc później dwa tysiąca mil na wschód od miejsca zaginięcia owego statku rozpląnął się jak we mgle drugi statek, teraz trzeci. Co cztery tygodnie jeden — zadziwiająca regularność.

Dalsza część codziennej odprawy nie interesowała Walla. Poruszano same oczywistości. Wojna na wysokich szczeblach dowodzenia to jak zabawa w łowiane żołnierzyki. Odmeldował się.

Na dworze panował nieznośny jak na październik upał. Całą Australię zalewało nie notowane od lat gorąco. W rozpalonych blachach samochodu nie było czym oddychać. Wall włączył bieg i ze spuszczonej na przestrzał szybami pomknął z dużą prędkością do Double Bay — najpiękniejszej dzielnicy Sydney.

Dom doktora Jacka Masona zrobił na Wallu duże wrażenie. Stojący na występie skalnego brzegu Parramatty dawał wgląd w szeroko rozlane ujście rzeki aż po ocean.

Zbudowany w stylu wiktoriańsko-kalifornijskim wyróżniał się spośród innych przestrzennością. Palmy kokosowe, dzakarandy, akacje, mnóstwo kwiatów w ogrodzie, basen kąpielowy wyłożony seledynowym marmurem dopełniały całości obrazu. Imponującego nawet jak na tę ekskluzywną dzielnicę. Rozgłos książki Jacka „Rekiny — mity i prawda”, a nade wszystko wpływy z jej wydań w Ameryce zostały właściwie wykorzystane, stwierdził z podziwem komandor Kenneth Wall.

— Whisky, martini, zimne piwo? — padło spod dobrze zaopatrzonego baru.

Wall oderwał się od oglądania wytwornie urządzonego salonu, pozostałości po poprzednim właścicielu.

— Dla mnie zimne piwo... Albo nie — zmienił zdanie — małą whisky z lodem, dobrze mi to robi.

Nagła przeprowadzka Jacka była dla niego zaskoczeniem. Co mogło być przyczyną tej decyzji? zastanawiał się w duchu. Kobieta? Nigdy nie widział przy nim żadnej kobiety, nigdy też na ten temat ze sobą nie rozmawiali. Teraz również nie wyglądał na zakochanego.

Obserwował go, jak z namysłem napełnia szklanki. Dzisiaj wszyscy ludzie sprawiają wrażenie czymś zafrasowanych, pomyślał. On nie jest wyjątkiem.

— Już od dłuższego czasu rozglądałem się za nabyciem czegoś w tej części kraju — odezwał się wolno Jack Mason. — Brisbane z pewnych względów mi nie odpowiadało, a ponieważ właściciel tej przyjemnej posesji przepadał za gorącym...

Ujął swego gościa pod ramię i poprowadził go na taras.

— Przyjrzyj się temu bajecznemu widokowi. Szmaragdową w słońcu płachtę rzeki przecinał Most Portowy

spinający wysokim łukiem śródmieście z północną, rzadziej zabudowaną częścią miasta. U nabrzeży portu krzątania przy przeładunku statków. Praca wrzała także na licznych, stojących na kotwicy z dala od nabrzeży okrętach wojennych, wśród których dominował pokład wielkiego lotniskowca amerykańskiego. Wokół niego, jak na straży, rozstawiły się okręty eskortowe. Te stalowe kolosy pomalowane w szaro-zielone zygzaki psuły piękno krajobrazu. Straszna masa stali. Dziewięćset mil na wschód od tego lotniskowca, na pustkowiu tej szmaragdowej wody, na której według zapewnień kontradmirała Sleigha włos nikomu z głowy nie może spaść, me zauważony przez samoloty nadzoru powietrznego zniknął statek handlowy. Trzeci z kolei. Rozpląnął się jak we mgle. Z ładunkiem, załogą, z wszystkim. Nie posyłając w eter przed swoją zgubą ani jednego słowa. Co sądzi o tym wysoki przedstawiciel Australijskiej Królewskiej Marynarki? — Wall rozwijał w myślach swój niewydarzony pojedynek z kontradmirałem.

„Co sądzi?”

„Że w naturze nic nie ginie — to najogólniej. Statek składa się z części zatapialnych i niezatapialnych. W najgorszym wypadku coś musi się znaleźć. Prędzej czy później ocean wypłuje coś z siebie. Czekać. Cudów nie ma”.

„Czekać na kolejną ofiarę?”

„Nie pozostaje nam nic innego. Na ofiarę lub przypadek, który da nam nić prowadzącą do

kłębka. Ale my, zdaje się, mylimy role: rozsypywanie zagadek wojennych to pańska specjalność, komandorze. Jeżeli się oczywiście nie mylę...”

„Niewątpliwie, panie kontradmirał. Dziękuję Dowództwu Nadzoru — Obszar Pacyfik Zachodni za dostarczenie nam zajęcia...”

Typowa wymiana zdań między australijskimi dżentelmenami z brytyjską zasadniczością i angielskim poczuciem humoru. Interesująca! Ze starym, dumnym Sleighem zawsze tak, wywiad nie miał do niego szczęścia.

Wall powrócił myślami do obrazu rozpościerającego się przed nim z tarasu nowej rezydencji Jacka Masona, chirurga słynnego ze zręcznej ręki i ciekawego pióra, jakim napisał swoją głośną książkę o rekinach. Patrząc na rozlaną rzekę, na kipieli zieleni porastającej wzgórze przeciwległego brzegu, na bezkres rozlanego za zatoką oceanu, doznawał uczucia dziwnej lekkości, niemal szczęścia. Podniósł wzrok na Jacka, którego wygląd świadczył o wręcz odmiennym stanie ducha.

O jego przeprowadzce do Sydney dowiedział się przed kilkoma godzinami. — Nie jestem jeszcze urządzony, to wymaga czasu — tłumaczył się przez telefon Jack — ale przyjdź, chcę się z tobą zobaczyć. Upłynęło tyle lat...

Dokładnie cztery. Japończycy błyskawicznie zajęli Azję południowo-wschodnią, jednym uderzeniem zdobyli najsilniejszą twierdzę świata — Singapur, niepowstrzymanie parli ku Oceanii. Przed czterema laty wysadzili desant na Wyspach Salomona. Od brzegów Australii dzielił ich tylko skok przez Morze Koralowe. Pół roku później ciężko raimy, wstrząsany atakami malarii tropikalnej Wall znalazł się w rękach chirurga szpitala w Bristone, doktora Jacka Masona.

— Rzeczywiście bajeczny — przyznał Wall. — Jak wszystko w tej części miasta. Ale co się tam dzieje?

Z masztów kilkunastu żaglówek, znajdujących się na środku ujścia rzeki, zwisały sflaczałe płótna. Przerazliwie czyste niebo, jakie od tygodni wisiało nad Nową Południową Walią, nie obiecywało nawet chuchnięcia wiatru. Młodzi żeglarze, marynarze z amerykańskich okrętów wojennych, dokazywali w wodzie. Nagle rozległy się krzyki, nawoływania, odgłos szybko poruszanych wiosł. Pływacy błyskawicznym crawllem zdążyli do łodzi.

— Co się tam stało?

Mason zdjął okulary i przyłożył lornetkę do oczu.

— To... chyba... — Regulował ostrość szkiele. — Ależ tak! Powinni zostawić go w spokoju.

— Kogo?

Mason podał przyjacielowi lornetkę. — Widzisz ten długi cień posuwający się między łodziami w górę rzeki? To rekin, spora sztuka. Ci chłopcy zachowują się nierozsądnie!

Strzał oddany do cienia z pokładu najbliższego kontrtorpedowca rozpętał karabinową palbę. Mason knocił ze zgorznięciem głową.

— Widzisz — zaczął. — Dźwięk przetwarza się w wodzie na sygnały elektryczne. Rekiny są bardzo wrażliwe na te sygnały. Przechwytyują je w znacznym oddaleniu od źródła emisji. Sygnały o zmieniającej się długości informują je o miejscu znajdowania się pokarmu, naprowadzają je na nie. Problem ochrony człowieka przed rekinami nabrał obecnie dużego znaczenia. Wojna z Japonią toczy się właściwie na oceanio, który dla marynarzy zatopionych okrętów, dla zestrzelonych lotników jest wrogiem bardziej niebezpiecznym niż żywy nieprzyjaciel. Ziemia daje rannemu człowiekowi schronienie, szansę przeżycia; woda jest zapadnią bez wyjścia. No i ten strach przed rekinami. Jest ich w oceanie istotnie dużo. W wodach australijskich żyje około dziewięćdziesięciu gatunków, z których jędrnie tylko nieliczne są ludojadami. Ale strach działa przeciwko człowiekowi. Zresztą nie ma się co dziwić. Do podstawowego wyszkolenia bojowego walczących na Pacyfiku zaliczono ochronę przed rekinami. Uzbrajając lotnika w spadochron, kamizelkę ratunkową, wyposażono go także w środki chemiczne odpędzające rzekomo rekiny.

Oczywiście — ciągnął Mason — reakcje rekinów wyzwała określona sytuacja. Na to nie mi rady. Jednak to, co ci młodzi ludzie wyrabiali, jest prowokowalnością.

Komandor Kenneth Wall nie słyszał już głosu przyjaciela. Był znowu studentem, płynął motorówką przez cieśninę Mercury, gdy nagle silnik zakrzuszył się i stanął. Na nic się nie zdały wysiłki starego motorzysty. Perspektywa nocowania w cieśninie — przy porywistych wiatrach w tej części wyspy — nie przedstawiała się zachęcająco. Woda była wyjątkowo spokojna, do przystani — nie dalej jak pół mili, więc Wall zdecydował się na sprowadzenie pomocy. Gotowego do skoku powstrzymał motorzystę — Widzisz tam?... — wskazał ręką na ocean.

Oko przybysza z zielonej Victorii nie dostrzeże w pofałdowanej powierzchni morza niczego podejrzanego; wody okalające wyspę rzadko są spokojne, ich kolor — rozmazany, głęboki błękit w świetle słońca i atramentowy granat, kiedy chmury zasnują niebo — nie zachęca do obserwacji. Tasmania, choć oddzielona od kontynentu wąską cieśniną, klimatycznie przypomina bardziej północną Szkocję niż słoneczną Oceanię; potrzeba dużej znajomości tutejszych warunków, aby w liźnięciu wiatru po lustrze wody doszukać się jakiegoś szczególnego znaczenia. Rozebrany do spodenek Wall wciąż jeszcze wpatrywał się w punkt wskazany przez motorzystę, już znów gładki, gdy nagle nie opodal łodzi wyłonił się ciemnobrązowy lemiesz olbrzymiej płetwy grzbietowej rekina; w tej samej chwili po przeciwnej stronie łodzi ukazała się druga płetwa i kilkadziesiąt jardów dalej — trzecia.

Motorzysta rzucił mu kamizelkę ratunkową. — Tylko bez nerwów — doradził spokojnie. — Nie wydziwiać, żadnych wygłupów, to białe rekiny! Monsters of the sea! Jeśliby wzięły naszą łupinę za odpoczywającego wieloryba...

Nie potrzebował kończyć. Monstra oceanów, „biała śmierć”, jak nazywali je ludzie, to rekiny najbardziej niebezpieczne. Przed laty głośno było na ich temat w Australii. Zdjęcia tych olbrzymów, zapędzających wieloryby pod harpuny Denisonów, obiegły wówczas cały świat. Było to wydarzenie niezwykle, dla naukowców niezrozumiałe. Grupa białych rekinów spędza wieloryby z otwartego oceanu do przystani należącej do rodziny Denisonów, odcina im odwrót, osacza ze wszystkich stron na niewielkiej przestrzeni, atakuje każdego próbującego ucieczki, aby z chwilą ubicia ostatniej sztuki przez uwijających się na łodziach ludzi zniknąć w bezmiarze oceanu. Jak gdyby odróżniały Denisonów od innych rybaków, upodobały ich sobie, jedynie ich spośród wielu. Przypadek świadomego działania? Wpływ szczególnych właściwości naturalnego środowiska? Kaprys natury? A może ryby te są bardziej inteligentne, niżeli nauka zakłada? Wielu wybitnym oceanologom wydarzenie to, powtarzające się co pewien czas, zabiło ćwieka w głowę.

Tymczasem Wall obserwował w napięciu, jak w niewielkiej odległości od motorówki pruły wodę trzy ogromne płetwy grzbietowe, za którymi pod powierzchnią pracował potężny ogon. Zamiast jednak ruszyć do ataku na domniemanego wieloryba, jeły krążyć wokół motorówki.

Nie czując chłodu przedwieczornej bryzy, jaka się nagle zerwała, Wall śledził w napięciu te manewry. Wszystkie jego wyobrażenia o tych żarłaczach nie dorównywały rzeczywistości: wielkie, groźne potwory; jedno uderzenie ogona, a wątła w porównaniu z nimi łódź zostałaby zgruchotana. Myśl o tym zmroziła mu krew w żyłach.

Słowa motorzysty, brzmiące i przestrogą, i naganą, ugodziły jego dumę. Uśmiechnął się lekceważąco. — A to ci przygoda! — Sięgnął do kieszeni po papierosy i zapalki. — Chyba nie zamierzamy sterczeć tu w nieskończoność, co? Zanoszą się — zadarł głowę na posepnijące chmury — na niezły wiatr, może nas zepchnąć na otwarty ocean... — Zaciągając się papierosem spostrzegł bosak podwieszony pod relingiem, zakończony pstrym szpikulcem. Gdyby któraś z płetw znalazła się bliżej, mógłby rzucić nim w bestię niczym oszczepem, bez obawy chybienia. Nie oczywiście takiemu olbrzymowi by nie zrobił, ale szpikuliec przebiłby może skórę i puścił krew. Woń krwi budzi w tych żarłaczach głód i instynkt łowczy — pożarłyby się nawzajem. W kabinie wisiał na haku wielkokalibrowy sztucer. Najczulszym ich miejscem jest głowa. Wystarczy spowodować w jakiś sposób, by wynurzyły się z wody, trafić w mały jak jajko mózg i gotowe.

Co się w tej kurzej mózgownicy dzieje? zastanawiał się, jakie decyzje tam zapadają? Te długie na trzydzieści stóp cielska — obliczał po wysokości płetw — wykonują ściśle

polecenia tego małego mózdzku. Otrzymały rozkaz: krążyć wokół tego „wieloryba”, więc krążą. Wszystkie trzy w jednakowych odstępach od siebie, idealnie zgrane — musi być wśród nich przywódca. I pewnie się naradzają, co dalej. A może łup nie wyda się im wart zachodu i chciały ich tylko nastraszyć? Ich pokarm — wieloryby — trzebi się na wyścigi.

A rekiny nadal odstawały swój zagadkowy taniec. Zdarzenie jak u Denisonów, z tą różnicą, że osaczonym wielorybem była ich unieruchomiona motorówka. Denerwująca sytuacja! Praktyczna umysłowość Walia brała górę nad strachem. Jak długo będą wyczekiwać bezczynnie? W przystani na brzegu nie było nikogo. Jej drugi mieszkaniec — syn motorzysty — przebywał w Hobart, miał wrócić następnego dnia. Do tego czasu, normalna rzecz w tej cieśninie, zniesie ich na otwarty ocean... W pilotówce była raketnica. Dlaczego motorzysta nie robi z niej użytku, ktoś mógłby przecież zauważyć flarę i sprowadzić pomoc. Można by też spróbować jakiegoś fortelu. Prasa podała niedawno wiadomość o uwolnieniu się z podobnego osaczenia samotnego żeglarza niedużego katamarana w okolicach Wielkiej Rify Koralowej, napastowanego przez rekiny: wyczerpawszy wszystkie środki, człowiek ten chlusnął w paszczę jednego z atakujących wiadro minii, zwykłej czerwonej minii do gruntowania kadłubów. Pozostałe rekiny rozszarpały tego oblanego i, syte, zostawiły katamaran w spokoju.

Małomówny motorzysta demonstracyjnie wkładał kamizelkę ratunkową. A więc ten stary wyga morski liczył się z możliwością... Czego? Wall jeszcze raz rozważył sytuację. Agresję rekinów wyzwała nie tylko woń zepsutego mięsa, krwi, lecz także gwałtowne ruchy znajdujących się w wodzie obiektów. A więc żadnej paniki. Gdyby co, to — wie o tym każdy mieszkaniec Australii — najspokojniej w świecie udawać zdrową, nie spłoszoną rybę, broń Boże nie stracić nerwów, tak jak mówił motorzysta. Wall przypomniał sobie, że czytał kiedyś, iż w brzuchu jednego rekina z rodzaju tygrysów znaleziono ćwiartkę wołu, skrzynię ananasów w puszkach, całego delfina, tabliczkę rejestracyjną amerykańskiej ciężarówki, kilka tuzinów tuńczyków i nie strawione ramię człowieka — motorówka dla takich głodomorów to zakąska.

Stary człowiek śledzący z rufy drogę płetw miał widać swoje powody, aby nie użyć raketnicy. Ma doświadczenie, pomyślał Wall, trzeba się zdać na niego. Co oznacza taniec tych rekinów? Muszą być stale w ruchu, to wiedział.

Nagle jedna płetwa zniknęła z toru wokół motorówki, potem druga i trzecia — jak na komendę. W tym momencie przypomniał sobie, że rekiny atakują zawsze z głębi wody. Łódź ze swym mieczem, widziana od dołu, może przypominać odpoczywającego wieloryba. Więc jednak! Chwycił się kurczowo za reling. Zamknął oczy. Nic, cisza. Ból rąk zaciśniętych na relingu. Nie zdawał sobie sprawy, ile czasu trwało, nim uchylił powieki.

Po rekinach nie było śladu. Motorzysta, już bez kamizelki ratunkowej, dłuubał przy silniku, który jak gdyby nigdy nic, zaskoczył za pierwszym pociągnięciem linki startera.

A więc rekiny. Pasjonujący temat. Dla doktora Jacka Masona, którego siostrę pożarły, życiowa zagadka do rozwiązania i posłanie odupiornienia tych zwierząt w oczach człowieka.

...Dotarł do niego głos Masona, który wrzucając lód do szklanki mówił:

— Na północny zachód od wyspy Lord Howe rybacy pojawiający tam tuńczyki wydobyli z wody zwłoki topielca. Zwłoki — Mason uniósł w górę brwi — za dużo powiedziane, właściwie resztki zwłok: górna część korpusu. Brak głowy i kończyn to sprawa żyjących tam mapolamia spallanzani; rekiny te są za małą aby się uporać z całym człowiekiem, stać je jedynie na odcięcie kończyn; brak natomiast dolnej części korpusu to robota carcharodon carcharias. Czas przebywania zwłok w wodzie — około sześciu tygodni. Szczątki należały do młodego, białego mężczyzny, tyle tylko można było stwierdzić. Dokonując sekcji, znalazłem w klatce piersiowej dwa pociski, a więc poległego w walce. Ale tutaj coś nie gra. Akwenem „białej śmierci” są w lecie wody Australii południowej, dopiero zimą wędruje na północ za migrującymi wielorybami. Jest to dla mnie niezrozumiałe. Przed sześcioma tygodniami rekinów tych nie powinno jeszcze być na tych wodach.

Ma też chłop zmartwienie, pomyślał Wall. Zerknął ukradkiem na zegarek. — No i?

— Nie zanudzam cię szczegółami? — spytał Mason.

— Nic podobnego! — zapewnił go Wall. Jack nie powinien był obierać sobie zawodu chirurga, ale kryminologa, myślał. Był pełen podziwu dla niego. Odróżniać szczęki jednego rekina od drugiego, przy masie różnych drapieżników żyjących w wodach australijskich... Wrócił myślami do przedpołudniowej narady. Czyżby zbyt pochopnie uznano, że japońska flota podwodna już nie istnieje? — Nic podobnego — powtórzył — to interesujący temat. Sam głowię się nad sprawą, w której te żarłaczce mogą mieć swój udział. Ale to... — Zatoczył wymijający krąg ręką.

— Rozumiem — wtrącił domyślnie Mason. Marynarka i rekiny — jaki to może mieć związek? Gdyby chodziło o delfiny, mógłby snuć domysły. Ich inteligencja jest przedmiotem badań naukowców. Odzywają się głosy na rzecz wstrzymania odłowu tych przyjaznych człowiekowi zwierząt i, jak we wszystkim, czego ludzkość się tknie — wykorzystania ich do celów wojskowych. Ale to inna sprawa.

Rzucił okiem przez rozsuniętą ścianę salonu na przyszczyżony trawnik, na mrowie jachtów przycumowanych wzdłuż brzegów Parramatty i na ułamek sekundy przeniósł się o pięćset mil na północ, do Brisbane. W przyszłym tygodniu odbędzie się tam ślub kobiety, którą kochał. Rozmawiając z nią przedwczoraj, nie mógł zdobyć się na złożenie jej życzeń. I nigdy Beris się nie dowie o jego uczuciach. Jego wina. Nie miał czasu na sprawy osobiste.

— Do żeńskiego hotelu marynarki? — spytał kierowca jednej z taksówek stojących przed dworcem, z którego wysypał się rój młodych ludzi w bluzach US Marines. — To po drugiej stronie rzeki, pani porucznik, promem byłoby taniej...

Usłużnie zaczął jej objaśniać, którędy do przystanku, gdzie trzeba wysiąść. Przyglądało się temu dwóch majtków amerykańskich. Czapka w kieszeni spodni, torba przerzucona przez ramię, w szczękach guma do żucia; nie sprawiali wrażenia spieszących się do wojaczki. — Fajna babka! — zauważył jeden. — Fantastyczne nogi!

Dziewczyna zmierzyła kierowcę chłodnym spojrzeniem, wsiadła, trzasnęła drzwiami i kazała jechać. Nie zwracała uwagi na jego paplaninę. Nigdy nie podejmowała, z fryzjerami, nie reagowała na nadgorliwości kelnerów obliczone na kieszeń gościa — wstrętny obyczaj, do niedawna tutaj nieznany. Ojciec ma rację. Amerykanie przynieśli ze sobą bakcyła cwaniactwa, podminowali stare obyczaje. Surowe — powiadają przybysze „z tamtej strony dużej wody”. Za wdepnięcie na czyjś trawnik można oberwać śrutem w tyłek, a jak się pomyli drzwi — zostać oskarżonym o napad. O poderwaniu kobiety na ulicy nie było tutaj mowy. Amerykanie chcą to wszystko zburzyć. Chwała Bogu, mówił ojciec, wojna nie jest wieczna i można będzie powrócić do starych porządków. Dla Australijczyków wcale nie za surowych.

Beris dużo myślała o nim podczas podróży. Silny człowiek, energia go rozsadza. Inny z jego kalectwem zamknąłby się w sobie. Przecież był pianistą... Jego wiara w siebie udzielała się otoczeniu. Z takich ludzi musieli się rekrutować zesłańcy, którzy na wątlých żaglowcach, w kajdanach, przetrwali odyseę przez oceany, aby w końcu postawić stopę na tym kontynencie. Psychicznie nie do zdarcia, fizycznie zdolni przenosić góry. Takimi, jak on zasiedlono Oceanię. Droga przez mękę ku szczęściu przyszłych pokoleń i tej części świata — tak on twierdzi. Martin w jakiś sposób był do niego podobny i może dlatego spodobał mu się ze zdjęcia. Matce nie, od razu znalazła w jego wyglądzie mnóstwo wad. Ale może z czasem się do niego przekona, pomyślała Beris.

Kwiaty w wazonie były prawie jak przed miesiącem, kiedy wyjeżdżała z domu. Betty też nic się nie zmieniła: włosy w naprędcie przed snem skręconych papilotach, nieprzytomnie zaspana i mimo nocy gotowa do zdania dokładnej relacji o swojej najnowszej miłości. Charles. Robi coś niezwykle ważnego w kwaterze głównej generała McArthura. Jest wysoki i... ach! — fikała radośnie gołymi nogami przygotowując kawę. Pobiorą się. Kiedy? Znają się dopiero trzy dni, ale Charlie myśli o czymś stałym. To bardzo poważny facet.

Mocna kawa zmyła z Beris zmęczenie długą podróżą. Od Grafton — połowa drogi — cały przedział miała dla siebie. Mogła zamknąć oczy i próbować zasnąć, ale za dużo myśli kłębi

się jej w głowie. Niecierpliwość. Wojna nadaje wszystkiemu przyspieszenia. Zwalnia hamulce, o których w normalnych czasach się nie myśli. Czyni „jutro”, „za tydzień”, „za rok” pojęciami niewyobrażalnie odległymi, nie do przyjęcia. Z korytarza słyszała głosy. Jakiś młody żołnierz rozmawiał z dziewczyną. Jest niecierpliwy. Jutro jego kompania przerzucona zostanie samolotami do Papui, gdzie toczą się zacięte walki, pojutrze on zaczai się w dżungli z karabinem maszynowym na oddział Japończyków. Dziewczyna mówi: wysiadajmy! Zaszyjemy się gdzieś na odludziu i cały świat będzie nasz! Nie dam cię wojnie!

Przez otwarte okna wlewał się przyjemny chłód znad zatoki. Na czarnej płachcie nocy pojawiły się dwie gwiazdki i, ledwie dostrzeżone, gasły: to latarnie morskie na wysepkach Bishops i Fishermana — bramie wyjazdowej do przystani spokoju. Za kilka dni zawinie tam statek, weźmie na pokład pilota i na wolnych obrotach śruby wślizgnie się w górę rzeki. Po długim rejsie przez ocean marynarze, którzy nie pełnią służby przy manewrze statku, oparci o reling śledzić będą cumowanie. Jak lina rzucona z dziobu kreśli w powietrzu łuk i... sięgnie czy nie? Tym razem sięgnie. Za pierwszym rzutem! Cumownicy założą pętlę na poler i — cal po calu — statek przyłgnie burtą do stałego brzegu.

A potem?

Była dziewiąta, gdy Betty zwolniła prysznic i zostawiając jej posłanie łóżek, ze szminką i lusterkiem w ręku — malowanie się na terenie hotelu zabronione! — wybiegła z pokoju. Pod zalaną słońcem bramą czekał na nią jeep z barczystym sierżantem wojsk amerykańskich przy kierownicy.

Cały dzień Beris miała dla siebie. Formalności: zameldowanie się w oddziale, przekazanie poczty z bazy Garden Islands, do czego stary Sleigh ją odkomenderował, zajęły jej w sumie me więcej niż kwadrans.

Komendantkę oddziału, kapitan Ronę Law, słowo „małżeństwo” wprawia w zły humor.

— Ślub odbędzie się w przyszły wtorek? Ach tak... Oddział życzy pannie porucznik wszystkiego najlepszego. Tymczasem proszę się rozgościć w swojej dawnej kwaterze i od jutra normalnie.

— Tak jest, panno kapitanie!

Zwykły dzień Rony Law składa się z ośmiu godzin służby i szesnastu samotności. Pierwszą połowę tej drugiej części dnia Rona siedzą na marszobiegach, jeździe konnej, pływaniu — wszystko w pojedynkę, drugą na zdrowym śnie.

Rony jest pigowata, wysoka i z daleka można ją wziąć za muskularnego mężczyznę. Choć kobiety w Australii są w zdecydowanej mniejszości, nikt jej w towarzystwie męskim jeszcze nie widział. W buszu pod Alice Springs, skąd Rony pochodzi, jest mnóstwo bydła, owiec, strusi emu, kangurów, których nadmiar regularnie się odstrzeliwuje. Gośćmi bywają tam traperzy przemierzający na wychudłych szkapach pustkowiec Północnego Terytorium, brodaci i żyłaści poszukiwacze opali. Pozostawiają po sobie wryte łopata głębokie jamy, kręte korytarze podziemne, w których potem gnieźdzą się „kolczaste diabły”, jadowite lizardy, czyhające na łaknący cienia łup. Ludzi jest tam mało. Pewnie dlatego Rony Law zostawiła pewnego dnia swoje bydło, owce, natarczywe kangury, chyża emu i wyruszyła daleko na wschód. Miała dość tamtego życia, ale czy to zaspokoilo jej potrzeby?

Uwaga, poszukiwacze szlachetnych kamieni! W oddziale Pomocniczej Służby Kobiet w Brisbane jest wyjątkowy okaz opalu! Znaleziony w buszu, zamieszkanym przez owce, bydło, kangury, emu, jadowite żmije, gdzie człowiek pojawia się tak rzadko jak deszcz, a deszcz spada tak często jak kometa z nieba. Dowództwo Floty w stolicy Słonecznego Stanu - ogłasza alarm: Poszukuje się reflektanta na opal! Samorodek nie oszlifowany jeszcze, który pod chropowatą powłoką chowa barwy, jakie można ujrzeć tylko o brzasku dnia na pustkowiec pod Alice Springs!

— Tak jest, panno kapitanie — powtórzyła zdetonowana nieco Beris. Pomimo zmęczenia nie przespaną nocą rozpierała ją radość, którą — jak jej się wydawało — powinni odczuwać wszyscy.

Kwaterna przywitała ją chłodno, jak kogoś obcego.

Betty pojechała z Charlesem do Toowoomba, by pokazać mu pola słoneczników, kukurydzy, pszenicy, obszarem nie mniejsze od farm-kolubryn w jego Teksasie. Są tam także plantacje winne, gaje orchidei, wszelkiego kwiecica, jakich w Teksasie z pewnością nie ma; Betty wie, czym kusić sierżanta do pozostania „po tej stronie dużej wody”.

Nie mając co robić, Beris pojechała autobusem do miasta. City ze swoimi wielkimi domami handlowymi i ciekawą architekturą, mosty rzucone przez szeroką rzekę pulsowały tętnem, jak zawsze od czasu przybycia tu Amerykanów, którzy swoją beztruską hałaśliwością dolali do krwiobiegu kraju jaskrawszych kolorów. Spędziła tu ostatnie dwa lata. Wrosła w to miasto, tak odmienne od jej rodzinnego Melbourne i chyba bliższe jej sercu. Tu zaczęło się jej dojrzałe życie. Gdy już miła dość chodzenia po ulicach, wstąpiła na kawę do Breakfast Creek Hotel, gdzie zjedli z Martinem swój pierwszy obiad, oraz do innego hotelu, gdzie stało się to, co przykuło ją do Martina nierozzerwalnie. Wyszła stamtąd z pestką w głowie, nie zwracając uwagi co się dzieje wokół. Tylko od czasu do czasu docierały do niej słowa: „Pani porucznik zechce uważać na przejściach!” „Hej, młoda damo, tu obowiązuje ruch lewostronny!” Weszła do domu handlowego, ekspedientki tak dziwnie jakoś na nią patrzyły. „Spinki do cywilnych koszul męskich? Krawaty?...” Jak gdyby obok niej stał ktoś jeszcze.

Wróciła do oddziału z pulsującymi skroniami, marząc tylko łóżku. Na drzwiach kwatery zastała kartkę od Rony Law wzywającą ją do odbioru z kancelarii telegramu. Pilnego.

Opuścił wspaniały nabytek Jacka Masona w nie najlepszym nastroju. Czuł jakiś niedosyt — rozmowa z przyjacielem nie tak powinna wyglądać. Nie dawał mu ponadto spokoju przegrany pojedynek z kontradmirałem. Ze Sleighem zawsze tak. Przysłuchuje się, myślami chyba buszując po oceanie, nad którego część sprawuje nadzór, aby naraz spaść na człowieka jak fregata. Sam go do tego zresztą sprowokował: japońskich okrętów podwodnych na obszarze zachodniego Pacyfiku nie ma. Od ponad roku wywiad nie słyszał o ich obecności, a o niemieckich nie może być mowy; niepotrzebnie wsparł wówczas tego młodzika.

Kasyno pobrzmiwało znanymi głosami. Tymi samymi od prawie trzech lat. Naczelne dowództwa poszczególnych broni są czymś w rodzaju rad nadzorczych wojny. Zasiadają w nich starsi Wiekiem dżentelmeni, których gwarancją bytu, czyli dobrze prosperującego biznesu, jest wzajemne zaufanie. Ludzie młodzi, poza nielicznymi wyjątkami, nie zagrzewają wśród nich długo miejsca. Przybywają z lazaretów przyfrontowych, z dżungli opisywanych bardzo chwalebnie w prasie, i równie niespodziewanie umykają. A ponieważ żołąd na froncie pobierają wysoki, wydają go tu z zapalem i hałaśliwie. Opowiadają przy okazji takie rzeczy o walkach na Nowej Gwinei, na innych malowniczych wyspach Pacyfiku, o jakich prasa na ogół milczy.

— Hej, Ken, nie siądziesz na piątego? — odezwał się młody kapitan z ogromnym cygarem w zębach.

To pełen kawaleryjskiego temperamentu Frank Mizera — wybuchowa mieszanka krwi polsko-szkockiej — wychowany w Angin, wykształcony i doprowadzony do męskich lat w Australii. Czekał na przydział nowego okrętu, wolny czas spędza przy pokerze.

Wall pokręcił odmownie głową. W obecnym nastroju nie nadawał się do kart. Przy stole siedziała trójka Australijczyków i kapitan amerykańskiej korwety. Amerykanin grał jak z nut. Tasowanie, rozdawanie, sprawdzanie kart szło mu jak na pokazie iluzjonistów. Zawodowiec, pomyślał Wall. Jeżeli z taką samą wprawą tropi okręty podwodne, to kontradmirał Sleigh nie może się mylić. Ale do diabła z tym dostojnym nudziarzem!

„Zbyt mocno przeżywał swoją potyczkę. Wrogich okrętów podwodnych na tych wodach nie ma, twierdzi Sleigh. Kontradmiral to stara firma w tym interesie, pamięta czasy raczkowania, u-bootów i ich tropiciele — raczkowania bardzo nieporadnego błędzenia po omacku. Czasy się jednak zmieniły. Z nowoczesną korwetą dowodzoną przez wytrawnego tropiciela szansę okrętu podwodnego są znikome. Zniknięcie Japończyków z wód południowo-wschodniego Pacyfiku potwierdza tezę kontradmirala. Ale Wall nie zmartwiłby się specjalnie, gdyby dyżurny obserwator bazy spostrzegł w tej chwili wystający z zatoki peryskop. Interesująca rozmowa by się wywiązała.

„Panie admirale — telefonowałby zaalarmowany obserwator — nieprzyjaciel zagląda nam bezczelnie w okna bazy”.

„Pan się chyba nie wyspał, poruczniku. Wypraszam sobie takie kpiny!”

„Mc podobnego, panie kontradmirale, widzę to jak na dłoni. Proszę spojrzeć na zatokę... Na ten punkt wystający z wody.... To peryskop”.

„Proponuję, poruczniku, żeby pan sobie przetarł oczy i nie zwracał mi głowy. Wróg nie ma już okrętów podwodnych, ręczę za to moim autorytetem”.

„Kiedy jednak...”

„Jeżeli pan nie przestanie, poruczniku, podam się do dymisji!”

A tymczasem peryskop — obrót w lewo, obrót w prawo, zatrzymuje się na burcie amerykańskiego lotniskowca i — brzdęk! Całkiem spektakl.

— Otwieram — odezwał się korweciarz deprymującym dla przeciwników basem.

— Przebijam! — odpalił Frank Mizera, który po zatopieniu jego okrętu spędził całą dobę wśród krążących wokół niego rekinów, nic sobie z nich nie robiąc.

Lotniskowiec już zniknął w głębinach zatoki, gra w kasynie toczy się dalej, peryskop obrót w prawo, obrót w lewo, przylepia się wizjerem do pancernika flagowego Royal Navy i kiedy korweciarz szykuje się do zagarnięcia puli — brzdęk..

Wall zaśmiał się cierpko do szklanki whisky, z którą przemierzał kasyno szukając sobie miejsca. Majaki dotkniętej pychy, stwierdził samokrytycznie. Dziecinne fochy na mamę za utarcie synkowi nosa. Nie dałaś mi na lody, teraz płacz nad moją trumną!

A swoją drogą, gdyby to zależało od niego, gotów by urządzić Sleighowi paradę na zatoce niedobitków japońskiej floty podwodnej.

Pokibicował Frankowi chwilę, obszedł z niedopitą szklanką salę bilardową, powrócił do baru. Stanowczo nie znajdował miejsca dla siebie. Ramiona wentylatora wywijają pod sufitem swój zaklęty taniec, przez otwarte na przestrzał okna wlewało się zleniwiałe gorąco kończącego się dnia, pojedyncze słowa, dziesiątki głosów ginęły w szumie rozmywających się na plaży fał. W upale, bezwietrzu takim jak dziś, rozmowa oceanu z brzegiem odbywa się szeptem, jak między spragnionymi siebie kochankami. Masy wody nie wdzierają się na ląd grzmotem dział, nie straszą rykiem oszalałych demonów. Przyjemnie jest wówczas poleżeć na mokrym, chłodzącym ciało piasku, przymknąć oczy — to konieczne; otwarte oslepną.

Dokuczliwa była myśl o przegranym pojedynku ze Sleighem, którego opinia liczy się w Canberze, Londynie, Waszyngtonie, a już z pewnością w Tokio. Kiedy ma się w ręku trzecią z kolei szklankę brunatnego napoju, nie jest łatwo machnąć na wszystko ręką i zabawić się na plaży w przymykaniu oczu.

Wall skończył dwadzieścia dziewięć lat — wiek w sam raz do podjęcia pewnej decyzji. Wojna nie potrwa długo. Ta w Europie i ta tutaj nabrały rozpędu, którego nie sposób przyhamować przed osiągnięciem ostatecznego celu. Później demobilizacja, powrót setek tysięcy mężczyzn do normalnego życia. Normalnego. Składającego się z pracy i domu z żoną w środku i dziećmi. Żoną? Rozpocznie się wtedy osobliwy wyścig w tym deficytowym w kobiety kraju, niewesoła przyszłość przypadnie w udziale maruderom. Chyba że rząd zdecyduje się na import; nadwyżki kobiet w Europie będą z pewnością wielkie.

Zawsze zdawało mu się, że nie ma wzięcia u kobiet. Nie był to żaden kompleks, jaki jest

udziałem młodych ludzi w okresie dojrzewania, przekonanie to wyniósł z chłodnej obserwacji zarówno kobiet jak i siebie. Dziewczynom nadskakiwać nie umiał. Nad wałęsanie się po kinach, randki, przesiadywanie godzinami przy kawie przedkładał książki, a gdy miał więcej czasu, samotne wyprawy w „busz”. Chętnie natomiast, przebywając w szerszym gronie, zabawiał się w obserwatora. Dochodził wówczas często do irytującego wniosku, że trzymając się od dziewcząt z dala, niewiele traci. Czas jednak nie stał w miejscu. Nawet się nie spostrzegł, jak nieroztropne podfruwajki przeistoczyły się w kobiety. Te zaś, występując w świetle jupiterów, trzymają gardę szczelnie przy sobie.

Nieliczne kontakty z nimi nie zapisały się trwale w jego pamięci: były krótkie jak tropikalna ulewy i tak jak z ulewami w tropiku bywa, urywały się tak samo nagle, jak się pojawiały. Pozostawiały po sobie niebo czyste, atmosferę rozładowaną, ale też nic więcej. Uczucie, z jakim od nich odchodził, przypominało wiosenny ranek po dobrze przespanej nocy, smak źródlanej wody, sytość po wstaniu od stołu w samą porę. Kiedy zaś opadały go refleksje, siadał za kierownicą i — w góry. Mając cel przed sobą, ukończenie studiów, nie wolno dać się spętać, tłumaczył sobie. Niedługo potem wyjechał do Anglii na praktykę.

Nazwa tego kraju dźwięczała mu w uszach od urodzenia. Była wszechobecna w domu rodzinnym, w szkole, padała w codziennej modlitwie, stanowiła początek i zakończenie każdej uroczystości, uosabiała wspaniałość, wielkość, była równa Bogu — porównanie z pewnością grzeszne, ale tylko On stanowił punkt odniesienia godny jej potęgi.

Podróż trwała siedem tygodni. Czterdzieści dziewięć dni. Statek opłynął w tym czasie połowę świata. Na trasie wiodącej z Melbourne do Marsylii — gdzie Wall wysiadł, aby po drodze poznać Francję — zawijał do wielu portów Azji, Afryki i każdy skrawek ziemi należał tu do Anglii. Wszędzie powiewała jej flaga. Język jej otwierał Wallowi dostęp do wyższych sfer każdego kraju, paszport z koroną imperium schylał grzbiet urzędników podbitych ludów. Spacerując po ulicach egzotycznych miast, przyglądając się mozaice kolorowych ludzi schodzących mu z drogi, czuł rozpierającą go dumę: większego szczęścia, jak urodzić się Brytyjczykiem, nie wyobrażał sobie.

— Australia!... — powiedziała Florence po przywitaniu. — A więc tak wygląda Australijczyk!

W Marsylii jego brytyjskość nie wzbudziła niczyjego zainteresowania. Ze statku wysiadali żółci, czarni, mieszańcy, biali, on był jednym z nich. W wytwornym hotelu „Vernet” w sercu Paryża, gdzie wedle porady ojca spędził kilka dni dla otrzaskania się z Europą, kraj jego pochodzenia, który wpisał do książki meldunkowej, też nie wzbudził sensacji. Kiwnięcie głową, klucz do ręki i s'il vous plait — wszystko.

Do Anglii przybył więc już z Europą otrzaskany. Australia dla Wyspiarzy to część imperium brytyjskiego. Leży, zdaje się, na Pacyfiku południowym, jest zamieszkała przez białych pochodzenia brytyjskiego, którzy wywodzą się z byłych zesłańców. Obecnie są to ludzie dobrzy, bogobojni, lojalni podwładni króla.

Okazała ciotka Elfrieda i jeszcze okazalszy, ale pod żadnym względem do niej niepodobny, wuj Donald przyjmowali go bardzo gościnnie. Ale on wolał, gdy zajmowała się nim Flo. Miała szesnaście lat, była wysoka, fizycznie już prawie kobieta. I ten jej perlisty śmiech, który rozlegał się w całym domu. Często w rozmowie z wujem poruszali tematy polityczne. Orient Lines and Co., po latach kryzysowego zastoju, nabierała wiatru w żagle. Sytuacja na Dalekim Wschodzie rozwijała się w niepokojącym kierunku. Dyplomacja japońska uzasadniała co prawda ruchy wojsk Mikada celami gospodarczymi, ale w Londynie i Paryżu rozumiano to właściwie. Wydarzenia w Europie nie pozostawiały już żadnych wątpliwości. „Sytuacja na światowych rynkach żeglugowych — dowodził wuj Donald swemu praktykantowi z dalekiej Australii — jest nieomylnym barometrem ciśnienia politycznego. Kiedy ono spada, zapotrzebowanie na przewozy morskie kurczy się, dla floty handlowej zbliżają się chude dni, trzeba szybko wyzbyć się nierentownych staroci; kiedy wzrasta...”

Nie potrzebował dopowiadać. Ciśnienie polityczne zbliżało się do punktu krytycznego. Na jego nadejście wszystkie kraje starały się przygotować jak najlepiej. Niczym przezorne

gospodynie poczęły na gwałt zapełniać swoje spiżarnie i magazyny. Wcale to nie tylko sprawa ludzi, ci zawsze się znajdują. O jej wyniku decyduje oręż. Myśl też, ale w żegludze morskiej oręż jest najważniejszy. A ten oznacza surowce i jeszcze raz surowce. Czerpane na jednym krańcu świata, przekuwane w armaty na drugim. Wzrost ciśnienia na barometrze politycznym jest błogosławieństwem dla żeglugi morskiej, biada temu, kto go przeoczy. Prawidła te nie były dla Walia żadną nowiną. Ale wuj przedstawiał je w zupełnie innym świetle, niż uczono go na uniwersytecie.

Ciotka Elfrieda protestowała przeciwko tym ich ciągłym dyskusjom. „Nie zamięczaj, mój drogi, biednego chłopca, który ma prawo również do wypoczynku i rozrywki” — ujmowała się za nim w weekendy i nie pytając o zdanie, pakowała go do samochodu. Dzięki niej obejrzał „Hamleta”, „Otella”, „Króla Leara”, wysłuchał koncertu w wykonaniu Królewskiej Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej bawiącej gościnnie w Plymouth, odczytu emerytowanego gubernatora Ugandy na temat zbawczego wpływu obecności brytyjskiej w tym kraju na animozje plemienne, zakosztował kuchni wytwornych hoteli tak zwanej Riwiery Angielskiej, poznał wspaniałą architekturę sakralną Kornwalii (Kornwalia: wiejskie osiedla wetkane w płachty soczystej zieleni, kleksnięte tu i ówdzie zabudowania farmerskie połyskujące świeżą farbą, drabiniaste dwukółki załadowane koniczyną, lawendą) i dużo innych rzeczy, o których istnieniu wiedział mało albo nic.

Pociągnął łyk ze szklanki. Wspomnienia... Jak tylko wywęszą lukę w nastroju człowieka, hurmem na niego. I wtedy czuje się okropnie nieszczęśliwy, opuszczony przez Boga i ludzi. Florence po jego odjeździe, już jako osiemnastoletnia pannica, zaciągnęła się ochotniczo do lotnictwa, niedługo potem spadł na nią cios. Tragedia godna Szekspira.

Na tej rękojeści, na tym ostrzu widzę krwi kropelki...

Ostatni list od niej Wall otrzymał dość dawno. Postanowił skreślić do niej kilka słów. Biedna dziewczyna. Pozostała sama jak palec, chyba że Martin się w końcu odnajdzie. Złowrogie fatum zawisło nad tą rodziną.

Otrząsnął się z tych myśli. Jutro spotkanie z prasą, ukrywać sprawy dłużej się nie da. Zaginał statek, trzeci z kolei. Na wodach stuprocentowo bezpiecznych dla żeglugi. Dlaczego?

Odpowiedź można przewidzieć. Sleigh, jak sobie coś wyliczy, nie odstąpi od tego na krok. Ale jutro będzie miał z cywilami do czynienia... Nie mającymi szacunku dla rangi wojska, siwych włosów, z bezczelnymi cywilami. I do tego Amerykanami. Wszak ten trzeci statek to ich!

„To wobec tego co, kontradmirał?” — rzucą szyderczo.

„Nie umiem na to odpowiedzieć”.

„Czyżby rekiny ich zjadły...”

„Złośliwa insynuacja! — zawoła przez ścianę Jack Mason. — Napastliwa. Nie wierzę w to. Należy tylko wobec nich zachować spokój. Obecny w kasynie kapitan Frank Mizera może to poświadczyć. Kapitanie, czy zechciałby pan przerwać na moment pokera? Uprzejmie pana proszę”.

„Chwileczkę. Jeszcze tylko to rozdanie kart”.

„Obstaję przy swoim, doktorze. To sprawa rekina”.

„Tak nie można, panowie!”

„Mało tego. W imieniu prasy oskarżam pana, doktorze Mason, o zмовę z rekinami przeciwko ludzkości. Pańska książka jest dla nas wystarczającym dowodem”.

Wall uśmiechnął się do siebie.

Sleigh ma rację. Nadzór lotniczy nie wykrywa obecności wroga na naszych wodach. Statki znikają, ale nadzór jest w porządku. Wywiad nie ma informacji o obecności wroga na naszych wodach. Wywiad jest w porządku, ale statki znikają. „Moje służby są w porządku — zapewni salę Sleigh. A w gabinecie plunie służbom w twarz: — Do kitu!”

I będzie miał rację.

Zbrodni doskonałych nie ma — twierdzi kryminologia. Przestępca pozostawia po sobie ślady. Im bardziej doświadczony, tym trudniejsze do wykrycia, lecz pozostawia. Kwestią jest znale-

zienie ich i — po nitce do kłębka. Ale to już sprawa smykałki policjanta.

Tak Sleigh wyraża się o pracownikach wywiadu operacyjnego marynarki. Policjanci...

Rekiny są w porządku, twierdzi doktor Jack Mason. Niczym się nie różnią od innych drapieżników. Ich reakcje na człowieka są trudne do przewidzenia, to prawda. Jednego pożą z butami, drugiemu włosa z głowy nie ruszą, innemu obetną kończy... ale są w porządku. Posądzenie, że strzelają do ludzi z broni palnej, jest krzywdzące dla tych zwierząt!

Strzelanie z broni palnej... Wall zamyślił się. Istotnie, tego rekiny nie robią. W szczątkach wyłowionych w pobliżu wyspy Lord Howe Jack znalazł pociski. A przecież walk na tych wodach od dwóch lat nie było...

Udał się do kabiny telefonicznej.

Zajechali przed front budynku nieomal równocześnie. Wall zaparkował swój wóz w sektorze dla gości i zbliżając się do wejścia, spostrzegł nadjeżdżającego Jacka.

— Wszystko ci wytłumaczę — uprzedził jego pytanie. — Masz tu jakiś spokojny kącik?

Jack miał taki kącik. Przestronny i jak na szpital przyjemnie urządzone.

— Chodzi mi o pociski. — Wall przystąpił od razu do rzeczy. — Te ze szczątków oskubanych przez twoje... mapolamia spallanzani, jeżeli się nie myłę. Masz je jeszcze?

Przytrzymał rękę przyjaciela sięgającą po telefon. Ludzie mają języki. Obecnie te skrawki metalu są dla personelu prosektorium śmieciem przeznaczonym do spalania. Ale kiedy dowiedzą się, że interesuje się tym wywiad, uruchamiają wyobraźnię.

Poprosił go o dwie rzeczy: wyszperanie pocisków i drugą...

— Ale najpierw te blaszki — powiedział — potem ciąg dalszy. I nikomu ani słowa, bardzo cię proszę.

W drodze do szpitala Wall zastanawiał się, czy nie postępuje pochopnie. Walki na Nowej Gwinei, na archipelagach zachodniego Pacyfiku, wielka bitwa morska na Morzu Koralowym pochłoneły masy ludzi. Wielu znalazło śmierć w wodzie i do dziś, jeżeli nie zostali strawieni przez rekiny — kolebią się na fali. A ilu ma w sobie pociski...

Ale nie rekiny pobudziły jego ciekawość. Bitwy toczą się daleko od brzegów Australii. Punkt, gdzie szczątki wyłowiono, oddalony jest od rejonów walki o setki mil... Od półtora roku akwen ten jest wolny od wroga — takie są fakty. Idąc dalej tym tropem wypadało założyć, że szczątki przygnał z północy prąd morski i że on, szef sekcji wywiadu operacyjnego marynarki z bazy Garden Island w Sydney, zabawia się w początkującego detektywa.

Odzyskał równowagę. Gruda znaleziona na łączce rozmyślań, poddana wstępnym oględzinom, okazała się kamieniem. Nie samorodkiem złota.

Rozsiadł się wygodniej i zapalił papierosa.

A więc Jack przebywa tu zaledwie dwa tygodnie, a ma do swojej dyspozycji tak przyjemne pomieszczenie... Na drzwiach wisi już tabliczka z jego nazwiskiem, specjalnością i funkcją — wysoką jak na jego wiek. Szpital jest wspaniale wyposażony, ten w Brisbane, gdzie się poznali, to przy nim prymityw. Ma pielęgniarki werbowane na konkursach piękności, które dużo czasu spędzają na oglądaniu się w hallu za facetami. Jedna taka...

— Jestem doktor June Gordon, asystentka doktora Masona — usłyszał nagle. — Doktor jest na razie zajęty, przepraszam pana. Życzy pan sobie kawę, herbatę?

— Proszę wybaczyć. — Podniósł się z fotela. — Jestem... komandor Kenneth Wall.

— Kawę? — spytała z uśmiechem zwyciężczyni konkursu piękności w australijskiej medycynie. — Herbatę?

— Dziękuję, kawę — bąknął Wall. Odprowadził ją wzrokiem do drzwi.

Coś absolutnie fantastycznego! pomyślał. Przypomniał sobie swój pobyt w szpitalu w Brisbane, gdzie leżał chory na febrę. Był to szpital — skrzyżowanie dróg, potwornie smrodliwy, którego jedno, bardzo ruchliwe odgałęzienie wiodło do prosektorium. Pamiętał uczucie zażenowania, jakie go ogarniało, kiedy krzątały się przy nim piękne pielęgniarki, a on się zastanawiał, jakie one są w życiu prywatnym.

Jestem w podłym nastroju, pomyślał. Rozłożył mnie strzał Sleigha, a ja poddałem się niczym pierwszy lepszy dudek. Chyba pora, aby prosić o odkomenderowanie do Japońców.

Jack pojawił się, nim asystentka zdołała zaparzyć kawę.

— Przepraszam, że tak długo musiałeś czekać — powiedział. — Wychodząc nie zostawiłem personelowi prosektorium dyspozycji, a w takim wypadku...

— Rozumiem — rzekł Wall. — To ja powinienem przeprosić cię za fatygę. — Wstał z fotela. — Już w śmietniku, co?

Na skrawku gazy Mason położył przed nim dwa identyczne stożki metalu.

— Mieliśmy szczęście — powiedział. — Rozumiesz, sporo tych rzeczy wydobywamy z naszych pacjentów. To są z pewnością te, rozpoznałem je.

— Czyżby się czymś różniły od innych?

— Nie znam się na tym, ale różnią się — odparł Mason. — Przynajmniej kolorem. Są jak gdyby... — Myślał o procesie chemicznym, jaki zachodzi w metalu pod działaniem kwasów i soli, ale to chyba jeszcze nie wszystko. — A co ty sądzisz?

Wall właśnie się nad tym zastanawiał. Były to pociski karabinowe — to nie ulegało wątpliwości. Lecz kolor, kształt...

— Możesz mi je sprezentować? — spytał. — I jeszcze jedno. Chętnie zobaczyłbym tego... no wiesz. Jeżeli wasze przepisy na to pozwalają.

— Dla kogoś z zewnątrz to widok niezbyt przyjemny — ostrzegł go Mason. — Ale w porządku. Wspomniałeś na początku o dwóch sprawach. Jaka jest druga?

— Właśnie ta.

— No to — rzucił mu kitel — w drogę.

Lodowata biel ścian, pojemników, wiader, marmurowych stołów sekcyjnych, cisza. Życie pozostało za drzwiami tego parterowego budynku na zapleczu szpitala.

W cynkowym basenie, zalanym bezcieniowym światłem, wisiała w płynie antyseptycznym bryła mięsa.

Wall wzdrygnął się mimo woli. Podczas walk na Guadalcanal naoglądał się ludzkich strzępów co niemiara. Ale wówczas oczy miał wyłączone z myślenia, zszokowane. Zabici są na froncie czymś naturalnym — jak rekwizyty na scenie, bez których przedstawienie nie byłoby nic warte. Im więcej trupów, tym lepsza sztuka, i figę kogoś obchodzi, czy balon wystający z wody to brzuch faceta, z którym się wczoraj było na piwie. Chłopak, mówi się, miał pecha. Był i go nie ma. A ty masz inne sprawy na głowie. Kiedy kulisz się w rowie, liczy się tylko to, czy zza krzaka sto jardów przed tobą, zza najbliższej palmy nie błysnie lufa, która będzie ostatnim obrazkiem, jaki oglądałeś w życiu. Wszystko inne to sentymentalne opowiadki przy kominku.

Co innego natomiast, kiedy siedziałeś w przyjemnym gabinecie Jacka, patrzyłeś na wspaniałą doktor June i naraz lądujesz w tym pawilonie. Wtedy taka rzecz jak ta w basenie albo ta na stole sekcyjnym może podciąć nogi-

— Wolno zapalić? — spytał cicho.

Człowiek w białym kitlu narzuconym na niebieski, w długich gumowych rękawiczkach, który stał pochylony nad basenem, skinął głową. Dym tutaj nikomu nie szkodzi. Można palić, mówić, głośno się śmiać...

Carcharodon carcharias i mapolamia spallanzani pozostawiły rzeczywiście mało materii do badań, niemniej pewne rzeczy dały się ustalić. A więc czas przebywania preparatu w wodzie. Jack oblicza go na półtora miesiąca. Około. Dla dokładniejszej oceny trzeba by poddać preparat badaniom specjalistycznym. Sześć tygodni moczenia w słonej wodzie oceanicznej wywabia ze skóry pigment, pozbawia ciało owłosienia, nie uniemożliwia jednak — to na marginesie — rozpoznania, czy człowiek ten był biały, czy kolorowy. Nie chodzi o przesady. Człowiek rasy białej pozostaje biały również po takim wymoczeniu, a kolorowy bieleje. No i różnica się zaciera. Ale żarty na bok. Chirurgowi z żyłką naukowca Jackowi Masonowi udało się ustalić także pewne dane antropometryczne. Otóż preparat jest pozostałością po człowieku białym — jeżeli to ma jakieś znaczenie dla wywiadu — sądząc po budowie klatki piersiowej, niewysokiego wzrostu, typowym pyknikiem.

Język medycyny jest hasłowy, przeznaczony na użytek własny lekarzy, myślał Wall słuchając

krótkich zdań przeplatanych łaciną, przyglądając się ruchom szczupłych rąk w gumowych rękawiczkach pracujących przy preparacie. Właściwie niepotrzebnie go fatygowalem. Znaczne uszkodzenie dużych naczyń... Siady planktonu w płucach i obrzęki dowodzą działania w wodzie systemów oddychania i krążenia... Żywy znalazł się w wodzie. Żywy, rozumiesz?... Jakże to ma znaczenie? W walkach na morzu na ogół żywi ludzie wpadają do wody, a że się do nich strzela...

Toczy się wojna totalna. Inna niż wszystkie dotychczasowe. Celem walki jest nie tylko zniszczenie armii przeciwnika, ale całego jego narodu — tak widzi to Hitler w Europie, Japończycy tutaj, a my? W tym zbożnym dziele wiele im chyba nie ustępujemy. Puszczanie z ogniem papierowych miast japońskich... Palenie żywcem kobiet i dzieci... Wstrętne? No cóż. Odrażające środki nie są odrażające, jeżeli prowadzą do celu — głosi generał Huckley z Połączonego Komitetu Szefów Sztabów US Army i nazywa Roosevelta dziewiętnastowiecznym mięczakiem, który boi się użycia gazów trujących przeciwko wrogom. Dać im nauczkę raz na zawsze! Aby się już nigdy nie podnieśli! Zwycięzcy — powiada — nikt nie pyta, czy miał rację.

Może i nie. Ale czy pewne rzeczy nie krzyczą w człowieku, nawet kiedy nikt o nie nie pyta? A więc dzisiaj bomby, fosfor, napalm, jutro gazy trujące, pojutrze? Oblędna eskalacja. Życie człowieka, o którym w Ewangelii tyle pięknych rzeczy napisano, okropnie się zdewaluowało. Ale to dopiero początek ery naukowo-technicznego uśmiercania, strach pomyśleć, co czeka ludzkość za najbliższym węglem.

Ale mnie opadły myśli! Wszystko skutek dzisiejszych niewypałów. Co krok to klops. Jedyne walor to te dane o pociskach. Interesujące spostrzeżenie jak na człowieka, który nie miał broni w rękę; trzeba to sprawdzić. Jutro przekażę je do ekspertyzy i chyba na tym koniec sprawy, policjancie.

Drogę powrotną z prosektorium odbyli w milczeniu. Z rękami w kieszeniach spodni szli przez szpitalny park. Mason w okularach o cienkiej, złotej oprawie, wcale nie głowił się nad swoimi carcharodonami, jak przypuszczał Wall. Poza zawodem i słynnym w kraju hobby miał on swoje prywatne życie, skrzętnie ukrywane, którego konstrukcja nagle się zawaliła. Z pięknego gmachu pozostała sterta gruzów — to zaprzętało w tej chwili jego myśli.

Ocean Spokojny pomiędzy pięćdziesiątym a sześćdziesiątym równoleżnikiem szerokości południowej przechodzi w obszar wodny zwany Dryfem Wiatrów Zachodnich. Co te trzy słowa oznaczają dla małego, wynurzonego okrętu, wiedzą tylko ci, co wiatry te wypróbowali na własnej skórze. W podręcznikach figurują one jako wiatry stałe. Sztorm przechodzący w huragan, nawałnicę, cyklon — to można przeczekać w zanurzeniu, w końcu wszystko, co gwałtowne, nie trwa długo, i po pewnym czasie woda się wygładza. Wiatry sztormowe dla małego, wynurzonego okrętu mogą być groźne. Wystarczy źle się ustawić, a obróć go stopką do chmur. Takie one są, nie ma w tym przesady, a dodałbym jeszcze, że są to wiatry męskie, atakujące z otwartą przyłbicą, z nimi wiadomo, jak wojować; ich zachodni bracia, hulający tutaj, są inni. Nie zrywają się ni stąd, ni zowąd, nie grożą okrętowi przewróceniem, rozniesieniem w drobny mak, nic z tych rzeczy. Wiatry te na tym obszarze wodnym po prostu są. Ciągłe. Od wieczora do rana, od rana do wieczora, na okrętkę. Wychodzą z lodowatego spodka Ziemi — tam biorą swój początek — gnają huraganem w górę oceanu, zamieniając go po drodze w rozbełtane piekło, a potem, wyzbyte sił, zostawiają tutaj swoje ostatnie tchnienie. Zimne, mokre, nie dające morzu się uładzić. Pięćset mil od nas na północ — doba z kawałkiem przy naszej nawodnej prędkości — panuje upalne lato, a tu, kiedykolwiek by się wyszło na pokład, dmuchnie w oczy słoną wodą, nieustanna karuzela na martwej fali i jak okiem sięgnąć — pustka. Szlaki morskie biegną daleko, bardzo daleko stąd. Tu nie ma dokąd ani po co żeglować. Na horyzoncie nie pojawi się ślad dymu, nie zamajaczy kontur statku. Oprócz albatrosów szybujących za rufą, wodotrysku wieloryba, szabli rekina można tu zobaczyć tylko to, co nami tak buja — wiekuiście rozkołysaną wodę. Mdlą i tak cuchnącą

zgniłymi glonami i solą, że nawet takim oblatanym z morzem hyclom jak my aż skręca żołądek.

W połowie drogi między brzegami Antarktydy a południowym cyplem Nowej Zelandii jest skraj świata nie odwiedzany przez nikogo — wymarzona kryjówka dla takich jak my. Sam diabeł lepszej by me znalazł. Henning... przepraszam, na naszym okręcie nie wolno odzywać się do młodszych stopniem po imieniu — mat podchorąży Henning Gehrman uważa, że to sam Lucyfer podsunął ją tym z dowództwa u-bootwaffe.

Sterczący w kiosku człowiek czuje się jak stary kapeć wyrzucony na śmietnik. Nie jest to uczucie wywołane chwilową depresją. Gdy człowiek godzi się na udział w tej wyprawie, nie ma prawa do depresji. Że nikt przy zdrowych zmysłach by się na to nie nabrał? Młodzi ludzie marzą o przygodzie. Chcą wypróbować własne siły, poznać świat, wszystko zgodne z naturą. A jeśli dojdzie jeszcze hasło „wielkość ojczyzny”, me ma mocy, która by ich powstrzymała. Tak samo jest z każdym z nas. Jesteśmy wciąż gotowi oddać życie za wielkość ojczyzny, co do tego nie mam wątpliwości. Oczywiście wydarzenia, upływ czasu, a nade wszystko myśli robią swoje. Ale odwrotu me ma. Podpisało się umowę. My, Niemcy, jesteśmy zasadniczy. Umowa jest umową. Każdą próbę rewizji tego dokumentu ćwiczy się u nas przed plutonem egzekucyjnym...

To pustkowie jest podłe, ale ma swoje dobre strony. Można wyjść na pokład i nie widząc wiecznie tych samych gęb, pogadać z samym sobą. Umowa umową, nikt nie zamierza wstawiać poprawek. Ale ma lukę — nie zabrania człowiekowi myślenia. Choć rzadko go na taki luksus stać. Kiedy zatrasnęło się nad sodł włącz, miejsce myślenia zajmują czynności, których celem jest wytropić przeciwnika, odczekać sposobne: chwili i — pal! A potem?

Najważniejsza rzecz to tempo. Po każdym udanym ataku liczy się tylko czas. Kto okaże się szybszy — my, okręty eskorty, cataliny, ważny jest wtedy każdy skrawek sekundy. Odstawiłeś akcję, Fregattenkapitan Kurt Hacke dopisze do swego konta jeszcze jeden zatopiony statek.

Komandor porucznik Hacke wpatruje się w strzałkę głębokościomierza. Co dzieje się u góry? Podstępny wilk porwał ofiarę ze stada. Przeklęty! Korwety eskorty puściły w ruch asdiki, radary, radionamierniki krótkofalowe. Wiązki fal elektromagnetycznych penetrują wodę do dna. Na wyrzutniach odbywa się odbezpieczanie bomb głębinowych. Kiedy fale odbiją się o stalowy kadłub okrętu, obsługa nastawi ciśnieniowe zapalniki i wtedy rozpocznie się spektakl pod tytułem „Być albo nie być”. Cały nasz ratunek leży w zmyleniu tropu. A więc jak najszybciej w dół. Jak najgłębiej. Zyskać na czasie. Zatrzeć za sobą białą smugę śladu torowego, to ważniejsze od wszystkich najważniejszych spraw świata. Otwierać zawory! Wypełniać zbiorniki szybkiego zanurzenia balastem! Herr Leitende Ingenieur — nawet wtedy Hacke nie popuszcza swemu stylowi — silniki na pełną moc Cataliny dostrzegają smugę z odległości dwudziestu mil — cztery minuty lotu. Korwety, niszczyciele gnają na miejsce wskazane przez cataliny z prędkością dwa razy większą od naszej prędkości nawodnej, cztery razy szybciej od nas pod wodą — wyścig konia wierzchowego ze ślimakiem. W miejscu, gdzie daliśmy nura, pozostała nasza wizytówka: widoczne jak na dłoni wiry fosforyzującej wody.

Mózg mi wysiada, jak prawdopodobnie mózgi pozostałych członków załogi okrętu. W głowie następuje generalne zwarcie. Światła gasną. Zapada ciemność. Poza wątlym kopciuszkim wiecznej lampki migoczącym bez udziału woli w tyle czaszki.

Zwariowanie szybko, bez ładunku i składu w świetle tego kopciuszka, niczym w niemym kinie, przewijają się obrazy. Na zewnątrz naszego pojazdu, nurkującego w kosmiczną toń, eksplodują gwiazdy — tak ci się wydaje. Stalowe cygario, w którym tkwimy bez możliwości wyjścia, lada sekunda zmiażdżone zostanie na żyletkę, na strzępy, podda się naporowi miliardów ton wody atakujących je ze wszystkich stron. Można kląć albo modlić się, na nic się to nie zda, puszczenie folgi nerwom tylko pogarsza sprawę. Najlepiej stanąć na rozkraczonych nogach, jak Hacke, przy opuszczonym peryskopie i zamienić się w słuch, przypatrywać żarówkom, czy nie gasną, czy z poszycia kadłuba nie sypie się korek, nie tryska

woda, trzymać się kurczowo uchwytów i czekać, dopóki fajerwerk z gwiazdami się nie skończy, innego wyjścia nie ma. A przy okazji można przyglądać się obrazkom wyświetlanym w tyle czaszki, bo prawdę mówiąc, wszystko inne poza tym nic a nic cię nie obchodzi.

Było to coś, czego nigdy przedtem nie zaznałem. Czułem się lekki, radosny, wyzwolony od ziemskich trosk, jeżeli stan taki w ogóle istnieje. Zwykle dzieliło się to na trzy, kropka w kropkę powtarzające się etapy: wdrapywanie się na szklaną górę, zdobywanie zaklętej królowny i zawód. Piękna dziewczina, warta największego wysiłku, okazywała się złudzeniem. Kolorowa bańka pękała. U mego boku leżała obca kobieta, której dotyk parzył jak macki ośmiornicy. Ucieczka i uczucie niesmaku. I znowu na horyzoncie szklana góra, ale coraz mniej wiary w istnienie królowny...

Otaczała nas ciemność. Właściwie do dziś nie wiem, jak do tego doszło. Na rynku stały ciężarówki załadowane ludźmi, którzy stracili dach nad głową. Do Burgdorfu prawie codziennie przyjeżdżały nowe transporty ewakuowanych ze zbombardowanych miast. Nie poruszały już niczyich serc. Bezdomni przybywali na dzień, dwa — tak na początku im mówiono — i ku utrapieniu gospodarzy zostawali. Konflikty nie dawały na siebie długo czekać. Bo to nieprawda, że nędza jednych czyni bardziej ludzkimi drugich. Nędza poniża. Wyzwała złe instynkty. Okrada z godności osobistej.

Leżała skulona, obejmowała mnie ramieniem. Mogłem, jak po zdobyciu szklanej góry, nabrać powietrza w płuca i — ech, jaki ze mnie chwat! Ale było w niej coś, co mnie onieśmiało. Wyczułem to od pierwszej chwili. Od pierwszego skrzyżowania z nią spojrzeń w przepelnionej kratami kuchni, od uścisku dłoni. Odziana w za duży na nią szlafrok i pantofle domowe matka wyglądała jak zagubiona dziewczyna. Pochyliłem się jak automat i nie mówiąc ani słowa, ucałowałem ją w policzek. I stało się.

Nagły gwizd odbił się echem w pustce poddasza i poderwał nas z łóżka. Po chwili nasłuchiwania jej głowa spoczęła znowu na mojej piersi. To nie była syrena alarmowa wzywająca do schronu, ten jęk wyszedł z pobliskich torów kolejowych. Jeżeli ogłaszał nadejście pociągu z Celle, byłaby szósta nad ranem. Ujrzelśmy się o siódmej. Była siódma, nie wcześniej, jak matka przedstawiła mi przyprowadzoną z placu targowego kobietę. — To Brigitte, nie poznajesz? Ta z Mundburger Damm w Hamburgu... — przypominała podniecona niezwykle zrzędzeniem losu, nie pamiętając o różnicy wieku między nami. Brigitte... Tyle dziewcząt szczupłych jak lodygi przewinęło się przez szkółkę jeździecką matki, nie zwracałem na nie uwagi. Poza tym ja miałem wówczas piętnaście lat, gdy ta dziewczyneczka z Hamburga, przyglądająca się z otwartymi ustami moim ewolucjom na koniu, nie więcej niż dziesięć. Ale czymś musiała się wyróżniać spośród uczennic, skoro matka, wymagająca jako trenerka, zapamiętała ją. Potem przypomniałem sobie mgliście chude jak patyki, iksowate nogi, które w bryczesach zdawały się nie mieć końca, i mnóstwo piegów pod ceglastą czupryną.

A teraz...

A więc tak, kochana, były inne. Laur zwycięskiego u-bootmanna przychyła uwieńczonym nieba, ale wierz mi, niezczędzi im również kolców. Ślicznie pan to ujmuje, kapitanie Ihna! Życie nie szczędziło panu kolców, powiada pan, stąd prawo do stąpania po kwiatkach i w ogóle. Były to najpiękniejsze dni pańskiego życia, stwierdza pan. Tylko że jeszcze trochę — i ucztą miłosna się skończy. Pan wypłynie na Atlantyk, a potem?

Kiedy pogoda taka jak tu, wiatr, deszcz, rozkołysana woda, pustka — bo grzbiet orki, pióropusz wieloryba, rozpostarte w bezruchu skrzydła albatrosów się nie liczą — jest ciężko. Po tygodniach zamknięcia w stalowym pudle, wdychania tlenu z butli, niewidzenia światła dziennego ludzie słabną psychicznie, to naturalne. Zwykle wystarczyło kilka dni wypoczynku

i siły się regenerowały. Tak bywało „zwykle”. Kiedy konto rejsu zapisane było akcjami — w ścisłym tego słowa znaczeniu — bojowymi, rozumie pan? Bojowymi! A w tym rejsie wypłynęliście na wody zakazane. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę, kapitanie Ulrichu Ihna!

Tak, to na pewno nie rozejdzie się po kościach. Załoga milczy, ale swoje myśli. Co myśli — wyjdzie na jaw prędzej czy później, Hacke nie może nie zameldować o tym przedstawicielowi U-Bootwaffe-Ostasien. Wszystko zatem w jego rękach. Jeżeli odeśle mnie do Penangu, moje dni będą policzone. I nic wtedy nie pomoże cicha solidarność ze mną Günthera, Henninga, Rudolfa. A więc poczekajmy. Günther już złapał sygnał od „Rosamundy”. Jutro powinna się tu pokazać. Poczekajmy i tylko nie dać się ponieść nerwom.

ROZDZIAŁ III

W ciszy swojej kwatery komandor Kenneth Wall rozmyślał o wydarzeniach dnia. Miasto spowijały ciemności, była najwyższa pora na spanie. Ale sen nie nadchodził. Za oknami, gdzieś na oceanie, a może tuż za drzwiami, czekała na niego zagadka. Przyczajona tam już od tygodni albo jeszcze dłużej, tyle że się tego nie domyślano. Aż naraz władowała się na światło dzienne w całym swoim majestacie rzeczy tajemniczych i zażądała zajęcia się nią.

Oficerem do tego rodzaju spraw był szef sekcji wywiadu, czyli on, Kenneth Wall. Jego obowiązkiem było wywahać istnienie zagadek i rozwiązywać je, zanim dotrą do nosa kontradmirała. W ciągu ostatnich dwóch lat odniósł wiele sukcesów w potyczkach z tymi tajemniczymi zjawiskami. Akwen morski, na którym z nimi wojował, był duży nawet jak na wyobraźnię mieszkańców Oceanii, przywykłych do mierzenia odległości tysiącami mil. Wybierając się w Anglii, jeszcze przed wojną, z Torquay do Londynu, Florence przygotowywała się do drogi niczym na wyprawę w zaświaty, choć były to zaledwie trzy godziny jazdy samochodem; tutaj przestrzeń ma inne wymiary. W wycinku od przylądka Howe, południowego krańca akwenu strzeżonego przez niego, do przylądka York na północy wschodniego wybrzeża Australii zmieściłaby się cała Europa. Znalezienie czegoś ukrywającego się przed ludzkimi oczami na tej olbrzymiej połaci oceanu stanowczo nie należy do zadań łatwych. Ale rozkaz rozkazem. Gdyby zagadka trapiąca kontradmirała okazała się niemożliwa do rozwiązania, oznaczałoby to, być może, konieczność podjęcia przez niego pewnej decyzji. Długo zresztą odkładanej.

Wojna zbliża się ku końcowi. Udział Australijczyków w walkach na Pacyfiku jest coraz większy — wspaniale spisują się ci chłopcy, gdy tymczasem on spędza czas na wertowaniu raportów służb wywiadu...

„Wysokiego stopnia wojskowego dorobił się pan, mecenasie. Gratuluję” — wieszować mu będą po wojnie. A jemu pozostanie robienie dobrej miny. Do bardzo złej gry.

Co na ten temat myśli kontradmirał Sleigh, z tym się nie zdradzi, ale swoje myśli. W gorącym buszu Queenslandu, gdzie się urodził, ludzie nie mają zrozumienia dla zjawisk nadprzyrodzonych. Nic tam, poza wiecznym żarem, nie spada z nieba, me przepada jak kamień w wodę, choćby tylko dlatego, że wody tam tyle co kot napłakał. Ludzie, słysząc o zagadkowych, nie dających się wytłumaczyć zdarzeniach, robią zdziwioną minę i po prostu nie przyjmują ich do wiadomości, a jeżeli dotyczą ich osobiście, stają się bardzo zasadniczy. Niedobrze jest wtedy wmawiać im, że nie mają racji.

Obecna wojna na Pacyfiku to sprawa techniki. Skomplikowane technicznie są okręty wojenne, zwykły statek handlowy nie jest zwykłym statkiem, a lotnictwo to już w ogóle dwudziesty pierwszy wiek. System kontroli ruchu na morzach jest sprawniejszy niż w godzinach szczytu na Kings Cross — nic nie może ujść wszystkowiedzącym oczom nadzoru lotniczego. Gdzie więc podział się „Golden Creek”?

Rekiny go z pewnością nie pożarły, choć według Jacka Masona są wszystkożerne, wszechobecne na oceanach, a mimo to wcale nie tak niebezpieczne dla człowieka, jak się

przyjęło mniemać. Rekiny odpadają. Odpada także zatonięcie z powodu wybuchu kotła, przemieszczenia się ładunku, zderzenia z innym statkiem, wejścia na minę, storpedowania, ponieważ w każdym z tych wypadków ktoś z załogi by ocalał, a jeżeli nawet nie, to na powierzchni wody pozostałyby jakieś niezatapialne graty, które dałyby się zidentyfikować — a potem po nitce do kłębka. Te możliwości spece od żeglugi oceanicznej wykluczają z taką samą pewnością, z jaką Sleigh wyklucza zaginięcie statku w wyniku działalności wroga. Już od ponad roku na wodach południowego Pacyfiku nie zauważono obecności okrętów japońskich. Ambitny plan admirała Yamamoty zaciśnięcia pętli na szyi Australii przez zajęcie archipelagów Salomona, Nowych Hebrydów, Fidżi, Samoa poszedł na dno wraz z samym admirałem. Z potężnej floty Nipponu pozostały nici. Ich lotnictwo morskie, które na początku wojny sprawiło sprzymierzonym niemiłosiernie cięgi, jako liczący się przeciwnik nie istnieje, jak nie istnieje ewentualność zapuszczenia się pojedynczego bombowca w okolice Nowej Kaledonii; Japończycy takich maszyn nie mają i mieć już z pewnością nie będą. A więc, rekapitulował Wall swoje przemyślenia, nie ma pancerników Nipponu, które mogłyby dokonywać samotnych rajdów pirackich, nie ma na tych wodach wrogich okrętów podwodnych, statki sprzymierzonych mogą bezpiecznie pływać po tej części oceanu — tak stwierdza kwatery główna generała MacArthura, podpisuje się pod tym Admiralicja Brytyjska, zgadza się z oboma stwierdzeniami on, komandor Kenneth Wall. Kropka!

A jednak po „Golden Creeku” nie pozostała ani deska... Kto to powiedział? A ja, Kenneth Wall! Skoro tak powiedziałeś, wielki specu od rozwiązywania tajemnic, to ją wykryj.

Zmęczonym ruchem Wall zdusił nie dopalonego papierosa. Zapowiadała się bezsenna noc. Wyjątkowo źle znosił schyłek tegorocznej upalnej wiosny. Jednak nie tylko upał działał na niego rozmiękczejaco. Uczucie nieprzydatności. Garden Island. coraz bardziej upodobniało się do maszyny poruszającej się na zwolnionych obrotach. Jej tryby, trybiki działały — klekot maszyn do pisania, teleksów, brzęczki telefonów słycać było na każdym kroku. Wszystkie służby tej nadzianej złotymi epoletami instytucji, na oko biorąc, miały pełne ręce roboty. Tak mogło się wydawać przybyszowi z zewnątrz — przypisani do tego przybytku na stałe widzieli to inaczej. Baza Królewskiej Australijskiej Marynarki Wojennej Garden Island przestawała być pierwszą linią bojową. To już nawet nie bezpośrednio zaplecze walki, ale coraz bardziej punkt etapowy dla czekających na nowy przydział. Sprawy ważne przesuwają się na północ kraju. I przesuwać się będą nadal, coraz dalej od Sydney, aż pewnego dnia znikną. Jeżeli ta zwariowana impreza skończy się za rok, będę miał wówczas trzydzieści lat, obliczał Wall. Trzydzieści! Hm...

Za zaciemnionymi oknami cykady dawały swój przenikliwy koncert, ćmy i motyle wtórowały im tańcem na siatce ochronnej — codzienna symfonia nocy rozgadana chórem głosów, a wszystko po to, aby za rok, za tysiąc lat noc nie była głucha.

Zapalając kolejnego papierosa Wall przypomniał sobie o liście, jaki dzisiaj otrzymał z Anglii. W zaaferowaniu zaginionym statkiem przeczytał go tylko przelotnie. Sięgnął po niego na półkę z książkami nad tapczanem.

„Robiąc porządek w swojej poczcie znalazłam Twój ostatni... list? — za dużo powiedziane, raczej informację biura adwokackiego, bardzo szacownego, stawiającego słowa nie niżej od ceny złota. Moja bogata wyobraźnia, jak kiedyś mawiałeś, pomogła mi jednak go rozszyfrować. Otóż, jeżeli nie popełniłam błędu, znajdowałeś się wtedy wciąż w Sydney, czuleś się dobrze i nadal pamiętałeś o mnie. To ładnie z Twojej strony, że o mnie nie zapomniłeś, dziękuję, choć prawdę mówiąc nie jestem tego taka pewna. Otrzymałam od Ciebie — od czasu tragicznego wydarzenia z rodzicami — trzy listy, a wszystkie razem wzięte, gdyby Twoje szacowne biuro nie gospodarowało tak rozrzutnie papierem, zmieściłyby się na jednej kartce. Złośliwa jest Twoja kuzyneczka czy tylko spostrzegawcza?

Dajmy spokój pytaniom. Zdażyłem się już przekonać, że im więcej się ich stawia — osobom nam bliskim lub drogim — tym mniej się o nich wie. A nie po to przecież korespondujemy.

Więc lepiej dwa słowa o mnie, jeżeli Cię to interesuje. Wydoroślałam, jak widzisz, awansowałam do stopnia starszego sierżanta i właściwie to wszystko. Na nic więcej nie

miałam czasu. Wojna. Mam nadzieję, że niedługo się skończy, wypadnie wówczas pomyśleć o różnych sprawach. O sobie również. Trochę się tego boję. Mundur pozwala żyć niejako na czyjąś odpowiedzialność, kiedy się go zdejmie, trzeba będzie przejść na władny rachunek. Ale jestem dobrej myśli. W najgorszym wypadku sprawy majątkowe powierzę jakiemuś oblatanemu w żegludze prawnikowi, swoje zaś — losowi. Jak myślisz, będzie dla mnie łąskawy?

Co nowego u Ciebie?

Twoja, już nie taka mała,

Flo

P.S.:

O Martinie wciąż żadnej wieści”.

Charakter pisma bardziej wyrobiony niż parę lat temu, zdania pełne, bez dziewczęcych niedomówień, które zastępowała wielokropkiem. Osoba w mundurze lotniczym z trójkątami starszego sierżanta na rękawie, patrząca z załączonego zdjęcia, mało przypominała rozbrykaną szesnastolatkę kochającą z jednakową mocą ojca, matkę, klacz arabskiej krwi Lady, którą dostała w prezencie na swoje czternaste urodziny, psa, kabriolet marki „Austin”, ciotką Matyldę z Southampton, starego kamerdynera Olafa i kwiaty. Ślad po tamtej dziewczynie czaił się w dużych oczach, przeraźliwie niebieskich; ładnie wyciętych ustach, gotowych w ułamku sekundy i skrzywić się do płaczu i zalać dom perlistym śmiechem. Ale to był tylko ślad po tamtej dziewczynie, Ze zdjęcia patrzyła kobieta. Bardzo zgrabna. Wall mógłby dodać od siebie, że mundur Royal Air Force dobrze uwydatnia figurę kobiety, a twarzowa czapka z daszkiem koronuje ją na księżniczkę z bajki.

Przypomina czymś June Gordon. Tę od Jacka Masona, co miała zaparzyć kawę.

Na kawę nie starczyło czasu. Wallowi zależało na doręczeniu pocisków ekspertowi od broni jeszcze tego wieczoru. Wynik ekspertyzy — patrząc na sprawę chłodniejszym okiem — nic rewelacyjnego nie mógł wnieść. Skoro jednak się tym zajął, pociski musiały wylądować pod mikroskopem. Rutyna. Tak samo jak przekazanie informacji o zaginionym statku wywiadowi bazy marynarki wojennej w Perth a zachodnim wybrzeżu Australii.

Goląc się rano, z podbitymi z niewyspania oczami, Wall przyłapał się na tym, że myśli o June Gordon. Aż gwizdnął. Jadąc do bazy, wymijając co powolniejsze samochody widział asystentkę Jacka na siedzeniu obok siebie. Żar lał się z nieba, więc jechał z górnym wywietrznikiem odsuniętym. Przyjemnie było poddawać się muśnięciom powietrza. June też było dobrze. W rozpiętej na piersi bluzeczce z krótkimi rękawami, w luźnej spódnicy wyglądała bardziej na tenisistkę spieszącą na poranny trening niż na lekarkę anestezjologa, która za chwilę stanie w kitli: masce na twarzy, w długich butach — wszystko na niebiesko, antyseptycznie — u głowy stołu operacyjnego. Psuli mu tę wizję Amerykanie gnający w swych kolubrynach na łeb na szyję na zjazdach i podjazdach sydneyjskich garbów — musiał piekielnie uważać, z nimi nigdy nic nie wiadomo. Przy wjeździe do portu June oświadczyła mu stanowczo, że jeżeli da jej kosza, wyda się za męża za Jacka Masona, a jemu, zarozumiałemu przystojniakowi. przyśle zawiadomienie o ślubie. Potem zniknęła z wozu.

W Perth mają bardzo rozmownego szefa wywiadu.

Zaginął statek? Nie pozostawił śladu? Tubalny głos komandora Bena Cadmana radził sobie bez trudu z dworna tysiącami mil drutu telefonicznego. Gdyby zaprzętałi sobie głowę jednym frachtowcem, on, Kenneth, nie miałby dzisiaj z kim rozmawiać. Ocean Indyjski to żadna oaza spokoju, nie to, co po tamtej stronie kraju. Stan posiadania żółtków nic się tutaj nie skurczył. Cała południowo-wschodnia Azja wraz z przyległościami nadal w ich rękach. Swobody operacyjnej ich okręty podwodna nie mają, nie te czasy, ale spory kawałek wody jest poza naszą kontrolą: ciężkie cataliny nie mogą zapuszczać się za blisko bez lotnictwa myśliwskiego. Kosztuje to naszą flotę...

Komandor Ben „Buldożer” Cadman cały swój obszar operacyjny ma w małym palcu. W

Akademii Wojskowej w Sandhurst którą ukończył z wyróżnieniem, był dobry w taktyce, bardzo dobry w strategii, celujący w naukach politycznych. Nie ukrywał przed kumpem z gimnazjum koncepcji, która za jednym zamachem wzięłaby żółtków (słowo to zrobiło dzięki niemu karierę) w dwa ognie — klasyczny manewr rozciągający siły, a potem ciach, ciach i po kłopotcie. Londyn stanowczo za bardzo ulega Waszyngtonowi, nie liczy się w ogóle ze zdaniem Canberry. To skakanie na Pacyfiku z wyspy na wyspę amerykańskich marines jest spektakularne, owszem, ale nie śmierdzi sztuką wojenną Kowbojszczyzna. Sandhurst to Sandhurst. Klucz do Azji, uczone tam, leży w Azji. W wojnie tej — dwa tysiące mil drutu dzielnie dźwigało credo strategiczne Bena — nie chodzi o pokonanie Japonii, to jest w kieszeni. Tylko o zachowanie Azji w naszych rękach. Całej Azji. O to my, Brytyjska Wspólnota Narodów, wypruwamy z siebie flaki!

Wspaniały jest Ben. Mocno, jak na Australijczyka, przesiąkł angielskim Sandhurstem, ale niezły. Kraj po tej wojnie skazany będzie na długi pokój. Szkoda. Ben, jako dowódca armii sprzymierzonych w tej części świata, mógłby okazać się objawieniem.

Sprawę zaginionych bez wieści statków na jego akwenie przekazał rozszyfrowanym teleksem — zupełnie w jego stylu. Wróg podsłuchuje! Długi na pół jarda tekst Wall przeleciał wzrokiem szukając konkretów. Statek pierwszy, m/s „President Lincoln” , wyklarował się: najprawdopodobniej torpeda. Szczątki tajfun wymiół na otwarty ocean, dalej niż zakładano, stąd pierwotne przypuszczenie; do wyjaśnienia pozostaje zaginięcie wraz z załogą s/s „Pireusa”. Sorry, still missing. Podpis.

Drogi Ben Cadman. „Keep Australia WHITE and British”. To on, ten sam, gołowąs jeszcze, aktywista stowarzyszenia „Australia dla Białych Brytyjczyków”, rozdający ulotki na Chińskim Rynku w Sydney.

„Niech żyje Wielka Australia!” „Nowa Zelandia, Oceania. Nowa (cała) Gwinea — do Unii z Australią!” To też Ben, z lat studenckich, bojownik o nowy podział świata.

Ben jest politycznie elastyczny. I konserwatywny, i liberalny. i postępowy — jak potrzeba. Jak dziecko, które się jeszcze nie sparzyło, wali do przodu. Buldożer. Sześć żyłastych, rudych, kosmatych stóp brawady.

Ben swój rodowód wywodzi rzekomo w prostej linii od Samuela Cadmana, zesłańca, który — skazany na odosobnienie na karnej wysepce Fort Pinchgut — osiem razy udawał się wpływ przez zarekinioną zatokę, dopóki gubernator nie nakazał notorycznego uciekiniera przytwierdzić łańcuchami do skał. Pływanie wśród żarłaczy, przemeblowywanie świata, grasowanie w pojedynkę na tyłach Niemców pod El Alamein — to do Bena podobne. Energia, energia, masa energii. Przed Benem jest duża przyszłość. Polityczna. Uwaga na Buldożera!

— Lubisz niemiecką muzykę? — strzelił znienacka Ben na zakończenie półgodzinnego monologu.

Buldożer ma poczucie humoru. Niekiedy takie, że lepiej dać nogę póki czas.

— Muzykę? — spytał ostrożnie Wall. — Jaka? Coś diabło przeszkadza. Powtórz!

— Myślę o tanecznej! — ryknął w słuchawkę Buldożer. — Słyszałem parę kawałków w Afryce. Fantastyczna, słowo daję. Szczególnie jeden fokstrocik utkwiał mi w uszach, mogłem słuchać tego dzień i noc. „Rosamunda” się nazywa. Od wczoraj słyszę pierwsze jej tony, regularnie powtarzane. Moi radiopelengarze rzecz namierzili. Tokio. Żółtki podskakują w takt niemieckiej muzyki... Rozumiesz coś z tego?

Potem nastąpiło: „Cześć, stary. Gdyby co, to śmiało do mnie”.

— jest u mnie kapitan Schilbach — zameldowała przez telefon sekretarka. — Znajdzie pan czas dla niego, komandorze?

Michael Schilbach... Wall zupełnie o nim zapomniał. Odruchowo zerknął na zegarek: dziewiąta. Zaledwie o ósmej doręczył mu pociski. Nie oczekiwał go wcześniej niż nazajutrz. Wykonanie ekspertyzy pocisku to żmudne zadanie. Trzeba go poddać analizie termicznej, musi być przepuszczony przez masę czułych instrumentów pomiarowych, sam opis wyników zajmuje sporo czasu. A Schilbach załatwił to od ręki. Widocznie wystarczyło mu do tego

tylko oko specja.

— Daj go, Helen — rzucił w słuchawkę.

— Straszny dziś upał od samego rana — przywitał eksperta od broni. — Siadaj. O tu, wygodnie, na fotelu. Nici z tych blaszek, co? — ubiegł swego powolnego w mowie gościa. — Byłem tego pewien, ale co szkodzi sprawdzić.

— Bynajmniej. — Schilbach postawił na podłodze sporą kasetę metalową, którą przyniósł ze sobą. — Masz dla mnie czas? — spytał. — Nie minutę, ale więcej...

Wall energicznie kiwnął głową. Na wszelki wypadek uprzedził sekretarkę, że poza kontradmirałem nie ma go dla nikogo. — Jestem do twojej dyspozycji, Mikę.

Z zainteresowaniem przyglądał się, jak małowówny ekspert wyklada z kasety — sztuka po sztuce — ze trzy tuziny pocisków: połowę w stanie fabrycznym, połowę zdeformowanych uderzeniem o materię, i stawia je w równych kolumnach. Odbywało się to w tempie wspinaczki na stromy szczyt — Mikę już się taki urodził. Wreszcie wykładanie dobiegło końca. W jednej kolumnie stały grotami do góry pociski nowe, poniżej leżały ich odpowiedniki już zużyte. Wszystkie wydobyte z ciał topielców. Ciekawym odkształceniom ulega twardego metalu w zderzeniu z miękką masą ciała, pomyślał Wall. Ale po kolei. Gdy zdawało się, że zabawa w ustawianie metalowego wojska w kolumny dobiegła końca, na stole wylądowały dwa pociski z prosektorium Jacka.

Już na pierwszy rzut oka różniły się od pozostałych. I rodzajem odkształceń, i kolorem. Dla podkreślenia różnicy reżyser tej wystawy uhonorował je miejscem z boku kolumn.

Ale nie chodzi tu o zabawę dwóch panów przy stole w gabinecie szefa wywiadu bazy Garden Island. Tylko o amunicję do ręcznej broni palnej. Używanej przez armie walczące na Pacyfiku. O odpowiedź, z jakiej broni oddane zostały dwa strzały do człowieka, którego resztki spoczywają w prosektorium szpitala marynarki wojennej w Sydney.

Odpowiedź może być jedna: strzelano z broni japońskiej. Z karabinu zwykłego lub maszynowego typu „Arisaka”, z pistoletu Nambu typ 14 — z jednej z tych broni, jeżeli strzelał oficer.

— Nic podobnego — zaprzeczył stanowczo Schilbach. — Poddane analizie pociski nie są produkcji japońskiej...

— A jakiej? — spytał Wall.

— Nie zostały także wyprodukowane przez zakłady Marlina ani Enfielda, Remingtona ani Colta w Stanach Zjednoczonych — ciągnął swój wywód Schilbach i popierał go eksponatami ustawionymi na stole, porównując je do pocisków dostarczonych przez Walia. — Nie wystrzelono ich z broni palnej używanej przez armie Wspólnoty Brytyjskiej walczące w Azji i na Pacyfiku. Powtarzam: nie strzelał nimi żołnierz żadnej z armii sprzymierzonych, choć stuprocentowej pewności tu nie ma; istnieje bowiem możliwość, że ktoś posłużył się bronią zdobyczą; ja sam i wielu moich kolegów, którzy walczyli w szeregach dziewiątej dywizji pod dowództwem brygadiera Godfrey'a, posiadamy broń zdobytą w Afryce. Ale to tylko teoria. W praktyce żaden żołnierz, walczący w regularnej jednostce liniowej, nie posługuje się w boju bronią obcą.

— Rozumiem — przerwał niecierpliwie Wall. — Jakiej więc produkcji są te pociski?

— Niemieckiej.

— Niemieckiej?

— Powiedziałem. I co ciekawe, jeden i drugi nie padły z tej samej lufy, zbadałem to dokładnie. Kaliber mają ten sam: dziewięć milimetrów, wagę i inne parametry także, dlatego kogoś nie obeznanego z bronią niemiecką może to wprowadzić w błąd. Tymczasem badanie śladu po lufie wykazało, że jeden pocisk, ten bardziej spłaszczony, wystrzelony został z pistoletu automatycznego Schmeisser MP-40, w jaki uzbrojone są elitarne oddziały niemieckie, drugi z parabellum zero osiem, broni bocznej oficerów. — Schilbach uzupełnił ekspertyzę stwierdzeniem, według niego ważnym: pociski z prosektorium wyprodukowano nie przed ani na początku wojny, ale w jej późnej fazie. Z czego to wywnioskował? Z metali stosowanych przez niemiecki przemysł zbrojeniowy. Brak miedzi, niklu, ołowiu zmusza do

szukania materiałów zastępczych; Niemcy są w tym mistrzami. Przeprowadzona analiza daje obraz ich sytuacji surowcowej — tragiczny w swej wymowie. To już gonienie absolutnymi resztkami. Ale także świadectwo niewyczerpanej pomysłowości ich naukowców. Od płaszcza, koszuli do rdzenia pocisku — ersatz, ersatz, ersatz. Są to chyba ich najnowsze stopy, sprzed najwyżej pół roku, jeżeli to ma dla Walia jakieś znaczenie.

Oficerowie popatrzyli na siebie w milczeniu. Sensacja! Niezwykłe morderstwo na Pacyfiku! Dwójka facetów zabija z broni niemieckiej marynarza! Czyżby hitlerowski gang na Pacyfiku? Więc sprawa do kosza czy początek zabawy w prywatnego detektywa? zadał sobie pytanie Wall. Jeżeli zabawa, to po wojnie uroczyste otwarcie biura śledczego: „Kenneth F. Wall — Poszukiwanie osób zaginionych”.

A za jego plecami będą opowiadać: „To ten, co wygłupił się z tymi pociskami...”

Na zatoce Woolloomooloo przeprowadzano skomplikowany manewr holowania lotniskowca amerykańskiego, tego samego, z którego wczorajszego popołudnia strzelano do rekina. Kilka przysadzistych, baliowatych holowników portowych, uczepionych linami do tępego dziobu okrętu, niczym sfera wściekłych, spienionych ogarów, ustawiało go do wyjścia na zatokę — ku otwartemu oceanowi, kilka innych napierało całą mocą maszyn na jego rufę. Jazda z portu! Na morze z wami! — pomrukiwały basem syreny holowników. Dosyć buszowania po knajpach Kings Crossu, włóczenia się po krzakach Rushcutters Bay Parku z dziewczynami, których faceci wydają ostatnie tchnienie daleko od tego pięknego kraju! Dowódca lotniskowca, dowódca ogromnych pancerników, których ciężkie działa mierzą jeszcze w kompleks budynków Garden Island, w magazyny Doku Kapitana Cooka, w kolonie ukwieconych różności Królewskiego Ogrodu Botanicznego, dowódca okrętów eskorty, dwadzieścia tysięcy chłopaków z Arizony, Kalifornii, Wyomingu, Nowego Jorku, Ohio, uwijających się na pokładzie swoich jednostek, nic sobie z tych syren nie robią. Good bye, Sydney! — wołają machając rękami. Sue, Peggy, Jane, Barbara, Irena, Betty, Annę, Rosie czy jak im tam, fajno było! Will be back again, tylko poczekajcie! W zalakowanych żółtych kopertach, spoczywających w sejfie flagowego okrętu tej armady, które wolno będzie otworzyć na pełnym morzu, zamknięte są ich losy. Dla jednych bardziej, dla innych mniej szczęśliwie — jak na loterii, ale tutaj, w Woolloomooloo Bay, nic się przez to nie zmieni. Na zwolnione przez nich miejsce wpłyną okręty, które wrócą z wielkiej bitwy morskiej, a ich załogi, gdy tylko jako tako dojdą do siebie, ruszą hurmem do knajp Kings Crossu, włóczyć się będą z Sue, Peggy, Jane, Barbara, Irenę, Betty, Annę, Rosie czy jak im tam po cienistych zakamarkach Rushcutters Bay Parku, podczas gdy życie w mieście toczyć się będzie jak każdego dnia.

Ale nie dla komandora Kennetha Walia. Jeszcze dzisiaj groźny Władca tej twierdzy wezwie go do siebie i powie: „Mam reumatyzm, wie pan... Kiedy zanosi się na zmianę pogody, to wiadomo... Ten upał nie będzie trwał wiecznie, prawda, komandorze?...” I spojrzy swoimi niebieskimi oczami prosto w jego duszę.

Można być czystym jak łąza, zasłonić się ciemnymi okularami, ścianą z żelbetu — nic to nie da, bo jego oczy widzą człowieka takim, jakim Bóg go stworzył. Nagim. Ten zapiekły Queenslander ma sposoby na ludzi. Radzi sobie z każdym jak spowiednik. Nie wiadomo, kim byli jego przodkowie: rzeźmichami z osirm-nastowiecznego Soho, dla których pętla z Old Bailey byłaby nadmiarem łaski, zwykłymi nieszczęśnikami, których łapano tuzinami na ciemnych ulicach i zakutych w dyby wysyłano na koniec świata, nieprawym miotem wielkiego pana, którego kochankę — biedną służebnicę we dworze — gdy tylko spostrzeżono jej brzuch, podrzucano chyłkiem na podnoszącą żagle fregatę kapitana Philippsa — w każdym razie są w nim cząstki, z jakich lepi się prawdziwych mężczyzn, uszlachcone australijskim słońcem i ciężką pracą. Pogoda będzie taka jak teraz. Wokół owalnego stołu odpraw sztabu — czterdzieści skupionych twarzy, w ciszę, jaka zapadnie po mowie władcy o łamaniu w kościach (co nie będzie miało nic wspólnego z reumatyzmem! słowa władcy trzeba czytać inaczej. Zmiana — tak, lecz nie pogody), wedrze się bzykanie muchy — małej, tutejszej odmiany tego upartego owada — która przemknie się przez nie domknięte drzwi siatkowe i

dawaj w te pędy za śmigłami wentylatora. Nie dość efektów dźwiękowych, bo raptem ni stąd, ni zowąd rozlegną się dźwięki melodii. Na sali konsternacja: posiedzenie sztabu przy muzyce — coś na pierwszą stronę gazet. Tanecznej... Co to może być? — pytają zasłuchani oficerowie. Coś zupełnie nieznanego, ale niezłego. Co to za utwór?

„Obudź się, Kenn! — woła na całą salę Buldożer. — To »Rosamunda«, nie poznajesz?”

Początek listopada — pełnia wiosny. Gorącej w tym roku. Najbardziej upalnej w stuleciu. Białe kwiaty akacji opadły już, zrobiły miejsce niebieskim dzakarandom. Przecinającym rozłożystymi koronami ziemię niczyją pomiędzy kompleksem zabudowań bazy a zatoką. Gdy się patrzy z okna gabinetu, wzrok zahacza o zielony skrawek cypla Mrs Macquairies, przeskakuje manewrujące okręty wojenne i wybiega w mglistobłękitne pustkowie oceanu. Ważne i zagadkowe sprawy się tam rozgrywają.

Niemiecka amunicja wyprodukowana niedawno... „Rosamunda”... Tokio... Wall, kiedy został szefem, zwiózł między tymi rzeczami. Miał sporo roboty. Wiele wziętych z tych blaszek. Na przykład to o czasie ich produkcji: me wcześniej niż w ostatnim półroczu. Oznacza to, że wyszły z fabryk gdzieś w marcu i zostały przetransportowane na tę półkulę. Czym? Jak?

Niemieckie u-booty grasowały już na Pacyfiku. Operując z baz zdobytych przez Japończyków zapuszczały się pod Samoa, Tahiti, zanotowano zatopienie nawet w pobliżu Wysp Wielkanocnych. Ale to zamierzchnia przeszłość. Na południowym Pacyfiku Japonia obecnie nie ma baz, a z azjatyckich za daleko. Nie ma także okrętu, który by bez zaopatrzenia po drodze w paliwo i żywność — z nawodnego okrętu macierzystego — mógł osiągnąć te wody. Nie ma okrętu, który uszedłby oczom nadzoru powietrznego sprzymierzonych. Ani nawodnego, ani podwodnego. Ale pociski niemieckie kalibru 9 milimetrów do esesowskiego szmajsera MP-40 i oficerskiego parabellum 08, którymi się strzela do białych ludzi, są.

Oddział radiolokacji Garden Island już zawarł znajomość z „Rosamundą”. Po raz pierwszy przed miesiącem. I wtedy, i teraz z anteny kierunkowej, ponieważ stacje na zachód od Perth i na wschód od Fidzi sygnału nie łapią. Nadawanie odbywa się dwa razy dziennie: o ósmej i osiemnastej czasu wschodnioaustralijskiego, zawsze o tej samej porze. Kilka tonów — pauza — kilka tonów powtarzanych dwukrotnie. To szyfr!

Wall podszedł do dużego globusu stojącego obok biurka. Bardzo dekoracyjna rzecz ten globus. Poprzednik Walia w tym pomieszczeniu, komandor porucznik Gavin Long, przejął go po admirałe amerykańskim, który zajmował ten gabinet w dniach, kiedy Japończycy szykowali się do skoku przez Wielką Rafę Koralową. A więc Tokio, pomyślał Wall i powiódł palcem po górnej półkuli. Jest! Następnie umiejscowił Perth oraz stolicę archipelagu Fidzi, Suwę, i odczytał południki: sto piętnasty dla największego miasta na zachodzie Australii; sto osiemdziesiąty dla małej dziury na oceanie, sklepanej z tykw bambusowych.

Uf! sapnął. Cztery tysiące mil z okładem! Szmat świata, gdzie jakiś drań — igła w stogu siana, pyłek w kosmosie — nasłuchuje „Rosamundy”. Nasłuchuje i co? Kiedy zaś złapie sygnał, a jest kulturalnym facetem, to chyba podziękuje nadawcy za fatygę, dokończył myśl. A wówczas...

Tego nie dopowiedział, co innego pochłonęło jego uwagę. Od palca opierającego się na stolicy Japonii, patrząc w dół, według domniemanego ukierunkowania anteny nadawczej, cały obszar północnego Pacyfiku jest pustką. Miliony mil kwadratowych oceanu, upstrzonego jedynie kropeczkami wysepek Bonin i Marianów, poniżej tych kropeczek też pustka. Absolutna. Tam nie może być adresata sygnału. Potem, idąc wciąż w dół — już na południowej półkuli — jest Nowa Gwinea z Archipelagiem Bis-marcka... Australia... Nowa Zelandia.

Dżungle Nowej Gwinei i wysp Bismarcka, Australia i Nowa Zelandia, dedukował Wall, odpadają. Gdzie wobec tego — stukał palcem w globus — znajduje się stacja odbiorcza sygnału?

Połączył się z Gavinem Longiem i Buldożerem. — Czy istnieje możliwość, żeby japoński okręt podwodny lub nawodny przemknął się pod parasolem naszego nadzoru lotniczego z baz

azjatyckich na Pacyfik? — zadał im identyczne pytanie.

— Okręt? — spytał powściągliwy Gavin. — Raczej... choć wszystko jest możliwe, ale nie. — Na wszelki wypadek poradził mu zasięgnąć języka w Perth.

Buldożer zaśmiał się jak z najlepszego dowcipu. Żółtki mieliby paradować pod jego nosem. Coś podobnego!

Wall nie dał mu szans na dłuższy monolog. Podziękował za informację i przełączył telefon na sekretariat.

— Helen, poproś do mnie kierownika oddziału radiolokacji, Powiedz mu, żeby się pośpieszył. Dziękuję.

Bardzo dobrze, że „Rosamundy” jeszcze nie ma. Tak nazwaliśmy nasz okręt macierzysty — od fokstrota, jakim Tokio zgłasza nam czas jego przybycia na miejsce spotkania z nami. To dobrze, będzie można w spokoju dokonać przeglądu siłowni, a i ludzie złapią nieco świeżego powietrza.

Od wyjścia z Bałtyku zrobiliśmy czterdzieści tysięcy mil. Jedna czwarta z tego przypada na trasę do naszej bazy na Malajach, potem akcje bojowe na Oceanie Indyjskim i Spokojnym — w sumie kawałek drogi równy prawie dwóm okrążeniom kuli ziemskiej. Ale nasz U-1852 spisuje się na medal. Ma konstrukcję niezwykle udaną. Wynalazca jego siłowni, profesor Helmuth Walter, z którym zaprzyjaźniłem się podczas pobytu w stoczni Schichau w Gdańsku, jest z niego słusznie dumny. Jest to bezsprzecznie rewelacja techniczna na miarę światową. Gdybyśmy dostali go do ręki dwa lata wcześniej, cała wojna — jak wyraził się sam wielki admirał Doenitz — byłaby na morzu wygrana. Nie wypowiadam się na temat wojny. Zostawiam to właściwym ludziom na właściwych miejscach. Ale co do okrętu, to rzeczywiście najwyższa klasa. Nie będę się wdawał w cyfry, zostawię na boku całą tak zwaną kuchnię naukowo-badawczą, w której wygotowano to cacko, ale podam kilka danych, zrozumiałych dla najzacieklejszego romantyka. Jedną jest prędkość. Nawodna i podwodna. Przedstawmy to na przykładzie zwierzyny i myśliwego. Nasza zwierzyna, statek handlowy, porusza się ze średnią prędkością dziesięciu węzłów, my — myśliwy — wyciągaliśmy pod wodą nie więcej niż siedem; o wynurzeniu się na powierzchnię za dnia w celu dopędzenia zwierzyny nie było mowy. Pozostawała diablo ryzykowna taktyka czyhania na konwoje nocą, a w wypadku wcześniejszego wykrycia — nierówna walka z szybkimi jak błyskawica niszczycielami. Wyścig o zwycięstwo toczył się z jednakową zajadłością na morzach i w pracowniach bukowych. Naszej taktyce atakowania nocą wilczymi stadami Anelicy przeciwstawili asdic — nowość w zakresie hydrolokacji na morzu. Już nie wystarczyło dać przed niszczycielami nura w głąbiny. Eskorta konwoju uzbrojona została w oczy: wszystkowiedzące dniem i nocą wiązki fal ultrakrótkich, naprowadzające bez pudła na zanurzony obiekt; reszty dokonywały bomby głębinowe. Rezultat pojedynku mógł być tylko jeden. Druga połowa ubiegłego roku zapisała się druzgocącą klęską naszych okrętów podwodnych. Asdic, objęcie nadzorem lotniczym wyposażonym w radar całego Atlantyku, wzmocnienie eskorty konwojów lotniskowcami pomocniczymi przeobraziło nas, groźnych wilków, w bezbronne kaczki. Nie do każdego prawda ta dotarła, choć to nie była już walka, lecz jednostronna jatka. Jednym słowem działania na Atlantyku skończyły się naszą przegraną. Przegraną bitwą czy wojną?

I tu znowu głos zabrała nasza nauka. Słynny belgijski badacz głębin morskich, profesor Piccard, potrzebował lat na zbudowanie jednoosobowego batyskafu głębinowego, nasi naukowcy, pracujący w bombardowanych z powietrza zakładach, dali marynarce elektroboot typ XXI, konstrukcję pod każdym względem wyprzedzającą myśl techniczną w budownictwie okrętowym o całe dziesięciolecie. Prawdziwa wunderwaffe na morzu. Zdolny zanurzyć się do sześciuset metrów, rozwijający pod wodą prędkość wyższą od najnowszych statków handlowych, wyposażony w chrapy do wydalania gazów spalinowych i pobierania tlenu atmosferycznego w zanurzeniu, przechwytyjący fale radaru lotniczego. Przechwytyjący — co to takiego? Więc obrazowo: fale radaru, emitowane z samolotu, myszkuje w promieniu kilkudziesięciu mil — w zależności od wysokości, na jakiej leci samolot. Ale my je natychmiast

przechwyujemy i kiedy samolot nadlatuje nad wskazane miejsce, nas tam nie ma. Nie znajduje nawet śladu po nas, bo siedząc już pół kilometra pod powierzchnią wody, jesteśmy dla lotnika niewidoczni; jedynie asdic zamontowany pod stępką niszczyciela może nas wyniuchać, jednak szansę sięgnięcia nas bombami głębinowymi są znikome, przekonaliśmy się o tym na Oceanie Indyjskim. Jesteśmy więc prawie nieuchwytni dla wroga. Dając nam zanurzenie, o jakim nieprzyjaciel nie wie (ta tajemnica jest ważna!), nauka uzbroiła nas w czapkę-niewidkę. Jesteśmy — pokazuje i asdic, i radar i jednocześnie nie ma nas. Naukowy hokus pokus fidybus.

Cholerna nauka! Nasza, niemiecka! — zachwyca się tymi osiągnięciami zastępca Hackego, kapitan Strelow. I dorzuca do tego wyliczanekę, do znudzenia tę samą: pięć lat wojny, walka na kilku frontach z połową świata, kraj bez własnych zasobów surowcowych; żaden naród nie wytrzymałby czegoś podobnego, a co dopiero zbudować w tych warunkach takie coś. Nie podejmuję z nim dyskusji, chociaż przyznaję mu rację. Strelow jest dla mnie typem równie obmierzłym jak nasz lekarz okrętowy, komandor podporucznik Frauenheim. Czapka z głowy przed naszą nauką, w porządku, nie bądźmy jednak ślepi na osiągnięcia przeciwnika. Nasz elektroboot, oprócz zalet, ma także swoje wady. Wynikające z wrodzonej nam tendencji do szlifowania rzeczy na wysoki połysk; nic się nie nauczyliśmy od Rosjan czy Amerykanów, nie cackających się z masówką przeznaczoną na zniszczenie. W fabrykach rosyjskich nie szlifuje się chropowatości odlewów, stocznie amerykańskie spuszczały na wodę statki, którym stawia się zadanie przepłynięcia oceanu w jedną stronę, a potem — szlag je trafił, mogą się rozlatywać, gdy my tymczasem wciąż po staremu: genau und nochmal genau.* I faszujemy okręty nowalijkami, precyzją, z tragicznym w skutkach uporem. Anglicy, ci wyznawcy złotego środka, nazywają taką technicznie przedobrzoną konstrukcję „too sophisticated” — za mądrą. Z czasem w seryjnej produkcji pewne elementy ulegną „odmądrzeniu”, do tego jednak niezbędne są dłuższe próby w morzu i praktyka, a na to czasu konstruktorom nie dano. Panom admirałom potrzebne są sukcesy. Nie odnosi ich wehrmacht ani luftwaffe, niech no führer tylko poczeka...

Jak na prototyp, okręt nasz spisuje się naprawdę dzielnie. Po czterdziestu tysiącach mil w morzu wiele urządzeń ma prawo do zużycia, ulega awarii lub po prostu wysiada. Żaden okręt z udanej serii VII-c, pod każdym względem sprawdzonej, bez przeglądu na suchym doku nie przerobił i połowy tej trasy. Tutaj nie do wiary: wszystko gra lepiej niż na początku. Strelow ma rację ze swoim zachwytem dla niemieckiej nauki.

*Dokładnie i jeszcze raz dokładnie (niem.)

Naszą misję podzielić należy na dwa etapy: pierwszy na Oceanie Indyjskim, drugi — Pacyfik. Z Gdańska wypłynęliśmy w maju. Wyjście zafiksowano pierwotnie na lipiec. Projekt okrętu obłożono pieczęcią najściślejszej tajemnicy wojskowej. Poza konstruktorami i nielicznym personelem technicznym stoczni, których hermetycznie odcięto od kontaktu ze światem zewnętrznym, o parametrach bojowych projektu wiedziało tylko wąskie grono osób z najbliższego otoczenia ministra uzbrojenia, Speera. Okręt zaliczono do arsenału wunderwaffe — cudownych broni führera, które miały odwrócić niepomysłny dla nas bieg wojny. Wybór stoczni podyktowany został względami bezpieczeństwa. Linię frontu wschodniego wytyczały Leningrad, Smoleńsk. Lotnictwo alianckie miało ręce pełne roboty z przygotowaniem swego obszaru operacyjnego do inwazji, Pomorze Wschodnie leży poza sferą jego zainteresowań — tak zakładano. Gdy raptem pewnej nocy pojawiły się nad Gdańskiem brytyjskie bombowce, postawiło to najwyższe czynniki w stan alarmu. Zdrada czy wypadek? Rozwikłanie zagadki powierzono służbom bezpieczeństwa, okręt na wszelki wypadek wyekspediowano do akcji wcześniej...

Wyprawa na Daleki Wschód nie była przecieraniem dziewiczych szlaków. U-bootwaffe zapisała już tam swoją obecność podczas tej wojny, i to bynajmniej nie atramentem sympatycznym! Było to w okresie szczytowych zdobyczy terytorialnych Japonii. Operując z

ich baz, buszowaliśmy z powodzeniem na obu oceanach. Kiedy jednak karta się odwróciła, nasze okręty spotkał taki sam los jak na Atlantyku. Tym razem wybieraliśmy się w drogę jako zdecydowany faworyt. „Ojczyzna powierza wam cudowną broń. Macie topić przeciwnika, niszczyć bez litości jego siły materialne i żywe, nie oglądając się na nic. I za żadną cenę nie dać się odkryć! Sukcesy wasze wróg może zaliczyć na konto Japonii, nie o chwałę nam obecnie chodzi”.

Nie oglądając się na nic... Męski język. Trochę nowy jak na tradycje kriegsmarine, ale podobno godny naszych czasów. Niejednemu z „wybrańców ojczyzny, która im tego nigdy nie zapomni”, przypadł cholernie do gustu. Taki język i pięćdziesiąt siedem zasłuchanych twarzy. Pokerowy język: Topić — kupujesz? Kupuję. Bez oglądania się na nic — kupujesz? Kupuję —

I tak dalej. Coś dla silnych. Dać się złapać za rękę... Co to to nie! Ojczyzna liczy na swoich wybrańców.

Hotelik mały, wszystkiego kilkanaście pokoików, w sam raz dla takiej pary. Okno wychodzi na Lange Markt wybrukowany prostokątną kostką. Plac przecinają dwie nitki szyn tramwajowych prowadzące donikąd. Zaczyna się ono za Bramą Królewską — to, patrząc z okna, po prawej ręce, na wprost pyszni się Złota Kamienica wytapetowana szcudrze tym kruszczem, po lewej, na tle buroczerwonego masywu ratusza, wypina się w tanecznej figurze Neptun z trójzębem w garści. Władca ludzi morza. „Nie będzie mnie przez dłuższy czas” — mówi wysoki mężczyzna w szybę okna. Zegar na ratuszu wybija ileś tam uderzeń, ich echo wsiąka w ciasne uliczki starego miasta. Jeżeli jesienią, to pod murami kuśtyka zgarbiona babinka, a jeżeli wiosną lub latem, to na placu rozbrykane dzieci i dużo gołębi. „Nie będzie ciebie przez dłuższy czas, mówisz...” Więcej kobieta nie powie. Palce jej zacisną się na ramieniu mężczyzny, a potem przylgnie do niego całym ciałem.

— Ilu takich jak ja wyruszyło z tego pokoiku w swoją drogę donikąd? — zadaje sobie w duchu pytanie mężczyzna.

Hoteliki takie zostają w pamięci. Ale niech. To nawet dobrze.

Wybór bazy operacyjnej padł na Penang, oddalony o milę od Półwyspu Malajskiego.

Ciekawa rzecz to zbudowanie miasta na maciupkiej jak napałek wysepce i wożenie sampanami wszystkiego, co potrzebne dla setek tysięcy ludzi, przez cieśninę, kiedy krok dalej ziemi bez liku. Ale nie nasza sprawa, nie przybyliśmy tam w celach krajoznawczych. Właśnie przez swoje odcięcie od lądu, bliskie sąsiedztwo kichy Sumatry, zasłaniającej dostęp do półwyspu, i oddalenie od lotnisk brytyjskich Penang był dla nas idealną bazą operacyjną. Cały Ocean Indyjski leżał przed nami. Otwarty i nie strzeżony przez lotnictwo. Lepszych warunków do sprawdzenia wartości bojowych naszej „Elektry” nie potrzebowaliśmy. Zalety jej poznaliśmy już, opływając Afrykę. Ręce aż swędziła na widok nie eskortowanych statków — rozbisurmanili się Anglicy! Ale musieliśmy patrzeć na to przez palce. Już od roku Japończyków na tych wodach nie ma, pokazanie się torpedy zdradziłoby naszą, niemiecką obecność. Powściągliwość tę szybko sobie wynagrodziliśmy. Dwa miesiące operowania na szlaku Lidie — Australia i dwanaście zatopionych statków na koncie. Stawiało to nas w absolutnej czołówce na liście zwycięskich u-bootów w tym roku. Tyle statków i ani razu nie wykryci ani przez niszczyciele, ani przez lotnictwo — mieliśmy pełne prawo do dumy. Radiooficer Gunther Schlindwein przechwycił komunikat Londynu o ożywieniu działalności japońskich okrętów podwodnych na Oceanie Indyjskim. Japońskich... Aż żal. I nagle ten rozkaz: Obszar operacyjny: południowy Pacyfik; zadanie: paraliżowanie żeglugi. Paraliżowanie żeglugi jednym okrętem... Bardzo to podobne do naszych panów admirałów.

Więc przeprowadzka. Dobrze, że świat nie jest parę razy większy, bo nie wiadomo, gdzie jeszcze by nas wysłano. Południowy Pacyfik to, od Penangu licząc, pięć tysięcy mil w jedną stronę, pięć tysięcy w drugą, razem dziesięć tysięcy — ładnie to sobie wykoncypowano. A skąd paliwo na taką trasę? Spokojna głowa. w naczelnym dowództwie kriegsmarine też o tym

pomyślano, z morza, zaopatrywani będziemy przez okręt macierzysty. Krążownik podwodny typ XX. Krążownik... Uf, o czymś takim nawet nie marzyłem. Gra musiała być warta świeczki, przecież budowa takiego okrętu to ogromne przedsięwzięcie. Strelow, całkowity ignorant w tych sprawach, nie omieszczał dać załodze wykładu o potęgze niemieckiej nauki. Nie tylko nauki... — mógłbym dodać. Zamyśl akcji musiał powstać dawno temu. Od tego czasu nasza sytuacja na frontach uległa radykalnemu pogorszeniu. Francja, Włochy stracone, Rosjanie na linii Wisły — też to krok od naszych granic! Ale das deutsche „gesagt” bleibt gesagt”, i tym gorzej dla faktów. Przecież powiedziano!

Zaopatrywanie w morzu — to już bywało na Atlantyku. Lecz co w wypadku jakiejś poważniejszej awarii?

Przedwczesne porody są dla działu maszynowego prawdziwym utrapieniem. Wszelkie niedoróbki, partactwo budowniczych spada zawsze na mechaników. Na szczęście „Elektra” spisuje się na medal. Chwała za to naukowcom, chwała konstruktorom, chwała gdańskim stoczniovcóm! Ale roboty rrimo to nie brakuje. Siłownia systemu Waltera wymaga od obsługi wysokich kwalifikacji oraz dużej znajomości termodynamiki. To absolutna nowość w mojej specjalności. Konstruktor dobrze zrobił, ściągając wcześniej całą trójkę mechaników na coś w rodzaju kursu przygotowawczego, a niezależnie od tego — na moją prośbę — spowodował zamustrowanie na okręt swego asystenta, Henninga Gehr-manna. Był to strzał w dziesiątkę. Przez pewien czas czułem się nie w sosie. Chłopak zaledwie po studiach. U boku takiej sławy rychło wywindowałby się na wyżyny. Henning sam rozproszył moje zastrzeżenia. „W czapkę mogę tu dostać — wyznał ze swoim łobuzerskim uśmiechem po nalocie RAF-u — więc o co chodzi?” Poza tym rwał się do wielkiej przygody, a na to nie ma rady. Mat podchorąży Henning Gehrman to moja najwyższa instancja w sytuacjach podbramkowych w tej skomplikowanej lokomotywie okrętu, czuję się przy nim pewniejszy siebie.

Opóźnienie „Rosamundy” jest siłowni na rękę. Przydałoby się także oczyścić kadłub z glonów. Okręt wygląda jak potwór z zamierzchłych czasów oblaźły cuchnącą sierścią, wcale się nie dziwię orkom podpływającym do niego agresywnie. Tracimy przez to na prędkości i nośności. Z tym drugim pół biedy: zwiększenie masy okrętu wyrównujemy ubytkiem torped, prowiantu, a przede wszystkim paliwa i słodkiej wody, dwóch najważniejszych dla nas składników. Na nic torpedy, miny, gdy zbiorniki zadźwięczą pustką. Taki dźwięk, wyobraźnia o nim odbiera mi sen. Praca siłowni głównej, generatorów, pomp szasów, kuchni, zwykłego srabla, całe życie okrętu zależy od paliwa. Tu małe uzupełnienie: źródłem energii wszystkich okrętów wyposażonych W siłowni dieslowskie jest mazut, można go bunkrować w każdym porcie lub w ostateczności „pożyczyć” go sobie od jakiegoś napotkanego statku. Nasza „Elektra” nie jest jednak kundlem. To rasowe bydło. Jedyne, jak dotąd, na oceanach odżywiający się \$erhydroleni. Gdyby ktoś nie obeznany z tymi sprawami spytał, co to takiego ten perhydrol, to odpowiedź brzmi: To jest to, co doktor Werner von Braun używa jako napędu swoich raketach spadających na Londyn. Paliwo to można ależć tylko w jednym kraju świata. Oddalonym od nas o dwadzieścia tysięcy kilometrów. Tak więc usłyszeć dźwięk pustych zbiorników w naszej sytuacji to nic do śmiechu. Odpycham od siebie tą wizję. Bronię się przed nią jak skazaniec przed chrobotem klucza w drzwiach celi, tym ostatnim. Zresztą jestem niepoprawnym optymistą. Głowa do góry i co tam, wyjście zawsze się znajdzie. Takie albo inne, więc o co zmartwienie, kiedy w zbiornikach spory jeszcze zapas, a „Rosamunda”, to przyjemne dla ucha blim, blim, blim-blim-bym, przytupuje w eterze.

Blim, blim, blim-blim... To ona.

Blim, blim, blim-blim-blim-blim-blim... To jej język.

Blim, blim, blim-blim... Którym mówi X Due Y Within Forty Eight Hours; gdzie X równa się „Rosamunda”, a Y oznacza 57°04,6' szerokości południowej i 181°092,2' długości wschodniej To jest dokładna pozycja naszego okrętu w tej chwili. Oczekujcie „Rosamundy” w ciągu czterdziestu ośmiu godzin! — woła to blimowanie.

Ale porosty kadłuba odbijają się na zużyciu paliwa. Trzeba je zedrzeć. Osadzić okręt na

suchym doku i porządnie oskrobat z tego świństwa. A z braku doku... uwiązać ludzi na linkach i wysadzić za burtę.

Zdumiewająca jest odwaga naszej załogi lub, jak kto woli mechaniczne posłuszeństwo. Wystarczyłoby słowo Hackego a ochotnicy do skoku by się znaleźli. I w lodowatą wodę, i między te kilkunastometrowe stworzenia, które biorą nas za spasionego kaszalota. Nie chcę o tym myśleć, bo dochodzę do głupich wniosków. Na temat naszego braku wyobraźni pod tym względem powinna się wypowiedzieć psychiatria, tak mi się wydaje. Ale refleksje refleksjami, a nasz cud ze stali pancernej wygląda jak wyciągnięty z gnoju. Diabło śliskiego i śmierdzącego, aż strach spuścić nogę z pomostu nawigacyjnego.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Podporucznik Horst Neuenahr, drugi oficer pokładowy, w moje, ja w jego. Do jego obowiązków należy między innymi odczytywanie obciążenia okrętu z jego zanurzenia na powierzchni morza — sprawa ważna dla tak zwanej „dzielności”, czyli zachowania się okrętu w morzu, wszyscy dowódcy są na to uczuleni. Pierwsze, co dyżurny oficer pokładowy robi po wyskoczeniu na pomost, to właśnie to, następnie spogląda pytająco na głównego mechanika. „No, bratku, ile tam ważą twoje zapasy?” — oznacza to spojrzanie. A potem co do grosza oblicza wpływ tego zgnitego świństwa na prędkość okrętu i zużycie paliwa. Podrapałem się po głowie. Wyobraźnia moja w takiej chwili pracuje przeciwko mnie. Jest sprzymierzeńcem Hackego, dla którego nie istnieją żadne względy pozasłużbowe. Trzymam się z takimi sadystycznymi typami (za dużo myślę o tym hyclu. Stanowczo za dużo, ale jak nie myśleć? I to jest lekarz...) jak komandor podporucznik Frauenheim, na nim wyobraźnia moja się urywa i oddaje mnie w ręce intuicji, jeżeli coś takiego istnieje. Uśmiecham się. Prosto w jasnoblond czuprynę Horsta Neuenahra rodem z Bad Ahrweiler i czekam, do-nóki jego usta nie skrzywią się w takim samym uśmiechu jak mój. Żadne słowa przy tym nie padają. Słowa w naszej „Elektrze” padają rzadko, a jeżeli, to przeważnie o „Rosamundzie”. Stała się ona głównym obiektem naszych myśli. Niczym linia widnokregu, poza którą kryje się i spełnienie nadziei, i Nieznane. Dla mnie ciężkie jak wieczność.

Z tą „Rosamundą”, niemiecką „Rosamundą” nadawaną w Azji, to nie był chyba najlepszy pomysł. Panowie w sztywnych, białych kołnierzykach, urzędujący w dowództwie kriegsmarine, myślą nadal tak, jak gdyby na świecie podsłuchu radiowego nie było.

W ciemnościach tunelu zamigotało światło. Światło czy tylko miraż? — chciał wiedzieć szef sekcji wywiadu bazy Garden Island.

Sekcja zapozna się chętnie z punktami widzenia innych służb na temat:

Co wiadomo o sygnale nazwanym przez komandora Bena Cadmana z Perth „Rosamunda”?

Oddział Radiolokacji:

— Nasłuch radiowy oddziału przechwycił sygnał już przed miesiącem — zerknięcie okiem do notatnika — dziesiątego i jedenastego października, z Tokio. Nadawany był dwa razy dziennie: o ósmej i osiemnastej czasu wschodnioaustralijskiego, czas nadawania według zamiaru oddziału: sześćdziesiąt sekund. Po miesięcznym milczeniu sygnał odezwał się znowu wczoraj i dziś, w tych samych godzinach co w październiku. Adresat sygnału może przebywać wszędzie. W naszym kraju, w Nowej Zelandii, na każdej wyspie leżącej w strefie odbioru, na pokładzie statku, wszędzie.

Sekcja Wywiadu:

— A pod wodą? Oddział Radiolokacji:

— Te fale radiowe jeszcze nie przenikają. Adresat może ukrywać się w głębinach, to niewykluczone, ale żeby przechwycić sygnał, musi się wynurzyć. To samo z odzewem. Nadać go może — jeżeli nie przebywa na lądzie lub w powietrzu — tylko z powierzchni wody. A na to oddział czeka.

Ale to niełatwa sprawa. Wojna w eterze prowadzona jest z taką samą przebiegłością jak na każdym innym polu walki, z tą różnicą, że wszędzie wiadomo, gdzie strzelać, podczas gdy w eterze, dopóki przeciwnik się nie odezwie, pozostaje nieznany. A i jak się odezwie, niełatwo

go zlokalizować. W tej chwili oddział zna pasmo nadawania sygnału, nie wie natomiast, z jakiego pasma skorzysta jutro i czy przechwytywany sygnał jest wywoławczy — mówi: odezwij się, czy zawiadamiający o czymś; kombinacji może być wiele. Sygnał słyszalny jest od Fidżi do Wysp Kokosowych. Objęcie nasłuchem takiego obszaru jest praktycznie niemożliwe, oddział może go tylko przeczesać i czekać. Niestety.

Sekcja Wywiadu:

— Rozumiem.

I pytanie:

— A sam sygnał? Czy nie wydaje się dziwny? Sekcja Szyfrów:

— Sygnał jest nietypowy dla Japończyków, ale czego się nie robi dla wyprowadzenia kogoś w pole; nie należy przywiązywać do tego specjalnej wagi. Praca sekcji rozpocznie się od odezwania się odbiorcy sygnału, wówczas będzie można powiedzieć o nim coś bliższego, a nawet coś o jego pochodzeniu. Fakt. Doświadczony operator prowadzący nasłuch rozpozna, kto siedzi przy kluczu. Każdy uderza według swojej szkoły — inaczej Brytyjczyk, inaczej Amerykanin, inaczej Japończyk. To tak jak mówienie tym samym językiem przez ludzi różnych narodowości. Więc kiedy...

Sekcja Wywiadu:

— Rozumiem.

I pytanie:

— A może ktoś inny wypowie się na ten temat?

Sekcja Bezpieczeństwa Żeglugi — Pacyfik Południowo-Zachodni:

— Sygnał niczego specjalnego nie oznacza. A gdyby tak, zamiast tej „Rosamundy” czy jak jej tam, rozległy się w eterze tony „God Save the King”...?

Sekcja Wywiadu:

— To prawda.

I pytanie:

— A Niemcy? Czy sekcja dopuszcza możliwość, teoretycznie biorąc, jakiejś ich obecności na tych wodach?

Sekcja Bezpieczeństwa Żeglugi — Pacyfik Południowo-Zachodni:

— Teoretycznie założyć można wszystko, ale to przeszłość. Kilka ich okrętów podwodnych, jakie się kiedyś tu pokazały, spoczywa na dnie. Niemcy są skończeni.

Temat „sygnał” uważa się za wyczerpany, otwiera się nowy temat.

Temat:

Na północny zachód od wyspy Lord Howe rybacy poławiający tuńczyka wydobyli z wody szczątki białego człowieka, w których jaleziono dwa pociski z ręcznej broni palnej. Jeden do pistoletu Maszynowego szmajser MP-40, drugi do parabellum 08. Obydwa rodzaje broni używane są w armii niemieckiej.

Pytanie:

— Czy nasuwa to jakieś uwagi?

Oddział Radiolokacji:

— Niemieckiej?

Sekcja Wywiadu:

— Niemieckiej.

Biuro Hydrografii:

— Nie ma tu pomyłki?

Sekcja Wywiadu:

— Ekspertyzę przeprowadził Mike Schilbach...

Biuro Hydrografii:

— Ach, Mike...

Sekcja Wywiadu:

— Czy nasuwa to jakieś uwagi? Na przykład Sekcji Bezpieczeństwa Żeglugi — Pacyfik Południowo-Zachodni?

Sekcja Bezpieczeństwa Żeglugi — Pacyfik Południowo-Zachodni:

— Sekcja interesuje się statkami jeszcze nie zatopionymi. Szczątki ludzi to nie specjalność sekcji.

Sekcja Wywiadu:

— A obecność w nich niemieckich pocisków?

Sekcja Bezpieczeństwa Żeglugi — Pacyfik Południowo-Zachodni:

— To nadał nic nie mówi. Niemcy są sprzymierzeńcem Japonii. Przerzuty broni uprawiane były między tymi państwami do samego wybuchu wojny. Więc rzecz całkowicie naturalna.

Sekcja Wywiadu:

— Znalezione w szczątkach pociski wyprodukowane zostały w Niemczech nie wcześniej niż w pierwszej połowie tego roku.

Oddział Radiolokacji:

— W pierwszej połowie... Skąd ta pewność?

Sekcja Wywiadu:

— Od Mike'a Schilbacha.

Oddział Radiolokacji:

— Ach, tak...

Sekcja Bezpieczeństwa Żeglugi — Pacyfik Południowo-Zachodni:

— Z równym powodzeniem mogły być pochodzenia brytyjskiego lub amerykańskiego. I też nic by to nie mówiło.

Sekcja Wywiadu:

— A komu by powiedziało, gdyby mówiło?

Biuro Hydrografii:

— Gdzie wyłowiono te szczątki?

Sekcja Wywiadu:

— Sto mil na północny zachód od wyspy Lord Howe.

Biuro Hydrografii:

— Wyspa Lord Howe leży w paśmie prądu, który opływa Australię od południa z prędkością dwóch mil na godzinę. Wystarczy trochę arytmetyki, aby wyliczyć, że człowiek, z którego szczątki te pozostały, znalazł się w wodzie bardzo daleko od tej wyspy. Karkołomna hipoteza z tymi pociskami, biuro się pod nią nie podpisuje.

Sekcja Bezpieczeństwa Żeglugi — Pacyfik Południowo-Zachodni:

— Czy można?

Sekcja Wywiadu:

— Proszę bardzo.

Sekcja Bezpieczeństwa Żeglugi — Pacyfik Południowo-Zachodni:

— Wywiad zdaje się popuszczać wodze fantazji. Sprawę szczątków sekcja widzi prosto. Wykończenie Niemców powierzono na obecnym etapie wojny siłom anglo-amerykańskim, nasi chłopcy mają zająć się swoim podwórkiem. Czy Londyn jest cacy odbierając im prawo do udziału w zadaniu wrogowi, z którym porządnie się natarmosili, wykańczającego pchnięcia, sekcja nie ustosunkowuje się do tego, faktem jest, że od paru miesięcy jednostki australijskie i nowozelandzkie wracają do kraju. I tu małe scenario: Na jednym transportowcu płynie facet, który dobrze zapisał się na skórze swoich podwładnych. Pewnego sztormowego dnia, wieczoru czy nocy dwójka z tych podwładnych przydybała gorliwca na pokładzie. Padają dwa strzały ze zdobyczej broni, i po krzyku. Ta forma rozliczeń praktykowana jest we wszystkich armiach, pod każdą szerokością geograficzną. Potem wyławia się szczątki i ktoś zachodzi potężnie w głowę. Normalka. Sekcja nie widzi tu nic sensacyjnego.

Sekcja Wywiadu:

— Hm...

Sekcja Hydrografii:

— To scenario ma ręce i nogi. Broni się.

Sekcja Wywiadu:

— Tak, na to wygląda. Dziękuję.

Papiery z biurka zgarnął do szuflady, klucze wrzucił do kieszeni. Pora na lunch. Kasyno wkrótce zapełni się. Do jego stolika przysiąda się: Simon Morrow z Bezpieczeństwa Żeglugi, Brian Gladstone z Hydrografii, i będą dalej walczyć sprawę pocisków.

Jeżeli zjawi się kontradmirał, podglądający z daleka jego poczynania, można iść o zakład, że skorzysta z okazji, by się czegoś dowiedzieć.

Wall zdecydował się zjeść lunch w mieście.

Jedna i druga już siedziały w wozie. Ubrane jak do rosołu: szorty, coś bezwstydnie wąskiego na piersi, sandały — bardziej do kąpieli w odosobnionym miejscu niż na jazdę po mieście w biały dzień. Ledwie włączył starter, Flo powiedziała, że Simon Morrow z Bezpieczeństwa Żeglugi zrobił na niej wrażenie. Zbrodnia doskonała. Dwa strzały, i facet leci za burtę — scenariusz klasa. Ale co ze statkami, które przepadają bez wieści? Czy mądry Simon byłby łaskaw znaleźć scenario i na to?

Sprawę tę Wall zostawił na później. W staroholenderskim Stuyvesant House obowiązuje ściśle przestrzegany porządek: żołądek, podniebienie; problemy rezerwuje się na deser. Po smakowitym steku, czerwonym winie w Stuyvesant podają do myślenia cygaro. June w długiej, wieczorowej sukni, w szafirowych bucikach na wysokim obcasie wystawiła swoją śliczną twarz w sali na pożarcie. Urocza. Całkowicie inny typ niż Flo, ale równie szalowa. Zasłonił się chmurą dymu. Jeszcze dziś wysłałby list, którego nie dałoby się zawrócić z drogi. Jeszcze dziś, wracając do bazy, zboczyłby do szpitala z wiązką czerwonych róż.

A ciocia Elfrieda?

Szelest tweedu spódnicy obciążanej na udach, gorąco jej bliskości działające na niego niczym magnes na opiłki metalu... Była przecież żoną wuja Donalda, matką Florence, i raptem...

„To jest to — przemówiła smarkatym językiem Flo. — Tak, na pewno” — szepnęła mu w ucho.

Pochylił się ku jej ustom.

„Tak uważam — ciągnęła. — Scenario Simona niczego nie załatwia, przemyślałam to jeszcze raz. Ma ręce i nogi, nie przeczę, ale zasada się na sensacyjnej stronie zdarzenia: nafaszerowany ołowiem facet leci za burtę, sprawcy mordu wtapiają się w ciżbę pasażerów, the end. Rybacy poławiający tuńczyka w pobliżu wyspy Lord Howe wyciągają szczątki ludzkie obdziobane przez rekiny. Mądrego człowieka nie zastanawiają pociski. Lekarza nie trapi jawne morderstwo, o którego wykryciu winien był zawiadomić odpowiednie władze, lecz ślad szczęk jakiegoś carcharodo-na carchariasa, którego w czasie wyławiania szczątków nie powinno jeszcze tu być. Typowe dla statycznej inteligencji lekarza! Brian Gladstone rzuca na sprawę właściwe światło. Posłuchaj Uriana!

Golfstrom, ten atlantycki, przemieszcza masy wody z prędkością do siedmiu mil na godzinę. Makronezja zawdzięcza zaludnienie prądowi południoworównikowemu. Prąd, który opływa Australię od południa, ma prędkość dwóch mil. Mnożąc tę prędkość przez godziny przebywania szczątków w wodzie, uzyskasz odległość dwóch tysięcy szesnastu mil. Cofnąwszy się o tę odległość od miejsca wyłowienia szczątków, znajdziesz się...”

Wall rzucił na tacę banknot i pospieszył do samochodu.

Brian Gladstone pomógł mu odtworzyć trasę na swoich specjalistycznych mapach. Trwało to kilka godzin, ale rezultat obliczeń wart był zachodu:

Człowiek, z którego szczątków wydobyto pociski do szmajsera MP-40 oraz pistoletu parabellum 08, ręcznych broni palnych używanych przez niemieckie siły zbrojne, znalazł się w wodzie w punkcie 38°05'1” szerokości południowej i 112°09'4” długości wschodniej.

Przed sześcioma tygodniami, to jest dnia drugiego października, w miejscu tym zaginął bez wieści frachtowiec bandery greckiej s/s „Pireus”.

Przed sześcioma tygodniami zaginął wraz z całą załogą frachtowiec grecki s/s „Pireus”, przedwczoraj podobny los spotkał frachtowiec amerykański s/s „Golden Creek”. Obydwa statki zaginęły na wodach nadzorowanych przez Australię.

W pobliżu wyspy Lord Howe wyłowiono szczątki ludzkie. Badania ustaliły czas przebywania szczątków w wodzie na sześć tygodni.

W szczątkach znaleziono dwa pociski z ręcznej broni palnej używanej w armii niemieckiej.

Badania medyczne ustaliły niezwykle ważną rzecz: człowiek, z którego szczątków wydobyto niemieckie pociski, zabity został dopiero w wodzie.

Ekspertyza stopów metali ustaliła niezwykle ważną rzecz: pociski niemieckie wyprodukowane zostały nie wcześniej niż wiosną tego roku.

Według obliczeń Biura Hydrografii człowiek, którego szczątki wyłowiono, znalazł się w wodzie w miejscu zaginięcia frachtowca bandery greckiej s/s „Pireus”.

Konradmirał Sleigh wysłuchał tego bez zmużenia oka. To on w grudniu ubiegłego roku zapewnił dowództwo Królewskich Australijskich Sił Zbrojnych o oczyszczeniu wód południowo-zachodniego Pacyfiku z wrogich okrętów podwodnych.

Chwilę obracał w ręku dwa zdeformowane kawałki metalu.

— Do czego one pana prowadzą?

— Są dla mnie początkiem długiej drogi...

Konradmirał czekał. To nie było wszystko, co pragnął usłyszeć

— ... i że muszę ją przebiec w bardzo szybkim tempie. Błyskawicznym.

Konradmirał czekał na więcej. Na kropkę nad „i”.

— Myślę — Wall ciągnął jak po grudzie — że zaginięcie „Pireusa” i „Golden Creeka” to jest jedna sprawa.

— Fakty są rewelacyjne — po chwili ciszy podjął konradmirał — Ogromnej wagi, Ale co z nich, wynika?

— Bardzo ryzykowna teza. Nie chce się wierzyć, aby miała się sprawdzić.

Sleigh wpatrywał się niewidzącymi oczami w dużą mapę Admiralicji na ścianie. W ledwie widoczną na niej brunatną plamkę z napisem „Germany”.

— Chętnie zapoznam się z pańską ryzykowną tezą — powiedział.

— Zakłada ona obecność na Pacyfiku niemieckich okrętów podwodnych, których dowództwo dopuszcza się wyjątkowo ohydnej zbrodni — wyrzucił z siebie Wall. — Sprawdzenie słuszności tej tezy wymagać będzie zaangażowania Londynu i Waszyngtonu, podjęcia od zaraz przeszukiwania oceanu w nie stosowanym dotąd zakresie. Gdyby moje założenia miały się okazać niewypałem...

Zawisł spojrzeniem na konradmirale.

— Podpisuję się pod pańską tezą w całości — usłyszał. — Od czego proponuje pan zacząć działanie?

Każda minuta była teraz droga.

— Od trzech rzeczy — odrzekł Wall. — Zadzwoń pan do swego starego przyjaciela, generała Blameya, i poprosi go o niezwłoczne przyjęcie mnie; pańskim samolotem dyspozycyjnym powinienem być w Canberze nie później niż za dwie godziny. Dalej: jeszcze dziś zarządzi pan podjęcie na nowo poszukiwań przez Siły powietrzne i morskie śladów po „Golden Creeku”. Jutro minie trzecia doba od zaginięcia statku, ocean zacznie oddawać swoje ofiary. I ostatnia rzecz. Na sprawę — ukryjemy ją pod kryptonimem... „Wielkie Łowy” — połóż pan całun tajemnicy. Dopóki założenia się nie potwierdzą, prasa winna być trzymana z daleka od podjętych działań. Co pan na to?

Konradmirał podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z naczelnym dowódcą Królewskich Australijskich Sił Zbrojnych, generałem sir Thomasem Blameyem.

— Ken — przemówił — odwiozę pana na lotnisko.

Topiąc na Atlantyku statki paraliżowaliśmy dostawy żywności i broni do Anglii. Każdy okręt podwodny z załogą nie większą od plutonu piechoty jedną torpedą zadawał cios równoznaczny z wyłączeniem z pola walki całych pułków. Rachunek przemawiał zdecydowanie na naszą korzyść; to samo zadanie spełnialiśmy z powodzeniem na Oceanie Indyjskim. Ale wraz z zakończeniem walk w Afryce basen ten stracił swoje znaczenie. Pozostało nam wracać na wody Europy północnej albo dokonywać nadal rajdów z naszej bazy w Penang na konto Japończyków. Kończyliśmy południową sjęstę. Obsługa techniczna doprowadzała okręt do sprawności bojowej. Poprzedni rajd nie był łatwy, obecnie nie ma oceanów bezpiecznych dla okrętów podwodnych, nawet takich jak nasz. Zatopić statek to pół biedy, hazard zaczyna się od momentu wystrzelenia torpedy. Od tego, czy statek pójdzie na dno za jednym ciosem, to jest szybko, w ciągu paru sekund, czy też zdąży jeszcze podać swoją — i przeciwnika — pozycję, od tej chwili zaczyna się spektakl. Catałiny, operujące z Darwin czy Perth, latają z potężnym ładunkiem bomb głębinowych; Royal Australian Navy, której niszczyciele kontrolują ten akwen, dużo się od początku wojny nauczyła. Ale my też! Mieliśmy przed sobą perspektywę trzech tygodni pobytu na lądzie. W St Nazaire były kafejki, bistro w każdej kamienicy. Był błękit nieba francuskiego zachodniego wybrzeża, była plaża, nie tak ziarnista jak gdzie indziej, lecz wciąż jeszcze plaża; była Loara szeroka jak morze, wijąca się wśród seledynowozielonych pól Eretanii, od czasów Joanny D'Arc nie zabarwiona krwią; Lyło złoto, purpura, cisza Katedry Dziewicy naginająca myśli do sięgnięcia w głąb duszy, były wreszcie francuskie dziewczyny, z których nie każda przemieniała się w fortecę, dlatego że w swoim czasie zapomnieli ją zdobyć ich mężczyźni. Tydzień w St Nazaire ożywiał ciało zmęczone atlantyckimi polowaniami, dwa tygodnie kładły przesłonę na oglądane na oceanie niesamowitości, trzy — to już coś warte ceny życia. Tak było w St Nazaire, w La Rochelle, w akwitańskim Bordeaux nad Garonną czy w Brest. W Penangu jest inaczej. Jest więcej słońca niż w całej Francji, więcej zieleni niż w całej Europie, więcej kolorów niż w tęczy, tyle że drapieżnych, jak wojska ustawione w szyku bojowym, odziane w odmienne barwą i krojem mundury, czatujące na okazję, do ataku. Wystarczy chwila nieuwagi, a ze zwarcia uchodzi z życiem tylko jedna armia. Ale nie na długo. Bo kiedy obsadza zdobyte pozycje oddziałami ufnymi w swoją siłę, rzucają się na nią zastępy, co tylko wyczekiwały jej zadufania. I tak w koło. Od początku świata. Wszystko jest przejaskrawione, nienaturalnie wielkie. Kwiaty, które gdzie indziej nie wybijają się ponad otoczenie, tu pyszną się na metrowych łodygach; tak samo zolbrzymiały się motyle, pająki, karaluchy, na które strach nadepnąć, albo szczyry stawające człowiekowi do oczu. Tu, zaraz za naszymi plecami, za drutami kolczastymi i minami strzegącymi dostępu do naszej bazy, udającej nadbrzeżną wioszczybę, jest raj Malajów. Każdym tchnieniem swojej rozpasanej natury nam wrogą. I ten zielony, i ten rozlany w bezbrzeżną pustynię. Monsun wiejący z Oceanu Indyjskiego, który wpada na ląd niskimi chmurami, nie ma w sobie nic ze skoncentrowanego dęcia atlantyckich sztormów, nieustraszonych dla znajdującego ich metody; ten walczy po swojemu. Rozkołysze lustro oceanu w niebotyczne góry, uformuje je w rozszalałe tarany i bije nimi wściekle we wszystko, co na drodze. A dla doprowadzenia intruza pochodzącego ze strefy klimatycznej wstrzeźliwości wciąga do spółki słońce i podczas zenitalnych potopów skraca widzialność do odległości wyciągniętej ręki. I byłoby dobrze, gdyby tak zostało, bo morze wody, co każdego ranka i wieczora spada na ziemię, zaczyna pod działaniem słońca wracać do nieba, i wtedy już nie ma czym oddychać. Jedyne wówczas ratunek to jak najszybsza ucieczka z tego raję.

Rozmamłanie spiekotą pokonywaliśmy grą w skata. Potem dowódca artylerii porucznik Wenk zaproponował pokera. Zasady prostsze od skata, a napięcie jak podczas wymigiwania się niszczycielom, bardzo męska gra. Rzucił talię do losowania, gdy Strelov zauważył, że poker wymyślili Amerykanie. Przy okazji dał nam wykład o pochodzeniu gier hazardowych. Okazało się, że brydż, oko to gry angielskie, bakarar — włoski, ruleta — francuska, rzucanie kości — żydowski, same dekadencje zabawy; do wyboru pozostał nam skat i... dziecinada: sześćdziesiąt sześć. Z impasu wyprowadziło nas wezwanie do Hackego.

Podziwiam jego odporność psychiczną. Przed naszą wyprawą przefiltrowano wszystkie sprawdzone w operacjach oceanicznych załogi. Selekcji dokonywał sam admirał okrętów podwodnych von Friedeburg, zatwierdzał kandydatów naczelny dowódca marynarki, wielki admirał Doenitz. Hackego ściągnięto z okrętu odbijającego już od nabrzeża, mnie, Strelova, Wenka i innych, przychodzących do siebie po ranach — z naszej bazy szkoleniowej na Bałtyku, w Gdyni; skąd wyrwano Frauenheima, nikt właściwie nie wie. Każdy z nas zdał egzamin praktyczny. Nie mam pojęcia, jak Hacke radził sobie z ludźmi na Atlantyku. Bojowo — znakomicie, nie ustępuje takim asom jak Prien, Schepke, Kretschmer. Ale ci dla załogi byli kolegami, a i czasy były bardziej radosne: w nastroju upojenia zwycięstwami najcięższy wysiłek przychodzi łatwo. Wydaje się to tak odległe, że wprost nieprawdziwe. Wypływało się na Atlantyk niczym statkiem rybackim na obfity połów, po zapełnieniu ładowni wracało do macierzystego portu, aby po rozładunku wyjść w kolejny rejs. A między jedną podróżą a drugą nagrody. Co noc inne. Co nowa, to szczodroliwsza... Wspaniałe niemieckie dziewczyny! Bez problemów. Ale w takiej sytuacji inaczej nie może być, na głębi potrzeba głębi. Czasu, wewnętrznego spokoju, by móc dosłyszeć uderzenie czyjegoś serca. Niezbędne są do tego: cisza, ptaki, kwiaty, pogoda ducha. I siła. Miałas rację, Brigitte: prawda mieszka na szczycie szklanej góry, a ja na dodatek wybrałem się w drogę z niezbyt wyostrzonym spojrzeniem...

Ciężkie myśli. Czuję się jak pokutnik, choć nikt żadnej pokuty mi nie zadał. Jak gdybym stał nad własnym grobem. Nie musi być najlepiej z moimi nerwami.

Zjawiliśmy się w bambusowej samotni dowódcy skape ni w lepkiej mazi. W krótkich spodniach, podkolanówkach, rozchełstanych koszulkach wyglądaliśmy jak angielscy handlarze niewolnikami zwabieni okazją darmowego uzupełnienia towaru. Monsun zdusił igłę barometru do oporu. Powietrze przesiąknięte było wodą morską, wonią zgniłych glonów, rozkładających się ryb i kauczukowca, bogactwa Malajów. Ta mieszanka wlewała cię syropem do płuc i wylewała przez skórę rzekami potu. Życie na równiku jest dla Europejczyka ciągłą kąpielą we własnym pocie. Nasi japońscy sprzymierzeńcy gotowi byli je nam umilić... Hacke i jego alter ego z piekła rodem, Frauenheim, zasłonili się względami czystości rasy germańskiej; Streiov i Weak po chwilowym wyczekiwaniu ich poparli, a ja... nie mógłbym pieścić dziewczyny wiedząc, że następnego ranka wyłowią ją z kanał i z poderżniętym gardłem. Więc nie tylko my chcemy mieć kobiety rasowo nie splamione. Rzuca to pewne światło na przyszłe stosunki pomiędzy nami a Japończykami. Niektóre sprawy wymagać będą uregulowania.

Jak się okazało, w Berlinie już o tym pomyślano.

Wojna nie jest jeszcze przegrana. Wynik ostateczny nie zależy od linii frontów biegnących dziś tu, jutro tam, tylko od lotnictwa. Współczesny samolot bojowy to przede wszystkim łożyska kulkowe, łożyska to nikiel, nikiel w świecie to Nowa Kaledonia. Odciąć wrogowi dostawy niklu, a sparaliżujemy jego przemysł lotniczy. Attache morski naszej ambasady fatygował się z tym łamańcem semantycznym aż z dalekiego Tokio. Ni-Vel — delektował się tym słowem podrzuconym chytrze głodnej sukcesów kuchni w Berlinie. Tam szybko wygotowano z tego „Nowe zadania bojowe dla 33 u-bootflotille — Stützpunkt Penang”. Nie będziemy więcej pracować na rachunek Japończyków. Koniec z uganianiem się za byle frachtowcem. Efekt statystyczny walki odkłada się ad acta, przechodzi się na dalekosiężne cele strategiczne. Samolot bojowy to łożyska kulkowe, łożyska to nikiel, na to się przestawiamy. Na wzniesienie zapory dla statków płynących z Nowej Kaledonii. Nie będzie to wcale trudne. Plutokracja zachodnie, rozzuchwalone sukcesami, wstrzymały eskortowanie, żeglugi transportowej na Pacyfiku; pokażemy im, że do śmiechu jeszcze daleko. Ale nie tylko to. Nasza walka na tych wodach ma w swoim czasie przypomnieć Japonii o tym, że Nowa Brytania, Nowa Irlandia, Papua nazywały się kiedyś Nową Pomeranią, Nową Meklemburgią, Krajem Cesarza Wilhelma, cały zaś obszar oceanu położony na północny zachód od Archipelag a Salomona — Niemiecką Nową Gwineę...

Wspaniałe. A po zniszczeniu frachtowców z rudą niklową uziemionym plutokracjom

zachodnim wysłamy ultimatum: Bezwarunkowa kapitulacja albo niemieckie wojska lądują w San Francisco. Całkowite pomieszenie zmysłów!

Nie pozostawiono nas czarnym myślom na pożarcie.

Miasto będzie świadkiem wielkiego wydarzenia. Komendant Penangu, generał Oshimura, nie zapomniał o swych gościach. Byłby niepokieszony, gdyby nie zaszczyli go swoją wizytą.

Zaproszenie przyjęto w naszym imieniu, attache bardzo nas tym uradował. Byliśmy bowiem nie tyle sojusznikami, ile więźniami tego skośnookiego Napoleona z szablą u boku. Trzymanymi za drutami kolczastymi. Kontaktującymi się ze światem zewnętrznym przez oficera łącznikowego, który zresztą dopuszczał nas do siebie bardzo rzadko. Łącznik tak nam to tłumaczył: „Biała człowiek angielska zrobić krzywda tutejszemu człowiek. Malajska człowiek nie odróżniać dobra niemiecka człowiek od zła angielska człowiek. You understand, yes?”

Malajska człowiek dostać w kość od angielska biała człowiek, dostać w kość od holenderska biała człowiek, dostać w kość od portugalska biała człowiek. Od żółta japońska człowiek też. My odróżniać gdakanie kura od gdakanie karabin maszynowy na ulica, my wiedzieć malajska człowiek pływać bez głowa w kanał, my to understand. Ale chętnie zapakowaliśmy się do autobusu. Penang jest dużym miastem, nowoczesnie rozbudowanym przez angielska biała człowiek, widać to zza drutów. Tego stąd nie widać, ale podobno ma nie najgorszą dzielnicę rozrywki: parlory masażu, tancerki, palarnie opium — wyczytałem to z przedwojennych folderów turystycznych. Warto by ją zaliczyć.

Drogę ulicami torowała nam uzbrojona eskorta na motocyklach, kawalkadę zamykała uzbrojona eskorta na motocyklach. Dobra żółta japońska człowiek nie czuć się pewnie wśród żółta malajska człowiek, widać to jak na dłoni. Radiooficer Günther Schindwein szturchnął mnie w bok. — Co to za widowisko?

Łącznik kiwnął pokornie głową.

— Tak?

— Co to za widowisko, pytałem?

— Niemiecka człowiek, dobra człowiek. Angielska człowiek, amerykańska człowiek — niedobra człowiek. Bardzo zła jest australijska człowiek. You understand, yes?

Schindwein jest upartym dociekliwcem, wiedziałem, że nie da się spławić. O widowisko pytał, na które gnamy na łeb na szyję nie bacząc na rikszarzy i pieszych. — O, to — pokazał na migi — you understand?

Oczy łącznika zwięzły się w uśmiechu.

— O, yes, I understand! Niemiecka oficer is very good. Przyjaciół japońska oficer.

Berlin ma nosa. Nasze stosunki z Japonią wymagać będą po zwycięskiej wojnie w Europie uregulowania.

W jakim celu oni to zrobili? Urządzenia portowe w Penangu nie są warte wysłania okrętu podwodnego na płytkie wody cieśniny Malakka. Parę metrów trzeszczących w szwach nabrzeży, dwa hektary bambusowych magazynów, miliard szczurów nie są warte splunięcia, a co dopiero okrętu podwodnego i wyborowego oddziału komandosów. Lecz Australijczycy, którzy się tego ryzykownego zadania podjęli, myśleli inaczej.

Śmierć człowieka w tym kraju jest, według Buddy, początkiem kolejnego życia w innym wcieleniu; jest radosnym oczekiwaniem, gratką dla gapiów. Ale tutaj umierać będą biali ludzie! Słodkawy fetor tłumu może złamać najbardziej odpornego na azjatyckie wonie; znając Japończyków miałem nadzieję, że „widowisko” skończy się szybko. Rośli Australijczycy ze spętanymi na plecach rękami wyglądali na wyzwolonych już z ziemskich pragnień. Ich nirwana blisko. Wyzłifowane na brzytwę ostrze samurajskiego miecza połyskiwało w słońcu. Jako najlepszemu „Anglikowi” spośród załogi służbisty łącznik objaśniał mi sposób egzekucji. Klęczącemu skazańcowi jeden pomocnik kata zarzuca linkę na szyję, drugi — na spętane ręce i każdy ciągnie w swoją stronę; łącznik nie pamięta wypadku, aby naciągnięty w ten sposób kark nie oddał głowy za jednym cięciem. Egzekucja przebiegała zgodnie ze starojapońskim rytuałem: rzucenie skazańca na kolana, zakładanie pętli, charczenie, krzyki,

cyrkowa gestykulacja oprawców — nie mogłem na to patrzeć. Jeżeli ktokolwiek skaże mnie na śmierć, niech mnie rozstrzela, powiesi, utopi, posadzi na krześle elektrycznym, byle nie w ten sposób. Podtrzymałem pobladłego Henninga Gehrmana za łokieć. Henning jest naukowcem w dziedzinie turbin spalających nadtlenu wodoru żołnierzem jest krótko; jego reakcję na tę jatkę rozumiałem. Rozumiałem też ogniki ciekawości, żadnej egzaltowanej, zwykłej ciekawości w oczach naszego medyka: widoku odcinanych hurtem głów jeszcze pewnie nie oglądał. Konwulsyjnie zaciśnięte szczęki Schlindweina, zlana potem twarz drugiego mechanika, Rudolfa Garbaty'ego, rzyganie w chusteczkę Horsta Neuenahra, rzeczowa przytomność naszego wykładowcy z bożej łaski, Strelowa, wszystko to dla mnie było jasne jak słońce nad tym śmierzącym placem; jednego nie rozumiałem...

Komuś nie obeznanemu z wojną podwodną może wydać się obłudą, jeśli powiem, że my, załoga maszynowni, rzadko stajemy twarzą w twarz z okropnościami walki prowadzonej bezpośrednio. Ale fakt, większości z nas istotnie to dotyczy. Wojnę znamy z eksplozji bomb głębinowych, z ratowania uszkodzonych instalacji, usuwania awarii; nawet podczas walki nawodnej tkwimy wewnątrz okrętu nasłuchując tylko odgłosów kanonady na pokładzie. Główny inżynier odpowiada wtedy za utrzymanie odpowiedniego zanurzenia okrętu, aby nie zmyło z pokładu artylerzystów i dowódca, co jest zadaniem wcale niełatwym; więc pilnuje jedynie głębokościomierza. Kiedy jakiś mechanik opowiada, jak walił dzielnie do wroga, można to śmiało między bajki włożyć. Walić w portki ze strachu podczas boju w wynurzeniu, to załozie maszynowni może się zdarzyć, ale nie do wroga. Natomiast jeśli z uszkodzonego okrętu ktoś wychodzi cało, nie jest nim raczej mechanik. Mechanicy do ostatniej chwili tkwią przy swoich urządzeniach, a kiedy pada komenda „opuszczać okręt!” — dla nich bywa zwykle za późno. Co innego załoga pokładowa.

Zwycięstwo swoje „Postrach Malajów”, generał Oshimura, uczcił rautem w najlepszym hotelu na wyspie. Tęgo polala się sake. Po sake były popisy tancerki sprowadzonych specjalnie z Kuala Lumpur, po popisach znowu sake, potem tancerki bez popisów, potem różne przeplatanki, które przy naszych skopanych nastrojach bez pomocy sake by nie wyszły. Żłopiać sake, nie odejmując sobie niczego od gęby — tarzając się, babrząc we wszystkim jak bydlak, jak ostatni skurwysyn — próbowałem rozsypać to, czego na placu nie rozumiałem.

Pewnej ciemnej nocy na Atlantyku dowódca okrętu podwodnego, ładującego na powierzchni akumulatory, spostrzegł nagle przed sobą dziób idącego na staranowanie go niszczyciela. W ostatniej chwili dał nura, a ledwie grzmot śrub przewalił się nad nimi, rozległy się eksplozje bomb i trzask pękającego poszycia zewnętrznego kadłuba. Z uszkodzonym silnikiem, z wygaszonymi światłami, ze smrodem pożaru elektrycznego trafiony okręt zaczął osuwać się w głębinę. Kolejna seria bomb dosięgła go na krytycznej głębokości dwustu trzydziestu metrów. Opisanie stanu umysłów ludzi zamkniętych w ciemnym, bezwładnym kadłubie, tego, co się w ich głowach przewija, nie podejmuję się.

Tak samo stanu ducha dowódcy, od którego zachowania i decyzji zależy życie wszystkich. Co powinien robić, wiadomo z ćwiczeń. Nie dopuścić do paniki, to przede wszystkim, potem — nie zwracając uwagi na jakiegokolwiek ludzkie odruchy — zmusić załogę do zapalenia światła awaryjnego, do uruchomienia pomp, do za-kłajstrowania przecieków, do wprawienia w ruch nieczynnych urządzeń, do wygaszania pożaru elektrycznego — wszystko w błyskawicznym tempie, bez względu na paraliżującą świadomość, że wysiłki te są bezcelowe, gdyż tropiciel, który okręt osaczył, trzyma go uwięzionego impulsami swego asdika i za sekundę nastąpi kolejny atak, celniejszy, że jeżeli ten nie będzie ostatni, to po nim spadać będą bomby aż do tragicznego skutku. Przyjmując jednak, że opisałem to wiernie, nie wyobrażam sobie, abym mógł scharakteryzować uczucia człowieka decydującego się w tym absolutnie beznadziejnym potrzasku na wynurzenie się pod działa czatującego przeciwnika i nie poddanie się, ale podjęcie z nim walki. Jaka się na oceanach jeszcze nigdy nie rozegrała: walka zdemolowanego, nie mającego najmniejszych szans ujścia z życiem Dawida z silnie uzbrojonym i opancerzonym Goliatem. Której rezultat może być tylko jeden.

Dwanaście dni później do St Nazaire przyturlało się niesamowite widmo okrętu podwodnego.

Jego dowódcą był kawaler Liści Dębowych z Mieczami do Krzyża Rycerskiego, dwudziestotrzyletni komandor podporucznik Kurt Hacke. Ten sam Hacke, który na placu w Penangu w obecności „Postrachu Malajów”, attache morskiego ambasady Wielkich Niemiec w Tokio, dwóch tysięcy półnagich gapiów i całej swojej załogi — kiedy głowa skazańca potoczyła się pod jego nogi — zemdłał. Tego nie rozumiałem.

Admiralicja Brytyjska, Londyn. Mała sala posiedzeń Pierwszego Lorda Admiralicji.

W drzwiach pojawiał się pierwszy lord. Szef gabinetu Admiralicji anonsuje:

— Gentlemen, the First Lord of the Admiralty! Pierwszy lord:

— Dobry wieczór panom. — Siada przy stole, jego sekretarz rozkłada przed nim teczkę. Lord rozgląda się po obecnych. Pomimo późnej pory i nagłego wezwania znajduje wszystkich zainteresowanych sprawą. Również osobę, na której mu szczególnie zależy. — Przepraszam pana, pułkownika Bogacki, za przerwanie pańskiego lotu. Ściągnięto pana z samolotu już startującego do Polski. Bardzo pana za to przepraszam. — I do szefa swego gabinetu: — Proszę, zaczynaj.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Gentlemen! Do Admiralicji wpłynęła z Canberry wiadomość. Wymaga ona zweryfikowania w trybie, pilnym naszych informacji, dotyczących operacji u-bootwaffe na oceanach, jej aktualnego stanu bojowego oraz potencjału produkcyjnego niemieckiego przemysłu budowy okrętów podwodnych. Co jest treścią tej wiadomości z Canberry, dowiedzą się panowie później. Proponuję, byśmy zorientowali się w stanie naszej wiedzy o tej broni. Jeżeli nie ma kontrpropozycji... Nie ma. Wobec tego mażemy zaczynać. Sztab operacyjny, proszę.

Sztab operacyjny Admiralicji:

— Dane odnoszą się do stanu na koniec października bieżącego roku.

Ocean Atlantycki:

Aktywność nieprzyjaciela ogranicza się do operacji pojedynczych jednostek — wobec pełnej kontroli oceanu przez nasze siły morskie i powietrzne, mało skutecznych. U-bootwaffe nie stanowi już liczącego się zagrożenia dla naszej żeglugi atlantyckiej i na morzach europejskich. Wszystkie porty norweskie, duńskie i inne, znajdujące się jeszcze w posiadaniu Niemiec, są zablokowane.

Obszar Dalekiego Wschodu:

Operacje japońskiej broni podwodnej ograniczają się od mniej więcej roku do zaopatrywania garnizonów odciętych na wyspach obu oceanów. Pacyfik południowo-zachodni jest bezpieczny dla żeglugi. Operacje bojowe na Oceanie Indyjskim są sporadyczne. W marcu bieżącego roku wykryto w Penangu obecność niemieckich marynarzy. Jak się okazało, byli oni członkami nowo utworzonej 33 flotylli okrętów podwodnych, działającej z japońskich baz w Azji południowo-wschodniej. Flotylla, składająca się prawdopodobnie najwyżej z trzech jednostek, wykazała się spektakularnymi akcjami bojowymi, dokonując wypadów aż w rejony Fidzi, Tahiti i Wysp Wielkanocnych. Kontrakcja wszczęta przez siły sprzymierzonych zakończyła się szybko wyeliminowaniem tych okrętów: jeden zatopiony został w trakcie przepływania cieśniny Malakka, drugi na Morzu Hawajskim, trzeci w pobliżu zachodniej Samoa. Od września, poza paroma straconymi statkami, czego przyczyny mogą być różne, uznaje się wody Australii i Pacyfiku jako wolne od nieprzyjacielskich okrętów podwodnych, tak japońskich, jak i niemieckich.

Ocean obecnie stanu u-bootwaffe:

Podam kilka liczb, które obrazują stan bezprzykładnej klęski U-bootwaffe, zadanej jej przez Royal Navy i RAF: od początku wojny zatopiliśmy w boju ponad sześćset trzydzieści okrętów, podwodnych, z czego dwieście dwadzieścia sześć tylko od stycznia do października bieżącego roku; z trzydziestu dziewięciu tysięcy personelu bojowego na stanie osobowym u-bootwaffe ponad trzydzieści jeden tysięcy spoczywa na dnie oceanów. Jest to... Szef gabinetu

Admiralicji:

— Malowniczo powiedziane. Budujące to dla brytyjskiego ucha. Zapomniał pan napomknąć o ciężkach, jakie nam u-bootwaffe sprawiła, lecz mimo to budujące. Ma pan, wiceadmirale, jeszcze coś równie pogrzipiającego?

Sztab operacyjny Admiralicji:

— Zagalopowałem się, przepraszam. Do oceny pozostaje aktualny stan potencjału produkcyjnego niemieckiego przemysłu budowy okrętów podwodnych. Ale to już sprawa wywiadu. Jeżeli nie ma pytań, pozwolę sobie na razie podziękować.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Dziękuję, chętnie posłuchamy przedstawiciela wywiadu marynarki. Proszę bardzo.

Secret Intelligence Service — Royal Navy (SIS-RN), komandor Roger Hamilton:

— Królewskie lotnictwo bombowe, latające nad Niemcami jak nad własnym podwórkiem, ma zawsze najświeższe informacje. Aby się nie powtarzać, chętnie odstąpię pierwszeństwo głosu wywiadowi RAF. Jeśli można, sir?

Szef gabinetu Admiralicji:

— Co na to RAF?

Secret Intelligence Service — Air Force (SIS-AF), pułkownik David B. Slow:

— Wydaje się, że mój kolega szykuje się do podstawienia mi nogi... Ale przyjmuję propozycję.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Wobec tego proszę.

Secret Intelligence Service — Air Force:

— Najnowsze zdjęcia stoczni niemieckich położone nad Morzem Północnym, stoczni duńskich i norweskich, wykonane przez zwiad lotniczy, przedstawiają obraz kompletnego zniszczenia. Ale mimo to nowe okręty są wodowane. Jak oni to robią — nie dowiemy się tego chyba wcześniej niż po wojnie. Tak więc okręty nadal są spuszczone na wodę, co jednak nie oznacza, że wchodzi do operacji. Prowadzone od wielu miesięcy masowe bombardowania wyłączyły z produkcji rafinerie nafty i zakłady paliw syntetycznych. Istniejąca jeszcze u-bootwaffe nie otrzymuje paliwa.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Co na to wywiad marynarki?

Secret Intelligence Service — Royal Navy:

— Ale je ma. W żelbetowych silosach, odpornych na najcięższe bomby RAF-u. Zapasy nie są już wielkie. Z chwilą wyczerpania, niedaleką, resztki u-bootwaffe staną na kotwicy.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Czy to oznacza, że u-bootwaffe nie jest zdolna do operacji dalekooceanicznych?

Secret Intelligence Service — Royal Navy:

— Jako zorganizowana siła, nie.

Szef gabinetu Admiralicji:

— A do akcji pojedynczych okrętów podwodnych? Operujących na przykład z Penangu?

Secret Intelligence Service — Royal Navy:

— Indywidualne akcje zawsze są możliwe. Teoretycznie. Od czasu wyeliminowania okrętów trzydziestej trzeciej flotylli nie zaobserwowano niemieckiej obecności w Penangu. Baza ta jest nieczynna. W obecnej fazie wojny u-bootwaffe nie jest zdolna do operowania na tamtejszych wodach.

Szef gabinetu Admiralicji: i — Co na to sztab?

Sztab Admiralicji: i — Raczej nie.

Pierwszy lord Admiralicji:

— Raczej nie, czy nie bez „raczej”?

Sztab Admiralicji:

— No... nie, sir. Pierwszy lord:

— Hm... — I do szefa gabinetu: — Proszę kontynuować.

Szef gabinetu Admiralicji:

— To wyjaśnia nam pewne rzeczy, dziękuję. Ale nie wszystkie. Otrzymaliśmy z Canberry wiadomość o zaginięciu na wodach Australii dwóch frachtowców. Choć pogoda była idealna, żaden nie zdołał wysłać SOS, podać swojej pozycji, nie uratował się ani jeden członek załogi, w miejscu zaginięcia statków nie znaleziono zwłok. I oto po pięciu tygodniach od zaginięcia pierwszego statku s/s „Pireus” wyłowiono szczątki białego człowieka, z których wydobyto dwa pociski z ręcznej broni palnej. Będącej na wyposażeniu niemieckich sił zbrojnych... Badania wykazały: po pierwsze — szczątki należą do człowieka, który znalazł się w wodzie dokładnie w miejscu zaginięcia ss „Pireusa”; dwa — człowiek ten zabity został dopiero w wodzie, powtarzam: dopiero w wodzie! i trzy — pociski wyprodukowane zostały nie wcześniej niż w ciągu ostatniego półrocza...

Canberra stawia bulwersującą tezę: Na wodach południowo-zachodniego Pacyfiku grasuje niemiecki okręt podwodny... Którego dowództwo, w wiadomym sobie celu, morduje rozbitków... Teza wydaje się mało prawdopodobna. Nie wyobrażam sobie kierownictwa wojskowego wysoko cywilizowanego kraju, które — w beznadziejnym już położeniu — decyduje się na podobną awanturę. Canberkę popiera naczelny dowódca sił brytyjskich w Azji, admirał książę Mountbatten.

Sztab Admiralicji:

— Byłby to wypadek pogwałcenia przez Niemców konwencji haskiej również na morzu. Trochę niezrozumiały.

Obszar Operacyjny — Morza Europy Północno-Wschodniej, kontradmirał Alexander W. Parole:

— Sztab ma wciąż jeszcze złudzenia co do hitlerowskiego dowództwa kriegsmarine. A pancernik „Schleswig-Holstein”... Ta zbrodnia im nie ujdzie, zapłacą za to głowami!

Szef gabinetu Admiralicji:

— Tę sprawę rozstrzygnie po wojnie sąd. Jeżeli nie mamy podstaw do zakwestionowania tezy Canberry...

Głos z sali:

— Absurd! Jak można na tak wątlej przesłance skakać od razu w chmury! Canberkę popiera admirał książę Louis Mountbatten. Wielkie nazwisko, członek rodziny królewskiej, pięknie zapisana wizytówka w tej wojnie... Ale w tych sprawach nie najwyższy dla nas autorytet.

Inny głos:

Wielki admirał Doenitz jest totumfackim Hitlera, to wiemy. Nie jest jednak głupcem! Musiałby mieć fioła, aby w tym stadium wojny wysłać okręty na drugi koniec świata z jasno sprecyzowanym rozkazem unicestwienia rozbitków. SS, wehrmacht zdolne są do najgorszego, ale nie kriegsmarine. Etyka zawodowych oficerów niemieckiej marynarki wojennej — cesarskiej czy innej — była zawsze wysoka.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Są jeszcze chętni do zabrania głosu? — Rozgląda się po sali. — Nie ma. Wobec tego pytanie: — Czy istnieje możliwość — niezależnie od braku uzasadnienia dla takiej operacji — prześlizgnięcia się pod naszym nosem niemieckich okrętów podwodnych na Pacyfik? Wiąże się z tym problem zaopatrzenia po drodze w paliwo. Do wiosny bieżącego roku Japończycy, posługując się banderą neutralną, wysyłali swoje zakamuflowane zbiornikowce w rejon Madagaskaru. Z chwilą roztoczenia naszego nadzoru nad wodami południowego cypla Afryki możliwość pobierania paliwa w morzu praktycznie nie istnieje.

Centrum Badawczo-Rozwojowe Royal Navy, profesor doktor Bernard T. Higgins:

— Proszę o głos.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Słuchamy pana, profesorze.

Profesor doktor B. T. Higgins:

— Dla okrętów podwodnych, z jakimi Royal Navy ma do czynienia od początku wojny, podróż taka, bez uzupełnienia paliwa po drodze, byłaby niemożliwa. Ale... — Szuka w teczce

dokumentu.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Tak?

Profesor przerywa poszukiwania, odkłada teczkę na bok.

— Ale dla okrętów niekonwencjonalnych — kładzie nacisk na słowo: niekonwencjonalnych — to znaczy typów o zwielokrotnionych parametrach operacyjnych, tak. Niemcy pracowali usilnie nad okrętem, który miał być jedną z cudownych broni pana Hitlera. Informacje te nie są dla naszego wywiadu tajemnicą. Może koledy z SIS-RN powiedzą nam łaskawie, dlaczego zaniechano śledzenia prac nad nowym, pod wieloma względami wybiegającym daleko w przyszłość typem okrętu podwodnego; od dłuższego czasu nic na ten temat nie dochodzi do naszego centrum.

Szef gabinetu Admiralicji pochyła się ku pierwszemu lordowi. Następuje cicha wymiana zdań pomiędzy nim, pierwszym lordem i jego sekretarzem, po czym szef gabinetu, przewodniczący posiedzenia, podnosi rękę. Uwaga! Będzie miał ważną wiadomość do zakomunikowania.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Odpowiemy panu na to, profesorze. Za chwilę. Tymczasem zarządzam dziesięciminutową przerwę na filiżankę herbaty.

Pułkownik Edward Bogacki skierował się pospiesznie do telefonu. Domyśla się dalszego ciągu posiedzenia i tego, jakie zapadną na nim decyzje. Już ma plan działania. Brawurowy jak wszystkie akcje tego rodzaju.

Pułkownik ma własną opinię o etyce dowódców hitlerowskich sił zbrojnych łącznie z kriegsmarine. Nieco odmienną od tych, jakie tu wyrażono.

Dziesięć minut przerwy, liczy w duchu, plus dwie godziny gadaniny, plus droga na lotnisko zatłoczonymi ulicami, plus czas niezbędny na przygotowanie się... Akcja wymagać będzie piekielnego tempa. Z szesnastu komandosów biorących udział w ostatnich „wycieczkach” do kraju poległo dziesięciu. Ale chętnych nie zabraknie. Potrzebuje jednego. Najlepiej blondyna, wysokiego, z aktorską żyłką. Anglicy zechcą dorzucić swojego człowieka, choć to zbyteczne. Kogo? Musiałby to być ktoś władający i polskim, i niemieckim — SOE takich ma. Ma Reginalda Eazela, byłego wicekonsula w Polsce. Ma Harolda Merknisa, właściciela fabryki gdzieś na Pomorzu. Ma Richarda Oruszkowskiego, Anglika polskiego pochodzenia. Ma Patricka Bowartha, byłego inspektora technicznego Lloyds Register of Shippnig w stoczni Schichau w Gdańsku, znającego tamtejszy teren na przetrzał; Patrick byłby najlepszy, choć mógłby zwolnić tempo akcji. Oni nie robią niczego na hura.

Wywiad polskiej Armii Krajowej dokonał nieprawdopodobnego wyczynu. Z najbardziej osaczonego kraju okupowanej Europy dostarczył do Londynu największą tajemnicę Hitlera — nie uszkodzoną, kompletną rakietę V-2. Ta sprawa musi się też udać!

Pułkownik zamyka szczelnie kabinę telefoniczną.

— Daj mi Adama — mówi do oficera dyżurnego polskiej bazy „cichociemnych”.

— Adama?

W bazie jest dwóch młodych ludzi o tym imieniu. — Mireckiego — dodaje.

Rozmowa z porucznikiem Adamem Mireckim nie trwa długo. Jest dwudziesta druga — za późno na osiągnięcie zrzutowiska w lasach kościarzyńskich, w dodatku w ciemnościach. Bristole to niezastąpione maszyny do lądowania i startu w każdych warunkach terenowych. Ale są powolne. Lot przy obecnej pogodzie potrwa z sześć godzin. Dodać do tego czas na likwidację śladów i osiągnięcie celu...

— Adam, bądź gotowy do startu jutro o szesnastej — mówi. — Szczegóły później.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Mam nadzieję, że herbata dobrze nam zrobiła. Gentlemen, proponuję zrekonstruowanie sprawy tajemniczego okrętu, a następnie zastanowimy się nad dalszymi krokami. Głos ma SOE.

Special Operations Executive — Europa Wschodnia (SOE-EE)*, Patrick C. Bowarth:

— W ubiegłym roku wywiad polskiej Armii Krajowej doniósł nam o przystąpieniu do

budowy w stoczni Schichau w Gdańsku serii nowych okrętów podwodnych. Tajemnica roztoczona nad pracami wzbudziła nasze zainteresowanie. Niemcy uciekli się do drastycznych środków ochrony, podobnych do tych, jakie zastosowali w centrum budowy V-1 i V-2 Peenemunde: personel techniczny wyższego szczebla poddany został szczegółowemu nadzorowi, robotnicy skoszarowani, nikt poza konstruktorami nie miał wglądu w całość projektu. Nie trzeba dodawać, środki te wzmogły tylko wysiłki polskiego wywiadu, który końcu znalazł dostęp do budowanych okrętów. Okazany się nimi jednostki o nieznanym rozwiązaniach konstrukcyjnych, wyposażone w nowy rodzaj siłowni głównej, napędzanej paliwem o ogromnej wydajności energetycznej, perhydrolem. Zapadła decyzja zniszczenia okrętów w końcowej fazie budowy. Formacje bombowe RAF dokonały ataku nocnego na stocznię, w którego wyniku wiele jednostek znajdujących się na pochylniach uległo zniszczeniu bądź uszkodzeniu. Dane te nie są niestety całkowicie pewne. Penetracja stoczni z zewnątrz została po ataku uniemożliwiona, a dla dziennego zwiadu lotniczego Gdańsk, ze względu na odległość jest niedostępny. Według obserwacji z maja bieżącego roku jeden z tych okrętów, nazwanych przez Niemców „typ XXI”, wyszedł na Bałtyk w rejs próbny, z którego po kilku dniach nie powrócił do stoczni, tylko zawinął do Gdyni. Dostęp do okrętu, nawet na odległość umożliwiającą wykonanie zdjęć, okazał się niemożliwy. Poruszyliśmy niebo i ziemię — też bez skutku. Już następnego ranka nabrzeże, przy którym okręt był zacumowany, świeciło pustką. Tym samym sprawa wyszła poza obszar działania naszej organizacji i zgodnie z decyzją centrali przejęła została przez Secret Intelligence Service.

*Organizacja koordynująca działalność ugrupowań podziemnych w okupowanej Europie z poczynaniami sztabów brytyjskich.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Dziękuję, Patrick. Mam nadzieję, że niepowodzenie to nie zniechęciło cię do tego okrętu... Patrick C. Bowarth ze Special Operations Executive uśmiecha się skromnie. Szef gabinetu Admiralicji:

— Tak myślałem. Chętnie teraz posłuchamy SIS. Co masz w zanadru, Roger?

Secret Intelligence Service — Royal Navy, komandor Roger D. Hamilton:

— Istotnie, sir, w tym miejscu przejęliśmy sprawę. Żałujemy, że nie dopuszczono nas do niej wcześniej, może potoczyłaby się inaczej. Ale SOE zazdrośnie pilnuje swego ogródka...

Pierwszy lord Admiralicji:

— „Zazdrośnie pilnuje swego ogródka”, powiedział pan. Ciekawe. Słyszałem, że dla wytrawnego pracownika wywiadu nie istnieje problem ogródków zazdrośnie pilnowanych...

Secret Intelligence Service — Royal Navy:

— Oberwało mi się, sir, dziękuję. Nie pierwszy raz w starciu z SOE. Przystępuję do sprawy: Wywiad marynarki nie przyglądał się rozwojowi wydarzeń. W Zatoce Gdańskiej z założonymi rękami. U-bootwaffe przeniosła tam swoje centrum szkoleniowe z Bałtyku urządzono poligon ćwiczebny dla okrętów podwodnych, nie mogliśmy więc nie interesować się tym terenem, a tym bardziej tajemniczym produktem stoczni Schichau. Ale tu ponieśliśmy porażkę. Po wyjściu z Gdyni okręt zniknął jak kamfora. Po prostu przepadł. Ponieważ nie zauważono go, jak przechodził przez Kanał Kiloński czy Cieśniny Duńskie, nie widziano go też w żadnym porcie Morza Północnego, przyjęto, że wszedł na Bałtyku na minę bądź został zatopiony przez jednostkę czerwonej floty. Kontaktowaliśmy się z Leningradem. „Tyle hitlerowskich okrętów topi się teraz — odpowiedziano — nie wszystkie udaje się zidentyfikować. Jeżeli tak bardzo zależało wam na tym okręcie, to trzeba było wcześniej nawiązać kontakt z naszym wywiadem”. Reakcję tę można interpretować różnie. Gratka była warta zachodu. Nie wykluczamy sabotażu ze strony Polaków nie współpracujących z nami; sowieccy agenci też się wokół stoczni kręcili, mamy na to dowody. A jeżeli zaginięcie okrętu jest ich sprawą, wątpię, czy się czegoś dowiemy.

Pierwszy lord Admiralicji:

— Sowieccy agenci... Hm... — I do pułkownika Bogackiego: — Co pan na to? Nie wątpię, że macie doskonale rozeznanie w tamtejszym terenie.

Wywiad Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, pułkownik Edward Bogacki:

— Jeżeli pan pozwoli, pierwszy lordzie, odpowiem na to przy końcu naszego posiedzenia. Bardzo o to proszę.

Pierwszy lord Admiralicji:

— Rozumiem. — I do szefa swego gabinetu: — Proszę, kontynuuj.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Na czym to urwaliśmy? Aha, sowieccy agenci... Interesujące. Proszę dalej, komandorze.

Komandor Hamilton:

— Od tego czasu minęło pół roku. Biorąc pod uwagę kontrolę przez nasze lotnictwo całego obszaru Niemiec i krajów jeszcze okupowanych, blokadę ich portów, przedarcie się okrętu na Pacyfik wydaje się mało prawdopodobne. Również wątpliwe wydaje się — przy obecnych zniszczeniach ich przemysłu i braku surowców — kontynuowanie prac nad tak technicznie skomplikowaną jednostką.

Głos z sali. Ten sam, który przypiął się do autorytetu admirała księcia Mountbattena:

— Totalne zniszczenie niemieckiego przemysłu... Niezdolność do budowy skomplikowanej technicznie jednostki... Dobrze sobie! A rakiety spadające nam na głowy?

Inny głos:

— Śmierdząca sprawa z tym okrętem. Ciekawe, jak Churchill to przyjmie?...

Odezwały się inne głosy na temat niedoceniań niemieckiej techniki i organizacji pracy. Ale teraz straciły już na znaczeniu. Sprawa Canberra znalazła się w impasie. Gdyby poddano ją głosowaniu, dostałaby w łeb. Dwa pociski poparte nazwiskiem księcia Mountbattena to stanowczo za mało na uruchomienie lordowsko-admirałskich atutów. Wojna zbliża się ku końcowi, lecz Royal Navy nie cierpi na brak zatrudnienia. Jedne punkty zapalne gasną, nowe puszczają dym. Jednego rywala kładzie się do grobu, drugi staje na nogi. Wieczny ruch. Oto czerwoni agenci dorwali dorwali się do rewelacyjnej biada! Król wywiadów świata, Secret Intelligence Service, pokpił sprawę ogromnej wagi. Kriegsmarine leży na dnie. Włoska flota leży na dnie. Francuska flota leży na dnie — wszystkie rozgromione przez Royal Navy. Niepokonaną. Pancerną i dumę Wielkiej Brytanii. Za lat pięć, za dziesięć, nieważne za ile, stanie twarzą w twarz z nowym konkurentem. Może groźniejszym od wszystkich pokonanych flot razem wziętych. Trzeba działać. Życie nie znosi próżni. Władza absolutna nie uznaje podziałów. Berło w królestwie oceanów jest tylko jedno. Tak było od wieków i na wieki wieków pozostanie. Takie jest boskie ustanowienie porządków. *Britania rules the waves. Britania must rule the waves for ever!*

Jest późno. Czas na spanie. Jutro też będzie dzień, będą sprawy do rozpatrzenia. Duże i wielkie — w tym zestawie osób małych spraw nie bierze się pod uwagę.

Obie czarne wskazówki zegara ściennego spotkały się na dwunastce — pora na rekapitulację przedmiotu posiedzenia. Canberra narobiła zbyt wielkiego alarmu — niemiecka flota przecież już nie istnieje; hitlerowskie kierownictwo polityczne stać na każdą zbrodnię, lecz dowództwo kriegsmarine nie upadło na głowę. Pozostaje sprawa tajemniczego okrętu o zwielokrotnionych parametrach bojowych. Okręty takie, jak powiedział admirał Ingersoll, wprowadzone wcześniej do operacji, mogłyby zaważyć na losach bitwy o Atlantyck. Okręt przyszłości. Który, kto wie, czy nie został rozpracowany przez czerwonych agentów.

— Panie przewodniczący, proszę o głos! Szef gabinetu Admiralicji:

— Tak, ale... Sekundę, proszę.

W drzwiach pojawia się adiutant pierwszego lorda z wydartą płachtą taśmy dalekopisu w ręku. Znużone twarze ozywają. Adiutant skinieniem głowy kłania się sali i zmierza ku swemu przełożonemu.

Czytanie zdeszyfrowanego tekstu nie zabiera dużo czasu.

Pierwszy lord Admiralicji nie wyręcza się szefem swego gabinetu. Wstaje i podnosi rękę. Uwaga, uwaga! Ma do zakomunikowania wiadomość niezwyklej wagi.

— Gentlemen — zaczyna z całą powagą swego urzędu, należną sprawom o doniosłym znaczeniu — Canberra donosi o wyłowieniu zwłok dwóch członków załogi zaginionego w tajemniczych okolicznościach frachtowca bandery amerykańskiej s/s „Golden Greek”. W obu zwłokach znaleziono pociski do pistoletu maszynowego szmajser MP czterdzieści, w jaki wyposażone są niemieckie siły zbrojne. Tak jak w przypadku s/s „Pireusa” ludzie ci zostali zabici dopiero w wodzie. Nasze wątpliwości rozwiały się. Na Pacyfiku grasuje okręt podwodny, którego dowództwo dopuszcza się najcięższej zbrodni na morzu: mordowania rozbitków.

Rozgląda się po zebranych.

— Panów Bowartha, kontradmirała Parole'a, generała RAF-u Simpsona, pułkownika Słowa, komandora Hamiltona i pułkownika Bogackiego proszę do mego gabinetu. Wszystkim pozostałym życzę dobrej nocy. Gentlemen, I thank you!

ROZDZIAŁ IV

Doktor Jack Mason rekomendował mu swoją znajomą. Niejaką podporucznik Beris Gwynne z tutejszej bazy. Prosił o znalezienie dla niej minutki czasu.

— Czy mógłby pan, komandorze — zwróciła się do Walia — powiedzieć mi coś bliższego o amerykańskim frachtowcu „Golden Creek”? Pytałam już w Departamencie Żeglugi, byłam u agenta statku, ale tam nic nie wiedzą.

— Nie wiedzą o zaginięciu statku?

— To tak. Ale co z załogą? Nie wszyscy musieli przecież zginąć! Na statku tym pływał mój narzeczony.

Wysoka, bardzo zgrabna, spostrzegł mimochodem Wall. Urocze kobiety kręcą się wokół tego małomównego rekinologa.

Grzecznie ją splawił. Przykra sprawa, pewne rzeczy panna porucznik winna dopowiedzieć sobie sama. Padło nazwisko narzeczonego, ale uszło jego uwadze. Błona pamięci ludzkiej nastawiona jest obecnie na utrwalanie wielkich rzeczy; pojedynczego człowieka nie chwyta. A poza tym rozmowy z kobietami poszukującymi swych mężczyzn są zawsze czymś w rodzaju oskarżenia: oto ich narzeczony czy mąż poległ, podczas gdy taki dryblas jak ty wałkoni się na tyłach. Nieprzyjemne uczucie.

Przeklinając w duchu Jacka odprowadził ją do drzwi.

— On żyje. Jestem przekonana — powiedziała z determinacją, jaką słyzy się w głosie skazańca wierzącego do ostatniej chwili w ułaskawienie. — Szukajcie go!

Nie wiedział, jak uciec od jej oczu. Naturalnie. Akcja poszukiwawcza dopiero się zaczęła. Panna porucznik winna uzbroić się w cierpliwość i czekać. Najlepiej wziąć kilka dni urlopu i jechać do domu.

Jack stanowczo nie powinien był kierować panny Beris do niego. Uprzedził teraz swoją sekretarkę: żadnego wstępu dla kobiet z takimi sprawami. I w ogóle dla nikogo poza Mike'em Schilbachem.

Jego ekspertyza przejdzie do historii wojny. Canberra, jak należało oczekiwać, sprawdziła ją. Najbardziej renomowana placówka w kraju, wyposażona w najnowsze urządzenia badawczo-pomiarowe do metali kolorowych, potwierdziła w pełni ekspertyzę, jaką Mike wykonał w ciągu jednej nocy. Chwała mu za to. Od tego czasu minęły dwie doby. A od wszczęcia poszukiwań zwłok przez samoloty nadzoru upłynęły dwadzieścia cztery godziny. Rozmowa z kontradmirałem przyspieszyła bieg czasu dla Garden Island.

Utworzony rozkazem naczelnego dowódcy Królewskich Australijskich Sił Zbrojnych most powietrzny, latający na trasie zachodnie wody Nowej Kaledonii — Sydney, dostarczył

jedenastcie zwłok marynarzy z ss „Golden Creek”.

W szpitalu marynarki wojennej w Sydney doktor Jack Mason wydobywa z nich pociski do ręcznej broni palnej, które ekspert, kapitan Michael Schilbach, rozpoznaje jako niemieckie.

Oprócz pocisków do pistoletu maszynowego typu „Schmeisser” i rewolwerowych w zwłokach znaleziono także odłamki granatów ręcznych.

Wstępne poszlaki przeistoczyły się w niezbite dowody. Motywami zbrodni w odpowiednim czasie zajmie się sąd. Znalezienie sprawców powierzono asowi pogromców u-bootów z czasu pierwszej wojny światowej, kontradmirałowi Sleighowi.

Uśmiechnięta twarz najlepszego pokerzysty w bazie rozchmurzyła kontradmirała. Rozmyślał o operacji przeszukiwania oceanów. Wczoraj wydawała mu się najlepsza z możliwych. Dzisiaj, trzy godziny po jej rozpoczęciu, naszły go wątpliwości.

Oficerowie marynarki i lotnictwa słuchali w skupieniu jego dyrektyw. W żółtej zalakowanej kopercie, jaką każdy otrzymał, znajdowały się szczegóły operacyjne, których ścisłe przestrzeganie będzie dla nich żelaznym prawem. W tym samym czasie takie odprawy odbywały się w Melbourne, Perth, Darwin, Noumei, Auckland w Nowej Zelandii. Kości zostały rzucone. Armada okrętów wojennych i samolotów-amfibii wyruszyła na oceany. Niech Bóg poda jej rękę w ciemnościach.

Podobną operację, jedyną tego rodzaju w obecnej wojnie, rozpoczęto w maju czterdziestego pierwszego roku. Celem było znalezienie i zniszczenie kluczącego na Atlantyku groźnego korsarza, niemieckiego pancernika „Bismarck”, który, jak się w trakcie walki okazało, przewyższał wszystko, co w tej klasie okrętów Home Fleet mogła mu przeciwstawić. Było to drogo okupione zwycięstwo. Ale wtedy poszukiwano największego na świecie wojennego okrętu nawodnego. Olbrzymiej góry stali sterczącej wysoko ponad płaskością oceanu, widocznej z odległości kilkudziesięciu mil. Operacja „Wielkie Łowy”, jeśli idzie o widzialność poszukiwanego obiektu, jest odwrotnością tamtej.

Kontradmirał Sleigh czuł się jak spadochroniarz po opuszczeniu samolotu na dużej wysokości. Drogę pod sobą miał jeszcze daleką. Ale uchwyt wyzwalający czaszę spadochronu nie znajdował się już w jego rękach.

Z przyjemnością wskazał miejsce gościowi, który ma na swym koncie zatopienie dwóch japońskich okrętów podwodnych.

— Co pana sprowadza do mnie, jeśli wolno wiedzieć?

— Będę mówił prosto z mostu — odrzekł awansowany wczoraj do stopnia komandora podporucznik Frank Mizera. — Jeżeli panu się nie spodoba, wyrzuci mnie pan. Mogę zacząć?

Kontradmirał spojrzał na gościa baczniej. Przypadkowo podsłuchał jego burzliwą rozmowę z naczelnym lekarzem bazy, który odmówił wypisania go spod swojej opieki i tym samym uniemożliwił mu wzięcie udziału w operacji „Wielkie Łowy”.

— Proszę. — Westchnął przyzwalająco. — Co panu leży na sercu?

Gość wstał z fotela i zdecydowanym krokiem podszedł do mapy zajmującej połowę ściany przestrzennego gabinetu. Rozpostarł ręce. Przy swoich prawie sześciu stopach wzrostu lewa dłoń sięgała miejsca zatopienia ss „Pireusa” na Oceanie Indyjskim, prawa dotykała zachodnich wód Nowej Kaledonii na Pacyfiku — szmat świata mieścił się między jego dłońmi.

— To — odrzekł obserwującemu go uważnie kontradmirałowi. I zaraz ciągnął dalej: — Dziesięć milionów mil kwadratowych obu oceanów. Stóg siana o powierzchni trzy razy większej od naszego kontynentu, w którym chce pan znaleźć przysłowiową igłę. Przysłuchując się odprawie starałem się wczuć w pańską rolę. Pytałem siebie — proszę wybaczyć mi czelność — jak ja rozegrałbym to zadanie przypominające równanie z samymi niewiadomymi. Niewiadomymi są czas i miejsce kolejnego uderzenia przeciwnika, miejsce jego obecnego pobytu, jego zamiary, a przede wszystkim jego baza, która z równym pogodzeniem może znajdować się gdzieś w Azji południowo-wschodniej, na Filipinach, na którejś z wysp japońskich czy wreszcie w którymś z państw południowoamerykańskich

sympatyzujących z hitlerowskimi Niemcami. Dlatego zrozumiałą jest dla mnie plan odcięcia przeciwnikowi drogi na otwarte oceany, a następnie przeczesywanie, sektor po sektorze, zamkniętej przestrzeni — nic lepszego zrobić nie można. Jest to imponujące przedsięwzięcie. Ale czy — poza zwiększeniem liczebności środków zaangażowanych w akcję — nowe? Masa niszczycieli i hydroplanów nie od dziś zygzakuje po oceanach, omiata je radarem, każdy impuls asdika odbity na ławicy ryb, na jakimś wraku spoczywającym na dnie, na wielorybie, okłada bombami głębinowymi, a tajemniczy obiekt tak jak zagadkowo wyłaniał się z głębin, tak samo zagadkowo w nich przepada, gwiżdżąc sobie z naszych systemów nadzoru. Co to dla mnie oznacza? Ano to, że jest on dla instrumentów wykrywania, jakimi dysponujemy, nieuchwytny. Co gorsza — ma urządzenia ostrzegające go przed zbliżaniem się niebezpieczeństwa. Co zatem winniśmy zrobić? — rzucił Mizera retorycznie i po chwili ciągnął dalej: — Chcąc no to odpowiedzieć, wczułem się w skórę dowódcy poszukiwanego obiektu. Jego położenie nie jest łatwe, ale też nie tak beznadziejne, jak niektórzy na odprawie je widzieli. O naszym „wielkim polowaniu” ostrzeże go nasłuch radiowy i radar. Brytyjskim dowódcą mógł pan nakazać wstrzeźliwość w posługiwaniu się radiem, lecz na północ od zwrotnika Koziorożca w akcję włączyli cię Amerykanie... Jak na tym polowaniu, słysząc z wszystkich stron ujadanie psów gończych, może on się zachować?

Podstawę pańskiego planu operacyjnego stanowią przesłanki determinujące zasięg pływania okrętu. Wykluczając możliwość zaopatrzenia w morzu, z, czym absolutnie się zgadzam, uznano za konieczne odcięcie mu powrotu do bazy macierzystej — od tej strony planowi nic zarzucić nie można, poza tym, że nie bierze pod uwagę psychiki przeciwnika, który udowodnił, że w swoim postępowaniu nie kieruje się logiką, który wie, że postępując tak nadal, wymknie się naszym logicznie wyrozumowanym zasadzkom. Zastanawiałem się nad tym. Pan myśli o całej operacji. O wykryciu i zniszczeniu niebezpiecznego wroga. Ja zaś o człowieku, który z własnej woli — bo wykluczam działanie na rozkaz — zdecydował się na popełnienie zbrodni. Musi to być człowiek o nieprzeciętnej osobowości, imponujący swojej załodze, a jednocześnie o zharatanych już nerwach. Widzę motywację dla jego pierwszej zbrodni: uboot nie chciał zdradzić swojej obecności na naszych wodach; padły przypadkowe strzały i trzeba było zatrzeć ślady. Ale wymordowanie rozbitków drugiego statku było działaniem z premedytacją, na które mógł się zdobyć jedynie człowiek salony. Decydując się bowiem na rozprawienie się z „Golden Creekiem” w sposób identyczny jak z „Pireusem”, zostawił policji, że tak powiem, swoją wizytówkę. Żaden osobnik zdrowy na umyśle, nie igrający z niebezpieczeństwem, dla zabawy, tego nie robi. Jak zatem podejść takiego?

Już niedługo dowie się o rozpoczętym na niego polowaniu. O jego zasięgu powiedzą mu nasłuch radiowy i ewentualnie radar — nie wątpię ani przez chwilę, że ma go na pokładzie, a co za tym idzie, ukryje się w porę w głębinach przed rozpoznaniem z powietrza. Gdyby kierował się rozsądkiem, szukałby schronienia na wodach bezpiecznych dla niego. Ale on tego nie robi. Wie bowiem, że wszelkie rozsądne decyzje pchną go prosto w nasze sieci. Więc on postąpi inaczej. Jak? — nikt nie jest w stanie tego przewidzieć. Postąpi wbrew logice, niezgodnie z zawodową rutyną, z wszelkimi przewidywaniami, postąpi jak człowiek wyposażony przez naturę w dodatkowy zmysł. Podwodniacy w ich tropiciele to zwierzaki i myśliwi na przemian, wyczuwający się wzajemnie przez skórę. Ci z nich, którzy w walce kierują się wyuczonym w szkółce abecadłem, długo się na fali nie utrzymają, przekonałem się o tym podczas mojego ostatniego pojedynku, w którym potraktowałem przeciwnika jako zdechłego już kota. Pan, kontradmirał, mógłby na ten temat też coś powiedzieć: w swoim czasie nazywano pana „irregular” — nieregularnym. Który w walce kieruje się własnym nosem. Gdyby nie przeświadczenie, że mimo upływu lat pozostał pan w duchu nadal irregular, nie stałbym teraz w pańskim gabinecie. Dlatego...

Komandor porucznik Frank Mizera odłożył długi kij, którym w trakcie swego wywodu jeździł po mapie, i wyprostował się.

— ...dlatego — powtórzył uroczyście — pozwalam sobie prosić pana o przydzielenie mi jednego z tych starych niszczycieli, przeznaczonego na złomowanie, i wydanie stoczni

remontowej rozkazu natychmiastowego zamaskowania go w statek-pułapkę. Wiem, ta przebieranka to już anachronizm, ale właśnie dlatego proszę pana o ten rozkaz. Wierzę bowiem, że wykrycie okrętu zależy wyłącznie od łutu szczęścia lub czegoś, co określa się mianem irregularity.

Wchodziła ostrożnie po stopniach prowadzących do hotelowej restauracji i gorączkowo myślała o przyszłości. Tej najbliższej. Obok niej szedł Martin Strang. Wysoki mężczyzna, wcale jej nie nadskakujący, który ni z tego, ni z owego przyprawił ją o zawrót głowy.

Na stoliku czekał na nią wazon pełen kwiatów. Salę oświetlały kolorowe lampiony. Przy stolikach wokół siedzieli przeważnie amerykańscy marynarze i lotnicy. Młodzi chłopcy popijający alkohol i wbrew ogólnej opinii o nich — wcale nie hałaśliwi.

Odprowadzali ją spojrzeniami. Nie krępowali się obecnością Martina, jedynego cywila w lokalu. Beris miała na sobie gładką suknię w kolorze wiśni, spływającą łagodnie z bioder ku dołowi — prezent od matki na jej dwudzieste pierwsze urodziny.

W dostojnej gotowości do usług kelner pochylił się nad bloczkiem. Martin czytał pozycję po pozycji z karty dań i czekał na jej decyzję. Potakiwała ruchem głowy, gdy coś jej przypadło do gustu, starając się opanować nerwy. Przecież to ona wyszła z propozycją ponownego spotkania. A jeżeli on tutaj dlatego, że nie śmiał odmówić?

Tymczasem Martin wertował kartę dań strona po stronie, nie domyślając się jej męki.

— Zapalisz? — odezwał cię nagle.

Owłosiony przegub jego dłoni otarł się przy podawaniu papierosa o jej ramię. Przeniknął ją dreszcz. Zdobyła się na przeczący ruch głową, modląc się w duchu, żeby wreszcie coś powiedziało.

Ogarnęła spojrzeniem salę. Chłopcy w dobrze skrojonych mundurach, zadbani — seryjny produkt bogatej Ameryki. Ilu ich tutaj! Ulice, autobusy, sklepy, hotele, lokale pełne amerykańskich lotników i marynarzy. Australia zalana przybyszami zza oceanu. Inwazja. A Martin? Też pewno jeden z nich.

— Tylu was tutaj — wyrwało się jej. — Ci chłopcy po prostu się nudzą. Nie mają co robić, prawda?

Strang ocknął się z zamyślenia.

— Nie mają co robić, mówisz... A tak — przytaknął. — Mało w Brisbane lokali, kin, żadnego teatru... Miasto nie jest przygotowane na taką armię przybyszów. Ale jakoś sobie radzą. Zresztą zobaczysz, niech tylko zagra orkiestra.

Atmosfera wokół nich nagle się ożywiła. Kelnerzy pchali właśnie trzy wózki zastawione daniami i butelkami. Kawalkada prowadzona przez maitre d'hôtel zmierzała dostojnie ku *ich* stołowi.

Beris chwyciła się za głowę.

— Mart, to chyba... To wszystko dla nas?

— Jak najbardziej. — Strang uśmiechnął się niewinnie. — Sama to zaakceptowałaś.

— Bożę, co ja zrobiłam!

Dwójka specjalisto od nakrywania stołu przystąpiła co dzieła. Maitre d'hôtel doglądał obsługi. Przypatrywała się temu połowa sali.

Tymczasem zaczęła grać orkiestra. Martin miał rację: chłopcy się ożywili. Ale dlaczego w nim jest tyle rezerwy? myślała Beris. Dlaczego nie prosi mnie do tańca? Desperackim ruchem sięgnęła po szklanę i jednym haustem wychyliła ją do dna.

— Pani pozwoli? — Młoda twarz sierżanta, rozgrzana alkoholem, zwróciła się w stronę Martina. — Chyba nie masz me przeciwko, co?

Beris ujrzała niewyraźną minę swego towarzysza i aprobujące gesty sąsiadów. Przyjemny chłopiec, pomyślała z wdzięcznością o sierżancie.

— Co pan posiedział? — próbowała przekrzyknąć orkiestrę.

— Ze ogłosiliśmy cię Miss sali. Jednomyślnie. Jak Pana Boga kocham!

— Mnie? — zaśmiała się ubawiona. — Wprawdzie nie za dużo tu dziewczyn...

— Chłopaki! — sierżant odwołał się do swoich kolegów. — Kim ją ogłosiliśmy?

— Miss sali! Miss sali! — wyskandowali jego towarzysze — Najfajniejszą babką w tej cholerniej budzie!

Najmilsi chłopcy świata! Wspaniali! Mogłaby uściskać każdego po kolei.

Poddawała się jego prowadzeniu. Charlie tańczył znakomicie i wciąż mówił. Jeszcze parę miesięcy temu ujeżdżał dziki mustangi w Arizonie, dziś lata na największym bombowca świata... Za jednym naciśnięciem dźwigni zrzuca piętnaście tysięcy funtów bomb... Przed tygodniem odpalił taki ładunek tym skurczybykom w Tokio, wczoraj był nad Osaką. — Zrobiłem to dla ciebie, Beris. Wyobrażasz sobie?

Przyjemna atmosfera! Tylko ten Martin taki mruk. A może prostu ona mu się nie podoba?

— Mówiłeś coś, Charlie?

— Żebyś została moją żoną. Zgódź się, nie pożałujesz. Mój stary ma mnóstwo ziemi. Będziesz bogatą, zobaczysz. Zgadzasz się?

Jakaś ładna dziewczyna zagarnęła od stołu Martina. Najzwyczajniej oplotła go ramionami i zaciągnęła na parkiet. Bezczelna! Beris miała dość tańca i tej smarkatej paplaniny.

— Wyjdiesz za mnie?

Wyrwała się z rąk sierżanta i pobiegła do stolika. Zwariowany młyn ten lokal!

Ten taniec nie miał końca.

Kiedy wreszcie Martin wrócił z parkietu, chwyciła go błagalnie za rękę.

— Chodźmy stąd, Mart. Gdziekolwiek. Chcę być tylko z tobą. Martin wyróżniał się spośród cizby ludzi na ulicy nie tylko wzrostem. Zdjęcie, które miała przed sobą wykonane zostało w Los Angeles, gdzieś w dzielnicy wytwórni filmowych. Zrobiono je z zaskoczenia, widać to wyraźnie po oczach.

Beris leżała odwrócona do ściany, z nogami podkurczonymi zapatrzona w podobiznę ukochanego. Płakała. Ale ani na moment nie dawała wiary myślom o jego śmierci.

— Herr Schtch...

Szef Działu Ewidencji Załóg Centrum Wyszkozenia U-bootwaffe w Gdyni nie umiał wymówić nazwiska swego najbardziej zaufanego pracownika, szczególnie wówczas, gdy był zdenerwowany. Jego zdaniem nazwisko to nie pasowało do gdańszczanina z dziada pradziada. Z jakiego pnia brało swój rodowód, dlaczego przez wieki panowania Prus na tych ziemiach zachowało swoją trudną dla niemieckiego języka pisownię, nigdy się nad tym nie zastanawiał. Historia narodów germańskich przetykana jest tyloma słowiańskimi nazwiskami, kto by zwracał na to uwagę.

Ale pal licho nazwisko!

— Herr Joseph — przeskoczył na imię.

Siedzący przy biurku zawalonym pismami rosły blondyn w sportowej marynarce poderwał się na baczność.

— Jawohl, Herr Korvettenkapitan! — Niebieskimi oczami spoczął na twarzy swego przełożonego. — Herr Korvettenkapitan sobie życzy?

Szef Działu Ewidencji Załóg ruchem głowy wskazał torowiska.

— Niech no pan popatrzy... I to ma być robota? Twarz samodzielnego nadreferenta stężała z oburzenia.

— Coś podobnego!

Więźniowie miast ładować na wagony archiwum Centrum, ewakuowane do Naczelnego Dowództwa Kriegsmarine we Flensburgu, ogrzewali się przy ognisku, a nadzorujący ich wachtmann z pospolitego ruszenia, oparty o karabin, ucinał sobie drzemkę. Działo się to na wprost jego okna...

Samodzielny nadreferent Joseph Szczurkowski trzasnął obcasami swoich cywilnych półbutów. Uszkodzone w jakimś wypadku przed wojną kolano uniemożliwiało mu przepisowe zwarcie nóg. Ale i tak jego postawa mogła być wzorem godnym naśladowania dla

wielu ludzi noszących dzisiaj mundur.

— Zaraz się nimi zajmę. — Znowu trzasnął obcasami. — Herr Korvettenkapitan pozwoli mi się odmeldować?

Herr Korvettenkapitan nie pozwolił. Samodzielni nadreferenci mają własne sprawy na głowie, za porządek na terenie otwartym odpowiada Służba Ochrony Centrum. A jeżeli nie daje rady, są od tego organizacje przywracające ład w mgnieniu oka; wystarczy jeden telefon. Dzisiaj wszyscy myślą tylko o sobie. Poszanowanie prawa, ład, dyscyplina — gdzie te czasy? Pakuje się skrzynie z papierzyskami, ludzi zaś, co na tych papierzyskach się wyznają, zostawia tu. Zwariowany świat. Do jednej ze skrzyń korvettenkapitan chętnie sam by się zapakował i wyekspediował do swojej rodzinnej Kolonii.

Marzenia ściętej głowy. Zielononiebieska Zatoka Gdańska ze swoimi pięknymi plażami, której sielskością rozkoszował się po przeżyciach w Hamburgu, Bremie, Wilhelmshaven, nastroszyła się nie tylko listopadową szarugą. Jej bezpieczeństwa od stronomorza strzegły lufy potężnego pancernika „Gneisenau” zacumowanego od półtora roku w Gdyni, nie mającego na Bałtyku godnego siebie przeciwnika. Ale też wszystko dobre na rocie wojennym się kończy. Za jego bramami, za rogatkami miasta ciągną się wspaniałe, dzikie lasy odcinające ten skrawek ziemi od ładu wrogim pierścieniem. Skończyły się gromadne wypadki na grzyby, po tłustą gęś czy kaczkę do kaszubskich wsi; nawet pójście w pojedynkę do miast, uznano za niewskazane. Kraina ta stanowczo nie jest przyjazna dla Niemców, Nadreńczyk Wedekind nie miałby nic przeciwko odkomenderowaniu do jakiegoś spokojnego zakątka. Gdyby taki w Europie dla Niemców jeszcze był.

Niepoważne rozmyślania, podczas gdy ci w pasiakach wałkonią się przy ognisku. O czternastej podjedzie lokomotywa. Jeżeli do tej pory wagony nie zostaną załadowane i zaplombowane, wypadnie porządnie się tłumaczyć przed tymi gnojkami z szefostwa transportu.

Korvettenkapitan Wedekind zmienił zdanie:

— Tylko broń Boże nie za ostro — doradził. — Ci bandyci już i tak wzięli sobie pana na muszkę...

Nie bez napięcia i dezaprobaty śledził przez okno, jak utykający na lewą nogę, nie najmłodszy już samodzielny nadreferent rozkopuje ognisko i pędzi więźniów pięściami do roboty.

Bristol wszedł w ład w rejonie Słupska, nie atakowany — jako niemiecki — przez myśliwce ani artylerię przeciwlotniczą osiągnął korytarz powietrzny łączący Berlin z Kwaterą Główną Hitlera w Kętrzynie i spokojnie kontynuował lot na wysokości dwóch tysięcy metrów, zastrzeżonej dla samolotów kurierskich.

Skoczkowie zamienili się miejscami: pułkownik Edward Bogacki siadł pod burtą samolotu, fotel między pilotem a nawigatorem zajął porucznik Adam Mirecki. I pilot, i nawigator odbyli wiele lotów nocnych nad Polską. Załogi 148 Dywizjonu do Zadań Specjalnych miały w tym roku dużo pracy. Ale wszystkie trasy wiodły ku walczącej Warszawie i zgrupowaniom partyzanckim w centralnej Polsce; ta część kraju była dywizjonowi mało znana.

Zrzutowisko mieściło się na wschód od niewielkiej Kościerzyny, zapasowe kilka kilometrów dalej. Wychowany w tych stronach porucznik Mirecki podjął się poprowadzenia samolotu „na topografię”.

W świetle latarki uściślał z nawigatorem trasę. Siódma godzina ślęczenia nad mapą. Przelot z Półwyspu Jutlandzkiego odbywał się pod silny wiatr. Rozbudowany cumulonimbus wypełniał z niewielkimi lukami cały obszar Morza Północnego: spory odcinek tej trasy samolot ślizgał się nisko nać morzem. Lecz był bezpieczny. Wysoko ponad czapami chmur zmierzało na Hamburg tysiące bombowców. Nocne myśliwce obrony miały aż nadto zajęcia, aby interesować się jedną maszyną, radar na tej wysokości też jej nie chwycił. Cd Cieśnin Duńskich .arunl meteorologiczne zmieniły się jak ręką uciął: *klehlsie* chmur urwały się, na

trasie zapanowała niosa, księżycowa noc.

W takich warunkach świellnyca pola uprawne, pokryte cienką warstwą „śniegu, mają kolor brudnawosiny, duże kompleksy lasów — zgnilozielony, jeziora — ccramentowoczarny.

— Zbliżamy się do Kościerzyny! — oznajmił Mirecki. Pokazał szachownicę budynków na prawo od linii lotu. — Za pięć minut!

Zdumiewająca pustka. Borecki rozglądał się wokoło. Na trasie od Słupska nie wystartował żaden myśliwiec, nieba nie rozświetliły reflektory artyleni przc-ciwiońfczej, nie odezwało się ani jedno działo. Czyżby z luftwaffe było aż tak źle?

Zanotował na kartce papieru, którą potem wręczył pilotowi: północno-wschodnie obszary Niemiec ogołoczone z obrony przeciwlotniczej. Lotniska w pasie nadmorskim puste. Na Bałtyku, poza kutrami rybołówstwa przybrzeżnego, spostrzeżono jedenaście staików handlowych płynących bez eskorty ze wschodu na zachód: prawdopodobnie ewakuacja.

Poprawił pasy spadochronu, w pistolet maszynowy wcisnął magazynek. Za chwilę zrzutowisko. Warunki meteorologiczne na zewnątrz idealne, żeby tylko ci na dole zdążyli się przygotować. No i Niemcy... Ale to sprawa dowódcy grupy dywersyjnej „Kolano”, który w ciągu trzech lat działalności nie miał żadne” wpadki; nieufne SOE ma o nim wielkie wyobrażenie. Kim jest ten człowiek?

W dole błysnął rząd ognia. Błysnął i zgasł. Błysnął i zgasi. Mirecki szturchnął pilota w ramię. — Rozpoznaję i bez ognia. To tu! Podejdz do desantowania! Z szyi zdjął laryngofon, wyłączył się z sieci intercomu i tak jak Bogacki załadował swój pistolet magazynkiem.

Z pomocą ludzi z osłony zrzutowiska szybko uwinęli się ze spadochronami. Dowódca osłony poprowadził ich do bazy. Konie wiodły leśnymi duktami na pamięć. Pojezierze Kaszubskie — dwieście kilometrów dziewiczych lasów i jezior. Bogacki koił nerwy surową wonią sosen. — Nasze wspaniałe, kochane lasy! — Poklepał rżącego wierzchowca. — Take it easy — wyrwało mu się po angielsku. — Tylko spokojnie, gniady — poprawił się.

Niech się pan nie denerwuje — usłyszał pewny siebie głos.

—Drogi, miasta są ich, ale lasy i wioski nasze. Bez wozów opancerzonych nie zapuszczą się tutaj na krok. A i na to mamy lekarstwo...

Warkot odlatującego samolotu wsiąkł w głuchą noc, z księżycowego nieba sypnęło świeżymi płatkami śniegu. Jak na zamoknie. Niedługo zrzutowisko pokryje się płachtą bieli. Pierwszą jesieni. W Londynie przeplatanka deszczu ze słońcem, ciepłym jeszcze, tu już zima. Dwa całkowicie odmienne światy. Godzinę później zsiadli z koni na podwórku organistówki przy kościele. W izbie oświetlonej karbidówką Bogacki stanął twarzą W twarz z dowódcą nieuchwytną grupy dywersyjnej „Kolano”.

Zaskoczenie było obopólne.

—Czyżbym miał przyjemność...

— Edward? — usłyszał znajomy głos. ..— Józek?

Nie czekał na odpowiedź. Przed nim stał przyjaciel z młodzińcych lat, najlepszy w aeroklubie łotnik-akrchata, niezrównany wiosłarz, pływak i sto innych rzeczy, Józek Szczurkowski. Ten sam, który tydzień przed wybuchem wojny na sportowej awionetce dokonał śmiałego lotu rozpoznawczego aż w okolice Berlina, nie przechwycony przez hitlerowców wziął kurs na swoje lotnisko i jeczce tego samego wieczora zapuścił się pod Królewiec, skąd powrócił z rzeźrzelonym kolanem.

Rzucili się sobie w objęcia.

— A to — Bogacki przedstawi! swego towarzysza o nieprawdopodobnie jasnej czuprynie — porucznik Adam Mirecki. Rodem z tutejszych stgroon. Były student Politechniki Gdańskiej, władający niemieckim. Mam pewn plan. Akurat dla takiego Prusaka jak on. Ale musimy to wpierw omówić.

Okręt podwodny typ XXI., który w maju zawinął do centrom u-bootwaffe i następnego ranka zniknął... Z kompletną załogą zamustrowaną w centrum... Chodzi o dowództwo tego okrętu i

jego parametry operacyjne.

.Szczyrkowski zamyślił się. Tyle spraw przewinęło się przez centrum od tego czasu. Tyle załóg wyszło w morze. Przeszkolonych na łapu-capu, uzupełnionych wygami doświadczonymi na Atlantyku. Kto był dowódcą tego okrętu? Nazwiska oficerów wchodzących w skład jego ścisłego dowództwa?

Osobliwa rzecz: Szczyrkowski pamiętał lekarza, który zamustrował na ten okręt przystojnego trzydziestopięciolatka. Pamiętał jego przesadną czystość, przyzłizane brylantyną skronie, nerwowo rozbiegane oczy i wysoki stopień wojskowy: komandor podporucznik Frauenheim. Dziwne nazwisko, nietypowy jak na podwodnika wiek, wysoki jak na lekarza okrętowego stopień wojskowy — nie sposób takiego przeoczyć. Przybył ze szpitala u ojenego Unterwaid w okolicy Bremy — tak wypisano w odkomenderowaniu. Ale ten szpital to lipa, bo w Rzeszy szpitale wojskowe zakodowane są numerami, ten natomiast miał adres. Lipa podwójna, gdyż nigdzie wokół Bremy ani w całej Dolnej Saksonii nie ma miejscowości Unterwald. Lipny szpital, lipna miejscowość, dlaczego nazwisko miałoby być prawdziwe? Zagadkę rozwiązał oficer szefostwa personalnego kriegsmarine, który przybył do centrum na inspekcję. „Marineoberstabsarzt Wolfgang Frauenheim...” rozciągając sylaby przeczytał napis na jego teczce. Szybko ją odłożył i zabrał się do innych. Za szybko, jak na skrupulatnego inspektora, aby to przeszło nie zauważone. Jak przystało na wiedeńczyka, wychowanego w bon tonie cesarza Franciszka Józefa, był towarzyski i gadatliwy. „Frauenheim” — zrobił oko przy butelce kminkówki, którą opróżnił w kasynie wspólnie ze starym Wedekindem i jeszcze jednym inspektorem — czytać trzeba odwrotnie: Heim(der) Frauen — Dom Kobiet. Dom taki, a właściwie obóz istnieje. Niedaleko Berlina. Nazywa się Ravensbruck. Doniosłe eksperymenty przeprowadzają tam lekarze z SS na więźniarkach...” Był to ostatni kalambur rozwiązany przez inspektora. Dwa dni później jego zwłoki znaleziono pod miastem. „Poległ na polu chwały w walce z partyzantami” wpisano do jego teczki personalnej, i na tym ją zamknęto.

Tyle na temat lekarza, marineoberstabsarzta Wolfganga Frauenheima. Jednego członka dowództwa okrętu. A pozostała czwórka?

Skoczowie przybyli w samą porę. Archiwum centrum ewakuowane jest w głąb Rzeszy. Odpowiedzialnym za dokumenty działu ewidencji załóg Wedekind mianował samodzielnego nadreferenta działu. Dzisiaj niedziela. Stary korvettenkapitan zechce odespać przepracowane wieczory, pakowaniem i wysyłką papierzyśk pokieruje samodzielny nadreferent. Jeżeli segregatory z maja nie są w drodze, nie powinno być trudności. Jeszcze dziś nazwiska całej załogi U-1852 będą znane. Jest jednak problem: ich autentyczność. Jeżeli Frauenheim nie jest Frauenheimem, dlaczego inne nie mają być także fałszywe? Szkopuł. Jak go rozwiązać?

Ale o tym wieczorem. Najpierw zdobyć teczki, o dalszych krokach pomyśli się później.

— Zdumiewa mnie — zakończył ten temat Szczyrkowski — pomimo namacalnych dowodów dyletanctwa kierownictwa państwa i armii, dziecięca ufność Niemców do rozkazu z góry. Rezultaty tego wystawiają im zenująco niskie noty z dyscyplin wchodzących w skład nauki o wojnie: przecież obce wywiady buszują w trzewiach do woli, nie wysilając się zbytnio na kamuflaż. Obezwładnienie narzuconym narodowi systemem — można by tak określić, gdyby nie historia Rzeszy Niemieckiej. ślepa wiara we własne siły prowadzi do buty. A ta bywa srogo karana, nieraz się o tym przekonali. Bezskrytyczne zaufanie przełożonych zawęży horyzonty myślowe jednostki do własnego podwórka; aż prowokuje do zadania kopniaka. To kompleks, po wegnie poddadzą go zapewne przemysłowemu. Oby. W przeciwnym wypadku nie potrwa długo i spróbują znowu. Ale jestem optymistą i to dodaje mi sił do walki. Często podkreślałam kulturę i inteligencję Niemców. Mówienie dzisiaj o tym musi brzmieć podejrzenie. Lecz właśnie ja znam ich zarówno ze złej, jak i dobrej strony, i wierzę, że instynkt samozachowawczy odezwie się w nich wreszcie. Co może kiedyś umożliwi nam ludzkie współzycie. No — poklepał obu po ramionach — pora spać. Do rana mało czasu.

Wyszli na ganek zaczerpnąć świeżego powietrza. Pogódki. Pamiętające pierwszych rycerzy krzyżowych, ciężką jazdę króla Szwedów, Napoleona spieszącego na Moskwę; duże wzięcie

miała ta wioszcyna u zdobywców świata! Blask księżyca przydawał renesansowemu kościółkowi smukłości, osrebrzał cmentarz leżący między organistówką a rzeczka. Mirecki zapatrzył się w płaski kopiec pośrodku cmentarza.

— Wielu ich tam? — zapytał.

— Sześćdziesięciu. Z okolicznych osad, lecz głównie z Pogódek, stare dzieje. Okrążyli podczas mszy, nie było dojścia do lasu — objaśnił „Kolano”.

Przechwycił zimny błysk w oczach młodego oficera.

Płatki śniegu padające w poświacie księżyca nie sprzyjają trzeźwemu widzeniu rzeczy. Zrobiło mu się głupio za wciąganie tego cmentarza do sprawy, w której nie będzie miejsca dla emocji. Groby mają swój język. Rodzą żal, ten przyzywa zemstę, ta kopie nowe groby — zamknięte koło, obłędne.

Nie pora na takie rozważania, zreflektował się „Kolano”. Jutro zagrywka na całego. Niemcy rozstrzelują cichociemnych, bez pardonu, a ja tutaj...

Wydał rozkaz swemu zastępcy i w milczeniu udali się na krótki odpoczynek.

Za głównym dworcem kolejowym osobowy mercedes z berlińską rejestracją skierował się ku Bramie Królewskiej. Już z da-

kierowca dostrzegł lizak żandarma. Dostępu do Bramy strzegły betonowe bunkry piechoty. Wzdłuż całej trasy uwijano się z budowa gniazd karabinów maszynowych, stanowisk arterii przeciwpancernej, pospiesznie zamieniano miasto w warowną twierdzę. Wielka Niewiadoma była jeszcze daleko. Armia niemiecka nie posiedziała jeszcze swego ostatniego słowa. Ale odległości w tej wojnie straszliwie się poskracały.

Wachmanma z pistoleten maszynowym w rękę zmytygował mundur oficera siedzącego obok kierowcy. Bez sprawdzania dokumentów rozkazał podnieść szlaban. Do Dworu Artusa, siedziby wielkorządcy Pomorza Gdańskiego, prosto, pokazał. Życzył pasażerom przyjemnej jazdy.

Główna ulica zabytkowej starówki Gdańska, najładniejszej w tej części Europy, udekorowana zawsze flagami ze swastyką, corawiała wrażenie opustoszałej. Wolno, majestatycznie mercedes minął Dwór Artusa, z którego balkonu już pierwszego dnia wojny Hitler wygłosił pamiętną mowę o włączeniu na wieki miasta do Rzeszy Niemieckiej, i skręcając w lewo wjechał na zaplecze Lange Gasse.

Kierowca w czarnym mundurze SS otworzył drzwi samochodu. Wyprężył się na baczność.

— Drugie piętro i na prawo, Herr Obersturmbannführer. Pułkownik Służby Bezpieczeństwa kiwnął głową gestem podzięk.

— Meine Herren — odezwał się do towarzyszących mu oficerów, atletycznego fregattenkapitana i jasnowłosego kapitana kriegsmanne — proszę ze mną.

Rzucił wzrokiem na gotycką kamieniczkę. Pomimo chłodnego cma jedno z okien na drugim piętrze było uchylone. W tym samym momencie wieża ratirza zagrała tonami południowego hejnału, pierwszemu taktowi trąbki zawtórowały dzwony katedry Mani Panny.

Pułkownik podniósł rękę z zegarkiem. — Co do sekundy — skonstatował. Obciągnął poły płaszcz, po czym skierował się ku klatce schodowej; towarzyszący mu oficerowie ruszyli za nim.

Pani Liselotte Huckle nie usłyszała dzwonka. Nie mogła usłyszeć, gdyż baterie dawno się wyczerpały, a nowych w sklepach ni widu. Zmieniała kwiaty w pokoju syna — po nie trzeba się dzisiaj też nachodzić. Kurt od dziecka przepadał za kwiatami. Był bardzo wrażliwy, najwrażliwszy z całej czwórki synów i najukochańszy. .

Czerwień symbolizuje miłość, kolor żółty — fałsz, biel — czystość, a czerń? Czerni dzisiaj mnóstwo w każdym niemieckim domu. Ubiegłej nocy straszny miała sen. Kurt był w nim taki jak podczas rozstania: wspaniały w swoim granatowym mundurze uzłożonym galonami komandora porucznika, z ogniem brylantu Rycerskiego Krzyża Rycerskiego pod kołnierzykiem śnieżnobiałej koszuli. Leżał z dłońmi splecionymi na piersi, sztywny, zimny...

Zabij mnie Boże! — szamotała się w przebudzeniu. — Poraż gromami cały świat, jeżeli taka Twoja wola, lecz o jego jednego błagam Cię, Panie!

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie. Dwunasta — czas listonosza. Trzy energiczne uderzenia i cisza — jego sposób. Gdyby nie odezwała się, nastąpią trzy dalsze uderzenia, a potem trzeba już gonić za nim po schodach. Dziś po zapukaniu szarpnął niecierpliwie klamką. Z sercem w gardle pobiegła do drzwi.

— Pani Liselotte Hacke? Mamy przyjemność z matką Herrn Fregattenkanitaena Kurta Hacke? Czy tak?”

Nogi się pod nią ugięły. Trzech wysokich oficerów krigesmarine! Najmłodszy z nich — Boże, jak, podobny do Kurta! — trzymał podłużny karton. Na czapce miał trupa czaszkę SS. Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa.

— Jesteśmy z polecenia najwyższych czynników państwa. Szanowna pani może być całkiem spokojna. A to... od syna.

Czerwone róże?

Siłą woli opanowała słabość. Wstyd, żeby matka takiego syna!

Nie słuchała protestów: mowy nie ma, żeby bez filiżanki herbaty, zaraz zaparzy. Panowie oficerowie mogą sobie tymczasem obejrzyć jego album...Kurt przepadał za fotografią. Od dzieciństwa.

Pełna szczęścia pobiegła do kuchni. Nareszcie znak. Kurt żyje! Lepszego dowodu otrzymać nie mogła.

Filiżanki, łyżeczki, cukiernica, wszystko leciało jej z rąk. Wysocy panowie oficerowie... Obok kriegsmarine, broni Kurta, jest przedstawiciel gwardii przybocznej führera. Najdzielniejsze z dzielnych. Gdyby tak listonosz w tej; chwili... roztańczył na całe miasto.

Wysocy panowie oficerowie oglądali rodzinne portrety. Casimirus Teofilus Kadzki — rotmistrz w służbie króla Fryderyka Wielkiego, poległy... miejsce i rok zatarte na srebrne metryczce, Theo Joachim Hadzke — adiutant księcia feldmarszałka Blühnera, poległy 1815, Waterloo; Hermann Konrad Hacke — leutnant pułku piechoty w armii feldmarszałka Hindenburga, poległy 1916, Prusy Wschodnie; Otto Rudiger Hacke, dowódca plutonu SA, poległy 1 września 1939, Westerplatte. A na przeciwległej ścianie salonu, w tym samym oryndku, smutne podobizny ich owdowiałych w najpiękniejszych latach życia małżonek. Imponujący dowód. Posepny w swej wymowie, lecz imponujący Pani Liselotte Hacke ma prawo do dumy z przodków swego małżonka.

Kiedyś portrety te zdobiły ściany zapewne dużo większego salonu. Świadczą o tym ciężkie flamandzkie i gdańskie meble, złożone kandelabry, dekoracyjne srebro i rzadka porcelana — resztki dawnej świetności rodu Ottona Rudigera Hacke z Casi-mirusa Teofilusa Hadzkiego. Odgięte drzewo genealogiczne z poobcinanymi przez los gałęziami. Trzeba mieć charakter, aby żyć samotnie wśród tych kikutów. Jeżeli to piękne miasto nie zginie, a malarze zamienią karabiny na pędzle, domalują jeszcze trzy portrety: Gottfrieda Johanna Hacke — sturmführera w dywizji SS „Grossdeutschland”, poległego w 1941 pod Moskwą; Ruperta Dietricha Hacke — obersturmführera w pułku grenadierów pancernych SS, poległego w 1942 roku w Stalingradzie; Ferdynanda Alberta Hacke — hauptführera w dywizji pancernej SS „Leibstandarten Adolf Hitler”, poległego w 1943 roku pod Kurskiem. Przyznać trzeba, że ostatni żyjący potomek godnie się dopisuje do sztambucha rodu Hacke, prawdopodobnie starej szlachty pomorskiej, która w latach między pierwszym a ostatnim rozbiorem Polski dała się zwabić blichtrowi wielkiego króla Prus. Wyrwać swoje korzenie z rodzinnej ziemi to już zuchwałość, a cóż dopiero zapuścić je głęboko w obcej.

Salon porażał chłodem. Zaczynał się on — chłód — od ciężkich mahoniowych drzwi, ciągnął przez duży przedpokój i obejmował w posiadanie całe wnętrze. Pasowało ono bardziej do zamczyska z grubo ciosanego kamienia, do chrzęstu broni, do nawoływań okutych w stal rycerzy: Na koń! Z drogi nam, białki, z drogi, my do boju bieżym!

— Dlaczego jeszcze w płaszczach, szanowni panowie oficerowie? — zdumiała się pani domu.

— Służba! Poznanie osobiście matki Fregattenkapitäna Kurta Hackego było dla nas honorem, ale czas nagli. I jeszcze jedno: obowiązek zachowania w tajemnicy udziału syna w misji szczególnej wagi dla ostatecznego zwycięstwa istnieje nadal. Rozciąga się on także na naszą wizytę. Przypominanie tego osobie pani pokroju jest nie na miejscu, wiemy, ale proszę nas dobrze zrozumieć: od tego zależy powodzenie misji, a być może i życie pani syna.

Pochylił się do drżących rąk pani Hacke i ucałował je.

Już zapomniała, kiedy ostatni raz uhonorowano ją w ten sposób. Piękny, dawny zwyczaj ludzi dobrze urodzonych, podtrzymywany jeszcze przez gdańskich Polaków. Oczy jej zaszkliły się wzruszeniem.

— Gdyby życie mego syna zależało ode mnie, nie spadłby mu włos z głowy — powiedziała przez łzy. — To chłopiec o wielkim sercu, szlachetny...

„Wiemy, kim inni są, najmniej wiemy o synach naszych” — gdzieś to czytałem, przemknęło przez głowę sturmbannführera.

— Szlachetny, powiedziała pani... Tak, na pewno. — Poprawił niecierpliwie złote binokle na nosie i zerknął na zegarek. — Pani pozwoli, że się pożegnamy.

— Jeszcze jedno — zatrzymała go. — Proszę mnie właściwie zrozumieć — zastrzegła się — ale miasto tak się zmienia. Tyle znamienitych ludzi je opuszcza. Czy te pogłoski o...

— Wroga dywersja — uciał zdecydowanie obersturmbannführer. — Absolutnie! Raczej z tego miasta nic pozostanie kamień na kamieniu, niżeli... — Wyrzucił rękę w górę. — Heil Hitler!

Pozycja obserwowano okrętu zgadza się co do sekundy z pozycją zliczoną, błędu z naszej strony nie ma. Z naszej — zaznacza Horst Neuenahr, bo w imprezie tej biorą udział dwie strony: my i nasz okręt macierzysty. Hacke może sprawdzić to sam. Może jeszcze raz obliczyć prędkość wiatru, prądu morskiego; może położyć lunetę sekslantu na jarzące się nocą gwiazdy i do kompleau dać oko na kompas — błędu nawigacyjnego nie znajdzie. Stoimy co do sekundy w wyznaczonym miejscu. Już piątą dobę. Aby zdążyć na czas, szliśmy kursem na zachód od Nowej Zelandii, ryzykownym, i wraz z pierwszym sygnałem z Tokio osiągnęliśmy pozycję. Teraz stoimy. Na luksus „stania” możemy sobie pozwolić tylko podczas wynurzenia, w zanurzeniu okręt podwodny upodabnia się do rekina, który zmuszony jest do bezustannego krążenia, gdyż w bezruchu udusi się z braku tlenu. To samo z nami. Tlen mamy w butlach — pod tym względem jesteśmy w lepszej od rekina sytuacji, ale w zanurzeniu śruby muszą pracować, gdyż iaczej poszlibyśmy na dno. A praca śrub to paliwo. Przekłete paliwo, bez którego na tym świecie nic się nie robi. O którym nikt poza mną i Henningiem. Gehimannem nie myśli — jestem zwiecie przekonany. Gospodaruję nim oszczędnie, nie mówiąc o tym, bo i po co. Ale gospodarzyć, nawet oszczędnie, trzeba mieć też z czego!

Sytuacja nasza nie jest wesoła: balasty zewnętrzne puste, per-hydrołu w zbiornikach na dnie, torpedy wystrzelone, z żywnością weJlag intendenta — krucho; jeżeli „Rosamunda” nie pojawi się szybko, Hacke będzie musiał podjąć decyzję. Taką lub inną. Wybór ma niewielki: od poddania się do samozatopienia; znając go, w rachubę wchodzi raczej to drugie — niemiecka flota wojenna ma swoje tradycje... Istnieje jeszcze jedno wyjście: okręt zatopić, a załogę wyembarkować na bezludnej wyspie, jakich na Pacyfiku mnóstwo. Ale to do niego nie pasuje. Ta postać ma wypisaną na czele przepustkę do historii. Jest kropka w kropkę podobna do płowowłosego Zygryda z Nibelungów. Zabić groźnych smoków już nie zdoła, lecz rzucić im wyzwanie, a to już wielkość. Tak więc tę mamy zapewnioną.

Krótkie noce. Dużą część dnia spędzamy na powierzchni. Obecność naszą na tym pustkowiu zdradzają: burza fluoryzującego planktonu wywołana obrotami śruby; odkładana na boki fala

dziobowa; wyskakujące z wody delfiny; cała masa zjawisk świetlnych towarzyszących ścierającym się na fosforyzowanym ciałem. Tutaj nie jest to dla nas groźne. Zwiad lotniczy alianatów wyłączył ten akwen spod kontroli. Słowo „pustkowie” nie jest na tym skrawku świata przenośnią; tu, poza wiatrami, rzeczywiście nie ma nic. Ktoś obielany w geografii powiedziałby, że to nieprawda. Pokazałby kropeczkę, punkcik, główkę od mikroskopijnej szpilki, wystającą z wody między południowym cyplem Nowej Zelandii a białymi brzegami Antarktydy, i spytał: A to? Miałby rację. To Macquarie, skalisty przyszc pochodzenia wulkanicznego na twarzy oceanu, zamieszkały przez ptactwo. Ludzi tam nie ma. Na jego granitowych stromiznach omiatanych subarktycznymi wichrami nikt by nie wytrzymał. Nie miałby zresztą po co. Są więc tutaj wichury zdolne z okrętu zrobić wiatrak, są albatrosy, kaszaloty, których harce są dla nas przyjemnym widowiskiem po dwumiesięcznym rejsie, i jesteśmy my z naszymi problemami. Lepiej o nich nie mówić. Można natomiast — o szpachlowaniu kadłuba z porostów, pracy bardzo ryzykownej przy nieprzejrzystości wody, można o komunikatach wojennych z Europy — temat dla załogi najważniejszy, ale trefny, bo dowódca zabronił Schlindweinowi przekazywania ich bezpośrednio ludziom; można o kuchni, coraz gorszej (temat nabiera znaczenia w miarę ubywania puszek z wieprzowiną, wołowiną, z niemiecką parówką, podawaną na gorąco z musztardą i szklanką czerwonego wachenheimera, i coraz częstszego zastępowania ich rybami); można o wczorajszej śmierci Eckerta — tajemniczej, ale też o tym cicho sza, bo to podkopywanie morale; można o tysiącu innych spraw, lecz wszystko nie będzie tym, co od środka toczy każdego z nas.

Razem walczyć, razem zginąć — w porządku, na to się pisałem. Umowa nie rozciągała się jednak na zabijanie najbardziej bezbronnych z bezbronnych, jakimi są ludzie mający pod sobą otchłań oceanu, rozszarpywani w oczach kolegów przez rekiny. Istnieją niezliczone formy okropności. Są cierpienia przekraczające wyobraźnię. Wybawieniem od nich jest śmierć, której wygląda się jak miłości, za którą oddałoby się wszystkie skarby świata, byle tylko zechciała podać nam rękę. Podlegamy strachowi, przerażeniu zamieniającym człowieka w obrzydliwą galarete, ale wyraz ludzkiej twarzy, ku której pruje żagiel płetwy — koszmar, nie sposób tego opisać. Potem krzyk ostry jak błyskawica, urwany bulgotem zaczerwienionej wody, z której wychynie jeszcze raz ręka... Jak to się dzieje? Rekin chwyta za sparaliżowany strachem korpus, i ciągnąc łup w głębię szarpie z niego kęs po kęsie, spieszy się, chce ubiec innych żarłaczy zwabionych krwią. Rzucić bombę w tę kotłownię ludzkich cielsk byłoby błogosławieństwem. Otworzyć ogień z wszystkich luf, strzelać do każdego jeszcze żyjącego — byłoby łaską. Lecz komandor porucznik Hacke nie zna takich odruchów. W jego mózgu nastąpiła awaria — tak, awaria, człowiek rodzi się aż z takim błędem — wysiadł transformator napięcia i całą jego energię pochłania tkwiąca w nim machina niszczenia. Dopóki ona pracuje, nic nie zakłóci rekinom spokoju podczas uczt. Wspaniały i szalony w swej odwadze Fregattenkapitän Kurt Hacke. Porywający dowódca garstki straceńców. I przerażający w swoim okrucieństwie człowiek.

On nazywa to siłą. Tworzyć lub niszczyć — jedno i drugie ma wspólny mianownik. Naprzód! I nie oglądać się do tyłu! Naszą oficerską piątkę obowiązuje kodeks. On jest dla każdego z nas Herr Fregattenkapitän, my — w jego obecności — zwracamy się do siebie per stopień wojskowy. Dyscyplina. Z dołu do góry, z góry w dół — żadnej prywaty, Herr Fregattenkapitän zażyczył sobie tego na pierwszej odprawie i z żelazną konsekwencją kodeksu ustanowionego prze siebie przestrzega. Nie rozrzedza to atmosfery na okręcie. Dziwne, jak bardzo odsunęliśmy się od siebie w tym krótkim czasie. Hacke, Strelov, Wenk, Frauenheim — z jednej strony, z drugiej ja. Reszcie, tak zwanemu mannschaftowi — ludziom, jak nasz medyk określa załogę, co w jego ustach brzmi, jakby mówił o trupach w prosektorium, nie przyznaje się prawa do wyboru strony. W sprawdzony w walce zespół marynarzy wdarło się obce ciało. Skąd się ono wzięło, odkryłem to późno, zapewne jak wielu rozczarowanych niespełnieniem się marzeń. A może tylko ogarniętych strachem przed odpowiedzialnością za swoje czyny? Dźwięczy to jak skarga rozgoryczonego serca, ale też sprawy Widziane przez peryskop naszej hipoteki inaczej wyglądać nie mogą. Otacza nas ocean. Żywioł dla okrętu

naturalny, gdyby nie był oceanem gnoju. Fregattenkapitän... Stykając się ze mną marszczy czoło. Stałem się dla niego czymś niegodnym wymiany spojrzeń. Ale myślami sprzężony jest przede wszystkim ze mną. Dzień i noc, nieprzerwanie. Czuję je wsłuchując się w takt cylindrów silnika, w syczenie akumulatorów, w rytmicznie posapywanie pomp tłoczących paliwo; słyszę je, kiedy z zaciśniętymi szczękami popędza z pokładu krzątających się w pontonach strzelców. Jestem pewien, że nawet tonąc, nie myślałby o swojej zgubie, tylko o mnie. O mojej niewierności jemu. Nie wywołanej załamaniem, to by mi może wybaczył, lecz tej najpodlejszej, bo jego zdaniem wyrachowanej. Skalkulowanej skrycie. Dokonałem wyłomu ze wspólnej odpowiedzialności. Dla przeprowadzenia zamysłu posłużyłem się nie podstępem, lecz prawem. I podczas gdy on, załoga pokładowa wraz z lekarzem strzelali do rozbitków, ja dałem rura do maszynowni. Zasłoniłem się regulaminem służbowym. Miałem pierwszy raz podczas tej wojny okazję do fizycznego unicestwienia wroga i potrzebowałem na to rozkazu wydanego w obliczu podwładnych. Trzeba było wyciągać mnie z maszynowni jak szczura, wciskać broń do ręki i pod groźbą śmierci zmuszać do wykonania rozkazu. Zadaniem żołnierza jest walczyć. Zadaniem oficera jest dawać przykład, ja zaś... Do naszego okrętu podpływają rozbitkowie; na wyróconych tratwach, na łodziach ratunkowych, wpływ — jak kto może, byle szybciej do zbawczego pokładu; jest ich już wokół śliskiego kadłuba coraz więcej... Nawet najbardziej zahartowanym niełatwo przyglądać się obojętnie takim obrazkom, toteż reakcje bywają różne: młodszy bosman odpycha ich bosakiem od burty; Schlindweln, który trzy lata odbębnił na Atlantyku, rzuca im swoją kamizelkę ratunkową; zrywa ją z siebie — czyn zakazany regulaminem bojowym — i tonącemu wrogowi oddaje część swego ekwipunku... I tak dalej, i tym podobnie.

Taśma ukazuje te same wydarzenia, choć filmowane z równych punktów. Miejscem akcji jest ocean gładki owego dnia jak Jezioro Bodeńskie, w lipcowy wieczór podświetlone zachodzącym słońcem; na planie cała załoga... Nieprawda, nie cała! Jest dowódca okrętu, jego zastępca, oficer artylerii, lekarz wraz z sanitariuszem Eckertem i obsady karabinu maszynowego i działa; załogi maszynowni, radiooficera, drugiego oficera pokładowego nie ma. Są wewnątrz okrętu. Kto był na planie podczas rozgrywania się akcji, a kto nie i dlaczego, oto problem, wszystko pozostałe to detal mało ważnego obrazu z kolebiącym się na wodzie okrętem podwodnym, na którego pokładzie — jak opowiada taśma — jakiś rozbitek z epoletami kapitana greckiej marynarki handlowej na koszuli pluje dowódcy tego okrętu w twarz, ktoś inny z insygniami lekarza strzela do Greka, co staje się początkiem jatki rozbitków. Lecz to się nie liczy, o coś innego chodzi: o podział załogi na „winnych” i „niewinnych”, jaki dokonał się po nakręceniu tej sceny. O wymazanie różnic pomiędzy aktorami, aby jeden nie mógł wytykać palcem dużego; historia z amerykańskim frachtowcem była już tylko próbą opaćkania brudem reszty załogi. — Wszyscy na pokład! — padł rozkaz po storpedowaniu frachtowca. — Bez wyjątku! Pan, Herr Leitende Ingenieur Ihna, też!

„Wszyscy bez wyjątku” — zaznaczono dobitnie i gdyby ktoś tego nie zrozumiał, wymieniono jeszcze nazwisko. A Herr Leitende Ingenieur Ihna wyszedł sobie na pokład jak na przechadzkę.

Obsesja pożera go. Niszczy jak kornik dębowy pniak — po milimetrze. Robotę zaczęła od mózgu. Gdy wypływał z Gdyni, był wcieleniem germańskiego bożka wojny. Z ręką przy daszku czapki, wyprostowany, oddawał honor zegnającemu go osobiście admirałowi okrętów podwodnych, von Friedeburgowi.

Poranek był chłodny. Jasny, jakich w maju na Bałtyku sporo, ale chłodny. Admirał był taki jak poranek, taki jest zawsze, bez względu na porę roku, na miejsce, na otaczających go ludzi. Teraz jest listopad. Pół roku minęło od owego pożegnania. Obecnie wzrok komandora porucznika Hackego jest mętny, nie jest to już wzrok sępa, a i głowa nie ta sama. Coś się w nim zmieniło. Nie od dziś, nie od wczoraj, zmiana zaczęła się dość dawno.

Były asystent wynalazcy turbiny, która sprawuje się tak znakomicie na naszym okręcie, mat podchorąży Henning Gehrmann uważa, że Hacke podpompowuje się sztucznie. Jest już skończony. Żeby załoga tego nie wymacała, łyka cichcem środek podniecający. Jego chorobliwie

błyszczące oczy, nieskoordynowane, gwałtowne ruchy, a później kompletne okłapanie świadczą o tym niezbitcie. Pokazał mi zresztą tabletkę z wytłoczonym napisem „Benzedrine”. Zdobyczą. Euforia, halucynacje, wzmożona agresywność posunięta do okrucieństwa to robota tego świństwa. I chyba nasz medyk macza w tym palce. Do śmierci Eckerta nie dawał za to głowy, teraz daje. Zaczęło się to już w Penangu. Kiedy ten japoński Napoleon zaprosił nas na przedstawienie z australijskimi komandosami, Hacke był jeszcze gumowy po malarii — powinienem to pamiętać. Jego odpowiedź była na nie i taka by pozostała bez względu na namowy attache morskiego, gdyby w sprawę nie wmontował się Frauenheim, który podjął się postawienia go na nogi w sposób — pstryknął palcami — taki.

Benzedryna działa pobudliwie na system nerwowy. Zmęczenie, apatia, strach, które zamieniają żołnierza w glinę, po zażyciu tabletki znikają bez śladu, miejsce ich zajmuje poczucie siły, pewności siebie. W armii rosyjskiej żołnierzowi przed atakiem podają stakan wódki i — poszli w pierd; w niemieckiej przejęto pogardzane metody Rosjan; Anglicy zaś jak zawsze w rękawiczkach: ogłupiają tabletką. Ale rezultaty są identyczne. Benzodryna podawana od wielkiego dzwonu spełnia zadanie nie pozostawiając żadnych skutków ubocznych, zażywana często powoduje nieodwracalne zmiany w centralnym systemie nerwowym.

Zachowanie się Hackego na placu w Penangu świadczyło, że środek przedakowano. Ale o tym wiedział tylko lekarz, pacjent natomiast, jak wynika z historii z frachtowcami zaufał mu bez reszty. A skąd Henning Gehrman to wie?

Mat podchorąży uśmiecha się zagadkowo. Sanitariusz Eckert był jego rodakiem... Obaj pochodzą z Osterholz-Scharmbeck, małej miejsciny niedaleko Bremy.

A skąd angielska benzodryna w rękach lekarza niemieckiej marynarki wojennej, który z racji swej specjalności nie miał nigdy okazji wziąć do niewoli brytyjskiego oficera? Przecież jedynie oficerowie dysponują tymi tabletkami.

Mat podchorąży uśmiecha się zachęcająco. Mech pan pomjéli skąd. Śmiało, panie kapitanie, przy mnie pan może - mówi uśmiechem.

Zagadka. Jedna więcej na nasiej „Elektrze”. A zdawało się, że przed głównym inżynierem, który mieszka klitka w klitkę z dowódcą okrętu, żadna tajemnica się nie uchowa.

Powiedziałem, że to miejsce jest dla nas bezpieczne, że alianckie lotnictwo rozpoznawcze nim się nie interesuje. W złą godzinę to powiedziałem.

Dotlenianie się godzinami w otwartym kielku to na razie przeszłość. Około południa w północnym sektorze ekranu radaru pojawiło się odbicie samolotu. Bacznie śledziliśmy jego drogę. Leciał kilkadziesiąt mil od nas, na dużej wysokości. Przypakowy czy szpera po niebie, czegoś szukając? Gęste, nisko zawieszony chmury kryły nas przed okiem obserwatora. Ale jeżeli i on ma radar...

Na wszelki wypadek daliśmy nura w głębinę. Wyplłynęliśmy pół godziny później i pierwsze, co zauważyliśmy na ekranie, to świetny punkcik przesuwający się północy na południe. Też bardzo od nas odległy, lecący na dużej wysokości. Towarzyszyło mu małe ożywienie się aktywności radiowej w eterze.

Szukają?

Przy minimalnych obrotach śruby, aby tylko utrzymać pływalność okrętu, stajemy się dla radaru z powietrza nieosiągalni, co innego asdik. Pełzamy na dwustu metrach. W zanurzeniu jesteśmy ślepi. Wszystko, co możemy robić, to siedzieć cicho i nasłuchiwać. Niewesołe ma się uczucie podczas takiego biernego czekania.

Dokonałem małego odkrycia. Okazuje cię, że wystarczy kilka dni spokoju, abym zapomniał o drętwieniu pleców, jakie wywołuje odbicie wiązki fal ultradźwiękowych asdika o kadłub okrętu, które słuchowo przypomina sypnięcie grochem po blaszanym dachu.

I jeszcze jednego: Duszę się w sobie, żyję jak wciśnięty w za ciasny, obcy kaftan. Dość tego. Jeśli przyjdzie mi umrzeć, to z krzyżem wyprostowanym, Musze to przemyśleć.

Szef grupy dywersyjnej „Kolano” skończył czytanie danych personalnych czwartego z rzędu oficera z U-1852. Rok i miejsce urodzenia, wykształcenie, data powołania pod broń, ukończenia przeszkolenia, uzyskana specjalność; potem przebieg służby na morzu: Atlantyk, Morze Karaibskie, zwalczanie konwojów na polarnym szlaku do Murmańska, minowanie portów brytyjskich — z lektury wojennych życiorysów nie wynikało, aby ludzi tych oszczędzano albo też aby korzystali z nadarzających się okazji do zakotwiczenia się w jakimś bezpiecznym miejscu na lądzie. Dane różniły się w zasadzie liczbą i tonażem statków zatopionych przez okręty, na których służyli, awansami i odznaczeniami bojowymi, u całej czwórki bardzo wysokimi.

Z nie retuszowanych zdjęć spoglądały nakierowane na obiektyw buńczuczne twarze dziewiętnasto-, dwudziolatków z krótko przystrzyżonymi włosami, jeszcze nie mężczyźni, lecz już nie chłopców — miliony takich podobizn zapełnia szafy działów personalnych wszystkich rodzajów broni. W sierpniu czternastego roku tacy jak oni, obrzucani kwiatami przez rozhisteryzowane pannice, maszerowali ulicami niemieckich miast, kierując się na Paryż. Nie upłynęło dużo wody w Renie, gdy ich synowie ruszyli tym samym traktem, a siadając przed wymarszem do pamiątkowego zdjęcia, mieli miny równie buńczuczne jak ich ojcowie sprzed ćwierćwiecza. Powracającym z frontu żołnierzom zdjęć przed demobilizacją się nie robi. Szkoda. Stanowiłyby bowiem pouczający materiał, świadczący choćby o błyskawicznym tempie przemian, jakie dokonują się w ludziach podczas wojny. Wymownym świadectwem tych przemian była fotografia komandora porucznika Kurta Hackego wykonana wiosną bieżącego roku. Przedstawiała mężczyznę o zimnych, marmurowych oczach i z tego samego materiału wykutej twarzy, należącej bardziej do postaci z nagrobka cmentarnego niżeli do żywego człowieka, o wieki całe starszej od twarzy młodzika z krótko przystrzyżonymi włosami, pstrykniętej przed pięcioma laty. Czas wojny przemieścił go jak gdyby o ileś lat w przyszłość, w następne już pokolenie. Gładkie, chłopięce czoło przeorał fałdami łamiącymi się pod jakimś niewidzialnym ciężarem nad prostym, kształtnym nosem, symetryczny owal twarzy rozsadził wystającymi ostro kośćmi policzkowymi, a całą resztę przeklepał dołu, stalową podkowę, przeciętą w poprzek krechą zaciśniętych warg. Bezkrwistych, zimnych, jak jego marmurowe oczy.

Czy te przemiany można by nazwać ceną za przyspieszenie życia? Karą za doznania zakazane, za wejście w uprawnienia zastrzeżone dla bogów? Jakkolwiek jednak by się je nazwało, pozostaną znakiem rozpoznawczym komandora porucznika Kurta Hackego na długie lata. Na dobre dla niego i na złe.

Tak wyglądał, przynajmniej jeszcze pół roku temu, człowiek, którego wola, nagle uderzenie krwi do mózgu, chwilowy kaprys — jeżeli nie działał na rozkaz — zburzyła ustanowione od stuleci granice okrucieństwa wojny na morzu.

Jego podkomendni też nie wymigali cię od ryłka przyspieszonego tempa życia, chociaż nie obszedł się z nimi tak surowo. Najłagodniejszym przemianom uległa rubaszna twarz zastępcy dowódcy okrętu, kapitana Strevlya; bez trudu można było rozpoznać chłopaczkowo uśmiechniętego oficera artylerii, porucznika Wenka; bruneta o łagodnym spojrzeniu, z insygniami działu maszynowego na rękawie, najbardziej urodziwego z tej przecież urodziwej czwórki, łatwo się utożsamiało z obecnie głównym inżynierem U-1852, kapitanem Ulrichem Ihną.

W rękach Szczurkowskiego pozostała teczka personalna lekarza okrętowego, z racji swej specjalności nie zaliczanego do tak zwanego kierownictwa. Sztywna okładka z wykaligrafowanym czarnym tuszem numerem porządkowym i biegnącym przez całą szerokość nazwiskiem: Wolfgang J. Frauenheim. Bez stopnia wojskowego i specjalności, jak wszystkie pozostałe teczki. Szczegóły te, zmieniające się przecież w ciągu służby od dnia powołania pod broń, znajdowały się wewnątrz.

Dwom gościom w prywatnym mieszkaniu Szczurkowskiego w Gdyni od razu rzuciła się w oczy inność tego skoroszytu. Poprzednie zawierały po kilkadziesiąt papierków różnego

formatu, poświadczających każdy krok człowieka, którego nazwisko nosiły, każde zdarzenie, w którym brał udział, jego fotografię przyklejoną i przytwierdzoną zszywaczem do życiorysu otwierającego pochód pism. Ten był zenująco cienki. Znajdowało się w nim odkomenderowanie ze szpitala, stwierdzające jego przydatność do służby czynnej na okrętach podwodnych, podpisane nie przez komisję kwalifikacyjną marynarki, lecz przez szefa wydziału personalnego naczelnego dowództwa kriegsmarine, kwestionariusz osobowy, formularz zamustrowania, pokwitowania materiałowe. Wszystko.

W górnym prawym rogu kwestionariusza, wypełnionego przez Frauenheima po przybyciu do centrum, powinno być zdjęcie. Jak wszystkie inne przyklejone i przytwierdzone zszywaczem. Armia niemiecka może przewalać się zwycięsko od Pirenejów po Egipt i Kaukaz, jest w stanie przetrzymać najcięższe baty, ale armią groźną dla przeciwników pozostanie tak długo, jak długo jej żołnierze będą mieli zapisany dokładnie każdy krok, każdy guzik wyposażenia, a ich teczki personalne, opatrzone zdjęciem i własnoręcznym podpisem, spoczywać będą nie tknięte na odpowiedniej półce odpowiedniej szafy w odpowiednim dziale ewidencyjnym. Takie są reguły niemieckiego porządku i takimi pozostaną, jak długo Niemcy są Niemcami. Ordnung i jeszcze raz Ordnung!

Ta teczka nie była in Ordnung. Wydarte zdjęcie z kwestionariusza personalnego, brak pism, noszących zazwyczaj własnoręczny podpis jej właściciela, świadczyły o tym, że ta zasada nie-niemieckiego porządku została przez kogoś jawnie pogwałcona, przez kogo i w czym interesie?

Przypadek odsłonił trop chytrego, tchórzliwego procederu: rozplywania się zbrodniarzy z SS w anonimowej cizbie innych broni.

Szczurkowski miał do siebie pretensję:

— Że też nie wpadłem na to już po zagadkowej śmierci inspektora z szefostwa personalnego! Gdyńskie centrum jest na pewno jednym z wielu schowków dla ludzi tego pokroju. U-bootwaffe, choć nie bez winy, z wszystkich hitlerowskich rodzajów broni jest najmniej upačkana brudem. A jakie ma możliwości dania nogi z Europy po wojnie! Sami widzicie, że nie mogę się tym nie zainteresować — przekonywał przybyszów z Anglii.

Oparł się wyczekująco o parapet okna, za którym podminowane niepewnym jutrem miasto, leżące nad cichą Zatoką Gdańską, kładło się spać. Cichą... jeszcze. Lima frontu po letniej ofensywie Rosjan zatrzymała się na Wiśle — w środkowej części Polski; tu, na północy kraju, utknęła w litewskich lasach i mokradłach. Ale to było w sierpniu. Od tego czasu Armia Czerwona uzupełniła stan wykrwawionych dywizji, szturmowe jednostki naszpikowała tysiącami czołgów i dział. I teraz co? Jak? Kiedy jej walec pancerny, artyleria raketowa, o której stare wygi z ost-frontu opowiadają straszliwe rzeczy, ruszy znowu przed siebie?

Niemcy też nie próżnowali. Wzięci w kleszcze ze wszystkich stron, niszczeni systematycznie z powietrza, wypatroszeni z mężczyzn zdolnych do noszenia broni, niczym stale odradzający się feniks wyczarowywali skądś nowe zastępy wojsk, nowe masy sprzętu bojowego. Ileś kilometrów od tego okna przyczyły się armie przeciwników. W Stalingradzie żołnierze, którzy chcieliby z miasta się wycofać, wiedzieli, że ziemi dla nich po drugiej stronie Wołgi nie ma; oddziałom niemieckim zaległym za zachodnim brzegu Wisły, jeśli odstąpią od niej na krok, ziemi Hitler nie odmawia. W grobie! Stalingradczycy nie ustąpili. Czy ustąpią Niemcy? Na pewno tak. Z duchem u nich źle. Wydaje się, że z tą niematerialną cząstką człowieka u żołnierzy Hitlera od samego początku było coś nie tak, że na podbój świata wybrali się z namiastką ducha. Ale obecnie to już tylko babskie dzielenie wyrwanego z korzeniami włosa na czworo. Wynik zwania jest przesądzony. To i następne, jeżeli jeszcze jakieś będzie, rozstrzygnęło się gdzie indziej, na innej płaszczyźnie; okopy nad Wisłą, przed mokradłami litewskimi, są tylko etapem nieodwracalnego porządku rzeczy. Należy się spieszyć. Kiedy front przewali się przez to miasto, a zagadka współpracy tego koszmaru z U-1852 nie zostanie rozwiązana do końca, Frauenhekn i jemu podobni ujdą sprawiedliwości.

— To na razie trop — Mirecki skwapliwie poparł „Kolano”.

— Jeżeli wszędzie zatroszczą się o usunięcie w porę podobizn tych ludzi, to przy braku

prawdziwych dokumentów tożsamości wyłuskanie ich z milionów jeńców wojennych będzie szukaniem wiatru w polu. Jeżeli tylko mogą być w czymś pomocny...

Spojrzał na nie zdecydowanego jeszcze, zamyślonego pułkownika Bogackiego, ubranego wciąż w wyłożoną bluzc omardora porucznika kriegsmarine, w której wystąpił podczas eskapady do Gdańcka.

— Temu służy nasza wyprawa! — orzekł „Kolano”. — Los zdaje się nam sprzyjać: to wezwanie jest istnym darem Niebios. Ja zgodnie z rozkazem udam się do Wilhelmshayen, aby wyjaśnić oprawę naszego archiwum, w którym nie mogą się tam połapć, a przy okazji dam oko na wysłane już teczki personalne; ciebie, Adam, wysadzę po drodze w Burgdorfie, gdzie zajmiesz się sprawdzeniem tego Urlicha Ihny. Samolot będzie tu dopiero za trzy dni; w Londynie nie zakładano tak szybkiego uporania się z tą misją. Mamy do dyspozycji pełne trzy doby. Gdyby miało się nam coś przytrafić, w co raczej wątpię, bo twoje dokumenty są nie do zahaczenia przez kontrolę drogową, wówczas ty, Edward, dostarczysz Londynowi dotychczasowe ustalenia; przypadek Frauenheima dowodzi, że nie mogą być pełne.

Odetchnął rozluźniony. Decyzja podjęta, teraz tylko do dzieła. Wyprawa zdawała się go fascynować. Niebezpieczeństwa? Gdzie ich nie ma!

— Jeszcze tej nocy moi ludzie przeprowadzą cię do Pogódek.

— „Kolano” rozdawał ostatnie karty. — Mając to z głowy możemy podjąć się tego ryzyka. Musimy!

Czy jest to postanowienie przemyślane, z wliczonym w nie kosztem najwyższym? zastanawiał się Bogacki, od którego wojna żądała wiele i który zawsze gotów był tę cenę zapłacić, ale też przed każdym przedsięwzięciem skrupulatnie liczył, aby uchronić się przed własną zuchwałością. Zwykłe ryzykanctwo? A może owadzi pęd ku zaprogramowanemu w genach Polaków samounicestwieniu na romantycznym ołtarzu bohaterstwa? W Warszawie zapłacono za to życiem ćwierci miliona ludzi!

Ale gdyby nawet tak było, odmowę potraktowano by jako nadmierną ostrożność; w języku ludzi zamieszkałych nad Wisłą istnieje na coś takiego jednoznaczne określenie.

— Oczywiście, oczywiście — przytaknął, wciąż jednak bez przekonania.

Zdumiewała go swoboda poruszania się w terenie człowieka, którego, pomimo doskonałej charakteryzacji, ktoś mógł przecież rozpoznać. Dotychczasowy przebieg akcji wydawał się nieprawdopodobny, a plan wycieczki samochodowej do serca Niemiec — kuszeniem złego. Gdańsk i Gdynia ogłoszono twierdzami wojskowymi. Które będą bronione do ostatniego żołnierza. Rogatki miast są zaryglowane — sytuacja typowo frontowa. Tymczasem wystarcza mundur oficerski i papierek, którego na dobrą sprawę żaden żandarm nie doczytał do końca, aby z twierdz zrobić sobie przelotową arterię. Nieprawdopodobne urzeczzenie szlifami oficerskimi! Dotknięty tym naród sam się obezwładnia. W naiwnie ufającym zarządzeniom rządu jego królewskiej mości społeczeństwie brytyjskim coś takiego byłoby absolutnie niemożliwe. Niech jednak Niemców boli o to głowa!

Na znak zgody Szczurkowski wyciągnął do kolegów rękę. Hazardowa zagrywka: skoczek z Londynu w towarzystwie poszukiwanego przez służbę bezpieczeństwa, gestapo, żandarmerię dywersanta wypuszcza się samochodem w głąb Niemiec — kto po wojnie da temu wiarę? Jeżeli oczywiście wyprawa skończy się happy-endem.

Na wszelki wypadek nie przesądny z natury wywiadowca odpukał w nie malowany blat stołu.

Zdarzenie przyjęła ze spokojem nie tylko zewnętrznym. I to zdziwiło ją najbardziej. A więc istnieje coś takiego jak obojętność doskonała! Całkowite wyzwolenie z ludzkich odruchów! Hosanna, teraz jest już przygotowana na nadejście końca świata!

Spostrzegła to po przybyciu do rodzinnego domu. W Bremie, podczas akcji ratowniczej, która trwała jeszcze dwa dni po nalocie, zachowywała się jak reszta pozostałego przy życiu personelu szpitala. Do ruin, do poskręcanych w ślimaka, spopielałych zwłok można się

przyzwyczać. Gdy była dorastającą dziewczynką, widok krwi doprowadzał ją do paniki. Przygotowując ją na więcej krwi niż kropla na palcu, matka wyjaśniała jej tajemnicę dojrzewania długo przedtem, nim stało się faktem. Krok po kroku odkrywała przed nią tajniki ciała, które z dziewczęcego przemienia się w kobiece, a sygnałem tej przemiany jest krew. Teraz krew jest wszędzie. Broczą nią szpitale, ulice, domy. Kojarzy się tylko ze śmiercią. I nie robi już na niej żadnego wrażenia. Młodość i czas stały się pojęciami bezlitośnie tropionymi. Kobiety w wieku Ursuli nikt nie nazywa dzisiaj młodą. W szranki o mężczyznę stają zastępy podlotków wyrwanych ze szkół i powciskanych w różne wojskowe służby. Są przedsiębiorcze, bezceremonialne i — kto by to pomyślał, jeśli się weźmie pod uwagę model wychowawczy niemieckich dziewcząt — wykształcone w tych sprawach. Toteż kobieta dwudziestosześcioletnia może śmiało pakować manatki i zejść ze sceny na widownię.

Życie sprowadziło się do parteru, powiada matka Ursuli z grymasem odrazy na twarzy. W małym Burgdorfie same kobiety i starcy; z dawnych obyczajów, podobno dobrych, nie pozostało nic. Króluje zawiść i powszechna podejrzliwość. Trzeba mieć odwagę lwa, aby zdobyć się na przejaw najmniejszego niezadowolenia. Matkę stać na coś takiego. Ją, wiecznego buntownika przeciwko wszelkiemu kołtuństwu, tak; ojca — nie. Jest zbyt niemiecko praworządny ze wszystkimi tego skutkami. Jeżeli z tej pary narodzili się ludzie patrzący na świat jednym okiem szeroko otwartym, drugim tolerancyjnie przymrużonym, to jest to zasługa matki. Ulrich jest jej odbiciem. I najbliższym jej sercu.

Wprost z przedpokoju Ursula pociągnęła go na poddasze pełne rupieci z Ulrichowych młodych lat. „Tak będzie lepiej — powiedziała, odprowadzając ich, uskrzydłona nowiną matka. — Ludzie mają oczy, a ściany uszy...” W pokojach gnieździły się bezdomne rodziny: wdowy po poległych żołnierzach, matki dzieci zabitych przez bomby. Szczęście w oczach innych jest dla nich zdradą stanu, a co dopiero, gdy usłyszały słowa matki „Niech mi pan powie, gdzie ci bandyci trzymają mego syna? Co oni z nim robią?” Już przed samymi drzwiami powiedziała: „I nie ma mowy, żeby pan się poniewierał po jakichś tam kątach; zostanie pan do jutra u nas. Niech pan się czuje jak w swoim rodzinnym domu; Ula ma dwa dni urlopu, zaopiekuje się panem”. Tym samym rozgrzeszyła najstarszą córkę z wszystkiego, co na poddaszu z łóżem z szerokich materaców między dwojgiem młodych ludzi mogło się zdarzyć.

Dobrze, że Brigitte przy tym nie było. W jej stanie niewskazane są gwałtowne wzruszenia. A ile byłoby pytań, na które dzisiaj się nie odpowiada. Ona zdaje się tego nie rozumieć. Cięża, uważa, upoważnia ją do otrzymania wiarygodnej informacji o ojcu jej przysłego dziecka. Biedna naiwna. Tym nachodzeniem to gotowa ściągnąć na siebie kłopoty; brunatni bonzowie takich wścibskich nie lubią. I ta jej nadwrażliwość! Od pewnego już czasu trapią ją makabryczne sny o Ulrichu. Aż zaczęła krwawić i zabrano ją do szpitala. Dobrze się stało. Dobrze podwójnie, bo pokój na poddaszu, który zajmuje, jest na razie wolny.

Straszliwie zdewaluowały się wartości. Ludzie stali się drapieżni jak hieny. Liczy się tylko „dziś”, „ja”, idee poszły do lamusa. Stały się rekwizytami świata, który — jeżeli wierzyć wspominkom — podobno kiedyś istniał. Świat ludzi spacerujących pod rękę po zalanych słońcem ulicach, z kwiatkiem w butonierce, uśmiechniętych do siebie — niemożliwe, aby nie był bajką. Czy w kraju, w którym dziesięcioletnie dziecko nie wyobraża sobie nieba bez bombowców, coś takiego jest w ogóle możliwe? Pozostał więc, jak powiada matka, parter. Dużo to czy mało?

Pakamera Ulricha pełna jest śladów z tamtego świata. Drobiażdżki nabywane za grosze, świecidelka, figurynki, no i książki, mnóstwo książek, szczególnie angielskich z okresu jego studiów w tym kraju, i fotogramów. Anglia musiała wyrzucić na nim silne piętno. Kraj dziwactw, mówił, którego nie sposób poznać do końca, zwariowany na tle psów i kotów, dla nas, Niemców, mało zrozumiała. „Tych” Niemców, powiedział Uli, ale ona tego wówczas nie zrozumiała.

Spojrzała niepewnie na gościa. Ten wszędobyłski strach! To o jej całkowitym zobojętnieniu na śmierć to jednak nieprawda.

Ale czy muszą tylko o tych sprawach?

A o jakich? — pytała Ursula i sama sobie odpowiadała. O czym dwoje obcych ludzi mogło mówić po wejściu na górę, stojąc pośrodku nie posprzątanego pokoju, z rozwaloną na materacu kołdrą pozostawioną tak, jakby się spod niej rano wysunęło, jeszcze ze śladami sennej szamotaniny? O czym można mówić oczekując kroków matki na schodach, która przyjdzie zapewne z czymś gorącym do picia? Temu wysokiemu mężczyźnie oddałaby się bez chwili wahania. Sytuacja jak w poczekalni dworcowej. O czym mówi się przed nadejściem pociągu, stając nagle twarzą w twarz z człowiekiem, dla którego przepuściłoby się wszystkie pociągi świata?

Ach, o fotogramach!

— Uli narobił ich rzeczywiście dużo. Te tutaj to zaledwie cząstka; większość, zapakowana w skrzynie, czeka na niego w piwnicy — mówiła obrzucając niespokojnym spojrzeniem zmiętoszoną kołdrę, bluzę od piżamy, majtki, pończochy rzucone na bujany fotel.

Nie tłumaczyła się, jak zazwyczaj czynią to kobiety. Przyjaciela brata zdawał się tego bałaganu wcale nie zauważać. Bardzo przystojny i bardzo powściągliwy, oszacowała go niezadowolona z tego drugiego przymiotnika. A w ogóle inny niż znani jej mężczyźni. Jak gdyby z innego świata. I matkę, i ją na powitanie pocałował ją w rękę.

Otulona w obszerny sweter przyglądała się, jak chodzi wzdłuż ścian wytapetowanych fotogramami przedstawiającymi surowe piękno skalistych brzegów Kornwalii, ciekawą, odmienną od niemieckiej architekturę angielskiego country. Jutro o tej porze, pomyślała z rozdrażnieniem, będę z powrotem w Bremie, pojutrze wyślą mnie do ewakuowanego szpitala i jeżeli brytyjskie bombowce mnie nie zabiją, wchłonie mnie na nowo codzienność. Obrzydliwa. A kiedy się z niej przebudzę, będę już stara. Machinalnie przejechała ręką po twarzy.

Postanowiła nie odzywać się pierwsza. Ba, gdyby chciała wcielić w czyn swoje myśli, nie stałaby bezradnie obok fotela, a on nie odmierzałby kroków od fotogramu do fotogramu...

Zgarnęła z fotela bieliznę i rozglądając się za schowkiem, wsunęła ją pod poduszkę. Błękitną bluzę od przedwojennej piżamy, w jakie ubierano studentki medycyny w internatach akademii medycznych, i różowe majtki; pończochy wcisnęła do kieszeni swetra.

Słońce padało na fotogramy, figurynki kupowane za grosze w londyńskich butikach, na zeszlówieczne wiązania stropu podtrzymującego skośnie ścięty dach, tworzący nad łóżem rodzaj ocienionej niszy. Na końcu swej zawilej drogi spoczęło na toaletce.

— Piękny Gdańsk — usłyszała. — Nie można go pomylić z żadnym innym miastem.

Pochylony nad fotografiami, ustawionymi rzędem na półce toaletki, trzymał w ręku jedną z nich. Ursula podeszła do niego.

— Nie znam tego miasta — powiedziała. — To pamiątka z pobytu tam narzeczonej brata; chyba zna ją pan z jego opowiadań... To ona. — Paznokciem małego palca wskazała zgrabną blondynkę trzymającą pod ramię wyższego od niej prawie o głowę kapitana marynarki z rozpoznawalnymi insygniami działu maszynowego na rękawie. — A to — paznokciec powędrował na zdjęcie, przedstawiające czterech oficerów w białych, letnich bluzach, wykonane pod fontanną Neptuna — pańscy koledzy. Poznaje ich pan?

Podniosła na niego oczy.

Słynna na całą Europę, odlana z brązu sylwetka młodzieńca z trójzębem w zaciśniętej dłoni, podobnego bardziej do biegacza, wspinającego się ze świętym ogniem na szczyt Olimpu, niż groźnego boga mórz.

— Nie wiedziałem, że nasz dowódca jest tak fotogeniczny — zauważył kapitan.

— Tylko on?

— Nie można tego również odmówić kapitanowi Strelowowi, a także pani bratu — dodał.

Ursula nie odrywała od niego oczu.

— A doktorowi Frauenheimowi? — spytała oschłym tonem. — Czyżby panowie mieli z sobą na pieńku?

Więc to ten przylizany brunet, pomyślał. Ten obok przeraźliwie jasnowłosego Hackego. Coś

jej się w nim nie podoba!

— Ależ skąd — odparł przekornie. — To sympatyczny człowiek.

— Sympatyczny? — Głos Ursuli wyraźnie w to powątpiewał.

— Ale pana na tym zdjęciu nie ma — zauważyła. — Na żadnym. Kroki na schodach uwolniły go od wypowiedzi na ten temat.

Frau Ihna wniosła na przyciemnione poddasze światło i zapach. Zabrazowane grzanki, kropla koniaku, prawdziwa kawa... Kawa — zapomniany w niemieckich domach rarytas. Ale też na ten dom spadło szczęście!

— Proszę pić, jeść — namawiała Frau Ihna. — Bogu niech będą dzięki! I panu, mój drogi synu!

Mój drogi synu...

Atmosfera zagaściła się. Ursula okutana w luźny sweter, fotogramy, figurynki, bujany fotel. Kapitan skurczył się w sobie. Nagle rozległ się płacz rozspanego dziecka.

— Mój Boże — przypomniała sobie Frau Ihna — musi mi pan wybaczyć. Ich matki są w pracy, pan rozumie.

Nim zniknęła w drzwiach, wydała polecenie: — Uła, zmienisz pościel i w ogóle zadbasz o naszego gościa. W tym domu może pan być całkowicie spokojny.

Kapitan był spokojny. Dokumenty podróży spreparowane przez „Kolano” wytrzymały próbę ognia. Oficer komendantury wojskowej zburzonego bombami Hanoweru bez mrugnięcia oka podstemplował rozkaz wyjazdu. Tyłowi oficerowie wszystkich armii świata to ludzie z gestem: jedna pieczętka mniej, jedna więcej — proszę bardzo, kolego kapitanie naszej dzielnej u-bootwaffe. I wszystkiego najlepszego! Ale odporność nerwowa ma granice. Ten dom jest domem przestępcy wojennego... Ten materac... Ursula ze swoimi nogami...

Nie wolno o nich myśleć! Kilka godzin popołudnia, noc, jutro mnie tu nie będzie; zadanie nie przewiduje zabawiania się tymi nogami.

Do części zadania rozgrywającej się w tym domu, myślał. Adam, potrzeba nie żołnierza, ale Chrystusa. Wśród wrogów też są ludzie! Kiedy ta przeklęta rzecz się skończy, postanawia przed zamknięciem oczu, udać się na Tahiti. Będę żyć jak Gauguin; nigdy nie wrócę do tej zwariowanej cywilizacji.

Zbudziły go czyjeś bose kroki na macie i chuchnięcie tahitańskiego wiatru w twarz. Otworzył oczy. Sięgając odruchowo po rewolwer pod poduszką, zawadził o kobiecą nagą pierś. Napaśnik nie dał mu szans. Przyłgnął do niego rozpalonym brzuchem i opasując udami, wchłonął go żarłocznie w siebie...

Opleceni ramionami nasłuchiwali odgłosów nocy. Poniżej ich wysepki Frau Ihna, umęczona krzątaniem przy obcych dzieciach, po raz pierwszy od długiego czasu spała spokojnym snem. Tysiąc kilometrów na wschód od tej ich wysepki pewien mężczyzna w małej kaszubskiej wsi na pewno liczy wolno mijające godziny. Tysiąc kilometrów w przeciwną stronę czekają na jego powrót ludzie z Baker Street i być może przygotowują dla niego kolejną wyprawę w nieznane. U jego boku leży ona...

To były myśli Adama. Jej mocno trzymały się tego łoża. I nagle myśl, która dręczyła ją od przybycia Adama: Frauenheim!

Na pierwszym roku studiów wykłady z ginekologii prowadził młody, przystojny brunet. Dziewczeta leciały na niego jak ćmy do światła i tak jak ćmy wracały z nadpalonymi skrzydłami. Ale w jaki sposób odbywało się owo nadpalanie, żadna nie puściła pary. Wkrótce przystojniak znikł z akademii, aby jeszcze przed wybuchem wojny pojawić się tam w towarzystwie doktora Karla Brandta, zaufanego samego Himmlera, który — obecnie nie jest to tajemnicą — kieruje programem eutanazji. Facet nazywa się Wolfgang Johann Wolff — łatwe do zapamiętania — i jest tym czwartym ze zdjęcia zrobionego pod Neptunem.

— Doktor medycyny Karl Brandt, zaufany reichsführera SS Heinricha Himmlera, władcy

czarnych zastępów trupich czaszek... Lekarz i oprawca — dobrane towarzystwo!

Eutanazja, iperyt, cyklon, fosgen, crematio — niebrzydkie słówka. Herr Sokrates, wyznaje pan się na tym?

— ...O przedzierzgnięciu się Wolffa we Frauenheima — ciągnęła Ursula — dowiedziałam się po powrocie Brigitty z Gdańska. Zawiadomienie o tym brata było już niemożliwe. — Podniosła się na łokciach. — Musiałam ci to powiedzieć. Dla twego i innych z waszego zespołu bezpieczeństwa. To podstępny, chytry typ, uważajcie na siebie. Ale koniec z tymi koszmarami!

Czasu pozostało już mało. Miłość zawsze ma za mało czasu. Niedługo świt i koniec. Czuć w sobie pulsującego krwią mężczyznę...

Odprowadziła go na dół.

Pożegnanie było krótkie.

— Nie wiem, co wy tam wyrabiacie — powiedziała Frau Ihna. Ale nie może to być nic zbożnego, skoro taka tajemnica, każdym razie niech pan przypomni Ulrichowi moje słowa, że Ihnowie nigdy nie byli złoczyńcami. Nawet za cenę własnego życia. Niech pan mu to przypomni. Resztę zostawiła córce. Ursula myślała o niedawno przeżytych godzinach. Minęły. Co dalej?

— Długo przebywałeś w Polsce?

— Dlaczego?

— Pocałowałeś mnie w rękę. Uli mówił, że to polski zwyczaj. — Zakryła mu usta dłonią. — Nie odpowiadaj! Tak mi się wyrwało. Bardzo cię przepraszam.

Tyle myśli wirowało jej w głowie.

— Zobaczymy się jeszcze? — sięgnęła po najważniejszą. Adam przystanął.

— Powiedz.

— Zostawmy to losowi — usłyszała. Nie ustępowała:

— Proszę cię.

— Nie kuśmy złego — usłyszała. Nie ustąpiła:

— Powiedz, będę czekała.

— Raczej... nie.

— Będę czekała.

— Na pewno nie. Tak będzie lepiej. Naprawdę. — Po chwili milczenia on zadał pytanie: — Czy nikt w tym domu, poza matką, mnie nie widział?

— Chyba... — Ursula spenetrowała w myślach wszystkie pokoje — na pewno nie. Kiedy przybyłeś, wszyscy byli w pracy, jak teraz. Dlaczego pytasz?

— To dobrze. — Głos Adama pozostawał stanowczy. — Nikt nie powinien się dowiedzieć o moim tu pobycie. Absolutnie nikt. Być może będziecie pytani, uprzedź o tym matkę. Usuńcie także z domu wszystkie zdjęcia Ulricha i innych osób z naszego okrętu. To bardzo ważne, pamiętaj.

Ucałował ją w obie ręce i wyszedł.

Komandor podporucznik Frank Mizera postawił tezę: Niemiecki okręt podwodny znajduje się kilka tysięcy mil od własnych baz, na wodach stuprocentowo kontrolowanych przez siły nawodne i powietrzne przeciwnika. Paliwa i żywności na powrót do bezy nie wystarcza mu — to zrozumiałe, skoro ta mieści się gdzieś w rejonie Nowej Kaledonii, w Azji południowo-wschodniej czy w Japonii. Pytanie:

— Co w tej sytuacji dowódca okrętu powinien zrobić? Kapitan Oscar Ransart otarł pot z czoła.

— Co zrobiłbym na jego miejscu? Hm... Nic bym nie zrobił, czekałbym na okręt macierzysty.

Frzeeeeż takiej operacji nie przeprowadza się też zaopatrzenia w morzu.

— Poprawne rozumowanie — zgodził się Mizea. — A co, jeżeli okręt macierzysty z jakichś powodów nawali?

Ransart zrobił zakłopotaną minę. Jaka decyzję w sytuacji osaczenia, beznadziejnej, powinien podjąć dowódca okrętu? Odpowiadający za wykonanie zadania, ale i za życie podległych mu ludzi. Co by postanowił?

Generał Klopper, dowódca sił brytyjskich w Tobruku, po jednym dniu walki w okrążeniu, uznawszy, że dalszy opór nie ma szans powodzenia, nie chcąc dopuścić do niepotrzebnych strat, poddał się Niemcom wraz z trzydziestoma pięcioma tysiącami żołnierzy.

Generał Percival, dowódca najpotężniejszej morskiej fortecy świata, fortecy „nie do zdobycia”, Singapuru, zaatakowany nie z tej strony, z jakiej oczekiwał — od tyłu, poddał się Japończykom wraz z całym olbrzymim garnizonem.

Co on, Jtansarl, będąc w sytuacji dowódcy okrętu osaczonego, bez paliwa i żywności, by zrobił?

My w beznadziejnej sytuacji kapitulujemy, spekulował, Japończycy popełniają harakiri, Niemcy, Rosjanie walczą do ostatniego żołnierza, wniossek...

— Facet nie podda się.

— Też tak myślę — przytaknął zadowolony Mizera — Wobec tego przygotowujemy się do walki.

— A jak ty ją sobie wyobrażasz? — odwrócił pytanie Ransart.

Dowódca wyprawy, komandor podporucznik Frank Mzera uśmiechnął się tajemniczo.

Mizera nie zakładał klasycznego spotkania z przeciwnikom. Jeżeli jego okręt macierzysty nawali, a on nie zechce poddać się lub somozatopić, uratować się może jedynie przechwytyjąc jalaś bezbronny statek, koniecznie z napędem dieslowskim, by porać zeń paliwo, żywność, a przede wszystkim słodką wodę, lub też ewentualnie próbować na nim szczęścia... Bezлюдnych wyspek na Pacyfiku jest mnóstwo. Jak by to wyglądało? Okręt gwałtownie wynurzy się i pod groźbą zatopienia zażąda wywieszenia białej flagi. Każda sekunda będzie wówczas na wagę życia. Jeżeli ofiara nie podda się albo uruchomi radio, złapie śmiertelną torpedę. Akcja rozegra się błyskawicznie, z zaskoczenia, kiedy ri statek znajdować się będzie na trawersie okrętu podwodnego w pozycji tarczy, całą swoją długością wystawiony na ogień artyleryjski i torpedy.

Napadnięty statek musi bez sekundy zwłoki otworzyć skuteczny ogień; na ustawianie się do strzału czasu nie będzie.

Walka rozegra się na krótkim dystansie.

Koncepcji tej podporządkowano przebudowę torpedowca typu „V” z pierwszej wojny światowej w rachityczny, płasko-pokładowy zbiornikowiec.

Torpedowce te przystosowane były do czołowego atakowania silnie opancerzonych krążowników, stąd ich potężne, jak na tak małe okręty, uzbrojenie, skoncentrowane w części dziobowej. Przebudowę rozpoczęto od wymontowania wież artyleryjskich i „zgolenia” wszystkich nabudówek bojowych. Za burzę poszło sześć groźnie sterczących rur torpedowych; pojedynku na te cygara nie przewidywano. Taki sam wyrok, za burzę, wydał Mizera na miotacze bomb głębinowych. Pirat znajdzie na me lekarstwo. Grasujący na wodach kontrolowanych przez wrogie lotnictwo musi mieć trzy rzeczy: radar do wczesnego wykrywania samolotów, zdolność do błyskawicznego zanurzenia się, dużą prędkość podwodną; bomb taki się nie boi.

Jego zastępca, kapitan Oscar Ransart, do tych trzech atrybutów u-boota dodał czwarty: dużą głębokość zanurzenia. Najprawdopodobniej przekraczającą wszystko, co sie na ten ttmst W tej części świata wie. Dopiero to, w połączeniu z dużą prędkością podwodną, czynią go dla niszczycieli i samolotów nieuchwytnym.

Wyrok śmierci na komplet miotaczy bomb został odwołany. Jeżeli pirat zdąży dać nura, z głębin wykurzą go bomby. I aby nie marnować czasu na zabawę z detonatorami podczas walki. nastawiono je od razu na nie praktykowaną dotychczas głębokość.

— Ale — zauważył słusznie Ransart — dla tej głębokości kadłub u-boota musi być zbudowany ze specjalnej, superodpornej na ciśnienie stali. Czy w związku z tym nie byłoby wskazane zrezygnować ze skomplikowanych w obsłudze dział okrętowych na rzecz... Ja tylko głośno myślę — zastrzegł się pod adresem słuchającego go podejrzliwie Mizery — na rzecz bezdrutowych przeciwpancernych dział dużego kalibru używanych przez piechotę do zwalczania czołgów? Kilkadziesiąt takich kolubryn czeka w porcie na załadunek... Co ty na to?

Konradmirał Sleigh trzymał się od konszachców tej dwójki z daleka, miał inne sprawy na głowie. Flotylla niszczycieli przeczesywała kwadrat po kwadracie wody przyległe do uczęszczanych szlaków handlowych, miejsc prawdopodobnego przyczajenia się pirata do nowego ataku, i okładały bombami głębinowymi każde odbicie ultradźwiękowych fal asdika; prochu na wraki, na ławice ryb dających odbicie nie szzczędzono; eskadry czterosilnikowych hydroplanów zapuszczały się daleko od baz. Pacyfik południowo-zachodni — od Morza Koralewego po wody nowozelandzkie — miliony mil kwadratowych oceanu stały się terenem największych w historii wojen morskich poszukiwań mikroskopijnej szpilki ukrywającej się w tym pustkowiu. Jak dotąd: no contact with the enemy Continuing the hunt*. Drugi dzień. Drugi telefonów, teleksów od naczelnego dowódcy Królewskich Australijskich Sił Zbrojnych, generała Blameya, który pchnąwszy sprawę dalej nadał jej wagi, z kwatery głównej generała MacArthura, z US Navy; jedynie Londyn milczał. Ich lordowskie moście z British Admiralty mają czas. Sprawa nie cierpiąca zwłoki? Pali się? U nich nie. Oni zawsze mają czas. Będzie wynik, będzie wiadomość. Nie będzie wyniku, wiadomość też będzie: o braku wyniku. Więc po co zawracać komuś głowę!

*Brak kontaktu z wrogiem. Polowanie kontynuowane (ang.).

Ale. gdzie Rzym, gdzie Krym, tu życie nabrało powietrza w płuca. A mimo to coś jak gdyby nad Island zawisło.

Wyjątkowy skwar, jakim w tym roku lato zwiastuje swoje nadejście, dał się starszemu panu we znaki; konradmirał wymknął się samochodem na przejażdżkę po porcie.

Jadąc odkrytym jeepem, bez kierowcy, bez admirałskiego proporczyka na błotniku, śmignął wzdłuż ocienionej wysokimi drzewami eukaliptusowymi alei Królewskiego Ogrodu Botanicznego i zostawiwszy po prawej ręce przystanie promowe, przyhamował opodal stoczni remontowej.

Nie po raz pierwszy przyjeżdżał tu sam. Dawał wtedy upust wspomnieniom. Przed ćwierćwieczem Zatoka Sydnejska wraz z jej drewnianymi nabrzeżami przeładunkowymi, z całym portowym kramem magazynów i dźwigów wyglądała zupełnie inaczej. Dokładnie dwadzieścia pięć lat temu z tej części portu odbijał od tego samego nabrzeża; na pokładzie niewielkiego niszczyciela wyruszał w swój dziewiczy rejs bojowy; po wyjściu na otwarty ocean ku Morzu Bismarcka szedł do walki z tym samym wrogiem, przeciwko któremu uruchomił przedwczoraj olbrzymią flotę okrętów i samolotów. Czas pokoju wypełniony życiem rodzinnym przemknął jakoś niepostrzeżenie znowu nastały długie dni wojny. Tej pięknej części świata, stworzonej przez Boga na wzór i podobieństwo biblijnego Raju, również tym razem wojna nie ominęła. Australia to tłusty kąsek. Trzeba ją zaludnić. Oprzeć na własnym, silnym przemyśle, gdyż Londyn, Waszyngton daleko i nie wiadomo, jak za lat dwadzieścia, pięćdziesiąt sprawy się potoczą. A głodnych, żądnych podbojów czyhać będzie u jej wrót więcej niż obecnie.

Wśród kilkudziesięciu osób żegnających przed ćwierć wiekiem idącego do boju niszczyciela stała smukła dziewczyna w jasnej sukni przewiązanej w pasie różową wstęgą, w koronkowym kapeluszu z szerokim rondem na ciemnych włosach upiętych w kok, zasłaniającym jej duże oczy, pełne wówczas łez.

Wśród kilkudziesięciu osób witających powracającego po latach wojny niszczyciela, wsławionego w brawurowych starciach z u-bootami, dziewczyny tej nie było. Ale to też

historia.

Doki stoczni remontowej zajęte były przez okręty różnych typów, przebudowę wycofanego ze służby torpedowca prowadzono przy nabrzeżu. Nie rozpoznany przez nikogo, w koszuli z krótkimi rękawami bez admirałskich epoletów, Sleigh przyglądał się rozgardiaszowi wokół okrętu. Gdyby to nie on dawał zgodę na tę zwariowaną imprezę, nie uwierzyłby, że od tego czasu upłynęły zaledwie dwie doby. Ten Mizera to rzeczywiście strzał! Torpedowiec był starym gratem. Przed paroma miesiącami przyturlał się do portu z urwanym na minie dziobem, nadawał się tylko do pieca. W ciągu tego krótkiego czasu zbieranina typów spod ciemnej gwiazdy, niewartych kufla piwa, których Mizera zwabił pod swoje dowództwo, uruchomiła jakimś cudem zżartą przez rdzę maszynownię, wspólnie ze stoczniovcami uporała się ze ścięciem wszystkiego, co wystawało ponad linię burty, z zamontowaniem na śródokręciu... Sleigh z niedowierzaniem zdjął przyciemnione okulary. Tak jest: z zamontowaniem na śródokręciu sześciu bezodrzutowych dział przeciwpancernych najcięższego kalibru, jakich jankescy marines używają do rozwalania potężnych bunkrów żelbetowych, dziurawiących każdy czołg na wylot! Jak on to z nimi załatwił? myślał Sleigh drapiąc się po szczęce. Pewnie je ukradł, bo nic mi nie wiadomo, żeby ktoś zwracał się w tej sprawie do Amerykanów. Zabrał ze składowisk jak swoje i tyle. Bezpośrednio z kobylastych lor terenowych z białą gwiazdą amerykańskich sił zbrojnych na masce przerzucano na statek (to już nie był okręt Wojenny, tylko statek handlowy, coś w rodzaju tępodziobowego zbiornikowca, typowego coastera o nośności, na oko biorąc, siedmuset ton) windą pokładową stosy płaskich skrzyń z długimi na jard pociskami, których starczyłoby do przetarcia drogi przez forty linii Maginota; na nabrzeżu spawano z blach segmenty czegoś, co przypominało nadbudówką kapitańską z opuszczanymi ścianami, a co miało służyć do zamaskowania artylerii na śródokręciu; uwieszeni na linach półnadzy hultaje uwijali się z paćkaniem burt na staro rdzawą i szarą minią; na dziobie malowano drugą literę nazwy statku. To było to. Okręt-pułapka. Na początku ubiegłej wojny, gdy jeszcze nie było skutecznych środków do zwalczania okrętów podwodnych, Francuzi — Sleigh dobrze to pamiętał — wypuszczali małe statki handlowe, uzbrojone w zamaskowaną artylerię, na uczęszczane szlaki żeglugowe jako przynętę dla u-bootów. Nie chcąc tracić cennej torpedy na tak łatwą zdobycz, dowódca wynurzał okręt, który ogniem z dział miał taki statek zatopić, i... spotykała go przykra niespodzianka. Obecnie to już rzecz z lamusa, zapomniana.

Pośród gorączkowej krzątaniny tej zgrai wściekłych karaluchów, raz na pokładzie, raz na nabrzeżu, pojawiał się Mizera z hawańskim cygarem w porażających biela zębach i poganie i je do podkreślenia obrotów. Pogromca pokerzystów w Garden Island w swoim żywiole! Z Oscarem Ransartem, który na lekkim ścigaczu nasiekł w Rabaulu pół tuzina japońskich okrętów, stanowili duet gotowy podjąć się pojedynku z samym królem piratów, Francisem Drake'em.

— Widowiskowe to — przyznał Sleigh — lecz co dalej? Szansa jedna na milion, czyli żadna. W miarę upływu godzin całe to gigantyczne przedsięwzięcie, firmowane jego nazwiskiem, coraz wyraźniej sprawiało wrażenie chybionego. Ale przecież miało to racjonalne podstawy, kaidy na jego miejscu postąpiłyby tak samo. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Zdecydował się na powrót do bazy.

Przed wciśnięciem biegu włączył radiostację samochodową. Iśa jego częstotliwości panowała cisza. Taka sama jak na rozpalonym niebie, jak na otwartym oceanie, widocznym z tego miejsca w całym majestacie swego ogromu, jak pod rozłożystą koroną dzakarandy, sypiącej modroślakitnymi dzwoneczkami kwiecica, w której cieniu zatrzymał swego jeepa. I raptem wdarł się w tę ciszę koncert młotów, palników acetylenowych, nawoływania i przekleństw zgrai męczyczn wokół okrętu.

Ruszył. Dużo spraw czekało na niego w bazie. Kenneth Wall prosił o rozmowę. W sprawie osobistej. Czyżby i jego coś trapiło?

Następnego dnia w południe od nabrzeża remontowego odbił maii zbiornikowiec bandery francuskiej, ms „Natalie”. Mijając ozorowaty cypel Bradley Head, wziął kurs na pełny ocean.

Nareszcie!

Dwie mile na północny zachód od nas wystaje z linii horyzontu. Może pół mili dalej, pół bliżej — duża fala i nawis niskich chmur mogą mylić. Lecz to nie miraż, widać go gołym okiem. Okręt podwodny typ „XX”. Nieco krótszy od naszego, bardziej palcaty kadłub — on. Okręt-matka z paliwem, amunicją, prowiantem. Doczekaliśmy się!

Na Atlantyku zaopatrywały nas na ogół zwykle zbiornikowce. Nie obywało się przy tym bez tragicznych wypadków. Operacja pobierania paliwa na morzu to wyższa szkoła jazdy. Zbiornikowiec przewala się z burty na burzę, przy fali z dzioba mały przy nim okręt podwodny to staje dęba, to zapada się w przepaść, istna wańka-wstańka; uniknięcie zderzenia, przysiania się do zbiornikowca wymaga od dowódcy cyrkowej zręczności, Hacke jest w tym niezrównany. Zaopatrywanie z okrętu podwodnego, mogącego się również zanurzyć, jest znacznie łatwiejsze.

Normalnie w trakcie wykonywania ataku czy ładowania akumulatorów przykuty jestem do wytapetowanych przyrządami ścian centrali; obrazki z powierzchni zastrzeżone są na naszym okręcie dla Hackego. Gdy idziemy w zanurzeniu, widzę go pochylonego nad peryskopem, napiętego jak pantera przed skokiem; w wynurzeniu tną mi ucho w słuchawkach ostre jak żyłka komendy, oglądam podeszwy jego gumiaków w kołnierzu wjazdu do kiosku — wszystko. Role się zmieniają podczas pobierania paliwa na morzu. Wówczas prima persona na pokładzie jestem ja.

Nawet ta cholerna masa wody jakby się nad nami ulitowała i na ten czas ucichła. Ale nadęty sztandarami Hacke tego nie widzi. Musi odstawić wpierv przynależne spotkaniu dwóch okrętów wojennych ceremonie. Musi zainkasować honory należne dowódcy jednostki bojowej od dowódcy jednostki pomocniczej. A to nie jest byle co; nad wymyśleniem tego pracowano w różnych częściach świata ładne parę tysięcy lat. Boże, on gotów jeszcze wypytywać go o powody spóźnienia... Hacke, patrz, wieloryby się z ciebie śmieją! Do roboty! Zaczynać! Koniec z pieprzeniem się w oficerskie lansady!

Przepompowanie perhydrolu, oleju napędowego do diesla, przerzucenie prowiantu i amunicji poszło niezwykle sprawnie; ludzie troili się przy robocie. Wody słodkiej nie pobieramy, sami ją sobie odczyszczamy z soli. „Jesteśmy pierwszym okrętem świata wyposażonym w ten kolejny cud niemieckiej techniki” — Stre-iov. Do diabła z tym cudem w takiej chwili! Odsalanie wody morskiej to duża rzecz — do diabła z dużymi rzeczami! A jednak przywłókł się! Mamo moja najdroższa, Brigitto, Ursulo, ojczy, Wszyscy święci, przyszedł!

Przywieźli także pocztę. Szybciej tam, nie guzdrać się z workami! Odczytano moje nazwisko. Wyciągnąłem rękę po plik listów.

Ten pierwszy był od Brigitty. Skąd one dostały adres poczty polowej, przecież nawet my go nie znamy. Rozerwałem kopertę.

„Mój Jedyny, Najukochańszy Uli!”

Poczułem uderzenie w ramię.

— Stało się co?

Chwilę nie mogłem przyjść do siebie. Porucznik Rudolf Garbaty, przebywający ze mną na kiosku, przyglądał mi się podejrzliwie.

— Bo masz taką minę...

Jeszcze czułem papier w palcach, a w nozdrzach zapach jej ciała. Potem było coś o dziecku — a może mi się tylko tak wydawało — i że za jeden dzień spędzony razem ze mną oddałaby całe życie. Złapałem oddech.

— Jaka?

— Jak gdybyś... — przyglądał mi się, jakby nagle ujrzał kogoś obcego — rozmawiał z aniołami.

— Zamyśliłem się — odparłem. Każdy z nas podczas ślęcae-nia na pokładzie wypatruje oczy

za tym samym. Już chyba bez wiary, że to zobaczy.

Dwunasty dzień wypatrywania. O połowę tego za długo. Jeżeli o mnie chodzi, na naszym zaopatrzeniowcu położyłem kreskę. Hacke może bujać w obłokach. Może nadal sprawy naszego położenia omawiać w cztery oczy ze swoim Panem Bogiem, Frauen-heimem, a z nami zabawiać się w grzecznych żołnierzyków. Ale też na nas władza jego się kończy; z maszynami nic nie zwojuje. Będzie paliwo, smary, części zamienne — zaskoczą, zabraknie małej śrubki — pocałuj mnie w dupę, powiedzą. Taka jest prawda.

To kręcenie się tutaj w kółko pożarło połowę paliwa, z jakim tu przybyliśmy. Obecnie... Herr Fregattenkapitän, słyszy mnie pan? W tej chwili perhydrofluoromamu mamy tyle co kot napłakał, a oleju napędowego do diesla nie więcej niż na półtora tysiąca mil. *Półtora* tysiąca! Co pan na to?

Aby było weselej, Gunther Schlindwein zdradził mi najnowszy komunikat kwatery głównej generała MacArthura. Jak wszystko inne zastrzeżony wyłącznie dla Hackego: Wczoraj Amerykanie wylądowali na archipelagu Mariany i na wyspie Nauru.

Nauru — wyspa na oceanie, położona dokładnie na równiku, oddalona od nas w linii prostej o cztery tysiące mil. Dwa kroki od niej w kierunku na Japonię leży jej mała siostrzyczka z małą laguną — Barbara. Na wysepce tej mieści się nasza baza rezerwowa. Okręty nasze, zaopatrujące się tam, dokonywały wypadów na wody Tahiti, Markizy, a nawet w rejon Wysp Wielkanocnych. My z naszą „Elektrą” mogliśmy dzięki jej istnieniu rządzić wrogowi zdumiewające go psikusy. Mogliśmy... Cios w najczulsze miejsce. Powstała sytuacja, z jaką, opuszczając Penang, w ogóle się nie liczyliśmy. Bardzo to niepomysłna dla nas wiadomość. Wojna na Pacyfiku ma charakter całkiem inny od europejskiej.

Olbrzymie odległości, kleksy piasku i palm kokosowych pacnięte na bezmiarze oceanu, oddalone od siebie o tysiące mil, normalnie bez znaczenia militarnego i rzadko komu znane, zamieniły się w twierdze, o które toczą się zażarte walki. Japonia zaczęła tę wojnę tak jak my — z zaskoczenia. Przygotowane skrycie siły desantowe zajęły w krótkim czasie posiadłości kolonialne państw europejskich w Azji południowo-wschodniej, wylądowały na Nowej Gwinei, na wyspach leżących naprzeciwko Australii, z których skok na ten kontynent zdawał się być sprawą sforsowania Morza Koralowego — dobrze Japonia zaczęła podbój tej części świata, ale przeliczyła się z siłami. Dopóki natrafiała na słaby opór zaskoczonego atakiem przeciwnika, wszystko szło jak z płatką. Indochiny, Filipiny, Indonezja, Syjam, Burma wzięte zostały spacerkiem; Singapur, największa morska forteca świata skapitulowała. Błyskotliwe zwycięstwa przyhamowane zostały niespodziewanie w Papui przez... Tego przeciwnika nikt w Tokio nie brał poważnie: przez Australijczyków.

W ciągu jednej doby sytuacja na Pacyfiku zmieniła się diametralnie na niekorzyść naszego sprzymierzeńca. Wraz z utratą Wysp Mariańskich oznaczało to znalezienie się Japonii w zasięgu amerykańskiego lotnictwa bombowego. Radio Tokio na razie milczy. Jeszcze niedawno głosiło, że archipelagi Bismarcka, Ellis, Salomona są dla wroga barierą nie do przebycia. „Ryglem Pacyfiku Nowego Imperium Państwa Wschodzącego Słońca”. Słabą zaporą okazują się w tej wojnie wszelkie linie obronne. Lotnictwo, flota kruszą każdy opór. Na nic się przydaje pogarda śmierci japońskiego żołnierza. Tu toczy się wojna techniczna na niewyobrażalną dotychczas skalę. O klęsce lub sukcesie na lądzie decydują bitwy rozgrywane na morzu. Bezpośrednie zmagania tysięcy okrętów wojennych i samolotów. Obecną sytuację Japonii można porównać z naszą z okresu bitwy o Stalingrad. Z chwilą okrążenia szóstej armii i rozbicia spieszącej jej z odsieczą czwartej armii pancerniej von Mansteina klęska stała się nieunikniona. Pocieszano się wtedy gadką o wiązaniu dywizji rosyjskich, które inaczej zagroziłyby całemu frontowi; to samo kropka w kropkę powtarza się tu: „Dywizje generała Imamury, stawiając zaciekły opór aliantom zachodnim na Nowej Gwinei, na Guadalcanal, w Bougainville wiążą ich siły, które inaczej wzmocniłyby jednostki posuwające się w kierunku wysp japońskich”. Bajuj, bajuj, będziesz w rajach... Powstrzymać nieprzyjaciela mogą tylko bombowce startujące z lotniskowców. Bardzo dużo bombowców, bardzo dużo lotniskowców. Po Pearl Harbour Japonia zdobyła przewagę na Amerykę w jednym i drugim. Wystarczyły

jednak dwie bitwy rozegrane oko w oko, aby durm Nipponu poszła na dno. Ma to swoją wymowę. Dla jej admirałów jednoznaczna. Taką samą notę wystawili jej generałom marinerzy amerykańscy i australijscy „skauci”. Uderzając na przeciwnika Japończycy obrali strategię ekstensywnego rozprzestrzeniania się, niepomni, że im więcej zagarną, tym bardziej rozcieńczą swoje siły. Grzech pierworodny zaborczości: łakomstwo widać i tu zaślepiło rozum; z ciężkim kałdunem stali się teraz łatwi do skontrowania. Jeżeli admirałowi Kodze nie uda się wyprzeć Amerykanów na bezpieczną dla Japonii odległość, czeka ją niszczenie z powietrza aż do końca. A przy przewadze materiałowej aliantów zachodnich, rosnącej w postępie geometrycznym, to więcej niż pewne. Taka jest moja ocena położenia militarnego naszego azjatyckiego sprzymierzeńca. Całkowicie prywatna, nie wypowiedziana przed nikim z załogi. Kurt Hacke, gdyby ją usłyszał, poczytałby mi to za defetyzm, a że stosunki między nami są napięte, mogłoby się to dla mnie skończyć bardzo źle.

A więc wytworzyła się całkiem nowa dla nas sytuacja.

Zaopatrzeniowca naszego nie ma, Barbara w rękach Amerykanów, czekać bezczynnie dłużej nie można. Liczy się teraz każda godzina. Dowódca okrętu przestał właściwie nim dowodzić, jego rękami robi to Frauenheim.

— Rudi — zdecydowałem się.

— Tak?

— Mam do ciebie... — Urwałem. Nasze rozmowy były zawsze krótkie, jak zresztą wszystkich w tym pływającym obozie koncentracyjnym.

Garbaty przybył do Gdyni z urlopu zdrowotnego. Jego okręt został staranowany. Poszedł na dno z całą załogą, on jeden się uratował. Staranowanie było przypadkowe. Okręt wynurzył się nocą, by naładować akumulatory prosto pod nadpływający krążownik kanadyjski, który wstrząs wziął prawdopodobnie za skutek przejechania się po krze lodowej, i najspokojniej w świecie popłynął dalej. Medycyna nie daje człowiekowi szans przeżycia w lodowatych wodach Nowej Fundlandii dłużej niż kilkadziesiąt minut. Lecz medycyna odnosi to do zwykłych organizmów. Nie takich jak Rudolfa, najmłodszego przed wojną uczestnika niemieckiej wyprawy polarnej na Spitsbergen, który kąpiele takie już tam przećwiczył. Oprócz tej zaprawy dopisało mu szczęście: o świcie dostrzegł go jakiś u-boot wracający do bazy. Takiemu oto splotowi przypadków porucznik Rudolf Garbaty zawdzięcza życie, ja zaś — niezawodnego zastępcę. A jaki on jest jako człowiek?

Koleżeński, zawsze na miejscu. Do tych niezłych cech charakteru dodać należy fakt, że pochodzi z Hamburga, co w opinii facetów typu Frauenheima ma specyficznie polityczny wydźwięk: urodzeni tam to przeważnie antynazi, antywszystko, co godzi w tak zwanego w zdegenerowanych plutokracjach zachodnich człowieka, wolnego obywatela świata. Szkopuł tkwi jednak w tym, że u nas okazanie komuś zaufania to luksus samobójców.

Zabrakło mi odwagi; stanowczo nie mam w sobie nic z konspiratora. Ale on czekał.

— No, słucham. — Napał na mnie twarzą. — Śmiało!

Chyba pierwszy raz w ciągu miesięcy spędzonych razem na tym pudle przeszyły mnie na wylot jego preraźliwie niebieskie oczy. Co się kryje na ich dnie? Co oznacza to przyklejanie się do moich oczu?

Byliśmy na kiosku w dwójkę. Radiooficer Günther Schlindwein, odwrócony do nas plecami, siusiał; długo to robił, mogłem iść na całego.

Poszedłem.

„Musimy na coś się zdobyć, Rudi, dłużej tak nie możemy. Jeżeli my z tym nie wyjdziemy, ja — dowódca maszynowni, nominalnie pierwsza osoba po dowódcy okrętu, ty — mój zastępca, nie wyjdzie z tym nikt z załogi. Czy mogę liczyć na ciebie?”

Słyszały to albatrosy, wieloryby i ten wieczny tutaj mokry cichowyjec; Günther tego nie słyszał. Albo udawał, że nie słyszy. Przetawiałem się na odbiór.

„Też tak myślę — cdparł krótko Garbaty. — Absolutnie najwyższy czas”.

Serdecznie uścisnęliśmy sobie ręce.

Nie uścisnęliśmy. Tej rozmowy nie było. Może to dobrze, że nie było, może źle, lecz raczej to

drugie, bo kiedy znowu nadarzy się taka okazja? Z mojej winy nie było.

Ach nic. — Zwinąłem ledwie rozwinięte żagle. Zasłoniłem się lornetką. — Cholerna pustka.

Bąknął coś niezrozumiałego, po czym skrył się w kołnierzu kaptura. Schlindwein na dole wciąż mocował się z rozporkiem, nie przeszkadzał mi. Ale ten drut kolczasty w mojej niemieckiej krtani. Ten przeklęty drut!

Tfu! Wściekłem się na siebie. Naród posłusznych dudków! Nie wydaliśmy na świat żadnego pirata, żadnego wielkiego buntownika. Nigdy nie byliśmy w stanie stworzyć imperium takiego jak Anglicy; na to potrzeba ludzi pokroju Cromwella, Cooka, Lawrance'a. Jesteśmy romantykami. W tym nieproduktywnym zawrocie jesteśmy skowronkami najwyższej klasy. Jesteśmy szlachetni. Jesteśmy. Wyraża się to w pięknej postawie, geście, ujmującym słowie — osiągnęliśmy w tym absolutne mistrzostwo. Ale dusza człowiecza upomina się o hołd należny osobnikom przez naturę hojnie obdarzonym, co nieodmiennie przepoczwarzą szlachetność w pychę. A ponieważ jesteśmy liczni i silni, tak często niestety stajemy się groźni dla słabych. Marzyć, wzdychać, górnolotnie mówić — umiemy, na stworzenie zaś światowego imperium, na stworzenie i mocne dzierżenie w łapie, potrzeba marzycieli czynu — awanturników. A tego w sobie nie mamy. O, narodzi niemiecki! Jeżeli z rąk swoich nie zerwiesz kajdan bezmyślnego posłuszeństwa, ślepego zapatrzenia w chmury, przepadniesz, nie pozostanie po tobie żadne dobre wspomnienie. Jestem wiernym odbiciem twoich zalet i wad. Widzę, co wokół mnie się dzieje, nic nie uchodzi moim oczom. Wszystkiego, co robimy, mam swoją własną ocenę, jak bardzo często surową, wiem o tym tylko ja. I w tym tkwi sedno naszego zła. Jest to niewolnicza postawa poddanego chłopca. Herkulesa w pętach — ohyda! Wystarczyłoby napiąć mięśnie, aby odetchnąć pełną piersią. Ale na to potrzeba nie heroizmu, ale zwykłej odwagi.

Jak bardzo w tej chwili mi jej brak. Mam świadomość, że każdy mój ruch jest śledzony, każde słowo podsłuchane i po odpowiedniej przeróbce przez Frauenheima podawane Haekemu. Na co czekamy? Jak długo jeszcze będę żyć na kolanach i bać się wierzgnięcia kopytami jedynie dlatego, że przysięgałem wierność. Wierność komu? Mordercom?

Hacke przeszkapił tu dwanaście dni. Okręt zaopatrzeniowy, zameldowała „Rosamunda”, jest w drodze i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od swego ostatniego sygnału powinien osiągnąć waszą pozycję. Opóźnienia w morzu są zawsze możliwe. Na tak długiej trasie mogą niekiedy być znaczne: tajfuny szalejące na Oceanie Indyjskim, duża fala, przeciwny wiatry mogą okręt nawodny zmusić do sztormowania, to jest, do stania w miejscu. Okręt nawodny — tak, lecz nie podwodny. To czekanie było celowe. On — dopiero teraz sobie to uzmysławiam — świadomie pozbawił się możliwości powrotu do żywych. Popelnia zbiorowe morderstwo... Rudi, Gunther, Henning, Horst, Dieter — robimy harakiri! Niemiecki piechur walczy do ostatniego naboju, my do ostatniej kropli paliwa. Oryginalna forma śmierci, godna tego patetycznego Nibelunga. Odtąd, gdyby Pan Bóg przekazał tym z Berlina nasz sposób, od niemieckiego marynarza wymagać się będzie w przyszłej wojnie walki do ostatniej kropli oleju napędowego. Fantastyczne!

Tak czy inaczej ratunku dla nas już nie ma. Obecnie, kiedy większość trasy pokonywać musimy na akumulatorach, w wynurzeniu, szansę ujścia są żadne. Zginąć — nie mam nic przeciwko temu, lecz na miłość Boską, muszę przedtem zderzyć z siebie piętno tchórzostwa! Co robić?

Zabić Frauenheima!

Trzeba zmusić Hackego do natychmiastowego podjęcia decyzji, dłużej stać tu nie możemy. Jakiej? Do Penangu mamy dwa razy dalej niż do jakiegokolwiek wyspy japońskiej na Pacyfiku, ten kierunek odpada. A poza tym Ocean Indyjski to zupełnie pustkowienie, gdzie, kiedy paliwo się skończy, pozostaje albo strzelić sobie w łeb, albo iść na dno. Penang...

Zabić Frauenheima!

odpada. Zgłoszenie wrogowi naszej pozycji i poddanie się nie wchodzi w rachubę; rąk do góry Hacke nie podniesie. Co wobec tego pozostaje?

Zabić Frauenheima!

Nie chodzi o przejęcie okrętu siłą. Tylko o niewmanewrowanie nas w nowe zbrodnie. Nie ma już jedności wśród załogi. Od pierwszego strzału do rozbitków podzieliła się na czarnych i białych. Nikt z moich ludzi, czarnych, nie brał w tym udziału. Wciągając mnie w to, Hacke niejako symbolicznie wymieszał kolory. Ale zaraz... przecież wymuszenie działania na przełożonym jest karalne tak samo jak bunt. Hacke skorzysta ze swoich uprawnień sędziego polowego: zastrzeli zamachowca. Jeżeli chcę coś osiągnąć, nie pozostaje mi nic innego, jak iść pełną parą. Aresztować Hackego i nawigowanie okrętem powierzyć... Horstowi Neuenahrowi. Mam pod sobą dwudziestu czterech ludzi, mniej niż pokład. Aby nie dostać w łeb, zanim zdążę dobrze otworzyć głowę, powinienem obliczyć, kto za mną, kto przeciw.

Dzielę skórę na niedźwiedziu. Przecież my z maszynowni mamy tylko broń boczną. W pistolety maszynowe wyposażony jest pokład i artylerzyści.

Chryste, jakim ja jestem nieudolnym buntownikiem! Ledwie o tym pomyślałem, a już pot cieknie mi ciurkiem po plecach.

Zabić Frauenheima!

Wiem! Wiem! Myślę o tym od tygodni, lecz co to da?

Czuję się osaczony jak tropione zwierzę. Jestem w kiosku z Garbatym i Schlindweinem. W moim skołowanym mózgu nie ma jednak spokoju. Ruleta zaufania wciąż się kręci. Wciąż nie wiem, które pole wygrywa, które przegrywa: na naszej „Elektorze” nikt majątku zaufania nie stawia *va banque*. Rudi! — zacząłem zdecydowanym głosem.

Poczułem na sobie jego ciepły oddech.

— Tak?

Więcej nie zdążyłem powiedzieć. Z włazu wychyliła się czarne zarośnięta twarz Dietera Renfera.

— Panie kapitanie — podniósł rękę do rozwichrzonych włosów — panowie są proszeni o powrót na swoje stanowiska. Ruszamy. — Skinął na wachtowych. — Zwijać manatki i do nory! Szybciej!

Mizera zerknął na chronometr. Tu chodzi o życie lub śmierć całej załogi. Jedna sekunda zagapienia się, zacięcia zaczepów będzie tą sekundą za dużo, stratą nie do odrobienia. Trzeba przy spieszyć tempo opuszczania blach maskujących działa. Podszlifować, nasmarować towotem zaczepy. Oba frachtowce z wymordowanymi załogami nie nadały sygnału „Mayday”. Co to znaczy? Ano to, że zostali załatwieni tak szybko, iż radiotelegrafści nie zdążyli nacisnąć klucza S.O.S. Błyskawiczna robota. Dzięki całkowitemu zaskoczeniu. Ataku należy oczekiwać od strony słońca oślepiającego statek, tylko od słońca, i na tę burtę muszą być ustawione wszystkie lufy. Głównym czynnikiem powodzenia będzie jednak czas. Jak to się rozegra? Identycznie jak na początku tamtej wojny: okręt wynurzy się w mgnieniu oka — ten okręt bije na pewno pod tym względem wszelkie rekordy; w drugim mgnieniu oka radiotelegrafista usłyszy zakaz uruchamiania radia, a załoga rozkaz opuszczenia statku; na trzecie mgnienie oka czasu nie będzie. Dwudziestu ludzi ubranych w cywilne łachy — tyle mniej więcej liczy załoga takiego zbiornikowca — wyskoczy za burtę (o spuszczeniu szalup ratunkowych na wodę będzie mowa) i, jak zwykle pod wpływem paniki, uciekać będzie na boki, broń Boże w kierunku korsarza! Artylerzyści zaś i obsługi karabinów maszynowych czyhać będą za blachami na stanowiskach ogniowych. Z zapartym oddechem, bez szurnięcia butem, bo są na podsłuchu, czekają na akt drugi: torpedę — gdyby coś poszkapili, długo czekać nie będą — albo...

Na tym założeniu zasadza się cały trick. Cel ataku na taką marną łajbę — zbiornikowiec z wywieszoną flagą „Uwaga, wiozę ładunek łatwopalny” — może być tylko jeden: zdobycie paliwa innego Mizera nie zakładał. A jeżeli tak, wówczas akt trzeci spektaklu przebiegnie następująco:

Z wynurzonego u-boota z wycelowanymi w siatek torpedami i działami pokładowymi odbije

na pontonach sekcja abordażowa w sile kilkunastu uzbrojonych marynarzy. Finału tego aktu klarować nikomu nie potrzebował. Kiedy marynarze sekcji znajdują się pod burzą „Natalie” i tym samym staną się celem własnego ognia na równi z ofiarą, opadną z hukiem blachy i — rozpocznie się. Pojedynek, z którego może nie wyjść ani zwycięzca, ani pokonany. Tym jednak, który wejdzie, nie może być ten przeklęty zbrodniarz!

Będzie tak, tak i tak, nie inaczej; Mizera nie dopuszczał do głowy myśli o absurdalności koncepcji, która wisiała nad nim niczym stado sępów nad dogorywającym na pustyni zwierzęciem. I z zapamiętaniem nawiedzonego wykladał Ransartowi szczegóły swego planu. Bardzo wysilać się nie potrzebował. W tej nieprawdopodobnej wyprawie spotkało się dwóch z krwi i kości hazardzistów, których Ryzyko i Niewiadoma mogły jedynie zapalić do działania. Sprawą najważniejszą było: gdzie tak wyreżyserowane spotkanie nastąpi? Odpowiedzieć na nie mógł sam korsarz (gdyby odezwał się w eterze, na co liczyć nie należało) i Pan Bóg. Pozostawała jeszcze trzecia siła, przez takich jak Mizera i Ransart zawsze brana pod uwagę i często takim jak oni sprzyjająca: Przypadek. Mizera powierzył się jego pieczy z pełnym zaufaniem.

Obłoki błękitnego dymu z grubych cygar, jakie on i Ransart gnietli w zębach, strzępione przez sufitowy wentylator, pierzchały ku otwartym na oścież iluminatorom. Pustka w kabinie nie znosiła ciszy.

— Gdzie on w tej chwili przebywa? — pytał Mizera mapy Pacyfiku rozłożonej na stole. — Co planuje?

— Podobne pytania — zauważył Ransart — stawiali sobie z pewnością przed półtora wiekiem kapitanowie brytyjskich fregat przeczesujący Pacyfik w poszukiwaniu zbuntowanych gagatków z „Bounty”. Zadanie mieli wówczas trudniejsze, szans mniej, a jednak... — Uśmiechnął się. — Moim zdaniem odpowiedź na wszystkie pytania znajdziemy w drodze do bazy tego drania. Co ty na to?

Mizera fuknął dymem.

— Bazy, powiadasz...

Oderwał wzrok od uśmiechniętej radośnie buzi swojej czteroletniej córeczki Natalie, przypatrującej się im życzliwie z fotografii na chropawej ścianie kabiny. Baza!

Ich opinia na ten temat różniła się bardzo od opinii panującej w Island. Baza korsarza nie znajduje się w Azji południowo-wschodniej — to po pierwsze, a po drugie: u-booty i ich okręty zaopatrzeniowe, po utracie portów francuskich, nie przybywają tu drogą wokół Afryki. Trasa z portów niemieckich na Pacyfiku, krótsza i bezpieczniejsza obecnie, wiedzie na pewno przez Atlantyk i wokół przylądka Horn. A jeżeli istotnie tak jest, to baza ich znajduje się a Malajach, tylko na wyspach północnego Pacyfiku, zajętych jeszcze przez Japończyków. Gdzie to może być?

— Od załatwienia się z „Golden Creekiem” — podjął Mizera — upłynęło trzynaście dni, w ciągu których korsarz zdołał przesunąć się kilka tysięcy mil i osiągnąć półkulę północną. Wyspy i wody Pacyfiku południowego są od Japończyków wolne, szukać go więc musimy tam. Może znowu spróbuje szczęścia pod naszym nosem, pod warunkiem jednak uzupełnienia zapasów. To dla niego koronna sprawa. Z żywnością może sobie jakoś poradzić. Z amunicją? — zależy od tego, ile jej wyprztykał, ale paliwa i słodkiej wody z palca nie wyczaruje. Przy naszym panowaniu w powietrzu uzupełnienie tych cieczy z nawodnego okrętu zaopatrzeniowego wykluczam, zaopatrzenie z okrętu podwodnego obecnie także nie wchodzi w rachubę, pozostaje tylko baza stała gdzieś na północ od równika. I tam zmierzamy. Płyniemy kursem north-east. Przesmykniemy się — wodził cyrklem po mapie — obok Nowej Kaledonii, między Nowymi Hebrydami a Fidżi, i zostawiając po prawej burcie Samoa, przekroczymy równik. Tam, jeżeli szczęście będzie nam sprzyjać, nastąpi rendez-vous. Proste?

Proste. Ciągnąć kursem north-east, jak z bata strzelił north-east aż do równika, następnie: jeżeli hipoteza ma ręce i nogi, jeżeli ten cholerny drań ma tam swoją bazę, która, powiedzmy, z jakichś powodów nie będzie w stanie go zaopatrzyć, jeżeli szczęście...

Nic na logikę, nic na rozum.

Doświadczony w wojaczce morskiej kontradmirał Sleigh na pożegnanie powiedział mu:

— Jakie jest prawdopodobieństwo przecięcia się krzywych torów pocisków A i B, wystrzelonych z dwóch różnych miejsc na kuli ziemskiej w różnym czasie? Niewiadomymi są: miejsce, czas wystrzelenia pocisku A, jego prędkość i tor. Pytanie brzmi: Gdzie krzywe torów się przetną i kiedy?

Niewiadoma, niewiadoma, niewiadoma... Mizera czuł się jak przed skokiem w przepaść. Siedemdziesięciosobowa załoga jego q-shipu, na którą w Sydney tak się zżymano, patrząc na niego jak na nieomylnego Boga. Fantastyczna przygoda na fantastycznym statku pod dowództwem fantastycznego faceta; nie może być pudła! Blachy maskujące działa zacinają się, tu i ówdzie coś nie zaskakuje, bo jak może być inaczej, skoro pracowano na łapu-capu, aby komuś z Island nie wpadło do głowy położyć na tym ręki. Ale teraz to już nieważne. Do równika pozostaje sześć dni drogi. Do tego czasu wszystko się zgra i kiedy ten sukinsyn...

Odprawa Hackego nie obyła się bez politycznego wstępniaka, jak zwykle optymistycznego. Japonia — usłyszałem — nie powiedziała jeszcze swego ostatniego słowa. Ustępowanie z zajętych przez nią wysp na Pacyfiku nie świadczy o przejęciu przez wroga inicjatywy strategicznej, lecz o konsolidowaniu się wokół Azji kontynentalnej. Obserwujemy powtórkę pierwszej fazy wojny, kiedy to za zdobycze terytorialne na obu oceanach Japonia płaciła nieproporcjonalnym do zysku rozcieńczeniem swych teraz karta się odwraca. Decydujące starcie dopiero się zacznie i my musimy wnieść w nie nasz sojuszniczy wkład: przyjaciół swych Niemcy nigdy nie opuszczają. A poza tym — Hacke przeszedł do spraw bliższych naszemu ciału — nie było odwołania naszej misji. Naczelne Dowództwo Kriegsmarine — dowiedzieliśmy się — zapowiada wzmożenie wojny podwodnej. Nowe typy okrętów, jeszcze lepsze od naszego...

Nie zamierzałem dłużej uczestniczyć w tej pokrzepiającej ducha ciuciubabce.

— Paliwa mamy na pięć dni, Herr Fregattenkapitän. — Oderwało się we mnie koło zamachowe puszczzone w ruch na kiosku.

Blady dotychczas Hacke spurpurowiał.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

Ten jego nieznośny despotyzm i jeszcze gorsze od tego milczenie oficerów. Ich kro wio bezmyślne oczy. Kiedy oni się przebudzą!

— Że bez paliwa każdy okręt jest kupą żelastwa, Herr Fregattenkapitän. — Koło kręciło się konsekwentnie. — Także najlepszy z najlepszych. — I już nie dałem się zamknąć. — Paliwa nam potrzeba. Perhydrolu lub oleju napędowego. Jest moim obowiązkiem zameldować panu, że jeżeli w ciągu pięciu dni nie napełnimy zbiorników, obydwa silniki staną. Mamy na to pięć dni! — rzuciłem w jego purpurową twarz i odmeldowałem się. Garbaty zgłosił mi przed odprawą nieszczelność systemu tlenowego; ludzie Renfera nie mogli się uporać z wyciekami elektrolitu, byli wyraźnie podtruci chlorem. Miałem więc powód, żeby tak się zachować.

Moment zwrotny w dziejach „Elektry” nastąpił. Późno, ale jednak. Szybko dowiedziałem się, w jakim kierunku sytuacja zaczęła się rozwijać.

— Idziemy na Pacyfik północny — powiedział Henning Gehrmann zerkając instynktownie na boki. Moje oczy poszły jego siadem, a mózg zarejestrował alarmujący dla mnie fakt: przekazał ci to mat podchorąży, twój niski stopniem służbowym podwładny, nie dowódca okrętu, którego jesteś nominalnym zastępcą. Zostałeś wyłączony ze ścisłego kręgu dowództwa okrętu. Czy wiesz, co to dla ciebie oznacza?

Bywałem na odprawach zawsze jako jedyny z załogi maszynowni — wobec Hackego, Strelova i Wenka z „pokładu” I oczywiście Frauenheima.

Więc Pacyfik północny, gdzie — według podanej mi przez Schlindweina wiadomości —

Amerykanie zajęli wczoraj wyspę Barbarę... Nic z tego nie rozumiałem. Z naszego miejsca wyczekiwania na „Rosamundę” było to cztery tysiące mil w linii prostej. Ale wówczas cała trasa, bardzo bezpieczna, wiodłaby przez największe pustkowia świata: na wschód i północ od kursu nic poza wodą, co przy wiadomym zapasie paliwa... Jeżeli nasza baza rezerwowa nie byłaby jeszcze zajęta, nie byłbym może temu przeciwny... Nie byłbym też przeciwny obranemu poza moimi plecami ryzykanckiemu kursowi: Morzem Tasmańskim, wzdłuż naszpikowanej lotnictwem rozpoznawczą Nowej Zelandii, pomimo, jak się w ciągu ubiegłej doby przekonaliśmy, jego wzmożonej aktywności zmuszającej nas często do głębokiego zanurzenia. Tylko jak oni sobie tę przejażdżkę w gąszczu wrogiej żeglugi wojennej i handlowej wyobrażają? Gdybyśmy mieli torpedy, to co innego, ale nie mamy. Ani jednej. A paliwo, idąc tym kursem i wykorzystując coraz dłuższe — w miarę posuwania się na północ — noce, skończy się w połowie drogi między Nową Kaledonią, nieszczęsną dla mnie Kaledonią, a wyspami Lojalności.

— Czy to prawda? — dopytywał się Gehrman. — To przecież samobójstwo. Nigdy tam nie dojrniemy!

Zrobiłem dobrą minę do złej gry.

— Wiem — bąknąłem, a to o samobójstwie puściłem mimo uszu; niech chłopak się pomęczy. Jeżeli podzieli się swymi obawami z kimś z załogi, tym lepiej. Zbiorowego samobójstwa na pewno nie popełnimy. Hacke — do niego to podobne, ale na „Elektrze” są jeszcze inni, co w ostatniej chwili daliby chętnie z okrętu drapak.

Nie ulegało już dla mnie wątpliwości, że podział ludzi na „pokład” i „maszynę” stał się faktem. Załoga skończyła się jako monolit. Powstały dwa obozy. Czy gotowe zmierzyć się ze sobą? Było oczywiste, że jedni i drudzy zdają sobie sprawę z tragizmu naszego położenia, a co gorsza — wiara w dowódcę ustąpiła miejsce mechanicznemu posłuszeństwu. Na tym wózek w naszej sytuacji i w tym stadium wojny daleko się nie zajędzie. Chyba, że szalę dowódcy przechyli jakiś nowy argument.

Największy okręt podwodny świata stał się dla mnie piekielnie ciasny. Przestrzeni w jego wnętrzu nie ubyło. W porównaniu ze wszystkimi typami u-bootów jest jak luksusowy jacht. Nie gnieździ się jeden na drugim, nie wdychamy niczyjego smrodu — to zdecydowanie okręt drugiej połowy dwudziestego wieku, sterowany elektronicznymi automatami nadzorowanymi przez ludzi. Kwatera moja mieści się w centrali naprzeciwko kwatery dowódcy. Od kwater lądowych różni się one brakiem drzwi; na okręcie podwodnym mogłoby zabraknąć czasu na ich otwarcie, drzwi nas nie dzielą. Tym gorzej dla nas. Jesteśmy, Hacke i ja, jak złączeni niewidzialnymi więzami syjamscy bracia: całą dobę na okrągło, leżąc na koi, robiąc swoje obliczenia czytając książkę, rozbierając się, jedząc, kichając mamy zawsze na oczach jeden drugiego; podczas akcji związek ten stapia się w jeden organizm pulsujący tą samą krwią. On staje się mózgiem i wzrokiem, ja rękami i nogami wykonującymi jego rozkazy. Stojąc na pomoście bojowym za jego plecami, widzę pochyloną nad peryskopem głowę z czapką zsuniętą zawadiacko na zarośnięty kark, dostrzegam każdą nitkę srebra wykwitłego na jego dwudziestoczteroletnich skroniach, słyszę bicie serca — jednego dla nas obu. Już teraz nie jednego? Oderwałem się. Za jego plecami na pomoście bojowym stoi od wczoraj odrębny człowiek. On o tym wie.

W jego głowie narodziła się nowa, szatańska myśl: Morze Tasmańskie roi się od motorowców handlowych łączących Nową Zelandię z Australią. Spalających olej pędny... Nie uzbrojonych... A potem zobaczy się. W najgorszym (albo najlepszym — jak dla kogo) razie krajów w Ameryce Południowej rządzonych przez prohitlerowskich generałów nie brakuje.

Pod datą 25 listopada godzina ósma zero zero w dzienniku maszynowym zapisałem stan perhydrolu, oleju napędowego i tę część wpisu podsumowałem następująco:

„Zapas paliwa ogółem, przy średniej prędkości, starczy na około 1200 mil. Tanki zapasowe w balastach — puste.

Uwagi szczególne:

Układ waltera, z powodu nieszczelności systemu tlenowego, nie dającej się naprawić posiadanymi środkami, wymaga częstego wyłączania.

Nadmierne eksploataowanie układu w zanurzeniu grozi wybuchem pożaru”.

Doglądając naprawy chłodziarki magazynów zapuściłem żurawia do pomieszczenia z zapasami żywności. Pełne zwykle kartonów, skrzyń, krat z konserwami mięsnymi, z jarzynami — ziało pustką; nie lepiej przedstawiały się zapasy mrożonego mięsa, nie mówiąc o tytoniu i napojach, z którymi bardzo już było kruch. Wyczekując „Rosamundy” wspomagaliśmy kuchnię rybami, obecnie skończyły się. Niewesoło wyglądamy więc nie tylko od strony paliwa. Do swoich najchwalebniejszych wyczynów frontowych z czasu poprzedniej wojny ojciec zaliczał nie ataki na bagnety pod Verdun, lecz wyprawy nocą do okopów angielskich po żywność. „Czego ci cholerni Tommies nie mieli!” Kręcił głową wyliczając rozmaite smakołyki. Właśnie! Czego to nasi wrogowie zawsze nie mają, a my nie. Widocznie dobieramy sobie niewłaściwych przeciwników, nasi przywódcy winni wziąć to w przyszłości pod uwagę.

Z tym złowrogim wpisem udałem się na pomost bojowy.

Przed godziną wypłoszyły nas z powierzchni świetliki na ekranie radaru. Jeszcze niepewni, co dzieje się na górze, płynęliśmy na głębokości peryskopowej z wysuniętymi chrapami. To proste urządzenie, odprowadzające gazy spalinowe i dostarczające powietrza do silników, pozwala na przebycie znacznych odległości i ładowanie akumulatorów pod wodą; jego słabą stroną jest to, że ślady chrap wykrywa nisko lecący samolot, którego my, przebywając w zanurzeniu, ani nie widzimy, ani nie chwytamy radarem. Zostałem Hackego w dziwnej pozycji: nie stał nad studzienką peryskopu wachtowego, ale zwisał, dosłownie zwisał na jego rączkach, jak śmiertelnie wyczerpany człowiek nie będący w stanie ustać na nogach. Położyłem przed nim otwarty log. Nie mogłem mu tego zaoszczędzić.

— Herr Fregattenkapitän, proszę podpisać przyjęcie danych do wiadomości — powiedziałem beznamiętnym tonem, na jaki tylko było mnie stać.

„Elektra” jest diabło akustyczna. Z wnęki wychynęła głowa Strelowa, który wyniósł się na czas składania przeze mnie raportu. Za nim obróciły się w naszą stronę głowy z wnętrza okrętu. Dwaj główni aktorzy na scenie...

Atmosfera osiągnęła gęstość krytyczną. Hacke w tym stanie, bez czyjegóż wsparcia, nie liczył się jako przeciwnik; Strelow, Wenk, moi oficerowie z maszynowni z Rudim Garbatym na czele nie wchodzili w rachubę, batalia o los „Elektry” rozegrać się mogła — paradoks, lecz niestety to prawda — między lekarzem okrętowym a jego największym zagrożeniem: mną. Ale oto pojawiły się posiłki. W stanie pełnego pogotowia bojowego. Z rewolwerem u boku z pomieszczenia swego wyszedł Frauenheim.

Ten szczur — zmełłem w zębacli przekleństwo. Dopilnuję, aby pomaszerował w zaświaty o krok przede mną!

Cofnąłem się do mojej klatki po pas z pistoletem i wróciłem z kaburą przesuniętą ostentacyjnie na brzuch. Odtąd, postanowiłem, gra prowadzona będzie przy podniesionej kurtynie; nie jestem jeszcze zdechłym kotem!

Hacke ocknął się ze syoo transu.

— Co to za maskarada? — warknął.

Drżący głos, zlana potem twarz; malaria, którą złapał w Penangu, wciąż go trawiła. Chłodny Atlantyk bardziej odpowiadał temu gdańszczaninowi niż klimat tropikalny.

— Weszliśmy w niebezpieczny akwen — odparłem z wyzywającą powagą. — Większość trasy pokonujemy w zanurzeniu, możemy w każdej chwili być zmuszeni do walki.

— Ale czy na broń boczną?...

Dostrzegł Frauenheima. Usłużnie uśmiechniętego, ze strzykawką i watą namoczoną w spirytusie.

— Ach — westchnął — za chwilę, jeśli można, Herr Marineoberstabsarzt. — Potem, nie patrząc na log, rzucił sucho do sternika: — Kurs?

— Trzysta sześćdziesiąt, Herr Fregattenkapitän.

— Tak trzymać! — rozkazał.

Przeniósł głowę ze sternika z powrotem na studzienkę peryskopu z leżącym na niej logiem i zamarł nad nim jak po śmiertelnie wyczerpującym wysiłku. Miałem znowu przed sobą jego zgarbione plecy, czapkę na czubie głowy i skronie z siwymi nitkami, których od wczorajszego południa chyba przybyło. Ale to nie był on. To był wrak człowieka, który nazywał się Hacke, Fregattenkapitän Kurt Hacke, kawaler najwyższych odznaczeń bojowych, as nad asy groźnej niegdyś dla całego świata niemieckiej u-bootwaffe.

Klamka zapadła. Choćby świat miał się zawalić, zmiany kursu nie będzie. Płyniemy na Pacyfik północny. W rój wojennej i handlowej żeglugi wroga. Celem kursu — jeżeli przedtem nie zginiemy — może być tylko zdobycie paliwa i żywności. A żeby naszej obecności na tych wodach nie wykryto...

Nie dopuszczę do tego! Tak mi dopomóż Bóg!

W Berlinie mogą wymyślać rzeczy, by przedłużyć wojnę o rok, dwa, nasi niegłupi naukowcy wynajdywać będą coraz to lepsze bronie, lecz naszego staczenia się po równi pochyłej nic już nie powstrzyma. Umrzemy. My z „Eiektry” na pewno. Śmierć człowieka jest rodzoną siostrą jego narodzin, nikt jej nie ujdzie. Oswoilem się z myślą o niej i nie protestuję, tak jak zima bez protestu ustępuje miejsca wiosnie, a lato jesieni. Ale nie dopuszczę do nowej zbrodni, do której ktoś dąży z czystej potrzeby jej popełnienia. Nie dopuszczę! Wiem, jak to zrobić!

Dokonałem odkrycia...

Jak długo pełnię swoją funkcję w centrali, jestem najpotężniejszym człowiekiem na okręcie. Hacke jest jego dowódcą. Ma prerogatywy najwyższego sędziego, któremu w określonych warunkach przysługuje prawo ferowania wyroku śmierci na każdym z nas. Może on mocą fatalnej decyzji, przypadku, ulegając silniejszemu, doprowadzić do zagłady okręt wraz z załogą. Wszystko to może jednak nastąpić w walce, on zaś sam, własnymi rękami jest w stanie uśmiercić najwyżej paru z nas; co innego razem ze mną. Nie przyszło mi to do głowy wcześniej, bo nie miałem ku temu powodów. Krytyczny stosunek do rozkazu — w sytuacji tak wyjątkowej jak nasza, gdzie nie ma możliwości odwołania się do wyższej instancji — nie może być zaczynem buntu.

Rozmyślenia na kiosku wiodły mnie ku niewłaściwemu rozwiązaniu. Wczoraj dręczyły mnie wątpliwości, czy w mojej rozterce nie jestem odosobniony; dzisiaj chmury znad mojej głowy wyparowały: Rudolf Garbaty, Henning Gehrmann, Günther Schindwein, Dieter Renfer, Horst Neuenahr, cichy, najspokojniejszy z całej załogi mechanik silnika waltera Harald Klein zapewniają mnie spojrzeniami o sztamie; oni też nie są ślepi. A ilu spośród splamionych krwią rozbitków, którzy nie mają odwagi wyprostować kręgosłupa, stanęłoby po mojej stronie, gdyby tylko stworzyć im po temu warunki? Jednak przejęcie okrętu siłą mogłoby nie wypalić — złożyli przecież żołnierską przysięgę: największe trudy, najokrutniejsze rozkazy, pewność zmierzania ku zagładzie — wszystko to nie zdołało naruszyć fundamentu niemieckiego posłuszeństwa; zorganizowane działanie zbiorowe mogłoby się załamać już na samym początku. Skończyłoby się mikroskopijną repetą zdarzeń z dwudziestego lipca, ta forma odpada. Zamach na Hitlera nie udał się z powodu braku wyobraźni u zamachowców, którym jawiło się przejęcie władzy czyimiś rękami, bez ściągania własnych rękawiczek — zupełnie to w naszym stylu. Zapomnieli o wyświechtanej prawdzie, że kto sięga po tron, musi liczyć się z utratą głowy. Mój zamach będzie jedyny w swoim rodzaju... Jak go przeprowadzę?

Przeraża mnie to, nie jestem w stanie opanować w sobie drżenia. Ale kości zostały rzucone. Rubikon — ciałem stoję Jeszcze po tej stronie, lecz duch mój buszuje już tam, nie mogę do niego nie dołączyć — został nieodwołalnie przekroczony!

W centrali znajdują się wszystkie urządzenia do manewrowania okrętem: manipulatory sterów, manometry głębokości zanurzenia, przechyłomierze, wskaźniki obrotów silników, manipulatory klap i odpowietrzników balastów, instalacje przekaźnicze rozkazów (podczas wynurzenia okrętu rozkazy dowódcy dla załogi znajdującej się wewnątrz przekazywane są za moim pośrednictwem) — czego tam nie ma! Kiedy Hacke wraz z obsadami artylerzystów i

karabinów maszynowych oraz z nie odstępującym go Frauenheimem zechcą rozprawić się z rozbitkami, okręt gwałtownie zanurzy się i zostaną zmcyi z pokładu. A potem wyłowi się z wody tylko niewinnych...

Szatański zamysł. Niesamowity. Czy ja przypadkiem nie dorównuję Frauenheimowi w jego zbrodniczych instynktach?

Czuję się lekki jak ptak. Niestraszna dla mnie szczyty, przepaście, noc. Być wolnym od ciężenia ziemskiego — jakie to wspaniałe!

Wodnosamolot rozpoznawczy Królewskich Nowozelandzkich Sił Powietrznych minął skalistą wysepkę Campbell — punkt zwrotny swego lotu patrolowego. Na południe od wysepki zaczyna się pustkowie przez nikogo, poza łowcami wielorybów w czasie pokoju, nie odwiedzane.

Pilot połączył się z bazą.

— Tu NZAF-4F NZAF! — zameldował się. — Nadlatuję nad Campbell. Żadnych spostrzeżeń. Są jakieś pytania? Over.

— Jsk u was z widocznością? Jaki wiatr? — dopytywała się baza. — Over.

— Widoczność dwie mile. Wiatr north-east, zaledwie trzy. Woda wyjątkowo spokojna.

— To leć kursem dwieście trzydzieści jeszcze pół godziny. Jeżeli paliwa ci starczy. Jak z paliwem? Over.

Z niewesołą miną pilot popatrzył na wskaźnik benzyny.

— Starczy — zameldował. — Over.

— Wobec tego trzymaj z nami kontakt i good look — usłyszał. — Koniec.

Chmura białego ptactwa nie nawykłego do hałasu, spłoszona warkotem silników, poderwała się z klifowych brzegów wysepki; wygrzewające się w chudym słońcu na skalnych ostrogach foki plusnęły w wodę. Pilot przełączył się z radia na telefon wewnętrzny.

— Randkę moją znowu szlag trafił! — Skrzywił się. — Osiem godzin w tym pudle... A później Nancy szuka dziury w całym, że niby uganiam się za innymi. Baby nie mają wyrozumienia dla sportu!

— Ho, poznałem się na nich — odezwał się dziewiętnastoletni nawigator. — Nie ożenię się. Postanowione!

Rozpoczęła się w intercomie wymiana bardzo zdecydowanych opinii o kobietach między nawigatorem a o rok od niego starszym strzelcem pokładowym, ochotnikiem z Fidzi. Na tej rajskiej wyspie kobiety też nie mają wyrozumienia dla spraw; Polinezyjki, białe — każda ma takie same pretensje.

Przysłuchując się tym narzekaniom pilot skorygował kurs o plus czterdzieści stopni, po czym przekazał stery swemu drugiemu. Jak okiem sięgał, świat składał się z wody, samej wody i chmur; dużo tego materiału musiał mieć Pan Bóg podczas tworzenia świata. Zapalił papierosa.

Gdybym wykrył tego pieprzonego u-boota, pomyślał, i dostał Victoria Cross, ale Nancy by zdębiała!

Pierwszy raz zapuszczał się na południowy zachód od Campbell. Maszyna wleciała w strefę subarktycznych wichrów, kłębiastych chmur straszących nadętymi wodnym pyłem brzuszskami. Ta kraina gwałtownie zmieniającego się ciśnienia barycznego, nagłych porywów wiatru może, przy lotach na niewielkich wysokościach, sprawić ciężkim, niezrywnym catalinom przykrą niespodziankę; piloci muszą mieć się na baczności. Ale loty tutaj raczej są rzadkie. Nowa Zelandia nazywana jest przez marynarzy z Europy i obu Ameryk „końcem świata żeglugowego”; końcem, bo dalej na zachód, południe i wschód od górzystego cypla Invercargill nie ma człowieka czego szukać. To prawdziwy koniec świata zamieszkanego przez ludzi.

Gdyby pilot wodnosamolotu rozpoznawczego NZAF-47 poszybował pół godziny dłużej tym kursem, ekran jego radaru, podczas całego lotu monotonicznie czarny, mrugnąłby igielką światła. Ale nie poszybował. Wykraczałoby to poza jego zadanie.

Przejął stery i wywołał bazę.

— Osiągnąłem 26°15,1 South; 166°27, 4 East. Żadnych spostrzeżeń poza... — Przyłgnął głową do pleksiglasu gondoli. — Chwileczkę, widzę coś rozlanego na morzu. Pewnie ropa. Zaraz sprawdzę, wyłączam się na moment. Over.

Redukując skok śmigieł obniżył maszynę do wysokości pięciuset stóp.

— To ropa. Tak — upewnił go nawigator — dużo ropy. Za dużo jak na wyciek ze statku albo na popłuczyny wyrzucone z zęz. Zrób jeszcze rundę, Joe.

Pilot zatoczył łuk i zawrócił nad gęste rozlewisko na wodzie, pobłyskujące niebieskawym złotem.

— Ciągnie się ponad dwie mile, to stanowczo nie z wycieku — mówił nawigator. — Zbiornikowiec musiał pójść na dno. Lecz skąd tutaj zbiornikowiec?

— Kolor tego świństwa mi się nie podoba — włączył się mechanik. — To nie ropa. Raczej olej napędowy zmieszany z jakimiś chemikaliami. Woda jest spokojna. Jeżeli uważasz, że warunki ci na to pozwalają, siądźmy na skraju tej plamy i przyjrzyjmy się jej z bliska. O, tam się coś kolebie! — zawołał. — Połącz się z bazą, Joe.

Invercargill żywo się tym zainteresowało. Mikrofon przejął sam dowódca bazy.

— Pobrać próbki w kanistry, w butelki, w co tam macie.— polecił. — I jeżeli coś w tym świństwie pływa, przywlec to do bazy. Good luck, boys. Czekamy!

Pilot NZAF-47 ustawił samolot pod wiatr i przystąpił do wodowania.

Brytyjska Admiralicja. Londyn. Wielka owalna sala konferencyjna pierwszego lorda Admiralicji.

Po mglistym ranku i przedpołudniu zapowiada się mokry, typowy dla londyńskiej jesieni wieczór.

Parking zastrzeżony dla gości, zapelniony samochodami osobowymi różnych marek z proporczykami „Prasa”. Przed wejściem do gmachu żandarmi marynarki sprawdzają karty akredytacyjne przybywających wciąż korespondentów. Ci, co przeszli już przez sito kontrolne i schowali swoje dokumenty, wyciągną je jeszcze kilka razy wewnątrz gmachu.

Wszystkie fotele zajęte. Wciąż jeszcze przybywających korespondentów służba sadza na krzesłach ustawionych pod ścianami. Sorry. Admiralicja nie przypuszczała, że konferencja wywoła aż tak ogromne zainteresowanie. Odzywają się protesty: kolumny wspierające ciężkie sklepienie sali przesłaniają widok na stół prezydialny; miejsca są ile radiofonizowane.

— Podane zostaną informacje szczególnej wagi... — odczytuje z zaproszenia korespondent „Chicago Express”. — Hm... — wzdycha. — Wszystkie niemieckie superpancerniki, krążowniki są zatopione, u-bootwaffe rozgromiona, czym jeszcze Brytyjska Admiralicja chce się pochwalić?

— Zawsze podziwiam waszą amerykańską spostrzegawczość — odcina się z fotela korespondent londyńskiego „Timesa”. — No właśnie, czym?

Barokowy wystrój Wielkiej Owalej Sali, nie zmieniony od czasów admirała Nelsona, psuje rozwieszona za stołem prezydialnym płachta białego ekranu. Kuluary, gdzie mieszczą się telefony i teleksy, łączące gmach z całym światem, bary szybkiej obsługi — puste: goście nie skracają sobie drinkiem wyczekiwania na rozpoczęcie konferencji. Silne obsady koncernów prasowych Hearsta, Beaverbrooka są w komplecie; operatorzy kronik filmowych gotowi do kręcenia. Na dworze mokro, tu opary dymu tytoniowego. Wyczuwa się wiszącą w powietrzu sensację.

Zapalają się główne kryształowe żyrandole.

W wejściu pojawia się pierwszy lord Admiralicji wraz z towarzyszącymi mu osobami. Oficer protokołu anonsuje:

— Gentlemen, the First Lord of the British Admiralty! Pierwszy lord zza stołu prezydialnego:

— Witam panów.

Zajmuje miejsce. Po prawej ręce ma przedstawiciela rządu i szefa gabinetu Admiralicji, po lewej szefa sztabu operacyjnego Obszar Mórz Europa Północno-Wschodnia, kontradmirała sir Alexandra Parole'a, pełniącego dzisiaj funkcję rzecznika prasowego Admiralicji; adiutanci, skupieni z boku stołu, układają przed sobą stosy brązowych kopert dużego formatu.

W grupie osób siedzących skromnie na balkonie dla publiczności widać pracowników wywiadów marynarki, lotnictwa, Special Operations Executive — Europa Wschodnia dwóch oficerów w polskich mundurach. Szef gabinetu Admiralicji spogląda ku tej grupce i porozumiewawczo wykrzywia wargi.

Obecność wśród najwyższego kierownictwa Admiralicji przedstawiciela rządu w osobie bliskiego współpracownika premiera, księcia Reginalda Davida Marly-Stanforda wywołuje poruszenie na sali: kamery kronik filmowych celują obiektywami w jego drapieżną sylwetkę. W sferach dobrze zorientowanych w meandrach polityki brytyjskiej księżę cieszy się przydomkami „szarej eminencji rządu”, „jednoosobowego gabinetu cieni partii konserwatywnej”. Jest tajemnicą poliszynela, że stosunek księcia do Niemiec hitlerowskich jest taki sam jak premiera, a stosunek premiera do aliansu ze Związkiem Sowieckim taki sam jak księcia: zło konieczne. Z hasłem „bezwartunkowej kapitulacji państw Osi w Casablance wystąpił prezydent Roosevelt, Churchill sprzeciwił się temu. Bezwartunkowa kapitulacja? A co z równowagą sił bez armii niemieckiej? Też to prowokacja do nowej wojny światowej! Rychłą zmianę stanowiska premiera przypisuje się księciu, orędownikowi bezwzględniego rozliczenia się najpierw (!) ze zbrodniczym systemem hitlerowskim.

Szmer na sali ucisza szef gabinetu Admiralicji.

Szef gabinetu:

— Gentlemen, głos zabierze pierwszy lord. Pierwszy lord Admiralicji wstaje.

— Mam zaszczyt powitać naszych szanownych gości, a także przedstawię wiciela rządu Jego Królewskiej Mości jego ekscelencje księcia Marly-Stanforda, który swoją obecnością raczył uświetnić nasze spotkanie. Gentlemen! — Kłania się sali. — Wasza Wysokość! — Kłania się przyjacielowi premiera. — I thank you for coming. Oddaję głos przewodniczącemu konferencji, szefowi mego gabinetu.

Szef gabinetu Admiralicji:

— Szanowni panowie, pozwalam sobie przystąpić do rzeczy. W zaproszeniu naszym zaznaczyliśmy, że na dzisiejszym spotkaniu zostaną panom udostępnione informacje szczególnej wagi. I tak też się stanie. Wydarzenie, z którego szczegółami zapozna panów rzecznik prasowy Admiralicji, nosi wszelkie cechy wyjątkowości w jej najbardziej odrażającym kształcie. Oddaję głos rzecznikowi prasowemu.

Kontradmirał sir Alexander Parole:

— Dziękuję, sir. Na poprzednim spotkaniu zakomunikowałem panom między innymi o zaginięciu w ostatnich dniach września na Pacyfiku południowo-zachodnim frachtowca bandery greckiej, ss „Pireus”. Zaginięciu bez śladu. Statki przepadają także w czasie pokoju, jednak wypadkowi temu towarzyszyło zagadkowe zjawisko: zniknięcie całej załogi. Nasuwało to przypuszczenie, że statek poszedł na dno tak szybko, iż nie zdołano uruchomić akcji ratunkowej, podać pozycji ani nadać sygnału S.O.S. — przypadek raczej rzadki w nowoczesnej żegludze morskiej, choć notowany. Ałe miesiąc później w podobny sposób zniknął frachtowiec amerykański, ss „Golden Creek”, a to już wywołało poważne podejrzenia.

Odpowiednie służby zainteresowały się sprawą. Miesiąc po zaginięciu pierwszego frachtowca w pobliżu wyspy Lord Howe wyłowiono szczątki białego człowieka, członka załogi ss „Pireus”, w których znaleziono dwa pociski wystrzelone z broni palnej będącej na wyposażeniu niemieckich sił zbrojnych: jeden pocisk pochodził z pistoletu parabellum 08 — broni bocznej niemieckich oficerów wszystkich służb, drugi, z pistoletu maszynowego szmajser MP-40. Stało się to impulsem do dalszych poszukiwań. Niedługo potem w miejscu zaginięcia frachtowca amerykańskiego wyłowiono jedenaście zwłok — członków jego załogi; we wszystkich zwłokach znaleziono pociski z niemieckie z broni palnej. Skrupulatnie

przeprowadzone badania do ty niezwykle istotne wyniki.

Po pierwsze: pociski znalezione w szczątkach marynarza greckiego frachtowca i marynarzy amerykańskich wystrzelone zostały z tych samych luf.

Po drugie: pociski te wyprodukowane zostały — ustalono to ponad wszelką wątpliwość — nie wcześniej niż wiosną bieżącego roku.

Po trzecie: ludzie, których szczątki znaleziono, opuszczając statek żyli jeszcze. Oznacza to, że zabito ich dopiero w wodzie...

Gentlemen! — Głos sir Alexandra nabrał uroczystej powagi. — Ustalenia nasze świadczą o obecności na Pacyfiku południowo-zachodnim niemieckiego okrętu podwodnego, którego dowództwo dopuszcza się czynu zakazanego przez konwencję haską oraz układ londyński, dokumenty podpisane także przez rząd Rzeszy Niemieckiej: zabijania na morzu bezbronnych rozbitków!

Głos z sali (z kanadyjskim, z francuskojęzycznej prowincji Quebec, akcentem):

— Ohydna zbrodnia! Głos spod ściany:

— Dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz? Klasyczny przykład kpin cenzury wojskowej z opinii publicznej! Co na to przedstawiciel rządu?

Odzywają się inne głosy, w tej samej tonacji. Korespondent „Texas Herald” oskarża Admiralicję o typowo brytyjskie kunktatorstwo. Sugeruje rozstrzelanie w odwet tysiąca niemieckich jeńców wojennych. Pierwszy lord pochyla się ku księciu Marly-Stanfordowi, coś do niego mówi, ale ten już po pierwszych słowach kręci przecząco głową. Nie teraz. Potrząsa swoją gołębiobiałą głową. Szef gabinetu podnosi rękę.

— Gentlemen, mamy jeszcze dużo interesującego materiału. Obawiam się...

Sala cichnie, głos zabiera ponownie rzecznik prasowy. Kontradmirał sir Alexander Parole:

— Stało się to w wyniku jednej z najbardziej udanych operacji u-bootwaffe, chytrze pomyślanej, z szatańską maestrią przeprowadzonej; gdyby nie przypadek, a raczej splot przypadków, operacja ta uszłaby naszej uwadze. Zaliczono by ją do zagadek, jeszcze jednej w tej wojnie, które nigdy nie doczekają się rozwiązania. Życie polskich wywiadowców, którzy zagadką tę rozwikłali, zależało od zachowania całej sprawy w tajemnicy. To właśnie dzięki nim, ich brawurowej odwadze, poświęceniu i pomysłowości wykryto nie tylko inspiratorów operacji, ale także jej wykonawców. Wykrycie przestępstwa to dopiero pierwszy krok; pozostały kolejne do zrobienia, nie mniej ważne od pierwszego: ujęcie przestępcy i udowodnienie mu czynu. Zadanie wydawało się niewykonalne. Wyprawę na Pacyfik przygotowano z zachowaniem najdalej posuniętych środków ostrożności, wiedziało o niej zaledwie kilka osób z najbliższego otoczenia Hitlera oraz naczelnego dowództwa kriegsmarine. Wytropienie w tej sytuacji przestępców spośród dziesiątków tysięcy marynarzy u-bootwaffe i ustalenie — pomimo gęstej zasłony tajemnicy — ich dokładnych danych personalnych jest ogromnym sukcesem wywiadowców, za co, w imieniu rządu Jego Królewskiej Mości, a także Admiralicji, składam im z tego miejsca słowa najwyższego uznania.

Czy zbrodnię tę popełniono z rozkazu dowództwa niemieckiej marynarki wojennej, z nakazu czynników politycznych państwa, nie liczących się przecież z żadnymi normami etycznymi, nie respektujących podpisanych porozumień międzynarodowych, tego jeszcze nie wiemy, nie możemy więc wysuwać dzisiaj oskarżenia pod konkretnym adresem. Chociaż istnienie tak zwanego Laconia-Befehl, wydanego przez Hitlera, a zatwierdzonego przez wielkiego admirała Raedera, i na jego mocy popełnione przez u-bootwaffe zbrodnie na morzu są znane. Żyrandole sufitowe gasną, lampy ścienne ciemnieją. W półmroku, jaki zapada na sali, na ekranie pojawia się obraz miasta podzielonego siatką na sektory oznaczone literami.

„Plansza numer jeden — objaśnia z głośników wyrazisty męski głos — przedstawia panoramę Gdańska, miasta, które stało się dla pana Hitlera pretekstem do napaści na Polskę i tym samym rozpętania tej wojny. Zabudowania z czerwonej cegły po lewej stronie — końcem długiego kija kapitan Jenkins dotyka sektorów »e« oraz »f« — mieszczą biura projektowe stoczni Schichau, to zaś, co zza ich dachów wystaje, to żurawie dźwigów

dokowych. W stoczni wybudowano najnowszy niemiecki okręt podwodny, określony kryptonimem typ »XXI«, parametrami operacyjnymi i bojowymi przewyższający wszystko, co w światowym budownictwie tego rodzaju okrętów jest dotąd znane. Nasze lotnictwo zbombardowało stocznice w trakcie kończenia budowy serii tych okrętów. Rozpoznanie, jakie uzyskaliśmy, wskazywało, że znajdujące się na pochylniach jednostki zostały zniszczone lub znacznie uszkodzone, a budowa dalszych uniemożliwiona”.

Panorama Gdańska niknie, na ekranie płatanina torów kolejowych, nabrzeże z zacumowanymi przy nim małymi trałowcami min i okrętami podwodnymi, basen portowy, dalej — poza linią prostą falochronu odcinającą port od morza, na jego redzie — dwie sylwetki olbrzymich okrętów wojennych.

„Plansza numer dwa — informuje głos narratora — przedstawia port wojenny w Gdyni, polski port na Bałtyku, przemianowany przez Niemców na Gotenhafen. Sylwetki wojennych olbrzymów, kotwiczących na redzie, to superpancerniki „Tirpitz” i „Gneisenau”, mocno poturbowane przez nasze lotnictwo bombowe i torpedowe, niezdolne już do akcji zaczepnych na otwartym morzu, do zmierzenia się lufa w lufę z okrętami Royal Navy, niestety wciąż jeszcze na wodzie... Tu, w zaciścu Zatoki Puckiej chronionej przed otwartym morzem ramieniem Półwyspu Helskiego, osłoniętej od lądu pasmem wzgórz otaczających miasto, pod parasolem ich potężnej artylerii ulokowano największy na Bałtyku poligon ćwiczebny hitlerowskiej u-bootwaffe. Zdjęcie wykonane zostało ze znacznego oddalenia, przy nie najlepszej widoczności. Przy nabrzeżu przycumowane trałowce min i szkoleniowe okręty podwodne typu VII C, używane w okresie bitwy o Atlantyk, daleko na redzie widnieją olbrzymie. Nawet wprawne oko nie doszukałoby się w tym nic zasługującego na szczególną uwagę.

Port, jak widać, odcięty jest od morza wysokim falochronem. W sektorze »b« planszy wystaje zza niego coś w rodzaju spłaszczonego garbu, co może łatwo ująć uwagi obserwatora patrzącego na basen portowy z odległości paru mil. To wyrzucenie, które może być nadbudówką dużej barki, jakiegoś statku pomocniczego, wszystkim, co obsługuje ruch portowy, jest tajną bronią Hitlera na morzu, największym okrętem podwodnym świata, który, wbrew przypuszczeniom, uszedł naszym bombom.

Okręt, którego pomost wystaje zza falochronu, już następnego dnia jako U-1852 zniknie z Gdyni, aby w niespełna dwa miesiące później dać się we znaki naszej żegludze na Oceanie Indyjskim, a następnie na Pacyfiku.

Materiał, jaki teraz zaprezentujemy, stanowi swego rodzaju ewenement w pracy wywiadów i przedstawia wartość nie tylko dla sprawy będącej przedmiotem naszej konferencji. Uwaga!”

Na ekranie pojawia się jasny blondyn w mundurze niemieckiej marynarki wojennej. Na rękawach galony komandora porucznika, na bluzie mnóstwo baretek. Wiązanie krawata zakrywa najwyższe odznaczenie bojowe Niemiec — Krzyż Rycerski do Krzyża Żelaznego z Liśćmi Dębowymi i Brylantami. W dużych inteligentnych oczach pustka zmęczonego życiem człowieka.

Narrator:

„Oto dowódca U-1852, komandor porucznik Kurt Hacke, urodzony w listopadzie tysiąc dziewięćset dwudziestego roku w Gdańsku, syn Ottona Rudigera i Liselotty zamieszkałej w Gdańsku przy Bierstrasse dziewiętnaście, absolwent Szkoły Okrętów Podwodnych w Neustadt. Przebieg służby bojowej: operując z bazy w La Rochelle, zatopił na Atlantyku dwadzieścia cztery statki handlowe o łącznej pojemności sto pięćdziesiąt tysięcy brutto rejestrowanych ton, a wslawił się zatopieniem naszego lotniskowca »Gallant«. Do jego największych wyczynów bojowych zalicza się jednak stoczenie bezprecedensowej walki nawodnej z naszym niszczycielem na Atlantyku, po której, pomimo ciężkich uszkodzeń, zdołał doprowadzić swój zdemolowany okręt do bazy. W uznaniu jego zasług generał admirał von Friedeburg powierzył mu dowództwo tego okrętu. W lipcu i sierpniu bieżącego roku, operując z nie znanej nam dotąd bazy znajdującej się gdzieś w Azji południowo-wschodniej, zatopił na Oceanie Indyjskim jedenaście statków o łącznej pojemności siedemdziesiąt jeden

tysięcy brutto rejestrowanych ton, a zatem więcej niżeli cała flotylla japońskich okrętów podwodnych operująca na tym obszarze w ciągu półrocz... Już tylko to — niezależnie od wybitnych walorów dowódczych Kurta Hackego — świadczy o tym, jak groźną, trudną do zwalczania bronią jest ten okręt”.

Zmiana planszy: na ekranie wnętrze mieszkania.

„Ten sam, poznajemy go po jasnej czuprynie, na rok przed wybuchem wojny, w otoczeniu matki, ojca — nadradcy gauleitera Gdańska, obecnego wielkorządcy Pomorza, aktywnego SA-mana, poległego w pierwszym dniu wojny w walkach o Westerplatte — oraz trójki swoich braci, esesmanów, poległych już na frontach.

Cechy charakteru: nieustraszony, zdyscyplinowany, wymagający wobec podwładnych, zdecydowany w działaniu; do negatywnych cech należy zaliczyć nieumiejętność nawiązywania kontaktów z ludźmi, zamknięcie się w sobie.

Przynależność polityczna: do matury — w Hitlerjugend, później członek NSDAP”.

Zmiana planszy.

„Akt dekoracji komandora porucznika Hackego Krzyżem Rycerskim do Żelaznego Krzyża z Liśćmi Dębowymi i Brylantami.

Czas: marzec 1944.

Miejsce: żelbetowe blokhauzy kwatery głównej Hitlera w Kętrzynie; osoby na planszy: wyprostowany na strunę Hacke, zgarbiony w pałak Hitler, szef Oberkommando der Wehrmacht feldmarszałek Keitel, komenderujący admirał okrętów podwodnych generał admirał von Friedenburg, generał pułkownik Jodl, szef sztabu generalnego generał pułkownik Guderian; nastrój: od Hitlera do Hackego — poza fryzjersko uśmiechniętym Keitlem — grobowy”.

Zmiana planszy.

„Rok 1941: Hacke na moło w Sopocie. W tym wysokim, szczupłym poruczniku marynarki nikt by nie rozpoznał postrachu atlantyckich konwojów”.

Zmiana planszy.

„Rok 1942: Hacke na tle Wieży Eiffla, Paryż”.

Zmiana planszy.

„Rok 1943: Hacke w zniszczonym bombami Hamburgu”.

Na ekranie kadr czystego światła; głos narratora:

„Nie prezentujemy oficerów U-1852 w kolejności, według stopni wojskowych i pełnionych funkcji. Robimy to celowo. Dlaczego? Później się to wyjaśni. Następnym członkiem załogi, należącym do tak zwanego ścisłego dowództwa okrętu, będzie...”

Na ekranie gruszkowata twarz z wylupiastymi oczami, na bluzie marynarki wojennej mnóstwo baretek, Krzyż Żelazny Pierwszej i Drugiej Klasy.

„...dowódca artylerii okrętu porucznik Gustaw Wenk, urodzony w styczniu tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku w Duisburgu, syn urzędnika pocztowego Emila i Helgi, wykształcenie średnie realne, ochotniczo w u-bootwaffe. Od początku wojny do zamustrowania na U-1852 — udział w zwalczaniu konwojów na Atlantyku i Trasie Murmańskiej.

Cechy charakteru: odważny, zdyscyplinowany, fanatycznie oddany sprawie Wielkich Niemiec.

Przynależność polityczna: do matury — Hitlerjugend, później członek NSDAP”.

Zmiana planszy.

Na ekranie dobrodusznie uśmiechnięta twarz łysiejącego szatyna wśród odznaczeń bojowych z Krzyżem Żelaznym Pierwszej i Drugiej Klasy Złota Odznaka Partyjna.

Narrator:

„Nawigator i zastępca dowódcy okrętu do spraw pokładowych, kapitan Hans Strelow, urodzony w kwietniu tysiąc dziewięćset czternastego roku w Königsbergu, syn handlarza starzyzny Erwina i Sybilli; karierę zawodową zaczyna jako chłopiec okrętowy na statkach Hapag-Lloyd; w u-bootwaffe ochotniczo od trzydziestego szóstego roku; za wdarcie się do zatoki Scapa Flow nawigowanego przez niego U-74 i storpedowanie pancernika »Ark of

Westminster« awansowany do stopnia oficerskiego; służbę w morzu przeplata licznymi oddelegowaniami na kursy szkoleniowe na lądzie.

Charakterystyka: samouk, fanatycznie oddany Hitlerowi, skrajny nacjonalista. Braki wiedzy nadrabia cichą współpracą ze służbą bezpieczeństwa i gestapo; podejrzany o donos, w którego wyniku rozstrzelany został jego ostatni przełożony, korwettenkapitan Dietrich graf von Wittelsbach za rzekome zniesławienie wodza Niemiec. Ma ambicje dowodzenia okrętem podwodnym, z bliżej nie znanych powodów nie spełnione.

Działalność polityczna: członek NSDAP od czasu przejęcia władzy przez Hitlera; bojówkarz w okresie przed i po pożarze Reichstagu”.

Zmiana planszy.

Na ekranie urodziwy brunet w mundurze kapitana marynarki wojennej z emblematami inżyniera okrętowego; na bluzie liczne odznaczenia bojowe, z wiązania krawata zwisa Krzyż Rycerski; w myślących oczach zagadkowy uśmiech.

Narrator:

„Oto główny inżynier U-1852, kapitan Ulrich Ihna, urodzony w lipcu tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, w Burgdorfie koło Hanoweru, syn inżyniera agronoma. Osobie jego, jako nietypowej wśród obsady oficerskiej tego okrętu, poświęcamy nieco więcej uwagi.

Wyróżniający się student wydziału maszynowego w Technische Hochschule w Hanowerze, dwa lata przed wybuchem wojny zostaje wysłany, w ramach wymiany studentów, do Royal Maritime Engineering College w Londynie, gdzie — poza wybitnymi uzdolnieniami do nauk ścisłych — wykazuje się niej nieprzeciętną znajomością literatury angielskiej. Podczas swego tam pobytu daje się poznać jako człowiek o liberalnych poglądach, skrywanej wstrzeźliwości wobec hitleryzmu, gorący patriota. Pilny, sumienny, romantyk. Po powrocie do kraju i ukończeniu studiów zgłasza się ochotniczo do lotnictwa myśliwskiego, skąd, z nieznanych nam powodów, zostaje wkrótce odkomenderowany do kriegsmarine. Jest jednym z dwunastu tylko głównych inżynierów okrętowych u-bootwaffe odznaczonych do tej pory Krzyżem Rycerskim do Żelaznego Krzyża.

Cechy charakteru: odważny, zdyscyplinowany, zaliczany do najzdolniejszych inżynierów specjalistów siłowni okrętowych w u-bootwaffe.

Kwalifikacje szczególne: poliglota — zna francuski, hiszpański, włoski, angielski ma opanowany do perfekcji.

Przynależność polityczna: do końca studiów — Hitlerjugend, później — żadna.

Adnotacja poufna: Odmówił wstąpienia do partii!”

Zmiana planszy.

Narrator:

„Akt dekoracji kapitana inżyniera Ulricha Ihny Krzyżem Rycerskim.

Czas: grudzień 1943.

Miejsce: baza 3 flotylli u-bootwaffe w La Rochelle; osoby na planszy: komenderujący admirał Atlantyckiego Wybrzeża wiceadmirał Schirlitz, szef bazy korwettenkapitan Zapp, adiutanci, kapitan Ihna (narrator oblicza go na sześć stóp jeden cal — sto osiemdziesiąt sześć centymetrów), oddział honorowy marynarki”.

Plansza niknie, na ekranie kadr czystego światła. Głos narratora:

„Kolej na przedstawienie ostatniej osoby, ze względu na pełnioną funkcję nie zaliczanej formalnie do kręgu ścisłego kierownictwa okrętu, lecz z racji wysokiego stopnia wojskowego i miejsca pełnienia służby — okręt podwodny — wzbudzającej zainteresowanie. Jest nią...”

Na ekranie gładko uczesany, brylantujący włosy brunet o przenikliwym spojrzeniu; na rękawie — dłoń wetknięta napoleońskim gestem za klapę bluzy — galony komandora porucznika z emblematem służby medycznej; odznaczenia: Wojenny Krzyż Zasługi, Złota Odznaka NSDAP.

„...lekarz okrętowy marineoberstabsarzt Wolfgang Johann Frauenheim, urodzony w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku w Norymberdze, syn aptekarza Ernsta i Herty, absolwent Akademii Medycznej w Heidelbergu rocznik 34; specjalizacja: chirurgia ginekologiczna, po

studiach: dwuletnia praktyka w słynnym z wysoko kwalifikowanego personelu medycznego Henriettenkrankenhaus w Hanowerze, dwa lata specjalizacji i pracy dydaktycznej w Akademii Medycznej w Hamburgu, stamtąd, już w stopniu doktora, do kliniki... (jakiej, gdzie, od kiedy do kiedy — brak danych), następnie szpital wojskowy w Unterwald koło Bremy, skąd w kwietniu bieżącego roku odkomenderowany został do służby w kriegsmarine — tak mówi życiorys załączony do akt personalnych doktora Frauenheima. Prezentuje człowieka ambitnego, uporczywie pnącego się po szczeblach kariery zawodowej w specjalności tak złożonej jak chirurgia ginekologiczna. Tym młodym, uzdolnionym lekarzem zainteresował się znany specjalista chirurgii ginekologicznej, doktor Wegener z Norymbergi, i tam — narrator mówi teraz wolniej — podczas pierwszego nalotu naszego lotnictwa na to miasto doktor Frauenheim ginie wraz z całą swoją rodziną...

Proszę o cierpliwość, wszystko wyjaśnimy. Proszę także, jeżeli można, o zaprzestanie trzaskania migawkami aparatów fotograficznych: komplet zdjęć otrzyma każdy członek konferencji po jej zakończeniu.

Rozumiemy pytanie, jakie się zrodziło. Odpowiadamy na nie:

Prawdziwe nazwisko osoby w mundurze marineoberstabsarzta brzmi: doktor medycyny Wolfgang Johann Wolff, absolwent Akademii Medycznej w Heidelbergu, praktykant w Henrietten-krankenhaus, doktorant i wykładowca w Akademii Medycznej w Hamburgu. Droga obu kolegów, Frauenheima oraz Wolffa, do trzydziestego dziewiątego roku wspólna, uległa rozwidleniu: Frauenheimem zainteresował się doktor Wegener, Wolffem... profesor Gebhardt, przyboczny lekarz wszechpotężnego reichsführera SS Heinricha Himmlera, naczelny klinicysta waffen-SS, posiadający własną klinikę chirurgii urazowej w Hohenlychen, oddaloną sześć mil od obozu koncentracyjnego dla kobiet w Ravensbrück. Tam, na więźniarkach z okupowanych krajów, dostarczanych za specjalną aprobatą Himmlera, prowadzi się doświadczenia nad sterylizacją metodami naświetlania promieniami rentgena, wstrzykiwania do macicy bez znieczulenia płynu wywołującego stan zapalny, usuwania gruczołów; w badaniach nad sulfonamidami wprowadza się do zadawanych ran zgorzeli gazowej powodującej w efekcie śmierć królików doświadczalnych w niewysłowionych męczarniach, wywołuje się sztuczną ropowicę (flegmonę), zabija masowo młode kobiety w celu — pod pozorem badań naukowych — kolekcjonowania ich czaszek i szkieletów...

Długa jest lista prowadzonych tam eksperymentów, nie wszystkie są nam jeszcze znane. Jej lektura osłupia. Dwudziesty wiek. W cywilizacyjnym sercu Europy, z inspiracji i rozkazu politycznego kierownictwa państwa zbudowano tajne imperium uśmiercania ludzi, którego zadaniem jest opracowanie metod szybkiej eksterminacji całych narodów. Nie do wiary! Pełny zakres tych paranoicznych praktyk poznamy zapewne nie wcześniej niż po rozgromieniu obłądnego tworu, jakim jest hitlerowska Trzecia Rzesza. Nie jest ono już tak odległe. Pętla na szyi monstrum zaciska się, pozostaje usunięcie zapadni. Po nocy następuje dzień — przypominają sobie ludzie, którzy oddali się na usługi Hitlera. Okręt tonie, szczury uciekają. Przykład obersturmbannführera SS doktora Wolffa vel Frauenheima świadczy, że tacy jak on, odziani w nie swoją skórę, szukają ucieczki przed odpowiedzialnością w anonimowej ciżbie oddziałów bojowych lub azylu w jakimś zakątku świata. Dziękuję za uwagę!”

Ostre światło żyrandoli i lamp ściennych wyciąga twarze z mroku. W redakcjach, agencjach prasowych, reprezentowanych na konferencji, zarezerwowano szpały na zapowiadane przez Brytyjską Admiralicję „informacje szczególnej wagi”. Ale nikt nie zrywa się z miejsca, nie biegnie przekablować sensacji do kabiny telefonicznej. Martwą ciszę przerywa sir Alexander.

— We wstępnej fazie naszego spotkania padły z sali zarzuty pod adresem Admiralicji. Jeżeli nie zostały dotąd rozproszone, chętnie się do nich ustosunkujemy. Gentlemen, słucham...

Rozejrzał się uważnie po sali, ale nie zauważył nikogo chętnego do zabrania głosu.

— A może jakieś pytania? — Rozgląda się uważnie. — Nie ma. Wobec tego — kłania się milczącemu audytorium — dziękuję panom. Wasza lordowska, wasza książęca mość —

prostuje głowę przed stołem prezydialnym — I thank you.

Głos zabiera pierwszy lord Admiralicji. Przed wstaniem wymienia kilka słów z księciem Marly-Stanfordem. Pierwszy lord:

— Gentlemen — puka nerwowo w mikrofon — nam, Royal Navy, przypada w tej sprawie zadanie już tylko techniczne. Okręt, nazwiska i podobizny oficerów jego ścisłego kierownictwa, odpowiedzialnych za dokonywanie zbrodni ludobójstwa na morzu, są znane, pozostaje dostać ich w nasze ręce. Zawiesiliśmy nad oceanem szczelny parasol rozpoznania lotniczego, wody — kwadrat po kwadracie — przeczesywane są przez dywizjony niszczycieli. Znajdziemy ich! Nie damy im zrobić jednej mili na powierzchni wody. Przytrzymamy ich w zanurzeniu do wyczerpania się zasobów tlenu, do zużycia ostatniej kropli paliwa, a wówczas... Albo wypłyną i poddadzą się, albo pozostaną w głębinach na wieki! Tyle ode mnie. Zanim się pożegnamy, oddam jeszcze głos przedstawicielowi rządu Jego Królewskiej Mości.

Księżę Reginald David Marly-Stanford:

— Powiem krótko — zaciska dłoń w pięść — c'est degustar! Sprawa ma aspekt wyjątkowo ohydny. Ludzkość nigdy jeszcze z czymś podobnym się nie zetknęła. Nie będę trudzić się oceną moralną tych czynów. Zakwalifikowanie prawne zbrodni dokonywanych przez lekarza okrętowego z U-1852 w klinice Hochenlychen, przez oficerów ścisłego kierownictwa tego okrętu na bezbronnych rozbitkach pozostawiam przyszłemu trybunałowi narodów. W celu schwywania ich uruchomiliśmy olbrzymią machiną morsko-powietrzną. Gdyby jednak mieli nam ująć, bo i z tym należy się liczyć, to w imieniu premiera rządu Jego Królewskiej Mości, Winstona Churchilla, oświadczam z tego miejsca, że urządzimy największe w historii polowanie na ludzi. Teren jego rozciągnie się od Norwegii po Alpy Bawarskie, od Wisły po wybrzeże Atlantyku w Portugalii, z jednej półkuli przeniesiemy je na drugą. Przeszperamy po wojnie każdy zakamarek świata. Przebadamy — okręt po okręcie — każdego marynarza kriegsmarine, poddamy inwigilacji wszystkich niemieckich jeńców wojennych, a będą ich miliony. Już teraz sporządziliśmy, co stanowi curiosum w historii wojen, listę zbrodniarzy wojennych. Jest ona bardzo długa. Znajduje się na niej — nieprawdopodobne, a jednak! milion obywateli hitlerowskiej Rzeszy. Dorzucamy do niej pięć nowych nazwisk. Nie ujdą nam. W kopertach, jakie panowie za chwilę otrzymają, są fotografie Fregattenkapitäna Kurta Hackego, obersturmbannfuhrera SS Wolfganga Johanna Wolffa vel Frauenheima, kapitana Hansa Strelowa, kapitana inżyniera Ulricha Ihny, porucznika Gustava Wenka. Szukamy was, zbrodniarzy przeciwko ludzkości, i odnajdziemy. Tak nam dopomóż Bóg! Proszę, rozgłoście o tym na cały świat.

ROZDZIAŁ V

Wiceadmiral Sleigh nie był w najlepszym nastroju.

— Wielkie łowy, i rezultat: zdechła ryba... — Tymi słowami przywitał gościa w swoim zalanym słońcem i wyłożonym mapami gabinecie. Wzruszył z rezygnacją ramionami. — Tak już w życiu bywa, przyjacielu.

Okraślił to imitacją uśmiechu. W obecnym stanie ducha nie nadawał się na pocieszyciela strapionych.

Wielkie łowy... Wprzężono w nie Canberę, Londyn, Waszyngton, uruchomiono potężne siły morskie i powietrzne, gdy tymczasem poszukiwany lis rozkładał się dobre pół miesiąca na dnie oceanu i zapaskudzał wody — o ironio! — podlegające nadzorowi dżentelmena dożywającego chwały w tym gabinecie. „Cenną ekspertyzę broni wykonaną przez kapitana Michaela Schilbacha”, „Osobisty wkład komandora Kennetha Walia w wykrycie grasującego na Oceanie Spokojnym hitlerowskiego korsarza” dowództwo Królewskich Australijskich Sił

Zbrojnych oceniło na wagę Distinguished Service Cross — bardzo wysoko; nie zapomniało także o nim. Sleigh nie sądził, aby zasługiwał na awans.

Otworzył pudło z cygarami.

— Proszę siadać, komandorze. — Wskazał ręką fotel. — I proszę się częstować.

Wall przybył do niego w bardzo konkretnym celu. Pora na jego spełnienie wydawała się najwłaściwsza.

On także nie był zadowolony z połowicznego sukcesu. Świat jego, tak ostrożnie skalkulowany i z taką rozważą skonstruowany, w ciągu jednej doby okazał się balonem pełnym trocin. Los strzelił mu psikus, jaki często się zdarza zawodowym graczom.

Zaciągnął się cygarem. I chcąc jak najszybciej mieć to za sobą, powiedział:

— Nasza akcja to chyba ostatnie wielkie wydarzenie w Island, coś w rodzaju honorowej salwy pożegnalnej. Wraz z jej odwołaniem zapanuje tu błogi spokój. — Uśmiechnął się cierpko. - Wojna przeniosła się na Pacyfik północny, zbliża się ku końcowi.

Niedługo mundur marynarki zastąpię togą adwokata. I co zdziałalem? Nic. Toteż postanowiłem wypełnić tę lukę. — Podniósł się z fotela. — Panie admirale, uprzejmie proszę o przyjęcie mojej rezygnacji z obecnie zajmowanego stanowiska i odkomenderowanie mnie do jednostki liniowej. — Odetchnął z ulgą. — Takiej, która jutro, pojutrze uda się na front. Sleigh wyglądał na szczerze strapionego.

— Hm... — Zamyślił się. Ostatnie wielkie dni Garden IslaicL. A czym on pochwali się przed wnukami, kiedy opuści ten gabinet? Wall ma rację: jeszcze kilka miesięcy i... honorowa salwa pożegnalna. — Rozumiem pana — powiedział — chociaż... Ile pan ma lat? — spytał.

— Dwadzieścia dziewięć — odparł Wall nieco zaskoczony.

— No cóż, rozumiem pana.

Polubił szefa sekcji wywiadu swojej bazy i z przykrością myślał o rozstaniu. Ale odmowa nie wchodziła przecież w grę.

— Stawiasz mnie, Kenneth — odezwał się do niego po imieniu — w trudnej sytuacji. Zanim udamy się na wspólny obiad, poproszę cię o radę. Co sądzisz o... McGovernie jako twoim następcy?

Komunikat BBC dosięgnął ich, gdy znajdowali się na południe od Nowej Kaledonii. W Londynie była dziesiąta rano, w Waszyngtonie czwarta po południu, „Natalie” pruća nieprzejrzone ciemności, jakie u schyłku wiosny zapadają na tej szerokości geograficznej. Wiadomość zelektryzowała załogę. Całe dowództwo okrętu przeniosło się do kabiny radiooficera; na mostku pozostał sternik przy kole z oficerem dyżurnym. Niedługo po BBC odezwały się stacje amerykańskie, nie upłynęło wiele minut, jak ostatni dziennik radiowy Canberry przerwano w połowie zdania, by ogłosić ten komunikat. Jak widać, zadbano o to, aby dotarł do każdego zakątka Ziemi o tym samym czasie i w tym samym brzmieniu.

„Zbrodniarze wojenni... Zbrodniarze przeciwko ludzkości...”

Nadzwyczajne wydania gazet po obu stronach półkuli zachodniej opublikowały już ich podobizny, jutro, najpóźniej pojutrze ukazą się na ulicach Australii. Jak wygląda ten Kurt Hacke? — zastanawiał się Mizera. Co czuje słysząc ten komunikat? Jak człowiek z jego hipoteką może się czuć? Mając świadomość osaczenia ze wszystkich stron. Gwizdy, bełkot spikerów, krzyk, pisk opon samochodowych nad głową, zgrzyt żelaza po szkle —~tak musi się czuć. Swędzenie dłoni, pleców, lodowaty pot na czole — to też. Jak on to rozegra?

Zjawia się u niego radiotelegrafista, staje na baczność i wręcza mu świstek papieru. „Herr taki owaki, melduje, odebrałem podsłuch z wrogiej radiostacji”. Dowódca okrętu jest pierwszym po Bogu dla załogi i ostatnim, do którego dochodzą wiadomości ze świata. Co jest na kartce, wie już każdy majtek, on się z tym dopiero zapozna. Ale jego obowiązuje rytuał. On musi robić wszystko ze świętym namaszczeniem, przy grzmocie trąb jerychońskich, w trumiennej ciszy Tamtej Krainy, obojętnie wreszcie jak, byle nie tak, jak każdy z nich by to zrobił. Przed nim więc kartka, na jego twarzy oczy załogi, on podnosi ją... Me wolno mu dopuścić, aby w ruchu ręki doszukali się strachu. To jest grzechem śmiertelnym dowódców, degraduje ich. Kiwa więc w podziękowaniu głową, radiotelegrafista trzaska obcasami, robi w tył zwrot, w

centrali pozostaje jeden człowiek. Z papierkiem i ze swoimi myślami. Dzieje się to w głębokim zanurzeniu aa oceanie, co ma ani początku, ani końca, w świecie, który wszystkie swoje moce sprzysiął przeciwko niemu. Swędzenie dłoni, pleców, całego ciała, lodowaty pot na czole, skurcz żołądka — co jeszcze człowiek ten czuje słysząc komunikat brytyjskiego radia? „Pan ci przebacza” — słyszą skazańcy głos sługi Bożego odprowadzającego ich na pień. „I ja!” — Uszy ich goni świst topora.

A ten oprawca kobiet? Nieprawdopodobne! Zabijać dobrze zbudowane dziewczyny dla wyłuskiwania szkieletów z ich pięknych ciał... Bzdura, propaganda coś tu przesoliła!

Mizera stracił pewność siebie. Co do skuteczności swojego planu. Jeżeli okręt dowodzony jest przez obłąkańców, to czy zdrowo myślący człowiek ma z takimi szansę? U ludzi normalnych po dwa następuje trzy, po trzy — cztery. A u takich jak ci z U-1852?

Komunikat BBC nie miał być ostatnią sensacją kończącego się dnia. Radiooficer podniósł rękę.

— Uwaga, kwatera główna US Pacific Forces na antenie!

— Wyreguluj dobrze stację — poradził mu Ransart — bo wibracje pokładu... Co oni wyrabiają w tej cholernej maszynowni! Frank, Amerykanie na antenie. — Zerknął na zegarek.

— Już po dzienniku, pewnie mają coś specjalnego.

— Rozprostuję trochę kości — oznajmił Mizera. — Na mostku też słycać.

Podniósł się ze stołka.

W ciemnościach nie oświetlonego pomostu kapitańskiego dostrzegł rozkraczonego przy kole sterowym marynarza. — Kurs? — rzucił z przyzwyczajenia. — Trzydzieści siedem, sir!

— Tak trzymać! — rozkazał spoglądając na rozświetlone fosforem złote rozbryzgi wody na dziobie.

Pomimo wyrwy po minie, zaspawanej płytami stalowymi złożonymi w tępy kąt, i sędziwego jak na okręt wojenny wieku „Natalie” pruła atramentowy ocean z godną zwrotnego niszcyciela prędkością dwudziestu pięciu węzłów — trzykrotnie większą od prędkości okrętu podwodnego płynącego w zanurzeniu. W ciągu doby robiła okrągłe sześćset mil. Jeszcze dwa dni, a przekroczy linię równika i wejdzie w obszar Pacyfiku północnego.

W miarę dochodzenia do punktu przecięcia się krzywych torów pocisków A i B, które za pomocą swojej rozkosznej „Na-talki” tak łatwo obliczył, Mizera czuł się coraz bardziej odcięty od możliwości powrotu do świata ludzi odpowiedzialnych za swoje czyny. Komunikat BBC, oblekający wyimaginowanego dotąd przeciwnika w realny kształt, miał dodać mu wiary w siebie odbierał mu ją. Ten przeciwnik nie był typowy. Stawał się bardziej zjawą, widmem, urojeniem, diabeł wreszcie wie czym, tylko nie człowiekiem z krwi i kości, którego można zmusić do wyjścia z ukrycia i skrzyżowania szpady. I jeszcze jedno: facet musi być nie lada spryciarzem. Buszował w gąszczu anglo-amerykańskiej potęgi i tylko przypadek sprawił, że dał się wywachać. Zuchwalec z niego. A może on...

Odruchowo obejrzał się za siebie.

Mignęła mu w oczach biel podkoszulka oficera wachtowego, stojącego za nim w milczeniu.

To przemęczenie tymi zwariowanymi dniami, pomyślał Mizera. Nerwy, ciągła obawa, aby mnie w ostatniej chwili nie przyhamowano. Choć kto wie, co byłoby lepsze?

Przy nabrzeżu remontowym popędzał stoczniovców, godził się na prowizorkę, aby jak najrychlej wyjść w morze. I wyszedł. W rekordowym czasie, lecz ledwie zostawili za sobą rogatki zatoki i zaczęli ćwiczyć opuszczanie płyt maskujących działa, odezwały się niedoróbki. Wszystko wymaga czasu, chodzenie skrótami okazuje się kosztowne. Na szczęście w ogólnym rozgardiaszu stoczniovcy zapomnieli zabrać sprzęt spawalniczy, butle z gazem i tlenem. Roboty było moc, do tego doszła gimnastyka z odsłoną maskowania. Ale nieważne, liczy się rezultat. Gdyby spytano go — w jego książeczce odnotowany jest udział w licznych zmaganiach morskich, w tym w decydującej o losach Australii bitwie na Morzu Koralowym, będącej dla Japonii odpowiednikiem Stalingradu; chlubne rzeczy są tam wpisane wraz z nazwami pięciu okrętów wojennych — gdyby więc spytano go, z którą z tych załóg wybrałby się ponownie w bój, wskazałby na ludzi z „Natalie”. Są to nicponie najwyższej

klasy — nie ulega wątpliwości. Skorzy do burd, popijawy — owszem, nie można temu zaprzeczyć. Co do sposobów z dziewczynami, to lepiej zatkać sobie uszy. Ale za to jacy w robocie! Gdy weźmie się ich umiejętnie pod włos, świat z nimi można zdobywać.

Stacja nadawcza Kwatery Głównej Amerykańskich Sił Zbrojnych na Pacyfiku powtarzała swój sygnał wywoławczy: widocznie pospieszono się z zapowiedzią.

Jeżeli więc moje założenie, ciągnął Mizera rozmyślania, ma ręce i nogi, to chcąc kontynuować rejs korsarz musi pobrać paliwo na obszarze kontrolowanym jeszcze przez Japończyków, czyli gdzieś między Tarawą a Nauru. Ale archipelag Gilberta, w którego skład wyspy te wchodzi, jest obecnie w rękach Amerykanów. Co wobec tego Herr Fregattenkapitän Kurt Hacke zrobi? Inaczej: co ja, będąc w jego położeniu, bym zrobił? I odpowiadał: Poszedłbym na Eniwetok, Bikini, a stamtąd...

Prosto do Japonii, bo nigdzie indziej bez ponownego pobrania paliwa w połowie tej długiej drogi iść by nie mógł.

A dlaczego nie? Jeżeli ten wyjątkowy okręt o wyjątkowych parametrach operacyjno-bojowych dowodzony jest przez wyjątkowych obłąkańców?

Bzdura! zachnął się.

Gdyby marynarz przy kole sterowym ujrzał minę swego dowódcy... Lepiej, że nie ujrzał. Lepiej dla niego samego i dla wszystkich uczestników tej niezwyklej eskapady.

— Dzisiaj we wczesnych godzinach rannych — odezwał się głos spikera Kwatery Głównej Amerykańskich Sił Zbrojnych na Pacyfiku — jednostki US Marina- wsparte siłami morsko--powietrznymi dokonały śmiałego lądowania jednocześnie na północy i południu Filipin. Słynne „I shall come back”*, zapowiedziane przed trzema laty przez generała McArthur’a, stało się faktem. Armia przeciwnika cofa się ku umocnieniom Cor-regidor, gdzie najprawdopodobniej marszałek polny Terauchi zamierza rozegrać batalię decydującą o losie tej ostatniej już zapory na drodze do właściwych wysp japońskich. Ofensywa naszych wojsk rozwija się także niepowstrzymanie na pozostałych obszarach Pacyfiku. Na Santa Barbara — małej wysepce wchodzącej w skład archipelagu Gilberta, zdobytym przed kilkoma dniami — odkryto zakamuflowaną bazę niemieckich okrętów podwodnych. Zakłada się...

*Wróć (ang.).

— Dobrze myślałem! — krzyknął Mizera. — Bez pudła! Sukinkot leci teraz w nasze ręce jak nic. Robimy tylko małą korektę kursu i pełną parą zasuwamy na północny wschód. Przywołaj Leona. Musimy podkreślić prędkość.

Telefonowanie do maszynowni okazało się zbyteczne. W wejściu pojawił się w poplamionym smarami kombinezonie roboczym kapitan Leon Birn, główny inżynier okrętu. Mizera nie dopuścił go do głosu.

— Mamy go, Leon, właśnie podali! Eniwetok, Bikini, ten rejon, rozumiesz? Musimy tylko podkreślić obroty!

— Nic z tego. — Birn potrząsnął głową. — Wypadnie nam przystopować: łożysko główne wału korbowego grzeje się, musieliście odczuć *to* pc wzmożonej wibracji okrętu. Kłopoty ze smarowaniem.

— Eniwetok, Bikini, ten rejon, rozumiesz? Właśnie podali przez radio...

— Nic z tego — powtórzył Birn. — Jeżeli łożysko trzaśnie, nie pozostanie nam nic innego jak rozejrzeć się za holownikiem... Okręt był przeznaczony na złom, i chyba słusznie. To poważna sprawa. Trzeba przystopować i zbadać cały system smarowania. Nie chcę cię martwić, ale wydaje się, że o własnych siłach nie damy rady. Nie mamy części zamiennych...

Mizera nie wierzył własnym uszom.

— We własnym zakresie... Nie damy rady... Gdzie ja to słyszę? Na moim okręcie — wybuchnął — nie może być o tym mowy! Podkreślić obroty na pełną parę! To rozkaz!

— Depesza dla pana, komandorze — włączył się radiooperator. — Sekundę, tylko ją odszyfruję.

Nie trwało to długo. Chwilę potem osłupiały Mizera odczytał: „Operation great hunt called off stop. Q asked return home stop confirm” *

Znalezisko spod Campbell, rozmyślał Kenneth Wall, wcale nie kończy sprawy, przeciwnie, dodaje jej zagadek. Jeszcze nie wytłumaczono problemu ilości rozlanego oleju napędowego, przekraczającej wielokrotnie pojemność zbiorników paliwa największych na świecie okrętów podwodnych, a Nowozelandczycy zgłaszają wykrycie na wyłowionych ludzkich szczątkach śladów po bardzo wysokiej temperaturze. Jaka nie powstaje przy samo-zapłonie gazów spalinowych czy eksplozji trotylu. Z materiałów wybuchowych żaden inny na okręcie znajdować się nie mógł. Czy istotnie nie?

*Operacja wielkie polowanie odwołana stop Q (statek pułapka) proszony o powrót do bazy stop potwierdzić (ang.).

Ostatnie lata dowodzą niewyczerpanej wprost pomysłowości niemieckich naukowców pracujących na potrzeby wojny. Nasza zasobność surowcowa działa niejako hamująco na poszukiwania materiałów zastępczych, u nich odwrotnie: bez syntetycznej benzyny, syntetycznego kauczuku, syntetycznych tkanin, tysiąca innych syntetyków nie wytrzymałoby w ubogiej surowcowo Europie jednego roku. Zdaniem Mike'a Schilbacha zatonięcie okrętu nastąpiło w wyniku eksplozji materiału wybuchowego bądź oleju napędowego; trzeciego środka zdolnego rozsadzić okręt podwodny w miejscu, gdzie katastrofa się wydarzyła, nie widzi. Jeżeli ekspertyza orzeknie, że eksplozja wywołała temperaturę wyższą od wytwarzanych przez te dwa źródła, oznaczać to będzie wynalezienie przez Niemców nowego, silniejszego od obecnie znanych środka wybuchowego lub wydajniejszego paliwa — jedno groźniejsze dla ich przeciwników od drugiego. Górna granica wydajności paliw konwencjonalnych została przekroczona — oznajmiają o tym światu rakiety V-2 spadające na Londyn. Użycie paliwa napędzającego te samolatające pociski na okręcie napotka jednak barierę braku potrzebnych do spalania olbrzymich ilości tlenu wewnątrz zanurzonego okrętu. Złamanie tej bariery, a na to wygląda, stanowi początek nowej ery w dziedzinie systemów napędowych.

— No cóż — Schilbach podsumował swoją wypowiedź — poradzili sobie z barierą dźwięku, nie widzę przeszkód, aby nie było ich stać na sprawienie kolejnej niespodzianki. Chwała Bogu, koniec bliski., Ich — hitlerowskiego ustroju. Ale w ogólnym bilansie zysków i strat w tej wojnie niewiele to już zmieni. Łamie się barierę po barierze. Ludzkość wybiera się na cholerną wycieczkę. W której wszystkie drogi prowadzą ku samozagładzie. Czy wyobrażasz sobie, co si zacznie dziać, kiedjr na ten trakt wejdą Amerykanie i Rosjanie? Jankesi ze swym monstrualnym przemysłem i swoją polityczną niedojrzałością — bardzo wybuchowa mięszanka, oraz Rosjanie — zagadka w pierwszym i nieosiągalny wzorzec w upartym dążeniu do wytyczonego sobie celu.

Ciarki chodzą człowiekowi po plecach, pomyślał Wall, gdy słowa te padają z ust piekielnie konkretnego Mike'a Schilbacha.

Pomimo szczęśliwego — jeżeli słowo to w tym wypadku jest w ogóle na miejscu — epilogu z korsarzem niemiecka u-bootwaffe na oceanach Indyjskim i Spokojnym chyba jest przez nas wciąż nie doceniana. Zapowiadając wzmożenie wojny podwodnej, wielki admirał Doenitz nie przesadzał: przy okazji bombardowań Penangu wytropiono w cieśninie Małakka cztery dalsze niemieckie u-booty. Wywiązał się frapujący pościg, przypominający w swej dramaturgii pogoń na Atlantyku za superpan-cernikiem „Bicmarck”, która z Morza Małajskiego przeniosła się sz po Madagaskar. Są to nowe typy okrętów dysponujące głębokim zanurzeniem, wyposażone w radar; jedynym skutecznym sposobem na nie jest rozwieszenie nad obszarem ich operacji stałego parasola lotniczego, zdolnego — z chwilą wynurzenia się okrętu, kiedy jego radar jest jeszcze rozkojarzony — do natychmiastowego ataku, a także artyleria pokładowa. Ale większego kalibru niż działka catalin i sunderlandów, gdyż kadłuby ich są z grubej blachy pancерnej. Twardy to przeciwnik!

Rozwikłaniem zagadki wysokiej temperatury zajmą się dobrze wyposażone laboratoria w Londynie i San Diego, baza w Pe-nangu została rozniesiona na strzępy, McGovern może ze spokojem zająć się obejmowaniem swojej nowej funkcji. Nieco czasu zajmie mu zamknięcie sprawy „Golden Creeka”. Komisja Morska Żeglugi Handlowej Stanów Zjednoczonych przysłała specjalnym samolotem listę załogi frachtowca oraz zajęcia umożliwiające przeprowadzenie identyfikacji zwłok przed ich pogrzebaniem — zadanie trudne, w większości przypadków niemożliwe. To już nie zwłoki, lecz nierozpoznawalne szczątki ludzkie zmasakrowane przez rekiny, zanim jednak zostaną spalone i pogrzebane na amerykańskim cmentarzu wojskowym w Brisbane, formalnościom musi stać się zadość. Droga tych marynarzy, rozpoczęta przei miesiącami po tamtej sti onie oceanu, skończy się pod nagrobkiem z inskrypcją: „Here nsts an unknown seaman of the United States Merchant Marine — Tu spoczywa nieznan marynarz marynarki handlowej Stanów Zjednoczonych”; od bramy cmentarza zacznie się pozagrobowe życie ich nazwisk. Wymaga ono wystawienia świadectwa zgonu lub, w wypadku braku zwłok, uznania właściciela nazwiska za zaginionego — bardzo ważna formalność dla rodzin po poległych. Sprawy te są podczas wojny uproszczone. Nie upłynie dużo czasu, jak umarli pozostaną wspomnieniem, a ich rodziny ułożą sobie życie na nowo. To konieczność. Bo tak naprawdę liczą się na tym świecie tylko żywi, stwierdził lakonicznie Wall w drodze do szpitala, nie bardzo wiedząc, co zamierza tam działać.

Myśl o tym przeszkadzała mu w napisaniu listu do Torquay. Florence jest Florence. Kuzynka co prawda, ale nie tak bliska, aby związek między nimi wykluczyć. Małżeństwo z Florence? Absurd! Co z tego, że wyrosła na piękną kobietę. Tylko dlaczego tak często o niej myśli?

„Pisz pod moim dotychczasowym adresem. Proszę, nie dąsaj się. gdy na odpowiedź przyjdzie ci poczekać: podjąłem się pewnego zadania, z dała od Sydney, odezwą się po powrocie”.

List zakończył słowem „całuję”, które dopisał po namyśle.

Żałował, że poczta nie zwraca nadanych listów. Ten był taki pusty. A poza tym zapomniał napisać coś o Martinie. Fio, można to wyczytać między wierszami, stale na niego czeka, tak jakby wyszedł z domu i za chwilę miał powrócić. Cięży to wyraźnie nad jej życiem. A przecież od zniknięcia brata upłynęło jedenaście lat. Nadzieja jest wygodniejsza od prawdy, kiedyś jednak Flo będzie musiała spojrzeć faktom w oczy.

A Beris Gwynne? Ta, co wydeptuje progi możliwych tego świata, szukając śladów tragicznie utraconego narzeczonego? Która, zdaniem lekarzy, w obecnym stanie psychicznym nie nadaje się do noszenia munduru? Jutro go zdejmie? Kroki swe skieruje w stronę zdalnie opiekującego się nią przyjaciela z lat dziecińczych? Zdecyduje się na coś jeszcze? Czas to pokaże. Rozmawiając z nim, nie wspomniała nazwiska swego narzeczonego, a on, zajęty problemem, tym się nie zainteresował. Zresztą jakie ma to obecnie znaczenie!

Z nieba lał się ukrop, Wall robił sobie wyrzuty, że na spotkanie z June nie wybrał wieczoru. Byłoby chłodniej, a ponadto ciemność stwarza nastrój, który sprzyja kobietom w wyzwoleniu się z narzuconych sobie rygorów.

Jutro o tej porze wylądaje w Lae na Nowej Gwinei, zamelduje się generałowi porucznikowi Sturdee, dowódcy Pierwszej Armii Australijskiej, pojutrze obejmie swoją jednostkę i bez chwili zwłoki uda się na wyznaczoną pozycję. Japończycy stawiają tam zaciekły opór. To dobrze: żołnierskiego znoju łaknie jego wynudzona w kasynowych dysputach dusza. Na razie przestanie wojować słowami. Mężczyźni w mundurach, z karabinami w rękę, ustawieni naprzeciwko siebie, znają tylko jeden język. Nie myślał o nieszczęściu. Co ma być, to będzie. A potem — jeżeli będzie dobrze — już tylko fotel w kancelarii adwokackiej i wertowanie papierków aż do emerytury. Okropne. Będzie sobie oczywiście urozmaicał czas wycieczkami górskimi, pływaniem, tenisem, ale w końcu trzeba się będzie zadowolić statecznym golfem, jazdą konną, bo mięśnie będą już nie te.

Będzie z nim także kobieta.

— Plaża w Manly? Ależ tak, chętnie!

Najbardziej upalna wiosna w jej życiu, lepszej propozycji na spędzenie popołudnia June sobie

nie wyobrażała. Wszyscy mówią o Manly. O złocistym piasku — nie gruby żwir jak na większości tutejszych plaż, ale miękki dywan piasku nad otwartym oceanem — o nieco jarmarcznym, lecz ciekawym lunaparku, o małych kawiarenkach, gdzie po kąpieli można porozmawiać przy kawie, i o clou Manly: oceanarium z rekinami i płaszczkami — opowiadają o nim z dumą sydneyjczy przybyszom z innych części kraju. Jeszcze tam nie była. Jaka przyjemna niespodzianka!

O komandorze Kenneth Wallu myślała nie jeden raz. Spotykała się często z propozycją spędzenia z kimś wieczoru czy wyjazdu na weekend w zacisze, jeżeli w pasie nadmorskim całej Nowej Południowej Walii jest jeszcze skrawek ziemi nie zagrożony wojskowymi namiotami. Propozycje były na ogół nieśmiałe. Szpital wytwarza między pacjentami a lekarzem jakąś barierę, wyczuwa się to na każdym kroku. Wolni od tego są Amerykanie. Ale oni to inna sprawa: patrzą na kraj jak na kolonię, na Australijczyków zaś jak na białych Murzynków, a poza tym niemiłosiernie blefują ci chłopcy. Ryba chwyci — w porządku, nie — to jakie zmartwienie! Nie chwyci ta, chwyci inna. Jeśli idzie o tubylców, propozycje są bardziej heroicznym zrywem wdzięczności niż wyrazem szczerzej sympatii, niezgoda na nie uwalnia na pewno obie strony od późniejszych kłopotliwych sytuacji.

Na brak uwagi ze strony mężczyzn June nie narzekała. Ale uwaga a uwaga. W szpitalu nie brakuje także lekarzy kawalerów. Jednego z przystojniejszych, doktora Jacka Masona, skreśliła z orbity swojej uwagi już pierwszego dnia. Przełożony — to po pierwsze, i nie jej typ. Nie chodzi o dystans, jaki on stwarza między sobą a personelem oddziału, z tym uparte kobiety umieją sobie radzić; chodzi o typ mężczyzny. Doktor Mason jest osobowością w środowisku tutejszych lekarzy, ogniskującą na sobie spojrzenia wielu kobiet, kłopot z nim ten, że wszystkie jego zainteresowania zdają się ograniczać do pracy.

Cały nadmorski pas Australii to tysiące mil oszałamiających zapachem kwiatów, tak wszechobecnych, że nie dostrzeganych, gdy tymczasem jedna róża, którą Ken wpiął June we włosy. Omalże nie przyprawiła jej to o zawrót głowy.

Może to sposób — naturalność, z jaką on to zrobił, jego miły uśmiech tak na nią podziałały. Gdyby jednak spytano ją o samopoczucie w owej chwili, miała na ustach jedno słowo, które tkwiło jej w myślach przez cały czas.

Manly. Obejrzała wszystko, co było warte zwiedzenia, wraz z prawdziwym złotem plaży, ale nie wypowiedziała go ani razu.

Żegnając się — zapach kwiatów po upalnym dniu az zatyka i nozdrza — Ken nie spytał, czy może ją pocałować, nie zaprosił się do niej na herbatę. Nie zaproponował też następnego spotkania. Zabolalo ją to trochę, ale i zaintrygowało.

Jej dobre samopoczucie zepsuło się już nazajutrz. Posłaniec przyniósł jej do szpitala bukiet kwiatów z dołączonym don listem.

„Za pół godziny odlatuję z kraju. Kiedy wrócę, nie wiem. nie będzie to jednak rychło. Dziękuję ci, June, za miłe godziny. Długo ich nie zapomnę”.

I podpis imieniem. Bez „twój”, bez „całuję”, żadnej obietnicy.

Przygryzła wargi. Po chwili namysłu zaniósła bukiet młodemu lotnikowi, który w kapotażu samolotu stracił obie nogi. — To od ślicznej dziewczyny — powiedziała mu — która odmówiła podania swego nazwiska. Ale życzy panu rychłego powrotu do zdrowia.

Zadania zostały rozdzielone. Nie przyszło mi to łatwo, gdyż każdy członek załogi naszego okrętu jest dla mnie wciąż białą kartą, lecz nie chcąc dopuścić do dalszych zbrodni, musiałem się tego podjąć.

Więc według kolejności:

Sterowanie okrętem powierzyłem Horstowi Neuenahrowi. Przypadek to lub nie, nie Wiem, lecz we wszystkich akcjach bojowych w wynurzeniu stery w centrali kontrolował Horst. On też jedyny z całej załogi pokładowej ma czyste ręce. Czy Hacke zdaje sobie z tego sprawę?

Jeżeli przeoczył ten fakt, nie przeoczyli go Strelow ani Frauenlirira. Przynależność do obozów, jakie się wśród załogi potworzyły, ma dla nich duże znaczenie: „czarni” muszą mieć przewagę luf nad „białymi”. I mają. Na jakiej podstawie zdecydowałem się na Horsta?

Podczas akcji Strelow jest na pokładzie nie do zastąpienia: to on, choć oficerem artylerii jest Wenk, kieruje ogniem i wspólnie z Frauenheimem dogląda dobijania rannych. Stery w centrali przypadają więc Horstowi. Jest jeszcze jeden powód, dla którego Hacke zechce mieć Strelowa u swego boku.

Powstał rozłam na linii Hacke — Frauenheim. Następnego dnia po wyruszeniu w rejs przedłożyłem Hackemu „Dziennik siłowni”. Nastrój miał fatalny. Malaria nie wyparowała z niego całkowicie. Była jak przyczajony zwierz, co czeka na moment nieuwagi ofiary, aby skoczyć jej do gardła. Atak febry był bliski, wiedziałem, chciałem jednak zmusić go do podjęcia decyzji, zanim osunie się w łapy Frauenheima.

Mam dużo zastrzeżeń do osoby Hackego, nie wiem jednak, czy mimo wiadomych spraw zamieniłbym go na innego dowódcę. Napad choroby trwał podejrzanie długo. Jego klitka leży naprzeciwko mojej, żadne drzwi nas nie przedzielają, widziałem więc, co się tam działo. I choć nie jestem medykiem, poszedłbym o zakład, że nie wszystko, co Frauenheim mu aplikował, miało na celu postawienie pacjenta na nogi. Wydaje się, że Hacke przejrzał nieco na oczy. Ale nie pora na dociekania.

Inżynier w centrali podczas akcji jest sercem okrętu. Nawigator wydaje rozkazy, wystarczy jednak jeden ruch dźwignią nie w tę stronę, aby okręt, miał wynurzyć się o cal, dał nura w głębiny. Tym inżynierem z nominacji i pełnionej funkcji byłem zawsze ja. Lecz niespodzianka w obecnej atmosferze jest możliwa, dlatego do zarządzania sprawami centrali włączyłem na wszelki wypadek Rudolfa Garbatego.

Kolejnym ogniwami spisku są:

mat podchorąży Henning Gehrmann — trzymanie w szachu motorzystów od silnika waltera, poza Haraldem Kleinem absolutnie bezmyślnych nazistów,
podporucznik elektryk Dieter Renfer — wyłączenie centrali, gdyby zaistniała potrzeba, z sieci zasilania;

radiooficer Günther Schlindwein — zgłoszenie przeciwnikowi otwartym tekstem pozycji okrętu i gotowości poddania się.

To ostatnie wymaga namysłu. W naszym położeniu poddanie się byłoby czymś normalnym, me wziąłem jednak pod uwagę fakt, że w Niemczech Adolfa Hitlera nic nie jest normalne i pociągnęłoby to za sobą rozstrzelanie rodzin wszystkich członków załogi „Elektry”.

Rozkaz otwarcia ognia do rozbitków będzie sygnałem do zmycia ludzi z pokładu. Sygnał daję ja, w razie nieprzewidzianych komplikacji — Rudolf Garbaty.

Ciąg dalszy sprawy w rękach Boga.

Nie będzie dalszego ciągu. Mój szczegółowo opracowany plan zdechł w moich myślach. Przekreślił go komunikat radiowy BBC, powtórzony przez wszystkie rozgłośnia radiowe świata”.

Nasz okręt został rozszyfrowany. Nazwiska członków załogi, znajdujące się w tajnej ewidencji personalnej kriegsmarine wydobyto na światło dzienne. Pięciu oficerów należących do dowództwa U-1852, wraz ze mną, uznanych zostało za zbrodniarzy przeciwko ludzkości.

Przez maszynownię przeleciał demon zniszczenia. Najbardziej dał się we znaki maszynowemu blokowi silnika okrętowego. Korbowody, tłoki, cylindry, koła zębate, porozrzucane wśród paków i smarów, sprawiały wrażenie składowiska złomu. Że ten galimatias da się znowu złożyć do kupy i uruchomić, Mizera w to nie wątpił. Nie wierzył jednak, aby nastąpiło to szybko. Czas stracił zresztą dla „Natalia” znaczenie. Wszystko straciło znaczenie. Trzeba mieć życiowego pecha, aby, otrzymawszy w pierwszym rozdaniu kart czwórkę asów, nadzieć się na pokera.

— Długo to jeszcze potrwa? — spytał.

Dyrygujący tym kramem Birn podrapał się po brodzie.

— Na tym etapie nic jeszcze nie mogę powiedzieć. Jak dotąd, dobrnęliśmy do rdzenia naszego kłopotu. Musimy teraz wypalić uszkodzoną powierzchnię wału, przyspawać ubytek,

podszlifować, cholernie to żmudne, wiesz? No i poskładać wszystko do kupy. Z tym jednak nie będzie już dużo zachodu.

_ Wypalić... przyspawać... podszlifować... poskładać — mrucał ponuro Mizera. — Ale mniej więcej?

Birn spojrzął na zegarek.

— Dowiesz się za... cztery godziny. Nie później.

— O, Matko Boska! — jęknął Mizera. — To będzie wieczór; Grzebiecie się w tych flakach od północy. Dwanaście godzin sterczymy w miejscu, a tobie potrzeba dalszych czterech, żebyt mógł powiedzieć, kiedy to się skończy. Do diabła z taką robotą:

— Nic na to nie poradzę — usłyszał zza pleców głos inżyniera. Wychodząc na pokład, aż przystanął ze zdumienia.

Na czas powrotu do bazy wojna zawarła z ludźmi z „Natalii” układ o zawieszeniu broni. W porządku, zawarła, ale strzelania goli do drzwi w nadbudówce, skoków przez przeszkody, dźwigania pocisków artyleryjskich — kto więcej razy i wyżej — układ ten nie przewidywał. Mizera nie dałby głowy, czy opary rozgrzanego oceanu, kiszące się nad działami, nie były zmieszane z alkoholem.

— Oscar! — zawołał w stronę pomostu. — Jak ci się to podoba?

Zza wiatrochronu wyjrzał błądy po nocnym picu Ransart.

— A tak, rzeczywiście. Hej, wy tam! — Pogroził marynarzom pięścią. — Czy wyście naprawdę uwierzyli, że jesteśmy bandą cywilów?

Odprowadził wzrokiem Mizere znikającego znowu w wejściu do maszynowni. Frank, jego zdaniem, zbyt mocno przeżywa fiasko swojej wyprawy. Jego szósty zmysł hazardzisty poprowadził go w kierunku wód archipelagu Gilberta. Dobrze go poprowadził, jak się okazało, a że nie wyczuł pociągnięcia przeciwnika? Ten też nie przewidział tragicznego finału, jaki na obranej trasie na niego czekał. Splot wydarzeń, odległych od siebie o tysiące mil, a jednocześnie zbieżnych. Zadziwiający. Jak gdyby sterowany palcem Bożym. I czym się tu przejmować.

Wyłożył nogi na wiatrochron, czapkę opuścił na oczy. Z głośnika rozległy się tony hawajskich gitar. Marie-Ange przepada za tym przyjemnym brzdąkaniem.

Usłyszał nadchodzącego nawigatora.

— Tak? — Podniósł czapkę znad oczu.

— Znosi nas — zameldował nawigator. — Półtorej mili n i godzinę. Zniosło nas osiemnaście mil. Prąd południoworówniko-wy. Jeżeli posterczymy tu bez maszyny jeszcze dobę, rzuci nas na jaką rafę; sporo tego tutaj.

— Nie będzie tak źle. — Starym zwyczajem Ransart wysunął pośliniony palec ponad wiatrochron. Chwilę przytrzymał rękę na górze. — Ani chuchnięcia — powiedział. — Taka cisza w epoce żagla to przy tym upale jak wyrok śmierci dla załogi. Jaka jest nasza pozycja?

— Mam wyliczoną. — Nawigator otworzył notatnik. — 23°14,2 szerokości południowej, 166°08,5' długości wschodniej. Wie pan, kapitanie, to dokładnie pozycja tego „Golden Creeka”; tu go przydybali...

— Ach — Ransart wzruszył ramionami — jaka różnica! — Chciał znowu zakryć oczy daszkiem, gdy coś mu się przypomniało. — Kiedy zostałem ranny i marudziłem o lepsze łóżko — zaczął — powiedzieli mi, że w żadnym szpitalu na świecie nie ma miejsca, na którym ktoś by nie umarł. Rozumie pan, co mam na myśli?

— No tak... oczywiście... Czy są jakieś rozkazy, kapitanie?

— Dziękuję, nie — odrzekł Ransart. Miał ochotę odpocząć trochę przed posiłkiem, podczas którego nie obejdzie się bez dalszego wałkowania tematu przerwanej wyprawy.

Rzucił okiem na marynarzy wałęsających się po pokładzie, na stojące w miejscu słońce. Okręt leżał na wodzie bezwładny jak kloc, nie pozostawało nie innego, jak czekać na uruchomienie siłowni. A swoją drogą, pomyślał, gdyby teraz napatoczył się jaki przeciwnik... Wesoło by nie było!

Odrzucił te myśli. Po powrocie do Sydney weźmie zaległy urlop i jeżeli trafi się okazja,

zabierze się samolotem do Nowej Kaledonii. Tak postanowił.

Wkrótce po wybuchu wojny do Noumei przybyła statkiem wycieczka z Francji. Kierując się względami bezpieczeństwa rząd francuski doradził pasażerom przeczekać tam trzech, najwyżej sześciu miesięcy — do czasu „utarcia nosa tym butnym boszom”. Wycieczkę po francuskich posiadłościach na Oceanie sprezentowali Marie-Ange rodzice za maturę z wynikiem celującym; dla młodszego asystenta pokładowego rodem z Belgii, Oscara Ransarta, był to pierwszy rejs po ukończeniu szkoły morskiej w Antwerpii. Sprawy w Europie przybrały inny obrót, niż się to pewnym generałom wydawało. Po ogłoszeniu Paryża miastem otwartym dla dywizji niemieckich Ransart zgłosił się ochotniczo pod banderę australijską. Mała Belgia padła, wielka Francja nie miała ochoty do dalszej walki, ktoś musiał stanąć w obronie honoru francuskojęzycznych narodów! Ale to stare dzieje.

Marie-Ange pracuje w Societe le Nickel. Nie zamierza po wojnie wracać do Francji. Europa dla niej to też stare dzieje. Dla kogoś młodego, kto na słonecznych wyspach Oceanii spędził pięć lat, bardzo stare. Zostając tu, pragnie jednak mieć u swego boku francuskojęzycznego Europejczyka. Co on na to?

Wojna ma się ku końcowi, więc oczywiście. Ale Marie-Ange nie jest zwolenniczką małżeństwa na dystans. Co on na to przy swoim zawodzie marynarza?

Naturellement! On też włóczęgi po morzach ma po dziurki w nosie. Egzotyka działa na człowieka tylko za pierwszym razem; oglądać to samo miejsce powtórnie to żadne przeżycie. Zatem w tym punkcie także zgoda.

Marie-Ange ma duże poczucie przynależności. Do osoby, do rzeczy, do wszystkiego. „Czy on pomyślał o miejscu stałego zamieszkania?”

„Sans doute! Tylko że Noumea, po australijskich przestrzeniach, to trochę ciasnawo...”

„Pomieszczenie może być duże, może być małe, byle wspólne!”

Więc i ten punkt z głowy.

Marie-Ange jest niesłychanie praktyczna. „A z czego będą żyć?”

„Ach, z czego! Australia to kraj ogromnych możliwości, żyć tam można z byle czego”.

Marie-Ange jest wyjątkowo konkretna, jak na kobietę. „Żyć tam można z byle czego, to prawda. Ale z czego konkretnie oni będą żyć?”

Ha, z czego... Choćby z takiej wełny. Ogromna rzecz to owłosienie owiec. W Australii wszystko jest albo ogromne, albo żadne. W Yenorra, dwa kroki od Sydney, mieści się centrum handlu tym surowcem. Ojciec Geralda Laxera, artylerzysty środkowego działu, zajmował się przed wojną skupem i dostawą wełny dla całej prawie Europy, to wielki boss w tym interesie. Co ty na to, Marie-Ange!

Tres bien, mon eher Oscar!

Jeżeli więc otrzyma urlop i złapie okazję do Noumei...

— Jakaś większa jednostka na kursie! — Zameldował obserwator z prawej burty. — W jej pobliżu dwie... trzy... pięć mniejszych!

Ransart podniósł lornetkę do oczu.

Pięć cienkich kominów, wystających zza linii horyzontu, jeden gruby — to eskadra okrętów wojennych. Bandera jeszcze nie do rozpoznania. Ale na tych wodach należeć mogła tylko do jednego z dwóch państw świata.

— Podaj im reflektorem, że nie mamy swobody manewru — polecił sygnaliście. — A gdy podejda bliżej, zsalutować banderą. To jednostki wojenne.

Niewyraźne z daleka kontury większego okrętu rozrosły się szybko w najeżony lufami ciężki krążownik amerykański klasy „Baltimore”, pięć małych punkcików, płynących za nim w szyku torowym niczym gęsi za panią matką, to kontrtorpedowce eskorty. Szły kursem dwieście pięćdziesiąt, prawdopodobnie z Fidżi. Przy tej prędkości ekspresu zawiną do Australii najpóźniej jutro pod wieczór.

„Potrzebujecie pomocy?” — pytał krążownik sygnałem świetlnym.

Szarmancki. Jednocześnie wysłał kabel w języku francuskim. Otwartym tekstem.

Ransart nie okazał się gorszy.

„No, thanks, everything okay” — kazał odkablować po angielsku szyfrem.

„Pozdrowić jakieś dziewczyny?” — spytał na pożegnanie szarmancki dowódca krążownika. Ransart zaśmiał się ubawiony.

„Gdzie?” — kazał przekablować dla kawału.

I, nie do wiary, szarmanant odpowiedział:

„Going Brisbane”.

Wszystko otwartym tekstem... Brawo! Pacyfik południowo-zachodni wolny jest od wroga.

Gdyby jednak szarmanant służył w Royal Navy, byłby to jego ostatni rejs jako dowódcy okrętu wojennego.

— To kłamstwo! Perfidna dywersja! Radiooficer Schlindwein złamał zakaz przekazywania wrogich informacji bezpośrednio załodze okrętu. Żądam, by go rozstrzelano!

Wściekły głos marineoberstabsarzta Frauenheima vel obersturmbannführera SS Wolffa uderza w twarze załogi, odbija się od najodleglejszej komory okrętu i wracając do centrali trafia w Hackego, który wykazuje absolutną obojętność.

Takiego lekceważenia lekarz się nie spodziewał. Zdenerwowany wyszarpuje z kabury parabelum.

— Żądam zastrzelenia Schündweina, słyszy mnie pan? Herr Fregattenkapitän słyszy. Spokojnie wyciąga rękę.

— Panie doktorze, proszę oddać mi swój rewolwer.

— Żądam zastrzelenia...

Szybkim jak błyskawica uderzeniem dłoni dowódca okrętu wytrąca lekarzowi broń, rozładowuje ją i kładzie na stole nawigatora.

Panie poruczniku Wenk — zwraca się do oficera artylerii — proszę usunąć z pomieszczenia sanitarnego pistolet maszynowy, a także zbędne tam skrzynie z granatami i pancernownice.

— Nie rozumiem...

Marineoberstabsarzt Frauenheim vel obersturmbannführer SS:

— Wzywam załogę do wypowiedzenia posłuszeństwa dowódcy okrętu. Obowiązkiem każdego z was jest walczyć do upadłego, a jeżeli to niemożliwe, szukać internowania w kraju neutralnym, nigdy kapitulować. Osiągnięcie Japonii, dokąd niby zmierzamy, jest w obecnych warunkach mrzonką, dowódca chodzi o to, byśmy się gdzieś po drodze poddali. Nie łamcie przysięgi żołnierskiej! Żądajcie obrania kursu na Amerykę Południową! Tylko tam możemy być bezpieczni!

— Panie poruczniku Wenk — powtarza cicho Hacke — czy pan słyszał mój rozkaz?

— Nie słuchaj zdrajcy, Wenk! Koledzy — apeluje lekarz — pomyślcie o tym, co się stanie z waszymi rodzinami w kraju...

— Poruczniku Wenk — powtarza zlany potem Hacke — wykonać rozkaz!

— Nie słuchaj go, Egon, nie jesteś tu sam! — krzyczy Frauenheim.

Błyskawicznym ruchem Hacke wydobywa pistolet z kabury i mierzy między oczy oficera artylerii. Skok przyczajonej na ofiarę pantery — tak on to robi. W pełni sił i w osłabieniu, jednakowo. Stojący za Wenkiem ludzie uskakują na boki. — Liczę do trzech — zapowiada Hacke. — Jeden...

Wenk prostuje się. — Tak jest — mamrocze posłusznie.

— Nie słyszałem pana...

— Tak jest, Herr Fregattenkapitän — poprawia się Wenk.

— Dziękuję — mówi Hacke i chowa pistolet.

Bunt na okręcie! Oficer artylerii z tym przylizanym typkiem.. Mechanik silnika waltera nie może się opanować. — Aresztować ich! — woła oburzony. — Ja bym...

— Podporuczniku Klein — przywołuje go do porządku Hacke — nie ja mustrowałem doktora, nie do mnie należy odwoływanie go. Jesteśmy wciąż wojskiem! A lekarza, jakimkolwiek byłby człowiekiem potrzebuje każdy okręt. Proszę zająć się swoimi sprawami!

Przypatruje się wynoszonym z pomieszczenia sanitariusz skrzyniom z granatami i pancerzownicami. Jest ich dużo. Wystarczyłoby do zniszczenia okrętu

— Wszystko — melduje Wenk wykonanie rozkazu.

Ale Hacke go nie słucha. W martwej ciszy wędruje po twarzach podkomendnych. Kto jest za mną, kto przeciw? — pytają jego oczy Wędrówkę kończy na głównym inżynierze okrętu.

— Panie kapitanie Ihna — odzywa się ożywionym głosem, jakiego od dawna u mego nie słyszano — proszę o wybaczenie mi mojego niestosownego zachowania się wobec pana. Bardzo pana o to proszę.

Inżynier nie wierzy własnym uszom. Całe to zajście wydaje mu się operetkowe. Jak gdyby udział w nim brali nie żywi ludzie, ale tekturowe pajace. Lecz dla znających dowódcę tego okrętu i jego obyczaje operetkowe ono nie jest.

Tysiąc razy dziennie gotów był zastrzelić właściciela tej dłoni, posłać go na dno wraz z sobą i wreszcie przerwać ten upiorny rejs, a teraz nie jest w stanie nie podać mu ręki. — Dziękuję — słyszy głos znienawidzonego jeszcze przed chwilą Hackego.

— Koledzy! — mówi dalej Hacke stanowczym głosem. — Polityką w czasie Wojny zajmują się przywódcy państwa, nas obowiązuje przysięga żołnierska. Wojna trwa nadal. Położenie naszego okrętu jest więcej niż trudne. Nie mamy perhydrołu, olej napędowy do diesla się kończy. Płynęliśmy do naszej zapasowej bazy na wyspie Santa Barbara, lecz ta została zajęta przez wroga. Póki nie otrzymam rozkazu powrotu do kraju. oędziemy walczyć dalej w oparciu o bazy w Japonii — takie mam instrukcje. Aby tam jednak dotrzeć, musimy zdobyć paliwo. Mając działo pokładowe i broń ręczną będziemy mogli to zadanie wykonać, ale tylko z ludźmi oddanymi krajowi. Dlatego moj apel: kto nie chce walczyć dalej, niech wystąpi. Zostanie wysadzony na jednej z nie zaludnionych wysepek i odpowiednio zaopatrzony. Ze względów oczywistych nie nastąpi to jednak wcześniej niż po zdobyciu paliwa. Nikomu, kto się zgłosi, nie spadnie włos z głowy, ręczę za to słowem honoru. Kto chce opuścić okręt?

— Ja! — powiedział Strelow. Zdumiony głos z głębi okrętu:

— Chryste Panie! Cud niemieckiej techniki i nauki...

— I ja! — odzywa się lekarz okrętowy. — Nie chcę walczyć pod dowództwem zdrajcy Führera!

Hacke rozgląda się po twarzach załogi. — Pan też? — zwraca się do Wenka.

Oficer artylerii nie jest zdecydowany.

— Tak czy nie? — pyta Hacke.

— Nie.

— Jak pan odpowiedział, poruczniku?

— Nie, Herr Fregattenkapitän.

— To właściwy sposób, dziękuję. Kto jeszcze? Proszę się nie obawiać. Nikt więcej? — I dalej: — Więcej amatorów do opuszczenia naszego okrętu nie widzę. Dobrze. Wyembarkowanie, jak powiedziałem, nastąpi dopiero po zdobyciu paliwa, którego w tej chwili mamy w przybliżeniu na trzydzieści godzin, długo więc panowie czekać nie będą. Ale w tym czasie nie wolno wam stykać się z załogą ani bez mego zezwolenia poruszać się po okręcie. Złamanie moich nakazów karane będzie śmiercią. Radiooficer Schlindwein, do mnie! Radiooficer Gunther Schlindwein:

— Zum Befehl, Herr Fregattenkapitän!

— Proszę odebrać tym panom broń, sprawdzić, czy nie mają jakiejś w kajutach, wyznaczyć spośród swoich ludzi wartownika. Wykonać rozkaz!

— Tak jest, Herr Fregattenkapitän! Starszy mat Hoffmann, objąć nad nimi wartę!

Dowódca okrętu:

— Dziękuję. — I mówi dalej: — Więc pan kapitan Strelow wraz z panem doktorem... Ależ naturalnie, teraz dopiero rozumiem... — A do załogi: — Głównym nawigatorem okrętu, na miejsce kapitana Strelowa, mianuję podporucznika Horsta Neuenahra, reszta pozostaje bez zmian. Są pewne rzeczy do wyjaśnienia, lecz teraz nie pora na to; w odpowiednim czasie

zajmą się tym właściwi ludzie. Nie obarczają one jednak was, jedynie mnie: Ten rozdział na razie zamykamy. Znajdujemy się w niezwykle trudnym położeniu. Jest południe. Jeżeli do jutra nie zdobędziemy paliwa, podejmę odpowiednią decyzję, mając na uwadze ochronę waszego życia. Poddanie się bez walki nie wchodzi w rachubę. Dlaczego nie, wytłumaczył to za mnie dostatecznie dobitnie lekarz okrętowy: mamy w kraju rodziny... Proszę wszystkich na stanowiska.

Zniknął podział załogi na czarnych kruków i białych gołębi. Stanowimy znowu zgrane stado prowadzone przez jednego przywódcę. Płynące na łodzi Charona ku brzegowi Przeznaczenia. Droga nasza najeżona jest zasadzkami, ale innej nie mamy. Niech się więc dzieje wola Twoja, Panie.

Pobrzmiwa to ewangelicznie, bardzo staromodnie. Otrząsnę się z tego, na pewno.

Naczelne Dowództwo U-bootwaffe jeszcze się nie odezwało. Radio brytyjskie sprawiło im widocznie niespodziankę nie gorszą niż nam. Wyobrażam sobie szaf sicherheitsdienstu i gestapo Oby Bóg miał w opiece nasze biedne rodziny.

Okręt spocił się. Z płataniny rur biegnących nad naszymi głowami cieknie skroplona para: system oczyszczania powietrza z dwutlenku węgla szwankuje. Jesteśmy mokrzy jak po wyjściu kąpieli. Z parotygodmowym zarostem (z powodu braku żyłek), półnadzy wyglądamy bardziej na średniowiecznych piratów niż ludzi z regularnej marynarki wojennej. Oczy zlaknione są światła dziennego. Cały organizm rwie się na powierzchnię, ale duszę nęka zupełnie coś nowego. Nie strach, te rzeczy ma się już z głowy; nie umiem tego nazwać.

Rano prześliznęliśmy się między koralowymi rafami Middleton i Elizabeth — z lewej burty okrętu, a Norfolk — z prawej. Odległość między tymi punktami spora, ponad czterysta mil. Nie ma na nich lotnisk ani baz morskich; na tym akwenie groźna jest dla nas tylko Nowa Kaledonia wraz z rozsianymi wokół niej rafami i wysepkami, których tam mnóstwo. Morze Koralowe, cała Melanezja, opiewane jako raj na ziemi, to cienka struna dla podwodnego linoskoczka, zawieszona nad piekielnie zdradliwą przepaścią. Ten bezmiar wód, ciągnący się poza równik, obsiany został przez boga Emu miliardem wysp, a wszystkie należą do Anglików. Jaka niesprawiedliwość. Gdzie się nie ruszyć, wszędzie oni. Wszystkie oceany, wszystkie kontynenty kontrolowane są przez ich okręty, ich samoloty. Jaka to potęga. Czy pomyślano w Berlinie, że wszędzie na świecie trzeba pokonać Anglię, aby z nią wygrać?

Okręt osiągnął zanurzenie peryskopowe.

Oko peryskopu nawigacyjnego szybko omiotło przestrzeń wokół okrętu, zlustrowało horyzont: jak daleko sięgało, żadnego obiektu nawodnego nie spostrzegło.

Hacke przeszedł do lepiej widzącego peryskopu bojowego i jeszcze raz sprawdził powierzchnię oceanu. Aż dziw, że w tym tempie jest w stanie coś spostrzec, ocenić i podjąć właściwą decyzję. Podglądając go przy peryskopie w sytuacjach krytycznych, radiooficer Schlindwein zawsze go podziwiał.

— Podnieść okręt na wysokość anteny radarowej! Sekundy martwej ciszy i głos operatora radaru:

— Przestrzeń powietrzna czysta!

— Dziękuję.

On do wszystkiego dodaje podziękowanie. Do wszystkiego „dziękuję”, do wszystkiego „proszę”. Ludzie chodzą na rzesach, widać to po każdym, lecz fason nie opuszcza go w żadnej sytuacji.

Ostatnie noce przesiedział kołkiem w centrali. Horst Neuen«hr czekał nadaremnie, aby go zastąpić i dać mu chwilę wytchnienia. Czwarta doba na bezustannym czuwaniu. Kiedy się zdawało, że gorzej już być nie może, Schlindwein przechwycił wiadomość o poszukiwaniu okrętu. Było to na czterdziestym równoleżniku szerokości południowej, gdzieś na wysokości stolicy Nowej Zelandii. To się nazywa szczęście! Być tropionym i nic o tym nie wiedzieć. Gdyby wówczas zaryzykowano atak...

„Rosamunda” jednak nie poszła na marne. Niedługo po komunikacie BBC przeszukiwania oceanu odwołano, są na to dowody.

Schindwein czuł na sobie niecierpliwe spojrzenie dowódcy. Podniósł głowę znad kartek papieru zapisanego radiosygnalami.

— Jeszcze chwileczkę, Herr Fregattenkapitän — odezwał się pocieszająco. — Już niedługo, chcę tylko...

— Kiedy pan skończy — Hacke postawił nogę na drabinie — proszę do mnie na górę. Garbaty, Neuenahr, przejąc centralę. Kapitanie Ihna, wynurzamy się!

Wspiał się w górę, w ślad za nim podążył główny inżynier.

Rozległo się młaśnięcie podnoszonego włazu, świeże powietrze wdarło się do wnętrza okrętu. Włączono ładowanie akumulatorów; ponownie nie ujrzą szybko powierzchni. Za kilka godzin, jeżeli nie będzie niespodzianek, okręt przetnie trasę Noumea — Australia, o wynurzeniu się tam za dnia nie ma mowy.

Być albo nie być U-1852 rozegrać się musi najpóźniej przed zachodem słońca; atak za dnia nie daje szans ujęcia pościgowi. Tak więc dzisiaj lub nigdy. Zmierzch zapadnie o dziewiętnastej. Więc do dziewiętnastej!

Lecz jeszcze przedtem musi się znaleźć obiekt ataku.

Niedopałek papierosa przypalił Schindweinowi palce. Zaciągnął się ostatni raz i zdusił go w popielnicze. Obok kartek leżała na pulpicie srebrna papierośnica z jego inicjałami — подарunek ślubny od Traude, jego małżonki. Wewnątrz były cztery papierosy. Ostatnie. Magazyn tytoniowy, tak jak zbiorniki na paliwo, świeci pustkami. Umrzeć bez zaciągnięcia się dobrym papierosem — nie, gorszej śmierci Schindwein sobie nie wyobraża.

Czy chciałby napisać do domu?

Po wysłuchaniu komunikatu BBC i komentarzy innych radiostacji nie wiedziałyby, co napisać. Jego żona, jeżeli żyje, przebywa w Mannheim lub u swoich rodziców w pobliskim Wachenheim — ten duży ośrodek przemysłowy atakowany był z powietrza wiele razy. Natomiast stolica nadreńskiego rieslinga, „Wachenheim an der Weinstrasse”, jest dla ciężkich bombowców niewarta zachodu. Ale bombardowanie miasta to w Rzeszy żaden tytuł do zwolnienia od obowiązku pracy. Nawet kobiety ciężarnej, tak więc...

Zamiast napisania listu, gdyby to było możliwe, Schindwein chętnie, z czapką-niewidką na głowie, rzuciłby okiem aa swoji dziecko, którego nie zna. Jeżeli nic się Traude nie stało, poród winien się odbyć w tych dniach. Ciekawe, pomyślał, dziewczynka czy chłopiec?

Trudno się skupić, czując na sobie oczy załogi. Schindwein odetchnął świeżym powietrzem. Kolumnienki cyfr wyostrzyły się. Dla nie znającego ich tajemniczej mowy nie znaczyły nic. Ale za nimi postępowały słowa w języku francuskim, dobrze Schindweinowi znanym. Kod Royal Navy stanowi jej największy sekret. Nie zdarzyło się w tej wojnie, aby ktoś go złamał. Schindwein nie łudził się, że będzie pierwszym, któremu się to uda, nie tracił jednak nadziei, że domyśli się całości zapisu podsłuchanej przed godziną rozmowy na morzu.

Jeden okręt, nadawał szyfrem, drugi otwartym tekstem. Szyfr, otwarty tekst, znowu szyfr, w którym jedna, znana Schindweinowi pięciocyfrowka oznacza „okay”, i ponownie ta przeplatanka, zakończona znowu słowami nadanymi otwartym tekstem. Całość przeniesiona na papier, wyglądała mniej więcej tak:

„potrzebujecie pomocy?”

„pięciocyfrowka, pięciocyfrowka, pięciocyfrowka”

„pozdrowić jakieś dziewczyny?”

„pięciocyfrowka, pięciocyfrowka, pięciocyfrowka”

„going Brisbane”.

Zbyt proste, aby się nie domyślić, o co tu chodzi. Pierwszy ma jakąś awarię i widząc zbliżający się okręt, zgłasza coś; na przykład to, że nie ma swobody manewru czy coś w tym rodzaju. Dalsza część rozmowy jest nietypowa jak na czas wojny, pewno to statek handlowy: okręt wojenny na coś takiego by sobie nie pozwolił. Lecz nie o to chodzi. Ambicją Schindweina było dostarczyć Hackemu, Hackemu, który lufę parabellum przystawił do ślepiów temu fałszywcowi i z takim fasonem załatwił jego zausznika Strelova... Od miesiący Schindwein wietrzył jakąś podstępą grę tej pary; dla takiego dowódcy warto ruszyć głową.

Zresztą nie tylko dla niego, cała załoga jedzie na tym samym wózku.

Więc ta rozmowa. Nieprawdopodobnie, wygląda jednak na to, że Bóg miłosierny rzucił im kładkę nad przepaścią. Jej znalezienie pozostawił jemu.

Radiostacje okrętów pracowały na falach krótkich nie ulegających ugięciu wzdłuż krzywizny powierzchni Ziemi; odległość pomiędzy tymi okrętami nie była duża, znajdowały się na pewno w polu wzajemnej widoczności. Fale te, nazywane przyziemnymi, odbite dopiero od jonosfery mają zasięg praktycznie nieograniczony. Schlindwein zbyt dużo czasu spędził na poznawaniu tajników swego zawodu, aby nie umieć namierzyć emisji radiostacji komunikujących się okrętów.

Jeden stał w miejscu, drugi był w ruchu. Gdzie znajdował się okręt unieruchomiony?

Wyliczenie tego na podstawie namiaru okrętu nie było trudne. Aby wykluczyć błąd, wezwał do pomocy nawigatora.

To „going Brisbane” warte było miliony. Radiotelegrafista na żadnym okręcie wojennym świata nie pozwoliłby sobie na podobne odezwanie się, i do tego otwartym tekstem. Facet musiał być pijany, a jeśli tak, to mógł to być tylko cywil. Schlindwein uwielbiał w tej chwili wszystkich cywilów świata!

Tłumiąc podniecenie wdrapał się na kiosk.

W ułamku sekundy omiół wzrokiem widok rozpościerający się wokół okrętu. Boże, jaki ten świat cudowny! — westchnął w duchu.

Wręczył dowódcy kartkę z wyliczeniami.

— Sześćdziesiąt mil od nas na kursie północno-wschodnim znajduje się unieruchomiony statek handlowy, najprawdopodobniej bandery francuskiej — zameldował z dumą. I bez żadnego kluczenia dodał: — To chyba tam, gdzieśmy... pan wie, Herr Fregattenkapitän...

Spojrzał pytająco na dowódcę, lecz nie zauważył, aby ten zamierzał się do tego ustosunkować.

— I jeszcze jedno — ciągnął. — Podśluchałem prognozę pogody na najbliższe godziny. Wytworzył się duży niż baryczny z ośrodkiem między Nowymi Hebrydami a Wyspami Lojalności. Szybko przemieszczający się na zachód; nie wykluczają sztormu, a może i huraganu.

— Huraganu... — Hacke powtórzył jak echo. — Dobrze, dziękuję panu.

Gdy stał z kapitanem Ihną na kiosku, plan walki miał już gotowy.

— Sześćdziesiąt mil... — powiedział. — Nie wiem, czy on ma radar, ale musimy zachować się tak, jakby go miał, dlatego drugą połowę trasy przeplniemy w zanurzeniu. Jeśli się zważy manewry przed atakiem oraz małą rezerwę czasu, to trzeba liczyć, że zajmie nam to w sumie pięć godzin. Do zachodu słońca pozostanie więc godzina. Jedna godzina na wszystko. Dwadzieścia minut dla mnie, czterdzieści dla pana. Nie jest to dużo, lecz musi wystarczyć. Co pan na to?

A po paru sekundach ciszy:

— Ten sztorm czy huragan to byłaby dobra rzecz w nocy, lepszej pory trudno sobie wymarzyć. Kiedy ocean się uspokoi, będziemy daleko stąd.

Dłużej Schlindwein nie podsłuchiwał z wnętrza kiosku. Hacke mówił głosem zdeterminowanym, pewnym siebie. Taki bywał w dawnych czasach. Podniosło to Schlindweina na duchu.

— Oni traktują ten niż bardzo poważnie, sir. Może skończyć się, powiadają, na niewielkim wietrze, może rozbudować się w sztorm, a nawet w huragan. Niech pan spojrzy na zamglony horyzont, na puste niebo, no i ta cisza. Pozostawili to do pana decyzji: jeżeli kłopot z siłownią jest grubszego kalibru, przyślą coś szybkiego z Noumei, a okręt ma pan abandon, opuścić, i...

— Palec radioofficera skierował się w dół.

— Abandon the ship? Oni tam poszaleli! Mam wyembarkować załogę, a okręt zatopić?

— Tak powiedzieli, sir. Opcję zostawili w pańskich rękach. To stary gruchot, powiedzieli, topi się lepsze.

— Powiedz im, żeby się... Zresztą nie, zrobię to sam. Moją „Natalie”... Hej, Oscar, słyszałeś?

Uważają, że boimy się dmuchnięcia, wyobrażasz sobie, że twoi chłopcy mają już pełne portki...

— Moi artylerzyści?

— No, w ogóle.

— Mów za swoich! Jak twoi z pokładu mają, to pakujcie się i do domu; my zostajemy!

— Słyszałeś, co powiedział! Słyszałeś? Podaj tym w Island, że jeszcze parę godzin i siłownia gra. Podaj im to. I dodaj, że jesteśmy wzruszeni ich troską. Mówię poważnie, dodaj.

— Miedzy Nowymi Hebrydami a Wyspami Lojalności niż baryczny, podali. Gwałtownie przemieszczający się na zachód. Nic poważnego, powiedzieli jednak, że jeżeli inżynier okrętu nie da rady tchnąć w te śrubki ducha, przyślą po załogę, a okręt mam zatopić.

— Czy mnie słuch myli, Frank? Że jeżeli twój inżynier nie da rady i tak dalej... Tak mówiłeś?

— Nie ja, Leon. Oni. Island.

— Inżynier okrętu, mówili? Birn, powiedzieli, tak?

— Jak Boga kocham, możesz sprawdzić. Podaj telefon, zaraz zadzwonię na górę.

— Nie potrzeba, wystarczy mi twoje słowo. Nie wiem, coś im naopowiadał, ale wygląda na to, że to właśnie ty myślisz o posłaniu go na dno. Podsunąłeś im to, przyznaj się. Żeby sobie zaoszczędzić powrotu z pustymi rękami, tak?

— Oszalałeś! Żeby mi na stare lata wpisali do książeczki, że opuściłem okręt, bo obawiałem się sztormu? Raczej przywiążę do rei niż coś takiego! Powiedzieli, więc przekazują dalej jfie wykluczają czegoś gwałtowniejszego. A z takich rzeczy-może wykluczyć się nawet cyklon, wtedy bez siłowni... Ale opcję pozostawili w moich rękach.

— Wobec tego nie widzę problemu. Idź, odpocznij sobie, o siłownię możesz być spokojny.

— Jestem, Leon. Tak im już oddepeszowałem.

— Niech cię, Frank... Gdyby moje łapy nie były tak usmarowane... Opijemy to w Nou. No idź, nie przeszkadzaj, nam w robocie.

— Cześć, chłopaki, wpadnę za dwie godziny zobaczyć, jak wam idzie. Cześć!

— Macie tu piekielny burdel, chłopaki! Jak w „Tub-a-Tan”, na Cross Street. Nie mam nic przeciwko kartom. Dopóki na tym pudle powiewa bandera francuska, nie mam nic przeciwko kieliszku, ale więcej szacunku, proszę, dla tych cygar. Znosi się na sztorm, na pokładzie zaś jak w magazynie amunicji po przejściu cyklonu. Jeżeli taka rzecz uderzy zapalnikiem w coś twardszego... Pozbierajcie je i popakujcie do skrzyń, nie będą już potrzebne.

— Sztorm, mówi pan, kapitanie?

— Może nawet huragan, tak donoszą, bosmanie Laxer. Ze wschodu. Pod wieczór ma osiągnąć Nową Kaledonię, stamtąd do nas to jedno dmuchnięcie. Wszystkie luźne graty poprzywiązywać, działa zaklinować, pociski w skrzynie i poustawiać najlepiej wzdłuż burty. A jeszcze przedtem powymować zapalniki.

— One już bez zębów, kapitanie... A jak z maszynownią, jeśli wolno? Unieruchomiony okręt w sztormie to podobno niezła karuzela.

— Właśnie w tej sprawie depeszowali z Island. Zaproponowali przysłanie z Nou czegoś szybkiego dla załogi.

— A co z okrętem?

— Zatopić. Stary grat, powiedzieli, załoga, dodali, niezupełnie zgrana, niedoświadczona, lepiej...

— Słyszeliście, chłopaki? Mam nadzieję, że dowódca nie podziela ich zdania. Podziela, sir?

— Chwileczkę, bosmanie Laxer. Dowódca nie podziela, gdyby jednak coś się komuś stało... Urwie się, na przykład, działa ze stanowiska i porozstawia te lipne nadbudówki. Albo, nie daj Boże, zmyje kogoś z pokładu... W bałaganie, jaki tu macie, wszystko jest możliwe.

— Ale —dopytywał się działonowy środkowej armaty, bosman Gerald Laxer — oddepeszował im czy nie? I jak?

— Swoją decyzją uzależnił od was. Że nie są zgrani, powiedział, to prawda, ale nie całkowita. Idź, powiedział do mnie, i pogadaj z nimi. Jeżeli nie czują się na siłach, zwijamy żagle. I wal prosto z mostu. Gdyby zerwał się huragan, a z siłownią były kłopoty, będzie nielicha zabawa,

tak im powiedz. Bo o załogę pokładową i maszynową jest spokojny. Więc mówcie. Jeżeli znajdzie się wśród was choć jeden, co wolałby do domu, paku-f jemy manatki. Decydujcie się, bo stary musi oddepeszować

Godzina 15.20:

Dziób frachtowca zbliża się wolno do celownika. Teraz odczekać chwilę, aż pierwszy maszt forszypu podejździe na celownik, zgrać nitkę przecinającą pionowo obiektyw i kiedy maszt skryje się za nią, odpalić torpedę; z tej odległości żadna ludzka ani boska moc nic by nie zdziałały. Potem parę sekund nasłuchiwania, detonacja i koniec sprawy. Pozostałoby trochę desek sztauerskich, parę rąk trzepoczących się na kipieliśku.

Jest to duży drobnicowiec typu „Liberty” o nośności dziesięciu tysięcy ton, zanurzony do linii ładunkowej, z pomieszczeniami załogi i maszynownią na śródkręciu. Nad rufą z banderą amerykańską charakterystyczne podwyższenie: platforma artyleryjska z zadartą w górę lufą. Ale wokół działa ani jednego człowieka. No tak, czas podwieczorku... Aż proszą się o utarcie nosa. Lecz tej grzeczności „Elektra” załodze załadowanego po luki frachtowca nie wyświadczy: wyrzutnie torpedowe puste. Płyn więc dalej, ładny stateczku, nie dla nas sława zdobywców złotego runa!

— Oho! — Podporucznik Neuenahr dostrzega na widnokręgu ostry kształt. — Niech pan spojrzy! — Porusza ramię nieprzytomnego z wyczerpania Hackego. — Fregata! Musimy w zanurzenie.

Godzina 16.15:

Nie rozlegnie się dzwonek alarmowy, gong wzywający na posiłki, uderzenie klucza, młotka, podkutego buta — naszą dewizą w takiej sytuacji jest cisza. Cisza absolutna, bo usłyszą nas ci nad nami. Cisza, dopóki nie nabierzemy pewności, że tamci na powierzchni poszli sobie. Jak ja uwielbiam hałas. Jak przepadam za stukotem młota pneumatycznego, jazgotem klaksonów. Jak kocham krzyczeć, wyć, tłuc garnkami o ścianę, dać w trąbę, rozbijać szyby w oknach, grzmocić w bęben, walić talerzami, skakać po blaszanym dachu. Ale nas obowiązuje trzymanie gęby w ciup i — sza!

Kocham hałas. Naprawdę, Brigitte! Nie będziesz wiodła ze mna cichego żywota!

Godzina 17.00:

— Jak oni chodzą, Oscar?! — warczy Mizera przed kolejnym zniknięciem w maszynowni. — Nie zechciałbyś sprezentować mi nieco dyscypliny na pokładzie?

Ransart go rozumie.

Dziesięć minut później mostek kapitański w pełnym składzie-przy kok sternik, a skrzydłach pomostu wachtowi, przy aldisie sygnalista. Do zmroku jeszcze godzina. Termometr i barograf spadają. Duszno. Lustro wody, na pierwszy rzut oka takie samo, ale pod skórą drgnęło — typowa dla Oceanu Spokojnego przedzierzgającego się w Niespokojny. Niebo wciąż czyste. Oficer wachtowy podnosi lornetkę do oczu. Lustruje przestrzeń dokoła okrętu, pokład z armatami, ze skrzyniami amunicji poukładanymi pod burta, zakrytymi plandekami. Zahacza o słońce, szybko jednak z niego ucieka i ląduje na artylerzystach podejrzanie spokojnie skulonych w zacięniach blach maskujących działa. Półnadzy obserwatorzy opierają się znudzeni na relingach; koniec wachty bliski. Pod pokładem uderzenia młotów. W rurze akustycznej rozlega się gwizd. Oficer wachtowy wyciąga zatyczkę.

— Mostek, kapitan Ransart, słucham!

— Leon musi na moment odstawić agregat prądowórczy — mówi z maszynowni dowódca okrętu. — Na dziesięć, piętnaście minut, potem już ruszamy. Najwyżej dwadzieścia minut, Oscar.

— Zrozumiałem, sir. Dwadzieścia minut bez prądu. Dziękuję. Ransart zatyka rurę, wyciąga z paczki papierosa, zapala, ale po pierwszym zaciągnięciu się gasi. Duchota. Przy gwałtownym spadku ciśnienia barycznego — po dłuższych upałach — zawsze jednakowa na tych wodach.

— Straszne gracisko nam wcisnęli — słyszy sarkanie sternika.

— Co by się stało, gdyby agregat wysiadł nam podczas walki? Akumulatory nie dałyby rady.

— Ach, nie przesadzajcie! — odmrukuje Ransart.

Spogląda na pokład, na idealny porządek wokół dział, na artylerzystów skulonych w trzech pięcioosobowych grupkach. Co ta bestia znowu wykombinowała? zastanawia się.

Odnosi się to do bosmana Geralda Laxera, najlepszego artylerzysty dział lekkiego kalibru w Królewskiej Australijskiej Marynarce Wojennej, interpretującego wszystkie otrzymane rolwy po swojemu, którego on, Ransart, wlecze za sobą na każdy nowy okręt.

Godzina 17.05:

Operator radaru melduje:

— Obiekt latający! Kąt kursowy czterdzieści pięć, prawo, odległość dwadzieścia mil!

Hacke zsuwa się z kiosku do centrali, gdzie nad ekranem siedzi pochylony operator i śledzi echo świetlne. Echo przecina w prostej linii kurs okrętu.

— Prędkość obiektu? — pyta.

— Namiar i kąt kursowy bez zmian. Proszę chwilę poczekać. — I po dwóch minutach obserwacji echa: — Odległość zmalała o sześć mil; daje to prędkość obiektu rzędu dwustu mil. To na pewno patrolowiec. Catalina albo sunderland, one mają jednakową prędkość.

Hacke obserwuje przesuwanie się echa na ekranie. — Nie zmienia kursu na nas — mówi do siebie — co oznacza, że nie ma radaru. Nie ma radaru — powtarza. W porządku. Nasza pozycja względem celu? — rzuca do Neuenahra.

— Szerokość: 24°28,3' Sud; długość 164°32,8' Ost. Do celu pięć mil.

Hacke zdejmuje lornetkę z szyi.

— Podejźmy w głębokim zanurzeniu aż po cel. — Ustala plan pokonania ostatnich mil. — Stracimy na tym dwadzieścia, trzydzieści minut, ale w zamian podejźmy pod statek nie zauważeni. Wynurzenie prostopadle do burty statku od słońca, w jak najbliższej odległości od niego. Operatorzy szumonamier-ników podadzą jego położenie. Żądam dokładności co do metra Zamykać właz!

Godzina 17.11:

Wachtowy z prawej burty melduje:

— Samolot lewo czterdzieści! Wysokość trzy tysiące stóp! Nadlatuje z zachodu na wschód.

Dwusilnikowy hydroplan typu „Catalina” z dywizjonu stacjonującego w Noumei — kapitan Ransart rozpoznaje to po oznakowaniu na skrzydłach. Nadlatując nad okręt, zniża lot. W oświetlonych słońcem gondolach widać wyraźnie pilotów i strzelców pokładowych. Wymachują rękami. Pierwszy pilot chwyta się za ucho. Na pewno depesza, odgaduje Ransart. Nie myli się.

Radiotelegrafista wrywa kartkę z bloku meldunkowego.

— Depesza, sir.

„Jak z siłownią? Jeszcze sto minut do zachodu słońca. Wasza decyzja wciąż bez zmian?”

Treść depeszy Ransart przekazuje przez rurę akustyczną dowódcy okrętu przebywającemu w maszynowni.

— Co pan na to, sir? — pyta służbowo. Złe warknięcie z dołu:

— Czy ma mnie pan, kapitanie, za wańkę-wstańkę, co raz tak, a raz inaczej? Najpóźniej za godzinę ruszamy, pomocy nie potrzebujemy. Oddepeszować!

— Yes, sir.

„Czy ma mnie pan, kapitanie..” To nerwy. Frank traktuje rozwój wypadków jako osobistą porażkę.

— Słyszeliście dowódcę? — pyta Ransart stojącego z boku radiotelegrafistę.

— Yes, sir.

— To oddepeszujcie. Szyfrem oczywiście.

Catalina zakreśla dwa wielkie koła. W połowie trzeciego pilot macha ręką w stronę okrętu.

„Okay! Wszystkiego najlepszego!” macha i kładzie maszynę na kurs powrotny do Noumei.

Godzina 18.39:

Męcząca duszność potęguje się. I ten nadmiar śliny w ustach, którą można się udławić.

Duszność i cisza. Ocean jest wciąż spokojny, ale zmiana barw — ze szmaragdowego w ciemnozielony, z ciemnozielonego w niebieskawy — zapowiada ochłodzenie. Tylko słońce jest jednakowo obojętne. Rozpaloną tarczą, chyłącą się ku widnokręgowi, oślepia lewą burty; bez przyciemnionych okularów nie pozwoli spojrzeć w twarz.

Doprowadzenie siłowni do ruchu skończone. Jeszcze chwila, a włączony zostanie agregat i — do Nou. Najwyższa pora: za dwadzieścia minut ciemność. Z prawej burty, z kierunku wstania słońca widoczność jest doskonała. Sto mil na wschód od mostku kapitańskiego „Natalie”, gdzie między biurem Sociéte le Nickel a swoim bungalowem kręci się Marie-Ange. Wcale nie przeczuwa niespodzianki, jaka ją jutro spotka. Kobiety podobno lubią niespodzianki, Ransart nie. Hazard lubi, niespodzianek nie. Żadnych. Ani z kobietami, ani w ogóle.

Wachtowy z lewego skrzydła pomostu osłania ręką oczy przed oślepiającym słońcem. Jest zmęczony bezczynnością. Nic bardziej nie roikłada człowieka jak widok lustrzanie gładkiej powierzchni oceanu oglądany z pokładu unieruchomionego statku. Zdechnąć można na takiej patelni, dostać kuku na muniu, ujrzyć fatamorganę.

— Kapitanie, mamy towarzystwo! — Ożywia się. — Sto jardów od burty. Chyba... tak, okręt podwodny. Ale olbrzym! Widział pan już coś takiego!

Frank ma rację zarzucając spadek dyscypliny. „Kapitanie, mamy towarzystwo...” A gdzie zamiar przy meldowaniu spostrzeżonego obiektu, jaki obserwator marynarki wojennej powinien był najpierw podać?

Mruży oczy w kierunku prawego skrzydła pomostu i z wrażenia drętwieje.

„Ali stop. Nie włączać radiostacji, bo storpeduję. Cała załoga opuścić statek. Natychmiast” — odczytuje sygnały świetlne podawane aldisem.

Równocześnie z sygnałami spod kiosku wynurzonego okrętu podwodnego z napisem U-1852 rozlega się wezwanie:

— Opuszczać statek! Wodować szalupy i opuszczać! Załozde gwarantuję życie! Daję sześćdziesiąt sekund! Sześćdziesiąt! W sześćdziesiątej pierwszej torpeduję! Uwaga, zaczynam! One... two... three...

Okręt-widmo. Oficjalnie pogrzebany stoi jak ręką sięgnąć od burty „Natalie” z lufami dział wycelowanymi w statek.

Dłoń Ransarta mechanicznie uruchamia wściekle ujadanie dzwonek alarmowych.

Salwa ostrzegawcza z dział przecina ze świstem powietrze, dwie fontanny wody wzbijają się pięćdziesiąt stóp od dzioba „Natalie”.

— Szalupy na wodę! Opuszczać statek — żąda przez tubę akustyczną spod kiosku dowódca okrętu-widma.

— ...osiem... — liczy dalej — dziewięć... dziesięć... Do sterówki wbiegają zdyszani Mizera z Birnem.

— Nie do wiary! — mówi wciąż zdrtwiałły Ransart. — Przepadliśmy...

Mizera wyszczerza zęby w szatańskim uśmiechu.

— Ale najpierw powalczymy. Ślizgaj się chyłkiem do swoich ludzi. Do dział! — Budzi z odrętwienia swego zastępcę. — I tak jak ćwiczyliśmy!

Skulony za oszalowaniem sterówki wciska Birnowi na głowę wyszamerowaną złotem czapkę kapitana francuskiej marynarki handlowej.

— Wchodzisz w swoją rolę — f3wi... ia. — Musimy zyskać na czasie. Bierz tubę... pow... rzej za mną... gnalista, nadawaj to samo aldisem. Jazda, Leon. Kapitan statku do dowódcy okrętu — podpowiada — radiostacja wyłączona!

— Kapitan statku do dowódcy okrętu — krzyczy w tubę Birn. — Radiostacja wyłączona! Zastoso...

— Głośniej!

— Radiostacja wyłączona! Zastosujemy się do rozkazu, ale minuta nie wystarczy: mamy awarię agregatu prądotwórczego!

Dobitny głos roznosi się echem po morzu, wysoki blondyn z naramiennikami komandora

porucznika u-bootwaffe, stojący w rozkroku pod kioskiem, nie może go nie słyszeć. Marynarze uzbrojeni w pistolety maszynowe rozstawiają się w tyralierę na pokładzie okrętu, z kiosku, z wjazdu załogowego na śródokręciu wysypują się dalsi.

— ... dwanaście... trzynaście... czternaście... — Birn napina głos.

— Kapitan statku do dowódcy okrętu... — przechodzi na łamany niemiecki. — Radioapparat schweigen! Strom kaputt! Mannschaft weg gehen schiff aber ein minutę nicht genug. Verstanden?

— szesnaście... siedemnaście... osiemnaście...

— Maszyna nie człowiek! — Zaskoczenie klóci się w Mizeize z podziwem dla niesamowitego opanowania dowódcy okrętu podwodnego. — Gadaj, Leon, co ci ślina przyniesie na język, nie przerywaj. Pomachaj mu czapką, uśmiechaj się do niego.

— ... dwadzieścia... dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa...

Pertraktacji na słowa ani gesty ten człowiek nie uznaje. Bomba zegarowa, raz przez niego włączona, tykać będzie aż do nakręconego końca. To desperat, myśli Mizera. Ten nie cofnie się przed niczym.

Takiego olbrzyma podwodnego jeszcze nie widział. Więc to ten! Blondas pod kioskiem w pełnym tropikalnym umundurowaniu u-bootwaffe, w czarnych rękawiczkach — to światowej sławy Fregattenkapitän Kurt Hacke. Wyprostowany jak na paradzie ani drgnie. Coś w rodzaju dumy rozpiera pierś Mizery. A jednak tory pocisków A i B przecięły się, mógłby zameldować admirałowi.

Dziób olbrzyma oddalony jest od śródokręcia „Natalie” nie więcej jak o sto jardów. Przy tych gabarytach ma w forszypie z pewnością kilka wyrzutni torpedowych. Sto jardów — oblicza trzeźwo Mizera. Torpeda biegnąca z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę potrzebuje na pokonanie tej odległości trzy sekundy. Trzy sekundy ma Ransart na oddanie drugiej salwy i na ucieczkę ze statku. Trzy sekundy. „Natalie” albo ustali rekord światowy w tempie strzelania z dział, albo w czwartej sekundzie wyleci w powietrze.

— ...dwadzieścia sześć... dwadzieścia siedem...

Wszystko w rękach Ransarta, myśli Mizera przygryzając wargi. A on nakazał mu rozładować i zakapturzyć działa, amunicję popakować w skrzynie. Oby tylko zdążył do swoich ludzi.

Z łamanego niemieckiego Birn przechodzi na poprawny francuski. Bezkonkurencyjny jest Loon w tej roli. To największy poliglota w eskadrze, podobno zna także rosyjski.

*Radioapparat milczeć! Prąd zepsuty! Załoga iść statek precz, ale jeden minuta za mało. Zrozumiano? (niem.)

Załoga pokładowa odbezpiecza żurawiki przy wysięgnikach szalup ratunkowych, kiedy Ransart krętym tunelem pod pokładem osiąga stanowiska artylerii. Według tego spod kiosku — mijają dokładnie połowa czasu wyznaczonego na opuszczenie statku.

— ...trzydzieści jeden... — rozpoczyna odliczanie drugiej połowy — trzydzieści dwa...

— Wylegujecie się jak na urlopie! — napada Ransart na bosmana Geralda Laxera siedzącego z niezmaconym spokojem przy swoim dziale. Ze sztyletem rzuca się na plandeki na skrzyniach.

— Zostaw to, Oscar! — słyszy gadatliwego Laxera odzywającego się do niego po imieniu. — Działa są załadowane, na amunicji siedzimy... Nigdy, widzisz — mówi Laxer z kpiącym uśmiechem — nie miałem nadmiaru zaufania do ich lordowskich mości z British Admiralty. Ci starsi dżentelmeni myślą kategoriami z poprzedniej wojny, są zawsze o jedną wojnę do tyłu. Założyłem się z chłopakami że i tym razem coś tam na-knocili.

Najlepszy artylerzysta Królewskiej Australijskiej Marynarki Wojennej śmieje się swemu przełożonemu w nos i w obecności innych podwładnych odzywa się do niego po imieniu. Gdyby zrobił to w Garden Island, poszedłby za to do paki, a może zostałby nawet zdegradowany. Jest czterdziesta sekunda. Ransart nie wie, czy śmiać się czy płakać ze szczęścia. Przybiera marsową minę. — Gerry, postawię cię przed sądem wojennym za

interpretowanie rozkazów po swojemu! Po wszystkim — dopowiada.

— Odbędzie się to u Pana Boga... — ripostuje Laxer. — Wygrałem. Założę się z tobą, że i temu damy radę. Przyjmujesz zakład?

— A działka przeciwlotnicze?

— Wszyscy twoi ludzie mają o Admiralicji jednakową opinię. Od samego początku nie braliśmy poważnie tej bajeczki spod Campbell. Ten Hacke to facet dużego formatu, podoba mi się. Tacy nie rozbijają się na byle gównie.

— A blachy? — chce wiedzieć Ransart. — Nie zatną się? Wymiana zdań przebiega szybko, błyskawicznie, bo ten spod

kiosku dolicza się czterdziestej ósmej minuty. Jeszcze dwanaście. Zeszkarłaciałe na krew słońce gotuje się do znurkowania w głębiny. Ale jeszcze przedtem ujrzy interesujący spektakl. Nie będzie to zwykłe zatopienie statku schwytanego w potrzask. Dowódcy okrętu podwodnego, temu wyprężonemu na pomnik rekwizytowi z epoki romantyzmu, tej mieszance rycerza z czasu pojedynków na topory, na szpady z bezwzględnością dawnych krzyżaków, chodzi tjn razem o coś innego. Załoga okrętu napełnia sprężonym powietrzem pontony gumowe, wywleka sprzęt abordażowy — Mizera uważnie śledzi jej ruchy. O zniszczenie statku, o wycięcie w pień rozbitków tym razem nie chodzi. O klasyczne, dawno zapomniane przejście statku w celu pobrania z niego paliwa — o to mu chodzi. Mizera ma powód do dumy: pociski A i B, punkty wystrzelenia, trajektorie — to wszystko nic, pyłek bez znaczenia w obliczu tego, co go rozsądza. Jaka szkoda, że Natałka się o tym nie dowie.

— ...pięćdziesiąt... pięćdziesiąt jeden...

Lufy najcięższych dział przeciwpancernych, jakimi dysponują alianckie siły zbrojne na Pacyfiku, wycelowane są z za swego ukrycia w wynurzone cielsko przeciwnika. Dwa pierwsze działa mierzą w szeroko rozwarte ślepie szczelin zbiorników balastowych, pozostałe cztery w mamucią podstawę kiosku. Tam mieści się serce okrętu. Pociski pierwszych dział mają przebić wewnętrzny kadłub i narobić spustoszenia wśród załogi wyrzutni torpedowych (z tej odległości nie mogą chybić), pociski czterech dział przebijają pancierz kiosku i eksplodują w centrali. Trzy sekundy. Na oddanie drugiej salwy czasu z pewnością nie starczy. Śmiertelna musi być pierwsza. Pierwsza albo żadna.

Ransart o tym pomyślał. W zakamarkach statku czai się dwunastu strzelców z gotowymi do odpalenia raketami przeciwpancernymi, w broń maszynową przeciwnika wymierzone są szybkostrzelne oerlikony. Cała ta masa prochu, jeżeli nie minie się z celem, zdolna jest podziurawić świat na sito.

Ku mostkowi kapitańskiemu podnosi się kciuk Ransarta: artyleria gotowa do otwarcia ognia.

W okienkach nadbudówek na dziobie i na rufie, imitujących wejście do kubryków, pojawiają się podniesione kciuki: czterolufowe oerlikony gotowe do otwarcia ognia.

Obsługi dział okrętu podwodnego wycelowanych w mostek kapitański, w śródkręcie „Natalie”, celowniczo karabinów maszynowych zamocowanych na kiosku wpatrują się w swego dowódcę.

— ... pięćdziesiąt trzy... pięćdziesiąt cztery... pięćdziesiąt pięć... pięćdziesiąt...

— Szalupy na wodę! — ryczy Birn w tubę. — Opuszczać statek! — rozkazuje. — Abandon the ship! — powtarza.

Za szalupami rzucają się za burtę opasani kapokami marynarze pokładowi, kucharze, mechanicy. Rozkaz wykonany!

— Birn wymachuje czapką temu spod kiosku. Dwadzieścia par rąk przebiera wodę ku szalupom i tratwom. Więcej ludzi załoga takiego małego stateczku nie liczy. I jak przystało na kapitana przestrzegającego bon-tonu francuskiej marynarki handlowej, jako ostatni skacze do wody.

Godzina 18.46.

Słońce leży brodą na linii horyzontu. Wsiąknięcie w ocean nie zajmie mu więcej niż dziesięć minut. Jeszcze dziesięć minut dnia. Napastnicy, jeżeli chcą zawładnąć zdobyczą przed zapadnięciem ciemności, muszą się spieszyć. Ten granitowy Hacke popełnił fatalny błąd,

prawdopodobnie zdaje sobie z tego sprawę. Winien był zostawić na pokładzie kapitana statku i głównego mechanika — tak rabuś, roztropny rabuś, nie wyznający się w obcym terenie, by postąpił. Światło dnia jest teraz dla niego na wagę złota. Obsadzić siatek, zapoznać się z jego rozplanowaniem, systemem paliwowym, rozmieszczeniem zbiorników przy, jak głoszone, nieczynnym generatorze i nie znanym stanie akumulatorów, trzeba jeszcze za dnia, dla samego już łupienia zdobyczy lepsze będą ciemności. Granitowy rzuca okiem na niebo. — Prędej — popędza ludzi. — Schneller! — denerwuje się.

Nie bez powodu się denerwuje: ktoś czegoś zapomniał. Czegoś dla sekcji abordażowej niezbędnego, bo jeden ponton z szóstką ludzi zawraca, na dwóch pozostałych przestają wiosłować. — Donnerwetter nochmal! — słychać wściekłego dowódcę okrętu.

— Niech to szlag trafi! — zlorzeczy kapitan Ransart. Nikt nie pomyślał, że spotkanie z przeciwnikiem nastąpi na odległość wyciągniętej ręki. W połowie drogi między statkiem a napastnikiem, gdzie o otwarciu ognia mowy jeszcze nie będzie, pontony znajdą się w martwym polu ostrzału jego artylerii; pochylić luf bardziej już nie można.

— Zatelefonuj do oerlikoniarzy — doradza mu Laxer. — Ich działka mieszcza się wyżej.

— Nie — Ransart kręci głową — mogliby źle telefon ziozumić i podnieść kurtynę przedwcześnie. A poza tym ci tam mają nas z pewnością na podsłuchu. Żadnego hałasu.

Cholera jasna, dlaczego zawracają? niepokoi się skulony pod wiatrochronem Mizera. Czyżby domyślili się podstępu? Z tej odległości, jeżeli się dobrze przyjrzą — a patrzą ze słońcem — łatwo odkryć mistyfikację; musieliby być ślepi, aby tego nie dostrzec. Jak tylko zawrócą ludzi, torpedy pójda w ruch. Trzeba zaczynać.

W ostatnim momencie powstrzymuje rękę. Pontony odbijają. Podrzucono na nie jakieś rzeczy — aha, latarki elektryczne! rozpoznaje Mizera — i ruszają. Szalupy są spory kawałek od statku. Porządnie uzbrojone. Wezmą przeciwnika w kleszczowy ogień z karabinów maszynowych ukrytych pod gretingami.

Cisza przed burzą. To krwawe słońce, ta drżąca pod skorą woda zapowiadają nadejście czegoś gwałtownego. Przyjdzie szkwał, sztorm, huragan, cyklon, koniec świata. Niech tylko ci w pontonach podpłyną bliżej, wówczas granitowa postać pod kioskiem zawaha się przed odpaleniem torped w swoich własnych ludzi. Choć kto go wie. A po burzy, po huraganie, po cyklonie jak po biblijnym potopie, Pan da ludziom swoje przebaczenie, na znak zaś, że dał, rozwiesi nad oceanem tęczę. I wtedy wszyscy ocaleni na chwałę jego zaśpiewają hosannę, ale nie wcześniej niż po podpłynięciu sekcji abordażowej pod burtę Arki. Płyńcie w spokoju, bracia. Nie leńcie się, silniej przebierajcie wiosłami, wyzwolenie wasze blisko. Tysiąc sążni pod pontonami gumowymi nadmuchanymi sprężonym powietrzem, na których tak niecierpliwie się wierzycie, dokładnie pod waszymi dupskami ułożony w ognistych krzewach koralowego dna oceanu spoczywa snem wiekuistym wasz dobry znajomy. „Golden Creek” się nazywa, nie opóźniajcie nadejścia pojednania. Jeszcze jedno machnięcie wiosłkami, umiłowani bracia. Jeszcze jedno. I już ostatnie... Ręka komandora podporucznika Alizery przecina powietrze.

— Ognia!

Torpedy! Dlaczego nie padają torpedy? Dlaczego .

I już nie padną! Głuche detonacje we wnętrzu okrętu, rakiety drą poszycie kadłuba, dziurawią kiosk; artylerzyści Ransarta biją wszystkie rekordy, oerlikoniarze sieją spustoszenie wśród rozbieganych figurynek na pokładzie Goliata, a torpedy nie padają. Gdzie są torpedy, co miały posłać „Natalie” w powietrze? Co się stało, że nie padają? Uniestwiający knock-out w pierwszym starciu: okręt kładzie się na burtę. Chryste, kładzie się! Nie ucieka w zanurzenie, to nie to — przewala się na bok jak słoń po śmiertelnym ciosie. To koniec. Jego imponujący dowódca z rękami na skrwawionej piersi, już nie granitowy monument a klęczące na postrzelonych kolanach nieszczęście, bełkoce spod zdemolowanego kiosku o dalszej walce, lecz to nie jest walka. To jatka, siekanina, rozstrzeliwanie oszalałych ludzi.

— Wstrzymać ogień! — rozlega się głos Mizery. — Koniec! Wstrzymać ogień!

Silna eksplozja na rufie okrętu wstrząsa oceanem. Słońce powstrzymało swoją ucieczkę z tej

części świata. Zbyt długo na ten spektakl czekało, aby nie obejrzeć go sobie do końca. Ale zadowolone nie jest. Tyle sobie po jego aktorach obiecywało, a tu raczej zawód. I diablo szybko się kończy. Kiedy główny bohater wystawia z wody swój tył, pokazuje się bezwstydnie widowni od swojej najbardziej intymnej strony, epilog dramatu może być tylko jeden. To już koniec. Wszystkich błyskotliwych aktorów jednakowy. Taki bywał, jest i pozostanie. Raczej nieciekawym.

— Reflektory na wodę! Oświetlić wodę! Załoga ratować rozbitków!

Słowa te padły z postrzelanego mostku „Natalie”.

część druga

ROZDZIAŁ I

Tanecznym krokiem do gabinetu pełnego zdjęć aktorek filmowych weszła na platynę utleniona dziewczyna. Oddychała szybko. Duże piersi pod bluzką, obcisłe szorty, długie nogi — zgrabna, wyzywająca. Siadła wdzięcznie na biurku, nogami w stronę czarnowłosego mężczyzny w koszuli z rękawami podwiniętymi na kosmatych ramionach.

— Wciąż ci się jeszcze podobam, Rico, tak? Wciąż lecisz na mnie, co? — Uśmiechała się zalotnie. — Nie lubię — skrzywiła ładną buzię — jak wzywasz mnie podczas próby. Wiesz, później zaglądamy mi w oczy i plotkują. Zazdrosne małpy! — Przesunęła się na krawędź biurka i rozchyliła uda. — Że też tobie nie umiem odmówić, Rico. Tobie jednemu. Chodź...

— Uciekaj z twoją dupą! — usłyszała. — Jak ty wyglądasz, do jasnej cholery!

— Zawsze lubiłeś, kiedy łątek na sobie miałam jak najmniej. — Nie schodziła z biurka. — Po co wyrwałeś mnie z sali? I o co ten ton?

Mężczyzna przygryzł cienkie wargi.

— Spieprzaj! — warknął. Gwałtownym ruchem zadarł do góry bluzkę, szorty szarpnął w dół.

— Co to jest? — Prztyknął w gorset opinający brzuch. — Dochowaliśmy się balonika, tak? I wyobrażamy sobie, że ludzie są ślepi, co?

Nie dopuszczał jej do głosu. Dziwka! Wyobraża sobie, że studio jest ochronką. Ze Rico da się złapać na taki ograny kawał. Zerknął na zegarek.

— Jest jedenasta. Jim wypłaci ci za cały dzisiejszy dzień i niech cię więcej nie oglądam. Pakuj się!

— A moja rola w „Teraz i zawsze”? — zapytała z płaczem. — Obiecywałeś, Rico. I mówiłeś, że z żadną nie było ci tak dobrze jak ze mną.

Z żadną nie było mu tak dobrze... Madonna mia, jakie one głupie!

— Obiecywałeś, Rico — użalała się dziewczyna. — Mówiłeś tyle miłych rzeczy. Kocham tylko ciebie. Kocham cię, naprawdę. To z tobą...

Mężczyzna trzasnął ją w twarz.

— Powiedz to wariatowi, dziwko! Pół wytwórni się przez ciebie przejechało... Naszej i jeszcze paru innych, mam na to świadków.

Włączył dyktafon.

— Tak, mister Spallazio? — odezwała się sekretarka.

— Kontrakt z Amy Langley z dniem dzisiejszym zerwany. Odbierz jej przepustkę do wytwórni. Dziękuję.

Otworzył drzwi na oścież i głośno — sekretarka musiałaby być głucha, aby nie poderwać głowy znad biurka — dorzucił:

— Drugi akt tej sentymentalnej scenki odegraj przed Donem Candy, przed Lucky Eeltonem, przed Chrisem Lamare, przed którymkolwiek z zastępu twoich gachów. A teraz jazda stąd, nie mam czasu!

Rico... Don... Lucky... Chris... wypełnili sobą całą godzinę jazdy szybkim autobusem z wytwórni do domu leżącego na wschodnim krańcu rozwlekłego miasta. Rico odpadł z listy. Odstrzelił ją, jak to się mówi, przy pierwszym podejściu, lico byłby najlepszy. Nie jako mąż, nigdy go sobie w tej roli nie wyobrażała. Ricardo Spallazio z Columbia Studios jest wschodzącym gwiazdorem choreografii, facetem, z którym liczą się najwięksi. Być z Rico w jakimś związku — dobrej lub ziej sławy, obojętne — to już coś. Rico jest brutalny z kobietami. Bije jak wszyscy Włosi, lecz spośród mężczyzn, z którymi przed czterema miesiącami chodziła do łóżka, jedynie Rico jest kawalerem, pozostali są żonaci, dzieciaci, nic z żadnego nie wydusi. Tragedia. Że z nią jest coś nie tak, zorientowała się po niewczasie. Okresy ma od początku

nieregularnie. Z opóźnieniami dochodzącymi do dwóch tygodni, nie zwracała na to uwagi. Jeżeli dwa tygodnie bywały regułą, dlaczego miała drzeć szaty z powodu następnych dwóch. A poza tym ci wredni ginekolodzy każą sobie za badanie dobrze płacić. Kiedy więc w końcu się zdecydowała, był czwarty miesiąc. Czwarty! O skrobance nie chcieli słyszeć.

— Telefonowali z towarzystwa ubezpieczeń — przywitała matka. — Dzwoniłam do studia, ale sekretarka, nie wiem dlaczego, nie chciała cię przywołać. Mówili, że statek, na którym Martin wypłynął, zaginął. Z całą załogą. Przyjdą zabezpieczyć jego rzeczy. Co ty na to?

— Co mnie obchodzi twój głupi Martin! — warknęła Amy, — Mam ważniejsze sprawy na głowie! — W połowie schodów przystanęła. — Martin... — zaniósła się. — Cholerny bufon, dla którego byłam powietrzem, niezrównoważoną gówniarą, kopniętym powsinogą miałabym zawracać sobie głowę? Gdybym była tobą, za żadne skarby me wynajęłabym mu pokoju Zginął Dobrze mu tak. Żebyś wiedziała, że życzyłabym mu tego! Wściekła cisnęła w matkę apaszką, którą zdjęła z szyi, i pobiegła do swego pokoju na piętrze. Ale jeszcze przedtem wypluła jej w twarz bolesną prawdę: — Wyleciałam z pracy bo jestem zrobiona, rozumiesz? Nadmuchana! Patrz — uderzyła się w brzuch — cztery miesiące, ty, ślepa!

Szlochając rzuciła się na łóżko.

— Rico! Rico! — Biła bezsilnie pięściami w poduszkę Bydlaku! Dlaczegoś to zrobił na oczach tej małpy. Przecież ona rozniesie na całe Hollywood.

Kiedy już się wypłakała, wzięła prysznic i tak jak wyszła z łazienki, w narzuconym na mokre ciało płaszczu kąpielowym siadła przed lustrem.

Pozostała sama ze swoim kłopotem, z tajemnicą swego brzucha, która przestała być tajemnicą, z nabrzmiałymi już piersiami. Sama jedna na tym świecie. Piętro niżej była matka ale co tam ona!

Na tę zastraszoną istotę liczyć me mogła. Co ona wie o jej codziennej szarpaninie, żeby utrzymać się na powierzchni tego błotka. W całym swoim życiu nie wytknęła nosa z domu dale, jak po zakupy i do kina. Pospolita baba bez wyobraźni Czy pomyślała kiedyś o pragnieniach córki? Czy ona wie, co to jest Hollywood? Do kina chodzi przynajmniej raz w miesiącu, wszystko, co dostrzeża, to happy end. Łzy, cudowne pętały w rodzaju Shirley Tempie, dobrzy ludzie i jeszcze lepszy Pan Bóg — oto jej przeżycia duchowe. Czy umie przymknąć oczy i w listku ujrzeć szybującego ptaka, a w słonce trawy odległe kramy? Na to potrzeba wyobraźni.

Marzenia Amy? Wiele dziewczyn o jej urodzie zaprzedałoby duszę i ciało za ujrzanie swojej twarzy na afiszach premierowych kin. A ojciec? Paul Langley, w młodości pastuch z Colorado Plains, tramp, niedoszły zdobywca Żółtych Rękawic boksu amatorskiego w wadze ciężkiej, w końcu zawodowy podoficer marynarki wojennej, co wszystkie swoje porażki życiowe nadrabiał na skórze swoich najbliższych. Udanie się jego jedynaczki w drodze powrotnej ze szkoły na wystawną Olvera Street było grubym przewinieniem, zahaczenie o New China Town — przestępstwem, bieg z wywieszonym językiem po Bulwarze Zachodzącego Słońca — zbrodnią. Potrzeba było ataku Japończyków na Pearl Harbour, posłania bosmana Langleya w opakowaniu pancernika „Arizona” na dno Pacyfiku, aby jego prywatna forteca na przedmieściu Los Angeles legła w gruzach.

Liżąc przed wytwórną Paramount loda, Amy usłyszała gwizd uznania za plecami. Do gwizdów była przyzwyczajona. Słyszała je w szkole, wystarczyło przelecieć się w szortach po ulicy, a już się rozlegały. Gwizdy i te ochy-achy. Ale ten gwizd był inny. Zaciekawiona odwróciła głowę.

Paddy pracował dla agencji werbującej dziewczęta do filmu. Przedstawił się jak wszyscy ocierający się o tę branżę. Ekran... I work for the movies... — od pierwszego słowa gotowa była iść z nim na koniec świata. Paddy na tak długą wędrówkę z nią się nie pisał. Pokazać ją — „wcielenie seksu” — swoim bossom chciał. To też, lecz wprawdzie pokazać; jego bossowie, jak się okazało nie przyjmowali towaru z drugiej ręki... Miała piętnaście lat, figurę 36-24-36, rudą grzywę a la Clara Bow. Nie musiało to być mało, skoro po bossie Paddy'ego zainteresował się nią boss jego bossa, po nim paru jeszcze wyższych bossów. Na tym jednak

jej wspinaczka po szczeblach tego światka się skończyła. Zadatki na karierę miała duże. Nogi, biodra, piersi, fotogeniczną twarz, miała wszystko, tyle że nie doszlifowane — twierdził każdy boss i zachęcał ją do pracy nad sobą, a żeby podczas szlifowania nie umarła z głodu, dawał jej sekundowe wstawki. Jej największym sukcesem była rólka smarkatej nimfy w „Yankee Doodle Dandy” z Jamesem Cagneyem. Obraz zdobył drugą nagrodę nowojorskiej krytyki, Jim pierwszą Akademii Filmowej, ona zaś... Właśnie!

Film stał się dla Jima nie mniejszym sukcesem niż „Aniołowie z brudnymi twarzami”, producentom napędził do kabzy miliony, reżysera wyniósł na szczyty, natomiast erotyczny epizod, w który Amy włożyła cały swój talent, faceci z cenzury obyczajowej wycięli. Za realizm...

Nie ma sprawiedliwości, w każdym razie dla dziewcząt naprawdę utalentowanych. Gdyby miała już nazwisko, pieniądze i chody, ten realizm byłby nowym listkiem w wawrzynie jej sławy, a ponieważ nie miała ani pierwszego, ani drugiego, trzeci natomiast tylko u podrzędnych krętaczy, swoje najlepsze lata...

Lepiej nie mówić! Hollywood jest najgorszym miejscem pod słońcem dla kobiety, która w uczciwy sposób chce zrobić karierę. Wszystkie wielkie gwiazdy zdobywały wpierw uznanie w męskich łóżkach; i żadna tego nie ukrywała. Izabelę Duncan wylansował król maszyn do szycia, Singer, Mary Pickford — Douglas Fairbanks, Polę Negri — Emil Jannings, Thedde Shearer, która z listy „female celebrities” ma pod względem łóżka karnet najgęściej zapisany, nie kto inny jak sam Baxter Barrymore. Najważniejsze bowiem, do kogo to łóżko należy — niedoświadczone dziewczyny nie zawsze zdają sobie z tego sprawę. Srogo to się na nich mści.

*Pracuję w filmie (ang.).

Wydeptując ulice Beverly Hills nieraz wyobrażała sobie taką scenę: Oto skrajem chodnika idzie zgrabna dziewczyna, idzie biedactwo zamyślane, zagubione w tym rezerwacie sławy, gdy nagle pada pod latarnię uderzona błotnikiem rolls royce'a. Z wozu wybiega przestraszony pasażer, którym okazuje się Garry Cooper, porywa ją do wytwornego wozu i zawozi do swego pałacu. Niedługo potem całe plotkarskie Hollywood trąbi o niezwykłym odkryciu przez Ccopera wielkiego talentu.

Tak było w wyobrażeniach, w rzeczywistości zaś Amy lądowała w betach takich szmatławców jak Don Candy, Lucky Felton, Cliris Lamare...

Don kręci krótkie reklamówki dla przemysłu spożywczego, Lucky dla chemicznego (pasty, mydła, rozpuszczalniki, proszki do mycia i prania), Chris dla biur turystycznych. Klasą wśród tych oblizywaczy wielkopańskich stołów jest Rico: taniec, balet, rewia — wymarzona trampolina do wykatatapultowania *dzie-więtnastolatki* na wyżyny. I tu taki pech! Skończyły się sny. Dziewczyna z ciałem skażonym przez ciężę — wśród tłumu smarkul ściągających do Hollywood z całych Stanów, gotowych absolutnie na wszystko, by tylko gdzieś się zaczepić — nie ma szans.

Z podbitymi oczami, z lekko już zgrubiałymi wargami i tym rozmazaniem, jakie wkrada się na twarz kobiety ciężarnej i mąci jej czysty wizerunek, bez cienia pudru, szminki, różu zeszała na dół. Niech matka zobaczy, do czego ją doprowadziła!

Matka przeraziła się. Dziewiętnaście lat, myślała, bez wykształcenia i zawodu, i w dodatku to dziecko, którego nie da się już usunąć — nic do śmiechu. Z czego będą żyć we trójkę? Z tych paru dolarów, jakie otrzymuje po mężu?

— A Martin? — rzuciła niepewnie.

— Coś ty! — wrzasnęła Amy. — Z nim?

Wzgardliwy ton, taka sama mina — były próby złapania go na haczyk, ale nie wyszły. Martin Strang... pani Langley polubiła go. Nie mówił, skąd przybył, unikał rozmowy o sobie. Ale na policji rozwiano jej obawy. „Oficer marynarki handlowej. Wypisany ze szpitala po ranach odniesionych podczas zatopienia statku na Atlantyku” — powiedziano. Szybko zdobył jej

sympatię; w dodatku był kawalerem. Ale żeby okazywał zainteresowanie córką, tego nie mogła powiedzieć, wręcz przeciwnie: stronił od niej jak od ognia.

— Nie to, Amy, myślę o czymś innym. Chciałabym ci pomóc. W tych sprawach my, kobiety — pani Langley mówiła z poważną miną — bywamy skazane na własne siły. — Spoglądała wyczekująco na córkę. — Czy wolno zadać ci jedno pytanie?

— Nic” rób cyrku, do diabła! — usłyszała.

— Więc dobrze już, dobrze — brnęła przez labirynt swoich myśli. — Więc ten Llartin...

— Wydukasz wreszcie, o co ci chodzi?

Pani Langley przebrnęła -łaśnie przez ostatni zakręt labiryntu i wyszła na prostą. Ta śmierć może się okazać szczęśliwym zrzędzeniem losu dla tego domu.

— A więc posłuchaj — powiedziała. — To, że nic was nie łączyło, jest obecnie bez znaczenia. Za godzinę będą tu faceci z towarzystwa ubezpieczeń i z marynarki handlowej. Jeste.n w ciąży z panem Martinem Strangiem, powiesz im i okażesz zaświadczenie lekarskie. Zamierzaliśmy się pobrać po powrocie narzeczonego z tego rejsu. Wdowie renty po poległych wraz z dodatkiem na dziecko są spore, a jeszcze przysługiwać ci będą jednorazowe odszkodowanie. Załatwimy to, Amy, zobaczysz, tylko mądrze to rozegraj. Jestem dobrej myśli. Idź na górę, wciągnij jakąś kieckę i wracaj. Tylko żadnego makijażu, żadnych dekoracji. No, zbieraj się, lada chwila mogą się tu zjawić.

Komandor podporucznik Mizera, wpatrzony z pomostu m/s „Natalie” w tępy dziób okrętu — który z zjadłością wściekłego smoka taranował fale, atakował je przemyślnie od spodu, od korzeni, od samego dna, rozbeltywał zwartą masę wody w piankę, w kogel-mogel — cały świat widział dziś w jasnych barwach. Oto chwata! — śpiewało spojone nitami poszycie okrętu, starego grata z tamtej wojny, spisane już na złom, a jak dzielnego w jego rękach. Chwata, chwata! — potakiwał wibrującemu kadłubowi zasapany, kichający spalinami silnik. Chwata nad chwaty! — wtórowała mu każda cząstka wysłużonego żelastwa przywrócona do życia mocą jego woli, wbrew rozsądkowi, na przekór, na pohybel wszystkim wydumanym racjom rzucona do walki z nieuchwytnym przeciwnikiem, po zwycięskim starciu gnająca teraz na łeb, na szyję do swego matecznika.

To, co u schyłku wczorajszego dnia nastąpiło, było największym wydarzeniem w życiu Mizery. Niebawym nie tylko w jego ocenie. Jego misterna reżyseria przez siły pozarozumowe, gdy wracał wspomnieniami do tej dramatycznej godziny, przywodziła na myśl palec Boży, tyle że wczoraj jeszcze przez niego nie dostrzegany. Natura też się godnie do tego wystroiła.

Ten największy w świecie ocean nazywa się Spokojny. Taki jest, jak długo przygrzewanie słoneczka, nawodne harce latających rybek mu się nie sprzykrzą. Komunikaty radiowe uprzedzały o spadku ciśnienia barycznego w rejonie Nowych Hebrydów i Wysp Lojalności. Na innych szerokościach geograficznych zjawiska te są zapowiedzią zmiany pogody, rzadko — poza obszarem Morza Karaibskiego — czegoś wywracającego świat do góry nogami, tutaj należy je brać jako ostrzeżenie przed najgorszym. Pojedynek z u-bootem — a jego przebieg bardziej przypominał fikcję niż rzeczywistość — pełen dramatyzmu, był jak przypadkowe zwarcie nietożsamyh ładunków elektrycznych, powodujące potężny grzmot, po którym następuje przejmująca cisza. Był zaskoczeniem dla załogi okrętu, nawet jakiś czas potem wszystkie czynności wykonywali automatycznie, jak w nierealnym śnie. Niż formował się na wschód od Nowej Kaledonii. Ciśnienie baryczne spadało gdzieś na dziesiątym krańcu świata, na innej planecie, można by nie przykładać wagi do komunikatu i dalej robić swoje, gdyby nie działo się to na Oceanie Spokojnym. Tutaj od małej chmurki na niebie, od chuchnięcia wiatru do piekła Sądu Ostatecznego bywa tylko krok. Reflektory myszkowały w ciemnościach szukając rozbitków, ekipy ratownicze wytrzeszczały oczy w poszukiwaniu łachmanów przypominających człowieka, niewinne zmarszczki na lustrze wody rozrosły się

do kipiących, rozjuszonych zapadni grożących wiosłowym szalupom wywróceniem. Trzeba było przerwać akcję i wracać. Czas był najwyższy. Gwałtowne uderzenia wichury, co znikąd spadła na ocean, zapowiadały co więcej niż zwyczajne pogorszenie się warunków atmosferycznych. Z sekundy na sekundę wzmagająca się siła wiatru, czerni atramentu subtropikalnej nocy rozświetlały złowrogo błyskawice, nawałnica rozplenionych fal waliła się wodospadem w pustkę, na zatracenie; opętańcze zapasy jednej oszalałej góry wody z drugą, dziesiątej z tysiączną, nieskończoność skłębionej w paroksyzmie szału natury stanowi wstęp do symfonii heroicznej króla oceanów, której finałem będzie śmierć. Biada temu, co ostrzeżenie zignoruje. Toteż przerwanie akcji ratowniczej było nakazem chwili. Może gdzieś dalej od okrętu trzepotały się czyjeś ręce. Może zaszokowani, oślepieni walką ludzie pomylili w ciemnościach strony i miast ku zbawczemu okrętowi płynęli w kierunku odwrotnym — w pustkę, rozważania te musiały jednak ustąpić miejsca trzeźwej ocenie sytuacji. Ocean nie żartował. Komunikaty radiowe podawane co kilka minut nie pozostawiały czasu na spekulacje. To już nie pogorszenie się pogody. To nie szkwał, nie sztorm, nie huragan; język komunikatów był równie dobitny jak język żywiołu. Była długotrwała cisza, upał, żar, sielanka, zabawa, a teraz, uwaga, oznajmiono: Z zachodu zbliża się tajfun! Nie minęła północ, jak świat wokół postrzelanej „Natalie” zmienił się w wirujące piekło. Król oceanów dostojnie, na miarę swojej wielkości przejmował w posiadanie ciała poległych w walce i oddawał hołd pozostałym przy życiu zwycięzcom.

Radiogram o zatopieniu korsarza i wzięciu jeńców przyjęto w Garden Island jak każdy inny. Ale chwilę później zażądano potwierdzenia jego treści, jak gdyby podejrzewano pomyłkę. Spotkanie tego przeciwnika pod nosem największej morskiej bazy wojennej Australii, na obszarze będącym pod stałym nadzorem lotniczym i nawodnym, wystawiało temu nadzorowi kiepskie świadectwo. Niedługo potem odezwał się sam wiceadmirał. Okazywanie emocji nie jest w jego stylu. Zdarzenie musiało go i zachwycić, i przytłoczyć. Było osobistym, podjętym na jego prywatne ryzyko sukcesem, ogromnym sukcesem, me wolnym jednak od posmaku porażki. A wszak nie jego to wina, że w odległej Europie rzeczywistość rozmija się z oceną sztabów imperialnych, a wróg, widziany już jak na patelni, daleki jest od składania broni.

Odpowiednie depeze zdążono już na pewno wysiać do Canberry, stamtąd do Londynu. Stolica brytyjskiej wspólnoty narodów znajdowała się na drugim krańcu świata. W czasach kapitana Williama Cooka przesłanie wiadomości lordom Admiralicji trwało długie miesiące, dzisiaj przestrzeń dla radiotelegrafu nie istnieje. W Londynie była wtedy siódma raro. Mizeia zerknął na duży chronometr w wypolerowanej na złoto mosiężnej oprawie, wiszący nad pulpitem sterownicym, i porównał czas ze swoim zegarkiem. Była dokładnie dwunasta. Od momentu nadania radiogramu okręt zrobił trzysta mil. Upłynęło siedemnaście godzin. Że decyzje dotyczące spożytkowania tego sukcesu zapadać będą nie w Canberze ani w Sydney, ale w przyciężkawym kompleksie gmachów na Baker Street, tego się domyślał, nie sądził jednak, że zajmie to tyle czasu. Na szczęście swoje i załogi, spragnionej pochwał świata, zajęcia nikomu nie brakowało.

Stan „Natalie” — już nie zbiornikowca: trójkolorowa bandsra francuskiej marynarki handlowej powędrowała do pudła, z drzewca na rufie trzepotała teraz dumnie na silnym wciąż wietrze flaga brytyjskiej floty wojennej z pięcioma gwiazdami zwrotnika Koziorożca, emblematem Australii; zabawa w chowanego skończona; jesteśmy znowu jednostką Royal Navy! — więc stan „Natalie” był dobry. W pojedynku dostało się pomostowi dowodzenia, w który gruchnął jeden z nielicznych pocisków artyleryjskich oddanych przez u-boota; było kilka ckiur wokół stanowisk dział na pokładzie; na dziobie ziała wyrwa po kubryku maskującym gniazdo oerlikona — uszkodzenie w sumie niegroźne dla tak zwanej dzielności morskiej okrętu. Załoga też wyszła ze zwarcia ze stratami znacznie mniejszymi, niżeli należało oczekiwać po spotkaniu lufa w lufę z tak silnym, jak się faktycznie okazało, przeciwnikiem: trzech zabitych, w tym dwóch strzelców nieszczęsnego oerlikona z dzioba, uśmierconych na miejscu celnym trafieniem, oraz sternik; siedmiu rannych, wśród nich Cnkar Ransart ze swoim enfant terrible, działonowym Geraklem Laxerem, inżynier Leon Birn i sam

dowódca okrętu; u-boot, choć wzięty w ogień z dwóch stron z całkowitego zaskoczenia, nie poddał się łatwo. Dla Mizery, doświadczonego w boju artyleryjskim małych jednostek, był to widok fascynujący; niemieccy marynarze, nie mający osłony, wystawieni na rażenie niczym tarcze strzeleckie na poligonie, miast szukać schronienia we włazach, za masywnym kioskiem, z nieprawdopodobną pogardą śmierci odparowywali cios za ciosem; pozbawieni szans — już niedobitki spośród kilkudziesięciu ludzi, którzy po wynurzeniu wybiegli na pokład — nie bacząc na niechybną zgubę, na tonięcie okrętu walczyli do ostatniej chwili. Było to coś zdumiewającego. Każdy z nich może być skończonym łotrem, zbrodniarzem schwytanym w pułapkę, lecz nie sposób odmówić im uznania. Po prostu uznania. Ani obronić się przed podziwem dla ich postawy.

Wspaniali żołnierze, tego nie sposób nie przyznać. Niemcy są znani z ofiarności w walce, cechuje ich także automatyzm, bezmyślność w zabijaniu, owczy, bez oglądania się za siebie, pęd ku wykonaniu rozkazu. A przecież jeszcze tak niedawno Lew Tołstoj pisał o nich jako o narodzie kapustożernych pracusiów nadających się do wszystkiego, tylko nie do wojaczki. „C'est un Allemand, mais brave garçon, s'il en fut. Mais Allemand” — mówi pogardliwie ustami kapitana francuskiej lekkiej kawalerii o żołnierzu niemieckim. Ciekawe, co hrabia Tołstoj powiedziałby, oglądając ich wczoraj. Walka z takim przeciwnikiem to więcej mi spełnienie obowiązku, Panowie, czapki z głowy!

„Straceńcy! — powiedział artylerzysta Gerald Laxer. — Na ich miejscu zachowałbym się tak samo. Nie pozostało im nic innego jak zginąć”. Może i racja — ważył w sobie Mizera zaokrąglony wniosek swego gorącochrysta kanoniera, lecz o jego słuszności nie był przekonany.

Jeniec przedstawił się sam: „Doktor medycyny, starszy lekarz sztabowy marynarki wojennej Frauenheim. Wolfgang Johann Frauenheim”. Pełnym stopniem wojskowym, stopniem naukowym, obojga imionami...

*Niemiec, ale mimo to dzielny chłopak. Jednakowoż Niemiec” (franc).

Zbyt salonowo jak na swoje warunki. Już w wysuszonej bluzie, schludny. Oksfordzkim angielskim o szekspirowsko teatralnym akcencie; postawą w jednej trzeciej wojskową, w jednej trzeciej jeniecką, w pozostałej jednej trzeciej cywlno-towarzyską, ale w dobrym tonie, typowym dla ludzi stawiających pierwsze kroki wewnątrz fortecy co prawda wroga, a i sprawiającego korzystne wrażenie. „Jestem chirurgiem. Miękkim” — uściślił swoją specjalność zawodową. Zaofiarował się z pomocą.

Lekarz okrętowy porucznik Chris Raehwail w ubraniu krwią fartuchu, ze zmęczenia ledwo trzymający się na nogach wpatrzył się w jeńca swymi niewyspanymi oczami. O czym on przed chwilą myślał? Aha — o warunkach pracy na tym cholernym pudle! O zlokalizowaniu przez idiotę — konstruktora tego okrętu — szpitalika, gabinetu zabiegowego, izby lekarskiej dokładnie nad wściekle łomoczącym silnikiem głównym, c wystawiało i lekarza, i pacjentów na ciężką próbę — pomyślał. Ale nie tylko o tym. Z siedemnastu jeńców podjętych z wody piętnastu było rannych. Lżej lub ciężiej, wraz z ich dowódcą, którego stan, jego zdaniem, był beznadziejny. Uradować go może oblatany chirurg umiejący coś więcej niż wyciągać z ciała odłamki, podwiązywać żyły, amputować kończyny — a nade wszystko dobrze wyposażona sala operacyjna z odpowiednim personelem pomocniczym. Sugerował przetransportowanie go do szpitala. Garden Island nie ma nic przeciwko toma — wysła sunderlanda, lecz w pierw ocean musi się uspokoić; wodowanie maszyny na rozhuśtanej fali może sitończyć s;ę niedobrze. Fala nie ustąpi rychło. Pacjent, jeżeli w ciągu para rodzin nie zostanie poddany zabiegowi, umrze. W prymitywnych warunkach starego okrętu Rachwall nie czuł się na siłach przeprowadzić w pojedynkę tak skomplikowanej operacji. A co len człowiek powiedział?

Gładko uczesany brunet, ciemnoniebieskie oczy, mimo czarnego zarostu sympatyczna twarz. Do złudzenia podobna do twarzy oficera u-bootwaffe z amatorskiego zdjęcia powielonego w

prasie. Ujmująca, budząca zaufanie. Gdyby Chris Rachwall ujrzał ją gdzieś na ładzie — w szpitalu, na ulicy, gdyby zderzył się z nią u kogoś na party, zobaczył ją w pociągu czy gdziekolwiek, odczułby zainteresowanie, do kogo ona należy; spróbowaliby, być może, dowiedzieć się o niej czegoś bliższego.

Tymczasem ten gładki człowiek to zbrodniarz. Ten przystojny oficer w niepełnym umundurowaniu (bez obuwia, tylko w skarpetkach) budzący na oko sympatię, był mordercą dziewcząt, uśmiercał je, by pozyskać z ich ciał szkielety. Ale chirurg klatki piersiowej i brzucha!

Zbyt salonowo jak na swoje warunki. Już w wysuszonej bluzie, schludny. Oksfordzkim angielskim o szekspirowsko teatralnym akcencie; postawą w jednej trzeciej wojskową, w jednej trzeciej jeniecką, w pozostałej jednej trzeciej cywilno--towarzystką, ale w dobrym tonie, typowym dla ludzi stawiających pierwsze kroki wewnątrz fortecy co prawda wroga, ale sprawiającego korzystne wrażenie. „Jestem chirurgiem. Miękkim” — uściślił owoją specjalność zawodową. Zaoferował s z pomocą.

Lekarz okrętowy porucznik Chris Rachwall, w ubraniu krwią fartuchu, ze zmęczenia ledwo trzymający się na nogach wpatrzył się w jeńca swymi niewyspanymi oczami. O czyni to on przed chwilą myślał? Aha — o warunkach pracy na tym, cholernym pudle! O zlokalizowaniu przez idiotę — konstruktora tego okrętu — szpitalika, gabinetu zabiegowego, izby lekarskiej dokładnie nad wściekle łomoczącym silnikiem głównym, co wystawiało i lekarza, i pacjentów na ciężką próbę — o tym myślał. Ale nie tylko o tym. Z siedemnastu jeńców podjętych z wody piętnastu było rannych. Łżej lub ciężej, wraz z ich dowódcą, którego stan, jego zdaniem, był beznadziejny. Uratować go może oblatany chirurg umiejący coś więcej niż wyciągnąć z ciała odłamki, podwiązywać żyły, amputować kończyny — a nade wszystko dobrze wyposażona sala operacyjna z odpowiednim personelem pomocniczym. Sugerował przetransportowanie go do szpitala. Garden Island nie ma nic przeciwko temu — wysła sunderlanda, lecz w pierw ocean musi się uspokoić; wodowanie maszyny na rozhuśtanej fali może skończyć się niedobrze. Fala nie ustąpi rychło. Pacjent, jeżeli w ciągu para godzin nie zostanie poddany zabiegowi, umrze. W prymitywnych warunkach starego okrętu Rachwall nie czuł się na siłach przeprowadzić w pojedynkę tak skomplikowanej operacji. A co ten człowiek powiedział?

Porucznik Rachwall udał się na pomost dowodzenia.

Ocean był wciąż wzburzony, niebo zaciągnięte kłębiastymi chmurami. Wysokie grzywacze miały okrętem jak łupiną, stanie z obandażowaną głową na zdemolowanym, otwartym na porywy wiatru pomoście nie nastrajało do przyjacielskiej awędki. Samopoczucie dowódcy okrętu pogarszało podejrzanę zachowanie się Garden Island. Przyjęli rzecz do wiadomości, pogratulowali i po dwóch godzinach milczenia nakazali cisę radiową aż do odwołania. Jak gdyby utracono nie ten okręt... Co oni tam sobie myślą!

— Lekarz wzięty do niewoli, w myśl konwencji haskiej, obowiązany jest wykonywać nadal swoją powinność, tak na rzecz własnych ludzi potrzebujących pomocy, jak i wroga; czyżbyś o tym nie wiedział? Pod nadzorem i na twoją odpowiedzialność, oczywiście! — warknął minorowo nastrojony Mizera. — Masz do mnie coś jeszcze?

Porucznik wrócił do szpitalika z postanowieniem operowania. Ale w pierw upewnił się co do swojej diagnozy. Stan pacjenta jest krytyczny — potwierdził to jeniec starszy od Rachwalla o dziesięć lat i tym samym bardziej doświadczony jako lekarz. Czy w warunkach, jakimi szpitalik dysponuje, na roztańczonym, wzburzonym oceanie jeniec zgodziłby się mu pomóc? Czy zabieg, zdaniem jeńca, rokuje nadzieję?

Ostatniego pytania Rachwall się zawstydził. Takich pytań się nie zadaje. Nadzieję rokuje każdy zabieg, jakiego chirurg się podejmuje, powinien być pamiętać o tym szkolnym prawie. A więc?

Mającego już pacjenta szybko przygotowano do operacji. Rozpoczął ją Rachwall.

Rozpoczął i po otwarciu jamy brzusznej, po ujrzeniu galarety z jelit zrosił się cały potem. Zimna rosa na czole chirurga nie należy w salach operacyjnych do rzadkości, nikt się tym nie przejmuje. Na czymś innym uwaga wszystkich wokół stołu jest skoncentrowana: na jego palcach. Jeżeli te, trzymające skalpel nad polem operacyjnym, drgną, należy je zastąpić palcami innego chirurga, to warunek nieodzowny. Nie pytając o pozwolenie, akcję przejął jeniec. Trzy godziny później obaj lekarze ściągali w milczeniu upačkane krwią i ropą odzienie. Ciężka operacja dobiegła końca. Pacjent nie odzyskał przytomności, ale serce, płuca zaczynały pracować miarowo. Niedawny absolwent akademii medycznej z trudem ukrywał podziw. Po raz pierwszy zetknął się ze słynną w świecie niemiecką medycyną.

I co dalej z przedstawicielem niemieckiej medycyny na ciasnym podwórku tego szpitalika? Dalej, to jest po zdjęciu rękawic, fartucha, po pierwszym kojącym nerwy dymku papierosa?

Doprowadzenie się jeńca do porządku trwało dłużej — niemiecka medycyna więcej czasu przeznaczająca na oblućje pozabiegowe niż brytyjska. Tego chirurga cechowała pod tym względem piekielna pedanteria: po wytarciu i dezynfekcji rąk każdy paznokieć poddany został oględzinom, zaalazł on czas dla najmniejszego pyłka na ubraniu. Niemiecka *grundlichkeit*.

Rachwall nacisnął zatrząsk papierośnicy.

— Proszę zapalić, panie... Ależ proszę się nie certolić! Zabieg był skomplikowany, męczący. Ja czuję się wykończony nerwowo, a cóż dopiero...

Podanie jeńcowi ognia było krokiem za dużo ze strony porucznika; niepisany kodeks brytyjskiego oficera nie przewiduje takich poufałości. Ale czy kodeks brytyjskiego lekarza wojskowego przewiduje takie sytuacje?

Postawy ludzkie w okolicznościach szczególnych, takich jak wojna, wynikają często z przesłanek irracjonalnych, myślał Rachwall. Toteż należy wykazać dużo powściągliwości w szermowaniu o nich opinii. Dopóki wojna trwa, widzi się wszystko w barwach czarno-białych. To poniekąd konieczność, kiedy jednak na sprawy spojrzysz z dystansu czasu... To tak jak z plackiem porannej mgły zalegającym dolinę: gęstym, nieprzejrzystym z daleka, a gdy się zejdziesz w dół — nieuchwytnym oparem. Tak samo bywa z ludźmi. Czasu potrzeba, spojrzenia na ich postawy z lotu ptaka, ale przede wszystkim czasu. Zresztą nie do mnie należy osąd tych spraw!

Wynikło to jakoś automatycznie. Z uwagi Rachwalla o dużej odporności organizmu operowanego pomimo widocznych oznak daleko posuniętego wyniszczenia od wewnątrz, spowodowanego chyba zażywaniem jakiegoś narkotyku. Czy... — Rachwall przeskoczył słowa „kolega”, „doktor”, „komandor” — zgadza się z jego podejrzeniem o przyjmowaniu przez dowódcę u-boota jakichś szkodliwych dla wątroby i nerek specyfików? Rzeczy takie nie uchodzą uwagi lekarza współżyjącego z załogą tak blisko, jak to się dzieje na okręcie podwodnym.

Jeniec pominął to milczeniem. Ale między jednym dymkiem a drugim, przeplecionym łykiem kawy, dowiedział się Rachwall, że *Fregattenkapitän Hacke* to pod każdym względem nieprzeciętny człowiek i, co u takich osobników jest nierzadkie, stawiający siebie ponad otoczeniem. Trochę maniak. Głębokie westchnienie. Stanowczo nie chodzi o szukanie alibi, zapewnił jeniec, lecz faktem jest, że bardzo wcześnie odmówił on swego udziału w ekscesach na bezbronnych rozbitkach, za co — tak jest! — został aresztowany jak zwykły majtek i odseparowany od załogi. Uwłączające. Zastępca dowódcy u-boota kapitan *Strelov* może to potwierdzić. Kapitan *Strelov* oraz porucznik *Wenk* — (ten, któremu Rachwall amputował trzy palce u ręki); tylko ci dwaj zdobyli się na odwagę stanąć po jego stronie. Ale nie pora na te rzeczy.

Nie pora, przyznał w duchu młody lekarz gasząc papierosa. Zmęczenie ścinało go z nóg. Ołowiane powieki spadały mu na oczy. Ciężka operacja i jeszcze ta rozmowa. Zmęczenie. Godzina snu, a zamęt w głowie uładzi się. Zamęt i wątpliwości, jakie go osaczyły. Bo czy to możliwe, aby ten taktowny, kulturalny, pedantycznie czysty człowiek, wspaniała chirurg... W imię czego, do licha! A jeżeli informacje wywiadu są mylne?

Opiekę nad pacjentami powierzył sanitariuszowi. Gdyby zaszło coś poważniejszego, sanitariusz ma go budzić. Jeniec podniósł głowę w gotowości do usług. Rachwall podziękował za gest uśmiechem: wszyscy ranni są opatrzeni, poza ostatnim przypadkiem nikomu nie grożą żadne komplikacje, gdyby jednak co — budzić!

W ostatnim przeblysku świadomości pomyślał, że winien normalnie, po ludzku podziękować jeńcowi za wspaniałą lekcję chirurgii miękkiej.

Trzeba było pochować trzech poległych marynarzy. Pogrzeb morski czy lądowy? Problem powstał z niewielkiej odległości okrętu od bazy. Normalnie ciała poległych w bitwach lub zmarłych podczas rejsu oddawane są morzu. Odbywa się to według ceremoniału stosowanego w brytyjskiej marynarce od długich lat; Royal Navy nieboszczyków na pokładzie okrętów Jego Królewskiej Mości traktuje z nie mniejszą uwagą jak żywych, a uświęcony tradycją ceremoniał przestrzegany bywa skrupulatnie bez względu na warunki. I stąd problem. Siłownie wyciąga solidne, jak na taki grat, dwadzieścia węzłów, do bazy pozostaje niespełna doba drogi, cała trójka poległych jest rodem z Sydney. Chować w morzu czy dostarczyć zwłoki rodzinom? O tym musi zdecydować Island. Tymczasem nieboszczycy spoczywają w chłodni, czyli obecni są na pokładzie, a to zawsze wpływa deprymująco na załogę.

Mizera żałował, że stan jeńca jest ciężki. Chciałby z nim porozmawiać. Ten człowiek oplótł jego myśli, niczym pająk oplata muchę. „Zbrodniarz”, „przestępca wojenny”, „hitlerowski korsarz” — słowa te, padające na odprawach z wyдутych potępieniem warg, cykane ze wzgardą w kasynie przy drinku, brzmiały dla niego pustką. Interesowało go: dlaczego zbrodniarz? dlaczego przestępca? dlaczego korsarz? — motywacja występku go interesowała, reszta to plewy. Gdy inni medytowali nad karą za zbrodnię, on szukał jej źródła.

Do Sydney doba drogi. W Londynie już kompletują akt oskarżenia przeciwko Hackemu — opasłe tomisko z tego będzie, tymczasem na ławie oskarżonych panuje martwa cisza. Czy marynarz — pytał siebie Mizera — którego karta służby w morzu jest pisana tak pięknie, może być zbrodniarzem? Pytanie bez odpowiedzi. Może być, czy nie może? Pytanie bez odpowiedzi. Ale Mizera nie myślał ustępować, ten człowiek umierający w szpitaliku nie może być zwykłym bandytą! „Słuchaj, Kurt! — odezwał się, zdecydowany wydobyć z niego odpowiedź. — W twoim mieście jest mnóstwo wież kościelnych, to piękne miasto, byłem tam kiedyś. Jeżeli nie przemówisz, nie ujrysz go nigdy więcej. To szaleństwo zbliża się ku końcowi. Po ulicach Gdańska spacerować będą młodzi ludzie, plaże zatoki będą nimi wypełnione, ale jeżeli nie powiesz: kto na tobie to wymusił, nigdy nie pójdziesz ze swoją dziewczyną ani na spacer, ani na plażę. Nie bądź frajerem, Kurt! Nie oszczędzaj tych wielkich cwaniaków, co to mienią siebie «racją stanu», a takich jak ty wysyłają milionami na wzajemne wyrzymanie się. Powiedz, dlaczego to zrobiłeś?”

Na twarzy Mizery pojawił się grymas cierpienia. Przelewacie z pustego w próżne na pomoście zagubionego na oceanie okrętu. I nic dziwnego: kiedy się sterczy na wietrze po takiej walce, po cudem przebyłym tajfunie, po nie przespanej nocy — do głowy pcha się mnóstwo myśli. Także nedorzecznych.

— Nareszcie! — Mizera wyrwał operatorowi radiogram i podniósł go do oczu. — Ale co to ma znaczyć?

„Bury the fallen stop proceed bradley's head for orders: stop cable arrival — sleigh”* — przeczytał na głos odszyfrowany rozkaz.

Komuś stojącemu za jego plecami wyrwało się szpetne przekleństwo.

— Taka jest wola króla... Wola króla jegomości! — zareplikował Mizera. Zaciśnięta podkowa warg, stanowczy ton; przekleństwo nie powtórzyło się. Nie odwracając głowy polecił potwierdzić przyjęcie rozkazu. Szyfrem!

Wszystko zakodowane, zamataczone, cicho sza, bo wróg podsłuchuje, Island wciąż zawiesza nad oceanem kurtynę tajemnicy. Dobrzy sobie!

Nie tak Mizera wyobrażał sobie powrót ze zwycięskiego rejsu. Nie będzie girlandów — zdecydował król Sleigh. Ale nie powiedział, dlaczego nie. Dlaczego okrętowi nie wolno przycumować do nabrzeża bazy, jak załoga tego oczekuje, dlaczego ma rzucać kotwicę

daleko od portu, jakby był zadzumiony? Kpiny!

*, „Poległych pogrzebać stop dalsze rozkazy na redzie bradley's stop zameldować przybycie — sleigh” (ang.).

Nakazał Ransartowi zająć się przygotowaniem pogrzebu: z jakichś drzwi czy czegoś trzeba zmajstrować pochylnię do spuszczenia zwłok za burtę, zamiast ołowiu, którego na pokładzie też nie ma, obciążyć każde ciało pociskiem artyleryjskim; modlitwę za umarłych na wszelki wypadek odszukał w modlitewniku już wcześniej. I wydzielić paru chłopaków do oddania honorowej salwy pożegnalnej; polegli zasłużyli sobie na to!

— A co u ciebie? — Dostrzegł przybyłego w tej chwili na pomost lekarza okrętowego. Podbite oczy Rachwalla nie wróżyły nic dobrego. — Mamy jednego umrzyka więcej, tak? — domyślił się. Śmierć dzielnego dowódcy u-boota przyjął z uczuciem ulgi.

Bryzgi wody wpadające z wiatrem na pomost nie sprzyjały spokojnej rozmowie, Rachwall poprosił go do pustej kabiny za sterówką.

— Czwartego umrzyka jeszcze nie ma — odrzekł ten z ulgą. — Jeszcze nie, choć o tym zadecydują najbliższe godziny. Operacja się udała. Pomógł mi, a właściwie sam ją przeprowadził lekarz okrętowy u-boota, ten, który według prasy zabawiał się produkowaniem szkieletów z dziewcząt. Wspaniały chirurg. Po zabiegu poszedłem się zdrzemnąć, powierzając operowanego opiece sanitariusza. I tu taka rzecz: sanitariusza — musiał go zmorzyć sen, co do tego nie ma wątpliwości — zaalarmowało rżenie nieprzytomnego pacjenta. Zapaściowe. Gdyby zbudzono mnie minutę później, byłoby po wszystkim. Znalazłem przyczynę: podejrzone ukłucie w drenie doprowadzającym krew do żył... Dren był fabrycznie nowy, nie używany... To ukłucie to ślad po igle strzykawki... Ktoś — słuchaj mnie uważnie! — próbował sprzątnąć operowanego wstrzykując do drenu powietrze. Ktoś, kto wie, że doprowadzenie powietrza do serca powoduje śmiertelną zapaść.

Mizera nie wierzył własnym uszom.

— Kto mógł to zrobić? — Właściwie niepotrzebnie pytał. — Niech go najjaśniejszy szlag! — syknął przez zęby. — Mam nadzieję, że podjąłeś odpowiednie kroki.

Chris Rachwall skinął głową. Niedoszłego zabójcę dowódcy u-boota zamknął w separacie pod strażą, nikomu z rannych jeńców nic z jego strony już nie grozi. Ale w duszy pozostał osad. Bo czy to naprawdę możliwe, zastanawiał się wciąż, aby lekarz, tak wspaniały chirurg... Mizera powędrował myślami w przyszłość. Znajdował się oto wewnątrz okazałego gmachu strzeżonego kordonami żołnierzy alianckich sił zbrojnych, zwycięzców tej wojny. W wielkim mieście — mógł to być Londyn, Waszyngton, Moskwa, każde z nich. Po jednej stronie sali, wypełnionej po brzegi przedstawicielami prasy z całego świata, siedzieli w togach członkowie Trybunału Narodów, po przeciwnej — bez insygniów, bez złota, bez pasów — oficerowie naczelnego dowództwa hitlerowskiej kriegsmarine. W napiętej ciszy odbywało się czytanie aktu oskarżenia, a w osobie nie przebijającego w słowach potępienia oskarżyciela generalnego Trybunału Narodów rozpoznał Mizera siebie. Uśmiechnął się cierpko.

Wiadomość z Canberry zelektryzowała szefa gabinetu Admiralicji wiceadmirała sir Ruphusa Canninga. Nikt z zaangażowanych w sprawę U-1852 nie wątpił w skuteczność podjętych działań, ale też nie oczekiwał tak zaskakującego rozwiązania.

Okręt został zatopiony. Poszukiwani oficerowie jego dowództwa, z wyjątkiem jednego, który poszedł z nim na dno, dostał się do niewoli. Sir Ruphus niezwłocznie przekazał informację pierwszemu lordowi Admiralicji przebywającemu na briefingu w rezydencji premiera.

Spektakularny sukces Australijczyków stawia na porządku dziennym dwie sprawy: transportu do Europy oficerów uznanych za winnych zbrodni ludobójstwa na morzu (teraz czy w terminie późniejszym) i wszczęcia postępowania sądowego. Pewnymi aspektami sprawy interesują się wywiady: wojskowy i przemysłu zbrojeniowego. Ten okręt to rewelacja. Jeden z dzielnych Australijczyków zachował na tyle przytomność umysłu, aby podczas walki wykonać zdjęcie wynurzonego u-boota. Postawa godna pochwały. Będzie można

zweryfikować, czy jest to ten sam okręt, o którym doniosło polskie podziemie.

W ciągu niespełna dwóch tygodni, jakie upłynęły od głośnej już w świecie konferencji prasowej Admiralicji, Polacy dostarczyli nowych, interesujących materiałów dotyczących parametrów operacyjnych okrętu, a także zastosowanych w nim po raz pierwszy rozwiązań technicznych. Nadana mu robocza nazwa „okrętu przyszłości” wydaje się w pełni uzasadniona; Amerykanie też się nim zainteresowali. Ale nie tylko oni. Rosjanom — tak uważa SOE — żadnych danych o tym okręcie nie udało się zdobyć, choć wywiad polskiego podziemia komunistycznego intensywnie wokół sieczni gdańskiej się kręci. Szkoda, że Australijczycy nie dostali okrętu w swoje ręce.

Sir Ruphus nakazał przygotować małą salę posiedzeń przylegającą do jego gabinetu. Pierwszy lord zechce być może omówić sprawę w szerszym gronie, Admiralicja ma zobowiązania względem prasy. Przedtem jednak powiadomi premiera. Winston Churchill okazał osobiste zainteresowanie i zabójstwem rozbitków, i samym okrętem. Pociągając łyżkami gorącą herbatę sir Ruphus zapoznał się z ostatnimi doniesieniami z frontów. Nie były budujące. W Europie cisza. Na całej długości granicy Francji armie anglo-amerykańskie utknęły na przedpolach linii Zygfryda, w Holandii toczą się lokalne utarczki, w Italii kompletny standstill. Po potwornej masakrze spadochroniarzy w Arnheim marszałek Montgomery już nie przebąkuje o spędzeniu świąt Bożego Narodzenia w Berlinie. Tyle o sytuacji na lądzie. Na wodzie też cisza. Atlantyk, Morze Północne, Śródziemne oczyszczone z wrogich okrętów, wszystko, co Niemcom z dumnej kriegsmarine pozostało, to pancernik „Gneisenau” zaszyty głęboko w polskiej Gdyni. Jedynie RAF chwali się aktywnością swoich bombowców. Na Pacyfiku ofensywa Amerykanów w pełnym toku. Zdumiewające zwycięstwa odnosi ich flota. Jak gdyby dobrzy przecież japońscy admirałowie załamali się. Sytuacja w Europie nie daje w sumie premierowi argumentów do gotującego się spotkania ze Stalinem. Przywódca rosyjski nie kryje swego niezadowolenia. Armia Czerwona, mając przeciwko sobie siedemdziesiąt procent niemieckich dywizji, w ciągu letniej ofensywy wypchnęła je z terytorium Rosji poza linię Wisły. Montgomery się nie mylił: wojna mogłaby się zakończyć w tym roku. Mogła... co w języku Stalina oznacza zarzut pod adresem zachodnich aliantów, głównie jednak Wielkiej Brytanii, gry na zwłokę. Członkowie Komitetu Szefów Sztabów, przebywający u premiera, nasłuchują się.

A tak na marginesie: Niemcy popełniają historyczny błąd stawiając aliantom zachodnim tak zacięty opór. W tej fazie wojny nie powinni mieć złudzeń co do jej epilogu. Ten opór nie jest słabszy od stawianego Rosjanom. Niezrozumiałe. Czyżby nie dostrzegali niebezpieczeństwa większego niż przegrana wojna?

Rzecznik prasowy Admiralicji jest w siódmym niebie! Royal Navy na dalekim Pacyfiku znowu dała o sobie znać! Rzecznik prasowy podchodzi do sprawy po dziennikarsku — sensacyjnie. Królewska Marynarka Wojenna dała znać o sobie znowu. Królewska Marynarka Wojenna ma swój siały ciężar gatunkowy. Wywiera wpływ na przebieg wojny samym swoim istnieniem. Myśliwce RAF-u zadały Niemcom pierwszą w tej wojnie klęskę, a marynarka wojenna samym swoim istnieniem, bez jednego wystrzału, odstraszyła Niemców od inwazji Wyspy. „Wysłać czterdzieści dywizji przez Kanał, nie mając wystarczających środków obrony przed Royal Navy, to lepiej od razu przepuścić je przez maszynkę do mielenia mięsa”. Powiedział to Hitlerowi nie kto inny, tylko sam szef niemieckiego sztabu generalnego, Franz Halder.

Royal Navy... Oczywiście! Nikt nie ujmuje wagi czynnikowi, jaki w systemie obronnym Imperium stanowi marynarka wojenna, nie to rzecznik prasowy miał na myśli. Prasa została oficjalnie dopuszczona do sprawy U-1852. W odniesionym sukcesie widzi poniekąd swój udział — jakiś. Admiralicja zechce zapewne powiadomić o tym opinię publiczną. Przez swego rzecznika prasowego czy też zorganizuje się konferencję prasową?

Sir Ruphus postawił wolno filizankę na spodku. Admiralicja nie odmówi sobie tej przyjemności. Ale dobrze, że rzecznik jeszcze się nie rozdzwonił. Pierwszy lord przebywa u premiera, Premier nie znosi gadulstwa, briefing nie potrwa więc długo. Umówił się z

rzecznikiem, że do powrotu pierwszego lorda nie będzie żadnych kontaktów z prasą. Pierwszy lord Admiralicji wrócił szybciej niż zwykle z tego rodzaju posiedzeń. — Broń Boże prasa! — Pochwalił roztropnego szefa gabinetu. — Zaraz to omówimy.

Wiceadmiral nie odpowiedział. Pierwszy lord przybył z Downing Street w towarzystwie członka rządu, bliskiego współpracownika i osobistego przyjaciela premiera, księcia Reginalda Dawida Marly-Stanforda.

Przeciwnicy księcia, nawet ci z ław konserwatywnych w Izbie Gmin, nazywają go skrajnym reakcjonistą, warmongerem — podżegaczem wojennym, tak samo zresztą jak i jego wielkiego przyjaciela. Książę nie ma nic przeciwko temu. Jeżeli stawianie na pierwszym miejscu interesu własnego kraju oznacza dla kogoś reakcję, mogą go tak nazywać. Zapominają tylko, jak Anglia dzisiaj by wyglądała, gdyby zabawiła się w jednakowo dla wszystkich dobrego brata. Dziel i rządź — naczelnym hasłem polityki zagranicznej Korony. Dziel silnych, rządź słabymi — istotnie, interpretacja słuszna, czy jednak naród tak niewielki jak Anglicy mógłby, stosując inną politykę, utrzymać w ryzach imperium rozciągające się na cały świat? Ci sami ludzie insynuowali, że to on wraz z Winstonem Churchillem byli orędownikami zorganizowania krucjaty przeciwko Związkowi Sowieckiemu, że nikt inny jak on we własnej osobie torpedował pertraktować w sprawie stworzenia wspólnej z Sowietami zapory przeciw Hitlerowi, prowadzone w Moskwie na krótko przed wybuchem wojny. Żadna to dla księcia Reginalda Dawida Marly-Stanforda obraza. Polityka jest sztuką przewidywania wydarzeń. Kto sztuki tej nie posiadał, niech politykę zostawi innym, a sam weźmie się za handel korzeniami!

Marly-Stanford to nie tylko wybitne nazwisko w brytyjskiej polityce. Marly-Stanford to chwała tego kraju, to jego mroczne zamczyska, to prawy miecz w potrzebie i podstępna trucizna w konieczności, to otwarte serce dla słabych i pazury wilka przeciw butnym; Marly-Stanford to głęboka, daleko sięgająca myśl polityczna. Nigdy nie licząca na poklask gawiedzi. Wiele słynnych w historii europejskich rodów, opluwając to nazwisko, godziło pośrednio w Anglię. Nazwisko broniło się samo. Broniło także wielkości tego kraju.

Anglia spełnia posłannictwo dziejowe w świecie. Tak było zawieje. Jest krajem najlepiej zorganizowanym, najlepiej rządzonym. Jest wzorcem państwowości. Siłą taką i wzorcem był ongiś Rzym, obecnie trwa era Anglii. Na niej też spoczywa odpowiedzialność za rozwój wydarzeń po tej wojnie.

Europa zawsze oskarżała Anglię o wtrącanie się w jej sprawy. Bzdura! Anglia zawsze trzymała się z dala od wewnętrznych smrodków Europy, najlepszym tego dowodem jest cała epoka ponapoleońska. We Francji rządził monarcha lub prezydent. Mogli sobie rządzić, jak chcieli, mogli Francuzi urywać sobie łby, Anglii to nic nie obchodziło. W Austrii panowała dynastia Habsburgów, mieniła się spadkobiercą cesarstwa rzymskiego. Mogła się mienić, jak chciała, mogła uciskać Węgrów, Czechów, Polaków, ludy macedońskie, mogła się turbować z carami Rosji, z królami Prus, Anglia się w to nie wtrącała. W Prusach panował ród Hohenzollernów. Mógł sobie panować, mogli Prusacy wynaradawiać Polaków, Litwinów, mogli przepychać się z Duńczykami, rozpychać aż po Ren, Anglia się w to nie wtrącała. Nad połową Europy i Azji sprawowali rządy carowie samodzierzcy Wszechrosji. W porządku, mogli sobie sprawować, mogli uciskać, trzymać za mordę Finów, Estończyków, Ukraińców, Mołdawian, Kozaków, sto ludów azjatyckich, mogli je wycinać w pień, zsyłać na Syberię, więzić, wieszać, Anglia się w to nie wtrącała. Nie wtrącała się w niczyje wewnętrzne sprawy, póki żaden z tych krajów nie myślał o zagarnięciu Europy. Podbój Europy oznaczałby jej konsolidację i skierowanie jej ogromnego w sumie potencjału gospodarczego na zewnątrz, co godziłoby w żywotne interesy Anglii. Aby do tego nie dopuścić, Korona musiała dbać o utrzymanie w Europie równowagi sił. Tak więc niech w europejskim kotle wrze, byle kipieli nie wylała się na zewnątrz. Czy można sobie wyobrazić taki kocioł bez regulatora ciśnienia?

— Panowie admirałowie — zaczął książę. — Dossier naczelnego dowództwa kriegsmarine jest spore. Są tam akty pogwałcenia prawa międzynarodowego, tragicznej sławy „Laconia-Befehl” zakazujący okrętom podwodnym akcji ratowniczej jako rzekomo sprzecznej z

zasadami prowadzenia wojny na morzu, rozstrzeliwanie jeńców — wiele przestępstw panowie ci mają na sumieniu, najpoważniejszym jednak jest wymordowanie rozbitków z frachtowca „Golden Creek”. Jest to zbrodnia bez precedensu. Jest to karta autowa w talii naszego oskarżenia. Aby ją dobrze rozegrać, postanowiliśmy ukryć przed światem wzięcie do niewoli załogi U-1852. Niech dowództwo kriegsmarine tkwi w przekonaniu, że na zbrodnię tę nie mamy dowodów; wielkie będzie zaskoczenie, kiedy na sali sądowej zobaczy je na własne oczy! Tak — książę Marly-Stanford kończył myśl, którą sam podsunął premierowi — zdecydował rząd. Sprawę okrywamy ścisłą tajemnicą. Proszę — zawisł spojrzeniem na pierwszym lordzie Admiralicji — wydać odpowiednie rozkazy. — I zakończył: — Nie będziemy sędzić żołnierzy. Będziemy sędzić zbrodniarzy w mundurach!

Naniesienia na mapie mówiły same za siebie:

Ta ciemnozielona plama — kolor tropikalnej dżungli, to Nowa Brytania, największa wyspa archipelagu Bismarcka. Czarna chorągiewka zatknięta w głębi złamanego ozora zatoki Blanche w północno-wschodniej części wyspy to Rabaul, stolica i jedyny morski port na wyspie, będący wciąż jeszcze najsilniejszą w tej części Pacyfiku morską bazą Japonii. Kreseczki przecinające ukosem wyspę w jej najwęższym miejscu, między zatokami Wide i Open, to linia japońskiej obrony Rabaulu od strony lądu. Na morzach okalających kiszkowaty kształt wyspy nie widać ani jednej czarnej makietki okrętu wojennego. Wzdłuż brzegów wyspy rozsianych jest dziewięć czarnych kółek z konturami samolotu w środku, przekreślonych czerwonym tuszem.

Szczegółowy opis położenia walczących stron można było sobie darować. Kolor czarny był w odwrocie, poprzekreślany, zewsząd osaczony przez kolor czerwony.

Monsunowa ulewa nie ustawała. Namiot generała ugiął się pod ciężarem lejącej się dzień i noc wody. Koniec listopada jest na całym pasie równikowym mniej więcej jednakowy, ale w tej części świata najpodlejszy.

Miliardy moskitów, nogi zebranych w namiocie oficerów taplają się w błocie, zaduch gnijącej dżungli można krajać nożem. Na archipelagu Bismarcka, na pobliskiej Gwinei, na Celebes, Jawie, Borneo i Sumatrze kiszotka ta potrwa do końca monsunu biorącego swój początek na Morzu Południowochińskim. To bardzo podła odmiana monsunu! Trzeba szybko ruszać do akcji. Porozdzielać zadania i w drogę, zanim malaria pożre połowę ludzi.

Dowódca nowo przybyłej na wyspę 5 Królewskiej Australijskiej Dywizji Piechoty Morskiej, generał major Ramsay mówił:

— Amerykanie, których pozycje przejęliśmy, szacują siły japońskiej Armii Ósmego Terytorium, pozostałe jeszcze na wyspie, na trzydzieści do pięćdziesięciu tysięcy chłopów. Musimy wyprzeć ich z dżungli, zapędzić do Rabaulu i tam zniszczyć. Wyczerpanie ich zasobów materiałowych jest znaczne. Przez naszą blokadę nie przedostał się od dłuższego czasu ani jeden statek. Nieprzyjaciel dziesiątkowany jest przez choroby, niedożywiony, pozbawiony wsparcia lotniczego. Z tego, co powiedziałem, narzuca się wniosek, że mamy przed sobą przeciwnika ślaniającego się na nogach. Nic bardziej samobójczego nad takie rozumowanie. Oficerów nowicjuszy na tym teatrze wojennym uprzedzam, że rzeczy te są dla Japończyka całkowicie bez znaczenia. To najbardziej bitny żołnierz świata, przedkładający w każdej sytuacji śmierć nad niewolę. Radzę o tym pamiętać!

Chcąc przejść do ofensywy, dywizja na waszym odcinku musi wpierw uporać się z jedną przeszkodą. Jest nią wzgórze Waitavalo, o tu. — Generał wskazał ciemniejszą na mapie plamkę leżącą między rzeczkami Mavelo i Wulwut. — Dzięki swemu usytuowaniu kontroluje ono ruch na zatoce oraz dostęp do traktu na Rabaul; to ważny strategicznie punkt Ukryte w jaskiniach skalnych działa nie są wrażliwe na atak z powietrza, trzęsawiska uniemożliwiają podejście do wzgórza od czoła. Szansę powodzenia, jak powiedzieli mi Amerykanie, rokuje przeprawa nocą na pontonach przez zatokę, przedarcie się na tył wzgórza i zniszczenie artylerii miotaczami płomieni. Wymaga to dużego obycia z dżunglą i wprawy w walce wręcz. To ryzykowna akcja, ale gwarantująca sukces; Japończycy nie oczekują ataku z tej strony.

W szarym świetle namiotu generał rozejrzał się za ochotnikami.

Amerykańscy marines dobrze zorientowali generała w warunkach terenowych wokół wzgórza Waitavalo. Podkolorowali nieco mówiąc, że łatwo wziąć je od tyłu — pontonami przez zatokę, skok w ciemnościach przez wąski pas plaży i tak dalej. O bagnach na drodze okrężnej do wzgórza napomknęli. O aligatorach, o węzłach czyhających na grzędawiskach — nie. Ale przecież ludzie obcy z dżunglą Nowej Brytanii obecności tych gadów powinni sami się domyślać. Nie zapomnieli o „mostku” nad górskim dopływem Wulwutu, ostatniej przeszkodzie przed osiągnięciem celu. Wspominając tę cholerną, diabelską, przeklętą kładkę z lian, na wysokości wieży katedry Świętego Piotra i Pawła w Londynie, zawieszoną nad skotłowanym, wirowatym wodospadem, nie pisnęli ani słowem o dzwoneczkach alarmowych podwiązanych pod tym przejściem igielnym i o gniazdach karabinów maszynowych tam zamaskowanych.

Sądzi się na ogół, że jankesi lubią przesadzać. Nieprawda! Dowódca doborowej grupy komandosów, która podjęła się zdobycia Waitavalo, pułkownik Kenneth Wall, mógłby stanowczo temu zaprzeczyć.

Tam — przed sforsowaniem tego ucha igielnego nad ryczącym wodospadem — rozjuczono muły i, aby porykiwaniem swoim nie zdradziły grupy, zarżnięto je. Dalszą drogę pokonano z ciężkim sprzętem na plecach.

Wall skierował lornetkę na plackowate w swej górnej części wzgórze. Akcja, którą Amerykanie obliczyli na jedną noc, po dwóch dobach morderczego szarpania się z dżunglą, z przebiegle pomyślanymi zasadzkami, osiągnęła cel: skalisty płaskowyż wystający łysą czapą z tropikalnego lasu, dominujący nad zatoką Wide. Poryty lejami po bombach i ostrzale artyleryjskim z morza. Przeprawę przez kładkę, podczas której zginęło paru Melanezyjczyków, a bez ich dzielnej pomocy Wall nie zrobiłby chyba kroku, miał już za sobą, przed sobą zaś: nie bronioną, według Amerykanów, stronę Waitavalo.

Cał po cały spenetrował lornetką podejście do wzgórza. Od skraju dżungli dzieliło go sto jardów otwartej przestrzeni. Ani mniej, ani więcej. Saperzy z podłączonymi do zbiorników z napalmem miotaczami płomieni czekali na rozkaz do skoku. Sto jardów lejów, krzewów paproci, jaśminów, storczyków. Tylko sto.

Sierżant Isaachsen z osłony ataku cicho wprowadził pocisk do komory brena. Stanowisko gotowe do otwarcia ognia — kiwnął głową. Pozostałe karabiny maszynowe ubezpieczenia, ukryte w gąszczu, też gotowe.

Obsługi moździerzy uporały się z osadzeniem na rozmokłym gruncie ciężkich luf. Moździerze gotowe do ostrzału stanowisk mieszczących się po niewidocznej stronie Waitavalo.

Prawie nadzy — tylko w spodniach do kolan — trooperzy melanezyjscy, z krótkimi tommygunami i ostrymi jak brzytwa sztyletami za pasem, postrach przywykłych do walki w zaroślach Japończyków, wstrzymali oddech. Ich czekoladowych ciał, upakowanych mazią kamuflażową na zgniłą zieleń, nie sposób odróżnić od otoczenia. Tylko błyski przekrwionych oczu i biel zębów zdradzają obecność tych niewielkich wzrostem dzieci dżungli, zwinnych jak pantera i jak pantera nieustraszonych w walce.

Ze szczytu zrytego wzgórza, jak na ironię, spoglądała w dół samotna palma kokosowa. Jedna jedyna. Pnie dzikich kakaowców, bananowców walały się wkoło niej poszarpane na drzazgi, tylko ona jedna stała nietknięta. Jak się ostała w tych bombardowaniach, nie wiadomo.

Cholerna setka, myślał Wall, nikt nam tego nie oszczędzi. Sto jardów sprintu pod górę i — złoty medal olimpijski w kieszeni. Tylko do tej palmy. Nie mógł oderwać od niej oczu.

W szarzyźnie mokrego brzasku wszystko — krzewy paproci, jaśminy, storczyki, zmierzwione listowie, leje po przedwczorajszych bombach porośnięte już świeżym mchem — wyglądało jednakowo. Wall wyteżył wzrok. Jeszcze raz spenetrował każdy cal tej ziemi niczyjej. Japończycy jakby niczego nie podejrzewali. Gniazda cekaemów broniące kładki nie miały połączenia telefonicznego ze wzgórzem. Przy zabitych nie znaleziono krótkofalówki. Ale jakiś azjatycki środek porozumiewania się chyba mieli! A więc przyczaili się czy nie?

Lornetka znowu powróciła na palmę. Nadmorska promenada w Torquay wysadzana jest

palcami, przypomniał sobie. Gdyby Flo zobaczyła tę tutaj...

Z samotnego drzewa spłynął lornetką w dół: nic podejrzanego nie zauważył. Poza tym, że na palmie nie było małp ani skrzekliwych papug stroniących od człowieka.

— Jak to ugryźć? — odezwał się do leżącego obok, tak samo jak on niesamowicie poźartego przez moskity kapitana Fairfax-Rossa, weterana walk na tej wyspie. — Ta cisza tam...

Domyślał się odpowiedzi. On też miał doświadczenie z Japończykami. Dżungla na Guadalcanal niewiele różni się od tej tutaj.

— Myślę, że przesypiamy moment zaskoczenia — usłyszał zdecydowany głos swego zastępcy. — Poszczuj ich trooperami, Ken. A jak będą w połowie drogi, ruszamy.

— Dobrze — zgodził się Wall. — Niech idą.

Zmęczonym ruchem pociągnął po napiętym jak struna karku.

Trooperzy zrobili spory kawałek, a tam — Wall trzymał wzgórze pod lornetką — ani drgnienia. Japoński dowódca tego ważnego strategicznie punktu musiałby mieć źle w głowie, gdyby swoje tyły zostawił bez ubezpieczenia. Ta nieziemsko cisza po tamtej stronie!

Po tej stronie też.

Sierżant Isaachsen, co ostatnie lata przed wybuchem tej głupiej wojny spędził wśród papuaskich łowców głów w dorzeczu Sepiku, któremu iść z maczetą na tygrysa bengalskiego a wstrząsnąć porcją frytek to jedno i to samo, ani drgnie przy swoim brenie.

Kapitan Fairfax-Ross to precyzyjny mechanizm do kluczenia w dżungli, do zadawania ciosu spadającego znikąd, ostatecznego, stworzony według bezbłędnych obliczeń matematycznych natury, jaki rodzi się raz na milion lat. Fairfax-Ross ustrzelił w swym życiu masę aligatorów i tyle samo „bloody Japów”, ma najdłuższą z żyjących Australijczyków metrykę zapisaną przez tropikalne lasy Nowej Brytanii. Fairfax-Ross jest niezawodny w sytuacjach poprzedzonych martwą ciszą.

Złoty medal olimpijski w sprincie pod górkę jest mało widoczny w tej szarudze. I wcale nie wygląda na złoty. Że też ludziom tak zależy na tym metalu. Złoto! Tu jest złoto! Kto chce złota?

A papużki?...

Cholera jasna!

Melanezyjczycy byli już dość daleko. Kiedy osiągną półmetek, atak ruszy. Oby się nie zdradzili.

Saperzy z miotaczami płomieni, obsługi brenów, moździerzowcy, Fairfax-Ross, Isaachsen, cały świat wpatrzony w swego dowódcę. Niewdzięczna jest rola takiego Pana Boga. Wall jeszcze raz podniósł lornetkę...

Nie do końca podniósł. Ręka dźwignęła ją do podbródka, gdy padł pojedynczy strzał. Oddany spod samotnej palmy. Pieklą ogniowego, jakie się po tym strzale rozpętało, pułkownik Kenneth Wall nie słyszał. Zerwał się gwałtownie na nogi i z rozdartą pociskiem skronią runął twarzą w listowie.

Popelniłem dwie paskudne rzeczy w życiu. Jedna gorsza od drugiej. Godziny moje są policzone. Normalnie, gdyby nie lata stałej gotowości do skoku na tamtą stronę rzeki, świadomość ta wprawiłaby mnie w stan żalosnej hysterii. Ale w życiu mego pokolenia normalnością stała się nienormalność, dlatego odchodzimy ze świata bez protestu; zbyt dużo namieszaliśmy, aby było inaczej, zejść więc trzeba ze sceny na paluszkach, jeżeli to możliwe, nie na oczach widowni. To drugie mam zapewnione. Zresztą słońce szybko się ze mną rozprawi. Z odwłokiem moim może się pobawić, sam to słońcu ułatwiłem, niech wpierw uciszy ten galimatias w głowie. Bo strasznie umierać ze świadomością śmierci zadanej niewinnym.

Prześladują mnie ślepek Kitki. Wymizerowanego kłębka czarnego futerka pociachanego przez kundla, zapchlonego. Stara Putzi przypatrywała się nowemu przybytkowi nieufnie ze swego miejsca na maszynie do szycia. Było w jej ślepiach, gdy przyglądała się moim zabiegom wokół Kitki, coś z Frauenheima. Gdybym był Kitką, bałbym się ślepi Putzi.

To prawda z tym filmem przewijającym się przed oczami człowieka u progu śmierci. Taśma

leci wyrywkowo, zygzakami, a the end nastąpi tam, za horyzontem...

Wiele pytań ciśnie się do głowy w tym kinie. Nieprawdopodobnie głupich. Jak na przykład:

A gdybym zaczynał od początku, to co?

Stanowczo za mało przeklinałem w życiu. Muszę to nadrobić: Cholera jasna! Kurwa mać!

Pierdolę ten zasrany świat. Pier-do-lę!

Nic mi nie jest źle.

Cholernie cacy byłem na całej linii. A z dziewczynami.. Ach dureń!

St-Nazaire... knajpki... mamzele... Co lepszym alfonsował — publiczna tajemnica, tak, tak, wielkoniemieccy rodacy w kraju! — wyższy oficer kwatermistrzostwa flotylli dozorowców.

A trzeba przyznać, miał gust! Nazywał się... nieważne.

Jaka jest różnica między: „oddała się”, „dała”, a „podstawiła”? Stałem się świnią na finiszu.

Nie jest ze mną tak źle!

Była tu jedna taka zgrabna, duża, ruda, niebylejaka. Cyce, giry, dupa i to jaką miała! Kłopot z nią był ten, że bez przerwy chciała.

To z arsenału tego kwatermistrza. Nieźle. Działa na wyobraźnię.. Bez przerwy... Można pęknąć ze śmiechu.

Sieg heil, ta epoka! Skończona! Harakiri! Will never come back!

A w ogóle to nie byłem mężczyzną, tylko grzeczniutkim skaucikiem. Brak odwagi, by jasno postawić sprawę. Chłop jak dąb, a takie gówno, zawsze tysiąc wątpliwości. I nic na głos, wszystko w sobie, niczym krowa na pastwisku. Cały naród jest taki.

Karl mnie tu wmanewrował, mama wie? Tak, on — Wielki Admirał Kriegsmarine Karl Doenitz. Nadmuchany, nieprzenikniony, oddany. Płaskodenny żaglowiec pod wiatrami wodza wszechczasów. Komunikat nadzwyczajny: Tysiąc u-bootów na dzień, Mein Führer!

Obrzydlistwo! A osiemdziesiąt milionów ludzi wpieprza tę papkę, wpieprza, bez zmruczenia oka wpieprza. Smacznego!

Niektórzy pytają, jak jest u Karla.

Hm...

Jeden podwodniak z literacką smykałką dokładnie to opisał, ale miał pecha: przed powrotem z rejsu i oddaniem manuskryptu wydawcy okręt jego wpadł na minę...

Pozostają więc gazety.

Komu zaś nie wystarczają, to wyobraźnia. Ty, mamo, wyobraźnię masz. Ma ją Ula, Brigitte, ojciec też. Lecz on słowa nie piśnie. Mężczyźni rodem z Königsbergu są mężczyznami. Dla prawdziwych mężczyzn dawanie upustu wyobraźni jest strengstens verboten.

„Zewnętrznym wyrazem dobrego wychowania są: powściągliwość, umiar, zdyscyplinowanie”.

Jak u Karla jest, tak jest. Jesteśmy powściągliwi, umiarkowani, zdyscyplinowani.

„Kitka też?”

Co Kitka?

„No właśnie...”

A co ma być? W porządku. Żebyś wiedziała, jaka ona milutka.

„A ja?”

Nie rozumiem.

„... dla ciebie... nie jestem milutka?”

Coś ty!

„Bo dla Helmutha z piątej c jestem najmilejsza, najśliczniejsza, naj...”

Nie wygłupiaj się!

„W całym gimnazjum mówią o mnie: naj, naj, naj. Fritz Krammer z maturalnej tez. Na wycieczce dobierał się do mnie”.

Przestań!

„Mówię ci!”

Bierzesz się do matmy czy nie?

„Było to po ćwiczeniach, po posiłku. Siusiu mi się zachciało...”

Mówię ostatni raz!

„Siusiu! Siusiu! Siusiu! Każdemu się chce. Przykucnęłam, a tu zza drzewa on. Stoi i patrzy jak urzeczony, zapomniałam języka w gębie. Jesteś śliczna, krztusi się, najślicznieszka na świecie. Masz taką, robi się czerwony, taką... I jak lunatyk patrzy mi między...”

Chryste Panie, jak ona może!

Giselle jest nieznośnie zarozumiała. Tyka, gały jak guzy od zimowego płaszcza — do kopanej piłki się nadają. I iksy: pęknać można ze śmiechu, kiedy chodzi. W matmie jest kompletną nogą. W fizie też, choć jakoś się przepycha. Ponieważ Ula w przedmiotach ścisłych potęgą nie jest, zlitowałem się. W połowie czwartej się to zaczęło. Co?

Wyrosnąć bardziej w ciągu tego półtora roku — nie wyrosła; już w trzeciej wystawała ponad dziewczęta. Zmaleć też nie zmalą, ale tykowata już nie jest. Taka szkolna Marlena Dietrich. Chichoty, kiedy na swych długasach sunie do tablicy, ustały. Według mamy powinienem skończyć z tym, bo jak długo można. Niby co? — pytam, a mama: „Ach, chłopcze, chłopcze, mam do ciebie zaufanie”.

Gisa jest zarozumiała, powiedziałem. Źle powiedziałem: jest bezczelna. Tuszuje sobie rzęsy. Przychodzi w rozpiętej bluzce. I stale odbiega od tematu.

Nie znoszę wycieczek w zielone!

Ausflüge ins Grune dla przyszłych zdobywców świata. Uczestnictwo obowiązkowe. Chłopcy i dziewczęta odstawiają to samo. Rzecz kończy się przy ognisku. Nie różnem — współcześni Germanie mniej mają mięsa niż ich przodkowie. Eintopfgerichtem się kończy. Siusianiem też. Można sobie wyobrazić tę scenę:

Iglaste lasy hanowerskiej puszczy wiosną. Śpiew ptactwa, zapach żywicy, mchu, trzymamy się z Gisą za ręce, palce splecione.

Żywica, mchy, kwiatki, trawy, ona i moje natchnione:

dem Schnee, dem Regen,

Dem Wind entgegen,

im Dampf der Klufte,

durch Nebeldufte,

immer zu! Immer zu!

Ohne Rast und Ruh!

Pomyłka, proszę państwa, to nie z Gisą scena. Do niej Goethe nie przemawia. Scenę z Gisą można sobie łatwo wyobrazić. Ale lepiej nie!

Fritz jest okropny z dziewczynami, suchej nitki na nich nie zostawi. Ale one to lubią. Brutalnie z nimi trzeba.

Milcz!

„Tak było, przysięgam. Gapi się na mnie, gapi i, trzy palce na serce, daj, powiada...”

O, Panie Święty!

„... pomacać. Tylko dotknąć, błagał. Obiecał przynieść mi pierścionek. Ten. Ładny, co?”

Jesteś... jesteś...

„Nie patrz tak na mnie! Nie dałam mu, słowo! Że go nie wsypałam przed dowódcą hufca?”

... rozpustna!

„Ja? Zazdrość przez ciebie przemawia, świętoszku. Nic przecież nie wskórał. A że lubi podglądać...”

Dosyć! Zbieraj swoje manele i jazda! Od jutra rób klasowy z Fritzem, z Helmuthem. Bezwstydnic!

Nie dała... Ma taką, taką, a nie dała...

Jaka jest różnica między...

Jest. Cholernie duża!

Kępka palm kokosowych, naokoło celuloidowe lustro laguny, na końcu celuloidu dzioby raf koralowych — wysepka bezimiennego, nie zamieszkanego atolu. Na mapach nawigacyjnych zaznaczone są jasną plamą. Plam tych w tej części Pacyfiku jest mnóstwo. Laguna jest płytka — aż do raf można ją przejść pieszo po jadalne małże — ale niebezpieczna; nagrzana

słońcem woda jest matecznikiem ryb płytkodennych — paszy rekinów; wyprawę do raf trzeba zacząć zaraz po odpływie, kiedy dno wyłoni się z wody. Małże już są poza moim zasięgiem, nie nadążam z ucieczką przed przyływem. Udo aż do podbrzusza podeszło ropą, prawe ramię jest bezwładne. Gangrena. Chodzić już nie mogę, lewa ręka nie radzi sobie z rozbiciem twardej skorupy kokosu. Pozostaje mi jedno...

Wszystkie zmartwienia mam za sobą. Po przekroczeniu pewnego progu pozostaje już tylko wyczekiwanie. Zazdroszczę kolegom, którzy poszli na dno z „Elektrą”. Męki ich skończyły się tamtego wieczoru, moje zaczęły wraz z otwarciem oczu na tej wysepce. Jak się tu znalazłem, dzięki czemu ocalałem z szalu żywiołu, jaki się wówczas rozpełtał — nie wiem. Nie zawdzięczam tępo kamizelce ratunkowej (przed wyjściem na górę nigdy nie krępowałem sobie swobody ruchów tym świństwem, nie stroiłem się w te gumowe dekoracje), bo kiedy wyrzuciło mnie z okrętu, nie miałem i jej na sobie. Wszystko, co pamiętam... nic właściwie nie pamiętam. Zagłada „Elektry” nastąpiła błyskawicznie. Sięgnąłem do kabury, aby wybiec na górę, a tu niespodzianka: kabura pasta... Odwracam się, a tu druga niespodzianka: moje parabellum. sierżant Frauenheim mierzy w moją pierś i naciska spust... Co się potem stało, jak długo byłem nieprzytomny, nie wiem. Zbudziłem się tutaj postrzelany, pokancerowany, kompletnie nagi.

Kilka godzin pionowego padania słońca osusza lagunę na pieprz. Każdą formę życia, jaka nie uszła z odpływem na głębszą wodę, rozkłada w cuchnącą breję — natura tutaj szybko załatwia się z niesprawnymi. Atole Pacyfiku nazywane są rajem na ziemi. Ładnie są nazywane. Gdy się je ogląda w kinie, żadne inne porównanie do głowy nie przychodzi. Ale w ich wodach toczy się nieustanna walka na śmierć i życie. Wygrywają głównie rekiny. Jest ich tu mnóstwo. Rify zamykają dostęp do wysp statkom, one kontrolują płycizny; nie wiem, jak przerzuciło mnie przez te patrole. Gdziekolwiek spojrzeć — płetwa. Jak gdyby urządziły sobie tutaj zlot. Przepuściły mnie dobrotliwie przez swoją barierę, teraz pewnie tego żałują. Skurwysyny! Niektóre w swojej bezszczelności podpływają pod plażę; wystarczy wejść do wody po pas i koniec pewny jak w banku. Myślałem o tym sposobie do czasu wyrzucenia na brzeg właściciela tej koszuli. Świadectwo ich roboty sparaliżowało mnie. Widok ścinający krew w żyłach. Wszystko, tylko nie to. Nie dam się przepuścić przez ich kałduny! Niech słońce mnie rozłoży.

To nie były majaki. Dowodem — koszula tego wyrzucone po na brzeg. I papiery w kieszeniach.

Ten człowiek nie schodzi mi z oczu. On i ten z dziennikiem okrętowym sprzęgli się ze sobą. Kitka i on. Frauenheim i Putzi. Obląkańczy kontredans twarzy. Brigitty ani matki wśród nich nie ma.

...Rozkazuję panu go zastrzelić!” — to Frauenheim.

„Żeby tego zafajdańca więcej tu nie widział!” — woła ten ze spaloną na węgiel twarzą.

„Uśpić tego smroda! — rozkazuje Hacke. — Liczę do trzech!”

Coś tu nie gra...

Odliczanie w sytuacjach podbramkowych to specjalność Hackego, Frauenheim rzadko otwierał gębę. Wświdrowywał się w człowieka tymi swoimi lazurkami, i cisza; ojciec też był małomówny, ale jak zaczął, to nie na wiatr. „Precz z łą srajdą!” Twarde konigsberskie „r”, w oczach lód, zupełne przeciwieństwo matki. Kto nie przestrzega porządków domu, jego wschodniopruskich porządków, precz! Łatwo powiedzieć.

Oczy tego poparzonego oficera z dziennikiem okrętowym na mnie zostały. Żadnych oczu w jego zwęglonej twarzy nie widziałem — czułem je. Oczu właściciela tej koszuli też nie widziałem: ocean wyrzucił na brzeg tylko korpus bez głowy, bez kończyn. Zagrzebałem go w piasku, koszulą przyodziałem się.

W kieszeniach są jego papiery. Kończę się, ale zmysłów nie postradałem:

W paszporcie są moje oczy, moje usta, mój kolor włosów, moje uczesanie; mój wzrost, mój rok urodzenia... Amerykanin wywodzący się z Torquay. W Anglii. Z dobrze mi znanego Torquay. Martin Robert Donald — trojga imion — Strang.

Ocean oddał mi moją drugą ofiarę: pierwszego oficera pokładowego amerykańskiego frachtowca „Golden Creek”, którego przed miesiącem własnoręcznie zastrzeliłem. Nawigator patrolującego wodnosamolotu wskazał ręką na obrzeże wysepki. Pilot przywarł głową do pleksiglasu burty. Coś w kształcie leżącego na wznak człowieka odbijało się wyraźnie na tle białego piasku. Pewnie jakiś topielec wyrzucony na brzeg. Zameldował do bazy w Noumei swoją obserwację i pozycję, po czym sprowadził maszynę do wodowania na lagunie. Dwóch z załogi wyskoczyło na brzeg. To był człowiek. Przedstawiał sobą okropny widok. Na zarośniętej, pokrytej strupami, zżartej solą twarzy uctowała chmara plażowego robactwa. — Spóźniliśmy się — ocenił nawigator. Uklęknął nad mężczyzną odzianym tylko w piaskowego koloru koszulę amerykańskiej marynarki handlowej. Spędził z piersi robactwo i chwilę posłuchał. — Chyba jeszcze... — zawiesił głos. Wydobył małe lustro i przyłożył je do rozwartej jamy ustnej leżącego. — Niemożliwe! — zawołał. — Ładujemy go na pokład. Szybko!

ROZDZIAŁ II

Jak ten czas leci! Upłynęły dwa miesiące od wprowadzenia się do tego pomieszczenia i przejścia tej sprawy, a wciąż ani chwili wytchnienia.

Praca w wywiadzie to coś specyficznego. To możliwość przeniknięcia dna ludzkiego oka. Ujrzenia ciemnej strony księżyca. Poznania kulis tajemniczych spraw — diablo interesująca praca. Porównuje się ją do pracy w kryminalistyce: nos, mocne nerwy. Oczywiście, są różne jej rodzaje. Zadania wywiadu bazy Garden Island, kiedy działania bojowe przeniosły się dwa tysiące mil na północ od Sydney, różnią się od zadań, z jakimi sekcja się borykała, gdy brzegi Australii były linią frontu, a jej wody — akwenami zmagañ flot wojennych.

Rutyniarzem zwą pracownika wywiadu, u którego nic nie znaczące drobiazgi układają się same w logiczną całość. Tak myślano w bazie, nie wyłączając mrukliwego wiceadmirała, o Ksn e Wallu. Niesłusznie, jak się okazało.

Na wielką miarę zakrojona operacja przekreślona została przez odkrycie na wodach Campbell. Kolejność zdarzeń w tym wyjątku pokręciła się Panu Bogu. Gdyby Ken wstrzymał się ze swą rezygnacją o czterdzieści osiem godzin, siedziałby nadal w tym gabinecie, on zaś przewracałby nadal papierki sztabu bazy.

Karierę oficera zawodowego zaczął McGovern przed wojną cd ataszatu morskiego w ambasadzie brytyjskiej w Berlinie — obiecująco zaczął. Potem ugrzązł w pracy sztabowej, najpierw jako łącznik królewskiej marynarki przy kwaterze głównej generała MacArthura, a następnie tu. Przeurzędniczone lata. Dzięki temperamentowi Kena się skończyły.

To już przeszłość.

Ken buszuje gdzieś na archipelagu Bismarcka. Jeszcze nie pisał. Odkomenderowano go do dyspozycji generała Sturdee, ale wiadomo już, że nie zagrzeł u niego miejsca: w Papui chwilowa cisza, a jemu spieszno do mocnych przeżyć. Oby szczęście mu sprzyjało!

Lato było upalne — to przedwojenne w Europie, kiedy Kate McGovern praktykował w brytyjskiej ambasadzie. Berlin różni się od Londynu, jest zupełnie niepodobny do Paryża. W obu tych stolicach zabawić się można w każdym lokalu; wybierając się zaś do lokalu w stolicy Tysiącletniej Rzeszy, nawet do jednego z tych na Kurfurstendamm, człowiek skazywał się mimo woli na udział w rytualnym obrzędzie podbechtywania do czynu wojowniczego ducha Hunów, kończącym się ekstatyczną orgią wiwatowania. Gromkie toasty, tumult, chóralne wycie — stanowczo nie na gust australijskiego prowincjusza. Po paru takich próbach McGovern wymienił lokale na spacer po mieście.

Aleja Unter den Linden — zamykając oczy na neoklasycystyczną sztampe urzędowego marmuru, kadzie brązu przelanego w marsowe oblicza zbawców Prus — ma swoją

niewpowtarzalną urodę. Odmienną od słynnych deptaków innych stolic europejskich. A te lipy wiosną...

Kwiatu lipy daleko do dzakarandy, eukaliptusu, do japońskich wiśni, bzu, do mrowia kwiecica Oceanii. Ale mimo to wielki ma urok. Lipy z Alei Unter den Linden w ciągu jednego wieczoru oczarowały go.

Któregoś dnia maszerowała Aleją bojówka SA-manów. Pochodnie, sztandary, werble — nic nowego w Berlinie owej wiosny. I on jeden na chodniku, w lesie podniesionych w hitlerowskim pozdrowieniu rąk...

Napastników nie zdołano odszukać.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy odrzuciło protest ambasady.

„Poszkodowany nie miał na czole napisane, że jest Brytyjczykiem. Mógł być przecież zwykłym Niemcem”.

Mógł.

Po pięściach pozostały McGovernowi dwa złote zęby w górnej szczęce, po kopniakach — odbita nerka, która zmusiła go do przeurzędniczenia wojny w sztabach.

Zajście rozegrało się błyskawicznie. Czy zapamiętał jakąś twarz? Przecież wszystkie miały ten sam wyraz — fanatycznego zaślepienia.

— Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy nie ceregieliło się zbytnio. Brytyjczyk... Za oknami śpiewano: Bo dzisiaj nasze są Niemcy, a jutro cały świat! Dzisiaj: Nadrenia, Saara, Austria, Czechosłowacja, ćwierć Litwy w kieszeni, a rząd Jego Królewskiej Mości domaga się ukarania winnych... Im się jeszcze wydaje!

Jedna z twarzy zakarbowała się w pamięci McGoverna. Nie należała do oficera z teczki akt, jakich siedemnaście leżało na jego biurku, chociaż mogła należeć.

Według danych z Londynu kapitan Hans Strelow, w trzydziestym dziewiątym roku bosmanmat na pancerniku „Admirał Scherer”, przebywał wówczas na kursie nawigatorów u-boot-waffe. Twarz ta ma stuprocentowe alibi.

A twarz z teczki numer 5?

Wykluczone. To nie twarz z ulicy. Z wytwornego salonu, z buduaru, z albumu pięknej kobiety — tak. Z sali operacyjnej, gdzie jednym cięciem lanceta decyduje się o życiu lub śmierci człowieka — nie!

Co innego twarz z teczki numer 4. Ta pasuje na ulicę. Chytre śleпка w bezbrowych oczodołach, blade, wessane policzki — wypisz wymaluj gęba najemnika do mokrej roboty. Z oficerem artylerii okrętu porucznikiem Egonem Wenkiem sędzia śledczy nie będzie miał trudnego zadania.

Całkowitym nieporozumieniem w tym towarzystwie wydaje się twarz z teczki numer 2. Najcieńszej z teczek leżących na biurku. To twarz marzyciela rzuconego omyłkowo w wir ludzkich spraw, skazanego przy pierwszym spotkaniu z wrogiem na przegrana.

Kapitan inżynier Ulrich Ihna nie składał zeznań. Poszedł na dno wraz z okrętem. Składali je inni. Mechanicy Garbaty, Renfer, motorzyści Gehrman, Klein, oficer pokładowy Neuenahr, radiooficer Schlindwein wystawili kapitanowi bardzo pochlebną opinię. Lekarz okrętowy, zastępca pokładowy dowódcy okrętu, oficer artylerii oświadczyli natomiast, że złym duchem załogi, inicjatorem likwidacji rozbitków był kapitan Ulrich Ihna!

Trójka ta obwinia go o zastrzelenie z własnej woli pierwszego oficera amerykańskiego frachtowca „Golden Creek”, co spowodowało tę tragiczną jatkę. Szczegóły o niej są wyjątkowo odrażające.

McGovern przeprowadził mały rachunek: mechanicy, motorzyści to garnitur głównego inżyniera okrętu, trzymający, rzecz jasna, stronę swego szefa. Ich zeznania zalatują kamracką solidarnością. Oni sami zaś pozostają poza oskarżeniem. Żaden nie brał udziału w likwidowaniu rozbitków. Potwierdza to radiooficer, który z racji swojej funkcji przebywał podczas wynurzenia okrętu przy swojej aparaturze. I tu rewelacja. Schlindwein oskarża lekarza okrętowego o systematyczne zatrucie dowódcy. Celu nie zna, lecz się domyśla: chodziło o przejście dowództwa przez kapitana Strelowa, kumpla lekarza, i skierowanie

okrętu do jednego z państw Ameryki Południowej. Radiooficer dowiedział się tego od sanitariusza, który niedługo potem w tajemniczych okolicznościach zaginął. W dzienniku okrętowym zapisano to jako „zmycie z pokładu podczas szkwału”, zgodnie z meldunkiem lekarza, faktycznie jednak było usunięciem przez lekarza niewygodnego świadka swoich praktyk.

Galimatias do kwadratu. Bardzo ludzki przy tym.

Zeznania są różne, tak samo jak postawy: od godnej, żołnierskiej, do łajdackiej. A przecież załoga tego okrętu została wyselekcjonowana z najlepszych...

Los lubi płać figle. To jednak, co spletał ludziom wpłatanym w pozabojową działalność U-1852, zdarza się niezwykle rzadko. Ciekawa będzie ich reakcja, gdy się z tym figlem zapoznają. Nie tych z okrętu — to marne pionki w grze: wielkich dyrygentów. Takich, co po każdym koncercie, bez względu na reakcję audytorium, z namaszczonym uszanowaniem kłaniają się sobie i idą do domu.

Będzie to wielkie wydarzenie. Ponury dramat. Od pierwszej odsłony kurtyny do ostatniego uderzenia cmentarnej łopaty. Albo też skończy się farsą, jeżeli przygotowania do spektaklu zostaną w jakimś punkcie pokpione.

Reżyser spektaklu z Admiralicji Brytyjskiej, podpisujący za-szyfrowane radiogramy kryptonimem MI (NAA), potwierdził nadejście przesyłki w dobrym stanie.

Mat podchorąży Henning Gehrmann ze względu na stan zdrowia nie nadawał się do odbycia tak uciążliwej podróży. Ale Admiralicja ma do niego jakiś pilny interes...

Były asystent profesora Waltera, wynalazcy nowego systemu napędowego dla morskich jednostek pływających, pracującego na paliwie energetycznie znacznie wydajniejszym od stosowanych paliw konwencjonalnych, projektanta konstrukcji określonej mianem okrętu podwodnego przyszłości, jest w tej chwili dla Londynu osobą najważniejszą. Nie oficerowie dowództwa U-1852, o których narobiono tyle szumu, nie sam Fregattenkapitän Kurt Hacke, według prasy kwintesencja wszelkiego zła, me makabryczny lekarz z tego okrętu, ale końcowy numer w ogniu załogi, motorzysta turbiny napędzanej perhydrolem.

Okręt podwodny przyszłości. Przyszłość — nie za rok, za dwa, lecz druga połowa wieku XX, a może już wiek XXI? Niemiecka myśl techniczna czasu wojny: gazy bojowe, pancerniki klasy „Bismarck”, rakiety V, cudowne bronie. W ustach niemieckich konstruktorów broni słowo to brzmi dla lordów Admiralicji złowieszczo. Dawać inżyniera Henninga Gehrmana! Tego, co był lewą czy prawą ręką profesora Waltera. Dawać szybko! I ani mru, mru o nim. Nikomu. Amerykanom także nie. Wojna to nie zabawa w rodzinne sentymenty!

Chcą tego młodego, ponoć dobrze zapowiadającego się naukowca w dziedzinie rewelacyjnych silników okrętowych, będą go mieć. Pod opieką lekarza, w tajemnicy przed całym światem, odleciał na pokładzie specjalnego samolotu. Jeden kłopot. Oby jak najrychlej Londyn zabrał pozostałych jeńców.

Do kręgu ludzi objętych pieczęcią tajemnicy wojskowej włączono jeszcze jedną osobę; cudem, można powiedzieć, odnalezionego pierwszego oficera pokładowego frachtowca „Golden Creek”.

Zagadką natury pozostanie dla medycyny jego przypadek. Utrzymanie się przy życiu na małej, nie zamieszkaney wysepce Oceanii jest możliwe; Robinson Cruzoe nie jest tworem wyłącznie fikcji literackiej. Ale powieściowy bohater znalazł się na wyspie zdrów i cały, miał przy sobie Piętaszka, podczas gdy ten wylądował tam w stanie wykluczającym możliwość przeżycia czterdziestu ośmiu godzin. Organizm ze stali ma ten człowiek!

Wydobyte z niego pociski, jak orzekła ekspertyza, wystrzelone zostały z pistoletu typu „Parabellum 08” — broni bocznej oficerów niemieckich sił zbrojnych. Podobnie jak wszystkie inne, znalezione w szczątkach marynarzy z „Golden Creeka”, wyprodukowano je w bieżącym roku. Dociekliwy doktor Mason stwierdził, że strzały oddano z bardzo małej odległości, nie większej niż dwie stopy. To ważne stwierdzenie. Wyklucza bowiem strzelanie do ludzi w wodzie. Odległość spod kiosku okrętu podwodnego do skraju wynurzonej burty wynosi pięć jardów. Oznacza to, że rozbitka wciągnięto w pierw na pokład okrętu i tam do

niego strzelano. Jest to jeszcze jeden dowód obciążający. Głównym świadkiem oskarżenia będzie więc niedoszła ofiara zbrodni, Martin Robert Donald Strang. O którego istnieniu oskarżeni nic nie będą wiedzieć. Moment zjawienia się Strana na sali sądowej stanie się sensacją, można to sobie wyobrazić: wypełniona po brzegi sala, Wysoki Sąd w komplecie, obrońcy, oskarżeni, oczywiście niewinni. Prokurator zwraca się do przewodniczącego sądu z prośbą o dopuszczenie dodatkowego świadka oskarżenia. Zwrot głowy przewodniczącego ku jednemu sędziemu posiłkowemu, zwrot ku drugiemu, „Sąd nie zgłasza sprzeciwu”, drzwi otwierają się i...

Oczywiście nigdy wszystkie atuty na stół! Trzeba jednak najpierw przywrócić Stranga do pełnej sprawności fizycznej i psychicznej.

Wszystkie ślady zatarte. Czy wszystkie?

Komandor podporucznik Frank Mizera przeniesiony został wraz z załogą poturbowanej „Natalie” na nowiuteńki niszczyciel, który wyekspediowano na północny Pacyfik, okręt-pułapkę zatopiono. Było to najszybsze przemustrowanie załogi z okrętu na okręt w historii australijskiej marynarki wojennej. Człowiek z epoki Lorda Jima, Sleigh, przyjął rozkaz zmarszczeniem swoich siwych brwi. Trochę nie fair wobec starego żołnierza. Może, ale... nieobecni nie mają racji, panie admirale!

McGovern czuł się jak przed spotkaniem z piękną kobietą, którą zna tylko ze słyszenia. Ruletka się kręci. Przy stole on i ten drugi. Nowicjusz w grze — kontra oblatany wyżeracz. Co by tu jeszcze obstawić...

Rien ne va plus, monsieur McGovern!

— Canberra na linii! — zawiadomiła sekretarka.

Zameldował się stopniem i nazwiskiem.

Z drugiego końca przewodu sączyły się cicho słowa. Mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

— Dopilnowałem tego osobiście, sir — odezwał się po chwili. — Tego też, sir. — Skinął głową. — Jestem dobrej myśli, sir. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę na widelki.

Był to drugi dzisiaj telefon dotyczący osoby komandora Joela W. O'Donnovana. Wysoko postawiona osobistość z naczelnego dowództwa australijskich sił zbrojnych życzyła mu na pożegnanie powodzenia.

Kim jest człowiek, który wywołuje tyle zainteresowania wysoko postawionych osobistości?

Z okazji odznaczenia go przez prezydenta Roosevelta Złotą Gwiazdą „Honolulu Daily” napisał o nim:

„Po knockoucie zadany flocie amerykańskiej w Pearl Harbor głównodowodzącemu morskimi siłami Japonii admirałowi Yamamoto pozostało dobiecie przeciwnika. Nietrudne zadanie, gdy ten nie ma się czym zasłonić, nie wie, skąd spadnie dobijający cios. Tak się prawdopodobnie japońskiemu admirałowi wydawało, gdy ze swoją armią wyruszał do ataku na ważną strategicznie wyspę leżącą dokładnie w połowie drogi między Japonią a zachodnimi brzegami Stanów Zjednoczonych. Co się z jego lotniskowcami i pancernikami stało, wiadomo. A gdyby ktoś chciał zapoznać się ze szczegółami bitwy, jaka się na wodach Midway rozegrała, niech się zwróci do pracownika wywiadu US Navy Obszar Pacyfiku, komandora Joela W. O'Donnovana.

Klęskę swojej floty pod Midway admirał Yamamoto pragnął sobie powetować na wodach Morza Koralowego. Przeciwnik wciąż ślaniał się na nogach i gardę miał dziurawą. Należało me dać mu złapać oddechu. Przydybać go w rogu i jeden dobrze wymierzony cios... Co się z flotą admirała na ringu Morza Koralowego stało, wiadomo-. Gdyby jednak ktoś chciał zapoznać się ze szczegółami tego wiekopomnego wydarzenia, niech się zwróci do pracownika wywiadu US Navy Obszar Pacyfiku, komandora Joela W. O'Donnovana.

Niesamowita odporność na ciosy! — pomyślał zapewne admirał Yamamoto i postanowił rozstrzygnąć walkę ostatecznie w trzeciej rundzie. Na miejsce zadania Amerykanom wykańczającego ciosu wyznaczył tym razem akwen archipelagu Salomona, ażeby, broń Boże, niczego nie przegapiono, osobiście wybrał się samolotem, by sprawdzić przygotowania do

starcia. Co się tam z flotą admirała Yamamoto i z nim samym stało, wiadomo. Gdyby jednak ktoś pragnął wniknąć w szczegóły śmierci japońskiego Tygrysa Pacyfiku, niech się zwróci do...”

Niezbyt to wysokiego lotu, lecz daje wyobrażenie.

Japońska prasa uzupełniła tę charakterystykę: „Pies Pentagonu!” „Demon szpiegostwa w skórze anioła dobroczyńcy!”, „Lawrence amerykańskiego ekspansjonizmu na Dalekim Wschodzie!”

Trzydzieści cztery lata, wzrost sześć stóp jeden cal, rudy, oczy ciemnozielone, bez znaków szczególnych, syn znanego podróżnika polarnego, absolwent uniwersytetów Berkeley (orientalistyka), Los Angeles Campus (japonistyka), doktor sinologii; bezceremonialny, ulubiony ubiór: coś sportowego lub slacksy, włosy zawsze na zapałkę; uprawia jazdę konną, pływanie, judo — same mocne strony rasowego pracownika wywiadu. Ma także słabe: nie stroni od kobiet. Kawaler. Wybitny znawca konfucjonizmu, buddyźmu, sintoizmu; literatury chińskiej: Oujang, Siu, Wang An-szy; japońskiej: haikai. Staż zawodowy: dyrektor American Christian Relief Association (ACRA) — Szanghaj, dyrektor American Christian Relief Association — Tokio; od ukończenia studiów agent Federalnego Biura Śledczego (FBI); w okresie pracy w Chinach i Japonii powiązania z wywiadami gospodarczym i wojskowym; od czterdziestego pierwszego roku w wywiadzie marynarki wojennej.

Tyle danych Counter Intelligence Service—Royal Navy nazbierał o pracowniku sprzymierzonego wywiadu, który, nie wiedząc, gdzie nastąpi kolejne uderzenie Japończyków po Pearl Harbor, wpadł na pomysł zawiadomienia otwartym tekstem dowództwa naczelnego marynarki US o rzekomej awarii destylatorów wody pitnej na Midway. Dziecinny trick. Niedługo potem nasłuch pochwyił radiogram Japończyków. Donoszono w nim, że „obiekt”, ku któremu zmierza inwazyjna flota admirała Yarrfamoty, ma kłopoty z destylatorami wody. Obiektem tym była wyspa Midway!

Konfucjusz, Budda, sintoizm, charytatywa — istny koktajl z tego Joela! Ciekawe, jaki jest w piciu.

A jaki koleżeński! Fatyguje się z dalekich Hawajów, by powiedzieć hello swemu nowemu koledze po fachu.

— Komandor O'Donnovan! — zgłosiła sekretarka.

Ostrzyżony na zapałkę, very informal Joel. W. O'Donnovan nie lubi atmosfery gabinetów. Mnóstwo ciekawskich ludzi, pośpiech, telefony — nie można swobodnie porozmawiać. Po wstępnych grzecznościach zaproponował wspólne zjedzenie obiadu gdzieś na mieście. Jeżeli oczywiście Kate nie ma nic przeciwko temu...

Dzielnica Double Bay. Luksusowe wille, luksusowe lokale. „Double Bay — double pay”, podwójne ceny, nazywają ją sydneyjczycy.

Stolik z widokiem na zatokę. Po obiedzie trunki, cygara.

Mówił Joel:

— Hawaje, tak, raj na ziemi, ale jeśli idzie o mnie, na miejsce stałego zakotwiczenia się wybrałbym — nie zgadniesz: Japonię. I za żonę wziąłbym sobie dziewczynę z kraju wiecznie kwitnącej wiśni. Być może nie wiesz, że przed wojną spędziłem tam trzy lata. Całe trzy i gdyby nie ich szalony zryw, siedziałbym tam może do dziś. To piękny kraj i wspaniali ludzie. Biedni. Świat nie ma pojęcia, jak biedni, ale wspaniali. Obecnie pisze się o tym kraju różne bzdury, totalitaryzmy wszelkiej maści bazują na najniższych instynktach człowieka i na jego nędzy. Kiedy jednak do głosu wróci rozsądek — po obu stronach bariery — świat dowie się o Japonii dużo ciekawych rzeczy. Ludzie tam są zupełnie wyjątkowi. A ich kobiety...

Emancypacja wyprała Amerykanek z kobiecości... sprowadziła ją do rangi partnera męczyzny — to mam na myśli. Może to niezbędne do utrzymania w ruchu naszej obłędnej cywilizacji nie wiem, lecz mnie, kiedy wracam do domu, potrzeba nie rywala skaczącego mi na każdym kroku do gardła, ale ciepłej, oddanej mi istoty. Niani z seksem mi potrzeba — mógłby ktoś powiedzieć. Cofnięcia zegara o sto lat. Nie przeczę, nie wyobrażam sobie jednak kochania się ze współzawodnikiem wyliczającym w łóżku na zimno moje słabe strony.

Japonki jako...

McGovern punktował:

Drapieżny wilk w lesie jagnięciem w domu... Bardzo ciekawe!

Ten agent był dyrektorem amerykańskiej filii Stowarzyszenia Pomocy Amerykańskich Chryścijan w Tokio, czy misjonarzem?

Następny temat to wieczór w ogrodzie z lampionami. Na ławeczce rudzielec w slacksach kosmatą łapą przygarnia do siebie coś ciepłego w kimonie.

A to ciepłe w kimonie:

„I love you, Joel!”

A to rude w slacksach:

„Sure, Mariko, sure! — I do gorącego ucha: — You, Ma-riko, are my seimei no kokoro, my akaki kokoro!”

Ale nie: temat Nippon, kokoro — good bye. Sayonara!

Joel mówił:

— ...Po wojnie trzeba będzie się ustatkować. Jeżeli chcę oglądać moje wnuki za życia, czas najwyższy. Ken też jest zapięklm kawalerem. Jak ci zapewne wiadomo, po studiach praktykował u swego wuja w Anglii, właściciela dużego przedsiębiorstwa armatorskiego, bardzo sobie tę praktykę cenił. Podczas naszego ostatniego spotkania pokazywał *mi* zdjęcie swojej kuzyneczki, Florence, zdaje się. W mundurze sierżanta RAF-u. Było to zdjęcie najpiękniejszego sierżanta świata, gdybym był w jego skórze, nie zastanawiałbym się ani chwili. I wyobraź sobie, że ta dziewczyna wciąż jeszcze jest wolna! Z pięknymi kobietami zawsze tak jest: mężczyźni boją się ich, wiem to po sobie...

McGovern punktował:

Niebo jest tak samo jasne jak przed obiadem, a wydaje się jaśniejsze.

To nieprawda, że z Hawajów do nabrzeży bazy Garden Island jest aż pięć tysięcy siedemdziesiąt mil.

Przeplatając sączenie koniaku pykaniem dymu z ogromnego cygarzyska, Joel przybliżał się wreszcie do celu swojej dalekiej podróży..

— ... Odnaleźć brata uważanego od lat za zmarłego... Dzięki kuzynowi, bo wątpię, czy bez karkołomnej hipotezy Kena z pociskami ruszono by w ogóle z miejsca sprawę „Golden Creeka”. Z napięciem śledziłem waszą akcję poszukiwawczą. My, Amerykanie, nie zadalibyśmy sobie tyle trudu. Statki przepadają. Trudno, wojna: jeden mniej, jeden więcej, stanowczo dalibyśmy temu spokój. Ale ta wasza brytyjska uporczywość, komplikująca często życie, daje jednak imponujące rezultaty, jestem dla was pełen uznania. Gdyby nie ona, nie byłoby dziś sprawy rozbitków i tak dalej. Zastanawialiśmy się w Honolulu, co mogło być powodem zagłady tego u-boota. Wody na tej szerokości geograficznej nie są zaminowane, nie przepływał na tym odludziu żaden okręt wojenny obu naszych bander — sprawdzone! — przypadkowego staranowania zatem nie było, lotnictwo patrolowe nie zapuszczało się na południe od Campbell, pozostaje więc... Właśnie! Nasi specjaliści zakładają dwie możliwości: eksplozja paliwa lub zmiżdżenie przez ciśnienie wody wskutek zbyt głębokiego zanurzenia; awarię urządzeń sterowniczych i utratę kontroli nad okrętem przez załogę wykluczają. Wariant drugi — zmiżdżenie — nasuwa im pewne wątpliwości, a mianowicie: okręt podwodny, nie przymuszony przez czynniki zewnętrzne, nie szuka schronienia w zanurzeniu. Nie przymuszony ze strony przeciwnika, rozumiesz? A tam, jak już sobie powiedzieliśmy, potrzeby ucieczki w głąbiny nie było. Pozostaje więc eksplozja wskutek samozapłonu gazów — rzecz raczej rzadka przy doświadczonej załodze, choć nie wykluczona; w końcu jakiś powód zatonięcia musiał być.

Zbadano paliwo rozlane pod Campbell. To dobrze, nie dokonano jednak oceny jego przybliżonej ilości, a to źle, gdyż nie można z całą stanowczością wykluczyć, czy nie był to przypadkiem okręt macierzysty U-1852. Niemcy — podano to na konferencji prasowej w Londynie — dla celów zaopatrzeniowych w morzu okrętów typu XXI zbudowali odpowiednio wielką jednostką dostawczą, nazwaną krążownikiem podwodnym. Gdyby wasze

znalezisko okazało się resztkami takiego krążownika, oznaczałoby to, że Fregattenkapitän Hacke, przyczajony gdzieś w głębinach, gotuje się do wystrugania kolejnego numeru, podczas gdy my... Miałoby to niezbyt wesołe konsekwencje dla facetów, którzy sprawę jego okrętu uznali za zamkniętą, nie sądzisz Kate? — Uśmiechnięta twarz Joela spoważniała. — A cóż dopiero, gdyby ten okręt wpadł w niepowołane ręce...

Jasno powiedziane. Armie pancerne Stalina zbliżają się do Berlina, a Gdańsk, gdzie okręt ten zbudowano, jest już w „niepowołanych rękach”.

A więc nowy wyścig. Jeszcze się jeden nie skończył, zaczyna się kolejny. Kto w tym wyścigu ucieka, kto goni? Według Joela Japończycy odpadli z biegu, my, to znaczy Anglosasi, w konkurencjach technicznych musimy dopędzić Niemców, a potem gnać przed siebie, forować się do przodu co sił w nogach, innego wyboru, jeżeli nie chcemy dać się wyeliminować, nie ma.

W obrazie świata, odsłoniętym przez kolegą po fachu, McGo-vern dostrzegł niebezpieczne rysy, które dotąd uchodziły jego uwagi. Ginąca Europa, potężne Stany Zjednoczone, wychodząca im naprzeciw zza mroźnych gór groźna gwiazda Rosji; Australia wydała się przy tych olbrzymach bezbronnym jagnięciem rzuconym na pożarcie smoka.

Po odwiezieniu gościa do hotelu nie udał się do domu, lecz do swego gabinetu służbowego. W domu czekał na niego odświętnie zastawiony stół, w bawialni, przerzucając niewidzącymi oczami strony magazynu, siedziała w fotelu smukła brunetka, która przed rokiem podpisała w urzędzie stanu cywilnego pewien ważny dla nich dwójga dokument Kobieta, przekonywał się, nie bez oporów odstępuje od modelu pożycia małżeńskiego wymarzonego w niecierpliwych chwilach wzajemnego niedosytu. Życie, to codzienne, wciąż dokonuje korekty w jej wzorcu.

McGovern wróci za godziną, za dwie, jak załatwi sprawy. Z drugiego końca przewodu odezwało się stłumione westchnienie, po którym usłyszeli „Tak, rozumiem, kochanie. Czekam”. Naturalny, bez dąsów głos żony dodał mu sił do spokojnej oceny dnia.

Za czym węszy ten sympatyczny Joel?

McGovern uszeregował rozkazy Admiralicji, jakie napłynęły do Garden Island, i punkt po punkcie dokonał przeglądu ich wykonania. Wszystkie znaki na niebie i ziemi świadczyły o tym, że kordon, jaki zaciągnął wokół powierzonego sobie zadania, jest nieszczelny.

O zniszczeniu w walce u-boota i przechwyceniu części jego załogi wie w bazie tylko kilka osób. Transport jeńców odbył się skrycie, rannych ulokowano w wyłączonym oddziale szpitala wojskowego, pod opieką wyselekcjonowanego personelu. Wszystko to przeprowadzono pod jego osobistym nadzorem, nikt niepożądany, poza wąskim kręgiem ludzi poddanych bez ich wiedzy stałej inwigilacji, nie ma dostępu ani do jeńców, ani do Martina Stranga. Historia zbrodniczego okrętu podwodnego kończy się na wodach Campbell. Taka jest oficjalna wersja, w którą ludzie z Honolulu zdają się nie wierzyć. McGovernowi nie pozostało nic innego jak zawiadomić o tym Canberre.

Byłem nieprzytomny. Znajdowałem się w stanie śmierci klinicznej — trwało to chyba wieki całe, a potem w zamknięte oczy uderzyło światło.

Mojemu przebudzeniu towarzyszył ludzki krzyk. Byłem porażony światłem. Organizm mój nadal toczył walkę o przetrwanie. Po długim mocowaniu się z żywiołem, w stanie skrajnego wyczerpania pływak dobrnął do brzegu.

Przed moim okrętem ukazał się widok na zatokę. Wzburzony ocean pozostał za mną, mogłem wpływać do portu i rzucać kotwicę. Pochylona nade mną kobieta w białym kitlu nie wiedziała, że wejście do zatoki usiane jest podwodnymi rafami, te najmniejszy błąd z mojej strony grozi katastrofą. „O Martin, you are going to live! — Zachęcała mnie do postawienia nóg na stałym lądzie. — Będziesz żył!” — wołała.

Wzrok powoli oswajał się z otoczeniem. Biała szafka, stolik, krzesło, całe wyposażenie przesiąkniętego lekarstwami pokój i o nieskazitelnej bieli. W lustrze na ścianie odbijało się białe metalowe łóżko z przytwierdzoną do wezgłowia tabliczką. Nie mogłem uwierzyć! Jedyne pacjent leżący w tym pokoju nazywał się Martin R. D. Strang...

Mogłem przyjąć rzuconą mi banderę, podnieść ją na maszt i wejść do portu — jako do

macierzystego — zostawiając rozstrzygnięcie sprawy przyszłości. Mogłem ją odrzucić i dać się pojmać jako jeniec naznaczony stygmatem zbrodni, wielkiego wyboru nie miałem. Z pomocą przyszedł mi własny organizm:

i byłem za słaby na wyjawienie pomyłki słowami. Zdobyłem się ? tylko na przeczący ruch głową, który jednak kobieta uznała za dowód, że pacjent nie rokujący nadziei będzie żył.

Przekazała to słuchawce telefonu. Nie trwało długo, a do pokoju wpadł mężczyzna w białym kitlu. Wyczerpany wysiłkiem poczułem jeszcze chłód stetoskopu przykładanego do mojej piersi, po czym zapadłem w ciemność.

Pani Gwynne obserwowała córkę z ukrywanym niepokojem. Zwolnienie jej ze służby było dla matki zaskoczeniem. Doskonała pływaczka, zdrowa, pełna radości życia kobieta, jaka opuściła rodzinny dom udając się na swój ślub do Brisbane, wróciła po miesiącu całkowicie odmieniona. To prawda, spotkał ją straszny cios. Ale ciosy takie spadają na tysiące domów w kraju i nie wolno się im poddawać. Beris jest młoda, ładna, inteligentna, stanowczo musi wziąć się w garść. Przyszłość stoi przed nią jeszcze otworem.

Nie informując córki, napisała do doktora Jacka Masona. Odpowiedź przyszła natychmiast. Cierpliwości. W jej obecnym stanie pomoc jej mogą spokój i wyrozumiałość. Broń Boże nachalna troskliwość; mogłaby być zrozumiana jako osaczenie. Dużo ruchu na świeżym powietrzu, wypoczynku i od czasu do czasu towarzystwo młodych ludzi.

Jak on ją dobrze zna. Wiązą go z Beris lata wspólnie przeżytej wczesnej młodości. I chyba nie tylko to: córka, pani Gwynne dałaby za to głowę, nie jest mu nadal obojętna, wyczuwało się to w jego głosie.

Gdzieś po Nowym Roku samopoczucie Beris zaczęło się poprawiać. Zwiastunem zmiany na lepsze była wyprawa do miasta. Po tygodniach spędzonych samotnie w sypialni na piętrze albo w hamaku pod dzakarandą ni stąd, ni zowąd wyprowadziła samochód z garażu i nie mówiąc nikomu słowa, wyjechała. Jej przedłużająca się nieobecność wprawiła domowników w niepokój. Tym większa była radość, gdy przed zachodem słońca ukazał się w bramie pomarańczowy chevrolet z Beris przy kierownicy. Była wciąż blada, wymizerowana, ale już wyraźnie ożywiona. Powstrzymano się od zadawania pytań. Zachowano także dla siebie swoje spostrzeżenia. Beris wyglądała ślicznie. Mundurowa codzienność wymiotła z ulic kolory, toteż już sama przewiewna, barwna sukienka przykuwała uwagę, a co dopiero, gdy ubrana w nią była zgrabna dziewczyna.

Wycieczki do miasta stały się obiecująco regularne. Dom odetchnął z ulgą, gdy nagle niebo nad nim zasnęło się znowu chmurami.

Nie jest ważne, że chevrolet znowu rdzewieje w garażu, że Beris miasto zamieniła na zatokę. Lato — wszyscy to mówią — jest w tym roku wyjątkowo upalne. Australia nie pamięta takiego żaru. Ale te oczy Beris. Determinacja, jaka z nich bije. To, że chodzi nad zatokę, w porządku. Są tam naprawdę urocze miejsca. Yarra uwiła sobie koryto wśród wiecznie zielonych wzgórz, ufortyfikowała je stromymi, skalistymi brzegami, wyplakała na zakola placki złotego piasku, znaleźć tam skrawek ocienionej samotni nie jest trudno. Ale ten ręcznik rzucony na szyję niczym stryczek, kostium kąpielowy i ona, sama tam, niewidoczna z okna ani z ogrodu, choć to od domu nie dalej niż trzysta jardów. Co się dzieje z tą dziewczyną?

Miłość nie uznaje substytutów. Jest stanem zamroczenia umysłu osobą, która nie może być zastąpiona przez żadną inną. Praprababka pani Gwynne, Laura, z miłości do złoczyńcy-skazańca dała się zakuć w dyby i deportować na zawsze z surowej Anglii na ten kontynent. Potomni mogą ją za to potępiać, mogą się do niej nie przyznawać — ich wola, nie mogą jednak odmówić młodziutkiej Laurze gotowości zapłacenia najwyższej ceny za połączenie się z ukochanym. Wspaniała Laura. Tak zdecydowana może być tylko kobieta wielkiego ducha. Miłość dla kobiety jest artykułem absolutnie pierwszej potrzeby, jest nakazem płci, to najpiękniejszy rodzaj oszołomienia, dla którego trzeba mieć zrozumienie. I dobrze tak. Niech to oszołomienie będzie jak największe, niech nie liczy się z niczym, jeżeli tylko wiedzie do zespolenia się z mężczyzną... żywym. Zamroczenie wspomnieniem o człowieku jest chorobą. Jak ciężką — nikt tego pani Gwynne mówić nie potrzebował.

Miłość ma wiele postaci. Cena za każdą jest zawsze zagadką. I za miłość dobrą, i za złą. Ale płaci ją zawsze kobieta.

Odprowadzając wzrokiem córkę oddalającą się w kostiumie kąpielowym, z ręcznikiem na szyi, ku zatoce, pani Gwynne odwoływała się do ducha swojej praprababki: Wspaniała Lauro, w ciebie się moja dziewczyna wrodziła. Spraw, aby wróciła na drogę ludzi żywych.

Koszmarny sen?

Fala przyboju raz nabierała impetu, raz zamierała w swym rozpędzie, ze mną zawieszonym na najwyższej kropli jej grzbietu, jak gdyby zastanawiała się, czy ładunek swój donieść na stały ląd, czy oddać go dnu oceanu, czy też może wydać na pastwę innym mocom, aby, uwolniona od niego, rozpląnąć się w swoim żywiole. Znużona swym brakiem zdecydowania zebrała wszystkie siły i wyrzuciła ciało na brzeg.

Światło!

Powrót do świata zamroczył mnie, ale zaczynam go rozpoznawać. Ten ledwie widoczny punkcik na błękitnej płachcie za oknem to planeta Wenus, ilenaście tam świetlików w górnym lewym rogu to gwiazdozbiór Centaura, ta rachityczna pajęczyna w przeciwległym kącie to Wielki Obłok Magellana, chyba się me mylę. Nie, nie mylę się, to Obłok Wielki, z północnej półkuli Ziemi jest on niewidoczny, a więc ja znajduję się na południowej. Jeżeli tak, to poniżej Wielkiego Obłoku jest Złota Ryba, powyżej Latająca Ryba, sąsiadują z nią gwiazdozbiory okołobiegunowe: Kameleon, Kil, Canopus — te po wschodniej części nieba, po zachodniej, ciągnąc w linii prostej, winny być skupiska Rajskiego Ptaka, Trójkąta Południowego, Niedźwiadka, i tak dalej. Z moją pamięcią nie jest źle. Dlaczego te gwiazdozbiory mają takie dziwne nazwy? Zresztą mniejsza z tym. Poznają również krzesło, stolik, oszkloną szafkę z lekarstwami — wszystko w białej powłoce; w lustrze na ścianie odbija się szpitalne łóżko z jedynym w tym pokoju pacjentem.

Reflektor w otwartym oknie stapia mi oczy. Żaluzje. Spuścić żaluzje!

Ręka w białym kitlu domyśla się, o co mi chodzi.

Na półce w zasięgu mojej zdrowej ręki jest przycisk do dzwonka, poza zasięgiem — aparat telefoniczny, który w poprzednim powrocie ze świata ciemności ledwie zauważyłem, nad łóżkiem tabliczka z wyraźnie czytelnym z tej odległości nazwiskiem. Przypominam je sobie.

To dopiero ironia losu!

Wszystko jest dla mnie jasne: koszula topielca! Tego obżartego przez rekiny. Właściwie resztek po nim, bez głowy i kończyn wrzuconych na brzeg, które zagrzebałem pod jedynym krzakiem na wyspie. Pozostał z niego jedynie korpus, zakonserwowany w solance oceanu ochłap obdziobanego ze wszystkich stron ludzkiego kadłuba w piaskowej koszuli.

Martin Robert Donald Strang, lat dwadzieścia sześć, wzrost sześć stóp jeden cal, oczy niebieskie, żadnych znaków szczególnych — taki opis widniał także w mojej książeczce wojskowej. Wzięto mnie za oficera ze storpedowanego frachtowca amerykańskiego, którego ja sam...

To nieprawda! — chciałem powiedzieć, ale głos, jaki wydobył się z mojej krtani, był niezrozumiałym bełkotem. Nie mogąc inaczej — napisowi na tabliczce zaprzeczyłem ruchem głowy.

Kobieta w białym kitlu położyła mi rękę na ustach. Odpoczywać, powiedziała mi, żadnego wysiłku. Najpierw stanąć na pewnych nogach, na słowa przyjdzie czas. I robiła tak zawsze, gdy moja głowa miotła się na poduszce.

W uszach zostawiała mi swój kojący alt, w oczach jasność wokół owalu swej twarzy, na wargach zapach dłoni.

Nigdy się z tym nie zgodzę!

Nazwisko moje widnieje na alianckiej liście przestępców wojennych, wiem, czym to grozi. Ale nie uchylę się od odpowiedzialności.

Przebierając się w swój szpitalny komplet doktor Jack Mason. słuchał relacji o najważniejszym pacjencie na oddziale chirurgii ogólnej.

Wszystko przebiega zgodnie z przewidywaniami. Przełamanie kryzysu w stanie zdrowia tego pacjenta lekarka traktowała trochę jako swój osobisty wkład w zwycięską batalię, widać to po wyrazie jej twarzy. To już przełom ku dobremu. Na pewno tak. Droga jeszcze daleka, ale już nie wiedzie nad skrajem przepaści. Teraz tylko cierpliwości.

Co jeszcze June Gordon miała w zanadrzu? Telefonował komandor McGovern z wywiadu marynarki — jedyna osoba, poza wydzielonym personelem szpitalnym, która jest upoważniona do otrzymywania informacji o tym pacjencie. Telefony komandora są przerażająco regularne, są czymś w rodzaju budzika nastawionego na ten sam czas. Komandor zapowiedział swoją wizytę, „jeżeli panu ordynatorowi nic nie stanie na przeszkodzie”. Nic na przeszkodzie nie stoi. Co jeszcze?

Poranek był piękny, a doktor Mason słuchał jej relacji jakby w roztargnieniu. Z pewnością przesiaduje po nocach nad swoją nową książką, tym razem o płaszczkach i węgorzach elektrycznych żyjących w wodach Australii. Niespożyte siły ma ten raczej wątłej budowy Mason.

Ostatni guzik kitla został dopięty, dla ordynatora zaczynał się nowy dzień pracy. Na biurku czekały na niego zapisy z dyżuru nocnego.

— Napije się pan kawy?

Zwykle „dziękuję” wyrwane z gardła po wiekach przebywania gdzieś w zaświatach, powolny ruch rąk do okularów w cienkiej, złotej oprawie, kiwnięcie głową na „tak”. Ten człowiek nigdy się nie zmieni.

Więc kawa. Czarna jak tropikalna noc. June wsypała do filiżanki cztery pełne łyżki neski, zalała je wodą z ekspresu. Kaw będzie w ciągu dnia więcej, lecz ta pierwsza — w szpitalu pierwsza — musi być wstrząsowa. Postawiła ją na biurku.

— Czy mogłabym być panu w czymś pomocna? Ręce przy okularach zeszytniały.

— A... — I niezdecydowane: — Dziękuję, raczej nie. — I po chwili: — Chyba jednak tak. — Pociągnął łyżeczek smołowatego płynu, odstawił filiżankę na biurko. — Komandor McGovern przybędzie z kimś z Honolulu. Byłoby niezłe, gdyby pani zechciała nam potowarzyszyć. O dwunastej.

— Tak, panie ordynatorze, o dwunastej.

Za złotymi drucikami okularów czało się coś więcej. June zdobyła się na odwagę.

— Stało się coś?

Niekontrolowany ruch rąk ku oczom, stamtąd do kieszeni kitla.

— Otrzymałem przykrą wiadomość. Mój przyjaciel został ranny na froncie. Ciężko ranny. Stało się to przed dwoma miesiącami, ale wiadomość dotarła do mnie dopiero wczoraj, nie wiem dlaczego. Chyba pani go zna. Komandor Kenneth...

— Wall! — krzyknęła June Gordon.

— No właśnie, poznała go pani...

Tak, pamięta. Przyjechał z Kennethem do prosektorium obejrzeć wyłowione na wodach wyspy Lord Howe zwłoki mężczyzny, w których znajdowały się pociski — wtedy to było. Z prosektorium powrócili do jego gabinetu i panna Gordon podała im zdaje się coś do picia.

— Sądziłam, że wyjechał w jakiejś misji, nastąpiło to tak nagle. Czy to coś groźnego?

— Stało się to podczas walk na Nowej Brytanii. A czy to coś poważnego? — Wzruszenie ramionami. — Chyba tak: głowa. Ale co z panią? źle się pani czuje?

Płaszczki: hypotremata, batoidei, drapieżne ryby chrzęstno-szkieletowe z podgromady spodoustnych — istotnie pisze o nich. Żyjące w wodach południowo-zachodniego Pacyfiku, przyległych do Australii, dochodzą do paru jardów długości. Ich grzbieto-brzusznie spłaszczony cielska z silnie rozwiniętymi płetwami piersiowymi, jadowitym ogonem i naładowaną prądem drętwą stanowią zagrożenie dla człowieka, tak samo zresztą jak węgorze

elektryczne: electrophorus electricus, porażające prądem o napięciu do trzystu pięćdziesięciu woltów. Śmiertelny całus. Wielki niemiecki uczony Humboldt omal nie zginął od takiego porażenia. Interesujący temat. Odkrywanie tajemnic zwierząt. Niestrudzona jest natura w wynajdywaniu narządów ataku i obrony dla swoich stworów. Ale nie o tym doktor Jack Mason teraz myślał. Świat jego zainteresowań nie kończy się na sali operacyjnej i ślęczeniu nad książkami. Świat ten zajmuje sporo miejsca w jego życiu. Praca zawodowa i hobby. Wielu mężczyzn, mając zawód, w którym się wyżywają, i coś do zabicia wolnego czasu, uważa się za szczęśliwców. Do hobby i zawodu dochodzi jeszcze dom ze wszystkim, co w tym wyświechtanym słowie się mieści. Dom Mason ma. Jeden z ciekawszych architektonicznie w tej części Sydney, aż za bardzo jak na jego potrzeby okazały. Ma więc Mason interesujący zawód, ma hobby przynoszące horrendalne pieniądze, dom, ma sławę. Czy w trzydziestym roku życia można wymagać więcej?

Świętym powściągliwości nie zadaje się pytań osobistych. Święci nie mają sensu życia, mają cel. Święty z oddziału chirurgicznego Royal Prince Charles Hospital gotowy jest duchem na ofiarę całopalenia. Pamiętna tragedia sprzed lat w niegłębokim zakolu Yarrri nie może się powtórzyć. Nie chodzi o ostateczne słowo Beris. W jej obecnym stanie należy poczekać. O zasianie w niej świadomości, że nie jest sama, chodzi. Wszystko jest przygotowane do drogi: zastępstwo na okres weekendu, miejsce w sleepingu. Ekspres do Melbourne odjeżdża za godzinę. Za dwanaście godzin wysiądzie na dworcu Spencer Street. Wysiadłby.

Pospiech już niepotrzebny. Tej wizyty nie można po prostu odfajkować. Ordynator oddziału musi być do dyspozycji ości osobiście.

Przedstawił się mężczyźnie w slacksach, już z daleka załatwiającego Teksasem.

— Jestem doktor Mason, a to panna doktor Gordon, moja asystentka.

Rosły gość z Honolulu ścisnął po męsku jego szczupłą dłoń.

— O'Donnovan. — Skłonił się szarmancko pięknej asystentce. — Miło mi poznać panią. Bardzo miło.

— Panowie będą uprzejmi za nami. Tylko proszę nie zmuszać pacjenta do żadnego wysiłku — zastrzegł Mason. — Nawet do mówienia.

Długim korytarzem głównego pawilonu, w którym mieściły się sale zabiegowe, przeszli do niewielkiej przybudówki zajmowanej tylko przez jednego pacjenta. O'Donnovan nie dałby głowy za to, czy pod fartuchem salowego, równego mu wzrostem dryblasza, nie ma bluzy z czerwonym mankietem żandarma królewskiej marynarki wojennej. Podobnie niepokojące wrażenie wywarły na nim ascetyczne twarze pozostałego personelu przybudówki. Słynny angielski regulamin służby szpitalnej gra tu na złoty medal. Tylko po co?

Sprawa Stranga jest czysta, potrzeby mataczenia nie ma. Jak O'Donnovanowi poufnie wiadomo, Anglicy zwrócili się do Waszyngtonu o pozostawienie im wolnej ręki w rozegraniu sprawy ludobójstwa na morzu i rozliczenia winnych. Chodzi im pewnie o...

Dobro pacjenta, wytłumaczył to McGovern. O zapewnienie mu spokoju.

Zbawiciel zdjęty z krzyża, ułożony w przeraźliwej bieli łóżka, był tego najlepszym potwierdzeniem.

Padło banalne pytanie o stan pacjenta. — Ogólny — usprawiedliwił się O'Donnovan. Wszelkie słowa były tu właściwie zbędne.

Mason spojrział mechanicznie na kartę chorobową. Stan ogólny...

W następstwie odniesionych ran postrzałowych i urazowych wywiązało się infectionis purulenta — zakażenie przyranne ropne, pospolicie zwane gangreną; pacjenta dostarczono do szpitala w stanie agonalnym. Dlaczego przywrócenie go do sprawności fizycznej i psychicznej trwa tak długo? To zrozumiałe. Długotrwała temperatura spowodowana zakażeniem krwi, warunki życia na bezludnej wyspie doprowadziły do spustoszenia w ustroju. Osobną sprawą jest uszkodzenie splotu barkowego przez rekina — trzycalowy ubytek nerwu ramiennego. Przywrócenie sprawności prawej ręki osiągnąć można przez skrócenie kości ramienia. Ale na to potrzeba jeszcze czasu i zgody pacjenta.

— Najgorsze mamy za sobą — odpowiedział Mason. Wydało mu się, że Amerykanin go nie

śłucha, że myślami uleciał gdzieś daleko. — Ale do transportu nie nadaje się w żadnym wypadku — dodał stanowczo.

— Nic takiego nie wchodzi chyba w grę — rzekł O'Donovan. Pan Strang jest co prawda naturalizowany w Stanach, ale nie ma powodu, by przewozić go do amerykańskiego szpitala. Zresztą nie jego osoba skłoniła go do odbycia tej wycieczki.

Zbliżył się do łóżka i delikatnie poklepał chorego po zdrowym ramieniu.

— Wszystko będzie w najlepszym porządku, panie Strang, może pan być o to spokojny. O swoją przyszłość też. W niedługim czasie otrzyma pan ze Stanów dobrą wiadomość. Bardzo dobrą, zapewniam pana.

Nic więcej nie miał tu do roboty. O omawianiu przebiegu wypadku tego nieszczęśliwego człowieka nie może być w tej chwili mowy. Dwa pociski wydobyte z jego ciała pochodzą z broni, z jakiej strzelano do jego kolegów z „Golden Creeka”, pomyłka, zdaniem McGoverna, wykluczona. Określenie gatunku rekina — mapolcmia spallanzani czy nie mapolomia — który poszarpał mu bark, można sobie darować. Penicylina. Rewelacja wieku. Straty w ludziach w tej wojnie byłyby wielokrotnie wyższe, gdyby nie ten cudowny lek, pan Strang zawdzięcza mu życie. Penicylinie i doktorowi Masonowi.

Podziękował za to słynnemu lekarzowi w imieniu swoim oraz kolegów z dowództwa US Navy Obszar Pacyfiku.

„Ja, Dudley Patrick Nihoun, syn Gideona Dudleya oraz Myhry z domu Galahad, urodzony 3 lipca 1896 roku w hrabstwie Clare, Irlandia, obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, będąc w pełni władz umysłowych, cały swój majątek, wyszczególniony rzeczowo w załączniku do niniejszego aktu, mojej ostatniej woli, zapisuję...”

Nie tak, inaczej. Na ogłoszenie tego dokumentu jeszcze czas. Najpierw kilka słów o człowieku, którego prawdziwe oblicze, poza nim samym, zna tylko jedna osoba.

Kim był Dudley P. Nihoun?

Historia jego życia jest banalna o niebanalnym jednak zakończeniu.

Zaczął się typowo dla milionów Irlandczyków, którzy w pogoni za chlebem opuścili tę wyspę kamieni, wichrów, kartoflanych brzuchów. A więc gliniane klepisko w majątku ziemskim, praca na roli, kopalnia węgla. W piętnastym roku życia, w dniu koronacji nowego władcy połowy świata, króla Wielkiej Brytanii Jerzego V, zaciągnął się na statek. Z wczesnej młodości pozostało mu tylko jedno wspomnienie: dziewczęta kąpiące się w Golden Creek. Strumyk był wartki, zimny, dziewczęta kucaly w wodzie z wypiętymi śmiesznie tyłkami, piszcząc przy tym, jak gdyby obdzierano je ze skóry. Potem w koszulach przylepionych do ciała biegaly dla rozgrzewki po łące. Obraz ten Dudley hodował w sobie. Krocza dziewcząt. Uda. Chude, wystające z barchanowych majtek. Często w nocy wsuwał rękę pod pierzynę siostry. Poczynał sobie zuchwale, siostra powinna się obudzić. Ale nie. A wieczorem wyklócała się z młodszą siostrą o miejsce na klepisku od jego strony. Więcej przyjemnych wspomnień z lat młodzieńczych Dudley nie miał.

Buntownicy nie rodzą się na kamieniu. Tworzy ich żarliwa potrzeba naprawienia źle urządzonego świata — ta rodzi buntowników wielkich. Buntowników małych, takich na swój własny użytek, rodzi żądza dorwania się do pełnego stołu.

Szukając dla siebie miejsca na świecie, nie zajętego j aż przez wielkich panów, Dudley przypłynął przed laty na Tahiti. Europa cuchnęła smrodem swoich poległych. Jeszcze nie odzyskała równowagi po koszarze wojny, a już gazety londyńskie nawoływały do nowej krucjaty. Motłoch wyległ w Rosji na ulice! Mordował bezbronne kobiety i dzieci! Gwałcił prawa boskie i ludzkie! Do broni! — wołały gazety. — Cywilizacja jest zagrożona. Anglia nigdy nie pozostawała głucha na takie głosy. Przywódca opozycji w parlamencie wystosował do rządu petycję. Świat wre. Czerwona zaraza rozprzestrzenia się na Zachód. Już dosięgła Hamburga i Renu, jutro zbruka krwią niewinnych ulice Paryża. Czy rząd jego królewskiej mości zamierza przypatrywać się temu biernie? Rząd nie zamierzał. Już mustrowano załogi na dopiero co odstawione na sznurek okręty wojenne. Zdemobilizowanych bezrobotnych Tommies wabiono niezłym żołdem i apanażami. Nie dla Duda, który wojnę spędził na

kluczeniu między niemieckimi u-bootami, ten chleb; uciekł przed nim do Ameryki. Ale tam gazety nawoływały do tego samego. Również tam nie zamierzano przyglądać się biernie gwałceniu praw boskich i ludzkich. Coup de grace zadany wyczerpanym Niemcom przydał Wujowi Samowi nowego znaczenia. Uwaga, uwaga — obwieszczały narodom gazety — od dziś nic u was bez nas. Pax Britannia na jednej półkuli, pax Americana na drugiej. I aby nikt w to nie wątpił, już pakowano boys na statki.

Młody przybłęda z Irlandii nie rozumiał tego. Nie ma nic droższego nad życie — to rozumiał. Nie rozumiał tylko, że ludzie w swej masie dają się tak łatwo nabierać. Pałętając się po szerokich ulicach Nowego Jorku, stwierdzał, że i w tej Ziemi Obiecanej co lepsze kęski zostały już zaklepane przez wielkich panów. Domy towarowe, fabryki już opatrzone były ich szyldami. Wielka Ameryka zajęta od krańca do krańca. Kiedy on uganiał się po Atlantyku z dostawami dla walczących chłopaków, podział tego wielkiego bochna został ostatecznie zakończony. Czym możemy panu służyć? Ach, pracą! Sorry, pracy nie ma.

Budząc się nocą w nie ogrzewanych przytułkach dla bezdomnych, mękę wyczekiwania na rano Dudley skracał sobie marzeniami o ciepłych krajach. Wojnę spędził na Atlantyku. Północna część tego oceanu, burzliwa i lodowata, dała się we znaki jego kościom, tęsknił za słońcem. Za miejscem w świecie, gdzie nie ma zimy i wyjących sztormów. Gdzie ludzie nie są sobie wilkołakami. Ale takich miejsc już nie było. Wszystkie dobre kawałki świata miały swoich panów.

— Nie wszystkie — wyznał mu kumpel od zmywania naczyń w brooklyńskiej restauracji. I westchnął: — Gdybym miał twoje lata...

Gdyby miał jego lata, uciekłyby stąd gdzie pieprz rośnie. Ameryka zabawia się w politykę. Tej gry nie da się uprawiać bez pomocy młodych, umundurowanych facetów. Trzeba wiać stąd, póki czas.

— Dokąd?

— Na koniec świata.

— Ale gdzie to jest? — chciał wiedzieć Dud. — Gdzie ludzie nie muszą tak harować jak my. Znam takie miejsce, naprawdę!

Jak dotąd historia życia Dudleya P. Nihouna była rzeczywiście banalna. A jak potoczyła się dalej?

Zwykle po kąpieli Porima kładła się na rozgrzanej słońcem macie obok niego i leżąc bez ruchu zamieniała się w słuch. Ale nie czekała na słowa. Milczenie na wyspie Raiatsa też jest mową. Taką samą jak uśmiech, dotyk dłoni, drgnięcie zamkniętych powiek. Tahitanki umieją patrzeć. Widzą granatowe na tle błękitnego nieba szczyty świętej góry Tehmani, płataninę u jej podnóża ciemnozielonej dżungli, rozkołysane pasatem korony palm, mango, drzewa chlebowego, krzewy dzikich bananów, pomarańczy, widzą mewę nurkującą w przejrzystą toń laguny po łup. Cichy oddech Porimy nagle ustał i Dud usłyszał, jak zerwała się na nogi.

Na pełnym oceanie, jeszcze daleko od wejścia do laguny, kołysała się sylwetka niewielkiego statku. Dud rozpoznał go od razu. Dwa maszty ze skośnie ściętymi żaglami, kadłub podobny do nadętego brzucha wieloryba powiedziały mu jego nazwę i cel przybycia tutaj. To był szkuner „Atimaono”, częsty gość na tych wodach. Za godzinę rzuci kotwicą na środku laguny. Wtedy dla Porimy zaczną się smutne dni. Nie będą spacerować ręka w rękę po plaży, wybierać się wplaw na głębsze miejsca laguny w poszukiwaniu muszli perłowych. Skończą się wspólne wieczory przy ognisku. W czasie postoju żaglowca, dopóki jego ładownie nie zapełnią się koprą, Dud będzie opuszczać chatę wczesnym rankiem i krążyć poza wsią aż do zmierzchu, żeby nie spotkać się z ludźmi z tego statku. Żyjąc z nim kilka lat, Porima znała go dobrze. Kobiety z Raiatsi nie wyznają się w sprawach mężczyzn, ale umieją czytać w ich duszach.

Porima czytała w myślach Duda. Nie były dobre. Jej duży mężczyzna ucieka przed ludźmi ze statku, ale jego dusza rwie się do nich. Załadowaną koprą „Atimaono” zawiezie do Papeete, tam przeładuje się ją na duży statek, taki sam, jakim Dud przybył przed laty na Tahiti, i popłynie do krajów zamieszkałych przez ludzi, których Dud nazywa „wielkimi szyldami”.

Wielkie szyldy. Dud jest nui — duży. Tak nui, że najroślejszy mężczyzna ze wsi wygląda przy nim jak dziecko. Dud jest silny, zwinny w wodzie jak delfin. Jak straszni muszą być ci ludzie, skoro silny Dud ucieka przed nimi z wyspy na wyspę.

Szkuner prześliznął się między rafami i stanął na kotwicy na środku laguny. Zwijanie żagli, otwieranie luk, klarowanie wind do załadunku zajmowało sporo czasu. Ludzie ze statku nie znaleźliby się tak szybko na lądzie. Dud nie musiał już uciekać w głąb wyspy. Tym razem zaczęto jednak pracę od końca: od spuszczenia szalupy na wodę.

Na pokładzie pojawiło się trzech mężczyzn w tropikalnych ubraniach, oficer administracji Francuskiej Polinezji oraz dwóch uzbrojonych w karabiny żołnierzy. Jeden po drugim zeszli po trapie do szalupy i ruszyli w kierunku wsi. Załoga dopingowała wiosłujących marynarzy, gestykulując żywo.

Porima odczuła bolesny skurcz serca. Dziś rano ujrzała czarną mewę. Ten zwiastun zła okrążył chatę, po czym nie odleciał na lagunę — miejsce swego żerowiska — tylko siadł na pobliskim bananowcu. Na bananowcu, nieszczęście dotknie mężczyznę.

Spojrzała na jedyne go mężczyznę w jej chacie.

Tymczasem szalupa dobrnęła do plaży witana radośnie przez kobiety i dzieci. Wielkie wydarzenie we wsi. Jutro, pojutrze, następne dni upłyną na ciężkiej pracy. Koprora będzie dowożona pirogami pod burzę szkunera i ładowana do jego wnętrza — bardzo ciężka praca dla krajowców, kapitan nie daje im chwili wytchnienia. Ale to dopiero jutro. Dziś wieczorem odbędzie się zabawa z tańcami przy ognisku; niebawem zaczną się bicie prosiaków i kur.

Nie było zabawy. Oficer administracji przedstawił wójtowi trójkę messieurs w białych tropikalnych ubraniach. Panowie ci przybyli aż z Paryża. Żeby zrobić dużo dobrego dla mieszkańców wsi, to bardzo szlachetni panowie. W miejsce bambusowych chat nad laguną, smrodliwych kurników, powstaną ładne bungalowy, hotele dla turystów, asfaltowe drogi. Wszyscy, których ziemie ci panowie wybiorą, zostaną przekwaterowani gdzie indziej i otrzymają jeszcze zapłatę, oficer zaręczył to słowem honoru. To żadne oszustwo, niech wójt nie patrzy tak ponuro.

Dud słuchał w milczeniu. Jego zmierzwiona czupryna wystawała wysoko ponad głowy panów w tropikalnych ubraniach, rzucała groźny cień na wymownego oficera. Nagle stało się to najgorsze. Muskularne ręce Duda zacisnęły się na karkach oficera i monsieur, który rozglądał się po chatach jak po swoim, uniosły obu w górę i z całej siły rzuciły w wodę laguny.

Porima długo słała modły do Świętej Góry Tehmani. Spraw, Góro, prosiła, aby mi go nie zabrano. Daj mi siłę gromu, skrzydła albatrosa, kły rekina, abym mogła uwodnić go z kajdan i zatrzymać przy sobie na zawsze. O Święta! O Mocarna! O Wszchemogąca, wysłuchaj biednej Porimy.

Wyszperała skórzany woreczek z perłami i wysypała je na dłoń. W blasku księżycy zaświeciły jak skamieniałe łyzy. Każda przypominała jej o godzinach spędzonych wspólnie na wypatrywaniu muszli, odrywaniu ich od dna, na wyglądaniu niebezpieczeństwa. W każdej zaklęty był ból płuc pracujących pod ciśnieniem wody, strach przed rekinem i radość, kiedy z otwartej muszli wystrzeliwują promienie maleńkiego słońca. Każda mogła kosztować życie. A jednak nie wyrzekłaby się ich za żadne skarby. Kochane godziny. Pozostaną z nią do końca. Ale tylko one, bo mężczyzna musi iść za głosem swojej duszy. Jeżeli pragnie się jego szczęścia, nie wolno go zatrzymywać.

Rzeczy Duda były już spakowane na pirodze. Pod osłoną ciemności podплыnie pod burzę szkunera i cicho, jak kobiety z Raiatei to umieją, wedrze się do jego celi.

Wszystkie swoje perły wrzuciła do woreczka Duda. Gdyby Święta Tehmani nie usłuchała jej prośb, będzie ich potrzebował. O Wszchemogąca! — rzuciła błagalnie w stronę szczytu góry promieniującego uroczyście w blasku księżycy.

Tehmani usłuchała błagań swej córki. Wszchewiedząca знаła kryjówek wrogów Duda...

Następnego wieczoru czyjś zdenerwowany głos poprosił do telefonu znanego bankiera z Wall Street. W sprawie niecierpiącej zwłoki. Kamerdyner stanowczo odmówił. Z salonu do-

chodziły odgłosy przyjemnej zabawy. Wśród gości znajdowała się miss Renatę Swanson, gwiazdka srebrnego ekranu, protegowana jego pana. Ale głos w telefonie nie ustępował.

Bankier niechętnie przeprosił towarzystwo i ze szklanką w ręku przeszedł do gabinetu. Rena wyglądała uroczo. Jego małżonka udała się w podróż za Atlantyki. Zawsze marzyła o pognaniu Parysa, Wiednia, o łyknięciu kropli europejskiej kultury. Od młodości uwielbiała kankana, polki, straussowskie walce. Zabrała z sobą obie córki, psa, został w domu sam. Podniósł słuchawkę.

Kamerdyner widział, jak jego pan ze słuchawką przy uchu zbladł jak płótno.

Tymczasem w salonie bawiono się w najlepsze. Namaszczony baryton prezesa United Savings Bank, tak paralizująco działający na podwładnych, ustąpił miejsca frywolnemu chichotowi. Jego przystojny zastępca opowiadał o pewnym znajomym, który po powrocie do domu zastał na dywanie swoją żonę z... gońcem.

Bankier nie widział Reny, prezesa, jego zastępcy. Z nowo napełnioną szklanką wyszedł na taras. Z czterdziestego trzeciego piętra Empire State Building rozpościerał się widok na panoramę i miasta. Strzeliste drapacze chmur, nić mostu brooklyńskiego przerzucona szaleńczo śmiało przez rzekę, neony Manhattanu stopiły się w jego mózgu w kleistą papkę. Jeżeli chciał uniknąć kompromitacji, musiał działać błyskawicznie. Cały ten rok był dla United Savings nieprzerwanym pasmem sukcesów. Na giełdzie hossą. Nieustająca. Wartość akcji podwaja się, potraja z dnia na dzień. Hossa. Taniec na pajęczej nitce dla odważnych. Gra va banque. Kto nie gra, przegrywa. Buy and sell — Kup i sprzedaj. Sell and buy — Sprzedaj i kup. Szybko, myśleć będziesz jutro. Nie konsultując się z radą nadzorczą, prezes zaryzykował całym aktywami banku. Wczoraj za akcje Tycoon Steel Inc. zapłacił sto milionów, jutro zgarbie za nie dwieście. Nie zgarbie. Głos w telefonie doniósł o bankructwie Tycoon Steel. Prezes United Savings Bank wychylił szklankę do dna i jednym ruchem wyrzucił się w przepaść ulicy.

Zwłoki nie zdążyły jeszcze ostygnąć, jak National Broadcasting Corporation, a za nią pozostałe stacje radiowe Ameryki, podały hiobową wieść: Krach na Wall Street! W centrum systemu nerwowego finansów świata uderzył grom.

Owego czwartku wielu takich jak prezes United Savings popełniło samobójstwo. Olbrzymie fortuny, zapisane w księgach bankowych tajemniczymi znakami, rozplynęły się w jednej chwili jak we mgle. Świat Wielkich Szydłów, wrogów Duda, zawalił się.

Tylko nikt nie wiedział, za czyją sprawą to się stało. Nikt z żyjących...

Nikt z żyjących nie wie także, za czyją sprawą Dudley P. Nihoun, który dorobił się własnego konta w banku i stał się sam Wielkim Szyldelem, spoczął na dnie oceanu.

W Ameryce mówi się, że biedacy (o Irlandczykach mowa), co dorobili się grosza, mają krótką pamięć... Na Raiatei słowo „biedak” nie jest znane, bo nikt tam głodno nie chadza. Biedak to człowiek nieszczęśliwy, jakim na przykład po wyjeździe nui Duda stała się Porima. Człowiek nieszczęśliwy, niepewny siebie nie powinien bez ubezpieczenia wypływać samotnie na lagunę, każdy mieszkaniec wyspy o tym pamięta. Ale Porima pragnęła uzbierać dla swego ukochanego nowy woreczek pereł. Drogo za swoją miłość zapłaciła. Święta Tehmani nie mogła zrobić dla niej nic więcej jak połączyć ich w zaświatach.

Na tym jednak sprawa pereł Porimy, za które Dud kupił sobie „Golden Creeka”, dla Tehmani się nie skończyła.

Bogowie nie rzucają klątw, to rzecz ludzi. Bogowie tworzą lub niszczą. Dają albo zabierają. Nagradzają lub karzą. Biada śmiertelnikom, którzy się Tehmani narażą. Im i wszystkim tym, co na wykradzionym Porimie skarbie położą swoją rękę.

Wiadomość — bomba, pani Langley nie mogła w to uwierzyć: Martin spadkobiercą dużego majątku!

Obejrzała z obu stron pismo spółki adwokackiej Hartfield and Hartfield Jr. adresowane do Amy. Do Amy Langley. Seledynowy papier z nadrukiem spółki, z adresem, z tuzinem linii telefonicznych, z kontami bankowymi — żaden sen. A Amy nie raczy nawet podnieść głowy z kanapy. Jak gdyby ten arkusz wykwintnego papieru z tłoczonym znakiem wodnym w

kształcie kunsztownie splecionych dwóch dużych liter „H” był rachunkiem za wywóz śmieci. — Stoi tu jak na dłoni. — Potrzęsła pismem. — Martin dziedziczy fortunę po Dudleyu. Tym, wiesz... Jest spadkobiercą całej pozostałej po nim masy spadkowej: konta w banku, wartości polisy ubezpieczeniowej na życie, odszkodowania za zatopiony statek. Jako uznana przez sąd matkę jego dziecka — podniosła pismo do oczu — „prosimy Szanowną Panią o łaskawe przybycie do naszego biura na Grand Avenue 176 celem nadania sprawie biegu”. Szanowną Panią... O łaskawe przybycie... Ja oszaleję!

Nadawać sprawie bieg. Bieg: występować do banku o gotówkę. O wypłatę polisy ubezpieczeniowej. O odszkodowanie za statek. W imieniu Amy Langley. Dla pani Amalie Langley, będącej w ciąży z tragicznie zmarłym Martinem Strangiem. A Amy jakby wciąż nie rozumiała. Ta ciąża padła jej na mózg.

— Masz zabrać ze sobą orzeczenie sądu, piszą. Przeczytaj sama — powiedziała pani Langley. Siadła na kanapie u boku córki i położyła pismo na jej gołych kolanach. Nieruchomej, zapatrzonej w swój wielki brzuch, bez reakcji na to, co ona mówi. Jak gdyby to wydarzenie nie dotarło *do* niej.

W ostatnich tygodniach Amy zmieniła się bardzo na niekorzyść. Nie chodzi o stronę fizyczną — to, na miesiąc przed rozwiązaniem, zrozumiała; ale wewnętrznie. Odkąd pogodziła się z nieuchronnym, od kiedy zaniechała prób pozbycia się płodu, jak skakanie ze schodów, ze stołu, podgotowywanie się w gorącej wodzie do omdlenia — przestała wychodzić na miasto, dbać o siebie, cały boży dzień włóczy się po domu w koszuli nocnej, w rozczłapanych pantoflach albo boso — coś okropnego. A jej aspiracje zawodowe, wymarzona kariera gwiazdy filmowej, czym potrafiła zanudzać na śmierć... Niebacznie rzucone słowo o Hollywood doprowadza ją do szalu.

Matka objęła ją czule.

— Będziemy cholernie bogate. — powiedziała — to pewne. Z chwilą zaklepania przez sąd powództwa o uznanie Martina ojcem twego dziecka nic w naszym stanie nie może już tego odkręcić, a to mamy w ręku. Musisz przyznać, że twoja matka nieźle pokierowała sprawą, prawda? Najpierw rentę dla twego dzieciaka... — Pocałowała milczącą córkę w policzek. — Z tym zdaj się też na mnie. &

Była rozdygotana. Ile gotówki może być na koncie w banku? Którą można niezwłocznie, na każde życzenie podjąć. Ile kosztuje statek morski? Na jaką sumę ubezpiecza się wariat, który obcemu człowiekowi zapisuje cały swój majątek? Wariat, bo nikt przy zdrowych zmysłach obcym forsy nie zostawia. Jak to jednak dobrze, że w tę głupią noc przymknęła oko na wszystko. O co w końcu miała drzeć szaty!

Przejeżdżał tędy — tak powiedział — nie miał co robić na statku, więc wpadł do Martina. Z torbą pełną butelek... Drzwi otworzyła mu Amy. W peniuarze nie zakrywającym niczego, z tym swoim rozmamłaniem w oczach włączającym chłopom za skórę. Tak się ta pamiętna noc zaczęła, a skończyła... Lepiej nie mówić!

A właściwie dlaczego nie! Ucztowali. Jej świętej pamięci mąż też zaglądał do szklanki, tyle że w pojedynkę i na ponuro. Więc ucztowała. Dała się wciągnąć w towarzystwo, i było. Hamulec, co od lat kisił ją w kuchennych smrodach, nie wytrzymał naporu. „Że niby jesteś stara? Bo dorosła córka na ciebie patrzy? Bo w czwartym krzyżyku pozostał ci tylko grób?” — Brał ją, charnisko, pod włos, dopóki nie dostał swego, aby, kiedy usnęła, przenieść się do łóżka Amy.

Tydział później jego statek wyszedł w morze. Cztery miesiące później Amy wyleciała ze studia. Była w czwartym miesiącu ciąży. Dokładnie w czwartym. Tak wygląda rachunek czasu.

Temu rachunkowi pani Langley nic nie mogła zarzucić, jest W porządku. Ale...

Gdyby nie siedziała w tej chwili na kanapie, nie utrzymałaby się na nogach, tak nią szarpnęło. Nedorzeczna myśl wpadła jej do głowy. Głupsza od najgłupszych scenariuszy filmowych, o których tyle się od córki nasłuchiwała. Rodowód tego testamentu! Ten pijak — każdy inny w warunkach tego domu założyłby sobie to samo — pomyślał, że Amy żyje z Martinem... Że

ustrzelił przyjacielowi bachora... A że nie miał rodziny...

Zaniosła się histerycznym śmiechem.

— Ach, Amy... Amy... — dusiła się — jak to nigdy nic nie wiadomo.... Będziemy bogate... Strasznie bogate... O Boże — chwyciła się za skronie — jak bogate... Ale co z tobą? — Oprzytomniała. Córka patrzyła na nią jak na wroga. Co ona knuje? Kiedy coś zamyśla, coś wstrętnego, zawsze jest taka. — Co się tak gapisz?

— Będziemy?... — Nabrzmiała twarz Amy skrzywiła się. — Co też ty sobie wyobrażasz! — rzuciła agresywnie spode łba z rękami na brzuchu.

Amy ma oczy ojca, tego egoisty, tego brutala, co wszystkie domowe porachunki rozliczał pięścią. Pod spojrzeniem jego ślepiów ugiwały się pani Langley kolana. Jego ślepie. Ślepie tej cholerniej dzielnicy dla niedorostków życiowych. Skąd tylko krok do parszywych czarnuchów, do drewnianych bud rozno-sieli mleka, do klitek spensjonowanych kurew. — Gówniaro! — Straciła panowanie nad sobą. — Będziemy bogate, powiedziałam. Ty i ja, obie albo nic z tego. Za krzywoprzysięstwo w tym stanie można podłapać dwadzieścia pięć lat. Dwadzieścia pięć! I żebyś nie wiem jak kombinowała, krzywoprzysięstwo pozostanie krzywoprzysięstwem, zapamiętaj to sobie! A teraz wykąp się, owiń swój bęben w coś ludzkiego i jedziemy do tych Hartfieldów.

Taksówkarz jechał za szybko jak na ten tłok pojazdów. Pędził na łeb, na szyję. I był zbyt gadatliwy, pani Langley woli trzymać takich na dystans. Już na początku kursu Amy pochwaliła się tym spadkiem. Milionowym. Dziedziczy całą flotę statków morskich. Do Ricky Spallazio, tego, co ją wykopał ze studia, chciała telefonować. Jaka głupia! Taksówkarze, fryzjerzy, barmani, wszyscy ci włoscy gołodupcy są na usługach mafii gangsterskich, dobrze, że nie podała swego nazwiska i adresu, to byłoby do niej podobne. Czarne, ulizane włosy tego kundla przy kierownicy, gestykulacja południowca — wypisz wymaluj makaroniarz, a ona mu o milionach! Na wszelki wypadek pani Langley zdecydowała się wysiąść parę numerów wcześniej.

W całkowicie innym nastroju była Amy. Widocznie pękła w niej jakaś tama. Jeszcze dziś rano żyć jej się nie chciało; ładna perspektywa: bachor, pieluchy, smrody — co za parszywy świat, i nagle taka odmiana. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Taksówkarz jechał stanowczo za wolno. Włókł się tym swoim cadiillakiem, modelem sprzed odkrycia Ameryki, jak za własną trumną, a jeszcze matka go mitygowała. Kompletny brak wyobraźni! A jeśli myśli, że będą mieszkały dalej razem, to czeka ją małe rozczarowanie.

Amy postanowiła robić wszystko z głową, w jej sytuacji — przysięga w sądzie itede — musi uważać. Naturalnie, odpali matce coś za zamknięcie gęby i na dziecko. Bo dzieckiem zajmie się matka. A ona zamieszka sama i zmieni nazwisko. Wszystkie sławne aktorki tak robią. W miarę zbliżania się do centrum miasta, którego Los Angeles właściwie nie ma, ruch samochodowy stawał się coraz większy. Każde prześlizgnięcie się przez wielopasmowe skrzyżowanie kierowca kwitował zwycięskim okrzykiem, a za wozem, który go wyprzedzał, posyłał soczyste przekleństwo włoskie. Na widok Murzyna matka dostaje wypieków, w Latynosach widzi szczurów kanałowych, w południowcach pochodzenia europejskiego — złodziei, gangsterów, sutenerów. Rico jest Włochem. Gdyby miał pieniądze, potrafiłby nakręcić taką rewiew, jakiej ten kraj nie widział! Zmieniłaby wtedy matka zdanie o nim, oj, zmieniłaby! Ile taka rzecz by kosztowała? — zastanawiała się Amy. A gdyby na dodatek ona wystąpiła z nową, cholernie ciekawą twarzą...

Z taksówki na Grand Avenue, prowadzonej przez żywo gestykulującego kierowcę, wysiadły dwie kobiety. Starsza, ciemna blondynka, wcale niebrzydka jeszcze, ubrana w tanią kretonową suknię z krótkimi rękawami, zapinaną od góry do dołu na guziki, w jakich kobiety z prowincjonalnej Kalifornii wybierają się z dziećmi do kościoła lub w odwiedziny do znajomych, oraz młodsza od niej o połowę, najprawdopodobniej córka, też blondynka, w bardzo zaawansowanej ciąży. Los Angeles jest miastem kobiet. Kobiet wszystkich ras, kolorów skóry, wyznań, przekonań, klas społecznych, kobiet żądnych sławy i pieniędzy, ale przede wszystkim sławy, gotowych do zapłacenia za nią całym swoim stanem posiadania...

Wielkie wytwórnie filmowe nie mają kłopotu z ich szukaniem, przeciwnie, zmuszone są do wydawania pieniędzy na ochronę przed nimi swoich atelier. Ale naganiaczy nowego narybku mimo to zatrudniają. Ludzie ci mają oko wyczulone na urodę, lecz tę wychwytywaną przez obiektyw kamery filmowej; zwrócić ich uwagę to dla kobiety większa szansa niż rekomendacja wyspecjalizowanej w tym zawodzie agencji werbunkowej.

Kiedy taksówka utonęła w gąszczu pojazdów, jej pasażerki ruszyły w górę alei. Starsza chciała wziąć pod ramię tę w ciąży, ale ta odsunęła się od niej. Sto jardów dalej przystanęły.

Masywny fronton gmachu z numerem 176, do wysokości trzeciego piętra wykładany ciemnobrazowym marmurem, baldachim nad wejściem, wielkie obrotowe drzwi będące w stałym ruchu, portier w mundurze suto szamerowanym złotem. Kobiety sprawdziły, czy się przypadkiem nie pomyliły. Nie pomyliły się. Nad wejściem widniał wielki miedziany szyld z nazwą właściwej spółki adwokackiej.

Pani Langley inaczej wyobrażała sobie jej siedzibę. Budynek mieszkalny z wydzielonym na biuro piętrem lub dwoma, coś w rodzaju większego gabinetu lekarskiego dla lepiej sytuowanych ludzi, gdzie wizytę zamawia się telefonicznie. Rzeczywistość podcięła jej nogi. To nie było biuro, tylko wielka instytucja prawnicza zajmująca cały gmach, nigdy by nie pomyślała, że ten Dudley, zwyczajny obieżyświat, który dochrapał się statku morskiego, przychodził tutaj jak do równych sobie. Połyskujący marmur ścian, baldachim z gcubego płótna żaglowego, przetykany czerwono-niebieskimi pasami, „admirał” u wejścia, ogromne ślepia okien z przypalonego na złoto szkła przeciwsłonecznego... To przekraczało jej wyobraźnię. Góra marmuru zmarnowana na to gmaszysko przeraziła ją. Okropnie forsiaści muszą być ci Hartfieldowie!

Imponująca fasada siedziby spółki adwokackiej Hartfield and Hartfield Jr. nie wywarła na Amy większego wrażenia. Ona widziała już to i owo, otarła się o wielki świat. Najważniejsza jest forsa, która czeka na nią za tą fasadą. Jej forsa. O jakiej nikomu się nie śniło. Godzina z Dudleym w łóżku i potem jeszcze kilka spędzonych z nim w podrzędnych dziurach portowych w tajemnicy przed matką i Martinem nie poszły na marne. Początkowo czuła się wykołowana. Na pożegnanie odpalił jej, chciwiec, siedemdziesiąt dolarów. Nie równe sto, ale trzy papierki po dwadzieścia i dziesiątka — równowartość dwóch tygodniówek robotnicy taśmowej w zakładach lotniczych. Jak pierwszej lepszej dziwce z ulicy... Świnia! Teraz powetuje to sobie. Ricky, pomyślała, padnie przede mną na kolana, jak się o tym dowie.

Z zadartą dumnie głową podeszła do przyglądającego się im podejrzliwie portiera.

— Jestem panią Amalie Langley — przedstawiła tylko siebie tonem przynajmniej współwłaścicielki tego półdrapacza chmur.

Wchodzącego do gabinetu witało ze ściany frontowej drzewo genealogiczne władców tej imponującej góry z marmuru, kolorowych metali, przypalonego na złoto szkła. Protoplasta tego rodu miał siwe bokobrody, modne w latach zdobywania Kalifornii, zwanej wtedy Dzikim Zachodem, binokle w drucianej oprawie na czerwonym, wydatnym nosie, jego okazały brzuch opinała safianowa kamizelka ze zwisającym z kieszonki brelokiem od zegarka. Z twarzy protoplasty tej dynastii prawników, znanej na całym Zachodnim Wybrzeżu, od San Diego — na południu, po Seattle — na pograniczu Kanady, biły dostojność i mądrość. Bardziej wnikliwy obserwator, nie ufający pierwszemu wrażeniu, dopatrzyłby się w jego przymrużonych oczach przede wszystkim pionierskiej bezwzględności, bez której w owych latach przybyszowi z Europy nie udawało się przedrzeć przez zapory Indian, wyrastające jak spod ziemi na długiej drodze do słonecznego brzegu Oceanu Spokojnego, a poniżej brzucha, nie uwidocznionego na portrecie, domalowałby sobie w wyobraźni rękojeść colta dragon kaliber zero czterdzieści, nie zrównanego wówczas argumentu w rozstrzyganiu sporów. Podobnie przedstawiały się portrety innych mężów. Jak z tego widać, moda w ubiegłym wieku niechętnie brała rozbrat z wzorcami przyniesionymi na tę półkulę ze starej Anglii. Znaczny wyłom w jej surowym wyrazie wprowadza osoba przedstawiciela piątego pokolenia rodu, otwierająca dwudziesty wiek: czarny surdut ustąpił miejsca jasnemu, w kolorze panama smokingowi, binokle okularom w rogowej oprawie, aksamitna, w konfederatkę wiązana

kokarda krawatowi o barwie dojrzałego banana, zaciągniętemu na sztywnym kołnierzyku koszuli. Gałąź szósta drzewa genealogicznego rodu witała klientów spółki Kalifornią nowoczesną w każdym calu. Ale nie tą najbardziej współczesną: portretu pana Hartfielda juniora jeszcze na ścianie nie było.

Nie było go także we własnej osobie za jedynym biurkiem w tym przestrzennym, wyłożonym teakową boazerią gabinecie. Drewno na wykładzinę tego wytwornego w swej surowości pomieszczenia sprowadzono z dalekiej Jawy. Kiedy je ścięto, liczyło sobie ponad sto trzydzieści stóp wysokości i prawie dwadzieścia stóp w obwodzie pnia — dojrzałe było pod piłę, jego twardy miąższ przydawał sprawom tu omawianym godnej oprawy.

Panowie Hartfieldowie, senior and junior, bardzo żalowali, że z powodu nawału zajęć nie mogą przyjąć pań Langley osobiście. Zadanie to powierzyli swemu wybitnemu współpracownikowi, panu Abrahamowi Jinxowi, dyrektorowi departamentu spadkowego spółki.

Departament spadkowy. Raj. Tylko dla wybrańców. Mocarni są ci Hartfieldowie! — myślała oszołomiona tym wszystkim pani Langley i ujmowała sprawę po swojemu: wielki mi cud w tej Kanie Galilejskiej. Że wino się pomnożyło, że woda zamieniła się w wino. Wielka mi sztuka. Prawdziwy cud stanie się w Los Angeles, na Grand Avenue 176, ósme piętro, w świątyni z portretami, a anioł obwieszający go światu nazywa się Abraham Jinx!

Mówił Anioł Zwiastun, Abraham Jinx:

Istotnie, pan Dudley P. Nihoun zdeponował u nas swój testament. Ponieważ jego śmierć została potwierdzona przez Departament Żeglugi Ministerstwa Wojny, zapoznaliśmy się z kopią jego ostatniej woli, zgodną z oryginałem znajdującym się także w naszych rakach, z której wynika, że spadkobiercą całej pozostałej po nim masy spadkowej jest pan Martin D. R. Strang. Urzędowe zawiadomienie o jego zgonie upoważnia nas do uruchomienia procedury spadkowej.

Istotnie, orzeczenie sądu cywilnego naszego miasta, uznające ojcostwo pani dziecka w osobie rzeczonego Martina D. R. Stranga, jest ze wszystkimi jego skutkami prawomocne i jako takie nie podlega podważeniu. Niepotrzebnie się pani, panno Langley, wystraszyła: „nie podlega podważeniu”, jak powiedziałem, nie oznacza, aby ktokolwiek je zaskarżał jako niezgodne ze stanem, faktycznym. Pod tym względem, najważniejszym dla pani dziecka, zastrzeżeń nie ma. Nie wyklucza to jednak możliwości posiadania przez pana Stranga dzieci z innymi kobietami, co, gdyby tak było, powiększyłoby krąg potencjalnych spadkobierców.

A więc sprawa ojcostwa pani dziecka jest ostatecznie zamknięta. Nie istnieją także możliwości napływu roszczeń ze strony najbliższej rodziny Dudleya Nihouna, jak bowiem ustaliliśmy, dwie siostry, jedyne jego rodzeństwo, postradały życie podczas przeprawy przez Atlantyk w pamiętnej katastrofie „Titanica”. Otwarta natomiast jest sprawa osoby spadkobiercy. Prawo jest prawem. Kładzie ono na nas obowiązek zbadania jego powiązań rodzinnych. O jego pochodzeniu nie mogła pani podać na rozprawie sądowej żadnych bliższych danych. Byliśmy zmuszeni wobec tego zwrócić się do Wydziału Imigracji Departamentu Stanu, a stamtąd ślad poprowadził do jego rodzinnego Torquay w...

Ależ nie! Nie ma pani powodu do niepokoju! Proszę wypić łyżeczek wody mineralnej. Mineralna z coca, pół na pół, dobrze pani robi. Powodu do niepokoju, jak powiedziałem, nie ma żadnego, a wręcz przeciwnie. Ale po kolei. Zechce pani jeszcze łyżeczek i proszę posłuchać. Na rozprawie sądowej obie panie scharakteryzowały Martina Stranga jako człowieka unikającego rozmów o sobie, tajemniczego. Anglik z pochodzenia, marynarz, kawaler, o swojej rodzinie nie wspomniał ani słowem. Przyczyny tego nie sprawdzaliśmy, nie ma to związku z dziedziczonym przez niego majątkiem po Dudleyu Nihounie. Przy okazji jednak dowiedzieliśmy się o bardzo ważnej dla pani i dla pani dziecka) sprawie. Niezwykle ważnej. Proszę teraz o baczną uwagę. Proszę się skupić na każdym moim słowie, czegoś takiego nie słyszy się codziennie. Otóż w osobie skromnego marynarza, włóczęgi, krył się jedyny syn Donalda Stranga z Torquay, właściciela wielkiej floty frachtowców oceanicznych, znanego w całej Anglii biznesmena, który...

Proszę się uspokoić. Może jednak kroplę koniaku, mała dawka w pani stanie nie jest

szkodliwa, a rozszerza naczynia krwionośne. Proszę bardzo. Jeszcze kropelkę. O tak...
Pozwoli pani, że będę kontynuował: biznesmena, który — mam na myśli ojca Martina, Donalda — zginął wraz ze swoją małżonką podczas bombardowania Anglii przez Niemców. Zawila, ale wyjątkowo interesująca historia. Ustalenie pochodzenia Martina było bardzo utrudnione, bowiem opuścił on dom rodzinny jako czternastoletni chłopak i do czasu wystąpienia o naturalizację w Stanach ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem, nie dając rodzicom znaku życia. Żadnego. Ponieważ wszelkie poszukiwania, trwające kilka lat, nie dały rezultatu, uznany został za zmarłego, cały zaś majątek po rodzicach odziedziczyła pozostała przy życiu córka, a siostra Martina, Florence. Jest ona wyłączną dziedziczką własności rodziny Strang, a raczej była nią do czasu wykrycia prawnej kontynuacji istnienia swego jedyne go brata w osobie pani dziecka. Fakt, że poczęte zostało w konkubinacie, jest bez znaczenia, liczy się orzeczenie sądu naszego miasta przeprowadzone zgodnie z wymogami prawa cywilnego Stanów Zjednoczonych. Od tej chwili ma ono prawo ubiegać się o współdziedziczenie także majątku rodzinnego...

Rozumiem stan pani ducha, ale chyba mnie pani nie pojęła. Dziedzicem masy spadkowej zapisanej przez Dudleya Nihouna Martinowi Strangowi nie jest pani osobiście, tylko jej dziecko. Które musi się w pierw urodzić. Żywe... Dopiero w7ówczas — zakładając, że do tego czasu nie zostaną zgłoszone roszczenia innych osób — będziemy mogli przystąpić do formalnego uruchomienia testamentu. Zaznaczam jednak, że nie będąc ślubną żoną spadkobiercy, lecz tylko matką jego dziecka, przysługiwać będzie pani prawo jedynie do administrowania tym majątkiem — w zakresie ustalonym dodatkowo przez sąd i pod kontrolą banku, w którym zostanie on zdeponowany — do czasu osiągnięcia przez dziecko pełnoletności...

Nie, nie przejęczyłem się: spadkobiercą majątku po Dudleyu Nihounie nie jest pani, tylko jej jeszcze nie narodzone dziecko. Dziecko! Jest ono także pretendentem do majątku po rodzicach Martina Stranga. Pretendentem, gdyż o uznaniu jego prawa do masy spadkowej, znajdującej się obecnie w rękach panny Florence Strang, zadecyduje sąd brytyjski. Procedura brytyjska jest skomplikowana, a sądy Zjednoczonego Królestwa znane są z powolności; bez pomocy wytrawnych znawców prawa brytyjskiego sprawa może ciągnąć się długo. Jeżeli pani sobie życzy, chętnie podejmiemy się przeprowadzenia roszczenia pani. Koszt takiego procesu będzie z pewnością znaczny, ale proszę się tym nie martwić: masa spadkowa...

Jak duża ona jest, pyta pani. Ta po Dudleyu Nihounie i ta druga? W przeliczeniu na gotówkę, jak pani to ładnie ujęła. I ile przypadnie na panią osobiście? — zupełnie zrozumiałe pytanie. Szczegółowa wycena składników majątku Nihouna ogłoszona zostanie po urodzeniu się spadkobiercy, nie będzie więc pani czekać na to długo. W tej chwili mogę tylko powiedzieć, że czeka panią bardzo przyjemna niespodzianka. Natomiast majątek po Donaldzie Strangu to już nie pieniądze. Dla takiej masy spadkowej mamy całkowicie inne określenie...

Nigdy, w takiej sytuacji nie wychodziłem na pokład. Od pewnego czasu, naturalnie. Początkowo, kierowany ciekawością, wybiegałem po akcji na górę. Okręt podwodny jest dla załogi przestrzenią odciętą od świata. Zostawiając na boku wzniosły pasztet, jakim faszeruje się ludzi w trakcie przeszkolenia, trzeba powiedzieć, że jest on pułapką rzuconą w żywioł, zdaną na przypadek, który zadecyduje o jego istnieniu. Dużo oczywiście znaczy dowódca okrętu — mam na myśli jego doświadczenie bojowe, tak zwanego ducha, choć w miarę rozwoju techniki zwalczania jednostek podwodnych przez nawodne, rozpostarcie nad oceanami nadzoru lotniczego cechy te w beznadziejnie szybkim tempie traciły na znaczeniu. Przypadek „Elektry” jest wyjątkiem potwierdzającym regułę. Jest rezultatem przechytrzenia przez facetów pokroju profesora Waltera swoich kolegów z przeciwnej strony. I chyba przedwczesnego uznania przez tych ostatnich u-bootwaffe za zdechłego śledzia. Myśląc o tym, nie można pominąć osoby Hackego. Mówiąc o nim, nie mogę nie myśleć o sobie. Dowódca wydaje rozkazy, podwładni je wykonują. Z odpowiedzialnością podzieloną na obie strony: dowódca odpowiada za wydany rozkaz, podwładni za jego wykonanie — porządek ten obowiązuje we wszystkich armiach świata. I wszystko byłoby w porządku, gdyby

pewnego dnia, w Genewie, nie wyznaczono kreski, ponad którą uznane prawem zabijanie wroga nazywa się zbrodnią.

I znowu, po raz tysięczny, wracam do Adama i Ewy: nigdy nie wychodziłem na pomost, nigdy w takiej sytuacji. Ciekawość oglądania skutków naszej roboty miałem od dłuższego czasu zdecydowanie za sobą. Jeżeli wychodziłem, to tylko dla odetchnięcia świeżym powietrzem, by oderwać oczy od wiecznie tych samych zaworów, dźwigni, płataniny kabli i rur, pajęczyny instrumentów pomiarowych, by uciec od mlaskania, syczenia, stukania, parskania, dyszenia nieustannie pracujących silników, by rozprostować zeszywniałe mięśnie, by wiatr i deszcz zmył ze mnie warstwę smrodu i zjełczałego tłuszczu; wychodziłem wreszcie po to, aby, miast uruchomić czy wyłączyć jakieś urządzenie, nie wyciągnąć pistoletu i z największą pewnością czynienia rzeczy właściwej nie strzelić sobie w łeb. Życie głównego mechanika takiego pudła to żywot kreta, wiecznie nasłuchującego zwierzaka ufającego tylko własnym uszom. Na pancerną blachą poszycia kadłuba napierają miliardy ton wody. Nad głową dzieją się rzeczy, o jakich Ver-nemu się nie śniło, ale mechanik ma tylko słuchać komend: „wyżej!” — bo okręt poszedł głębiej, zanurzył się maszt peryskopu i dowódca nic nie widzi; „niżej!” — bo wynurzył się za bardzo, eskorta konwoju go zoczy i sypnie ogniem artyleryjskim, chwilę potem rozpęta się wokół piekło detonacji min głębinowych, wewnątrz zaś naszego pudła, na jego dachu, rozpocznie się koncert asdiku, aby, kiedy ucichnie, powrócić do tych samych „wyżej”, „niżej”, „niżej”, „wyżej”, dopóki kadłubem nie wstrząsną kopnięcia wystrzelonych torped. Normalka. Nic nadzwyczajnego. A kiedy ucichną detonacje, perkusja asdiku, szum śrub okrętowych nad nami i wysuwamy nos na powierzchnię, widzimy pustkę wodną z resztkami tego, co zostało po statkach, którym nie udało się wymigać naszym cygarom. Lepiej tego nie oglądać. Jeżeli nie chce się rzygać, lepiej nie folgować ciekawości.

I tak było ze mną podczas pierwszej strzelaniny, zaraz po wyjściu z Oceanu Indyjskiego na Pacyfik południowy: przesiedziałem ją w centrali. Różne wersje na jej temat kursowały wśród załogi maszynowej. Mieszkając z Hackem przez ścianę — a raczej przez kotarę, bo tylko ona przedzielała nasze pomieszczenia — przyjąłem wersję oficjalną: jakiś zacierzewiony rozbitek, jeden z trzech ocalałych z tego statku, strzelił z pontonu gumowego do ludzi na pokładzie, i poleciało; w takiej sytuacji palce same zaciskają się na spuście. Podstaw do powątpiewania w tę wersję nie mam. Coś w rodzaju wypadku przy pracy, takie rzeczy zdarzają się, ale co innego historia z „Golden Creekiem”. Jatka rozbitków była wkalkulowana w akcję od samego początku, Hac-ke — jeżeli nie .chciał zdradzić naszej obecności na tych wodach — musiał się zdecydować: albo, albo. Przy nadzorze lotniczym na tym akwenie czynnym non stop, wykrywającym pustą puszkę po konserwie kolebiącą się na fali, szans na ujęcie zorganizowanemu pościgowi nie mieliśmy żadnych; wykrycie i zniszczenie nas było kwestią jednego dnia. Co wobec prawa podjęcie i wykonanie takiej decyzji oznacza? W kategoriach prawa międzynarodowego czyn taki kwalifikowany jest jako działanie z premedytacją.

Ale wracając do mojej osoby. Dlaczego, nie przymuszony, znalazłem się wtedy na pomoście? — to po pierwsze, a po drugie...

Fatalna wyliczanka. Myśli o tym żrą mnie jak głodne wszy. Zostawmy motywy mego czynu. Te z zewnątrz i te z wewnątrz. Niech ustąpią miejsca nagim faktom.

Nacisnąłem spust. Zmasakrowana twarz Martina Stranga prosiła się o łaskę szybkiej śmierci. Żywe, spalone na węgiel ciało rzucone w słoną wodę morską — większych mąk sobie nie wyobrażam... Nacisnąłem. I niech mam odwagę przyznać się przed samym sobą, że był to strzał mierzony między zwęglone oczodoły, oddany z pełną świadomością skutku. Idąc dalej śladami faktów, nie mogę pominąć dwukrotnej odmowy wykonania rozkazu, jedyny chyba wypadek w historii u-bootwaffe; parabellum Hackego przystawionego do mojej skroni (Anglicy nazywają to działaniem „under duress” — pod przymusem); świadomości, że moja konsekwentna odmowa, poza tym że straciłbym życie, i tak niczego by nie zmieniła; Hacke by się nie zawahał. Mogę odtwarzać to wydarzenie jeszcze milion razy, manipulować faktami jak figurami na szachownicy w grze z samym sobą: końmi skakać po przekątnych pola,

gońcami po prostych, mogę ratować się rosadami, cudowaniem, kombinowaniem, wynik ostateczny tej partii pozostanie jednak zawsze ten sam.

Tyle o faktach. Pozostaje jeszcze sceneria, w jakiej się rozegrały: stojący na pokładzie bezbronny człowiek i świadkowie — ci od strony wody. Upiorne przedstawienie. Ten na pokładzie, skręcany potwornym cierpieniem, i tak nie rozumiał moich przetargów o jego egzekucję, ale świadkowie...

Tylko dwie czarne minuty w dwudziestu sześciu latach mego życia i od razu wieko trumny. Mówię: „tylko dwie”, jak gdybym już umierał.

Lubię wczesną jesień. Zdecydowanie bardziej niż wiosnę czy lato. Jesień w luneburskiej pustaci oszałamia bogactwem barw i zapachów jak żadna inna pora roku. Niedaleko mojego ulubionego miejsca w puszczy przebiega rzeczka Aller: bystra, zimna, wody swoje bierze z wielkich połaci bagien i torfowisk zalegających to uroczyisko. Jest krystalicznie czysta: patrząc z brzegu widzi się każdy kamyk, każdy glon, ziarnko żwiru — płyciutka wydaje się ta Aller, zachęcająca do pobaraszkowania. Obcym w tym stronach zalecam jednak nieco ostrożności: jej płyt-kość zdradliwa jest, a niska temperatura wody działa na nie uodpornione serca niczym lodowata pętla. Oprócz zupełnie innego niż wiosną czy latem szmeru Aller jesień w puszczy luneburskiej przechowuje w zanadrzu jeszcze taką ciszę, jaka w tym skołatany świecie umarła już dawno temu. Też pozorną jak płyt-kość wody, nie czekającą martwo na ożywienie krzykiem ptaka czy uderzeniem racicy spłoszonej sarny. Wszystko tu jest dla nie obeznanego pozorne, nijakie, wystarczy raz zobaczyć, aby więcej tu nie przybywać. I o to puszczy chodzi. Świat się tak bardzo zmienił w ostatnich latach, ludzie tak się poprzecinaczyli, rozkochali w betonie, w zwojach drutu kolczastego — kto ma dzisiaj czas dla listka osiki czy słowika. Nie tędy bowiem wiodą ludzkie drogi. I dobrze, że nie tędy. Świetnie, że zostawili tę krainę, że nad ścieżyny leśne, nad wyżłobione deszczami wykroty wybrali utwardzone szosy omijające tę krainę ciszy. Wybornie, że zostawili ją duchom przeszłości.

O tej właśnie porze roku wrywałem się nad Aller. Już w piątek pakowałem do plecaka książki, coś do jedzenia i picia, następnego dnia wczesnym rankiem wskakiwałem do autobusu, mającego przystanek naprzeciwko naszego domu, i wyruszałem ku memu królestwu. Jeżeli pogoda nie psuła się zdecydowanie, matka wiedziała, że nie zobaczy mnie wcześniej niż w niedzielę wieczorem.

Do mojego pustkowiec, obwarowanego z trzech stron wężom Aller, dostęp miały tylko sarny, jelenie i dziki. Człowiek, chcąc się tam dostać, musiałby w pierw przebrnąć przez ciemną płataninę dziewiczej puszczy, pokonać zdradliwe bagnisko, zapadnie, wertepy sykich piachów — nie widziałem chętnych na to wśród ospałych mieszkańców małego Burgdorfu. Ja na pokonanie tej zapory potrzebowałem godziny. Na dotarcie do mojej patelni zieleni w tej dzicy. Ale wysiłek bywał stokrotnie wynagradzany. Zwracany mi przez naturę darami rozumianymi tylko przeze mnie. Czegóż tam nie robiłem! Rozebrany do naga hasałem po polance, ścigałem się z ptakami, ćwiczyłem miotanie kamieniem, oszczepem wydłubanym z gałęzi, wskakiwałem do lodowatej wody, aby potem, wyczerpany wysiłkiem, wypoczywać aż do uła-dzema się we mnie wzburzonej krwi. Świat, kiedy znowu otwierałem oczy, był jak z zaczarowanej baśni. Mógłbym tak leżeć bez końca i wykrzykiwać hymn pochwalny na cześć słońca. Ono mnie stworzyło, jemu się oddawałem, z niepojętą rozkoszą stapałem się z nim w nierozłączną całość. Tak, panie Goethe: Dem Schnee, dem Regen, dem Wind entgegen — romantycznym młodzieniaszkiem byłem! Czterdzieści kilometrów dalej istniał świat totalnego obłądu całego narodu, z którego wyleczyć go miały dopiero Rosja i bomby. Tupot buciorów, jazgot fanfar, staccato werbli tego świata tu nie dochodziły, lecz świat ten był aż nadto realny i już aiedługo miał się upomnieć o mnie. Pewnego popołudnia zadanie to zlecił komuś do tego szczególnie predestynowanemu.

Wylegając się po kąpieli rozmyślałem o roku spędzonym jako stypendysta w London Royal Maritime Engineering College, o całkowitej odmienności stylu życia w tym kraju, o jego inności w ogóle w stosunku do tego, co u nas obiegowo się o nim pisze, o pewnej dziewczynie

z mego roku, Kanadyjce z prowincji Alberta

— nic konkretnego, łączyło nas kilka przelotnych uśmiechów, gdy nagle w myśli moje wdarł się niepokój. Otworzyłem oczy. — Płaski wąż rzeczki pełził bezszelestnie, nieruchomo zawieszony na niebie jastrzęb wypatrywał swojej ofiary — codzienny obraz puszczy, nic się nie działo, ale mną targnęła niepewność. Podźwignąłem się na łokciach i rozejrzałem uważnie. Tak, w najbardziej niedostępnym skrawku otaczającej mnie gęstwiny zauważyłem cień. Wpatrzyłem się w to miejsce. Ten punkt... przemknęło mi przez głowę. Gdyby ktoś chciał mnie zaatakować, wybrałby sobie do tego to miejsce.

To, co tam wypatrzyłem, zmroziło mi skórę, machinalnie nakryłem biodra ręcznikiem.

Plama odzienia ukazała się dopiero po chwili. Najpierw ujrzałem kontury człowieka przyczajonego za grubą sosną, jego jaśniejsze od kory dłonie na pniu i oczy — twarzy nie widziałem — ogniki oczu obmacujące mnie z ciemni. Widok diabła nie byłby dla mnie większym zaskoczeniem. Zaslaniając sobie krocze ręcznikiem, szybko wskoczyłem w spodnie.

Zjawia się nie spieszyła. Rozpoznałem ją. Z wszystkich możliwych zjaw na świecie mogła to być tylko ta.

Kilka miesięcy po moim wyjeździe z kraju przysłała mi do Londynu pakiet swoich zdjęć. Nic mnie z nią nie łączyło, korespondencji nie wymienialiśmy, przesyłka była nie mnjejrzym zaskoczeniem od znanych mi jej sztuczek z gimnazjalnych lat. Ale zabrakło mi sił na wrzucenie zdjęć do kosza. Dużego formatu fotosy przedstawiały kobietę — już nie dziewczynę — o władczej urodzie. Seria liczyła sześć kolorowych zdjęć. Na każdym była ona, zawsze w tym samym stroju: bluzeczka ukradzioną słońcu, zawieszona niedbale na obnażonych ramionach, czółenka na wysokim obcasie o barwie bluzki, o smugę cienia ciemniejsza od góry kloszowa spódniczka w roziskrzone gwiazdy, na piekielnie zgrabnych nogach pończochy kolorystycznie zharmonizowane z opalenizną ramion. Model rzucał się w oczy. Przedstawiał śliczną kobietę, która przed wyjściem na spacer siada na moment w zamyśleniu na taborecie. Na wszystkich fotosach ta sama osoba, w tym samym” stroju, siedząca na taborecie z krwistoczerwoną różą w dłoniach. Nie powiedziałem nic o jej platynowych włosach, o oczach przenikających człowieka na wylot, zmysłowych ustach — zresztą zupełnie podobnych do ust tej jasnowłosej tu-taj...

Jakie efekty można za pomocą jednej róży w rękach kobiety osiągnąć! Jak takimi nogami w czółenkach w szpic można zamieszać w wyobraźni mężczyzny! Wielkim artystą musiał być ten fotograf.

Modelka liczyła wówczas dokładnie dziewiętnaście lat. Oryginał modelki, jaki z gęstwiny leśnej wyszedł na światło słońca, miał pół roku więcej.

Giselle cieszyła się w gimnazjum ogromnym powodzeniem u chłopaków. Mogła z mmi postępować, jak chciała. Dorastający chłopcy są straszliwie niepewni siebie z dziewczynami, podchodzą do nich jak do niewinnych kwiatów, nie domyślając się, co pod ich delikatnymi płatkami się kryje. A kryje się! Giselle ma robiła z tego tajemnicy. Kogo zaliczała do swoich adoratorów, szybko go o tym przekonywała. Sprawiało jej to perwersyjną przyjemność. Bulwersować otoczenie, zawracać chłopakom w głowie, koleżanki doprowadzać do wścieklej zazdrości — przy swojej urodzie osiągała to bez wysiłku. Nie powiem, aby zawartość jej wydekoltowanych bluzek uchodziła mojej uwagi. Dostrzegałem jej nogi, me byłem ślepy na zadzieraną za wysoko, niby w roztargnieniu, spódniczkę, tyle że moja reakcja na to była całkowicie inna od oczekiwanej: buntowało mnie to przeciwko niej.

Nie było to wszystko, z czym ta istotka wchodziła w dojrzałość. W odwodzie taktycznym miała walor, którym takie typy jak ona szczerze operują: kłamstwo. I żeby bardziej pogłębić uwodzonego czy zdradzanego, przysięgała. Na wszystko, co ślina przynosiła jej na język: na matkę — po niej wzięła urodę i skorość do zakłęć, na ojca, największego w Burgdorfie kupca i wpływowego w powiecie SA-mana, na Boga, a gdy ten nie przekonywał, na najwyższą we wszechświecie instancję — Adolfa Hitlera, aby krok dalej przedstawiać rzecz w całkowicie mnym ujęciu. Nie miano jej tego za złe. Tak jak niełatwo przemienić bańkę mydlaną w

kryształową kulę, tak samo niemożliwe jest, aby Gisa mówiła prawdę, nie będąc pewna, że nie kłamie, aby kłamała nie wierząc, że mówi prawdę.

Nie wytrzymałem jej zagrywek. Po dłuższym pobycie w jej towarzystwie ratunek przed popadnięciem w mętlik znajdowałem w ucieczce od niej, choć sztuka ta — kiedy ona zagięła na kogoś parol — nie była łatwa. Mnie się udawała. Płaciłem za to majakami nocnymi mającymi mnie zawsze jednym i tym samym, ale w końcu ucieczka się udała.

I oto po ostatecznym zwycięstwie nad sobą...

Ciekawy byłem, skąd się tu wzięła. Jak przedostała się przez tę dzicz, niemożliwe, aby szła trop w trop za mną. Gdyby mi się zbierało na śmiech, pomyślałbym, że zrzucano ją na spadochronie.

Wystrój jej przemawiał za tym: szykowny mundur Narodowo-socjalistycznych Młodych Kobiet Niemieckich, na nogach kolanówki, półbuty na półślupku z paskiem, na chustce pod szyją swastyka, na zrolowanym rękawie bluzki opaska ze swastyką; złośliwie, ale tak pomyślałem: majtki, to suczysko, ma pewnie też w hackenkreuze! Ciekawe, jaką bajeczkę mi zaserwuje? Przysiągłem sobie nie odezwać się pierwszy.

Giselle szukała kontaktu ze mną. Podczas mojej rocznej nieobecności w miasteczku wytworzył się podział na ludzi bez reszty oddanych führerowi i na bliżej nie określony margines też oddanych, lecz nie bez reszty, do których z jakiejś tam racji zaliczono moją rodzinę. Sączony w naród jad pogardy dla innych wydawał owoce. Wystarczył rok, a nie poznawałem ludzi. A najgorsza ta powaga, z jaką różne niepoczytalne bzdury przyjmowano; nie certowano się z okazaniem mi tego. Wiem, Giselle szukała kontaktu, ale jako jedynaczce wybitnego SA-rnana nie wypadało pokazać się ze mną, „angielskim pomiotem”, w kawiarni czy na ulicy, a na spotkanie w moim mieszkaniu pod wszysiko-widzącym okiem mojej matki widocznie nie miała ochoty.

Nie podniosłem się z koca. Tyle rzeczy wirowało mi w głowie. London Royal Engineering College z fantastycznie wyposażonymi pracowniami naukowymi — że też w tak napiętej sytuacji politycznej udzielają stypendium Niemcowi, mało tego: traktują go zupełnie jak swego, niepoważni są ci Anglicy! Ta Kanadyjka z Alberty, Lidia, wysoka, szczupła, piegowata, pisze niezłe wiersze, lubi koty, wiewiórki, czerwone sarny, nosi się jak Indianka ze szczepu Kitunahan, transcendentny (modne w owym czasie wśród studenterii znad Tamizy słówko) typ, lepiej trzymać się od takiej z daleka. Matka też tak myśli; nie o tej Kitunahance, o Giseli. Nic więcej o Lidii — Lajadaja, wołają ją — nie wiedziałeś? Gdybym dał się złapać na jej transcendentne (spoza zasięgu poznawalnego świata) spojrzenie, wiedziałbym więcej, ale się nie dałem, to samo z Gisą. Z tą w spódnicy feldgrau, w białych bawełnianych kolanówkach na najzgrabniejszych nogach Dolnej Saksonii, stojącej nade mną w rozkroku, wpatrzonej w czub mojej głowy. Nie odezwę się, postanowiłem, niech ona uruchomi swoją wyobraźnię.

Jak mało ją znałem!

Nie wyrzekła ani słowa. Stała chwilę nade mną w jakimś zaciekłym zapamiętaniu, jakiejś zmowie z siłami nieczystymi— czterdzieści kilometrów za puszcza fanfary, hacken-krauze, sieg heil, jubel, jej tata w pierwszym szeregu SA — objęła miłośnie mój uparty łeb, poczułem gorąc na karku, jej ręka na moich spodniach bez sprzeciwu z mojej strony rozpina je, obcałowuje mi brzuch, stacza się głową niżej, świat zachodzi mgłą, urywa się w czarną przestrzeń kosmiczną, kiedy znowu wracam na ziemię, parzący język Gisy szuka czegoś na mnie niebotycznie nabrzmiałym — szczegóły anatomiczno-techniczne tego zabiegu są w tej chwili nie na miejscu, wiem, ale inaczej nie mogę — paląca nadzieja się okrakiem na szczyt i ze zwycięskim uśmiechem na twarzy całą resztę tego prawykonania Symfonii Rozkoszy odgrywa do końca sama.

Przed przystąpieniem do zmiany opatrunku zbadala zawartość szklanego pojemniczka. Był pusty. Już drugi dzień ramię nie wydzielalo ropy) Odstawiła pojemnik na podręczny wózek z

płynami antyseptycznymi, materiałami opatrunkowymi i zaczęła usuwać dren z ramienia. Zmiana opatrunku nie należała do obowiązków anestezjologa, ale wobec ego pacjenta doktor June Gordon sama się tego podjęła. Całą w ogóle opiekę nad nim wzięłaby najchętniej na siebie. Pacjent, na jej prośbę, nie przyglądał się zabiegowi. Wpatrywał się w otwarte okno, jak w całej Australii zaciągnięte gęstą siatką przeciw owadom. Z zewnętrznej strony okna kładł się na siatkę cien żelaznej kraty.

Znaczny ubytek mięśnia prawego przedramienia ładnie się zabił, nakładanie nowego opatrunku było zbędne. Dezynfekując ramię, ukrytą w dłoni igłą ukłuła je poniżej blizny. Pacjent nie zareagował. Powtórzyła to w kilku miejscach aż do nadgarstka: ramię nie drgnęło, pacjent nie odwrócił głowy od okna.

Klasyczny przypadek porażenia nerwu ramiennego w wyniku zmiążdżenia splotu barkowego przez rekina. Brak czucia. Niezdolność ruchowa porażonej kończyny.

Poleciła salowemu zabrać wózek opatrunkowy i zamknąć drzwi.

Z rękami w kieszeniach kitla odezwała się triumfująco:

— Skończone, Martin. — Miała na myśli opatrunek. — Slicznie się zabił, kość, jak sam widziałeś na zdjęciu, jest w porządku, pozostało... — Zamknęła mu ręką usta. — Od strony ortopedycznej zabieg jest naprawdę prosty, wierz mi. Sto dni po operacji będzie po wszystkim. Tylko sto. Prędzej czy później i tak musisz się zdecydować, inaczej...

Dokończenie było zbędne, Martin je zna. Inaczej, to znaczy bez skrócenia ramienia o dwa cale i chirurgicznego połączenia nerwu grozi atrofia — zanik mięśni. Ze wszystkimi tego skutkami, do martwicy włącznie. Do amputacji ramienia!

Nie rozumiała jego uporów. Błąd w ramieniu u takiego mężczyzny doda mu tylko uroku w oczach kobiet, natomiast w życiu nie będzie żadnym utrudnieniem. Zresztą przy jego wzroście będzie mało widoczny. Nie sądziła, aby Martin, nie wyrażając zgody na ten zabieg, kierował się próżnością. To wszystko skutek jego tragicznych przeżyć. Trzeba dać mu czas na odzyskanie równowagi psychicznej. Niekiedy odnosiła wrażenie, że on po prostu nie chce żyć.

Martin wciąż tkwił w swoim zapatrzeniu w okno. June dałaby dużo, żeby odgadnąć jego myśli.

Ta krata... przypomniała sobie. Jeszcze z czasów, kiedy w tej salce lokowano rannych z zaburzeniami nerwowymi. Nie jest to najlepsze dla tak wrażliwego pacjenta. Postanowiła pomówić o tym z doktorem Masonem.

Zmieniła temat:

— A może — głos miała zalotny — nie życzysz sobie rozmawiać ze mną? Jeżeli tak...

Zdrowa ręka Stranga chwyciła ją silnie za dłoń

— Nie to! — usłyszała słowa zaprzeczenia. — Nie to! Proszę! — I jak zwykle po poruszeniu tematu zabiegu czoło Stranga zrosiło się potem.

— No to dlaczego? — Spojrzała mu w oczy. — Skąd w tobie tyle nieuzasadnionego pesymizmu? Zupełnie nieuzasadnionego, zapewniam cię!

— Ten zabieg nie będzie potrzebny — odparł Strang twardo. — Nie będzie! — powtórzył z determinacją.

Delikatnymi ruchami June wytarła mu czoło. Ten chłopak, myślała, potrzebuje jeszcze czasu na zapomnienie swoich przeżyć, które musiały być bardziej okropne, niż można to sobie wyobrazić. Czasu i... — darowała sobie słowo „troskliwość”. Przy swojej silnej konstrukcji jest bardzo kruchy psychicznie.

Martin stroni od rozmów. Odpowiada pojedynczymi słowami, najczęściej ruchem głowy czy zdrowej ręki — pod tym względem jest podobny do swego uzdrowiciela, doktora Masona. Ale ona rozumie go chyba lepiej niż doktor.

Spojrzała na zegarek. Na dwunastą zgłosił swoje przybycie komandor McGovern. Zaznaczył bez ogródek, że chce porozmawiać ze Strangiem bez świadków. Mało zręczny jest ten McGovern!

— Zostawiam cię — powiedziała. — Niedługo będziesz miał gościa, wiesz kogo. —

Uśmiechnęła się. — Jak tylko staniesz dobrze na nogach, zamawiam sobie pierwszy spacer z tobą, pamiętaj!

Komandor McGovern podniósł się z krzesła i odstawił je od łóżka. Obciągnął śnieżnobiałą bluzę. Minę miał jak zwykle bez wyrazu. Ten człowiek urodził się z jedną twarzą na wszystkie okoliczności. Takie twarze widziałem na sarkofagach w mrocznych podziemiach Katedry Opactwa Westminster w Londynie. Abwehra, mam na myśli oficerów wywiadu naszych sił morskich, którzy poddawali mnie rutynowej indagacji po powrotach z Atlantyku, angażowała do swojej pracy twarze bardziej przymilne. Ale wyniki, jak wykazują rezultaty wojny, wywiad brytyjski ma lepsze.

Poprawność zachowania komandora jest bezbłędna, żaden fałszywy ton nie psuje harmonii jego manier. Ale łączy się z tym kompletna nijakość towarzyska. Kontakt z nim musi być męką dla każdego, a coś dopiero dla mnie. Nie dziwię się, że i ordynator, i jego piękna asystentka przywdziewają w jego obecności maskę nieziemskiej wręcz cierpliwości.

Mnie niestety nie wolno ich w tym naśladować. Całą siłę woli skupiam na każdym moim słowie, na każdej sylabie mego angielskiego, na każdym moim ruchu. Stałem się maszyną obserwacyjno-analityczną samego siebie, mego otoczenia, wszystkiego, co się wokół mnie dzieje, pracującą bez wytchnienia, na najwyższych obrotach. Nie dopuszczam do siebie myśli o awarii w skomplikowanym centrum tej maszyny. Czuję się jak żołnierz w okopie pod nękającym ostrzałem artyleryjskim. Wszelkie ruchy w hallu prowadzącym do mego pokoju, każdy nie zidentyfikowany krok, szmer, głos za oknami zwiastują nadlatywanie pocisków z opóźnionym zapłonem, którego czasu eksplozji nie znam. Ta postawa nie będzie wieczna. Jest ona wypadkową zdarzeń, została mi narzucona, stała się grą wbrew mojej woli. W odpowiedniej chwili, już niedalekiej zresztą, wyjdę z okopu pod ostrzał.

„Okop” mój jest przestrzenny jak na jedną osobę, nieźle urządzone. Oprócz łóżka ze stolikami z obu stron, krzesłami, sówicie zaopatrzonej szafki aptecznej, pomocnika z szufladami, telefonu (wciąż poza zasięgiem mojej zdrowej ręki), wolną przestrzeń między oknami wypełnia niski, okrągły stół gabinetowy z płytą z grubego szkła, trzy metalowe foteliki, a bezokienną ścianę zastawia wysoka palma phoenix z koroną sięgającą nieledwie nad moje łóżko. Wyposażenie kompletują lustro, portret króla Jerzego VI w białym mundurze marynarki wojennej, dywaniki oraz lodówka z napojami orzeźwiającyymi. Oficerski komfort. Mieszanka kolonialno-dominialnej surowości z namiastką salonowych wygód, typowo brytyjska. Krata za oknami też jest brytyjska. Pierwsze, co Anglicy na nowo zdobytych lądach budowali, to kościół i więzienie. Ale najpierw więzienie. Większe widać mieli zaufanie do kar doczesnych niż boskich.

Na jednej z półek lodówki mignęła mi bateria puszek z piwem, której wczoraj tam nie było. Jeszcze przed trzydziestoma minutami wszystkie moje myśli urywały się na kratkach za oknami. I niech kto powie, że cuda się me zdarzają.

Są wycieczki planowane, są wycieczki w nieznane. Te ostatnie są hazardem od początku do końca. Są dokładnie tym, co ja robię.

Gra moja zaczęła się pod Nową Kaledonią. Do miejsca konfrontacji z okrętem-pułapką byłem pasażerem wycieczki gründlich zaplanowanej i wykonanej. Od nie uwidocznionej na mapach nawigacyjnych wysepki posadzono mnie do pokera o najwyższą stawkę. Z doświadczenia wiem, że karta lubi uśmiechnąć się do nowicjusza, aby w odpowiednim momencie pokazać mu swoją kpiarską naturę. Niech wszyscy mają to na uwadze!

Musiałem sprawiać wrażenie ciężko przygnębionego.

— Wychodzę, poruczniku Strang. — Stos listów komandor McGovern położył na stoliku przy mojej zdrowej ręce. — Proszę w spokoju zapoznać się z nimi. Gdyby potrzebował pan pomocy, jestem do pańskiej dyspozycji. Mam nadzieję, że się rozumiemy...

Wyprostowany, z czapką pod ramieniem czekał na moje spojrzenie.

Rozumiemy się.

Zdejmując z tego obręcz żelaznego taktu, którą komandor nakłada na każde swoje mrugnięcie okiem, należy rozumieć, że będę przestrzegał ustalonego klucza. Pośrednictwo w

czymkolwiek personelu szpitalnego wykluczone. Zawarliśmy gentlemen's agreement. W Niemczech potrzeba byczej skóry na spisanie obowiązków i kar między układającymi się stronami. Dobrze wychowanym ludziom w Anglii umową jest słowo.

Jestem dobrze wychowanym człowiekiem!

— I jeszcze raz przepraszam pana — dodał McGovern przed zostawieniem mnie sam na sam z masą listów opieczutowanych przez cenzury wojskowe Stanów Zjednoczonych i brytyjska — za tak długie przetrzymanie korespondencji. Doszliśmy do przekonania, że ze względu na stan pańskiego zdrowia tak będzie lepiej. Przepraszam.

„Doszliśmy do przekonania.” Hm... Kto z kim? Nie mogłem pozwolić mu stać bez końca jak kadetowi. Wyciągnąłem do niego zdrową rękę ważącą w tej chwili tysiąc ton.

— Rozumiem, sir.

Latająca forteca zrzuciła na mnie cały swój śmiertelny ładunek.

Zostawmy te listy. Nie dajmy się ponieść emocjom. Zamknijmy oczy na phoenixa w skrzyni z eterycznego drewna eukaliptusowego, na błękit za oknami, na June Gordon, która w swoim pokoju wykonuje jakieś czynności. Zostawmy szpital.

Jest środa, początek marca. Zegary w Sydney wybijają południe, w Nowym Jorku dziewdątą wieczorem, w Londynie i Berlinie panuje głęboka noc. Jeszcze tydzień, a pusta luneburska wystrzeli wszystkimi kolorami tęczy, pokryje się świeżą trawą, pąkami kwiecica. Tylko legnąć pod jakimś krzewem, przymknąć oczy i.-. Nie, nie to! Na tym skraweczku ziemi, mieniającej się wciąż Rzeszą Niemiecką, dzieją się ciekawe rzeczy. Naciągam czapkę-niewidkę, kucam w kąciku, przyglądam się i słucham.

Wylądowałem w kwatrze, człowieka, który wrobił mnie w tę mistyfikację. Akurat w czasie omawiania sytuacji na frontach. Wbrew temu, co czytam w australijskiej prasie, położenie mego kraju nie jest tak beznadziejne. Ofensywa rosyjska utknęła na linii Odry i Dunaju. Aliantów zachodnich uwikłano zręcznie w walkach na przedpolu Renu. Więcej ufności! Król Prus Fryderyk Wielki był w gorszych tarapatkach, a zwyciężył. Jeszcze nie wszystko stracone. Układ gwiazd na niebie jest dla Rzeszy coraz korzystniejszy. Po kolacji wódz z najbliższym otoczeniem siada przy kominku, by odbyć swoje słynne kontemplacje nocne. Popijając wodę mineralną, dokonują przeglądu sytuacji na frontach, a potem omawiają amerykańskie komedie filmowe, które właśnie obejrżeli. Po wojnie, zapada decyzja, w Europie istnieć będzie tylko jedna kinematografia, jedna kultura rozrywkowa.

Duszno. Nie znoszę głupawych komedii amerykańskich ani jeszcze głępszych niemieckich. Dalszy ciąg rozmowy przy kominku mogę sobie dopowiedzieć.

Gdzież to wylądowałem? Trudno zorientować się w tym gruzowisku, ale rozpoznaję, to Berlin. Bendelstrasse numer... Nie ma numeru, na jednej śrubie dynda czerwony szyld: Dowództwo Wojsk Zapasowych Rzeszy.

Zimno, przez dziurawe ściany wpada wiatr, nad stołem figury z poślótkiej makulatury, ruchy pajaców. To twarze tutaj nowe. Poprzedni rezydenci tego gmaszyska, panowie feldmarszałkowie von Kluge, von Witzleben, generałowie Fromm, hrabia York von Wartenburg zawiśli na rzeźnickich hakach. Historia. Generałowie niemieccy nigdy nie szczydzili życia dla narodu. Wodzowie przychodzą, odchodzą, naród pozostaje. „Panowie feldmarszałkowie, panowie generałowie, panowie admirałowie (nie znam tej kukły), nadszedł czas przejścia władzy przez wehrmacht. Wojna, co tu owijać w bawełnę, jest przegrana. Nie będąc w stanie rozstrzygnąć jej militarnie na naszą korzyść, musimy szukać innego wyjścia. Rozwiązanie polityczne...

Panie feldmarszałku...

Proszę nie przeszkadzać.

Panie feldmarszałku...

Słucham!

Panie feldmarszałku, pozwalam sobie zameldować, że masowym atakiem z powietrza dokonano całkowitej zagłady Drezna! Dziękuję, odmaszerować.

Co to ja mówiłem?... Aha, że rozwiązanie polityczne odpada. Tak, odpada. Żadne z państw

wrogiej nam koalicji nie zechce rozmawiać z nazistami, jedynym partnerem w negocjacjach może być armia. Nie skalana zbrodniami, zwarty monolit, apolityczna, w gruncie rzeczy konserwatywna, zawsze prozachodnia. Zdaniem mego wysoce szanowanego kolegi wprowadzenie do nowego rządu przedstawicieli generalicji, znanych z dystansu wobec hitleryzmu, rokuje nadzieję na dogadanie się z Anglosasami. Nie wykluczam możliwości utworzenia wspólnego frontu przeciwko Rosjanom i Japonii. Oto nasz program, szanowni panowie. W wypadku nieprzyjęcia go zagrozimy Amerykanom zbombardowaniem...

To do nich podobne. Oni się nigdy nie zmieniają, niczego nie uczą.

Żuchwy kukły w feldmarszałkowskiej purpurze dalej się obracają, ale nie słucham. Zatechły świat, trupi. Grozą zbombardowaniem miasta miss Amy Langley. Nie znam Los Angeles, Ameryki w ogóle. Torquay w Anglii pamiętam, byłem tam z wycieczką, Ameryki nie znam. Wzrokowo trochę. W czterdziestym drugim buszowaliśmy wzdłuż jej wschodnich brzegów. Był to okres naszych największych sukcesów, topiliśmy ich statki całymi pęczkami. Przyczajaliśmy się na redzie portu — domy, samochody widać było jak na dłoni — i brzdęk! Taśmowa robota, Boże, jak śmieszna jest bezradność w amerykańskim wydaniu! Jednej nocy zobaczyłem Statuę Wolności — u nich nie ma verdunkelungu, blackoutu, zaciemnienia; Statua, drapacze chmur na Manhattanie jarzyły się światłem jak pochodnie, ale to wszystko, co znam z Ameryki. Terra incognita. Mam w tym krajij narzeczoną — list sprzed dwóch miesięcy wspomina o bliskim rozwiązaniu, ostatni o szczęśliwym porodzie. Mam więc w tym kraju syna, mam oszczędności mego życia zdeponowane w Bank of California, mam pół miliona dolarów odziedziczone po właścicielu s/s „Golden Creek”, mam pokój w mieszkaniu mojej narzeczonej przy Pasadena Road, mam...

Eksploduje mi głowa. Dosyć. Mam dosyć szerokiego świata. Dostyć nocnych rozmów przy kominku, dosyć fetoru makulaturowych pajaców, dosyć Ameryki, której nie znam i nie chcę znać, dosyć pięknej siostry Florence składającej ufnie w braterskie ręce ogromną fortunę po rodzicach, pragnącej wynagrodzić mu w ten sposób jego cierpienia — niemożliwe, aby to nie było snem! W drodze powrotnej do mego więzienia w stylu dominialno-kolonialnym z zakratowanymi oknami nie zatrzymam się w Burgdor-fie. Tam mnie już oplakano, lepiej nie powstawać z martwych. Zawartość tych kopert wyrzucam za burtę, niech wiatr zanieś je tam, gdzie należy. Wysoki Sądzie Stanowy w Sacramento, Wysoki Sądzie Cywilny miasta Los Angeles, Szanowni Panowie Hartfield and Harffield Jr. z Grand Avenue 176, niniejszym aktem mojej woli zrzekam się na rzecz pani Amalie Langley całego zapisu po właścicielu ss „Golden Creek”, zrzekam się na jej rzecz wszystkich oszczędności zdeponowanych w Bank of California; Wysoki Sądzie w Torquay, Anglia, niniejszym pismem zrzekam się wszelkich praw dziedzicznych do majątku pozostawionego przez Donalda Stranga na rzecz i wyłączną własność jego córki, ciemnowłosej Florence Eunice; Wysoki...

Jutro odwiedzi mnie wiceadmirał Sleigh. W uznaniu postawy w obliczu wroga dowództwo Royal Australian Navy nadało porucznikowi Strangowi wysokie odznaczenie bojowe; podobną decyzję podjęło dowództwo US Navy Obszar Południowego Pacyfiku.

Wunderbar! Los, jak widać, idzie w swej kpinie na całego.

Herr Kapitanleutnant zur See, proszę zrobić przy swoim Krzyżu Rycerskim do Żelaznego Krzyża miejsce na Distinguished Service Cross, nadany panu przez Jego Królewską Mość.

Herr Kapitanleutnant zur See, proszę zrobić przy swoim Krzyżu Rycerskim do Żelaznego Krzyża i Distinguished Service Cross miejsce na Silver Star, nadaną panu przez prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Czas na pakowanie waliz!

Lato się kończy, zaczyna jesień. Ta australijska, na trzydziestym piątym stopniu szerokości południowej, wspólnym dla Sydney, Perth, Kapsztadu, wysp Tristan da Cunha, Montevideo, Valparaiso. Auckland w Nowej Zelandii nit; odbiega pod względem temperatury od średnio upalnego sierpnia w Burgdorfie. Montevideo przycupnięte jest u szeroko rozlanego ujścia Rio de la Pląta. Spore miasto, a właściwie dwa: ciudad vieja — stare, solidnie ufortyfikowane, oraz ciudad novísima — nowe miasto, coś jak na tamten kawałek świata naprawdę godne

zwiedzenia. W wyciągniętą rękę zgruźliczalego łachmana, wysiadującego swoje życie na Plaża de la Independencia, wsunąłem srebrne peso. Na szczęście. „Twoje, dobry panie”, odpowiedział mi w podziękowaniu łachman, a ja - wielki wówczas konkwistador oceanów, nie dorzuciłem do srebra muchas gracias. Muchas gracias, łachmanie, gdziekolwiek — na Plaży czy już w Niebiesiech — przebywasz. Przepraszam, że tak późno, ale tak to już z konkwistadorami bywa. Do szybkiego zobaczenia!

I teraz do dzieła, Uli!

Mam dla siebie cztery godziny nocy. Których nikt — pielęgniarzka, salowy — mi nie zakłóci. Cztery godziny i trzydzieści jeden zaoszczędzonych tabletek nasennych — dawka dla konia..

Jest północ. W hallu za drzwiami panuje cisza. Jak zwykle o tej porze. Wbrew głosom bliskich osób, żyjących we mnie, tłumaczących mi irracjonalność tego kroku, nie odstępę od niego. Ojciec uważał mnie zawsze za człowieka połowy dregi — niezdecydowanego, nie wróżył mi wielkiej przyszłości. Ano, miałeś rację, ojczu. Na przekór ciągotom nie wygłoszę żadnego sentymentalnego przemówienia. Ludzkość jest dość inteligentna, aby bez mojej pomocy trafić do wytyczonego sobie celu. Ja...

Skończyłem —

Odstawiam lutnię...

Pieśń i śpiew mój wkrótce miną.

Jak ten cień, co wstęgą siną

drży nad kraśną koniczyną...

— to z „Martina Edena”, najukochańszej książki mojej wczesnej młodości, mojej biblii, mego drogowskazu życiowego. Czytałem ją dziesiątki razy i zawsze, kiedy dochodziłem do tej strony, zalewałem się łzami. Śmierć była dla mnie pojęciem abstrakcyjnym, ale każde słowo tego poematu przyprawiało mnie o drzenie przed jej niewyobrażalnym majestatem. „Skończyłem” — czy można lepiej obwieścić jej nadejście? „Odstawiam lutnię.” — to już nie słowa, to wieko trumny przykrywającej dzieło śmierci. Więc...

Skończyłem —

Odstawiam lutnię...

Dawniej, niby kos w czas świtu

W krzewach lśniących rosą lita,

Śpiewałem —

Dziś milczę smutnie...

Dosyć!

Wyłuskałem z chusteczki tabletki i dwiema partiami wprowadziłem je do przełyku. Kwaśne. Moje ostatnie menu zakropiłem pełną szklanką soku cytrynowego.

ROZDZIAŁ II!

Dyrektor Departamentu Spadkowego Jinx rozumiał niezdecydowanie swojej klientki.

— Tak, przysługuje pani to prawo — potwierdził zgodnie z orzeczeniem sądu, które zdawało się jeszcze nie dochodzić w pełni do świadomości klientki. Rozwój wydarzeń mógł wstrząsnąć człowiekiem o najsilniejszej konstrukcji, prawdę mówiąc stanowił zaskoczenie dla niego samego. W swojej długiej karierze zawodowej, w masie spraw spadkowych, jakie przewinęły się w tymi gmachu przez jego ręce, nie znajdował podobnej. Jako człowiek, którego powinnością jest wygranie dla klienta wszystkich możliwości, powtórzył dobitnie: — Tak, przysługuje pani to prawo.

Jego słowa wciąż nie przebijały jakiejś zapyry na drodze do świadomości klientki. Przyglądając się jej podczas rozprawy, przeprowadził małą psychoanalizę jej osobowości. Czynił to z każdym swoim klientem. Pieniądze wyzwalały w ludziach prymitywne instynkty,

ukazują ich prawdziwe oblicza. Zgłębienie psychiki panny Amalie Langley nie było trudne. Bujny kwiat wyrosły na mierzwie tego grzesznego miasta. Kobieta piękna, ale do wulgarności prostacka. Związek z nią Martina Stranga nie wystawia mu korzystnego świadectwa.

Nie ma tajemnic przed adwokatem. Chcąc wygrać sprawę obrońca musi znać całą prawdę, inaczej nie przebrnie przez gąszcz zasadzek czyhających na każdym kroku. Dlatego towarzystwo Hartfield and Hartfield Jr. do tej prawdy dochodzić musi często na własną rękę. Już pierwsze kroki w badaniu drogi życiowej spadkobiercy ujawniły nikomu nie znane szczegóły. Zastanawiające. Czternastoletni chłopiec, jedyny syn brytyjskiego magnata żeglugowego, dziecko jeszcze, opuszcza rodzinny dom, przepada jak kamień w wodę, niezwykle inteligentnie jak na swój wiek zaciera po sobie wszelkie ślady i już do końca nie daje rodzicom znaku życia — postępowanie niezupełnie chyba normalne, podobnie jak wielkoduszny gest na rzecz Amalie. Nie zamierzał jej zresztą poślubić, czego ta prymitywna dziewczyna, oszołomiona korzystnym dla niej obrotem sprawy, nie bierze pod uwagę.

Gdyby Martin Strang był klientem firmy Hartfield and Hartfield Jr., rozmowa ta miałaby inny przebieg. Ale klientem nie jest dziedzic fortuny administrowanej przez pewną spółkę adwokacką w Plymouth, tylko porzucona przez niego, życiowo niedoświadczona kobieta.

— Istotnie — dyrektor Jinx kładł nacisk na każde słowo — ma pani wszelkie podstawy do wniesienia pozwu do sądu o przyznanie pani dziecku praw dziedzicznych do rodzinnego majątku Strangów. Zrzeczenie się spadku po Dudleyu Nihounie to dopiero początek sprawy o duże pieniądze. Powiedzmy — skrzywił taksującą wargi — o... pięć milionów dolarów.

Amy Langley szarpnęła się nerwowo w fotelu.

— O Boże! — Była bliska omdlenia. — Pan mnie czaruje. Pięć milionów... — oczy jej stanęły w ślup — ja chyba oszaleję!

— Może mniej — ciągnął — może więcej, właściwa suma zależeć będzie od globalnej wielkości majątku Strangów. Podstawę do upomnienia się o udział w tym majątku pani ma. Jest nią — Jinx uroczyście zawiesił głos — przyznanie się narzeczonego do ojcostwa pani dziecka w postaci scedowania na pani rzecz swoich oszczędności oraz spadku po Nihounie.

Amy Langley zdawała się wciąż borykać z pokonaniem w sobie jakiejś bariery; Jinx dał jej chwilę wytchnienia.

— Życie to nie tylko pieniądze — rzucił sentencjonalnie, podsuwając klientce filiżankę kawy. Założyciel tej firmy wyrażał się na ten temat bardziej dowcipnie, a mianowicie: „Mężczyzna bez pieniędzy nie jest mężczyzną, tylko człowiekiem”. Segregatory firmy pełne są tragedii powstałych na kanwie pieniędzy. Gdyby mogły przemówić, miasto przeżyłoby wstrząs podobny do pamiętnego trzęsienia ziemi w San Francisco, które obróciło tę perłę Kalifornii w perzynę. Pieniądze, pieniądze, jeszcze raz pienudze. Wyciskanie ich z kieszeni jednych ludzi i umieszczanie w kieszeniach drugich jest w tym kraju zajęciem niezwykle dobrze płatnym. I oto nasunęło się Jinxowi pytanie: Czy wyciśnięcie milionów ze starej angielskiej kieszeni na rzecz kieszeni kobiety o wątpliwej reputacji jest moralne?

Z punktu widzenia prawa — tak, ekonomiki — też. Ameryka nie byłaby najbogatszym państwem świata, gdyby nie stały przepływ pieniędzy. Pieniądz musi zarabiać na siebie. Żeby zarabiać, musi być w wiecznym ruchu. No dobrze, a z punktu widzenia moralności?

Odpowiedzieć na to pytanie mogłyby znowu segregatory wypełniające ten gmach od głębokich piwnic po jego piętnaste piętro.

Opieczętowane najchłubniejszymi nazwiskami tego miasta bajecznych fortun. Segregatory — puszki z chromoniklowanej stali, ale gdyby je otwarto, fetor rozniósłby się na cały stan. Więc lepiej niech te błyszczące cacka pozostaną zamknięte. Moralność to diablo wyświechtane w tym kraju słowo, lepiej zejść na udeptaną ziemię.

Pan Jinx pozwolił sobie na opiekuńcze poklepanie ramienia klientki. Od jej pierwszej wizyty w tym gabinecie upłynęły trzy miesiące, a zmiany w tej kobiecie dokonały się kolosalne. Nad wyraz korzystne. Sterowane czyjaś wytrawną ręką, widać to po strojach.

— Długo nie miałem przyjemności gościć matki pani, nie czuje się ostatnio najlepiej, powiedziała pani. Proszę przekazać jej moje serdeczne życzenia poprawy zdrowia i przy

okazji zasięgnąć jej porady. Ta dzielna niewiasta będzie miała na pewno trzeźwe spojrzenie na tę sprawę, zwłaszcza, że zarysowują się pewne niejasności...

W oczach klientki błysnął niepokój.

— Tak — kontynuował — widzę tu pewne niejasności. Stawką są duże pieniądze, a jest regułą, że każda niejasność daje się wygrać na korzyść strony atakującej. Jest więc nad czym pomyśleć. Oczywiście — zastrzegł się — jeżeli nie otrzymamy od szanownej pani upoważnienia, sprawę traktować będziemy jako zamkniętą. Wszystko więc jest w pani rękach.

Wprost z traktowego gabinetu Amy udała się swoim nowym packardem na lunch na Piątą Ulicę Zachodnią, dwie przecznice dalej od Grand Avenue. Ale długo tam nie zabawiła. Tyle spraw zaprzętało jej głowę. O jakich Rico nie ma najmniejszego pojęcia, a co gorsza, nie wiedziała, czy w ogóle może się z nimi zdradzić. Rico ją kocha, wyznał jej to, poprzysiągł na pamięć zmarłej matki, na Madonnę Loretańską, której cudowny medalik stale nosi na szyi.

Co się za tym kryje? — myślała. Przecież nie była z Martinem w łóżku. Była — przed zajściem w ciążę — z Donem, z Luckym, z Chrisom, z Dudleyem, z tym... nie ma pamięci do nazwisk, Żydem z Paramount Studios i oczywiście z Rikiem. Z Martinem nie! Nawet po pijanemu jej nie tknął. Może był impotentem, a nie miał odwagi się przyznać? Impotentem — możliwe, wariatem nie. Czyżby podczas rejsu do Australii postradał zmysły i dlatego podpisuje się pod obcym bachorem? Niech to ktoś wytłumaczy. Da tysiąc dolarów, da dziesięć tysięcy za rozszyfrowanie tej zagadki. Z drugiej strony człowiek mający dobrze w głowie nie tłucze się po obcych kątach, nie naraża życia dla paru doków mając w domu taką forszę. Dziwak. Ale to jego sprawa, ją, Aray, interesuje tylko jedno: co skłoniło go do uznania dziecka? Adwokat występujący w jego imieniu jest nieprzejrzysty niczym beton. „Mój klient, uznając swoje ojcostwo dziecka panny Amahe Langley...” I ani słowa o niej, o matce tego dziecka. „Osobiste rzeczy mego klienta, jeżeli takie są, proszę przesłać pod tym oto adresem w Australii. Dziękuję”. Dziwnie krótki stał się ten nowy Mart.

Wszystko zaczęło się od podszeptu matki. Występując do sądu o alimenty na dziecko, nie przewidywały takiego obrotu sprawy. Poszły na „trupa” — nie ona pierwsza zrobiła użytek z udziału tego kraju w wojnie i me ostatnia; rząd jest bogaty, nikogo tym nie krzywdziła. Sąd stanowy sprawę zaklepat Umyśliły sobie, że zajmą postawę wyczekującą. Niech Mart, dowodziła matka, zajmie stanowisko, a wówczas się zobaczy. Napisała, że jest w ciąży, sąd uznał jego ojcostwo, jako po poległym przyznał jej wdowią rentę na dziecko — prawdę napisała. A on kupił wszystko jak szło i jeszcze dorzucił do tego sześćset tysięcy.

Niesamowita sprawa. Jej ojciec spoczywa na dnie Pearl Harbour w stalowym wraku „Arizony” w charakterze narodowego bohatera. Niedługo przed napaścią Japów przyjechał do domu na krótki urlop. Zjawił się jak zawsze bez uprzedzenia i jak zawsze nie zastał jej w domu. Co się potem stało, można sobie wyobrazić. Przed udaniem się w swoją ostatnią podróż powiedział: „Zostaniesz kurwą!” — Nie oszczędzał swojej szesnastoletniej jedynaczki. — Skończysz w rynsztoku!” Śmierć jego Amy powitała jak zbawienie, nareszcie mogła odetchnąć pełną piersią.

Teraz Amy dałaby dużo pieniędzy, żeby na krótko przywrócić ojca do życia. Niechby zobaczył, do czego ona doszła. Gdyby, cham, widział ją w jej packardzie de luxe... Rico zabraria jej jazdy po mieście, wóz ma za duże przyspieszenie, powiada. Obawia się wypadku, jest wzruszająco troskliwy. W studiu jest inny. Pracuje w masie kobiet, musi być z nirni ostry, to chytne bestie. Gdyby ojciec ujrzał ją przy kierownicy jej błękitno; pantery z takim słynnym choreografem u boku jak Rico. Posłałaby mu druczek. Panna Ray Aladyne ma przyjemność zawiadomienia pana o swoim ślubie z panem Ricardo Spallazio, który odbędzie się...

Cudowne blaski życia!

Ale i cholerne problemy. Boże, nie na moją głowę! — westchnęła w duchu Amy.

Czarny pianista wystukiwał rytmiczne „Money is the root of all evil”, gdy tymczasem jej chciało się płakać ze skołowacenia. Ten przeklęty stolik między nią a Rikiem! Ci gapiący się ludzie!

I choć skończyła ostrygi, porcję na dwie osoby pochłonęła prawie sama, mogłaby zaczynać od nowa. To przejściowo, Rico ją rozumie. Mogłaby jeść bez końca. Jeść — krecha na karierze tancerki rewiowej. Ginger, ta od Freda Astaire'a, odżywia sokiem grejpfrutowym i powietrzem, ona je za trzech. A w przerwach opróżnia pudła czekoladek. Alarm! Od jutra przechodzi na surową dietę.

Ray Aladyne — Promyk Aladyna. Jak ta czarodziejska lampa z Tysiąca i Jednej Nocy — taki pseudonim aktorski sobie wybierze.

Przypomniała sobie! Tego faceta z Paramount! Alfred Rosenkranz się nazywa. Austriacki Żyd. Do Stanów przybył z Wiednia, Pragi czy z Warszawy, robił tam w musicalach. Zresztą nieważne w w czym, ważne, że wiedział jak. Jak dobrać się do niej. Na Austriaka się zgrywał, a wyszło...

Zza ciężkiego biurka w teakowym gabinecie spoglądają na nią przenikliwe oczy Jinx. A gdyby zwierzyła się właśnie jemu? I zaproponowała jakąś opłatę? Powiedzmy fifty-fifty.

Okropnie zrobiła się rozrzutna. Tak szastać pieniędzmi?!

„Kuszenie Ewy” nazywa się obraz olejny wystawiony w miejskiej galerii sztuki, namalowany przez... Stanowczo nie ma pamięci do nazwisk. „I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw od wiecznego nienasycenia” — ktoś dowcipny wpisał o tym obrazie do książki. Pięć milionów. Największy tegoroczny strzał Hollywoodu kosztował dwa miliony, za pięć można kupić całą wytwórnię. Jak długo można kusić szczęście? Wężu Jinxie, zlituj się nade mną!

Więc dobrze, niech będzie po połowie, bo, jak pan powiada, sprawa jest niejasna. Za napisanie listu do tych facetów w Plymouth, za pogardłowanie w sądzie żąda pan dwa i pół miliona; diablo drogo ceni pan to swoje prawo, Mister Jinx!

Money is the root of all evil. Tak, pieniądze są korzeniami wszelkiego zła. Najtwardszymi korzeniami świata!

Najlepiej do Meksyku. Podjąć z banku forszę i południowo-wschodnią trasą na Phoenix, granicę przeskoczyć w El Paso, gnać dalej w dół aż do dzikiego Tehuantepec, w pobliżu Gwatemali, gdzie Rico już był, zaszyć się z nim w tamtejszym pustkowiu i kochać się, do szaleństwa kochać; pieniądze wystarczyłoby na całe życie.

— Rico.

— Tak?

— Nie, nic, Rico.

Sprawę trzeba przemyśleć, nic na żywioł. Przemyśleć. „Światła wielkiego miasta” nakręcił Chaplin, wielki film. Ona mogłaby zrobić jeszcze większy; „Blaski i cienie życia pewnej młodej kobiety”. Filrn-dreszczowiec.

Siedzieli w restauracji Clark Hotelu, modnej ostatnio w krągach cyganerii artystycznej. Amy wolałaby mniej oświetlony kąt, ale wszystkie były zajęte; posadzono ich przy oknie. Przed hotelem rozciągał się bajecznie ukwiecony skwer Pershinga, wetknięty między gmaszydła General Petroleum, Bullocksa, Banku Kalifornia (tego samego, gdzie Mart miał swoje oszczędności). Wszędzie, poza skwerem, beton, marmur, nikiel, szkło — okropne dla człowieka w jej obecnym nastroju.

Przytłaczające swym monumentalizmem jest to nowe serce Los Angeles. W jego północnej części, odciętej od centrum autostradą biegnącą do Hollywood, ciągną się milami malownicze resztki nisko zabudowanego starego miasta, z jego perłą, Chińską Dzielnicą. Tam, w atmosferze zamerykanizowanej Azji, Azji chińskich mandarynów i kulisów, japońskich szogunów, samurajów, lalkowatych gejsz, Amy, wtulona w pierś ukochanego, mogła oddawać się marzeniom o ich wspólnej przyszłości.

Dzisiaj nie miała dobrego nastroju. Nękała ją uczucie, że oto znalazła się pod nawisem skalnym, który teraz, kiedy ona jest już w połowie drogi, zwali się na nią. Uczucie to prześladowało ją od chwili wyjścia z gabinetu dyrektora Jinx. Okropne!

— Rico — odezwała się — jedziemy do mnie, błagam.

Rzuciła na rachunek na tacy przygotowany wcześniej banknot.

— Muszę skończyć z obżeraniem się. Cholernie przytyłam.

— Przesadzasz.

— Spójrz. — Obiema rękami Amy ściągnęła fałdą tłuszczem na wspaniale sklepionym po porodzie brzuchu, przeniosła je na duże, jędrne piersi, którymi nie karmiła dziecka ani razu, o a wyraźnie odkładające się poduszki tłuszczu na biodrach. — Szesnaście funtów. Dzisiaj się ważyłam. Muszę stanowczo odstawić słodycze — mówiła, a myślami była już gdzie indziej. Podkurczyła swoje długie nogi, pewna ich oddziaływania na niego. Zaczynał się akt drugi. Jak zwykle. Pierwszy bywał szaleńczym biegiem do mety dla ugaszenia śmiertelnego pragnienia, dopiero następne przynosiły równowagę. Podsunęła się pod niego.

— Wspominałaś coś o wyjeździe. Z kraju w ogóle. Dlaczego mielibyśmy wyjeżdżać?

— Zostaw to! — syknęła.

— Ale mówiłaś!

Już dygotała. Za późno wybrał się z tematem.

— Dlaczego mielibyśmy wyjeżdżać? Teraz, kiedy dzięki tobie będą mógł zrobić mój własny film. Z tobą w roli głównej. Ty kryjesz coś przede mną! — wybuchnął nagle Ricardo — Ukrywasz coś, czuję to!

— Ale ty mnie kochasz, prawda? Wiem, kochasz. Wtedy też e już kochałeś, tylko po prostu głupio zagrałam z tą wpad— Podstawiła się pod jego nabrzmiewający członek i niecierpliwie sama wsunęła go w siebie. — Mój słodki, najdroższy — jęczała. Rico nie kłamie, kocha ją nie dla pieniędzy. A ta jego brutalność! Jakby chciał unicestwić, rozsadzić ją od wewnątrz. Niech rozrywa! — Rico, uderz mnie! Uderz, wdepcz mnie w ziemię! Rico! Ach, jak znowu urosłeś! Będziemy bogaci, mówię ci. Przysięgam, wszystko ci powiem, wszystko, zobaczysz. Jestem bliska. Rico... Rico... leczę. Jezuuuu! — wygięła się w pałąk i lecąc głową w dół z piętnastego piętra Grand Avenue legła pod nim bez sił.

Po powrocie z łazienki pachnący świeżością Rico ucałował jej pogryzione wargi.

— Nie musisz się spieszyć, kochana. — Głos jego drżał przeżyta miłością. Amy lubiła ten głos. Lubiła jego głowę, tak jak teraz, na swoim brzuchu. — Najpierw ochłoń. — Podsunął jej szklanke. — Wypij swego bourbona i dopiero potem. Wiedziałem, że moją małą coś trapi. Do końca wypij. O tak! — Podtrzymał szklanke.

Uprzedził jej słowa:

— Domyślam się jakiejś pułapki, prawniczego kruczka ze strony tych cwaniaków Hartfieldów, czegoś w tym rodzaju. Prawdę mówiąc, drżałem przed tym od samego początku. Jesteś w tych sprawach niedoświadczona, ufna wobec nich, a oni tylko czyhają. A już jak zwęszą u kogoś pieniądze... Nigdy nie ufaj prawnikom.

Potrząsnęła głową. — Nie teraz, Rico. Czuję się taka pełna ciebie, naelektryzowana szczęściem, proszę...

— Chodzi mi o ciebie. Ty jesteś dla mnie najważniejsza. Miliony mówisz, co mi tam twoje miliony! Ale jeżeli już wiszą nad tobą, to tym bardziej trzeba cię strzec. Obawiam się o twoje bezpieczeństwo, rozumiesz? O twoją przyszłość.

— Rico...

Nie dopuszczał jej do głosu: — O naszą miłość mi chodzi. Aby mogła rozkwitać, potrzebuję kryształowo czystej atmosfery między nami, rozumiesz?

— Rico — dźwignęła się ku niemu — czy w takiej chwili jak ta musimy o pieniądzach? — Żrenice jej już się znowu rozszerzały. Wargi układały w znany mu grymas. Nadchodził akt trzeci. Przeklęta karuzela! Przeklęty hotel! I to ma być najlepszy w tym mieście? — wściekał się Ricardo. Gdzie się podziewa ten przeklęty kelner, który o czwartej trzydzięci miał dostarczyć do apartamentu coś do jedzenia. Na igraszki Rico przeznaczył półtorej godziny,

półtorej! a jest czwarta czterdzieści pięć. Złoży zażalenie na tego skurwysyna! Wyszarpnął się zły.

— Nie baw się ze mną w kotka i myszkę i powiedz, co ukrywasz. Dość mam już tego kręcenia! — Wziął z fotela płaszcz kąpielowy i narzucił go sobie na nagie barki; nie patrzył na nią. Odszedł pod okno. — Nie masz do mnie zaufania, zwykłego zaufania — żalił się. — Od ręki pożyczasz mi ćwierć miliona, a zaufania nie masz. I nic cię nie obchodzi, jak ja się czuję.

Amy nie wiedziała, że go tak rani. Jej częste zamyślenia, ucieczki w gęstwinę pogmatwanych, sprzecznych ze sobą myśli, podczas których zapominała o nim, nie uszły jego uwagi. Jeżeli ona kocha go tak jak on ją, to winna wyznać mu wszystko, dopiero wtedy miłość ich stanie się pełna.

Ale wyjawić wszystko się bała, Rico jest taki gwałtowny. Zdecydowała się na zrobienie małego kroku.

— Kochanie — zjrzała mu pokornie w oczy — Martin Strang nie jest ojcem mego dziecka. Ty też nie — dodała jednym tchem. — Ale proszę, o więcej nie pytaj.

— I ja mani przyjąć to spokojnie, tak? — Rico zerwał się z miejsca. — Moja ukochana... Kobieta, którą wybrałem z tysięcy... Tymczasem... — Strzelił palcami. — Z kim masz to dziecko?

— Rico — zaczęła Amy błagalnym tonem — nie męcz mnie! Jestem skołowana na śmierć, mogłabym skoczyć z mostu, otruć się, a ty mnie jeszcze podcinasz. To było. Przeszłość. Było, nie liczy się, liczy się tylko nasza miłość, nic więcej. Uwierz mi!

Na moment zwątpiła, czy zrobiła dobrze zdradzając mu swoją nieszczęsną tajemnicę.

— To straszne! — miotał się Eico. — Nie do wiary! Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę tego dziecka. Dlaczego ukrywasz je przede mną, przed całym światem? Nawet nie wiem, gdzie ono przebywa.

Spoza szpitala odwiedzał mnie wysoki brunet około trzydziestki. Sprawiał przyjemne wrażenie. Przyjemne — może za dużo powiedziane; coś na pograniczu tego słowa, gdyż nigdy nie stworzył sytuacji, która mogłaby być dla mnie przyjemniejsza; jednakże mundur pod białym kitlem od samego początku nastawiał mnie do niego nieufnie. „Jestem Komandor Kale McGovrn, szef sekcji wywiadu bazy Garden Island” — przedstawił się podczas pierwszego pobytu u mnie. Podczas którejś z kolei odwiedzin, na krótko przed wypisaniem mnie ze szpitala, zapytał, czy nie mógłbym opisać tragicznych wydarzeń, jakie się rozegrały na moim ostatnim frachtowcu. Na papierze. Jestem jedynym członkiem załogi „Golden Creeka”, który pozostał przy życiu. Chyba zdaję sobie sprawę z wagi takiego świadectwa.

Zdawałem sobie sprawę z wagi takiego świadectwa.

Załóżmy, że się zgadzam. Istotnie, jestem jedynym pozostałym z życia człowiekiem, który wyszedł z tej jatki cało. Byłem świadkiem tej jatki, czynną w niej stroną i zarazem jej ofiarą. A więc świadkowałem z obu stron barykady. Jestem jedynym świadkiem ludobójstwa na morzu w tej wojnie. Świadectwo takie oskarża żywych, bo z załogi „Elektry” nikt poza mną nie ocalał, stanie się natomiast ostrzeżeniem na przyszłość. Dlaczego miałbym kryć zbrodnię takiego na przykład Frauenheima? Długo się nad tym zastanawiałem. Przebywając w szpitalu, raz dochodziłem do takiego, raz do innego wniosku, nie mogłem się zdecydować.

Załóżmy więc, że piszę. Że siadam do białego stolika, biorę do zdrowej ręki pióro i piszę. Piszę akt oskarżenia przeciwko fregatkapitanowi Kurtowi Hackemu, przeciwko jego zastępcy pokładowemu kapitanowi Strelowowi, przeciwko oficerowi artylerii porucznikowi Wenkowi, przeciwko lekarzowi okrętowemu doktorowi medycyny oberstabsarzowskiemu Wolffowi vel Frauenheimowi. I, jeżeli mam być konsekwentny, przeciwko głównemu inżynierowi okrętu kapitanowi Ihnie. Piszę, ale jako kto?

Okazuje się jednak, że można się przefarbować, zmieniać dowolnie skórę, lecz istnieje

granica, której człowiek nie pozbawiony skrupułów, nie cierpiący na brak wyobraźni nie może przekroczyć. Wszystkie te rozważania, pomimo racji przemawiających za napisaniem takiej relacji, prowadziły do odmowy. McGovern nie nalegał. To oficer wywiadu, a więc człowiek, który umie się maskować — przynajmniej powinien umieć, ale jest w nim coś, co do tej funkcji nie pasuje. Lisie typy z abwehry, nie mówiąc o kanaliach ze służby bezpieczeństwa, nazwały to naiwnością, śmiesznym uznawaniem wartości nieistotnych, takich jak etyka, moralność. Ale powracam do McGoverne: nie przyciskał mnie do muru. W aptekarsko wymierzonych słowach przedstawiał mi swoją propozycję zaznaczając, że chodzi o pociągnięcie do odpowiedzialności winnych z dowodzi kriegsmarine i zostawił mi czas do namysłu. Im dalej jednak stapałem po mojej śliskiej ścieżynie, tym bardziej czułem się osaczony. Jak to odczuwam? Wokół mnie, wcielonego w Martina Stranga, wszystko jeat w porządku. Nie miałem i nadal nie mam powodu do niepokoju, że cos jest nie tak. Korzystam z pełnej swobody, z przysługujących im uprawnień, niczego się na mnie nie wymusza, jest więc tak dobrze, że aż budzi to niepokój, i ten brak zgrzytu w mechanizmie złożonym z obcych części napawa mnie uczuciem osaczenia przez jakiegoś nie dostrzeganego przeze mnie prześladowcę. McGovern, jak powiedziałem, jest wobec mnie pełen kurtuazji, to džentelmen wyjęty z książek Thackeraya czy Wilde'a. Ale równocześnie zdaję sobie sprawę, że brytyjski wywiad nie zatrudnia dobrodusznych maminsynków, że jest to najsprawniejszy, najskuteczniejszy, najcwańszy wywiad świata. Nie wolno mi dać się uśpić!

W całej tej nieprawdopodobnej sytuacji zajmowałem dotychczas stanowisko pasywne i właśnie przez tę pasywność nie zatrzymałem owego błędnego koła toczącego się po linii pochyłej. Pasywność — już słyszę głos mego ojca. Odpowiadam mu: znalazłem się w położeniu wyjątkowym i odpowiednio do tego położenia muszę postępować. To prawda, zawsze cechowało mnie niezdecydowanie. Tak w drobiazgach, jak w sprawach dużych nigdy nie umiałem zająć jednoznacznego stanowiska. To chyba dziedziczne. Nie po ojcu — u niego wahanie w czymkolwiek graniczy ze zdradą pruskiej racji stanu; po ustepliwej matce. Cecha ta musi dominować we mnie, skoro kieruje moimi reakcjami nawet w podświadomości. Trudno, mój zasadniczy ojcze! Ale wszystko do czasu. Obecnie najbardziej chodzi mi o matkę, o Brigitte, o nasze niewinne dziecko. Aby, jeżeli żyją, nie musieli świecić oczami za winy przez nich nie popełnione. Stale, w każdej chwili ciśnię mi się na język tysiąc pytań, na każde mam tysiąc odpowiedzi, wszystkie utrzymane w tym samym tonie, którym przeciwstawiam się całą siłą woli: nie teraz! Na odpowiedź ioszcze czas. „Odstawiam lutnię...” — tylko na pewien czas znalazła się znowu w moich rękach. Stało się to niezależnie ode mnie. Ale nim ją odstawię ostatecznie, zadbam, aby nie wciśnięto mi jej na powrót, przeprowadzę pewien zamysł. Do tego czasu niech moje sumienie milczy!

Mieszkańcy Londynu, Paryża, Brukseli, Hagi, Kopenhagi, Oslo, Moskwy, Warszawy, Belgradu szaleją. Na ulicach tłumy, wiwaty, orgia radości. Zwycięstwo! Ameryka też świętuje, lecz nie tak nieprzytomnie jak Stary Świat. Dla niej to dopiero połowa roboty. Na arenie pozostała Japonia. Im bliższa nieuniknionej klęski, tym zacieklej walcząca. Jaki nastrój panuje w moim kraju, nie wiem, gazety o tym nie donoszą. Donoszą o czymś innym. Na pierwszych stronach królują zdjęcia naczelných dowódców sił zbrojnych Trzeciej Rzeszy, kornie podpisujących akt bezwarunkowej kapitulacji, wszędzie ich kamienne, lecz jakże odmienione twarze. Żałosne maski! Przyglądając się im, nie czuję nawet obrzydzenia. Pustka. Dniom ukradziono słońce, nocom gwiazdy. Przerażliwa. Nad Renem marszałek polny Montgomery nakazał wbić w ziemię słupy, a na nich umieścić tablice z ostrzeżeniem: „Warning! You Entering Germany. The of Civilised World” — „Uwaga! Wjeżdżasz do Niemiec. Tu kończy się świat cywilizowany”. W gazetach całe szpalty sprawozdań z obozów koncentracyjnych. Opisy i zdjęcia. Opisy i zdjęta. Niemożliwe, aby to było prawdą! Opór sceptyków kruszą głęcica, z zaciekłymi niedowiarkami rozprawia się zdecydowanie korespondent wojenny New York Herald Tribune. Amerykański sprawozdawca zamieszcza na pełnej stronie sekwencję fotografii bez jednego słowa komentarza. Ponury, przejmujący grozą film. Na pierwszym zdjęciu druty kolczaste, rzędy drewnianych baraków, żywe

szkielety ludzkie w pasiakach, na drugim stopy nagich ciał, na trzecim długi na kilkadziesiąt metrów, głęboki rów, na czwartym ciężkie buldożery z białą gwiazdą wojsk alianckich spychające ciała do rowu, na piątym szara z przerażenia twarz głównodowodzącego siłami sprzymierzonych w Europie Dwighta Eisenhowera w otoczeniu oficerów swego sztabu. I u dołu zdjęcia: „Żadna siła na ziemi czy w niebie nie zetrze tej hańby z mego kraju. Ani za pokolenie, ani za stulecie” — to redaktor cytuje słowa pojmanego Fritzschego, komentatora radiowego i dyrektora departamentu prasy i radia w Ministerstwie Propagandy Trzeciej Rzeszy.

Nie stoję na nogach, na słupach z waty stoję. Wściekle crescendo wszystkich werbli świata oddaje w moich uszach ostatni hołd ciałom zalewanym gaszonym wapnem. Na skraju masowego grobu stoi esesman ze skrwawionym pejczem w łapie; jest ludzko podobny do mnie.

Wypada mi z rąk płachta gazety. Schyliłem się, by ją podnieść...

— Przepraszam. To widocznie skutek osłabienia. Dziękuję. Wyciągam rękę po gazetę, ale kobieta jej nie puszcza. Spogląda mi badawczo w oczy. Para starszych przechodniów, którzy spostrzegli mój upadek, stoi niezdecydowanie. — Wszystko w porządku? — upewniają się. Kobieta odpowiada za mnie:

— Wszystko w porządku, dziękuję. — Bierze mnie pod ramię. — Zapraszam pana na kawę. Kawa dobrze panu zrobi.

Rozgląda się po ulicy, ale chyba nieźle ją zna. Kings Cross — centrum rozrywkowe Sydney. Pierwszy raz od wyjścia ze szpitala wybrałem się tak daleko od mego hotelu.

Wchodzimy do lokalu wciśniętego między kabaret a mały hotelik, wynajmowany na godziny. U wejścia plakaty z rozneglizowanymi blondynkami. Kabaret nosi nazwę „Swingles”. Ogłasza się jako najlepszy w mieście. Open 10 am — 3 am. Jest czwarta po południu.

Portier kiwa mojej opiekunce głową. Spostrzegając mnie dorzuca jeszcze kiwnięcie. Pniemy się na piętro. Ona prowadzi, ja — nie jak dżentelmen — za nią; staram się nie patrzeć na jej nogi.

Siadam na krześle, ale kobieta robi mi miejsce na kanapce obok siebie. Zamawia kawę i koniak. — A może?... — Poszukała moich oczu szperających po przyciemnej salce. Nie, wyczytała z nich, whisky odpada. Więc kawa i koniak.

Moja towarzyszka ma nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, tyle co Brigitte. Już nie moja, nawet jeżeli żyje.

Nie chcę myśleć o Brigitte! Nie chcę być z tą dziewczyną! Myślam gdzie indziej. Przy komandorze McGovernie. Miał rację. Danie świadectwa przeciwko ludziom odpowiedzialnym za ten koszmar jest moim świętym obowiązkiem.

Więc piszę.

Jeszcze nie piszę. Siedzę na kanapce u boku ślicznej dziewczyny, myślę o moim oskarżeniu, ale między słowa tekstu, który wystukuję jedną ręką na maszynie w hoteliku na Knox Street, płące się pytanie: dlaczego ona...

— Pani tutejsza? — zagailem. — Z Sydney?

Nie odpowiedziała. Przyglądała się z uporem mojemu bezwładnemu ramieniu.

— Mam na imię Diana — odezwała się wreszcie. — A pan?

— Ja... Donald.

— Jesteś jankesem czy Brytyjczykiem? Obudziła we mnie pokusę.

— A jak myślisz? — zaryzykowałem. Byłem ciekaw jej sądu o mnie. Sądu kogoś całkowicie z zewnątrz mego oszukańczego świata.

Popatrzyła na mnie uważnie. Na moją twarz, na — nie wiem dlaczego — moją pierś w nowej piaskowej bluzie, na nogi w nowych czarnych półbutach i jasnokremowych wełnianych skarpetkach, lustrację skończyła na mojej nie opalanej jeszcze dłoni. Nie czułem się najlepiej podczas tego przeglądu.

— Raczej... chyba tak, Anglikiem. Choć — dodała szybko — z powodzeniem można cię wziąć i za jednego, i za drugiego. Kto cię tak urządził? — skupiła się na moim bezwładnym

ramieniu. — Japończycy?

— Coś w tym rodzaju — bąknąłem wymijająco.

— Ale ja chcę wiedzieć dokładnie! — nie ustępowała. — Chcę wiedzieć, kto śmiał uszkodzić tak przystojnego mężczyznę. — Używała australijskiego dialektu, nie poznałem jeszcze jego zawijasów, idiomów, skrótów, całkowicie innej budowy zdań, June, doktor Mason, a szczególnie McGovern mówili bardzo poprawnie. I chciała wiedzieć o mnie wszystko. Już. Jak gdyby za minutę było za późno. Zwykła kobieca ciekawość, — ale na bardzo wysokich obrotach, dla mnie za wysokich. — Bardzo ci do twarzy z tym — skinęła na mój prawy bark — wiesz... Coś poważnego?

Ta małpia ciekawość została natychmiast ukarana: dotykając mnie, natrafiła na wyrwę w przedramieniu. W pierwszym odruchu aż odskoczyła.

— Przepraszam! — Spuściła oczy. — Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci bólu. Nie chciałam...

— Nie, nie sprawiłaś — powiedziałem. Mnie było bardziej przykro niż jej.

— Boli? — pytała usta w usta, oblewając mnie gorącym oddechem. — Powiedz, boli? — Przytuliła się do mnie. — Chodźmy stąd, proszę. Tu obok można wynająć pokój. Jesteś bohaterem, wiem. Byłeś lotnikiem albo — przygryzła wargi — marynarzem. Chcę być z tobą sam na sam. Chodź.

Miała na palcu pierścionek z okazałym brylantem, drogą torebkę z cienkiej jak jedwab skóry, była ze smakiem ubrana. Coś tu nie gra, przemknęło mi przez głowę.

Spojrzałem na chromoniklowane okucia bębna na podium nieobecnej jeszcze orkiestry, na pozostałe instrumenty perkusji błyszczące od ornamentacji. „Wagga — Moa — Kurri” nazywa się zespół grający w tym lokalu, nie wiem, co ta nazwa oznacza.

A portier u wejścia zdawał się być jej dobrym znajomym. Coś tu nie gra.

Do końca mego życia nie uwolnię się już od strachu. Jak długo można wytrzymać w takim napięciu wewnętrznym, nieustannego podglądania siebie?

Pętla. Jeszcze nie na szyi. Kiedy zawisa nade mną, uciekam w przeszłość, do Giselli, Brigitte.

— Jesteś miła — powiedziałem po chwili milczenia. Salka była klimatyzowana, a ja się spociłem, zwłaszcza moje prawe ramię. — Jesteś miła, ale nie pójdziemy. Nie dziś — osłodziłem odmowę. — Jestem bardzo zajęty.

Położyłem funtowy baaknot na stoliku. Chowając portfel, pięciofuntową płachtę z podobizną króla Jerzego VI wsunąłem możliwie najdyskretniej do jej torebki leżącej między nami na kanapce. Popelniłem przykry błąd. Diana wyjęła banknot i uśmiechając się smutno, włożyła mi go do kieszeni bluzy. — Wyjdziemy razem? — spytała.

Uczepiona mego zdrowego ramienia odprowadziła mnie aż do postoju taksówek na skrzyżowaniu ulic Darlinghurst i Bayswater — spory kawałek drogi od lokalu. Szliśmy w milczeniu. Ruch wzmagał się z każdą minutą. W przelewającej się ciżbie ludzi przeważały mundury. Ulice przystrojone były girlandami kwiatów, moc świateł, choć to jeszcze dzień, uśmiechnięte twarze.

Stąd do Londynu jest prawie dwadzieścia tysięcy kilometrów. To jednak bardzo daleko od mojego rozstrojonego półwyspu na północnej półkuli.

— Nie gniewam się na ciebie za potraktowanie mnie tym banknotem... Nie gniewam się, bo się w tobie zakochałam! — wyznała mi Diana przed pożegnaniem. — Od pierwszego wejścia, wierzysz mi? Powiedz, Don, wierzysz? — Objęła mnie za szyję i pocałowała w usta. — Każdego dnia od trzeciej piętnaście do zmroku będę w tym miejscu czekała na ciebie. Każdego, pamiętaj!

Wracałem do hotelu z mętlikiem w głowie.

Więc piszę świadectwo zbrodni. Maszyna otwarta, papier na wałku, mogę zaczynać.

Za oknami noc, cisza — dobra pora do pisania.

Ale przedtem mała dygresja. Na temat roli, jaką w tej wojnie odegrała cała kriegsmarine, a także roli szczególnej u-bootwaffe, najtragiczniejszej ofiary spośród wszystkich rodzajów broni niemieckich sił zbrojnych.

Prasa australijska opublikowała za londyńskim „Timesem” gorące jeszcze podsumowanie bezprzykładnej zagłady hitlerowskiej marynarki wojennej. Krótki, nawet dla wroga wstrząsający w swej wymowie raport. Japońską flotę wojenną spotka ten sam los z rąk US Navy. Flota cesarza Hirohito — postrach Pacyfiku — wyścięła swoimi wrakami dno oceanu, jest dziesiątkowana, ale ginie z dumnie podniesioną banderą. Jej admirałowie, choć tak sromotnie przeliczyli się w swych rachubach, walczą z honorem. Niestety nie można tego powiedzieć o admirałach głównego trzonu kriegsmarine — nawodnej floty najnowocześniejszych w świecie pancerników, które to, w ich koncepcji strategicznej, miały sparaliżować żeglugę handlową Wielkiej Brytanii i powalić ją w ten sposób na kolana. Że cel ten od samego początku był mrzonką, wiadomo.

U-bootwaffe zebrała żniwo tej najokrutniejszej z wojen. Przez cały czas ona dźwigała na oceanach jej ciężar, ona też zapłaciła najwyższą daninę krwi. Lista strat obejmuje dziewięćdziesiąt trzy procent stanu osobowego jej personelu pływającego. Dziewięćdziesiąt trzy! Potworne żniwo. Większość tych strat obciąża osobiście konto dowódcy u-bootwaffe, wielkiego admirała Doe-nitza. Są one rezultatem jego pomysłu: prowadzenia wojny morskiej zza biurka. Obowiązek meldowania pozycji okrętu podczas akcji, krzyżowanie się rozkazów w eterze między jednostkami bojowymi, znajdującymi się na oceanach, a kierownictwem na lądzie, w dobie totalnej radiopelengacji, totalnej radiolokacji, totalnego radaru, totalnego nadzoru lotniczego — lepszego prezentu inteligentnie walczącemu przeciwnikowi dać nie można. My, ludzie u-bootwaffe, uchylamy czapki przed brytyjskimi tropicielami, a naszemu dowódcy, który do haniebnego końca stukał przed Hitlerem obcasami i bez zmrużenia oka wysyłał kolejne załogi na pewną zgubę... Co mamy dla niego?

Brak mi słów. Pozostawiam je trybunałowi, przed którym, mam nadzieję, ten człowiek stanie. Osądź go, Wysoki Trybunale, sprawiedliwie. A żebyś go rozpoznał spośród naszych speców od robienia wojny na morzu, kreślę ci jego obraz:

Cofnięta broda, wąskie, zawsze zaciśnięte wargi, pod płowymi brwiami oczy żerującej mewy — oto on, wielki admirał Karl Doenitz.

A oto on w działaniu.

Z rozkazu Tritton — Null:

„Nie należy podejmować żadnych prób ratowania marynarzy zatopionych statków, włączając wyławianie rozbitków. Podpisano: Wielki admirał Doenitz.

Alianccy komandosi, wzięci do niewoli przez oddziały kriegsmarine, mają być traktowani jako przestępcy i rozstrzelani, nie wolno dawać im pardonu. Podpisano: Wielki admirał Doenitz”.

Bądźcie twardzi! Wielki admirał nie powiedział: bądźcie waleczni, ofiarni; twardzi bądźcie, powiedział, czyli bezwzględni.

Od tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku wpajano we mnie wiarę w rycerskość najwyższego dowództwa kriegsmarine. Nie przeczę, miałem honor poznania osobiście wielu wspaniałych ludzi. Człowieka jednak, który z pełną świadomością skutków nawoływał do bezwzględności w walce, nie zaliczyłbym do tego grona. A już stanowczo nie tego, który położył swój podpis pod tymi eto słowami:

„Zdradziecka próba zabicia Führera napełnia każdego z nas świętym gniewem i gorzką pasją wobec naszych zbrodniczych wrogów i ich najemników. Boska Opatrzność oszczędziła niemieckiemu narodowi i jego siłom zbrojnym tego niepojętego nieszczęścia (...) Podpisano: Wielki admirał Doenitz”.

Ten służalczy rozkaz, skierowany do całej załogi kriegsmarine, wydano po zamachu na Hitlera, w daleko zaawansowanym, nieodwracalnym stadium rozkładu Trzeciej Rzeszy. Fetor rozkładu przenikał już maluczkich w kolebkach, lecz do nosa tego pana nie doszedł.

Mam wobec tego pytanie, Wysoki Trybunale, a mianowicie:

Czy rozkaz taki mógł podpisać człowiek -wielkiego czy małego ducha, kolos czy miernota, cichy bohater czy przebiegły gracz żądny władzy, żołnierz wierzący do ostatka w słuszność bronionej sprawy czy karierowicz, wykwit stosunków stworzonych przez brunatną dyktaturę

czy jej ofiara?

Co proszę? Aha, rozumiem. Opinię o oskarżonym Wysoki Trybunał wyrobi sobie sam na podstawie przebiegu przewodu sądowego, to natomiast, co mówię, jest tak zwanym w brytyjskim sądownictwie „podprowadzaniem ławy przysięgłych”. Tu jest sąd. Tak, słusznie, my, Niemcy, zapomnieliśmy już, co ta instancja oznacza. Przepraszam.

Ponosi mnie wyobraźnia, widocznie nie jest ze mną dobrze. Gadam do siebie, wyklócam się — psychiatra miałby dla tego stanu odpowiednią nazwę. A co więcej, nabieram pewności, że to nie złudzenie: we mnie siedzi ktoś drugi. Wszystko wie, w niczym się ze mną nie zgadza. To on podpowiada mi, co mam zrobić, a czego nie, co powiedzieć, a co przemilczeć, dyktuje mi taktykę postępowania. Taki sobie bliźniak, co miast narodzić się osobno wśliznął się we mnie. Wygodniś nie wie jednak, że siedzi w taksówce pędzącej ku przepaści.

Więc dobrze, bracie, przystępuję do pisania.

Jeszcze chwilę. Muszę wpierw jasno sobie uzmysłwić, ku czemu zmierzam. Kogo moim świadectwem chcę oskarżyć, a kogo wziąć w obronę. „Zbrodnia”, „zbrodniarz” to słowo duże i zarazem puste, stając przed tak wnikliwym trybunałem winienem je wyważyć. Więc ku czemu zmierzam?

Mierzę w odpowiedzialnych za zbrodnie, w rozkazodawców. Wykonawcy bowiem mogą być tak samo niewinni jak ich ofiary. Zbrodnia to nie sam czyn. To pajęczyna misternie utkana przez niewidocznego architekta, oplatająca najczęściej umysły nieuświadomione.

Tak więc nie mierzę w pamięć Hackego, w prostackiego Strelowa, w manekin Wenka, - mierzę w tych, którzy jednym pociągnięciem pióra popchnęli takich jak oni, a także i mnie, na drogę zbrodni.

Co innego doktor medycyny Wolff vel Frauenheim. Ta odrażająca postać jest problemem samym w sobie i jako taka podlega specjalnemu rozpatrzeniu.

Juz odzywa się we mnie bliźniak: „A czy skłamałbym, gdyby chodziło o moją ojczyznę? Czy zataiłbym zbrodnie.? O ojczyznę — znacząca mój prat dobitnie — nie o litość dla powalonego”.

Mam dosyć tej wyświechtanej gadki o ojczyźnie! Dosyć po dziurki w ciosie!

Mówią „miłość”, a rnyślają zdradę. Matka cię woła! — mówią kupczyki.

Zatem jeszcze raz: Mam dosyć tej wyświechtanej gadki.

„A dlaczego dosyć?” Bliźniak jest uparty.

Odpowiadam mu: No comment!

Czy jest jeszcze coś, nad czym powinienem się zastanów przed przystąpieniem do pisania?

Nie, nie ma.

Więc piszą.

Nie, jeszcze nie, zapomniałem o najważniejszym! Ostrze mego świadectwa ma trafić dokładnie w mierzony cel, nie wolno mi nie liczyć się z możliwością uderzenia rykoszetem w niewinnych.

Nikt z załogi „Elektry” nie ocalał, sprawdziłem to. Przewertowałem wszystkie dzienniki od wykrycia nas do zniszczenia okrętu. Zapoznałem się z brytyjskimi i amerykańskimi komunikatami wojennymi działań morskich na Południowym Pacyfiku; o zniszczeniu w walce „Ektry” przez okręt-pułapkę ani słowa wzmianki. Jest to dla mnie niezrozumiałe. Na temat naszych wyczynów prasa narobiła- wielkiego hałasu. W akcję tropienia nas zaangażowano znaczne siły morsko-powietrzne, i nic. Jak gdyby „Natalie”, nie zdążywszy zawiadomić bazy o swoim sukcesie, przepadła bez wieści. Sprawa urywa się na „Rosamundzie”, którą — tak wynika z komunikatu — wzięto ostatecznie za nas. Różnie sobie to tłumaczę. Im głębiej brnę w las, tym mniej widzę. Najlepiej chyba będzie, jeśli przyjmę to za zjawisko typowe dla żadnej, sensacji prasy anglosaskiej: małe sprawy ustępują miejsca dużym, nowym — taki rna styl. Wojna na Pacyfiku weszła wt rozstrzygającą fazę. Z armady Nipponu nie ostał się na wodzie ani jeden okręt godny uwagi. Wrota do Tokio otwarte, można wchodzić. I rozpoczęło się. Amerykańskie siły desantowe wylądowały na Okinawie — terytorium Japonii właściwej. Gazety donoszą o zażartych walkach, o niepoddawaniu się obrońców wyspy, o masowych

samobójstwach ich kobiet; kto dzisiaj pamięta o jakimś tam okręcie podwodnym, których zatopiono setki.

Zahaczyłem o to McGoverna. Nie wprost, ogródkiem, ale on nic nie wie. Wtedy sprawa ta była na tapecie, on parął się czymś innym. Skutki wąsko pojętej specjalizacji? — I am sorry — odparł ten aptekarz na moje pytanie, a „sorry” w języku angielskim oznacza koniec tematu. Trzeba przy tym widzieć wyraz twarzy tej Pytli delfickiej. Oczy, brwi, mięśnie ani drgną. Jaka będzie pogoda w Sydney za rok o godzinie dwunastej trzydzieści pięć, Pytio? Jaka będzie, hm... Może ładna, może brzydka, może nijaka, ale jakaś będzie. I sakramentalne sorry. Nie pozostaje nic innego, jak przyjąć to do wiadomości, choć nadal drażą mnie pytania. O odnalezieniu pierwszego oficera z „Golden Creeka” też brak wzmianki. Ciszę wokół tej osoby rozumiem. McGovern mi to wyklarował. Mnie — tak, mojemu bliźniakowi nie. On jest urodzonym sceptykiem. Na wszystko, co robię, kręci nosem, zrzedź życie w jednym pomieszczeniu z takim typem stanowczo nie należy do przyjemności. Zgłasza również zastrzeżenia do mego pisania. Odparłem wszystkie. Motywy mojej decyzji są jasne. Zbrodnia nie ma twarzy wyłącznie Niemca. Zbrodnia nie ma twarzy Japończyka, Anglika, Rosjanina, Amerykanina. Zbrodnia ma swoją własną twarz. A ta nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek narodem.

„A nie zadrzy ci przy tym pisaniu ręka? — podrwiwał bliźniak. — Całe to przedstawienie chcesz oprzeć na zapisie w dzienniku okrętowym, z którym dobrze się zapoznałeś, oraz na tym, w czym sam uczestniczyłeś. Nie popełnisz tu błędu, ale to pierwsze? W dzienniku okrętowym, jak ci wiadomo, zapisuje się tylko wydarzenia godne uwagi. Godne uwagi, rozumiesz? A inne...”

Odpieprz się, natręcie, warknąłem. Koniec roztrząsania! Kropka!

„Anglicy stosują przy tym stary rytuał — zaczyna z innej beczki. — Pętanie rąk... przewiązywanie oczu... werble...”

W kriegsmarine rozstrzeliwano bez tego teatru. Egzekucje odbywały się na wydmach. Skazańca ustawiano pod wzgórkim i — salwa. Brałem udział jako przymusowy świadek w egzekucji motorzysty z mego okrętu, który przedłużył sobie urlop o trzy dni. Czy pętano ręce, nie pamiętam, oczy przewiązywano.

Mój bliźniaczy wyrodek dopina swego.

Jestem człowiekiem połowy drogi, więc zgoda — ustępuję. Piszę po twojemu:

Nazywam się Ulrich Ihna, jestem kapitanem u-bootwaffe głównym inżynierem... Ale zarty na bok!

Statek mój, ss „Golden Greek”, bandery amerykańskiej, załadował w Noumei cztery tysiące dwieście ton rudy niklu. Dnia dziesiątego października w godzinach rannych wyszedł w morze w kierunku Brisbane.

Całodzienny rejs przebiegł bez zakłóceń. Warunki pogodowe pod wieczór tego dnia, jak sobie przypominam, były następujące;

siła wiatru — zero

stan morza — zero (długa martwa fala)

zachmurzenie — zero

ciśnienie atmosferyczne — niedużo ponad 1000 mb

temperatura — około 25°C.

Około godziny 17.30 otrzymaliśmy otwartym tekstem radiogram nadany przez agenta statku z Noumei nakazujący zmianę 318 destynacji z Brisbane na Sydney. Odbiór radiogramu potwierdziliśmy, po czym kapitan statku wydał rozkaz zwrotu kursu na 210°.

Po dokonaniu manewru, o 17.40, statek znajdował się na pozycji: szerokość geograficzna 24,65 S; długość 166,05 E.

Pięć minut później, o 17.45, przeleciał nad statkiem patrolowiec nadzoru typu „Catalina”, znak rozpoznawczy ASWPAC 55. Na próbę nawiązania z nim kontaktu radiowego patrolowiec nie odpowiedział. Zawrócił nad statkiem i odleciał w kierunku wschód.

Cały ten czas przebywałem w sterówce na wachcie, którą miałem skończyć o 20.00.

Godzina 17.48:

Właśnie skończyłem zliczanie pozycji statku, gdy z kabiny nawigacyjnej wyrwał mnie alarm obserwatora z prawego oka: Torpeda! Zdążyłem wcisnąć za pas spodni dziennik okrętowy, schwycić kapok, jak statkiem wstrząsnęła detonacja.

Torpeda trafiła w śródkręcie głęboko zanurzonego statku.

Widzialność wciąż była dobra. Choć atak nastąpił od strony zachodzącego słońca, fakt, że spostrzeżono torpedę dopiero w ostatniej chwili, świadczył o tym, że wystrzelono ją z niewielkiej odległości.

Trafienie okazało się śmiertelne. Całe śródkręcie wraz z maszynownią, rLibudówkai, pomostem i radiostacją zostało zniszczone, ci z załogi, którzy znajdowali się pod pokładem — zabici, Nabierając gwałtownie wody, rozerwany wybuchem statek począł szybko tonąć, zdemolowane drewniane nadbudówki stały w ogniu.

Na międzypokładach rufowych wieźliśmy trzysta ton benzyny lotniczej w beczkach, załadowanej w Pearl Harbour.

Ciężko ranny kapitan Nihoun był nieprzytomny. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie. Nie widząc szans ocalenia — w obliczu eksplozji benzyny — wydałem rozkaz opuszczenia statku.

Pozostali przy życiu członkowie załogi opuścili statek z przechylonej ku wodzie prawej burty w kierunku, z którego nastąpi atak. Holując nieprzytomnego kapitana ttrałem się odpłynąć jak najdalej od tonącego statku, aby uniknąć wessania przez wir. Oddaliłem się około pięćdziesięciu jardów, gdy rozerwany na dwie części eksplozją benzyny statek zatonął. Żadna z szalup ratunkowych nie ocalała.

Od trafienia torpedy do zatonięcia statku nie upłynęło więcej niż trzy minuty.

Na powierzchni wody naliczyłem osiemnastu rozbitków oraz jedną tratwę pneumatyczną. Zmierzch był bliski. Zamierzałem płynąć z kapitanem ku tratwie, gdy w odległości nie większej niż osiemdziesiąt jardów, na tle gasnącego już słońca wynurzył się kadłub okrętu podwodnego. Ponieważ wolnego miejsca na tratwie nie było, skierowałem się z pozostałymi rozbitkami ku napastnikowi.

Był nim niemiecki okręt podwodny U-1852. Oznakowanie to wymalowane było na kiosku.

Kompletnie wyczerpany podpływałem z nieprzytomnym kapitanem pod jego burtę. Dopiero po chwili wychnienia zorientowałem się w sytuacji. Uczepionych relingów rozbitków, próbujących dostać się na pokład okrętu, spychano bosakami z powrotem do wody. Dalsze nieprawdopodobne wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Stojący pod kioskiem w otoczeniu trzech oficerów dowódca okrętu zapytał o kapitana zatopionego statku. Z tubą przy ustach wołał w płynnej angielszczyźnie: — Where is the master? I ask for the master! The master*! — powtarzał przez tubę. — Quickly!

Któryś z rozbitków wskazał na mnie i holowanego przeze mnie człowieka. — Dawać go tu! — zażądano przez tubę. — Szybko!

Bosakami wciągnięto na pokład okrętu prawie nagie ciało kapitana. Stojący obok dowódcy okrętu oficer pochylił się nad nim. Kapitan Nihoun nie dawał znaku życia. Ruchami lekarza oficer ów sprawdził jego tętno, zajrzał mu w oczy, po czym — widziałem to dokładnie — wykopał go nogami za burtę. — Te świny sobie z nas zadrwiły! — krzyknął po niemiecku. — To już trup!

Powtarzam:

Oficer ten, po zbadaniu kapitana Nihouna, nogami — niczym worek ziemniaków — wykopał go za burtę.

Umysł mój rejestrował wszystko z fotograficzną ostrością. Żaden szczegół rozgrywających się wydarzeń nie uszedł mojej uwagi. Pomimo wzburzenia potraktowaniem przez lekarza zwłok kapitana Nihouna, nie mieszczącym się w żadnych normach etycznych, tragizmu sytuacji rozbitków wystawionych na atak rekinów, własnego napięcia nerwowego i wyczerpania pamiętam wszystko, jak gdyby rozegrało się to przed chwilą. To, co nastąpiło po odczytaniu z dziennika okrętowego parametrów statku wydało mi się nierealnym majakiem.

*Gdzie jest kapitan statku? Pytam o kapitana! Kapitana! Szybko! (ang.).

Pod kioskiem okrętu stał samotnie oficer mojego mniej więcej wzrostu, z dystynkcjami kapitana inżyniera na rękawie. Dowódca okrętu, nie odwracając się ku niemu, dając tylko palcem znak, że odnosi się to do niego, podniesionym głosem rozkazał:

Mówił po niemiecku, a język ten dobrze znam:

— Proszę go zastrzelić!

Zastrzelić „go”, powiedział, czyli mnie.

Wywołany zdawał się tego nie rozumieć tak samo jak ja. Z rękami założonymi do tyłu nie ruszył się ze swego miejsca. A także się nie odezwał. Zachował się tak, jak gdyby rozkaz ten nie odnosił się do niego.

Dowódca okrętu, wciąż nie odwracając się do kapitana pod kioskiem, głośno powtórzył rozkaz.

Na co inżynier — zapamiętałem sobie każde jego słowo — odpowiedział:

— Bardzo mi przykro, Herr Fregattenkapitän, ale moje miejsce podczas wynurzenia okrętu jest w maszynowni. Pozwoli pan, że się odmelduję.

Zasalutował plecami dowódcy, wykonał zwrot i zniknął we wnętrzu kiosku. Był to wyraźny akt odmowy wykonania rozkazu wydanego „w obliczu wroga”, grożący według prawa wojennego śmiercią.

Dalszy ciąg wydarzeń miał w telegraficznym skrócie przebieg następujący:

dowódca okrętu wysyła po niesubordynowanego oficera marynarza uzbrojonego w pistolet maszynowy z nakazem sprowadzenia oficera z powrotem na pokład;

marynarz dwukrotnie schodzi do wnętrza okrętu i dwukrotnie wraca sam: inżynier odmawia powrotu na pokład;

dowódca wysyła marynarza po raz trzeci i w wypadku ponownej odmowy nakazuje mu zastrzelić oficera.

Tym razem obaj zjawili się na pokładzie. Odbywała się szybka na tej szerokości geograficznej przemiana dnia w noc. Słońce tonało już w oceanie. W resztkach jego światła widziałem, jak dowódca okrętu wyszarpuje inżynierowi z kabury pistolet, wciska mu go w rękę i dobywając swego oświadcza, że daje mu trzy sekundy na wykonanie rozkazu.

Z lufą przystawioną do skroni inżyniera rozpoczął liczenie. Przy „dwa” barkiem moim targnął pocisk. Rzuciłem się do wody. Zdążyłem jeszcze usłyszeć strzały ze wszystkich luf.

Rozpętała się regularna palba z pistoletów maszynowych i działka szybkostrzelnego do bezbronych ludzi znajdujących się w wodzie.

Chcąc uniknąć śmierci, pomimo postrzałów, udało mi się uwolnić od kapoka i płynąc pod wodą oddaliłem się od okrętu.

Z oddali, me będąc widoczny w zapadających ciemnościach, słyszałem już tylko pojedyncze strzały. Na tle czarnego kadłuba okrętu podwodnego uwijał się po poboju gumowy ponton z ekipą marynarzy dobijających rannych. Uchwyciłem jeszcze wybuch granatu na tratwie. W pożegnalnym błysku światła przed nocą dojrzałem sylwetkę człowieka, który ten granat rzucił.

Nigdy jej nie zapomnę. Sylwetki oraz odbicia promieni od włosów przypominających aureolę świętego.

Traciłem siły. W całkowitych ciemnościach, chyba w środku nocy — tak mi się przynajmniej zdawało — natrafiłem na jakiś kapok i resztki tratwy. Na tym pamięć moja się urwała. Przytomność odzyskałem dopiero na bezludnej wysepce.

Na koniec poczuwam się do obowiązku podzielić się pewnym moim spostrzeżeniem.

Wszystko to trwało krótko. Dzięki temu, że inżynier okrętu podwodnego odmówił zastrzelenia mnie, a potem dwukrotnie odmawiał powrotu na pokład, sytuacja przeciągnęła się o około półtorej do dwóch minut. Czekając na śmierć, pomimo tragizmu położenia, poczyniłem pewne obserwacje. Ich rzeczowość i obiektywizm mogą być kwestionowane. W

niczym jednak nie zmieni zapisu w mojej pamięci, który pozostanie w niej na trwałe.

Odnosi się to do osoby dowódcy U-1852, a ściślej: jego zachowania.

Całe wydarzenie od początku do końca było niesamowita, dowódca zaś według mnie — jeżeli mój umysł w tej sytuacji był zdolny dokonywać krytycznej oceny zjawisk — sprawiał wrażenie człowieka nie kontrolującego własnych czynów, znajdującego się w stanie narkotycznego upojenia.

Nadmieniam raz jeszcze, że sygnał do otwarcia ognia do rozbitków dał oficer z insygniami lekarza okrętowego.

Obejrzałem zdjęcia głównych oficerów okrętu podwodnego U-1852, którzy dopuścili się zagłady rozbitków z s/s „Golder. Creeka”:

w oficerze, który wydał rozkaz zastrzelenia mnie, rozpoznaję dowódcę okrętu, komandora porucznika Hackego;

w oficerze, który badał zwłoki kapitana Nihouna, a następnie wykopał je za burzę, który strzelał do rozbitków, a także — widziałem to z oddali — rzucił z gumowego pontonu na tratwę z rozbitkami granat ręczny, rozpoznaję starszego lekarza sztabowego doktora medycyny Wolffa vel Frauenheima; w oficerze, który stał po lewej stronie dowódcy okrętu, następnie zaś wspólnie z innymi strzelał do rozbitków z pistoletu maszynowego, rozpoznaję kapitana Strelova;

w oficerze, który kierował ogniem działka szybkostrzelnego ostrzeliwującego tratwę i rozbitków w wodzie, rozpoznaję porucznika Wenka w oficerze, który otrzymał rozkaz zastrzelenia mnie i — pomimo wcześniejszej odmowy wykonania rozkazu — strzelił do mnie, rozpoznaję głównego inżyniera okrętu kapitana Ihnę.

Wyjaśnienie dodatkowe:

Nie przypominam sobie, abym słyszał rozkaz dowódcy okrętu o likwidacji rozbitków. Po strzale oddanym do mnie przez kapitana Ihnę, niemal równocześnie z tym strzałem, ogień do rozbitków uwieszonych u burty okrętu otworzył ze swego pistoletu lekarz okrętowy, a gest, jaki przy tym wykonał — gwałtowne szarpnięcie wolną ręką z góry w dół — rozpętał ogólną palbę.

Kapitan Ihna wykonał rozkaz dopiero wówczas, gdy dowódca okrętu przystawił mu do skroni pistolet. Kapitan strzelił wtedy i trafił mnie w prawy bark. Nie mierzył w głowę ani w pierś, co oznaczałoby dla mnie śmierć. Osąd tego pozostawiam czynnikom, które będą rozpatrywać moje oświadczenie. W moim odczuciu jednak kapitan Ihna działał świadomie.

Pozostałe dwa postrzały otrzymałem wykonując zwrot ku wodzie albo będąc już w wodzie.

Wiarygodność niniejszej relacji potwierdzam własnym podpisem.

Za oknami świtał brzask. Przeczytałem oświadczenie, poprawiłem kilka błędów literowych i podpisałem:

Martin D. R. Strang

Komandor McGovern odebrał moje oświadczenie spięte spinaczem i złożone na pół. Nie przeczytał go w mojej obecności. Chwilę ważył je w ręku ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt ponad moją głowę, po czym wsunął dokument do jednego z licznych przedziałów swojej teczki.

Pisałem to oświadczenie lewą ręką, na dostarczonym mi do hotelu remingtonie. Maszynopisanie opanowałem już w domu, a przed wyjazdem do Anglii dorzuciłem do tego jeszcze sztuką stenografii. Popielniczka pełna niedopałków, pokój przesycony smrodem nikotyny. Sześć stron maszynopisu w ciągu nocy. Nie mówiąc o ładunku emocjonalnym wrzuconym mi na plecy przez sekwencję zdjęć z „New York Herald Tribune”.

Produkt mojej pracy nie jest przeznaczony dla McGovern. On wykonał część zadania, reszty dopełnią ci z krańca świata, z którymi komandor rozmawiał ponad moją głowę.

Podszyszałem końcówkę tej rozmowy:

„W porządku — mówili ci stamtąd — zapoznamy się z relacją. Co będzie mało jasne,

weźmiemy pod lupę, co wciąż pozostanie we mgle, przepuścimy przez promienie podczerwone, a czemu te nie dadzą rady, z tym ultrafioletowe uporają się na pewno. W porządku, komandorze, niech pan go wysyła do nas. Dziękujemy”.

„Go” — powiedzieli ci stamtąd.

Nie dosłyszałem, czy McGovern zdobył się na coś więcej niż „thank you, sir”. Mnie powiedział tylko:

— Dziękuję panu.

— Proszę.

— Dziękuję — powtórzył tonem, jakim kończył każde nasze spotkanie.

Oczekiwałem pytania. Jakiegokolwiek. Ale ten rycerz bez skazy postanowił utrzymać się w siodle do ostatniej chwili. Pomyślałem o jego żonie. Jak ona znosi tę jego piekielną samodyscyplinę? Nigdy się tego nie dowiem. Trudno.

— Odłot jutro po południu o czternastej dwadzieścia — ciągnął komandor. — Trasa wiedzie przez Melbourne, Perth, Bombaj, Bagdad, Rzym, z przesiadką w Bombaju i Rzymie. Po pięciu dobach od startu wyląduje pan na lotnisku RAF-u w Londynie. Jeżeli oczywiście nie wystąpią jakieś większe przeszkody na trasie lotu. W miejscach przesiadki, tankowania benzyny, a także gdyby z jakiegoś powodu postój miał się przedłużyć czy też wyłoniła się konieczność zmiany maszyny — zaopiekuje się panem oficer naszej służby. Może mu pan całkowicie zaufać.

Połowa globu — doszły we mnie do głosu resztki pozostałej z młodych lat, prowincjonalnej zawiści do Anglików — i wszędzie oficerowie ich służb...

Słuchałem dalej.

— A teraz Londyn. — McGovern przeskoczył do punktu docelowego mojej wyprawy. — Na lotnisku zgłosi się do pana kapitan Paul Gilvray. Powiedziałem „kapitan”, bo jasne, że to człowiek naszej służby, ale prawdopodobnie zaprezentuje się on panu w cywilu. Od tego momentu opiekę nad panem w zakresie przewidzianym naszym porozumieniem przejmie Centrala. Tyle o trasie.

McGovern wydobyl z teczki dwie ciemnocytrynowe koperty z impregnowanego papieru, używane w brytyjskich zamorskich służbach wojskowych. Wręczając mi obie naraz, objaśnił:

— W grubszej kopercie znajdzie pan wszystkie odtworzone przez nas dokumenty osobiste wraz z książeczką żeglarską, prawem jazdy, a także uprawnienie do samodzielnego pilotowania samolotów sportowych nabyte w Ameryce.

W drugiej kopercie są dokumenty podróży wystawione na uzgodnione z panem nazwisko. Na całej trasie aż do Londynu jest pan zdemobilizowanym oficerem brytyjskiej marynarki handlowej, porucznikiem Robertem D. Errolem, legitymuje się pan tylko dokumentami opiewającymi na tę godność; w każdej osobie, która pana zaczepi, niech się pan doszukuje pracownika obcego wywiadu albo przynajmniej reportera prasowego, co w pańskim wypadku na jedno wychodzi. Robert Donald Errol – tak się pan teraz nazywa. Jest pan rodowitym londyńczykiem. To mniej więcej wszystko. Przyznam się szczerze, że słuchając na nie przypuszczam, by jakiś oblatany po naszym imperium Aglik wziął pana na przykład... za Szkota.

Nieprawdopodobne, ale fakt: McGovern uśmiechnął się. I to powiecie przyjemnie. Wyciągnął do mnie rękę. Kończy pan przykry etap swego życia — dodał. — nadzieję, że następne będą szczęśliwsze. Życzę powodzenia.

Opuszczam Australię z mieszanymi uczuciami: żalu, z którym żegnam ten kontynent niezmiernych możliwości, w wielu dziedzinach jeszcze surowy jak za czasów więzienniczego osadnictwa, ale już teraz raj na ziemi, kraj wspaniałych ludzi. Uczucie to jednak jest wtórne. Nęka mnie niepewność. Jest ona wiecznie żywa. Jest jak wróg uzbrojony po zęby, osaczający mnie ze wszystkich stron, czyhający na mój fałszywy krok, na przymknięcie oczu w śmiertelnym znużeniu nieustanną czujnością, aby skoczyć mi do gardła. Jest ona moim nieodłącznym towarzyszem. Gdy wracam do hotelu, pierwsze, co po zamknięciu za sobą drzwi robię, to wzdycham z ulgą, że jestem sam, ale już w mgnieniu oka rozglądam się

po drobiazgach na stolikach, czy leżą na tym samym miejscu, sprawdzam garderobę w szafie, ułożenie bielizny w szufladach — czynię to ze wstydem przed samym sobą, niemniej czynię: klękam na podłodze i zaglądam pod łóżko. Chylę głowę, omiatam wzrokiem ciemne zakamarki, do których nie dochodzi światło lamp. Dopiero pod prysznicem dochodzę do siebie. To strach. Najgorsze z uczuć. Mój strach ma oblicze McGoverna. Bo śmierci się nie boję, więc o co chodzi? Ba, właśnie. Tower Bridge opuszczony Królu, gotuj się! — o to chodzi. O ten wieczny głos kataru we mnie. Nie będę do tego powracał, bo można dostać kręćka. Ostatnie uderzenie i tak należy do mnie Świadomość tego jest moim kołem ratunkowym, a mając je w rękach nie obawiam się niczego. Nie pokpię sprawy, jak podczas poprzedniej próby. Sok cytrynowy! Szklanka czystego soku cytrynowego, którym popiłem tabletki nasenne, zneutralizowała ich działanie Tym razem odbędzie się to inaczej. Dlatego cieszę się z mojego odjazdu.

Na scenę w Londynie muszę wejść w pełni sił. Jak potoczy się gra — wcale mnie to nie niepokoi. Wraz z napisaniem oświadczenia odezwała się we mnie obca mi dotąd żyłka hazardzisty Osoba kapitana Paula Gilvraya, zapewne pionka w rękach wyższych rangą „oficerów naszych służb”, plany Admiralicji Brytyjskiej, w których z kolei ja odgrywam rolę małego pionka wszystkie niewiadome po tamtej stronie globu, nawet perspektywa spotkania ze stęsknioną za swoim bratem Florence, co przerażało mnie najbardziej, wszystko to teraz nie jest ważne. Głowę moją zaprósza w tej chwili jedna myśl: uciekać z Australii! Dłużej nie mógłbym patrzeć tym ludziom w oczy.

Tam też będziesz kłamał!

Próżne z nim gadanie! Mój wstrętny bliźniak nie rozumie, że będzie się to odbywało na całkowicie innej zasadzie.

Rozpoczął się drugi akt gry. Z każdą godziną zmienia się jego sceneria. Sydney, Melbourne, Whyalla, Perth na zachodnim krańcu Australii, której dotąd nie przebrnął o własnych siłach żaden człowiek, tankowanie benzyny, nowi pasażerowie i kolejny skok aż do Wysp Kokosowych. Trzy tysiące kilometrów nad Oceanem Indyjskim za jednym zamachem. Cały lot w czerni tropikalnej nocy — słońce nie dało rady dogonić nas! Lincoln B MK. Tak nazywa się ten czteromotorowy, jednostajnie pomrukujący olbrzym, stanowiący najnowszą konstrukcję ciężkiego bombowca. Daleki- zasięg lotu, prędkość myśliwca, ładowność wagonu towarowego. Wcześniejsze typy tego bombowca obróciły w perzynę mój kraj. Wojna się skończyła, ale ich zmodernizowane wersje są nadal budowane. Pewna myśl przeszła mi przez głowę, ale tłamszę ją. Bzdura! To się nigdy nie powtórzy!

Na każdym lotnisku dobieramy pasażerów. Od Perth mamy chyba komplet. Wszystkie fotele, wykonane z gurtu i rurki aluminiowej, prymitywne, lecz wygodne, które wypełniają stodołasty pokład samolotu, są zajęte. Obok mnie posadzono kapitana pomocniczej służby kobiet, wracającą do kraju po trzech latach niewoli japońskiej. Laura jest sympatyczna, bardzo to-war9ska, ale moje myśli pochłania ktoś inny.

Oma spokoju było dla mnie mieszkanko June. Było. Przedwczoraj przeistoczyło się w węzeł udreki. Wplątałem się w ten tak samo jak w moje wcielenie — nie umiałem zdobyć się na jasne postawienie sprawy od samego początku. Nie okłamywałem June. Nie mamiliem mirażem wspólnej przyszłości. Oboje mieliśmy świadomość tymczasowości naszego związku. June , przepłakała całe pożegnanie. Na lotnisku miałem być o dwunastej. Byłem spakowany, rachunki popłacone. Dlaczego nie poddaję się operacji? zapytała mnie. Dlaczego. Atrofia mięśni pogłębia się. Grozi ci amputacja. Amputacja, rozumiesz?

Rozumiem, June, ale przyczyny nie mogłem ci wyznaczyć. Nie mogłem ci przecież powiedzieć, że odzyskując sprawność w prawym ramieniu zdradziłbym się charakterem pisma...

ROZDZIAŁ IV

Miał na sobie ten sam trencz koloru przybrudzonego piasku co podczas naszego pierwszego

spotkania na lotnisku. Nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród kilkudziesięciu mężczyzn czekających na ten samolot. Większość Anglików nosi wiosną trencze bez względu na pogodę, chodzi z gołą głową, z rękami w kieszeniach. Takich ich pamiętam sprzed wojny. Wysiadłem z samolotu w ogonie trzydziestoosobowej grupy, i jeżeli na pierwszy rzut oka wyróżniałem się czymś, to tylko wzrostem. Przy bliższych oględzinach zwracał uwagę zarost kryjący blizny na szczęce po zębach bonity czy jakiegoś niewyrośniętego rekinka. Dalszą identyfikację pieczętowała bezwładna ręka. Ale wracając do niego: kapitanem Gilvrayem — jeżeli jest to jego prawdziwe nazwisko — mógł być tylko ten. Nie wrywający się na mój widok do przodu, nie podnoszący ręki na powitanie swego podopiecznego.

— Dwadzieścia tysięcy kilometrów, druga półkula świata, tam noc, tu dzień, a oni wszędzie owsianka i eggs and bacon na śniadanie, hello there! i uśmiech oczu, który można sobie dowolnie odczytać.

— Jestem Paul Gilvray — przedstawił się bez dodawania swego stopnia wojskowego. Wsiadając do samochodu, którym zawiózł mnie do hotelu, spostrzegłem pod jego rozpiętym trenczem jednorzędową, granatową marynarkę i flanelowe, popielate spodnie. Identycznie ubrany przybył na nasze trzecie spotkanie.

Jak dotąd, tylko z nim mam do czynienia, miejscem naszych spotkań jest ten sam lokal.

W drodze do mego stolika zdjął płaszcz, ale nie podał go szatniarzowi. Z przerzuconym przez ramię przecisnął się do mnie.

— Hello there! — uśmiechnął się na powitanie.

— Hello! — odpowiedziałem po australijsku, bez „there”. Podaliśmy sobie dłonie. Ja jemu lewą, on mnie też lewą.

To się nazywa mieć refleks!

— Mam nadzieję, że zdążył pan się już zaaklimatyzować w kraju — zaczął konwencjonalnie.

— Także przyzwyczaić po latach wojaży do rodzinnego domu. To musi być wielkie przeżycie dla obojga państwa. — Czekając na kelnerkę, wyraził uznanie dla urody i roztropności Florence, którą poznał osobiście jeszcze przed moim przyjazdem; ustalił z nią wówczas, że należy chronić mnie przez jakiś czas przed natręctwem ciekawych. Ze względu na stan mego zdrowia.

Przybyłem pół godziny przed umówionym terminem. Okolica dworca Paddington nie jest zbyt ciekawa, toteż wprost z pociągu skierowałem się do lokalu. Czekając na niego popijałem martini z kroplą dżinu rozcieńczoną tonikiem. Zbliżała się pora lunchu.

Zjemy coś? — spytał mnie wzrokiem, rozkładając kartę dań. Odpowiedziałem rozłożeniem drugiej karty, zostawiając mu wybór menu. On już wiedział, że odpowiadają mi potrawy jadane tylko za pomocą widelca.

Nasze poprzednie spotkania miały identyczny przebieg: soft drink, lunch, podczas którego padały z jego strony nic nie znaczące słowa; sprawy zasadnicze szły na tapetę wraz z kawą i koniakami. Tak więc w części lunchowej nie potrzebowałem wysilać się na uwagę. Gilvray nie wykraczał poza sferę pogody, mój udział w tym ograniczał się do pomrukiwań przedzielanych pracą widelca. Zdołałem się już upodobnić do Anglika. Duża zasługa w tym Florence, jej pedantyczna dbałość o czystość mowy, jej maniery dobrze wychowanej panny, których nie skaziła dwuletnia służba w lotnictwie królewskim. Przystawiałem się całkowicie na jej styl: nie zadawałem pytań, nie wtrącałem uwag, słuchałem. Choć nie powiem, aby mi ten styl odpowiadał. My, Niemcy, jesteśmy towarzysko bardziej aktywni od Anglików. Jednakże sięgając w przeszłość uzmysłowiłem sobie, że zawsze zarzucano mi zbytnią powściągliwość. Uczucie Osaczenia, prześladowające mnie w Sydney, zniknęło bez śladu. Wszystkie moje obawy okazały się wyolbrzymione. Stałem się innym człowiekiem. Gdyby moja matka wiedziała...

Uspokoję cię, mamó, to tylko gra. Na pewien czas. Widzę, że mi nie wierzysz, ale naprawdę, mamó, nie zapomniałem, kim jestem i czego się podjąłem. To wciąż ja, Uli!

Uśmiechasz się wyrozumiale, ale sprawiasz wrażenie, jakbyś nie poznawała własnego syna.

Kończyliśmy sączenie koniaku.

— Pańska koncepcja zachowania przybranego nazwiska do czasu procesu okazała się niezła. Zapewnia panu incognito, nie ograniczając swobody ruchu, doceniamy to. — Na szczupłej, zawsze zamyślanej twarzy Gilvraya pojawił się uśmiech uznania!

Mnie osobiście, muszę przyznać, też jest lżej w tej postaci. Robert D. Errol. Bardzo mi to pomogło w odzyskaniu równowagi psychicznej.

Słuchałem dalej.

— Wyrażam także uznanie z tego powodu pańskiej siostrze. Pozbawia się ona przyjemności pokazania się z odnalezionym bratem, ale to już nie potrwa długo. Aresztowanie osób z najwyższego kierownictwa kriegsmarine wraz z wielkim admirałem Doenitzem, z czym z niezrozumiałych dla mnie powodów dość długo zwlekano, wniesienie oskarżenia przeciwko nim o notoryczne gwałcenie Konwencji Haskiej, oficjalna wiadomość rządu o przygotowywaniu procesu — wszystko to bardzo uaktywniło prasę. Zniesienie cenzury wojskowej dla obszaru Europy otwiera przed nią wszystkie zamknięte dotąd drzwi. Podjęto niezbędne środki mające na celu niedopuszczenie do przecieku informacji o wynikach śledztwa prowadzonego przez Admiralicję. Proces odbędzie się według procedury brytyjskiej, z całym poszanowaniem prawa oskarżonych do obrony. Niemieccy adwokaci cieszą się dobrą reputacją, sąd, pomimo niezbitych dowodów popełnionych przestępstw, będzie miał z nimi ciężką przeprawę. Racja stanu wymaga, aby proces nie miał cech odwetu zwycięzcy na pokonanym. Niesprostanie temu zadaniu, miast zadośćuczynienia sprawiedliwości, dałoby przyszłym pokoleniom Niemców tworzywo do budowania nowych mitów — nie wolno do tego dopuścić. W przygotowaniu są dwa procesy. Wielki admirał Doenitz, jako naczelny dowódca kriegsmarine, a następnie spadkobierca spuścizny po Hitlerze, odpowiadać będzie przed trybunałem narodów sprzymierzonych. Stawiane tam jemu zarzuty będą miały rangę państwową i już dziś można przewidzieć linię obrony jego adwokatów. Linię tę trzeba utracić. Niemcy poniosły bezprzykładną klęskę. Równie jak klęska bezprzykładne w dziejach świata są ich zbrodnie. Ale już teraz, jeszcze w stanie kompletnego zamroczenia knock-outem, podnoszą się głosy, zrazu nieśmiałe, że winna jest tylko nieliczna grupka z najbliższego otoczenia Hitlera. Głosy te muszą zamilknąć. Przyczyni się do tego proces przeciwko naczelnemu dowództwu marynarki, w którego wyniku udowodni się mu zbrodnie, a odpowiedzialność za nie spadnie automatycznie na Doenitza. Tym samym jego osoba zostanie należycie oświetlona, zanim jeszcze zasiądzie on na ławie oskarżonych. Mądre, nie uważa pan?

Nad pustymi lampkami po koniaku padały słowa o niemieckiej marynarce wojennej. Kriegsmarine... Wielki admirał Doenitz... Było to dla mnie coś bardzo odległego, obcego. Nie miałem własnego sądu na ten temat. Przerazające, ale to fakt. Słuchałem dalej.

— Dlatego Admiralicja przykłada tak wielką wagę do skrupulatnego przygotowania aktu oskarżenia, którego pan, ofiara i zarazem jedyny pozostały przy *życiu* świadek ludobójstwa na morzu, jest najsilniejszym punktem. Niemcy jako pojęcie polityczne nie istnieją. Istnieją jako problem. Wielki, światowy problem. Już nie państwo niemieckie, ale ci, którzy do powstania tego problemu się przyczynili. Ukrywający się hitlerowscy dygnitarze, wszyscy mający coś na sumieniu, a pozostający nadal na wolności, szukają ucieczki z Europy wszelkimi możliwymi kanałami, już wcześniej zorganizowane grupy ich kamratów z SS i gestapo zajmują się zacieraniem po nich śladów, usuwaniem dowodów ich zbrodniczej działalności. Zaciągnęliśmy na granicach Niemiec coś w rodzaju kordonu sanitarnego. Wywiad nasz przeczesuje obozy jeńców wojennych — niewyobrażalna praca: sprawdzić tożsamość, poddać inwigilacji, precedzić przez sito prawie cztery miliony wziętych do niewoli, niemożliwe, aby kogoś nie przeoczono. Mamy podobizny, dane personalne ludzi umieszczonych na liście przestępców wojennych; co innego ich grupy ochrony, przerzutu przez granice, sekcje likwidacji niewygodnych im osób, działające w ukryciu. Te przedostaną się przez sieć o najdrobniejszym oczku, dotrą do każdego miejsca. Dlatego — Gilvray podniósł na mnie zmęczone oczy — radzi jesteśmy z pańskiego... dobrego samopoczucia.

Rozumiałem, co przez to miał na myśli. On nigdy nie powie niczego wprost. Nie potrzebuję

ochrony!

Skinieniem głowy podziękowałem mu za troskę.

— Prasa opublikowała zdjęcia oficerów z U-1852, w tym głównego inżyniera okrętu, a panowie są bardzo do siebie podobni...

— Owszem — przyznałem — znajduję podobieństwo między nami. Już w Sydney zwrócono na to uwagę, ale nie przesadzajmy. Zdjęcia opublikowano przed dziewięcioma miesiącami, także w Anglii, a jak dotąd nikt tego tematu ze mną nie poruszył. Nawet moja spostrzegawcza siostra. A poza tym — podrapałem się po brodzie — mój zarost...

Gilvray nie sprawiał wrażenia przekonanego. Milczał chwilę, jakby prowokując mnie do szerszej wypowiedzi. Zajmowaliśmy niszę z kanapką i trzema fotelikami, najbliższe stoliki na sali były wolne, mogliśmy rozmawiać swobodnie.

Nie miałem jednak ochoty na wałkowanie rzekomego zagrożenia mojej osoby. Interesowało mnie coś innego:

— Jak długo, pańskim zdaniem, przyjdzie mi jeszcze czekać? Twarz Gilvraya zmieniła się w znak zapytania.

— Trudno to w tej chwili powiedzieć — usłyszałem. — Kraj jest jeszcze w stanie wojny z Japonią. Zmagania na Pacyfiku weszły w decydującą fazę, nic jednak nie zapowiada ich rychłego końca. Walki toczyły się dotychczas o wysepki na oceanie, o zbliżenie się do Japonii bronionej przez fanatycznie walczących żołnierzy. Po doświadczeniach na Okinawie Amerykanie obawiają się wojny pozycyjnej ze wszystkimi jej skutkami. Mam nadzieję, że rozliczenie się z kriegsmarine nie wymaga ustania wszelkich działań wojennych. Ale kiedy ono nastąpi, nie wiem, przypuszczam, że szybko. Choćby ze względu na opinię publiczną, przerażoną odkrytymi zbrodniami, a także zbliżające się wybory do parlamentu. To wszystko, co mogę panu powiedzieć. Cierpliwości — położył mi rękę na ramieniu — to już niedługo.

Nie mając co ze sobą zrobić — pociąg mój odchodzi przed północą — poszedłem do kina. Film był sentymentalny, kiczowaty. przypomniały mi się nasze filmy. Przedwojenne i późniejsze. Inrusko pompatyczne, cikliwe. Kropka w kropkę jak ten, tylko wymowa trochę inna. Z zainteresowaniem natomiast obejrzałem fobie kronikę filmową. Niemieckie miasta zrównane z ziemią. Jtonkurs piękności w Palm Beach na Florydzie. Bombardowanie — nie spuściłem oka z żadnego kadru — Tokio z powietrza i z morza jednocześnie. Poligon artyleryjski na żywo! Amerykańskie pancerniki wałą w miasto jak w kaczy kuper, stoją na wyciągniętą rękę od lądu i grzmocą z wszystkich luf, a ląd milczy. Nie odzywa się ani jedno działo. Ani jeden samolot nie podnosi się przeciwko zuchwałemu wrogowi. Z Japonią kaputt! Po Tokio — kampania wyborcza do Izby Gmin, pojutrze wybory. Potem, już do końca kroniki, Wielka Trójka w Poczdamie. Jakie rozczarowanie dla naszych polityków od siedmiu boleści liczących do ostatniej chwili na skłócenie Zachodu z Rosjanami. Konferencja w pełnym toku. Podnosi mnie to na duchu i zarazem wprawia w stan nieważkości. Podnosi, bo rozliczenie się z mojej umowy bliskie, a zawiesza w próżni, bo...

Właśnie.

Pociąg do Torquay mam za kilka godzin. Zostać tu do jutra czy wracać nocą — jeszcze się nie zdecydowałem. Do Florence też nie telefonowałem. Otacza mnie troską, jest aż nadto opiekuńcza, najchętniej nie puściłaby mnie samego na krok. Matczyne uczucie, powinna wyjść za mąż i postarać się o dziecko. Zatelefonuję do niej, bo gotowa dzwonić po wszystkich hotelach Londynu.

Wlokę się asfaltowym kanałem neonów. Mniej ich jest niż przed wojną, ale zawsze. Przystaję na sekundę tu, na sekundę tam, jak człowiek nie mający co ze sobą zrobić. Stanałem właśnie przy wysepce zieleni na tym morzu asfaltu. Takim cztery stopy na cztery z latarnią w środku dla psów... Jakie to typowe dla tych bloody imperialistic dogs and cats loving English!*

Atmosfera ulicy — nawet nie wiem, jaki w tej chwili jest kolor nieba; z oznaczaniem barw zawsze było u mnie kiepsko — skłania do babrania się we własnym wnętrzu. Niedobrze.

Przenoszę wzrok o piętro wyżej. Na rogu Piccadilly Circus ruchoma gazetka świetlna donosi: ob-ra-dy w pocz-da-mie od-ro-czo-ne do wtor-ku wins-ton chur-chill pew-ny zde-cy-do-wa-

ne-go zwy-cięs-twa przy-wód-ca par-tii pra-cy att-lee przes-trze-ga przed od-da-wa-niem gło-sów na chur-chi-lla to czło-wiek woj-ny mó-wi att-lee...

GUINNESS — mruga świetlówka z dachu przeciwległego budynku w stylu późnego baroku — PEŁNE JASNE CIEMNE LAGER PIJ GUINNESS.

Na innym budynku kilkupiętrowa reklama Johnny Walkera, tego z podwiniętymi cholewami, niezastąpionego ambasadora Szkocji, na sąsiednim — Bovrillu — przyprawy do zup, na każdym gmachu wokół placu coś się reklamuje. A na ulicach pełno ludzi, roześmianych, rozgadanych. I pomyśleć, że nie minęły jeszcze dwa miesiące od zakończenia wojny.

Czym dzisiejszy Londyn różni się od przedwojennego? — zadałem sobie pytanie.

— Hej, „Daily Mirror”, proszę.

— There you are, sir.

— Dziękuję, reszty nie trzeba. Mam do pana pytanie, jeśli wolno?

— Proszę, milordzie.

— Ile pan ma lat?

— Sporo, młody człowieku.

— A długo sprzedaje pan gazety na Piccadilly?

— Sześćdziesiąt lat z okładem. Zacząłem ten interes za panowania miłościwej królowej Wiktorii jako pięcioletni pętaś. Było to długo przed przepychanką lorda Kitchnera z Mahdim w Sudanie, prawie ćwierć wieku przed wojną z Burami. Tymi w obecnej Unii Południowoafrykańskiej. Stara sprawa, pan pewnie o tym wcale nie słyszał.

— Słyszałem. A jeszcze jedno. Czym dzisiejsze Piccadilly różni się od przedwojennego?

Pytanie, widzę, niełatwe. Stary londyńczyk drapie się po siwej głowie. — Czym? — Rozgląda się wokoło. — Chyba modą... Faceci irozkochali się w ostatnich latach w wojskowych ciuchach.

*Cholernych imperialistów Anglików miłujących koty i psy (ang.)

Zdecydowałem się: pojadę jutro. Nastrój, w jaki wprawił mnie reportaż filmowy z roboty anglo-amerykańskich bombowców w moim kraju, nie sprzyjałby rozmowie z Florence.

Czułem się skacowany. Ale przecież, pomyślałem nagle, nie ja, pionek rzucony w wir tych niepojętych rzeczy, jestem tu coś winien. Nie jestem oszustem. Jestem ofiarą historii — jak takie zdarzenia ładnie się sprzedaje przyszłym konsumentom. To ona kręci ludźmi jak chce, a los jednostek... Kto by się tym przejmował, wszak za pięćdziesiąt, za siedemdziesiąt lat po tłumach ludzi, przewalających się po ulicach tej metropolii, nie pozostanie nawet ślad. A ja tymczasem przeddeptuję chodniki, dzielę włos na czworo, biję się w pierś. Śmieszny jestem! Koniec z tym! „Grzech z przymusu, namiestniku Angelo, jest grzechem, lecz nie znaczy wiele”. Izabelo, ja swój grzech spłaciłem. Spłaciłem, słyszysz?

Z moim ramieniem nie jest dobrze: zanik mięśni postępuje. Następny etap to poty, następny — nie gojące się ranki, następny... Wszyscy namawiają mnie na zabieg skrócenia kości przedramienia (najwyżej półtora cala — powiedział doktor Mason), po czym mam odzyskać pełną sprawność.

Jeszcze Burgdorf...

To bardziej skomplikowane niż zabieg. Mógłbym pod jakimś pretekstem postarać się o zezwolenie na turystyczny wyjazd do brytyjskiej strefy okupacyjnej. Nie teraz, później. Udać się do Bremy albo do Hamburga i stamtąd szukać konspiracyjnie kontaktu z matką. Potem zobaczy się. Prasa podała o żołnierzu amerykańskim, który wystąpił do swoich władz o zgodę na zawarcie związku małżeńskiego z Niemką... Płacone mi na czas „umowy” pobory porucznika brytyjskiej marynarki handlowej, odprawa demobihzacyjna za lata wojny przekazana na moje konto wystarczyłyby na rozpoczęcie czegoś na własną rękę, bez uciekania się do pieniędzy Strangów. W tym wypadku, zakładając wiadomo co, równoważnik obu sum oddałbym kiedyś z nawiązką na jakiś fundusz charytatywny...

Zadarłem głowę do góry i powtórzyłem kilka razy pod rząd: równoważnik obu sum oddałbym

kiedyś z nawiązką na jakiś fundusz charytatywny...

To brzmi jak plan. Szedłem i mówiłem: przecież to plan. Pisany palcem na wodzie. Na wodzie pisany. Kogiel-mogiel mam w głowie, nie plan!

Zmierzch rozpostarł się nad miastem. Światła neonów tworzyły barierę nie przepuszczającą wzroku, ale niebo pochmurne na pewno nie było. A mnie się zdawało, że dokładnie nad moją głową zbiera się na burzę.

Tak, już postanowiłem, nie wrócę dziś do Torquay. Przed sekundą minąłem popularny hali dancinowy, pójde popatrzeć trochę na ludzi. Przy lampce wina. O tańczeniu z moim ramieniem wcale nie myślałem. Ostatnio byłem na potańcówce... — Uzmysłowiłem sobie ze zgrozą, że nigdy na czymś takim — poza studniówką pod nadzorem belfrów — nie byłem. A jesienią skończę dwadzieścia siedem lat.

Nazajutrz, po czterech godzinach jazdy pociągiem pospiesznym, wysiadłem na dworcu w Torquay, które dolna połowa tego kraju nazywa „stolicą angielskiej Riwiery”.

Podróż miałem udaną. Naprzeciwko mnie siedział energicznie wyglądający pan z przyprószonymi siwizną skroniami. Jechał w towarzystwie zgrabnej osóбки w moim mniej więcej wieku, równie energicznej jak on, Barbary, której nie można było nie zauważyć. Wysiadając w Exeter, już z peronu, osóбка ta zdołała mi powiedzieć, że jej towarzysz, czyli ojciec, jest kapitanem statku, który jutro odplywa do Indii, ona zaś obejmuje pracę w filii Brytyjskiego Czerwonego Krzyża. Gdybym kiedyś przebywał w Exeter — to tylko trzydzieści mil od Torquay — chętnie wypiłaby ze mną filiżankę herbaty.

Nie udałem się do hotelu, tylko wprost do Florence.

Kiedy mój przyjazd do Anglii ostatecznie zatwierdzono, zdemobilizowana z lotnictwa Florence zakupiła w górnej części miasta dwupiętrowy, bardziej pałacyk niż willę, dom, który całą wojnę stał pusty, i w krótkim czasie starała się zrobić z niego coś ludzkiego. Rezultat jej wysiłków prezentował się nieźle. Florence była z niego dumna, więc tym bardziej zaskoczyła ją moja decyzja: nie zamieszkać z nią w tym domu, zamieszkać w hotelu.

Przyczyny były jasne. Można mataczyć, stroić się w obce piórka, ale wszystko ma swoje granice. Mimo nieprawdopodobnego splotu wydarzeń działających na moją korzyść, mimo moich predyspozycji aktorskich, o których istnieniu nie miałem pojęcia, nie mógłbym kłamać na okrągło dzień i noc, przywiązywać do siebie tej dziewczyny, która dzięki memu istnieniu uświadomiła sobie nagle, że nie jest na tym świecie sama. Jeżeli stało się tak, jak się stało, to moim obowiązkiem było wytworzyć między nami dystans, a nawet zrazić ją do siebie. Nie dopuścić do narodzin zażyłości, której nagle przecięcie byłoby później bolesne. Ogrom jej serdeczności oszołomił mnie, ale się opanowałem. Wszystko jest naszą wspólną własnością. Dobrze, jest — zgodziłem się — lecz jeszcze nie teraz. Zadanie, jakiego się podjąłem (Florence jest Angielką, niemożliwie, aby popuściła wodzy ciekawości w sprawach „wyższego rzędu”, jak Gilvray jej to przedstawił), wymaga ode mnie trzymania się jakiś czas w cieniu. Występowanie pod nazwiskiem Errol zamknęło problem wspólnego mieszkania. Ona pozostała na swoich dwudziestopokojowych włościach, ja ulokowałem się w hotelu.

Torquay, znana na południowym wybrzeżu hrabstwa Devon miejscowość turystyczno-wypoczynkowa, ma mnóstwo domów, mieszkań, pokoi with bed and breakfast do wynajęcia, jest zasobna w pensjonaty i hotele. Mnie odpowiadał hotel. Nieduży, stojący na uboczu wartkiego tu w sezonie letnim życia, zapewniający mi maksimum spokoju: wychowanie w powiatowym Burgdorfie naznaczyło mnie w jakiś sposób. Florence powitała mnie w Londynie. Omawiając z nią sprawę mego lokum zaznaczyłem, o co mi chodzi. Jakież było moje zdziwienie, gdy po przyjeździe do Torquay zatrzymała samochód przed podwojami najbardziej luksusowego w hrabstwie hotelu Imperial. Wytłumaczyła mi przyczynę. Właściciele pensjonatów, małych hotelików, nie mówiąc o landlordach wynajmujących pokoje, kierując się troskliwością o swoich gości, są mimo woli wścibscy, nie uchodzi ich uwagi; anonimowość, stwierdziła słusznie, można sobie zapewnić tylko w luksusowych hotelach. Przyznałem jej rację. W takim Imperialu ginie się jak w mrowisku, prywatność gościa jest świętością, można się w niej pławic do woli, jeśli... portfela na nią starczy.

Apartament, do którego mnie wprowadzono — sypialnia na dwie osoby, salon, gabinet, łazienka, sauna, codziennie uzupełniana w najlepsze trunki lodówka — w ciągu czterech dób pochłania całą moją miesięczną pensję porucznika marynarki handlowej wraz z pięćdziesięcioprocentowym dodatkiem za służbę w „niebezpiecznych warunkach”. Wyplacone mi za czas pobytu w szpitalu pobory oraz bieżąca pensja wystarczą na jakiś czas. Na mieszkanie w Imperialu. Nie wystarczą natomiast na kuchnię Imperialu i niezbędne kieszonkowe, chyba że będę się stołował w snack-barach.

I tu znowu wkracza ona. W sposób rozbijając niewinny, ale z uporem.

Chcąc przed wyjazdem do Londynu uregulować rachunek za dotychczasowy pobyt w hotelu, dowiedziałem się, że apartament, restauracja, wszelkie usługi są zapłacone z góry na czas nieograniczony. Mało tego, manager hotelu został przez kogoś nie znanego mi z nazwiska poproszony o osobiste doręczenie mi zalakowanej koperty. Przyjając tajemniczą przesyłkę musiałem. Był w niej czek na dziesięć tysięcy funtów szterlingów wystawiony na okaziciela. Podpis wystawcy tego papierka był nieczytelny.

Jest jeszcze jedna rzecz, na której temat Florence wykazuje daleko idącą powściągliwość. Nie sądzę jednak, aby odłożyła ją ad acta. Rzecz dotyczy panny Amalie Langley z Los Angeles, jej dziecka, którego jestem ojcem, i mego stosunku do matki tego dziecka.

Już w korespondencji z Australii poinformowałem ją o scedowaniu na rzecz Amalie odziedziczonej po kapitanie Nihounie masy spadkowej, a także moich oszczędności. Pochwaliła mnie za ten gest, ale nie do końca. Pieniądze nie załatwiają wszystkiego. Dziecko potrzebuje ojca. A gdzie jest dziecko, gdzie jest ojciec, musi być rodzina.

Nie znam jej doświadczeń z mężczyznami. Ale wiem, że sferę intymnych stosunków traktuje poważnie, niech nikt tutaj na żadne koncesje z jej strony nie liczy. Niech także nie liczy jej brat, który zrobił z niej ciotkę małego Roberta, a ja teraz muszę się z tym bagażem uporać.

Natychmiast po rzuceniu trenażera i torby podróżnej na fotel podniosłem rękę Florence do ust, ucałowałem, i z pełnym zrozumieniem jej dobrych intencji zostawiłem w jej dłoni zalakowaną kopertę.

— Nie powracajmy do tego tematu. Na razie — zastrzegłem się znając jej nieustępliwość w sprawie pieniędzy, „naszych pieniędzy”, „tak samo moich jak twoich”. — Daj mi — nie dopuszczałem jej do głosu — trochę czasu na przyzwyczajenie się do nowych warunków. Nie zapominaj, że od chłopięcych lat ciężko pracowałem i musiałem się liczyć z każdym centem. Gwałtowny przeskok w twoje, w nasze rodzinne — poprawiłem się — warunki nie byłyby właściwy. Daj mi czas — zakończyłem, zostawiając kopertę w jej rękach.

— Ale... — patrzyła na mnie błagalnie. — Przecież...

— Nie ma żadnego ale — uciałem stanowczo, sięgając po papierosa. — W odpowiednim czasie wrócimy do tego problemu.

— Wobec tego nie widzę powodu — podeszła do mnie z kopertą — abys nie otworzył sobie małego konta w banku, nie musisz przecież z niego korzystać. — Ożywiła się. — Zdarzają się różne sytuacje. Ni stąd, ni zowąd wpadnie ci w oko jakiś dom -albo będziesz potrzebował większej gotówki.

Potrząsnąłem peczęcą głową.

— Chwilowo nie myślę o nabyciu domu. Ale rozumiem twoje intencje i bardzo je sobie cenię. A co u ciebie? — przeskoczyłem na inny temat. — Wyglądasz... — Spojrzałem jej w oczy. — Jesteś wyraźnie ożywiona. Zdarzyło się coś miłego?

— Owszem.

— Powiesz mi, co?

— Posłałam list do Kennetha. Po tak długim czasie. Był ciężko ranny, bardzo ciężko, i nie wszystko jest z nim w porządku — mówiła jednym tchem. — Został ranny w dżungli i pewien czas przebywał w japońskiej niewoli. Ale już czuje się lepiej... — urwała i spojrzała na mnie. — Czy ty go sobia w ogóle przypominasz?

— Trochę... — mruknąłem. Florence wspominała o nim.

Kenneth Wall, Australijczyk urodzony w Melbourne, syn dalekiego kuzyna ojca, prawnik z

wykształcenia, oficer marynarki wojennej podczas wojny. Przed wojną był na praktyce armatorskiej w przedsiębiorstwie ojca w Plymouth. Florence pokazywała mi zdjęcia. Przystojny rudy blondyn, chyba mego wzrostu, z uwieszoną u jego ramienia nastoletnią Flo. — Jak przez mgłę — powiedziałem. — Ojciec był zawsze zapracowany — brnąłem w tej pacce — mało wspominał o krewnych. Ale cieszę się.

Ja też dostałem list z Australii. Od June. Donosi o różnych sprawach, tęskni, gdybym zechciał, gotowa jest przyjechać do Anglii. Między innymi pisze o doktorze Masonie. Że się zaręczył.

— Jak długo szedł list? — spytałem Florence.

— Nawet nie spojrzałam. — Wyciągnęła list z sekretarzyka i sprawdziła datę. — Boże drogi, aż cztery miesiące! Okropnie działa teraz ta poczta. Napisałam mu o tobie O twoim cudownym odnalezieniu.

— Wysłałaś już?

— Jeszcze nie. Myślałam, że może zechcesz się dopisać Zakołysałem swoim bezwładnym ramieniem.

— Zrób to, proszę, w moim imieniu. I życz mu ode mnie rychłego powrotu do zdrowia — dodałem.

Niepotrzebnie to zrobiłem. Moje ramię uruchamia w niej syrenę alarmową, powinienem być o tym pamiętać

— Możesz mnie zrugać, ale rozmawiałam w tej sprawie z profesorem Swanburne'em. To słynny na całą wyspę chirurg-ortopeda. Umówiłam wizytę. Proszę — podniosła na mnie swoje piękne oczy — nie odmawiaj mi.

Taka jest Florence- wszystko z góry pomyślane, załatwione Jej przyszły mąż przejdzie z nią przez życie jak w wytwornym pojeździe, o którego marszrutę ona już zadba albo — nie będąc dopuszczony do kierownicy — wyskoczy z mego w biegu. Trzeciej możliwości mieć chyba nie będzie

— Dobrze — odparłem krótko. Z moim ramieniem było coraz gorzej, to po pierwsze A po drugie- operacja, długi okres rekonwalescencji; proces dowództwa knegsmarine skończy się na pewno w tym czasie. — Dobrze — powtórzyłem Gdzie on mieszka, ten Swanburne?

Florence poruszyła ustami jak ryba wyciągnięta z wody. Naprawdę, Mart?

— Tak — potwierdziłem. — Dalsza zwłoka jest niewskazana... dobrze zrobiłaś. Gdzie mieszka ten profesor?

Przytuliła się do mnie. — W Plymouth... — Nie odrywała głowy od mojej piersi. — Niedaleko naszego byłego domu... On się bardzo przyjaźnił z naszym ojcem...

Ucałowałem jej rękę.

— Nie będę zwlekał — odezwałem się po chwili. — Zadzwoń do niego i jeżeli to możliwe, zamów wizytę na... Dzisiaj rnamy sobotę... na poniedziałek.

Florence wspomniała o podwiezieniu mnie do Plymouth samochodem, ale się nie zgodziłem. Pojadę sam. Na pewno pojadę!

Tym samym postawiłem stopę na drugim brzegu rzeki. Tyle się nazaklinałem, nadramatyzowałem, a życie pokierowało wszystkim po swojemu.

For sale, na sprzedaż — namalowane czarnymi, z daleką widocznymi literami na żółtym tle, z podanym poniżej nazwiskiem, adresem i telefonem pośrednika handlu nieruchomościami — wciąż widniało nad wejściem na teren posesji. Okalało ją obrodzenie z prętów żelaznych stylizowanych u góry w tudorowskie lilie, za którymi rozciągał się niewielki park z dwoma rzędami wysokich cyprysów śródziemnomorskich; pośrodku tych cyprysów, niczym na wysepce morza południowego, stał ongiś dwuskrzydłowy dom, podobno najokazalszy w tej dzielnicy Plymouth. Dzisiaj pozostały po nim tylko sterty gruzów. Kiedy przed trzydziestoma laty Donald Strang kupił trzy akry łąki wraz z bajorem i na wzgórkę postawił swój

dwuskrzydłowy pałac — cyprysy owe osłaniały od wiatru znad zatoki basen kąpielowy zbudowany w miejscu bajora.

Była siódma rano. Porty południowej Anglii, pękające niedawno w szwach od okrętów wojennych, transportowców, barek desantowych, były teraz puste; cała ta armada wyrzuciła armie inwazyjne na plaże Normandii, te już przełamały umocnienia Wału Atlantyckiego i szerokim frontem gnały na Paryż — ku granicom Niemiec. Tu, w Plymouth, dzień zapowiadał się pięknie, więc pan Donald po zjedzeniu śniadania postanowił nie jechać do biura samochodem, tylko pójść pieszo. Właśnie chciał powiedzieć o tym swojej żonie, rozmawiającej przez telefon z Florence gdy nagle....

Nikt się już nie dowiedział dlaczego państwo Strangowie nie udali się do schronu. Radio podawało ostrzeżenie o przedarciu się przez zaporę myśliwców pocisku V-1. Syreny alarmowe odezwały się w ostatniej chwili jak zwykle przy błyskawicznym ataku tych latających bomb ale czasu na schronienie się w bunkrze przeciwlotniczym było dosyć. Tajemnicę tę ta nieszczęśliwa para zabrała ze sobą do grobu.

Patrząc na stertę gruzów za tudorowskimi lilijkami, wśród przetrzebionego szeregu strzelistych cyprysów, pomyślałem sobie: że też ta bomba musiała trafić akurat w to miejsce! Nie gdzie indziej.

Teraz szczeliny w omszałym murze pokrywa zgniłozielony nalot mchu, nie strzyżona trawa dziczeje, cyprysy stoją jak stały, tyle że zgarbione smutnie ku ziemi, bezpańskie. Jedynym żywszym akcentem jest tablica pośrednika handlu nieruchomościami. Obwieszcza ona wszem i wobec, że cisza tu panująca jest zjawiskiem przejściowym, że wystarczy przyływ gotówki, a stanie się tu oaza tętniąca nowym życiem.

Zostawiłem myśli o państwie Strang, o ich synku w krótkich porteczkach hasającym za motylami po przystrzyżonej trawie, o Floreńce pływającej w basenie, o pokojówce Dolly przywołującej ją z werandy na cup of tea.

Zakręciłem się na pięcie i ruszyłem w górę alei.

Miałem jeszcze dwie godziny do umówionej wizyty w klinice profesora Swanburne'a. Postanowiłem je wykorzystać na spacer po mieście, obejrzeć po drodze witrynę Orient Lines Ltd. — towarzystwo żeglugowe, którego ponad osiemdziesiąt procent akcji jest własnością Floreńce, i jeżeli starczy czasu, rzucić okiem przy filiżance kawy na tytuły gazet. Cała dzisiejsza prasa ukazała się z opóźnieniem, gdy wyjeżdżałem z Torquay, stoiska były jeszcze puste.

Ale też powód tego opóźnienia był ważki

„TRZĘSIENIE ZIEMI!”, „KONIEC ŚWIATA!”, „APOKALIPSA”, „ZASKAKUJĄCA KLĘSKA WINSTONA CHURCHILLA W WYBORACH DO IZBY GMIN”
„PRZYGNIAJĄCE ZWYCIĘSTWO ATTLEE NAD KONSERWATYSTAMI!”

Przybliżony wynik wczorajszych wyborów znam już z radia Dwa do jednego dla Attlee Zwycięstwo miażdżące roznoszące przeciwnika, niesłychane! Przez następne pięć lat rządzić będzie tym światowym imperium skromniutki, pedantyczny człowieczek w kamizelce i wyszczotkowanym kapeluszu, „szacowna miernota z piętym wiktoriańskiego gimnazjum” — jak tutejsza prasa go nazywała Postać z humorystycznego filmu w porównaniu z arystokratycznym, władcym Churchillem

Olbrzyma zmuszono do ustąpienia karłowi, któremu powierzono zadanie olbrzyma. Taka farsa możliwa jest tylko tutaj. Tylko w tym kraju wielkiego przywódcę narodu w krytycznych latach można wolą obywateli kopnąć w tyłek i odesłać do domu a Jaka to lekcja dla świata! Jakie upomnienie dla butnych! Podżegaczem do wojny, bogiem wojny nazywały Churchilla dwa pokolenia Brytyjczyków. Była wojna, sięgnięto po człowieka wojny. Wojna się

skończyła, głosowano na człowieka pokoju. Były premier, architekt największego w dziejach Wielkiej Brytanii zwycięstwa, udał się do króla, na audiencję pożegnalną, nowy premier poleciał do Poczdamu. Nas, Niemców, politykować nie uczono, ale wydaje mi się, że zmiana mieszkańca na Downing Street jest dobrym prognostykiem na przyszłość. Churchillowskie „British Empire first!” w powojennym, całkowicie zmienionym układzie sił mogłoby doprowadzić świat do nowych konfliktów, wyborcy wiedzieli, co robią. Prasa konserwatywna snuje już obawy o wynik konferencji poczdamskiej. Uderzyła na alarm. Niedoświadczony Attlee, niedoświadczony Truman — szybko się konserwatyści przestrajają. Ale głosy te już niczego nie zmieniają.

Zapłaciłem za dzbanek wypitej kawy, gazety wrzuciłem do kosza.

Historia!

Ja też czułem się jak po głosowaniu. Do wyboru miałem dwie drogi. Mogłem być wybrać lewą, i wędrowałbym nią aż do jej krańca, widocznego już na rozdrożu. Zdecydowałem się na dłuższą. Krętą, zdradliwą, wchodzi się na nią przez klinikę ortopedyczną profesora Swanburne'a.

Sekretarka profesora domyśliła się, kim jestem. Z takim znakiem rozpoznawczym jak moje ramię trudno się omylić.

— Mam przyjemność z panem Strangiem? — Podniosła się na mój widok z fotelika. Z widocznym uszanowaniem podeszła do mnie, przedtem jednak przycisnęła jeden z czerwonych guzików na swoim białym aparacie telefonicznym. — Zaraz przyjmie pana doktor Curry, zastępca profesora — oznajmiła. — Pozwoli pan do jego gabinetu.

Nie zdążyłem zająć miejsca w fotelu, gdy w drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna w białym kitlu.

— Jestem doktor James Curry — przedstawi! się.

— Strang. — Kiwnąłem głową.

— Miło mi powitać pana w naszej klinice. — Wciąż stojąc mówił dalej: — Muszę pana przeprosić w imieniu profesora. Telefonowaliśmy do pańskiej siostry, potem do hotelu Imperiał, ale pan był już w drodze. Otóż profesor, wracając z Bristolu, gdzie spędził weekend, uległ wypadkowi samochodowemu. Nic poważnego — uprzedził moje pytanie. — Jakaś ciężarówka wpadła w poślizg, nastąpiło boczne uderzenie, w którego wyniku pasażer profesora doznał ogólnych potłuczeń. Nic poważnego — powtórzył — ale pan rozumie. Pan profesor będzie w klinice o dziewiętnastej...

Rozumiałem. Profesor jako lekarz musiał zaopiekować się rannym osobiście, to jasne.

Była dwunasta. Doktor Curry przechwycił moje zerknięcie na zegar ścienny.

— Pan profesor bardzo pana przeprasza — dodał z niekłamana przykrością.

Wzruszyłem ramionami.

— Siła wyższa. Wypadki chodzą po ludziach. — Spojrzałem jeszcze raz na cyferblat, ale mego ręcznego zegarka. O dwudziestej odchodzi ostatni pociąg, autobusy o tej porze już nie kursują, taksówkami jeździć nie lubię — nie znoszę poufałej paplaniny ich kierowców; nocowanie w Plymouth odpada ze względu na Florence; byłaby zaniepokojona.

Doktor wzbudzał zaufanie. Ten silnie zbudowany pięćdziesięciolatek o pogodnym spojrzeniu, pomyślałem, jest tu zastępcą profesora nie tylko do wywierania na pacjentach dobrego wrażenia. „James Curry — naczelny chirurg” — widniało na plastikowej fiszce wpiętej w klapę kitla. Czyli że chirurgów tu jest kilku, a on nimi dyryguje. Ta klinika to prawie jak szpital, jest znacznie większa, niż sobie wyobrażałem. Od Florence wiem, że ma nowoczesnie wyposażoną salę operacyjną, jedną z lepszych w tej części kraju; personel lekarski jest z pewnością też wysokiej klasy.

— Mam pytanie, jeżeli pan pozwoli, doktorze — odezwałem się po chwili namysłu.

— Słucham pana. Proszę zająć miejsce. — Curry wskazał mi fotel. Cała rozmowa odbywała się bowiem na stojąco.

Podziękowałem, ale nie usiadłem. Może przedłużenie rozmowy nie będzie miało sensu.

— Moja dzisiejsza wizyta ma chyba charakter rozpoznawczy — wyraziłem przypuszczenie.

— Czy wobec tego nie można by mnie zbadać, wyniki przedstawić profesorowi, a ja przyjechałbym tu za kilka dni? Mam nadzieję — zaszotałem — że panowie nie zamierzają od razu mnie krajać...

— Oczywiście, że nie — podjął skwapliwie Curry. — Do zabiegu musi pan być przygotowany. Poprzedzą go szczegółowe badania. Dzisiaj i tak zbadalibyśmy tylko ramię i prześwietlili, obecność przy tym profesora nie jest nieodzowna. Pańskie zaufanie pochlebia mi, dziękuję. Wynik badania przekażę profesorowi.

Ruch na mieście był duży. Wskutek zaaferowania czekającym mnie zabiegiem o mało nie wpadłem pod samochód. W ostatniej chwili uskoczyłem na chodnik, gdyby jednak nie refleks rowcy, zostałbym pacjentem kliniki profesora Swanburne'a.

— Gdzie pan ma oczy?! — strofował mnie zdenerwowany głos kobiety. — Bogu dzięki miał pan szczęście. Nic się panu nie stało?

— Nic. Bardzo mi przykro — usprawiedliwiałam się. I zaraz zaryzyknałem: — O, to pani!

A kobieta przy kierownicy samochodu osobowego ze znakami Brytyjskiego Czerwonego Krzyża, pod który omal nie wpadłem, zawtórowała mi: — O, to pan!

Zjechała na bok i wyszła z samochodu. To była Miss Barbara Black, dziewczyna, którą poznałem niedawno w pociągu.

Podawała mi rękę.

— Co za miła niespodzianka!

— A tak. — Uśmiechnąłem się. — Co pani tu porabia. Jczch dobrze pamiętam, pracuje pani w Exeter.

— To dwa kroki stąd. Obsługujemy całe hrabstwo, z pałacem Torquay włącznie. — Uścisk dłoni miała silny jak na swoją subtelną budowę. Ale to wcale nie ujmowało jej uroku.

Rozejrzałem się z zakłopotaniem. — Mało znam to miasto. To znaczy — poprawiłem się — mało je pamiętam.

— Czuję się w obowiązku zaprosić pana na herbatę.. — Uśmiechnęła się, pokazując dwa rzędy wspaniale utoczonych zębów. Otworzyła drzwi samochodu. — Proszę wsiadać. Połączonymi siłami znajdziemy jakąś przytulną kawiarenkę, w końcu Plymouth to nie tylko port.

Kawiarenkę taką udało nam się znaleźć' bez trudności i am się obejrzałem, jak minęła godzina na rozmowie o wszystkim i o niczym. Miss Barbara nie była wścibska. Ale pod koniec przyjemnie spędzonej godziny przy herbacie i lampce martini stała się kobieco konkretna.

— Gdzie pan mieszka w tyrn Torquay, panie... Ja nazywam się, jak panu wiadomo, Black.

— Przepraszam, Errol — przedstawiłem się. — Robert, to pani już zna, Errol. A gdzie mieszkam... — Zawahałem się. Poza Florence, Gilvcayem oraz ludźmi z kliniki profesora Swanburne'a nikt nie zna mego nazwiska ani miejsca zamieszkania.

— Czy to aż taka tajemnica? — przerwała moje rozmyślenia.

— Ależ nie, tylko...

— Tak?...

Skapitulowałem. Właścicielka wspaniale utoczonych zębów nie sprawiała wrażenia natrętki.

— W hotelu Imperial — powiedziałem.

Zrobiła duże oczy.

— Och! — zaciągnęła z uznaniem. — Słyszałam o tym luksusie. Gratuluję dobrego gustu.

— Raczej kieszeni.

— Jednego i drugiego. Gratuluję — powtórzyła. — Także nazwiska. Errol. Robert Errol, jedno ładniejsze od drugiego. A pańskie gapiostwo, przez które omal nie zniszczył pan służbowego auta króla jegomości, jest wprost czarujące. Niech pan. broń Boże, nie stara się z niego wyleczyć.

I rozmowa sama potoczyła się w stronę mego problemu numer jeden.

Posadziłem ją po mojej lewej ręce — poprawnie, ale mnie nie o maniery towarzyskie chodziło. Wstawianie mego bezwładnego ramienia ludziom w oczy, szczególnie kobietom, uruchamia zawsze ich troskliwość i ciekawość. Tym razem nie czułem się zaambarasowany podjęciem przez nią tego tematu, sam odczuwałem potrzebę podzielenia się z kimś podjętą

decyzją, która mnie uskrzydlała. Odżyć na nowo. Odrodzić się — nie wiem, czy ktoś to zrozumie. Być umarłym za życia, stać na przedprccu gilotyny i nagle odżyć — niełatwo zrozumieć to komuś, kto tego nie zaznał.

— Ta wojenna pamiątka — ciągnąłem podjęty przez nią temat bez zwykłego kluczenia — nie pozostanie mi na długo. Zdaniem lekarzy odzyskam w pełni sprawność, jeżeli... Darujmy sobie szczegóły. Pozostanie mi ślad w postaci ramienia krótszego o mniej więcej cal. Ale muszę się z tym pogodzić. Proponuję nie mówić o tym więcej.

Temat uważałem za skończony, mogliśmy zacząć o czymś innym, lecz jaj spojrzenie wisiało wciąż na moim barku. — Jakoś nie mogę się przestawić na lewe ramię — dodałem.

— Sprawia to panu aż tak duży kłopot? Podobro mańkuci łatwiej się przestawiają, tak słyszałam. A pan? — Z karku przerzuciła spojrzenie na moją twarz.

— Może w młodszym wieku — odparłem, żeby coś powiedzieć. Nic o tym nie wiedziałem. Mańkuci? — nie znałem żadnego.

— Może tak — zgodziła się zs mną. — Nie interesowałam się tym problemem aż tak dalece. Ale cieszę się z pańskiej decyzji. A kiedy, jeśli wolno pytać, nastąpi ten zabieg?

— Nie mogę na to odpowiedzieć, nie w tej chwili. — Niechcący zabrnęliśmy w jednokierunkową uliczkę z tym moim rarnieniem, przyjemna atmosfera zdawała się ulatywać. — To sprawa uzgodnienia tego z profesorem Swanburne'em.

— Oczywiście — przyznała skądś z głębi. — Oczywiście — powtórzyła.

Jakoś nie mogliśmy oderwać się od mego ramienia. Zirytowałem się.

— Czy nie nadużywam pani wolnego czasu? — spytałem. Nie znajdowałem więcej tematów, a moja towarzyszką nie była typem narzucającym się. To dobrze. Exeter leży blisko Torquay, stanowczo za blisko. Barbara była ładna i na swój sposób zalotna, mogła się podobać. — Wydaje się, że myślami załatwia pani już jakieś sprawy służbowe...

— Istotnie, na mnie już pora — przyznała. Wysączyła ostatnie krople martini. — Co bynajmniej nie oznacza, że napiłam się herbaty z panem za wszystkie czasy. — Spojrzała mi w oczy. — Zaprosi mnie pan jeszcze?

Zrobiłem zakłopotaną minę.

— Z przyjemnością, tylko...

— Zabieg i te inne rzeczy, to ma pan na myśli — dopowiedziała za mnie. — Uczulony na punkcie swego wyglądu mężczyzna nie chce się pokazywać kobiecie bez zbroi, rozumiem. Ale pracownica Czerwonego Krzyża to tak jak pielęgniarka, a więc nie kobieta. Liczę na pańską wyrozumiałość. — Przerzuciła torebkę przez ramię. — Odprowadzi mnie pan?

Zaimponowała mi ta i ciekawska, i na swój sposób wyniosła Barbara Black. Zaprezentowała mi się w kompletnie innym świetle niż w pociągu.

Powiedzieliśmy sobie bye, samochód zniknął na skrzyżowaniu, a ja stałem na chodniku i dumałem nad sprawami, nad którymi, zdawałoby się, już dawno przeszedłem do porządku dziennego.

Przypomniałem sobie mianowicie o moim bracie bliźniaku. Tym moim drugim ja. Rzadko się ze mną zgadzającym, widzącym wszystko po swojemu. Ten ciężki we współżyciu typ nagle zamilkł lub z sobie tylko wiadomych względów chyłkiem wyprowadził się ze mnie. Uznał swoją kłeskę czy wziął rozbrat ze mną na zawsze? Zmieniłem się. Może moja nowa powłoka mu nie odpowiada, nie wiem, wiem natomiast, że cisza w mojej głowie, po latach wewnętrznych kłótni, jest dla mnie czasami jak cisza przed burzą. A przecież gjpeystkie najniebezpieczniejsze rafy mam szczęśliwie za sobą oznacza to, aby morze przede mną było idealnie czyste. Jakież mielizny mogą jeszcze wyskoczyć. Ale ten nowy ja już wie, jak sobie z nimi radzić.

Pogrążony w zadumie omal nie zapomniałem nabyć w księgarni technicznej książek, które w mojej nowej sytuacji mogą mi być potrzebne: podręczniki nawigacji morskiej oraz coś z propedeutyki lotnictwa cywilnego. Martin Strang był oficerem pokładowym na swoim ostatnim statku, a przed zaciągnięciem się do marynarki latał na tak zwanych pocztowcach w Ameryce Środkowej. W nawigacji morskiej jestem osłuchany. Pięć lat siedzenia ucho w ucho

z dowódcą okrętu podwodnego robi swoje, fikanie w powietrzu też nie jest mi całkowicie obce: w gimnazjum przerobiłem kurs szybownictwa, wojnę — gdyby nie czyjś brak ufności do mnie — zamierzałem w ogóle odslużyć w luftwaffe. Ale to za mało jak na człowieka, który sam latał samolotami, sam nawigował statkami handlowymi. Muszę zapoznać się z podstawową wiedzą na ten temat. Na wszelki wypadek.

Ricardo Spallazio już dawno podejrzewał, że z dzieckiem Amy jest coś nie tak. Ukrywała je przed światem, nikomu nie zdradziła jego kryjówki, adwokatom demonstrowała tylko metrykę jego urodzenia. Dlaczego szczęśliwa matka nie chwali się swoim szczęśliwie powitym, szczęśliwie obdarzonym przez los dzieckiem? — głowił się Ricardo.

Nie na darmo się głowił. Ten kędzierzawy malec o czarnych jak smoła oczach nie został poczęty przez Martina Stranga — do tego Amy się przyznała. Nie poczuwał się do ojcostwa ani on, ani Chris, ani Lucky, dziecko nie było podobne do tego ochlaja z „Golden Creeka”. Robotę tę odstawił facet, co podobno w ostatniej chwili uszedł w Wiedniu przed hitlerowcami, obecnie najnowszy nabytek Paramount Studios, Al Rosenkranz!

Z dwoma pudełkami czekoladek Herseya, za którymi Amy przepada, i wiązanką kwiatów, zjawił się Ricardo w jej nowej willi. Czarna pokojówka otworzyła mu drzwi.

— Ray Alladyne oczekuje pana, Mister Spallazio — wy-szczebiotała swoim niemowlęcym sopranikiem.

Oczekuje. Jej wysokość musi być w dobrym nastroju!

Bomboniere Ricardo zostawił w przejściowym saloniku — jutro zostanie po nich tylko opakowanie, z kwiatami w ręku przestąpił próg bawialni.

Przyszła primatancerina amerykańskiego filmu rewiewego przywitała go łzami. Wraz z przyrostem wagi stawała się coraz skłonniejsza do wzruszeń.

Rzuciła się mu na szyję.

— Kochanie! — pochłipywała szczęśliwa. — Jesteś najwspanialszym reżyserem! Jesteś po prostu niezrównany!

Okna były szczelnie zasłonięte, z punktu centralnego bawialni lufa projektora mierzyła w ekran rozwieszony na przeciwległej ścianie. Reszty można było się domyślać.

To było to. Sekwencje nakręcone specjalnie dla niej. Dla kontrastu, dla otwarcia jej oczu na siebie samą Ricardo obstawił ją girlaskami ze swojej szkółki tańca, o połowę od niej lżejszymi. Ale Ray Alladyne widziała tylko siebie. To tłuste bydlę nie ma za cent samokrytycyzmu, pomyślał z przerażeniem Ricardo.

Ray Alladyne i krytycyzm... Drogie futra, kosztowne przyjęcia w hotelach, kiedy film daleko w drodze, dobijanie się na gwałt do wrót hollywoodzkiej socjety — we łbie się tej prostytutce pokiełbasilo z jej paioma tysiączkami. I to samouwielbienie!

Ricardo nigdy nie nyślał poważnie o obsadzeniu nią głównej roli. Od początku robił wszystko, co możliwe, aby sama się j tej roli przekreśliła. Nie powiedział jej tego wprost, to naturalne, chcąc dostać od niej pieniądze, musiał kluczyć: po to, między innymi, nakręcił te sekwencje z nią obstawioną szczupłymi dziewczynami. Czołową rolę zarezerwował dla Holl Cottas, fascynującej siedemnastolatki, którą przed rokiem znalazł w podrzędnej knajpie, dla niej kręci tę rewię. Oficjalnie Hally jest dublerką. Ta szampańska sprężyna z dużym głosem i talentem aktorskim godzi się zabawiać w cień tej pospolitości, aby tylko zachować pozory: każdy kadr z Amy na planie jest później nagrywany ponownie z Hally — czegoś takiego nie wytrzyma żaden budżet. Ale czy ta krowa zdaje sobie z tego sprawę?

Uwolnił się z jej objęć. — One błagają cię o kroplę wody — potrząsnął kwiatami. Okna! Bawialnia groziła eksplozją od perfum Amy. — Odsłoń okna, Maud. I więcej powietrza! Jak wy to wytrzymujecie?

Amy wciąż przebywała w oparach zachwyty nad sobą.

— Obejrzałam ten kawałek dwadzieścia razy — ciągnęła. -Dwadzieścia, prawda, Maud? I muszę przyznać, Maud się ze mną całkowicie zgadza, że wyszłam nie najgorzej. Muszę tylko zrzucić parę funtów, a będzie w sam raz. Nie sądzisz, kochanie?

O mamma mia! Ricardo skręcał się w sobie. Ona niczego nie rozumie!

— Klimatyzację też mam wyłączyć, proszę pani? — dopytywała się pokojówka w fikuśnym fartuszkuz na przykusej bananowej spódniczce. — A wentylator, proszę pani?

Bankierzy...

„Może pan powie, Mister Spallazio, że to nie nasza sprawa, gdyż to pan jest człowiekiem sceny, niemy, i wie, co robi. Mówiąc tak, będzie pan miał rację. W połowie. Za swoje pół miliona, które pan w tę rewię wsadził, ale za drugie pół miliona rację mamy my, bo to nasze pieniądze. Dlatego wszystko, co powiem, proszę traktować jako punkt widzenia na budżet tego filmu, nasz punkt widzenia. Nie jest on dla pana korzystny. Popenił pan kardynalne błędy. Rozumiemy pana dobrze. Rezygnując z reżysera oszczędził pan sto tysięcy, pisząc sam scenariusz nie wydał pan kolejnych stu tysięcy, podejmując się zadań choreografa i nie wiadomo czego jeszcze, zatrzymał pan w kieszeni kolejne setki tysięcy, aby wszystko to wraz z naszym kredytem roztrwonić z powodu fatalnej organizacji pracy. W sumie wydał pan milion dolarów, a końca wydatków nie widać. Chyba zgodzi się pan z nami, Mister Spallazio, że w tej sytuacji musimy zatroszczyć się o powierzone naszej pieczy pieniądze. Nie zamierzamy pana rujnować — banki dalekie są od czegoś takiego, musimy po prostu...”

Na bramie zawiesić kłódkę. Taśmy zdeponować w sejfie. Obłóżyć sekwestrem aktywa pana Spallazio. A w ostateczności film wystawić pod młotek.

Charlie Chaplin, powiedziano, na „Światła wielkiego miasta” wydał półtora miliona, a już zainkasował dziesięć. Chaplin może wydać dwadzieścia milionów. Jeżeli zechce, my pożyczymy mu pięćdziesiąt milionów, bo to jest Chaplin. A pan nazywa się...

Ricardo Spallazio... Ricardo Spallazio... Jeszcze zobaczą, co to nazwisko znaczy! — zapowiedział bankierom Ricardo.

Po drodze obmyślił sobie plan: zażąda od Amy upoważnienia do podjęcia gotówki — innego wyjścia nie ma — a gdy napotka opór, wyłoży kawę na ławę.

Amy wciąż zachwycała się kwiatami. — Cudowne! Dobierz odpowiedni wazon, Maud. Piękne...

— Amy! — Ricardo odezwał się ostro. — Mam do ciebie sprawę. Maud, zostaw nas samych! — nakazał.

Ta czarna suka, wściekał się, jest cwańsza od swojej durnej pani. Gdzie jedna, tam druga, zawsze znajdzie sobie powód do kręcenia się człowiekowi przed oczami. Tylko od sypialni trzyma się jeszcze z daleka. Ale nie dałby głowy, czy również i tam Maud nie wsadza swoich na twardo ugotowanych żółtek. — Zostaw ten wazon, do jasnej cholery — wybuchnął — i wynoś się!

Z zaciśniętymi szczękami Ricardo odczekał, dopóki pokojówka nie wyniosła się z bawialni. Amy była przerażona jego wybuchem nie mniej niż Maud.

— Mam do ciebie poważną sprawę, Amy. Jedna z moich adeptek zapoznała się bliżej z Alem Rosenkranzem, tym Żydem z Paramount... To bardzo wygadany facet, powiedziała mi dziewczyna, dużo ciekawych rzeczy o różnych ludziach się od niego dowiedziała. O tobie też...

Podniósł na nią oczy.

Amy czuła się mile polectana. Zrobiła zagadkową minę. Odslaniając w wycięciu sukni udo, posłała mu powłóczyście spojrzenie.

— Zazdrosny jesteś, Rico? Akcje Ala idą szybko w górę, całe Hollywood o nim mówi. Przespać się dzisiaj z takim Rosenkranzem to może więcej niż z jakimś Spallazio, nie sądzisz? — Nie zwróciła uwagi na nagłą błądź kocnanka. — Słyszałeś, co powiedziałyam?

— A masz! — Ricardo trzasnął ją z doskoku w twarz. — Kurwiłaś się z nim! Ten bachor to jego robota, widziałem go, jest zupełnie do niego podobny! Alfred Rosenkranz jest miłośnikiem! Kolorowy jest ten twój szybko wspinający się w górę gach, słyszysz? Gdyby tak sąd się dowiedział...

Stracił panowanie nad sobą.

— Bank zamknął przede mną drzwi! — wrzeszczał. — Żąda pokrycia kredytu albo gwarancji! Potrzebuję na gwałt pół miliona! ...6545...d10364...2 ...

...fs24`fl`nsrsid9266545`rsid10364542 Pod`my n`i się ugięły.

— Pieniądze... Powiedziałeś, pieniądze... Moje pieniądze... moje... — bełkotała. — Dałam ci czterysta pięćdziesiąt tysięcy... Bez pokwitowania... Boże, co ja zrobiłam! Złodzieju! — rzuciła się na niego z pięściami. — Okradłeś mnie! moje pie...

Ricardo uderzył ją w twarz na odlew; nikt nie pozwolił sobie na coś takiego! I może na tym by poprzestał, gdyby Amy nie plunęła mu w twarz. Oczy zaszyły mu mgłą: jemu, Ricardowi Spallazio, ta dziwka plunęła w twarz... Krzyki, wołanie o pomoc — nic do niego nie dochodziło. Rzucił się na nią na oślep, bił gdzie popadło, z furią oszalałego zwierzęcia kopał leżącą, bił i kopał, dopóki Amy nie ucichła.

Nad Beverly Hills przeszedł tajfun. Nic nie zapowiadało jego nadejścia, tajfuny uderzają zawsze znienacka. A kiedy się wyszaleją, cała natura wraca do normy.

Skrajnie wyczerpany Ricardo przypomniał sobie o Maud. Podciągnął krawat, skrwawione ręce wytarł w zasłonę i powłókł się do o kuchni. — Nic się nie stało! — uspokoił sparaliżowaną ze strachu dziewczynę. — Pani dostała napadu hysterii. Ale już jest w porządku.

Łykając koniak wprost z butelki, wyjrzał przez opuszczone żaluzje na tonący w słońcu taras, stamtąd przeniósł wzrok na ulicę. Ruch był normalny, nikt nie przystanął, nie przyglądał się willi. Wypuszczony Rusty, szkocką terrier o miodowej sierści, obwąchiwał zapamiętałe swoją ulubioną palmę.

Odwrócił się od okna i spojrzał na skuloną na posadzce Amy. Przyklęknął, wziął ją w ramiona i zaniósł na kanapę.

— Amy! — potrząsnął nią. — Amy! — Sięgnął po syfon z wodą sodową. — Wypij, kochanie. Przystawił szklanke do rozbitych warg. — Wypij, kochana, to ci dobrze zrobi. I przepraszam cię, kochanie, ale to z zazdrości, przysięgam! Nie oddałbym ciebie nikomu innemu!

Amy jeszcze nie w pełni odzyskała świadomość, ale jego czuły głos słyszała. I każde jego słowo. Rico ją kocha, wszystko inne nie ma znaczenia. Oplotła go ramionami. — Ach, Rico — westchnęła szczęśliwa. — Mój kochany, mój najdroższy — szeptała. — Zawsze mnie kochałeś, prawda? — pytała podsuwając cię pod niego.

Następnego dnia w ciemnoszafirowej woalce na posiniaczonej twarzy podpisała w biurze spółki adwokackiej Hartfield and Hartfield dokument wygotowany przez dyrektora Jinxa, upoważniający jej plenipotentą, pana Ricardo Spallazio, do dochodzenia praw majątkowych należnych jej dziecku od pana Martina Stranga, współwłaściciela przedsiębiorstwa armatorskiego Orient Lines w Plymouth, Anglia, a także jej osobistego roszczenia w wysokości ośmiu milionów dolarów tytułem zadośćuczynienia za nadużycie jej nieświadomości, pozostawienie samotnej z dzieckiem i pohańbienie jej nazwiska.

Wracając z ukochaną samochodem do domu Ricardo Spallazio mówił:

— Dobrze, że mnie usłuchałaś, dziewczyno. Tyle to żaden sąd angielski nie przyzna, oni zawsze tną te rzeczy przynajmniej do połowy, ale obowiązuje zasada: im wyżej podniesiesz poprzeczkę, tym więcej dostaniesz, a połowa to cztery miliony dolarów. — Zdjął rękę z kierownicy, objął Amy i pomimo szczytowego ruchu na highwayu ucałował w szyję. — Co innego jest w tej chwili ważne. Otóż nadanie sprawie formalnego biegu otwiera nam znowu dostęp do kredytu bankowego. Jest więc dobrze. Teraz możemy iść z naszą rewią na całego.

Brat wrócił do domu całkowicie odmieniony. Jak gdyby wszystkie swoje zmartwienia zostawił w Plymouth.

— I co? Umówiłeś się, tak? Kiedy operacja? — Za dużo pytań naraz, zmiętkowała się Florence, brat ma tempo dużo wolniejsze. — Przepraszam cię za natarczywość, ale tak się niecierpliwiłam.

— Rozumiem cię. A co do ustaleń... Profesora, jak ci wiadomo, nie zastałem, przyjął mnie niejaki doktor Curry...

— Poznałam go osobiście. No i co?

Relacja z rozmowy z zastępcą profesora uspokoiła ją. Tak czy inaczej wizyta miała na celu

jedynie rozpoznanie stanu ramienia, diagnozę profesor zastrzegł dla siebie. Ale z półsłówek doktora Curry można było się domyślić, że wszystko będzie w porządku.

— Zdecydowałem się na operację — powiedział Martin na zakończenie. — Nie będę dłużej zwlekał.

— Ach, Mart! Zresztą przyznam się, nigdy nie rozumiałam twoich oporów. Że lokalna prasa zrobiłaby z tego sensację? Kto za granicą czyta tutejszą prasę? A poza tym nigdzie nie czytałam, że byłeś członkiem załogi tego nieszczęsnego frachtowca.

Zostawiła tę drażliwą sprawę. W zanadrzu miała miłą wiadomość.

— Telefonował mój kolega Lou, Kanadyjczyk, ze swego lotniska pod Cardiff sąsiadującego przez miedzę z moim byłym lotniskiem. Zwijają swój kram, mówił, i wracają do domu. Jadą via Londyn do północnej Szkocji, a stamtąd samolotem przez Atlantyki. Chcą wpaść do Torquay. Zaprosiłam ich.

— Ich?

Uśmiechnęła się zniewalająco. — Trzech lotników i dwie dziewczyny z obsługi naziemnej, też Kanadyjki. Zaprosiłam ich na wojenne wspominki, wy, mężczyźni, bardzo to lubicie. Zarezerwowałam dla nich pokoje w Imperialu. Mam do ciebie taką prośbę, Mart, tylko wysłuchaj mnie do końca, dobrze?

— Zamieniam się cały w słuch.

— Niekiedy mi się wydaje, że przesadzasz z tym ukrywaaniem własnej osoby. Wojna w Europie skończona. Zgadza się, że Intelligence Service ma swój punkt widzenia na pewne sprawy, nikt jednak nie może od ciebie wymagać, abys żył jak więzień. Błagam cię, nie przerywaj...

Mima brata mroziła ją. On ma wciąż trudności w zaadaptowaniu się do nowych warunków.

— Chcesz, abym wziął w tym udział, tak?

Florence skinęła głową.

Ku swemu zaikoczeniu nie usłyszała sprzeciwu.

— Wobec tego hotel Imperial, załoga lancastera, która, zestrzelona nad Belgią, po trzymiesięcznej odysei przez Francję, Hiszpanię wróciła na swoje lotnisko. Dzielni chłopcy. Natłukli swoimi bombami masę Niemców, a zestrzeleni nie dali się wziąć do niewoli, tylko szmuglując się chyłkiem przez tysiące niebezpieczeństw wrócili do bazy, aby tłuc Niemców od nowa. To się nazywa duch. Brawo tej załodze, chętnie uściskam tym chłopakom dłonie. Będą także panie, z których jedna — Florence wywróciła z zachwyty oczy — jest największą pięknoscią pod słońcem. — Zadbaliśmy o incognito mego tajemniczego brata — pochwaliła się. — Towarzyszyć mi będzie mój bliżej nie określony krewny pan Robert Errol. Odpowiada ci?

Brat miał tylko jedno pytanie: czy goście wiedzą, gdzie on mieszka? Jest wyraźnie przewrażliwiony na punkcie swej umowy z ludźmi Gilvraya.

— Skąd! — Florence zaprzeczyła. — Nie było w ogóle o tym mowy.

— Bo mężczyźni — tłumaczył się Martin — po kieliszku nie uznają barier. A ponieważ i oni będą mieszkać w Imperialu...

Przygotowując drinka dla uczczenia swego małego zwycięstwa, Florence robiła sobie w duchu pewne plany.

Gdy zamawiałem telefonicznie śniadanie do pokoju, recepcjonista — inteligentny jak na faceta od przyjmowania gości i wydawania kluczy — spytał mnie, czy już czytałem poranną prasę, a dowiedziawszy się, że nie, oznajmił, iż wysyła mi przez boya wszystko, co ma pod ręką. — Warto rzucić na nią okiem — powiedział. — I niech pan nie przeoczy „Timesa”.

Mmutę później leżały na moim stole jeszcze pachnące farbą drukarską najświeższe wydania dzienników brytyjskich i amerykańskich.

Rzeczywiście, co płachta, to wstrząs. W pierwszym rzucie oka ślizgam się tylko po tytułach: „Bomba atomowa na Hiroszimę!”, „Moskwa wypowiedziała wojnę Japonii!”, „Szeroko zakrojone akcje Amerykanów na wszystkich frontach Pacyfiku!”, „Błyskawiczna ofensywa radziecka w Mandżurii!”, „Zamęt w Tokio: Co spadło na Hiroszimę? Co doprowadziło

miasto do zagłady?”, „Panika w sztabie głodnym imperialnej armii Japonii”. „Druga bomba atomowa na Nagasaki” i — niemożliwe, ale tak — „Bezwarunkowa kapitulacja Japonii!” Victory! Prawdziwy koniec najstraszliwszego koszmaru w dziejach świata!

Bomba atomowa. Co to jest? — zadaję sobie pytanie, bo ja, inżynier-mechanik z wykształcenia i z zawodu, nic o czymś takim nie wiem.

Świat też jeszcze nie wie. Zna skutki jej działania. Wie, jak do zrzucenia tej bomby doszło.

Gazety prześcigają się w podawaniu coraz to nowych szczegółów. Najbardziej chroniona tajemnica wojskowa Ameryki przenika na zewnątrz. Oficjalnie nazywa się to „informacjami z wiarygodnego źródła” — tak ochrzczono taktykę polityków podawania ludziom do wiadomości rzeczy trudnych do zaakceptowania. Najlepiej to wychodzi w otoczce brukowej sensacji. Detale zakulisowe — ludzie są zawsze tego ciekawi. Szczegóły techniczne. Ludzie lubią szczegóły, rozdymane głupstewka, całe konstrukcje są zbyt skomplikowane. Tak przygotowana opinia, publiczna przelknie każdy pasztet. A ten jest Amerykanom w smak. Pokazaliśmy tym bloody Japsom! Nasi uczeni z Los Alamos! Nasi chłopcy z 509 Grupy Bombowej! Zdjęcie żołnierza w białym drelichu z pędzlem w ręku, pod zdjęciem napis: „Na rozkaz pułkownika Paula Tibbetsa malarz bazy Tinian na Pacyfiku maluje na kadłubie latającej fortecy B-29: »ENOLA GAY«, imię matki pułkownika.” Amerykanie ubóstwiają swoje matki. Latająca forteca nazwana imieniem matki jej dowódcy zjedna serca amerykańskich matek. Gazety nie zapominają o ojcach dzielnej załogi, weteranach z pierwszej wojny światowej, dzisiejszych biznesmenach, managerach, robotnikach, farmerach, za starych do noszenia broni, której jednak szczęk podgrzewa ich wspomnienia z młodych lat. Jest coś dla was, stare repy, czytajcie: „Załogę bombowca, oprócz Tibbetsa, stanowili: major Thomas Forebee, kapitan William Parsons, kapitan Robert Lewis — pilot, porucznik Jacob Beser — oficer radarowy, podporucznik George Caron — strzelec ogonowy, sierżant Wyatt Duzenburg — technik lotniczy, sierżant Joe Stiborik — operator radaru, sierżant Robert Shumard — pomocnik technika, szeregowiec Richard Nelson — radiooperator”. Wymowna jest tablica z napisem: „Nie palić w obrębie 100 stóp od załadowanego bombowca”. O apelu Alberta Einsteina do prezydenta Stanów Zjednoczonych o zrezygnowanie z użycia bomby na zaludnione miasta ani słowa. Niech milczą uczeni, gdy przemawiają armaty! „Z uwagi na ciasnotę pomieszczenia w samolocie zdecydowano, że bomba zostanie uzbrojona podczas lotu”. I dalej: „O godzinie 20.00 kucharze zaczęli przygotowywać posiłek dla załogi Enola Gay». Szef kantyny polecił, aby wybór dań był szczególnie atrakcyjny, bo załoga udaje się na wyprawę najważniejszą w tej wojnie». Poczyniono przygotowania do wydania przyjęcia po szczęśliwym powrocie bombowca”. I ostatnie godziny przed lotem. Jak zachowują się ludzie, którzy zrobią tę rzecz? Bo zachowanie ludzi przed skokiem z dachu Empire State Building bywa różne. Więc bez moralizowania, jazda z tymi z „Enola!” Więc jak? „Tibbets i Lewis — informuje San Francisco Daily» — poszli się pomodlić. Polak z pochodzenia, Stiborik wypowiadał się w kaplicy katolickiej. Forebee grał w pokera. Van Kirk sprawdzał przyrządy nawigacyjne. Tibbets odbył potem rozmowę z kapłanem, Williamem Downey. Miał mu powiedzieć, że misja jest słuszna, że choć jako chrześcijanin potępia zabijanie, jednak podczas wojny, którzy zabijania nie akceptują, muszą być gotowi na dopuśczenie możliwości klęski. Beser rozmawiał z reporterem »New York Timesa«, Billem Laurence'em, Ed Doli, naukowiec, wręczył Beserowi kawałek papieru z cyframi określającymi częstotliwość fal radiowych radaru samolotowego w celu zmierzenia wysokości w chwili wybuchu. Papier był ryżowy, aby Beser mógł go zjeść, gdyby misja nie udała się, a załoga wpadła w ręce nieprzyjaciela.” Moralne problemy zwykłych ludzi. Oni nigdy nie wyzwolą się od głosu swego sumienia. Nawet w tak dramatycznej sytuacji pozostają sobą. Modlą się, grają w pokera, grzebią w przyrządach nawigacyjnych, zmywają przed konfesjonalem swoje brudy prozaiczność zwyczajnych ludzi w nadzwyczajnych chwilach jest zenująco śmieszna.

Zegar „Enola Gay” me stoi w miejscu. Machina puszczona w ruch toczy się dalej sama Tego rozpędu żaden człowiek już nie zatrzyma. Jest 6 sierpnia 1945 r. Dzień liczy sobie dopiero 3 godzinę z minutami, lecz już odlicza swój czas. Zapamiętajcie sobie datę 6 sierpnia. Nie

zapominajcie nigdy dnia 6 sierpnia Zanotujcie w sztambuchach waszego życia 6 sierpnia! Wyrzycie sobie w waszych mózгах 6 sierpnia! Przekażcie tę datę potomnym. Bijcie w dzwony i ogłaszajcie Uwaga, ludzie, uwaga! Do dnia 6 sierpnia 1945 roku ery chrześcijańskiej historia wasza liczyła się w tysiącletniach; od tej daty może trwać tylko lata pamiętajcie o tym! Bijcie w dzwony z wszystkich sił! Nie oszczędzajcie się! Módlcie się, wznóście pienia, błagajcie Niebiosa aby dzień ten nigdy się nie powtórzył, ale przede wszystkim działajcie, gdyż Bóg jest po stronie zaradnych!

Mieszkańcy Hiroszimy żyją jak co dzień. 6 sierpnia jeden dzień wojny więcej, 6 sierpnia — jeden dzień życia mniej Ale przeżyć go trzeba, jak każdy inny dzień Jest słonecznie bezwietrznie, bezchmurnie Właśnie odwołano alarm lotniczy, można powracać ze schronów przeciwlotniczych do pracy 6 sierpnia 1945 roku, godzina 8 minut 15 i 43 sekundy..

Jeszcze tej godziny nie ma. Dwudziestu sześciu chłopcom z trzech załóg wytypowanych do tej akcji brakuje jeszcze sporo czasu do ósmej z minutami i sekundami. Na Tinian jest tropikalna noc. Kapelan Downey odczytuje specjalną modlitwę, którą sam na tę okazję ułożył: Modlimy się do Ciebie, Panie — szepczą nerwowo wargi kapelana — abyś był razem z tymi dzielnymi, którzy na Twych wysokościach stoczą bitwę z naszymi nieprzyjaciółmi. Strzeż ich i ochraniaj, prosimy Cię o to, gdy polecą spełnić swoją misję. Niechaj oni, tak jak i my, znają Twą siłę i potęgę i uzbrojeni w Twą moc niechaj doprowadzą wojnę do rychłego końca. Amen. Amen — odpowiadają chórem ludzie wyselekcjonowani do wykonania tego wiekopomnego zadania.

Ostatnie zdjęcia przed opuszczeniem baraku. Fotoreporterzy kamer filmowych są wymagający. Nie dla siebie, dla opinii publicznej w Stanach. „Uśmiechnij się, będziesz sławny!” — krzyczy jeden do kapitana Parsonsa. „Hej, Tibbets — woła inny — mniej powagi!” — Tibbets otrzymał zapieczętowane, metalowe pudełko z dwunastoma kapsułkami cyjanku potasu. Załoga ma je połknąć w razie strącenia nad terytorium Japonii. Kapsułki Tibbets już rozdał, reporter o tym nie wie i dlatego tak woła.

Boys, let's go! — nakazuje swojej załodze Tibbets. — Idziemy, chłopcy, słyszycie?”

Godzina 02.15: Od runwayu lotniska w Tinian odrywają się koła podwozia B-29. Co nastąpiło potem, nie chce się o tym czytać. Albo inaczej: dalsze szczegóły tej wyprawy są tak podane, że można by się zaczytać na śmierć. Połykając je, chwytam się na pewnej refleksji: Ameryka nie ma ministerstwa propagandy na naszą, hitlerowską modłę. Ameryka ma swoją prasę. Prasa amerykańska ma swój styl, ministerstwo propagandy Ameryce nie jest potrzebne. „Enola Gay” — szlagierem stulecia. Grzyby atomowej chmury — uwieńczeniem pracy uczonych z Los Alamos, chłopców z 509 Grupy Bombowców, całej Ameryki. Jeden w Hiroszynie, drugi w Nagasaki, trzeciego nie będzie, bo Japsy podnieśli ręce. A gdyby nie podnieśli?

Trzeciego nie będzie! — odpowiadam za prasę amerykańską, która tego nie napisała. Nigdy!

„Nie będzie?” — odzywa się we mnie znajomy, dawno nie słyszany głos.

Jego ton dziwnie pasuje do cynicznego artykułu Franka Capry z londyńskiego „Timesa”.

Czytam: „Dyskusja nieakademicka”

Temat dyskusji: bomba atomowa.

Udział w dyskusji biorą: Przewodniczący, Ludzkość, Grand Jury.

Przewodniczący: Mam do ludzkości ze schyłku pierwszej połowy dwudziestego wieku pytanie: Co to jest bomba atomowa?

Głos?????: Bomba atomowa to jest bomba... tak, na pewno bomba... już mam! Jest to bomba wypełniona atomami.

Przewodniczący: Na pewno?

Głos?????: Chyba tak...

Głos!!!!!: Bomby, które zrzucono na Hiroszynie i Nagasaki, mają siłę wybuchu równą dwudziestu kilotonom trotylu. Bomba taka zastępuje dwieście tysięcy bomb zwykłych po sto

kilogramów każda albo czterysta tysięcy po pięćdziesiąt kilogramów, używanych głównie przez nasze lotnictwo. Do przewiezienia tej ilości materiału wybuchowego z Hawajów do Japonii potrzeba dziesięć tysięcy latających fortów typu B-17 i siedemdziesiąt tysięcy ludzi z personelu latającego, nie mówiąc o personelu naziemnym, bardziej liczebnym od latającego. Proszę uzmysłowić sobie te liczby: jeden samolot i dwunastu członków załogi zastępuje dziesięć tysięcy ciężkich bombowców strategicznych i siedemdziesiąt tysięcy ludzi... Bomba to wielka oszczędność na transporcie lotniczym.

Przewodniczący A tak, me pomyślałem o tym. Interesujący materiał z zakresu ekonomiki transportu lotniczego. Dziękuję, Szanowne Grand Jury, przyjmujemy tę odpowiedź czy odrzucamy?

Grand Jury: No objection*

Przewodniczący: Powracam do pytania. Dopóki sobie na nie nie odpowiemy, nie możemy iść dalej, gdyż nasza dyskusja minęłaby się z celem. Śmiało, proszę, myślenie nic nie kosztuje. Przyznanie się do niewiedzy to nie wstyd, lecz odwaga, w końcu ta bomba to całkiem nowa rzecz. Proszę, może jednak ktoś. Nie widzę chętnych. A może pan?

Pan: Ja?

Przewodniczący. Tak, pan

Pan: Jestem mieszkańcem Wyspy Świętej Heleny na Południowym Atlantyku. Na której zmarł Napoleon. Leży ona w połowie drogi między Brazylią a Angolą w Afryce; Anglicy wiedzieli, gdzie takiego rozrabiacza jak cesarza Francuzów ulokować. Tam żadna bomba nigdy nie spadnie, bo nie ma po co. Nie interesuje mnie ta bomba.

Przewodniczący: Hm, można i tak... Wobec tego pytanie z podręcznika dla przedszkolaków: Co to jest atom? Uwaga, można korzystać z encyklopedii.

Głos X: Atom to jest układ cząstek elementarnych, złożonych z dodatnio naładowanego jądra i z powłok ujemnie naładowanych elektronów.

Przewodniczący: Szanowne Grand Jury, przyjmujemy tę odpowiedź?

Grand Jury: No objection.

Przewodniczący: Dziękuję, idziemy dalej. A bomba atomowa? No, śmiało!

Głos ALFA: Chwileczkę, tylko włożę okulary. Już. Jest to pocisk — piszą — o wielkiej sile wybuchu, powstałej w procesie jądrowej reakcji łańcuchowej rozszczepiania jąder uranu 235 lub plutonu 239; reakcja przebiega samorzutnie w momencie złączenia kilku kawałków materiału rozszczepialnego, których łączna masa jest większa od masy krytycznej. Tak tu piszą, proszę Przewodniczącego.

Przewodniczący: Grand Jury?

Grand Jury: No objection.

*Nie wnoszę sprzeciwu (ang.).

Przewodniczący: Dziękuję, idziemy dalej. Skąd się wzięła bomba atomowa, jaki cel przyświecał uczonym, którzy ją skonstruowali i dali do rąk politykom?

Głos PENTA: Jest to pytanie z podtekstem politycznym, a chyba nie o to chodzi. Protestuję. Proszę Szanowne Grand Jury o zwrócenie uwagi Przewodniczącemu. Grand Jury: To jest dyskusja nieakademicka, PENTA zechce łaskawie to zrozumieć! Sprzeciwu nie uwzględniono.

Przewodniczący: Dziękuję. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Głos DELTA: Poprawna, kompleksowa odpowiedź wymaga cofnięcia się do odkryć Marii Curie-Skłodowskiej, do teorii Einsteina, do Nielsa Bohra, twórcy teorii kwantów, do takich nazwisk jak Oppenheimer, Joliot-Curie, do tlenu deuteru produkowanego przez Norwegię, do ośrodka naukowego zbudowanego przez Amerykanów w Los Alamos w stanie Nowy Meksyk, do... no, w ogóle. A jaka idea przyświecała tym ludziom i co z tego wyszło? Z tym pytaniem musimy się wstrzymać, tak uważam. Bo co wyszło w sensie wiadomo jakim, tośmy się już przekonali. Ale idźmy dalej, gdyż nie pora na chowanie głowy w piasek, jeżeli

Przewodniczący pozwoli.

Przewodniczący: Proszę, chętnie posłuchamy.

Głos DELTA: Dziękuję. Bomba atomowa jest pociskiem bojowym. Ale uczonym, którzy nad rozszczepianiem jądra atomu pracowali, nie chodziło o wynalezienie broni o ogromnej sile niszczenia, ale o nowe źródło energii. Ludzkość potrzebuje energii. Zasoby konwencjonalnych surowców energetycznych, takich jak węgiel, ropa naftowa, są ograniczone. Być może nie starczy ich do końca bieżącego stulecia. Cywilizacja techniczna naszej epoki jest bardzo energochłonna. Co dalej z cywilizacją po wyczerpaniu surowców energetycznych? — oto uzasadnienie dla poszukiwań naukowców. A że rozszczepione jądro wykorzystane zostało w celu zniszczenia człowieka? Dobro można zamienić w zło i odwrotnie — to już sprawa ludzi, nie nauki. Jeżeli zaś chodzi o politykę, odpowiedź nie jest trudna: państwo, które zapewni sobie monopol na bombę atomową, zdobędzie panowanie nad światem.

Głos VIRGO: Na pewnym etapie uczeni mogli nie zdawać sobie sprawy, że ich odkrycia będą wykorzystane przez polityków, ale tylko na pewnym. Dlaczego więc pracowali nadal?

Przewodniczący: Tematem dyskusji jest bomba atomowa. Gotowy produkt pracy uczonych, nie zaś oni jako tacy ani cele przyświecające ich wysiłkom, proszę Trzymać się tematu. Czy Szanowne Grand Jury zgadza się ze mną?

Grand Jury: No objection.

Przewodniczący: Dziękuję. O panowaniu nad światem wspomniała DELTA. Czy są inne opinie?

Głos TRR-HRR: bzdury DELTA plecie. Czy po to walczyliśmy z dyktaturami, które chciały zniewolić świat, abyśmy teraz... Protestuję! Bomba atomowa w rękach Ameryki jest rękojmią trwałego pokoju. Chwała broni, która uwolniła ludzkość od wojen. - Boże, pobłogosław Amerykę!

Głos FEAR: I Pax Americana! Hiroszima jest początkiem końca Wielkiej Trójki. Otwiera nową erę w historii świata.

Głos MIAU-HAU: Zawsze mówiłem, że te zwierzaki długo W zgodzie w jednej jaskini nie wytrzymają.

Głos REAL: Koniec Wielkiej Trójki, powiada FEAR? Boże, miej nas wtedy w swej opiece!

Głos NIP-NIP: A nas? Czy Japończycy to nie ludzkość? Ta śmierć nie była potrzebna!

Głos PCCC: Zgadzam się z NIP-NIP, zniszczenie Hiroszimy i Nagasaki miało inny cel. Japonia dogorywała. By zmusić ją do kapitulacji, wystarczyłoby zademonstrowanie tej bomby na poligonie doświadczalnym z udziałem japońskich obserwatorów. Zrzucenie jej na miast miało inny cel...

Głos PENTA: To czerwona insynuacja, protestuję! Bomba atomowa na wyposażeniu amerykańskich sił zbrojnych jest gwarantem sprawiedliwego pokoju na świecie.

Głos PCCC: Co to jest „pokój sprawiedliwy”?

Głos TAV-VAT: Bogu powierzyć bombę. Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy. On już będzie wiedział, co z nią zrobić.

Przewodniczący: Ależ tak. Naturalnie. Interesująca propozycja. Co na to Grand Jury?

Grand Jury: No objection.

Głos OOOOO: Bogu, hm... ale któremu? A może Rosji? Co by było, gdyby tak tę bombę wynalazła Rosja? I miała na nią monopol?

Głos BUM-BUM: Rosja z monopołem na tę bombę? Nigdy! Za żadną cenę nie wolno dopuścić Rosji do tajemnicy bomby atomowej. Better dead than red!*

Głos GÖB-GÖB: A nie mówiłem! Nie słuchaliście mnie, teraz macie. Upominałem. Kreml jest zagrożeniem dla świata, wierzcie mi. Nie czekać. Bombę na Kreml, póki jej jeszcze nie mają. I na Stalingrad. Pospieszcie się. Sieg oder Bolschewismus!*

Przewodniczący: O, i ten wśród nas!

Głos PCCC: A kysz! A kysz! Poszoł won, ścierwo! Protestuję przeciwko temu głosowi!

Przewodniczący: Szanowne Grand Jury, czy nasza dyskusja jest otwarta także dla duchów?

Grand Jury: No objection. Prędzej czy później wszyscy będziemy duchami.

Przewodniczący: No, w pewnym sensie... Dziękuję. Wobec tego proszę Głosy o kontynuowanie.

*Lepiej być martwym niż czerwonym (ang.).

*Zwycięstwo albo bolszewizm (niem.).

Głos GÖB-GÖB: Nie guzdrać się tam, nad Potomakiem, szybko! Sieg oder...

Głos ECAP: Zastanówcie się. Toż to zagłada!

Protestuję!

Sieg...

Głos WCH-GB: Skoro tak, to my też chcemy mieć bombę. W imieniu opozycji rządu jego królewskiej mości żądam dla naszego kraju bomby!

Głosy: Bombę! Bombę! Nie zgadzam się! My chcemy atomową! My... Protestuję! Żądam trzeciej bomby na Moskwę! I na Londyn! Gott, strafe England mit einer!* Une petite bombe pour nous, s'il vous plait!* A co z nami? Towarzystwi, nam toż. Protestuję!

Przewodniczący: Proszę o spokój! O spokój, proszę! Bomba przyniosła światu pokój, a jaki niepokój! Proszę o spokój! Cisza! Na miłość boską...

Głos (donośny jak grzmot): Milczeć, krzykacze!

Przewodniczący: Czyj to głos?

Głos: Mój!

Przewodniczący: Ale czyj? I gdzie Głos jest?

Głos: Tu!

Przewodniczący: Nie widzę Głosu. (Podnosi głowę w niebo.) O-o-o-o strasznie wysoko, dostrzegam! A jak się Głos nazywa?

Głos: Adolf Hitler.

Przewodniczący: Szanowne Grand Jury, chyba nie udzielamy głosu temu Głosowi!

Grand Jury: Udzielamy.

Przewodniczący: Proszę Głosy o zachowanie spokoju. Upraszam o ciszę. To jest dyskusja nieakademicka. Każdy Głos ma prawo do zabrania głosu. Udzielam głosu głosowi Adolfa Hitlera.

Głos Adolfa Hitlera: Muszę zacząć od stanowczego protestu. Nazwano mnie dyktatorem, satrapą, mordercą milionów, który dążył do zapanowania nad światem. Nie interesuje mnie, jak mnie kto nazywa, ani też przeczę, że szedłem po trupach. Chciałem zapanować nad światem. Naród niemiecki dał mi na to mandat. W drodze uczciwych wyborów. Robiłem wszystko, aby życzenie mego narodu spełnić. Zbombardowanie Warszawy, Rotterdamu, Coventry, Londynu, Belgradu, zabijanie ludności cywilnej, morderstwa, zbrodnie — mało mnie to gadulstwo obchodzi. Cel uświęca środki. Prowadziłem wojnę. Pragnąc zwyciężyć, miałem obowiązek wykorzystać czynniki militarnej przewagi nad przeciwnikami, jakimi dysponowałem, a takimi w danym czasie była moja luftwaffe. W nowoczesnej wojnie z udziałem środków szybkiej penetracji przestrzeni powietrznej nie ma podziału terytorium przeciwnika na front i tyły, jego ludności na wojskowych i cywilów. Mowa tu jest, jak słyszę, o bombach, ograniczę się więc do bomb. Cechowała mnie zawsze rzeczowość, nieowijanie rzeczy w bawełnę, mówienie prawdy w oczy, czego dowodem moja książka „Mein Kampf” oraz solidarność z ludźmi czynu, co potwierdzi obecny tu ze mną mój włoski przyjaciel. Byłem za życia solidarny z ludźmi twardych decyzji, pozostałem solidarny z nimi po śmierci, dlatego protestuję przeciwko przyczepianiu się do Ameryki za zagładę Hiroshimy i Nagasaki. Rzucając bombę atomową zrobiła ona użytek z posiadanej wówczas technicznej przewagi nad wrogiem, postąpiła tak samo jak ja z moim lotnictwem. Ta bomba to prawdziwa wunderwaffe. Marzenie mego życia. A jakie stwarza możliwości! I ta gadka o sprawiedliwym

pokoju jakże w moim stylu! Szczerze żałuję, że bomba ta nie dostała się w moje ręce. Zapewniam panów, iż nie miałbym skrupułów z zastosowaniem jej, tak samo jak nie mieli ich Amerykanie. Dlatego stanowczo protestuję przeciwko szkalowaniu ich dobrego imienia. Gdyby jednak mój protest nie został wysłuchany, gdyby nie postawiono znaku równości między mną a człowiekiem, który wydał rozkaz użycia tej broni, wówczas żądam napiętnowania go jako przestępcy wojennego i postawienia w stan oskarżenia przed Trybunałem Narodów. To wszystko, meine Herren. Sieg Heil!

*Boże, ukarż mą Anglię (niem.).

* Jedną małą bombę dla nas, bardzo proszę (franc).

Przewodniczący. Co?... Jak?... Przepraszam zebranych, ale straciłem wątek. Pan Adolf Hitler powiedział... Ależ to beczelność, protestuję! Mam nadzieję, że Głosy solidaryzują się ze mną. Co na to Grand Jury?

Głos GÖB-GÖB: Wunderbar, es fangt bald wieder an zu knallen! Nun weiter so, Jungen! Sieg oder...*

Głos: Ach, jakie wspaniałe perspektywy!

Przewodniczący: Prosiłem o ciszę! O spokój prosiłem! I Grand Jury o autorytatywne wypowiedzenie się!

Grand Jury: No objection.

Przewodniczący: Uf, jak gorąco! Szanowni państwo, dyskusja była ze wszech miar interesująca, pozwalająca na wyprowadzenie cennych wniosków na przyszłość. Gdyby miały się sprawdzić... Nie, niech się wtedy Bóg nad nami zmiłuje! Dziękuję Głosom za zabranie głosu Dziękuję Grand Jury. Dyskusję uważam za zamkniętą.

Zaczytałem się, a czas leci. Śniadania nawet nie tknąłem. Pochłaniająca lektura!

*Cudownie, wkrótce znowu zacznie się strzelanina! Tylko tak dalej, chłopcy! Zwycięstwo albo... (niem.)

Ciekawe będą jutrzejsze komentarze na temat tego dziełka Capry. Opublikowanego przez konserwatywny „Times” — to też znamienne.

Odłożyłem gazety i sięgnąłem po telefon. Mam omówić z Florence organizację party w Imperialu dla jej kanadyjskich przyjaciół. Ich przyjazd opóźni się o dwa dni. Ale w tym momencie recepcjonista zgłosił przybycie taksówki. Pociągnąłem łyk zimnej już kawy i zjechałem windą na dół.

Artykułem swoim Frank Capra uruchomił wyobraźnię wyspiarzy. Anglicy lubią rzeczy nie dopowiedziane; kontynentalne lanie kawy na ławę jest tu niemożliwe. I w ten sposób wczorajszy zachwyt nad sukcesem Amerykanów przeistoczył się w znaki zapytania. Nawet kobiety je stawiają.

— Co to oznacza? — chciała wiedzieć Florence już w hallu. — Dobrze to czy źle? A jeżeli źle, to dlaczego?

Pierwszy raz przywitała mnie z gazetą w ręku rozpostartą nie na rubryce towarzyskiej.

Płaszcz przeciwdeszczowy i parasol zostawiłem w hallu jej dwudziestopokojowej landary, ucałowałem ją w rękę i dałem się poprowadzić w głąb salonu.

Co to oznacza? Rozsiadłem się wygodnie w fotelu. Proste pytania są zwykle najtrudniejsze. Co oznacza? Hm... Tytuł artykułu świadczy o tym, że autor odcina się od utartych wzorów i podejmuje nieszablonową dyskusję na temat najnowszego obywatela świata, bomby atomowej. I przyszłości. Robi to chytrze i, jak na Anglika, brutalnie.

— Czy istnieje zagrożenie? — spytała Florence wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami.

— Jest w tym jakaś przestroga — powiedziałem — ale facet chyba przesadza. —

Roześmiałem się lekceważąco. — Naley nam po kropli czegoś rozluźniającego, bo wyglądasz, jak gdyby samolot z trzecią bombą atomową już nadlatywał nad Torquay... Dla mnie może być chivas regal.

Florence podniosła się wolno z miejsca. — Dla siebie zrobię też coś męskiego — powiedziała.

Szybko uwinęła się z butelką i po chwili z dwiema ciężkimi szklankami z solidną porcją złotawego płynu siadła z powrotem przy mnie.

— Za nasze! — wzniosła toast. Pociągnęła zdrowy łyk. — Mów, słucham, i nie zbywaj mnie półsłówkami.

Wychyliłem szklankę do dna.

— Ameryka — zacząłem konkretnie — uprzętnęła ze światowych rynków swoich konkurentów, to jest Niemcy i Japonię, i niczego do szczęścia nie potrzebuje. Miną długie lata, zanim Rosja stanie mocno na nogi; co do polityki tego przeogromnego państwa, nie umiem nic powiedzieć. Rosja stanowiła zawsze zagadką dla Europy i taką zagadką pozostanie. Co do Wielkiej Brytanii... Premierzy rządu jego królewskiej mości będą musieli poświęcić w przyszłości wiele swego czasu na utrzymanie w ryzach naszego imperium, które, mimo iż zalicza się do zwycięzców, zaczyna trzeszczeć w szwach. Nowa wojna z użyciem tej strasznej broni... Tylko szalenięć mógłby ją rozpętać — zakończyłem. I żeby do tego tematu więcej nie wracać, poprosiłem o jeszcze kroplę.

Chyba nie przekonałem Florence. Milczała chwilę, zanim powlokła się do stolika z butelkami, gdzie utkwiała na całą wieczność. — Ale artykułu Capry — powiedziała po powrocie — poważny „Times” nie zamieścił ot tak sobie.

Frank Capra osiągnął swój cel. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie i o Florence. Ukazanie perspektywy zagłady jest optymistycznym akcentem nieakademickiej dyskusji. Ludzie zaczną myśleć o jutrze, to dobry znak.

— Kim jest ten facet? — spytałem.

— Frank Capra? — Florence uniosła w zdziwieniu brwi. — Ach tak, mogłeś go już nie znać. To wybitna osobowość naszej publicystyki, kontrowersyjna, wielkie nazwisko. Jego ród wywodzi się z Irlandii, on sam natomiast jest potomkiem „Jedwabnego Tomasza”, przywódcy powstania, ściętego w Londynie. Krew nieugiętego w walce „Tomasza Jedwabnego”, bo jak węgorz śliskiego, nie ochłodziła w ciągu minionych czterystu lat, jak to widać po piórze Capry. Jego właściwe nazwisko brzmi: Fitzgerald Thomas hrabia Kildare...

W tym momencie weszła do salonu pokojówka.

— Tak? — Florence zawiesiła na niej wzrok.

— Przepraszam. — Dziewczyna dygnęła. — Jest telefon do pana. Pilny. Dzwoni Mister Gilvray.

Prawdę mówiąc, zapomniałem o jego istnieniu. I skąd wiedział, gdzie przebywam?

Gilvray dzwonił z pobliska. Skąd z pobliska? Z budki telefonicznej na ulicy?

ROZDZIAŁ 7

Poprosiłem Gilvraya do gabinetu Florence. Jak to zwykle on, od razu przystąpił do rzeczy.

— W przyszłym tygodniu rozpocznie się proces przeciwko oficerom do wódz Iwa U-1852, Kurtowi Hackemu, Hansowi Strelowowi, Gustawowi Weńkowi oraz lekarzowi okrętowemu doktorowi medycyny Wolffowi vel Frauenheimowi...

Umarli z martwych powstałi... Zrobiło mi się ciemno przed oczami.

W dwurzędowym garniturze w niki, jasne prążki, w białej koszuli i ciemnoniebieskim krawacie kapitan „naszych służb” Paul Gilvray mówił dalej:

— ...Proces odbędzie się w Hamburgu przed brytyjskim sądem wojskowym dla przestępców wojennych, z udziałem amerykańskich sędziów wojskowych, gdyż przedmiotem

postępowania będzie przestępstwo dokonane na członkach załogi frachtowca pływającego pod banderą marynarki handlowej Stanów Zjednoczonych. Jestem pewien pańskiej wyrozumiałości dla taktyki obronnej stosowanej przez naszą Admiralicję. Proces ma być zaskoczeniem dla dowództwa naczelnego kriegsmarine i dlatego przygotowywano go pod osłoną tajemnicy. Zakładano bowiem z góry, że naczelne dowództwo chwyci się wszelkich możliwych wybiegów, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność za przestępstwa wojenne popełnione na morzu. Nie chodzi tylko o wymordowanie pańskich współtowarzyszy, choć to jest zarzut najcięższy. Dowództwo ma też na sumieniu inne czyny gwałcą zasady prawne wojny morskiej, zawarte w Konwencji Haskiej podpisanej przez Niemcy, jak rozstrzeliwanie wziętych do niewoli komandosów, zatopienie bez ostrzeżenia statku pasażerskiego „Athenia” przez U-30 i oskarżenie o ten czyn naszej Admiralicji, wydanie zakazu ratowania rozbitków, podszywanie się pod bandery państw neutralnych. Rzeczą pikantną — jeżeli to słowo jest tu na miejscu — stawiającą ówczesne dowództwo kriegsmarine i kierownictwo polityczne Rzeszy w bardzo przykrym świetle, jest oddanie pierwszej salwy w tej wojnie przeciwko wojskowej placówce polskiej w Gdańsku - Westerplatte przez pancernik „Schleswig Holstein”, bawiący tam kurtuazyjnie jako gość władz Wolnego Miasta... Aktem tym kriegsmarine rozpoczęła drugą wojnę światową. Proces będzie precedensem w stosunkach międzynarodowych. Jego wyjątkowość narzucała nie tylko potrzebę starannego opracowania aktu oskarżenia przeciwko obywatelom państwa pokonanego — co ma specyficzny, bardzo delikatny wydźwięk — ale także konieczność przygotowania się na ataki obrony pod adresem sądu.

Osoba pańska, Mister Strang, jest koronnym atutem oskarżenia przeciwko ludziom, którzy dopuścili się zbrodni ludobójstwa na morzu. Przebieg i rezultaty śledztwa nie są mi oczywiście znane. Zostaną podane do wiadomości publicznej na sali sądowej; tryb postępowania sądu będzie zależeć od postawy oskarżonych i ich niemieckich obrońców. Będę z panem szczery. Oskarżenie nie poparte pańskim oświadczeniem — jako jedyne pozostałego przy życiu naocznego świadka zbrodni — złożonym na piśmie i zaprzysiężonym, miałyby charakter poszlakowy. Wyrok skazujący zapadłby również bez pańskiego oświadczenia, na podstawie dowodów w postaci pocisków, znalezionych w ciałach pomordowanych, i broni, z której zostały wystrzelone, wyłowionej wraz z członkami załogi U-1852. Proces przeszedłby jednak do historii jako poszlakowy i byłby w przyszłości łatwy do zakwestionowania, na co — w obliczu zadania, jakie ma spełnić — sąd jego królewskiej mości nie może sobie pozwolić.

Oświadczenie pańskie — ciągnął Gilvray swoje ponure dla mnie expose, którego przecież winieniem był oczekiwać i być na nie przygotowany — stanowi dla oskarżenia dowód działania świadomego, a więc z premedytacją, precyzuje udział w zbrodni konkretnych osób, jest dokumentem unikalnym, tak samo zresztą jak unikalne jest pańskie ocalenie z tej jatki. Los i natura spletały tym panom niecnego figła. Nawet człowiek w pełni sił nie pożyje długo w zarekinonych wodach z dala od lądu, a cóż dopiero ciężko ranny O przypadkach takich jak pański czyta się z przymrużeniem oka w powieściach sensacyjnych. Ale oto niemożliwe stało się możliwe, pan me jest postacią z fikcji literackiej! Wyobrażam sobie poruszenie na sali sądowej, jakie wywoła odczytanie pańskiego oświadczenia. Obrona — tak należy oczekiwać — zakwestionuje je jako niepoważny wymysł oskarżenia. A wtedy jeżeli sąd tak zadecyduje, na ławie świadków zjawi się pan Żywy i cały. Dopiero w tym kontekście ukrycie pańskiej osoby znajduje pełne uzasadnienie. Niemcy zostały pokonane. Nie oznacza to, aby wszystkie organa państwa Hitlera automatycznie przestały działać. Formalnie ono me istnieje. Jest pod okupacją zwycięskich armii. Mamy jednak dowody działania specjalnych grup zorganizowanych przed kapitulacją w celu likwidacji pozostałych przy życiu świadków praktyk SS i gestapo. W ich skład wchodzi ludzie ze świata cieni, nikomu nie znani: nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy się pojawiają; zetknięcie z nimi bywa ostatnim doznaniem ich ofiar. Jak dotąd, nie mamy śladu ich bytności na terytorium Wysp Brytyjskich, ale nie wątpimy, że nasza prasa rychło by je naprowadziła na pański trop. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Bardzo

poszedł pan nam na rękę ukrywając swoją tożsamość, to było mądre pociągnięcie. Zdajemy sobie sprawę z ograniczenia swobody osobistej, jakie tym samym narzucił pan sobie, ale nie potrwa ono już długo. Będziemy z panem w kontakcie. Proces rozpocznie się w przyszłą środę, nie potrwa dłużej niż dwa tygodnie. Nie oznacza to, że rezerwujemy sobie prawo dysponowania pańską osobą. Bynajmniej. Może pan swobodnie poruszać się po kraju, byłoby jednak celowe, aby o każdej zmianie swego miejsca pobytu zechciał pan mnie łaskawie powiadomić. Jestem przekonany, że się rozumiemy.

Anglia: takt, zimne wyrachowanie, operacja osaczenia podsądnych zapięta na ostatni guzik. God, have mercy upon their souls!*

Admiralicja Brytyjska, jak przystoi angielskiej firmie, jest wobec mnie w porządku: o następnej rundzie swojej finałowej rozgrywki z kriegsmarine, do której zostałem łaskawie dopuszczony, zawiadamia mnie na dziesięć dni przed rozdaniem kart. Dają mi dziesięć dni na przygotowanie się do gry. The British Admiralty is very tactful with me. I must admit... And I admit it: Yes, it is God damned tactful. To hell with such tactfulness!*

* Niech się Bóg zlituje nad ich duszami! — słowa modlitwy wypowiedane przez kapelana więziennego w Anglii przed straceniem skazańców (ang.).

* Muszę przyznać, że Admiralicja Brytyjska zachowuje się wobec mnie bardzo przyzwoicie. I przyznaję: Tak, cholernie przyzwoicie. Do diabła z taką przyzwoitością (ang.).

Jak ta operacja przebiegnie, łatwo to sobie wyobrazić. Wyobraźni do tego potrzeba tyle, by móc z zamkniętymi oczami dostrzec różnicę między dniem a nocą, między słońcem a księżycem, wiedzy zaś w takim wymiarze, by nie mieć wątpliwości, że z sali sądowej wyjdzie się na drewnianą konstrukcję ze zwisającą pętlą z wyslizganej konopnej liny. Nim się jednak tam stanie, trzeba wpięrcz postać przed ławą ze starszymi panów w czarnych togach i średniowiecznych perukach, o oczach sów, przed którymi nic się nie ukryje. Ten odcinek jest najtrudniejszy. Tam z pokornie pochyloną przed ich majestatem głową, człowiek czuje ich oczy nie na sobie, ale w sobie — drobna różnica. Penetrują człowieka na wylot. Nie zostawiają żadnej literki z twego życiorysu. Pamiętajcie: konfesjonał i swoje oczy tych w perukach przenikną najgęstsze ciemności. Biada grzesznikowi, biada słabości, co szukają przed nimi schronienia. A na końcu Golgoty ta pętla...

„Tak, mam — słyszałem w sobie, odprowadzając Gilvraya do drzwi — to prawda z tą koszulą. Mówisz, że to nie moja, że moje koszule znasz. Prawda, mam, znasz: ta koszula nie jest moja, moja nie miała kieszonek z zakładkami i nie była koloru piaskowego. My, Niemcy mojej epoki, kochamy się w kolorach jaskrawych, zdecydowanych, pompatycznych albo zupełnie nijakich, jak na przykład feldgrau — najohydniejszy, jaki poznałem, kolor, kolor błota bitewnego. Prawdą także jest, że nie zamieniliśmy się koszulami z kolegą, jak ci powiedziałem, lecz przywłaszczyłem ją sobie podczas jego snu. Ale najgorszej prawdy nie domyśliłaś się nawet ty, która znasz mnie tak dobrze. Czy jednak nie domyśla się jej ci z sowimi oczami? Jutro czytać będziesz o mnie w gazetach. Świat pogmatwał się, sprawy ludzkie tak się poplątały, że czytając o mnie, myśleć będziesz o kimś całkowicie ci obcym — oto miarka obłędu świata. A następnego dnia, po zakończeniu parady przez salę sądową, ci z ławy oskarżonych staną po kolei pod drewnianą konstrukcją na dziedzińcu więziennym. Za moją sprawą staną...

Ostrożnie, jak pancerną płytę sejfu bankowego, zamknąłem za Gilvrayem drzwi i oparłem się o nie plecami. Dzień był pochmurny, a mnie zrosiło się czoło. Zakląłem szpetnie. Niedobrze ze mną! Ulrich Ihna, Martin Strang, Robert Errol — wszystko w jednej osobie. Sam diabeł wrobił mnie w tę rolę!

Serce łomotało we mnie jak młot. Jestem gorzej przygotowany psychicznie na czekający mnie ordeal*, niż to sobie wyobrażałem. A najgorsze dopiero przede mną: nigdy nie było mowy, że będę stawał twarzą w twarz z oskarżonymi!

„... Jeżeli sąd tak zadecyduje, na ławie świadków zjawi się pan. Żywy i cały...” — powiedział

„człowiek naszych służb”.

W żadnym wypadku nie mogę się na to zgodzić. Nie dopuszczę do tego!

A jeżeli sąd tak zadecyduje? — odezwał się we mnie znany, dawno nie słyszany głos.

To jego głos. Mego przeklętego bliźniaka. Nie wyprowadził się ze mnie, nie skapitulował przed moimi racjami, jak myślałem. Przewidywał zagrywkę Gilvraya, ale mnie nie uprzedził. Zdrajca. Niech mnie, na miłość boską, nikt nie pyta o moje samopoczucie

*tu: próba ogniowa (ang.).

W Londynie, w przytłaczającym jak wszystko, co uosabia światową potęgę, gmazysku British Admiralty, w jednym z licznych tam gabinetów z wyciszonymi skórą drzwiami siedzi za biurkiem człowiek, dla mnie bez twarzy. Nie wiem, jak on wygląda, jaki ma stopień służbowy (na pewno nie niższy od admirała), w jakich bitwach morskich w poprzedniej wojnie z nami brał czynny udział i czy w ogóle był oficerem liniowym, ile ma lat, czy jest żonaty, ma dzieci, czy zaznał ludzkiego uczucia, jakie ma hobby — nic o nim nie wiem poza jednym: człowiek ten w imieniu Wielkiej Brytanii ma się ostatecznie rozprawić z jej najgroźniejszym w tym stuleciu konkurentem do panowania na oceanach — z wojenną flotą Niemiec; człowiek ten, z angielską cierpliwością i uporem, z rozwagą i dalekowzrocznością, z właściwą mieszkańcowi Wysp bezwzględnością zrobi wszystko, co w jego mocy, aby nałożone nań zadanie wypełnić do końca. Jutro człowiek ten będzie rozdawał dzieciom cukierki, w kościele będzie śpiewać pieśni o aniołach, ukochaną swoją obsypie różami. Ale to będzie jutro, dziś natomiast pochłonięty jest całkowicie swym zadaniem. Z naszych olbrzymich pancerników nie utrzymała się na fali nawet śrubka. Nasza u-bootwaffe, która zatrzęsała posadami brytyjskich szlaków żeglugowych, legła cała, co do jednego sprawnego bojowego okrętu, na dnie oceanów; legła w bezpardonowej walce, ale legła. Po kriegsmarine pozostało wspomnienie. Złe. Dla świata i dla mego narodu mamionego mirażami nadczołowieczeństwa. Ale człowiek, dla mnie bez twarzy, z gmazyska British Admiralty zrobi wszystko, aby to odrażające wspomnienie ustokrotnie, zapisać na wieczność w pamięci narodów, że niemiecka buta, niemiecka zachłanność, niemiecka pogarda dla innych zostały starte z powierzchni wód przez dumną British Royal Navy, że biada temu, kto śmiałyby w przyszłości poważić się na podniesienie na nią ręki.

To ostrzegawcze memento wymaga mistrzowskiego rozpracowania. Materiału budowlanego na ten monument dostarczyła sama kriegsmarine. Kamienie pod jego fundament dał U-1852. Ja swoim zeznaniem mam je spoić w niewzruszalną całość.

Gilvray jest przedłużeniem ramienia człowieka bez twarzy z Admiralicji Brytyjskiej. On, ja, nam podobni jesteśmy pionkami w wielkiej grze, której celem nie jest żadna sprawiedliwość, wolność narodów, demokracja — a w głoszeniu takich haseł politycy tego kraju się lubują — lecz brutalne panowanie nad światem. Walka toczy się nadal i toczyć się będzie w nieskończoność, gdyż taka jest natura panowania nad innymi. W podziemiach archiwum British Admiralty leżą zżarte przez robaka czasu zapisy o rozprawach floty wojennej króla z nad Tamizy z wielkimi ongiś flotami portugalską, hiszpańską, holenderską, francuską; w tej chwili stolarze dostawiają nową półkę dla tomów opisujących jej zmagania z flotą Niemiec. Kriegsmarine to już historia. Do wypełnienia tej półki potrzeba jeszcze sprawozdań z paru pokazowych procesów sądowych, ileś tam wyroków śmierci zatwierdzonych przez naczelnego dowódcę brytyjskich sił okupacyjnych w Niemczech, wykonanych przez plutony egzekucyjne, i rzecz można rozpocząć od nowa. Tylko z kim teraz? Chyba nie z flotą Stanów Zjednoczonych, która przerosła Royal Navy o kilkadziesiąt dziurek w pasie!

Z US Navy na pewno nie! Kruk krukowi oka nie wykołę. Jeżeli nie z flotą amerykańską, to z czyją? Naszej floty nie ma. Japońskiej nie ma. Włoskiej nie ma...

Byłem bliski parsknięcia śmiechem. Śmiechem z gatunku macabre.

Kapitan Paul Gilvray w granatowym dwurzędowym garniturze w delikatne prążki, zapinanym zawsze na środkowy guzik, pędzi w tej chwili swoim czarnym służbowym numerem do

Londynu, do Człowieka bez Twarzy, aby zdać mu relację z wykonania rozkazu i ze swoich osobistych spostrzeżeń. Martin Strang został postawiony w stan gotowości przed rozprawą sądową. Martin Strang przyjął wiadomość z należytym dla poddanego Korony zrozumieniem. Jakie są kolejne rozkazy waszej lordowskiej mości?

Kolejne rozkazy?

Człowiek bez Twarzy bierze do ręki dossier sprawy U-1852. Ruch ramienia jest powolny, namaszczone wagą problemu i rewerencją dla decyzji podejmowanych w tym gabinecie. Na okładce napis czerwonym tuszem:

„Tajne

Premier Gabinetu Ministrów. Pierwszy Lord Admiralicji”

Nic więcej Gilvray nie widzi. To, co znajduje się między sztywnymi okładkami, zastrzeżone jest klauzulą tajności i przeznaczone dla tych dwóch najważniejszych w Zjednoczonym Królestwie osób. Oraz naturalnie dla Człowieka bez Twarzy, który z ich upoważnienia sprawę tę prowadzi. Czy Gilvray, stojąc w tym gabinecie i widząc grube dossier, miałby ochotę zapuścić w nie żurawia? Z prostej ciekawości. Kapitan Gilvray nie zna pojęcia „prostej ciekawości”. Kiedy sprawę wkłada się między sztywne okładki, wiązane niezrywalną taśmą, i opatruje tą klauzulą, rozsądnie jest znać tylko wycinek powierzony sobie do wykonania. Dossier jest skompletowane. Każdy zawarty w nim papierek obwąchano ze wszystkich stron, zbadano, poddano analizie, tysiąc razy przewalkowano — inaczej owo dossier nie znalazłoby się w tym gabinecie. Stąd wędruje albo do archiwum, albo, jak to — do sądu. Wyroki w brytyjskim wymiarze sprawiedliwości są nieodwołalne, to wymyślna instytucja w tym kraju. Opuszczając ławę oskarżonych, można prychnąć sędziom w twarz: Wykiwałem was, mości lordowie: jestem mordercą! Jestem, ale nie dowiedźcie mi tego! — i z manatkami pod pachą iść do baru na piwo z pianką. Ale biada temu, któremu panowie w perukach dowiodą przestępczego czynu. Czy ta sprawa może zakończyć się szyderczym zawołaniem oskarżonych pod adresem sędziów? Raczej nie, Gilvray jest o to spokojny. „Raczej” — powiedział pan, kapitanie? Oh, I am sorry, na pewno nie! Tak jak on ją zna, nie, choć w brytyjskim sądownictwie nigdy nic nie wiadomo. I jeszcze jedno pytanie, całkowicie z innej beczki: Czy poza nim są inni pracownicy wywiadu przydzieleni do osoby Martina Stranga? Gilvray tego nie wie. Pracownicy przydzieleni do danej sprawy, jeżeli jest ich kilku, nie znają się nawzajem, to żelazna zasada stosowana przez wszystkie wywiady świata. A pytanie na marginesie? Czy Gilvray jako człowiek ma wyobraźnię?

Też pytanie!

A jako oficer wywiadu?

Wyobraźnię oficerowie wywiadu brytyjskiego mają, inaczej nie byłiby pracownikami wywiadu, instytucji nader w państwie ważnej. I z pewnością angażują ją w powierzone sobie zadania. Ale mieć wyobraźnię i korzystać z niej to jedno, a popuścić jej wodzy — drugie. Toteż pracownikom wywiadu nie wolno wyobraźni dawać carte blanche. Trzeba wypuszczać ją na świat z umiarem, tak jak Gilvray to robi.

Po nocnej burzy z piorunami (spadek ciśnienia barycznego działa na mnie usypiająco. Na dużych zanurzeniach okrętu podwodnego ludzie stają się ospali, chodzą niczym muchy w syropie) zbudziłem się wypoczęty, lekki jak rzadko kiedy, skory do czynu. Ale jakiego? Impreza z kanadyjskimi przyjaciółmi Florence podniecała mnie. Będzie kolacja zakrapiana alkoholem, przetykana wspominkami przy których będę robił dobrą minę, tan cami...

Myśli krzyżowały się we mnie. Ciężkie jak dzisiejszy dzień nie byłem w stanie zaprowadzić w sobie porządku. Tymczasem w salonie czekała na mnie Florence

Jeżeli sąd tak postanowi, myślałem.

Prawda jest taka, że zostałem ubezwłasnowolniony. Nie mam nic do powiedzenia. Sąd postanowi, ja powiem: tak jest, Wysoki Sądzie, stanę na podium dla świadków, naprzeciw ławy oskarżonych, spojrzę tym czterem w oczy, oni w moje, jedną rękę położę na Biblii, drugą podniosę do góry i powtórzę za sędzią posiłkowym:

Ja, Martin Strang, syn Donalda, były członek załogi frachtowca amerykańskiego ss „Golden

Creek”, który dnia 10 października 1944 roku został storpedowany na wodach Nowej Kaledonii, świadom odpowiedzialności karnej za krzywoprzysięstwo przysięgam na tę Biblię mówić prawdę, samą prawdę i tylko prawdę. Tak mi dopomóż...”

To przecież szaleństwo!

A ci z ławy oskarżonych na mój widok... Słyszą znany im głos...

A na trybunach dla publiczności matka, Brigitte z dzieckiem, Ula. Robi się poruszenie. Matka, Brigitte, Ula spoglądają na mnie, szepczą coś między sobą, jeszcze raz oczy na mnie... Sędzia wali młotkiem w stół. Prosi o ciszę na trybunach dla publiczności. O więcej powagi prosi przedstawiciele prasy.

To szaleństwo! Nikt zdrowy na umyśle nie może tego ode mnie wymagać!

Ten jego szyderczy chichot!

Nie może? Bydlak skręca się ze śmiechu. On umie się naigrawać; my, Niemcy, jesteśmy bardzo uzdolnieni. Sztuka, nauki humanistyczne, ścisłe. A prym wiemy w naigrawaniu się ze słabych, to nasza narodowa specjalność.

— I co ten Gilvray chciał od ciebie, jeśli wolno? Tak długo konferowaliście...

Więc matka, Ula, Brigitte żyją, jak mogłem się nimi nie zainteresować! Myślałem o tym, lecz nie zrobiłem nic, żeby się dowiedzieć o ich losie. Nie jest to w mojej sytuacji łatwe. Nie mogę przecież zatelefonować i — halo, proszę o połączenie z państwem Inna! Z państwem Inna z Blücherstrasse. Tak, Burgdorf, powiat Lehrte, koło Hanoweru! To odpada, nawet jeżeli prywatne połączenie telefoniczne z taką dziurą jest w Anglii w ogóle możliwe. Nie zasięgnąłem również języka w sprawie wysłania listu. Od ukończenia wojny w Europie minęło trzy i pół miesiąca. W Wielkiej Brytanii życie wolno wraca do normy. Nasze bombardowania lotnicze, cudowne rakiety pupilka Hitlera, Wernera von Brauna (notabene facet już się zadomowił w Ameryce i pracuje tam z właściwym sobie rozmachem nad modelem transoceanicznej rakiety nośnej, przy której — jak wynika z przecieków prasowych — stratosferyczna, parabolicznie latająca V-2 będzie latawcem dla przedszkolaków!), poniesione przez ten kraj ofiary w ludziach — nic z tego nie zostało zapomniane, lecz życie ma swoje prawa i liczy się bardziej od rozdlubowania ran. Anglicy szybko uporają się ze skutkami wojny, co nie oznacza, jak widać po Gilvrayu, aby na rubryce „Niemcy” położyli krzyżyk. Muszę być ostrożny. Muszę myśleć najpierw o sobie — moralną ocenę tej postawy pozostawiam mocom nadprzyrodzonym. Cyniczne? Niech skorzy do rzucenia we mnie kamieniem spojrzą wpierw na siebie. Nie z własnej woli oblekłem się w tę skórę! Niech się głęboko zastanowią, jak oni by postąpili w podobnej sytuacji. Co mnie zresztą oni obchodzą, skoro ziemia pali mi się pod nogami.

Powracam do Burgdorfu. Powracam tysiąc razy na dzień. Jak nawiązać z nimi kontakt? Jak dać im o sobie znać? Przeszperałem wszystkie osiągalne tutaj informacje o zniszczeniach lotniczych w tej części Niemiec. Duże miasta, jak Hamburg, Brema, Hanower, Braunschweig, były kompletnie zburzone, już nim opuściłem ojczyznę, a bombardowania kontynuowano do końca działań wojennych; o miścinach takich jak Burgdorf niczego nie znalazłem. Walk też tam nie było, powinni więc żyć. Wiedząc, że ich syn i mąż, zbrodniarz wojenny, zginął na Pacyfiku. I nagle otrzymują wiadomość od niego osobiście... Nie wyobrażam sobie, aby zdołali ukryć ją przed zawistnymi oczami. Klęska obnażyła wszystkie skrywane w normalnych warunkach cechy mego narodu. Nasza pewność siebie. Nasza buta. Nasza siła. Nasza szlachetność, wyższa moralność, boskie posłannictwo — upajające kadzidło wyzwolonej z hamulców nietzscheańskiej pychy, gdzie one dzisiaj? A Goethego hymny i pieśni, a liryczne westchnienia Schillera, a „Sonata patetyczna” Beethovena? Pozostała po nich pustynia trupich czaszek — symbol naszej przemocy, i koszmarna spuścizna pozostawiona przez kohorty SS. Dużo będzie potrzeba wichur dziejowych, potopów, aby zmyć z nas fetor hitleryzmu. Ale czy tylko hitleryzmu? Czy w każdym z nas, już od praojców, nie było kisnącego zaczynu zlaknionego aptekarskiej szczypty drożdży, na których wyrosło to, co wyrosło? Monstrum złośliwie krew. Które doprowadziło naród do totalnego upodlenia. Czy oni, co wokół moich bliskich, tak ochoczy obecnie do płaszczenia się przed

zwyczajcami, tak zdolni do świadczenia sutenerskich usług, obrzygiwania się nawzajem, cokolwiek jeszcze odczuwają?

— Strasznie cię ten Gilvray wymagłował, Mart? Nie sądzisz?

Stoję przy oknie wychodzącym na zatokę, plecami do Florence. Słyszałem ją, ale nie wiem, co odpowiedzieć. Z moimi nerwami jest źle.

„Ma pan bardzo nadwreżony system nerwowy — powiedział lekarz naszej bazy w La Rochelle po moim powrocie z piątego rejsu na Północny Atlantyk. — Powinien pan — klepnął mnie dobrodusznie po ramieniu — wysiadać z tego interesu. Rozumiemy się, kapitanie?”

„Tak jest” — odpowiedziałem uśmiechem lekarzowi.

„Co ten stary dureń panu w tej karcie nawypisywał! — fuknął szef bazy. — Nerwy? Służba na łodzi? Jedyne go inżyniera mechanika, kawalera Krzyża Rycerskiego do Żelaznego Krzyża, na całym atlantyckim wybrzeżu Francji mam odsyłać do niańczenia bachorów w domu? On zwariował! Zgadza się pan ze mną, kapitanie Ihna?”

„Tak jest” — odpowiedziałem temu jełopowi rodem z Monachium, którego jedynym przeżyciem na wodzie były przejażdżki łodzią z jedną dupą po Jeziorze Bodega. Rosie — miała na imię ta żelazkiem do prasowania ondulowana pudlica. Jej zdjęcie w słomkowym kapeluszu z wiechą wstążek straszło całą bazę.

Zawsze odpowiadam z uśmiechem. Każdemu przełożonemu. Najczęściej tylko uśmiechem, bez słów — niezły sposób na powiedzenie wszystkiego i nic, na nienarazanie się nikomu. Fajny byłem. Czymś w rodzaju i zawodnika na ringu, i kibica, bardzo wygodna postawa.

— ...I był jakiś odświętnie oficjalny, nie sądzisz, Mart?

Ona zawsze w ten sposób. To jej forma wyciskania ze mnie soków bez robienia we mnie dziury. Pokrąży, pokrąży i zakończy bieg swym zniewalającym „nie sądzisz”. A wszystkim, co robi, a robi to, bo chce mi pomóc — może doprowadzić człowieka do szaleństwa. Jak gdybym tej pomocy od niej oczekiwał. Nikt nie jest w stanie mi pomóc!

Tym razem musiałem odpowiedzieć słowami. Zebrałem się w sobie.

— Proces rozpocznie się w przyszłą środę. W Hamburgu. W Sądzie Wojskowym do Ścigania Przestępstw Wojennych. Na początek rozprawy British Admiralty z kriegsmarine sędzić będą oficerów dowództwa U-1852 Mają ich. Czterech. Do kompletu brakuje im tylko tego, który strzelał do twego brata.

— To... chyba dobrze, nareszcie będziesz miał to z głowy. Nie sądzisz?

Nic nie sądziłem.

Dom Florence stoi na wzniesieniu, dość wysokim. Żeby podeń podjechać, stromo wijącą się serpentynę trzeba brać na drugim albo pierwszym biegu. Ale widok z okna na miasto, na Zatokę Tor jest urzekający.

Historię ten dom ma ciekawą. Biskup Exeteru, odnawiając w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia stary kościół Świętej Marii, postawił przy okazji coś w rodzaju rezydencji rekreacyjnej dla zjeżdżających się tu licznie mnichów; utrzymanie jej było kosztowne, toteż przed pierwszą wojną światową, przechodziła z rąk jednego zakonu do drugiego, liczącego na szczodrość mieszkańców tej niedużej miejscowości nadmorskiej, a ponieważ te rachuby zawiodły, rezydencja znalazła się w końcu w rękach świeckich, aby po dwukrotnej wymianie właścicieli stać się od pół roku własnością Flo. Czy tylko przez nadmiar pieniędzy, czy również przez snobizm ta samotna dziewczyna zamieszkała tutaj?

Jestem po niemiecku sentymentalny. Odchodząc, chciałbym zostawić po sobie żal w sercu Florence. Tylko nie wiem, jak to zrobić.

Odwrócony do niej plecami czuję przyspieszone bicie jej serca.

— Cieszę się — słyszę jej głos, ale jakiś zmęczony, bez zwykłego jej zapału. — Będziemy mieć to nareszcie z głowy. Ach, Mart, jak tego pragnęłam. A ty?

Wzruszyłem ramionami, że też.

Czułem się, jakby zewsząd wylewała się na mnie roztopiona żelatyna. Jest tego wokół mnie coraz więcej, jej poziom podnosi się, muszę uciekać stąd, miejsca mi wrogię, zanim będzie

za późno. Wystarczy obrócić się na pięcie, rzucić coś na pożegnanie i wyjść. Ale to jest najtrudniejsze. Bo może już nie być powrotu.

Wychyliłem głowę za okno. Chmury nad miastem, nad zatoką były wciąż ciężkie, gąbczaste, lecz przestały siać deszczem. Na linii horyzontalnej na morzu zamajaczyło czymś w rodzaju tęczy. — Daj mi klucze od przystani — starałem się o zwykły ton. — Popływam trochę po zatoce.

— W taką pogodę?

— Chyba już się wypadało.

— Sam?

Myślała zapewne o jachcie. Oceanicznym jachcie regatowym zamówionym przez jej ojca, a ochrzczonym imieniem zaginionego syna. Jacht ten to chluba hrabstwa Devon, ale do obsługi potrzebuje przynajmniej trzech silnych mężczyzn.

— Twoją motorówką — uspokoiłem jej obawy.

— Weźmiesz mnie z sobą, Mart? Bardzo cię proszę. Wiedziałem, że to powie.

— Chcę być sam — odparłem sucho. Florence spuściła głowę.

— Rozumiem — powiedziała. — Na przystani jest Ben. — Podeszła do mnie. — Gdybyś wiedział, jak pragnęłabym ci pomóc, mój drogi bracie. A tyle udręki masz jeszcze przed sobą.

— Chciała mnie objąć, ale odsunąłem ją od siebie.

— Zatelefonuj do Bena, aby napełnił bak „Glorii” — bardziej rozkazałem, niż prosiłem.

Niezamierzone pchnięcie było zbyt silne. Florence omal nie upadła. — Mart! — krzyknęła jak w proteście przed napaścią, potem zamarła w bezruchu z oniemiałą z przerażenia twarzą.

Zapanowała cisza. Chciałem błagać ją o przebaczenie, ale język odmówił mi posłuszeństwa.

Pochyliłem głowę i skierowałem się ku wyjściu.

Skakałem po kilka stopni z wysokiego podejścia do czekającej na mnie taksówki. Gdyby nie obecność kierowcy, chyba bym się rozmazał.

Podziękowałem Benowi za pomoc przy uruchamianiu „Glorii”, cierpliwie wysłuchałem jego objaśnień o prądach zatokowych, o strefie min nie dozwolonej dla żeglugi. Nie wiem, co Florence nakazała mu telefonicznie, ale coś mu nakazała.

Złośliwość rzeczy martwych bywa niekiedy bez granic. Ja, inżynier mechanik, specjalista od wszelkich odmian silowni okrętowych, nie mogę zapalić silnika. Sprawdziłem świece, przewody paliwowe, kondensator, klamry akumulatora, linkę rozrusznika, ale „Gloria” ani drgnie. Mocując się z jej krnąbrnym motorem, odpędzam od siebie myśli o dziewczynie na wzgórzu. Zostawiłem ją właściwie bez pożegnania, postąpiłem obrzydliwie, i to pchnięcie... Mało brakowało, a by upadła.

Kolorowa bańka pękła. Pałac z kart rozleciał się pod dotknięciem czarownika bez twarzy. Nie ma go.

W przeciwieństwie do ogółu swoich współziomków przystaniowcy Ben jest komunikatywny, nie powinienem okazywać mu swoich humorów.

Rozgadał się. Podczas wojny służył w lotnictwie. W naziemnej obsłudze technicznej bombowców. Najpierw naprawiał powolne blenheimy, wellingtony, łatwe w obsłudze, od wiosny czterdziestego trzeciego roku — czteromotorowe lancastery. Maszyny zrobiły na nim wrażenie. Za kilka godzin przebywania w powietrzu na tych cackach chłopcy z personelu latającego zbierali orderzy, ludzie z ground service — po miesiącach dłubania w skomplikowanych, zaoliwionych flakach tych kolubryn — przyglądali się tylko ich dekoracjom. Pewnej październikowej nocy wybłągał u dowódcy dywizjonu lot jako pomocnik mechanika. Po zrównaniu z ziemią przemysłowego Zagłębia Ruhry, Kolonii, Hamburga, Bremy na liście RAF-u znalazł się Hanower. Ben wrócił z tej wyprawy dopiero po dwóch latach spędzonych w niewoli. Obóz dla zestrzelonych lotników, gdzie przebywał, mieścił się w północnych Niemczech. Lehrte nazywała się ta dziura.

Nie dosłyszałem.

— Jak?

— Lehrte.

Skrzek nadlatującej mewy, chrypliwy, żarłoczny skrzek i trzepot skrzydeł postawionych w pion do gwałtownej zmiany kierunku lotu wchłonał mój mimowolny jęk. Byłem wdzięczny temu wiecznie głodnemu ptaszysku. — Gdzie to jest? — spytałem obojętnie.

— W pobliżu Hanoweru. Pracowałem w młynie. Oficerowie byli zwolnieni od obowiązku pracy.

— To prawda — przyznałem. — Konwencja. Ale siedzieć za drutami dwa lata i nic nie robić... — Uśmiechnąłem się z politowaniem znad silnika, który w tym momencie zdecydował się zaskoczyć.

Lehrte leży osiem kilometrów od Burgdorfu., Przez pewien czas chodziłem tam do szkoły.

— A nasi nie zrzucili wam czego na dach?

— Szkoda bomb na taką dziurę. Ale słyszeliśmy ich każdej nocy, jak przelatywali. Potworny łoskot, a był to tylko przelot. Nie wyobraża pan sobie.

— A lądowych walk tam nie było? — dopytywałem się.

— Walki skończyły się nad Renem. Potem były już tylko białe flagi. Totalna kapitulacja. Tu i ówdzie szamotaniny nieco było. Komendant naszego lagru, jak się dowiedział, że czołgi Monty'ego blisko, zapragnął uprzętnąć świadków swego temperamentu... Wywiązała się między nami wymiana zdań, w której toku byłem zmuszony wytrącić mu z łapy jego parabellum 08. Przywiozłem je sobie na pamiątkę.

— Parabellum? — podjąłem. — Podobno niezła rzecz, gdzieś się z tym pistoletem już spotkałem. Z kolekcji mego ojca pozostało kilkanaście sztuk broni, ale jak się orientuję, niemieckiego parabellum tam nie ma. Gdyby pan dowiedział się o jakimś egzemplarzu na sprzedaż, proszę dać mi znać.

— Nie przywiązuję do tej sztuki aż takiej wagi, sir — odrzekł Ben bez wahania. — Jeżeli panu zależy...

— Dziękuję, nie! — zaprotestowałem. — To pańska zdobycz. Pozostawi pan ją w spadku swoim dzieciom.

Przed odbiciem od pirsu wpadło mi coś do głowy.

— A jak trafił pan do mojej siostry? Pan jest tutaj od miesiąca, tak? Jeżeli się nie mylę, rodem z Plymouth?

— Tak jest, sir. Posadę tę dostałem przez koligacje rodzinne, że tak powiem. Mój ojciec był osobistym kierowcą pańskiego ojca. Pamiętał pana jeszcze jako brzdąca. Zginęli tego samego dnia...

— Co za zbieg okoliczności!

Po długiej podróży słyszę zza okna znany mi głos zawiadowcy stacji, Fritza Bettinga: „Burgdorf! Burgdorf! Bitte aussteigen!” Wyskakuję z pociągu na drugim peronie, schodkami tunelu pnę się do hallu dworcowego, a tam... Boże drogi: matka, Brigitte z dzieckiem... — Nareszcie w domu! — wołam. — A to moja zdobycz! — pokazuję z dumą dyplom ukończenia London Royal Maritime Engineering College. — Już nie rozstaniemy się więcej!

Bo te moje tarapaty związane z wojną, z U-1852, i tak dalej były tylko snem.

Nakazałem Benowi zrzucić cumę z polera i okręciłem manetkę gazu do oporu. Z wściekłym bulgotem wody pod śrubą „Gloria” odskoczyła od pirsu niczym torpeda wystrzelona z komory i szybko oddaliła się od brzegu.

Zatoka zabieliła się już skrzydłami jachtów i żaglówek kołyszących się na fali niczym chmara łabędzi pod podmuchem wiatru. Przyplływ. Woda zalała obnażony odpływem brzeg, pochłoneła złote pasmo plaży, podeszła pod bulwar ciągnący się wklęsłym łukiem aż do Paignton — pięć mil na południowy zachód od stolicy „Riwier Angielskiej”, jak nazywają Torquay — spinający te dwie miejscowości w eldorado wypoczynkowe dla bogatych. Nie brakuje tu pałaców gry, ekskluzywnych hoteli, uroczych deptaków z palmami i cyprysami śródziemnomorskimi, z drzewami eukaliptusowymi, spotkać tu można mnóstwo pań zjeżdżających się z całego kraju, przystojnych panów, w większości już w cywilnych garniturach, podszywanych książeczkami czekowymi renomowanych banków, z własną służbą, a nawet z własnymi wierzchowcami, na których w porannym słońcu — kiedy plaża

jeszcze nie wyschła po odpływie — dotleniają się, nabierają sił do czekających ich nerwowych wieczorów w salonach gry, do zapasów na salach dancingowych, będących uwer-
turą do jakże pracowitych igraszek nocnych. — It is not bad — powiadają o Torquay zdemobilizowani oficerowie, zblazowani urokami Jamajki, Barbadosu, wysp Oceanii. Zaiste, potrzeba dużej znajomości świata, aby nie zachwycić się tym zakątkiem Anglii, obmywanym przez okrągły rok ciepłymi wodami Golf-stromu.

Im bardziej oddalam się od brzegu, tym bardziej zamazuje się w oczach bulwar, wieże kościołów Świętej Marii, Świętego Jana, słynne ruiny opactwa Torre, kopuła gmachu Opery, secesyjne, jasne w kolorach frontony hoteli, przycupniętych obiecująco pod białymi plackami wapiennych wzgórz okalających miasto, przemienia się w bezdrzewną czapę rakowatej narośli, w przydeptany kapelusz olbrzymiego grzyba wystającego z powierzchni morza.

Trzymając ster na południowy zachód, ku cyplowi Brixham, ku któremu spływają niemieckie miny niesione Golfstromem, patrzę na klifowy brzeg ukazujący swoje nie zablźnione wnętrze, na białe plamki chat rybackich, ulepionych niczym jaskółcze gniazda na krawędzi wysokiej półki lądu, na wysunięte z wody czujki podwodnych raf wulkanicznych, wabiących do swoich grobów przybyszów z dalekich krajów; na klucze samolotów patrolujących przybrzeżne wody.

Na widnokregu ukazały się jakieś niewielkie jednostki pływające. Podniosłem lornetkę. Teraz widzę je wyraźnie. Pomalowane w kamuflujące zygzaki zlewają się z niebieskimi chmurami przygaszonymi grafitem — kolorem posztormowego nieba. Rozpoznaję ich charakterystyczne sylwetki. Nie są to dozorowce przybrzeżne ani kutry rybackie, jak w pierwszej chwili myśla-
łem. Jest więcej tych kaczkowatych maluchów. Holując parami stalowe sieci, przecierają akwen za dryfującymi minami przygnanymi tu przez sztorm. Gęsto rozstawione czerwono-
żółte pławy, ryczące jak zarzynane woły, ostrzegają o niebezpieczeństwie.

Ustawiłem ster między rozchybotane na fali stożki pław i dodałem „Glorii” gazu.

Już za sekundę odezwał się brzęczyk radiotelefonu.

Nie sięgnąłem po słuchawkę. Do pław miałem prawie milę. Najbliższa para trałowców była daleko przede mną. Brixham malował się za moimi plecami białą wapiennych skał — to już otwarte morze. A „Gloria” wibrowała pod zdecydowaną ręką niczym rasowy koń wyścigowy ściągnięty ostrogami.

Uparty ten radiotelefon! Mogę udawać, że go nie słyszę. Ale jako były, w moim obecnym wcieleniu, oficer pokładowy marynarki handlowej nie mogę nie wiedzieć, że od momentu wyjścia poza pas wód przybrzeżnych znalazłem się pod kontrolą radaru, że już w tej chwili wszystkie jednostki nadzoru piętnastomilowego odcinka Torquay—Brixham—Dartmouth mają na ekranach tych czułych macek radiolokacyjnych świetlny punkcik zbliżający się do strefy zakazanej dla żeglugi, że nie będąc szaleńcem nie mogę kontynuować kursu, gdyż zanim osiągnę linię pław, zwali mi się na kark cała połączona latająco-pływająca armada tego najlepiej w świecie strzeżonego brzegu morskiego.

Wytraciłem szybowanie po szczytach fal i zataczając łuk położyłem moją raketę na kurs powrotny. Zrobiłem to wolno, aby oczy śledzące ekrany radaru właściwie odczytały mój manewr. Dopiero potem podniosłem słuchawkę radiotelefonu.

— XYCT! XYCT! — zgłosiłem się sygnałem rozpoznawczym „Glorii”, po czym wgniotłem przycisk słuchania.

— Czy pan mnie słyszy? Czy pan mnie słyszy? — zachrobotał w słuchawce baryton mego niewidzialnego prześladowcy. — Over!

Słyszę pana! Tak, słyszę, dziękuję. Over!

— Pański aparat warto by chyba sprawdzić na lądzie, nie sądzi pan? Mowa o pańskim radiotelefonie... Over!

— Tak to rozumiem. Zrozumiałem, dziękuję. Over!

— Cała przyjemność po naszej stronie. Życzymy dobrego wiatru. Koniec!

Godzinę później dobiłem do przystani.

— Zapomniałem panu powiedzieć, sir, że nie mam zaufania do tego radiotelefonu — były

pierwsze słowa Bena. — Postaram się, aby więcej pana nie zawiódł. — Podając mi rękę do zeskoczenia na pirs, dodał: — Zatoka jest w stu procentach bezpieczna dla żeglugi. Także morze, aż do Dartmouth, piętnaściamił stąd. Akwen zagrożony zaczyna się dziesięć mil dalej, na południowy zachód od Dartmouth, ale ci z ochrony wolą dmuchać na zimne... Mam nadzieję, że przejażdżka się udała.

Przyjemny chłop ten był sierżant RAF-u!

Florence przysłała po mnie na przystań samochód z kierowcą. Na tylnym siedzeniu ojcowskiego, wielkiego jak karawan rolls royce'a położyła na znak pojednania piękną różę.

Nie mogę okazać się niewdzięcznikiem. Odesłałem wcześniej zamówioną taksówkę i niczym udzielny władca, z wonną różą przy ustach, kazałem się zawieźć do mojego zamku.

W szeregu samochodów na parkingu hotelowym mignęła mi karoseria czarnego austina z exeterską rejestracją.

Znad siedzenia wystawała ładnie uczesana głowa, z otwartych drzwi — zgrabne nogi w bucikach na wysokim obcasie i rąbek wieczorowej sukni. Rozpoznałem ich właścicielkę.

Pewnego dnia wybrałem się do Exeter. Nie z powodu Barbary Black. Nie myślałem o niej, choć nie powiem, aby nie wywarła na mnie wrażenia. Inteligentna, dowcipna, zgrabna — musiała się podobać. Ale było w niej coś, co jakby eliminowało ją w moim odbiorze jako kobietę. Czułem to podczas spotkania w Plymouth, byłem tego pewny po naszym rozstaniu. Stanowiła ładny obraz, wart obejrzenia, którego jednak nie zawiesiłbym sobie w gabinecie, a tym bardziej w sypialni: zmuszała mnie do ciągłego uważania na siebie, czymś górowała nade mną. Wycieczka do Eter nie wiązała się z nią Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że miała charakter wyłącznie krajoznawczy: Martin Strang nie mógł nie znać miejsca urodzenia i zamieszkania swojej tragicznie zmarłej przed wojną babki, którą jako chłopiec często odwiedzał.

Niejako przy okazji, przemierzając główną ulicę miasta, spostrzegłem wymalowany na szybie narożnego budynku znak Brytyjskiego Czerwonego Krzyża. Nie było to nic okazałego. Siedziba odpowiada rozmiarom miasta (sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców).

W nie tkniętej przez wojnę — poza Plymouth — części kraju organizacja ta nie musi cierpieć na nadmiar pracy. Kusilo mnie do zapuszczenia przez okno żurawia, ale się zmitygowałem: mógłbym zostać zauważony przez Barbarę albo, co gorsza, wejść do środka, ograniczyłem się więc do inspekcji zdalnej. Po powrocie do Imperialu robiłem sobie wyrzuty. Dlaczego nie wstąpiłem i nie poprosiłem jej na lunch? Nasze pierwsze spotkanie nie było udane. Rozważając możliwe konsekwencje odwiedzin jej, spostrzegłem, że od wyjazdu z Sydney prowadzę pustelniczy tryb życia. Jest w nim Florence, osoba bardzo mi bliska i równocześnie nieosiągalna. Deprymujące odkrycie. Na jednej szklanej górze zamek z samotną Flo, dwie mile dalej drugi ze mną, odludkiem w swoich murach. Myślałem o zatelefonowaniu do Barbary i w zależności od reakcji... I nagle taka niespodzianka!

Zapadał zmierzch. Nad Torquay rozsnuwał się ciepły wieczór. Rzuciłem okiem na niebo, jeszcze bez gwiazd, pomalowane pur-purowo-złotymi językami utopionego w morzu słońca. Z podjeżdżających na parking samochodów wysypują się roześmiane twarze par w wieczorowych strojach. Coraz więcej stolików na salach hotelu wziętych w posiadanie. Bóg nie zawodzi Anglii, Imperial swoich gości — miejsca starczy dla wszystkich. Z białego packarda wysiada starszy pan z uroczą dziewczyną pod rękę; stolik już na nich czeka. Dla następnej pary i dla następnej miejsca też nie zabraknie. Kawalkada przybywających pojazdów nie ma końca. Jedna limuzyna odjeżdża, na miejsce po niej wtacza się następna. Pieniądze, uroda, dostojność, władza. Zapalają się kandelabry, reflektory padają na podjazd, goście podnoszą się z miejsc. Z lektyki z kości słoniowej, inkrustowanej rubinami, wysiada król królów, Wilhelm Zdobywca I, wraz z Matyldą Flandryjską, panią swego porywczego serca. Wśród schylonych głów książąt, lordów, rycerzy królewska para obejmuje w łaskawe władanie na tę noc swoją nową zdobycz.

Dyrygent orkiestry podniósł batutę w górę. Tusz i chór spontanicznych okrzyków: God save the King! God save the Queen! Bless their royal Majesties! Bless the wine, song and love!*

To the Love! — właściwy toast dla dzisiejszego wieczoru. Księżniczko Turandot, pomyślałem, przysłana tu przez bogów w standardowym wehikule dwudziestego wieku. Jestem ci wdzięczny za odwagę. Przebyłem za tobą siedem gór i siedem rzek nie wiedząc, że jesteś tak blisko.

*Boże, chroń króla! Boże, chroń królową! Pobłogosław ich królewskie majestaty! Pobłogosław wino, śpiew i miłość! (ang.).

Musiała widzieć w lusterku mego rolls royce'a, kierowcę z czapką w ręku otwierającego usłudze drzwi, mnie dziękującego mu nieporadnie za ten cyrk — do roli magnata w angielskim wydaniu jeszcze się nie przyzwyczaiłem — ale nie okazała tego. Podszedłem do jej otwartego wozu.

— Hello, Barbara!

Zgrabne nogi w złotych bucikach na wysokim obcasie wyprostowały się na całą swoją imponującą długość, oczy ich właścicielki zapłonęły zachwytem.

— Och, Mart, jaka piękna! Cudowna! Sprawileś mi przyjemną niespodziankę. Naprawdę! Podarowaną jej różę podniosła do ust i jak żywą istotę ucałowała.

— Mało wykazujesz inicjatywy, więc spróbowałam. — Z kwiatem przy ustach uśmiechnęła się zagadkowo. — Nie poprosisz mnie do swego pałacu? Czekałam — spojrzała na zegarek — bite trzy godziny!

Odebrała mi tym odwagę. W Imperialu obowiązują stroje wieczorowe albo mundury, wyjątków nie ma. Myślałem o przebraniu się, o zostawieniu jej na ten czas w kawiarni. Ale ona przekreśliła te plany kierując się ze mną do windy. Modliłem się o zapadnięcie się tego urządzenia pod nami w przepaść. Winda się nie zapadła, świat się nie zawalił, zamek w drzwiach apartamentu 209 skapitulował na sam widok klucza. Liczyłem na pomoc sił nadprzyrodzonych jeszcze w salonie. Pokazując jej, ciekawej rezydencji posiadacza rolls royce'a, sypialnię, pogodziłem się z nieuchronnym. Księżniczka Turandot nie puszcza słów na wiatr. Przejęcie inicjatywy rozciąga się u niej na całe przedsięwzięcie.

W wytrawne ręce oddałem ster wieczoru. Będąc sam na mostku dowodzenia tego okrętu, nigdy bym nie pognał ani tym kur.-em, ani w tym tempie. Brytyjski Czerwony Krzyż angażuje siły wysoko kwalifikowane. Retoryka, zbędna artykulacja nie mają u nich prawa bytu. Z nie słabnącą fascynacją przypatrywałem się z łóżka jej małpko ciekawskiej — nic nie uchodzi jej rękóm — włóczędze po mojej sypialni. Jest ona żywą rzeźbą Michała Anioła Buonarot-tiego czy produktem moich wyposzczonych chuci? zastanawiałem się. Mam przed sobą modelkę, którą postanawiam utrwalić na płótnie. Staję więc przed sztalugami, biorę do rąk paletę i zaczynam. Model jest harmonijnym tworem natury o ślicznej twarzy, wyzywających puklerzach piersi, o brzuchu, któremu nie można nic ująć, nic w jego rzeźbie poprawić, o gorejącym pod nim krzaku czarnej jagody, którego owocem nie można się nasycić. Ta szkoła malowania jest zbyt oklepana. Jest fotografowaniem na płótnie za pomocą farb i pędzla, jest odwzorowywaniem rzeczywistości, a mnie chodzi o jej wizerunek powstały we mnie. Postrzegam ją jak ślepiec — intuicją, ta zaś nie ma nic z francuskiego rodem kubizmu, nic z brutalnego kontrastu ekspresjonizmu; udziwołażony pikasowski syntetyzm by ją tylko przepoczwarzył w odwrotną stronę — z motyla w larwę. Wiem, jak ją namaluję: zrezygnuję z kształtu i symetrii na rzecz bezprzedmiotowych płaszczyzn i brył, oddam ją... abstrakcyjnie! Mam więc przed sobą nie doskonały twór natury, lecz mojej wyobraźni — twór bez rąk, bez głowy, bez nóg; mam ciemną otchłań z płonąca gwiazdą w sercu paralizującą moją wolę Paleta wypada mi z rąk. Nie mogę dłużej patrzeć na nią, nie pożądam jej znowu, ale nie wolno mi tego mojej modelce okazać Wszystkie godziny od przekroczenia przez nią progu sypialni nawet podczas szczytowania, błąka się na jej twarzy zagadkowy uśmiezek żony florenckiego kupca. Jestem ciekawy, co się pod nim kryje, a nie wiem, jak się do niego zabrać.

Tajemnicza Turandot. „Jeżeli, bezimienny konkurencie, rozwiążesz trzy zagadki, będę twoją

wraz z połową mego cesarstwa Ale ostrzegam: niewiedzę przypłacisz głową!”

Przeciągnąłem się rozkosznie. Tajemnica jej krzaka czarnych jagody została przeze mnie zgłębiona. Warto by, pomyślałem po znać pozostałe dwie.

— Co porabiałaś podczas wojny? — spytałem — Nic mi u siebie nie powiedziałaś.

Turandot puściła pytanie mimo uszu.

Pochylona nad sekretarą z moimi nie uporządkowanymi szpargałami podniosła dwie książki, które nabyłem w Plymouth O! — zawołała — rozczytujesz się w lataniu i nawigacji morskiej Ty, doświadczony żeglarz...

Nie ustąpiłem.

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy to tajemnica? Kiedy wojna się zaczęła, kończyłaś studia. Pracę w Exeter zaczęłaś niedawno. Chyba nie spędziłaś tych lat na robieniu n drutach... A może zabawiałaś się w Matę Hari? — zażartowałem. — Przy twojej urodzie...

Spoważniała. Już bez książek w ręku oparła się o sekretarę i długo patrzyła na mnie. W salach hotelu witano szampanem północ, piętro wyżej, piętro niżej uprawiano w sypialniach za ciekłe przetargi we dwoje, stare jak świat, o rozkosz, o prze trwanie do jutra, o guzik, dwie mile dalej targana niepewnością o mnie Florence krąży nerwowo po salach swojej kamiennej twierdzy albo zmorzona środkami nasennymi, których używa nader często, śni o... Z udręki swego czulego serca nigdy się przede mną nie zdradziła, ale że nocy dzisiejszej nie prześpi, spokojnie, to wiem.

Miałam odpowiedzieć księżniczka Turandot uniosła się na swoich skrzydłach od sekretary, przywarła do mnie ustami i tajemnicę swoją przypieczętowała swoim ciałem.

Dotąd poznałem w niej nienasyconą samicę. Oddawała się i dla siebie, i dla sztuki; teraz obudziła się w niej tragiczna kobieta, która usłyszała w celi drugi dzwonek. Za chwilę rozlegnie się trzeci i będzie musiała opuścić swego mężczyznę na zawsze. Nieuniknione nastąpiło. Gdy uderzył, z przeraźliwym skowytym wbiła się we mnie paznokciami i sczepiona ze mną, zastygła. Symfonia skończona. Pogłos ostatniego akordu odbity od mebli w stylu królewskiego baroku wolno przesiąkł przez ściany w nieskończoność. Kiedy serca się uspokoiły, przylgnęła do mnie tkliwie, jak do ciała ukochanego składanego do grobu.

Płakała, ale to mi wciąż nic nie mówiło. Była zagadką od poznania w pociągu i pozostała zagadką do opuszczenia mnie nad ranem. Prawdziwa księżniczka Turandot

Nie zamówiłem smokingu na żadną szczególną okoliczność. Komplet ten, jeden z siedmiu wykonanych dla mnie, uszyty został niejako dla podtrzymania tradycji rodziny Strangów, do rzadkości bowiem należało, jJIV ojciec Martina widywany był w tym samym garniturze często; ty, zawyrokowała władca Flo-rence, nie możesz być mniej elegancki.

Jednorzędowa marynarka koloru podświetlonego szafiru spływała z barków strumieniem rzeki, aby od bioder rozdzielać się w dwa smukłe rozwidlenia. Koszula z miękkim kołnierzem, zawiązany podwójnie krawat, tego samego koloru chusteczka zwisająca niedbale z kieszonki dopełniały całości. Bezwład prawego ramienia przydawał odbiciu w lustrze nobliwej dostojności. Wystawiłem czek na kwotę znacznie przewyższającą cennik firmy. Nie zgodziłem się z protestem krawca, którego dwa poprzednie pokolenia Strangów nie przyzwyczyły do takiej hojności. Dzieło artysty — osłodziłem jego zgorszenia grzeszną w tym kraju rozrzutnością — nie mieści się w żadnym cenniku.

Pławiłem się w odbiciu w lustrze. Mężczyzn ubranych z taką wyszukaną elegancją widywałem na amerykańskich filmach, których akcja rozgrywała się w kasynach gry, a bohaterami byli milionerzy obwieszani kobietami. Niczym im nie ustępowałem. Z łóżka, naga, z głową opartą na ramieniu, przyglądała mi się Barbara. Dostrzegłem w jej oczach to, czego nie było w nich w żadnej fazie naszej szalonej nocy — oniemienie mną. Wystarczyło spojrzeć na nią łaskawie, aby legła u mych stóp, ale nie jak dumna Turandot, posyłająca swych niedoszłych zdobywców pod topór. Już mnie znowu pragnie, widzę to po jej spalonych gorączką wargach, ale niech się pomęczą. Barbaro, ujarzmiłem cię! Panem twoim jestem, a ty moją niewolnicą!

Niełatwo było mi oderwać się od lustra. Barbara, po wyczerpującej nocy i dniu pracy, jeżeli

nie ma nadludzkich sił, odpoczywa u siebie w Exeter. Skromny eks-sierżant RAF-u oprowadza swoich gości po swojej kamiennej landarze. Właśnie przybyli. Za pięć i pół godziny przyjadą całą paczką do Imperialu. Zgodnie z umową Flo przedstawi mnie jako swego kuzyna Roberta Errola. Była podniecona. Nikt nie jest wolny od próżności, jaką dają wielkie pieniądze. Można się od niej odzegnawać, to nawet przyjemnie widziana zabawa. Do dobrego tonu należy niewiedza o jej istnieniu. Ale przecież w człowieku świadomym swej wagi ta specyficzna moc promieniowania na otoczenie musi być wiecznie żywa. Rozmawiając ze mną Flo nie wspomniała o wczorajszej scenie między nami, zachowała się, jak gdyby nigdy nic. Ale była czymś podniecona. Czy przypadkiem w jej pięknej główce nie kołocze się jakaś dalekosiężna myśl? Podejrzanie ciepło wypowiada się o tej Lidii.

Zamówiłem budzenie na piątą trzydzieści. Mnie także trawi podniecenie. Czuję się, jak gdyby aktorstwo moje było wystawione na generalną próbę.

Z pomocą pokojowego ubrałem się w mój nowy nabytek. Pierwsze wrażenie potwierdziło się w całej pełni. Ten facet w lustrze... Jezus Chrystus patrzył na mnie. Broda przyszytych maszynką, włosy ukołysane w pastelową ramę wokół głowy, odziany w smoking-szał. Co bym mu odjął, a co dodał?

Nie ogoliłbym jego zarostu. Z pasmami siwizny szczecina zarostu przydaje mu czegoś orientального, a szafir smokingu i atrament koszuli... Osadzić go na słońcu, głowę nakryć tuiba-nem z królewskim diademem, służba, dużo służby, słońce, strzelby, tygrysy... Jego ekscelencja maharadża Hyderabadu!

Dajmy pokój wyobraźni i przygotujmy się duchowo na mój premierowy występ na tak wielkiej scenie. To o uporządkowaniu ducha nie jest pustym frazesem. Lekkość, kołatanie serca; stanąłem na progu tajemnej komnaty czarownika — tak nazwałbym moje samopoczucie.

Za kilka minut Flo zjawi się z przyjaciółmi w hotelu, a mnie pożera ciekawość. Umówiliśmy się nietypowo jak na rezydenta hotelu: spotkam ich nie na podjeździe, tylko przy zarezerwowanym stole w sali królewskiej, mam więc czas. Zajmę miejsce w przyległej do restauracji salce five o'clock, pomyślałem, i, sam niewidoczny, przyjrzę się towarzystwu. Za oknem miałem wiecznie ruchliwą serpentynę, dalej, za linami palm, cyprysów, krzewów porastających zbocza na którym stoi Imperial, rozpościerała się urzekająca panorama miasta. Żaden podjeżdżający pod hotel samochód nie mógł ująć mojej uwagi

W samą porę przybyłem. Zdażyłem wypalić poł papierosa, gdy taras zajęły dwie taksówki. Wiedziałem, że Flo nie pozę się przed gośćmi swoim rolls royce'em. W pierwszej taksówce była ona z dwoma oficerami, z drugiej wyskoczył — z miejsca obok kierowcy podpułkownik, który z gracją stanął la baczność przed dwiema wysiadającymi pasażerkami. To byli oni Wszyscy w mundurach lotnictwa z naszywkami „Canada” na rękawie. Ten podpułkownik, chłopisko przynajmniej mego wzrostu, to dowódca dywizjonu bombowców, Lou, dwaj flying captains to Harley i Denis, ciepła blondynka to Eulalie, a strzelista (obie w stopniu poruczników), rudawa szatynka to owa Lidia.

Flo nie przesadzała. Rzeczywiście piękna. Cała szóstka, roześmiana, w dobrym nastroju, poczęła uzgadniać coś między sobą, mogłem więc podpatrzeć ich z ukrycia. Lou wyglądał jak drwalisko z kanadyjskich lasów, odziane dla frajdy w mundur oficera lotnictwa, jego koledzy niczym szczególnym się nie wyróżniali; Eulalie — owszem, ale Lidia z miejsca zagarnęła uwagę panów z ławek na tarasie, wyjątkowa uroda! I te przyciągające spojrzenia piegi na policzkach, na nosie, wokół wydatnych ust... Zaraz. Takie piegi, oczy, usta już gdzieś widziałem. Przypatrzyłem się jej uważnie. Tak, i ten głos też już gdzieś słyszałem. Takiego głosu się nie zapomina...

Boże, uzmysłowiłem sobie z przerażeniem, to przecież moja koleżanka ze studiów w London Engineering College! To ta Lidia z dorzecza Saskatchewan w prowincji Alberta, wielbicielka kotów, psów, wiewiórek, czerwonych saren, nosiła się jak Indianka ze szczepu Kitunahan, fenomen pamięci wzrokowej nie gorszej od aparatu fotograficznego, przezwana również na uczelni „Lejka”, recytująca z głowy całe strony tekstu po jednorazowym przeczytaniu.

Dziewczyna z taką pamięcią nie zapomina twarzy, którą widziała choćby raz.

Gore pode mną!

Będą na mnie czekać. Zamówią drinka i poczekają pięć, siedem minut, po dziesięciu Flo urwie się, aby mnie odszukać. Co robić?

By nie przechodzić przez główny hali, gdzie mogliby mnie dostrzec z sali restauracyjnej, bocznym wyjściem przemyciłem się do sekcji służbowej hotelu i pod głupim pretekstem zabrałem się windą towarową na górę. Personel pomocniczy hotelu mnie nie zna, ale mimo to czułem się jak złodziej. Zatrzasnąłem za sobą drzwi apartamentu. Spływałem rzeką potu.

Ogarnęła mnie panika. Drogę przez hali miałem zamkniętą, ze światem zewnętrznym łączyły mnie telefon i balkon z betonowym tarasem na dole. Pułapka. Lajadaja mnie rozpozna. W swojej lejkowskiej pamięci na pewno przechowuje obraz jedyne go na uczelni stypendysty z hitlerowskich Niemiec, tym bardziej że nie zważając na politykę, zarzucała na niego, niesprawnie wtedy, sieci.

Duszno mi. Zdarłem z siebie marynarkę, krawat, przepoconą na ścierkę koszulę. A na dole kelner podał już pewno karty dań, poleca napoje... Mnie też przydałby się łyk scotcha. Alkohol! Nic nie rozjaśnia głowy tak jak alkohol. I zimny prysznic.

Z łazienki wyrwało mnie walenie do drzwi. To Flo. Stan gotowości bojowej ogłoszony. Nie mogę jej wpuścić. A jeżeli jest z Lidią?

Zostawiłem tę myśl. Nie miałem czasu. Narzuciłem płaszcz kąpielowy i boso pobiegłem do drzwi.

Flo przyszła sama.

— Jak ty wyglądasz? — były jej pierwsze słowa. Hamowała oburzenie zmieszane z uczuciem ulgi, że nic mi się nie stało, ale i z niewiarą. — Co to ma znaczyć? Od pół godziny dobijam się do ciebie, gotowam zaalarmować cały świat, podczas gdy ty...

Przeleciała wzrokiem salon, zatrzymała się na barykadzie drzwi do sypialni. Zamkniętej. — Mart — spojrzała oczyma zdradzanej żony — nie mam prawa wtrącać się w twoje prywatne sprawy, lecz... Nic mnie one nie obchodzą — podjęła stanowczo — ale dzisiejszy wieczór przeznaczyłeś dla moich gości. My czekamy, Mart! Prawie godzinę...

— Godzinę?

Przygryzła wargi. — Ubierz się, proszę, i schodź na dół. Moje towarzystwo czeka.

Jej towarzystwo czeka, a w mojej głowie pustka. Co jej powiedzieć?

— Sam nie dam rady, wiesz — wpadło mi na język — czuję się fatalnie. Naprawdę.

— Zaraz wezwę pokojowego. Powinieneś mieć kamerdynera, zawsze ci mówiłam. Z tą niesprawną ręką...

— Kamerdynera? — przerwałem jej. Ta władcza osóbką chce mnie wziąć pod kuratelę! Jeżeli matka Martina była taka jak ona, nie dziwię się, że chłopak dał nogę z domu. — Nie potrzeba mi żadnego stróża, daję sobie radę. Wystarcza mi pokojowy.

— Nie stróża, tylko kamerdynera, który jest ci potrzebny — perswadowała jak smarkaczowi. Podniosła słuchawkę telefonu.

— Flo — powstrzymałem ją. — Spróbuj jakoś sam doprowadzić się do ładu, ale nie gwarantuję. Ja naprawdę...

— Ubieraj się! — Pchnęła mnie energicznie w stronę sypialni. — Już!

Zamknęła za mną drzwi i stanęła przy nich na straży. Co ona sobie myśli!

Ogarnęła mnie wściekłość. Cisnąłem koszulą o lustro, podeptałem szafirowy smoking. Nic mnie jej głupi goście nie obchodzą. — Nie ubiorę się! — oświadczyłem kategorycznie. — Nie pozwolę traktować się jak rzecz. Byłem dotąd wyrozumiały dla twoich wielkopańskich fanaberii, ale już koniec, ani kroku dalej. A teraz zostaw mnie samego!

Zawinięty w płaszcz kąpielowy zabarykadowałem sobą przejście do sypialni. Za nic miałem jej osłupiałe oczy.

Florence pokiwała żałośnie głową.

— Teraz rozumiem... Masz w sypialni kobietę.

Kobietę? — Parsknąłem śmiechem. — Proszę bardzo! —

Rozwarłem drzwi na oścież.

Florence podeszła do mnie i pociągnęła nosem.

— Ty piłeś! — krzyknęła raptem. Przeleciała obok mnie jak burza, spenetrowała sypialnię, zajrzała za kotary, w łazience znalazła butelkę whisky. — Boże — podniosła ją pod światło — prawie pusta... Przecież to zabójcza ilość, teraz rozumiem twoją niechęć do zamieszkania ze mną. Chcesz być sam. Unikasz ludzi. Często jesteś dziwny, wręcz nieodpowiedzialny. Tłumaczyłam to sobie twoimi przeżyciami, lecz obecnie wiem, o co chodzi. O picie w samotności! O zapijanie się...

— Przestań!

— ...na umór. Tego się po tobie nie spodziewałam. Zawiodłeś mnie. Co to byłoby za cios dla rodziców!

Dalej słowa potoczyły się lawiną. Padło dużo słów, niepotrzebnych.

— ...Zawiodłeś! Wstyd mi za ciebie!

Wywiązała się okropna scena. Nie wiem, jak mogło do niej dojść.

Ja: — Nic podobnego! Nie przynoszę wstydu moim rodzicom. Nigdy nie przynosiłem im ujmy, Ula może to poświadczyć!

Ona: — Ula... Też Amerykanka?

Ja: — Nie, Niemka. A bo co?

Ona: — Dowiaduję się o coraz to nowych adoratorkach. Gratuluję powodzenia u przedstawicielek naddludzi.

Ja: — Dziękuję.

Ona (chwyta się za skronie): — O Boże, a ja nic nie podejrzewałam.

Ja: — A co miałaś podejrzewać?

Ona: — Boże, Boże...

Ja: — Pytam, co jest we mnie podejrzanego, dlaczego nie odpowiadasz? Otoczyłaś mnie zgrają szpiclów! Gdzie się nie ruszę, oni! Ale nie łudź się, i tak mnie nie dostaniecie!

Ona: — Mart, jesteś chory. Ciężko chory. To już stan alkoholowego...

Ja: — Delirium tremens? Nie pozwolę się obrażać! Nie pozwolę, nie pozwolę, nie pozwolę — uderzyłem pięścią w stół. — Zostaw mnie samego. Już! — Otworzyłem przed nią drzwi. — Żegnaj panią!

Zrobiło mi się słabo. Nie wiem, co było dalej. O północy zbudził mnie tusz orkiestry i rozbawione głosy na tarasie, ale przede wszystkim potworne pragnienie. Leżałem w łóżku odziany w pidżamę, której nie używam, bo sypiam nago, na stoliku paliła się nocna lampka, której nie zapalałem. Sięgając z obolałą głową po syfon z wodą sodową natknąłem się na kartkę papieru. Podniosłem ją do oczu. „Rozumiem twoje oburzenie — czytałem znane mi pismo — posunęłam się rzeczywiście za daleko. Rozumiem cię. Tak bardzo cię kocham, mój drogi, jedyny bracie. Przebac mi, Flo”.

Wkrótce na Florence spadł kolejny cios.

Z dalekiego Los Angeles pewna osoba wystąpiła do niej za pośrednictwem spółki adwokackiej Hartfield and Hartfield z roszczeniem. Tytułem zadośćuczynienia za poniesione i wciąż ponoszone krzywdy moralne, za przegrane życie, matka dziecka spółdzonego z jej wiarołomnym bratem żąda odszkodowania w wysokości dwóch milionów funtów szterlingów, czyli ośmiu milionów dolarów. Odszkodowania horrendalnego.

Za osiem milionów dolarów można kupić z amerykańskiego demobilu kilka frachtowców oceanicznych klasy „Liberty” po dziesięć tysięcy ton nośności każdy, można wyposażyć brygadę pancerną w czołgi typu „Sherman”. To ciężkie pieniądze. Nawet dla tak wielkiego armatora jak Orient Lines z siedzibą w Plymouth.

— To szantaż! Podłość! Okropne!

— Owszem, droga panno Florence, i pierwsze, i drugie, i trzecie, i jeszcze tysiąc innych słów potępienia dla tej pazerności — mówił pan Grant, radca prawny Orient Lines. — Im mocniej to w potocznym języku nazwiemy, tym większy upust damy emocjom, lecz sprawie nie pomożemy. Musimy się posługiwać językiem prawa. Spółka Hartfield and Hartfield sugerują

rozwiązanie polubowne, gdyby zaś je odrzucono, grozi skierowaniem sprawy do sądu, wychodząc ze słusznego założenia, że będziemy woleli uniknąć publicznego rozgłosu. Wspomniała pani o zaskarżeniu roszczonego o szantaż. Można, tylko co to da?

Wycofanie dwóch milionów funtów to naruszenie fundamentów przedsiębiorstwa, żaden sąd brytyjski tego nie przyzna. Nie zasądzi takiej kwoty, a jaką zasądzi, nie wiemy. Wiemy natomiast, co następuje: po pierwsze — panna Amalie Langley ma sądowe orzeczenie ojcostwa swego dziecka; po drugie — brat pani potwierdził spłodzenie z nią tego dziecka swoją darowizną, uznał je tym samym jako swoje. Szlachetnie postąpił pan Martin, czy jednak roztropnie? Usynawiając to dziecko, uczynił je formalnie pretendentem do majątku rodziny Strangów. Zbladła pani. Rozumiem panią. Jako prawnik muszę jednak dopowiedzieć, że już obecnie jest ono potencjalnym udziałowcem jednej trzeciej majątku, a w wypadku braku dalszego poromstwa, tak ze strony pani jak i brata, zostanie wyłącznym dziedzicem całej masy spadkowej. Tak rzecz wygląda od strony prawa. Musimy się do niej ustosunkować.

Pyta pani o mój punkt widzenia. Jak do tego podejść? Jak rozegrać całą sprawę?

Brak podstaw do podważenia argumentów roszczenia nie oznacza konieczności uznania go w całej rozciągłości. Byłoby to kapitulacją już przed oddaniem przez przeciwnika pierwszej salwy. Sąd jest ostatecznością, o czym dobrze wie szanowna spółka Hartfield and Hartfield. Ponieważ sprawa w swym obecnym stadium podlega jurysdykcji brytyjskiej, orzeczenie zapadnie po tej stronie oceanu, i to nie tak rychło; jesteśmy znacznie powolniejsi w podejmowaniu decyzji od Amerykanów. Oczywiście jest, że tu nie chodzi o dobro dziecka, lecz o gotówkę. Żywą gotówkę. Krzywdę moralną matki brat pani wynagrodził, i to aż nadto sownie, niech więc kierują sprawę do sądu, który — o czym Hartfield and Hartfield też dobrze wie — uzna prawa dziedziczne dziecka, ale... dopiero po osiągnięciu przez nie pełnoletności, nic więc z gorącej gotówki nie będzie. Pozostaje zatem polubowne załatwienie roszczenia. Sprawa rozstrzyga się za kurtyną, żadnego hałasu, zainteresowane strony rozchodzą się usatysfakcjonowane. To bardzo dobry sposób, lecz dla dżentelmenów, a na takich osoby kryjące się za plecami panny Amalie Langley nie wyglądają. Ofertę polubowności przyjmujemy do wiadomości i czekamy. Ale nie bezczynnie.

Brat czuje się niedysponowany, chwilowo wolałaby pani oszczędzić mu przykrości. Mam nadzieję, że jego niedyspozycja nie potrwa długo i wkrótce skontaktuje się ze mną osobiście. Mógłbym złożyć mu wizytę w hotelu, niech mnie tylko powiadomi, kiedy życzyłby sobie mnie widzieć. Znajduję bowiem niejasności, które być może dałoby się dla sprawy wykorzystać. Obawiam się także, że pani brat zbyt ufa matce tego dziecka. Wiem! Stoi pani na stanowisku zapewnienia dziecku jak najlepszych warunków bytowych, nie zamierzam tego podważać. Mając jednak na uwadze, że dziecko nosi pani rodowe nazwisko, winniśmy całą sytuację wyjaśnić do końca, aby żaden fakt nie uchybił w przyszłości potomkowi tego rodu. Dlatego pozwoli pani, że niezależnie od oficjalnego orzeczenia, kanałem nieformalnym, bez wiedzy matki, zbadamy, czy procedura ustalania ojcostwa przebiegła prawidłowo.

Odzywa się we mnie kilka powtarzających się dźwięków jakiegoś utworu muzycznego. Słyszę je od dłuższego czasu. Wystarczy chwila pustki myślowej, a już są.

To nieuchronność gra we mnie. Wlecze się za mną trop w trop niczym pies gończy. Bezlitosny to prześladowca. Nie dają mi chwili wytchnienia dla nabrania sił, tym cyniczniej pastwiący się nade mną, im pewniejszy swej bezkarności, wiedzący, że podnieść decybele swojej orkiestry do morderczego crescendo będzie mógł po utracie przeze mnie samokontroli. Moment ten jest chyba niedaleki. Dla niego jestem już padliną. Jeszcze na nogach, ale już padliną.

Jest wyobrażenie piękna, dążenie do jego osiągnięcia, czyniące człowieka ślepcem, który prędzej czy później musi zderzyć się z otaczającą go rzeczywistością. Stan ten mam już poza sobą: już przejrzałem. I dobrze tak. Spoglądam na panoramę miasta, na zatokę, na morze i widzę zabudowania, wodę, nieboskłon — nic więcej. Postrzegam materialną rzeczywistość, a nie zwidy rozpalonej głowy, której się wydaje. Powinienem właściwie sobie pogratulować: osiągnąłem stan nadrzędności materii nad duchem, w którym widzę rzeczy nie skalane

wyobraźnią. Na przykład ten pałacyk z jasnego kamienia o odcieniu kości słoniowej na przeciwległym garbie wzgórz okalających miasto. Widzę samą budowlę, a nie kobietę wewnątrz pałacyku dobierającą przed lustrem kolczyki do swej wieczorowej kreacji. W sali pompejańskiej Imperialu księżę Bath of Devon wydaje dziś uroczyste przyjęcie. Zjadą się licznie goście przebywający okazyjnie nad morzem. Kobieta pragnie olśnić księcia, widać to po niepokoju, z jakim dopasowuje biżuterię do swej pięknej sukni, poprawia makijaż, nie może się zdecydować na torebkę białą z seledynowymi szmaragdami czy seledynową obszytą perłami. Nie widzę tej kobiety, nie widzą mężczyzny z orchideą w klapie fraka przypatrującego się niezdecydowaniu kobiety przed lustrem. Widzę rzeczy. Smutnie ogołocony jest świat widziany bez udziału wyobraźni, ale taki mi odpowiada.

Dziś Benjamin Stark przysłałmi parabellum. Ten przystaniowy Benjamin, zestrzelony podczas swego jedyne go lotu nad Niemcami. Ten z lagru jenieckiego w pobliżu Lehrte. „Nie jestem kolekcjonerem broni — napisał. — Oddaję to w bardziej godne ręce”.

Nie wiem, co cenić sobie bardziej: te słowa czy parabellum 08, zdobyte przez niego nie bez ryzyka. Zatelefonowałem do Bena z podziękowaniem i usłyszałem ponownie, że jemu to „żelazo” niepotrzebne. Pomyślę, żeby jakoś mu się zrewanżować.

Podoba mi się to „żelazo”. Identyczne dyndało kilka lat u mego boku — bardziej jako dekoracja niż broń, bo gdzie inżynier okrętu podwodnego miał robić z niego użytek? Nawet program szkolenia oficerów u-bootwaffe nie przewidywał strzelania z broni bocznej. Podoba mi się zdobycz Bena. Nie czuję się już więcej zdany na łaskę losu.

ROZDZIAŁ VI

Brytyjski łazik przedzierał się przez cmentarzysko ruin. Wysłannik londyńskiego „Timesa” na proces dowództwa U-1852, siedzący przy kierownicy, notował w myślach:

Hamburg — port u ujścia Łaby, wielkie centrum przemysłowe, drugie po Berlinie pod względem zaludnienia miasto Niemiec.

Hamburg — tysiąc sto lat bogatej historii, największy ośrodek morski i handlowy w tej części Europy od czasów Karola Wielkiego, perła Ligi Hanzeatyckiej, ongiś wolne miasto, wielkie przywileje, swobody obywatelskie.

Hamburg. Żadna prowincja Niemiec nie opierała się brunatnej fali tak uporczywie jak to miasto, stolica Szlezwicka-Holsztynu, które do ostatniej chwili istnienia w tym kraju parlamentaryzmu głosowało przeciwko Hitlerowi.

W piwnicach Monachium wylęła się obsesja o nadczłowie-czeństwie Niemców. Z Norymbergi, miasta Albrechta Dürera, Adama Kraffta, Wita Stwosza, wspaniałych gotyckich świątyń Hitler uczynił Mekkę swego ruchu. Baronowie ciężkiego przemysłu — Krupp, Flick — pospieszyli pierwsi z zaprężeniem do rydwanu wojny swych stalowni w Düsseldorfie, Dortmundzie, Essen, Wuppertalu, Kolonii. Wszystkie te miasta gorzko to odpokutowały, ale żadne nie zapłaciło takiej ceny jak Hamburg.

Między poszarpanymi przez bomby brzegami z milczącymi rzędami stalowych dźwigów, poskręcanych w ogniu niczym dziecięce zabawki z plasteliny, pośród grobów domostw mieszkalnych, ruin magazynów portowych, wraków statków wystających z wody — rzeka płynęła szerokim korytem ku morzu.

Takich obrazów się nie zapomina — rekapitulował Frank Capra swoje wrażenia z przejazdu przez to miasto, przez całą gromką do niedawna Trzecią Rzeszę Niemiecką. Namalowało go lotnictwo królewskie pospołu z amerykańskim. Malowało go dzień po dniu, noc po nocy, bez oglądania się na cenę i ofiary. Ale duma z tego dzieła nie rozpierała Capry. Człowiek wrażliwy, stojąc nad grobem pokonanego wroga, nie odczuwa radości, nie napawa go satysfakcją własną siłą, której skutkiem jest wszechobecna śmierć. Miną lata. Czas robi swoje. Ale pamięć po masowych nalotach bombowców na to miasto, po zrównaniu go z ziemią, po jego mieszkańcach potopionych jak szczury w piwnicach zburzonych domów

chyba pozostanie.

Czy istotnie pozostanie? — zapytywał się w duchu Capra patrząc na mijające go cienie w łachmanach, wynędzniałe, odrażająco usłużne wobec dobrze odzianych, dobrze odżywionych okupantów. Powinni zapamiętać ten księżycowy krajobraz i przekazać go wiernie swoim dzieciom.

Ostatnio widział Niemców na olimpiadzie w Berlinie w trzydziestym szóstym roku. Widział skamieniałe oblicza mężczyzn gotowych na skinienie wodza skoczyć w przepaść, zginąć, dać się unicestwić. Widział jasnowłose, błękitnookie westalki z czołami oplecionymi warkoczem, z policzkami płonącymi podnieceniem, pełne ekstatycznego oddania swojemu wodzowi. A teraz? Czy taka metamorfoza jest w ogóle możliwa? Czy to ci sami ludzie? Ci wynędzniali, okaleczeni, nie patrzący sobie w oczy mężczyźni w cywilnych łachmanach, w znoszonych szynelach żołnierskich, przemykający milcząco ulicami? Te kobiety przygarbione, poszukujące pożywienia dla swoich dzieci — czy to Niemcy?

Żal ściska serce na widok takiego niesamowitego poniżenia godności ludzkiej, wywleczenia na wierzch prawdziwych pokładów drzemiących w duszy człowieka pod jakże cienką powłoką skóry, myślał Capra, ale zaraz przywoływał się do porządku: To oni! Ci sami! A Niemcy mają fatalnie krótką pamięć!

Kordony uzbrojonej military police strzegą dostępu do siedziby sądu. Wszystkie dojazdy zablokowane samochodami pancernymi i czołgami. Uwaga opinii publicznej świata skupia się na jednym z nielicznych w mieście gmachów ocalałych od bomb. Odbędzie się tu proces przeciwko oficerom. Proces — ewenement w historii prawa międzynarodowego, pierwszy z serii procesów przeciwko war criminals, przestępcom wojennym, nowej kategorii przestępców, oskarżonych o czyny sprzeczne z uzgodnionymi przez narody prawidłami wojny. Tu, w Hamburgu, mieście położonym niedaleko kwatery głównej byłej hitlerowskiej kriegsmarine, dochodzić się będzie winy konkretnych oficerów w konkretnym wypadku przelania bezbronnej krwi w wojnie na morzu, a po udowodnieniu jej im w otwartym przewodzie sądowym wyda się na nich wyrok. Dla zadośćuczynienia prawu i przestrogi potomnym. Niech wszyscy o tym pamiętają! Sądzeni i sądzący! Bo prawo jest jedno, równe dla wszystkich, albo nie ma prawa.

Sierżant brytyjskiej military police wyciąga rękę. — Pańską kartę akredytacyjną, proszę! — A potem: — Mister Frank Capra, „The Times”, London! — Surowo przygląda się twarzy korespondenta londyńskiej gazety, fragment po fragmencie porównuje ją z fotografią, po czym wręcza mu kartę z powrotem. Wstępna identyfikacja skończona. Nim Capra zajmie swoje numerowane miejsce na galerii dla prasy, identyfikacji takich przejdzie jeszcze kilka, a przy ostatniej zostanie poddany osobistej rewizji, czy nie ma broni. Tu jest sąd. Military Court for the Trial of War Criminals.

Mister James Snyder, „Herald Tribune”, New York! Mister Giscard de la Croix, „Paris Match”, Paris! Mister Jurij Abacjew, „Prawda”, Moscow! Mister Edmund Osmańczyk, PAP, Warsaw! Mister... — pada z kordonów zamykających wejście do gmachu sądu, ale Frank Capra ma te bariery już za sobą. Na pulpicie przed krzesłem znajduje się przypięta pinezką plakietka z jego nazwiskiem, imieniem, nazwą pisma, które reprezentuje. Capra kładzie tam swój mały aparat do stenografowania. Rozgląda się, kiwa głową temu, kiwa tamtemu i myśli. Na dworze upał, w sali przyjemny chłód. To zasługa grubych murzysk gmachu.

Sala jest prawie pełna. Gmach sądu nie ucierpiał od bezpośredniego trafienia, ale rysy w murach, pozrywane płachty tynku ze ścian, częściowo oszklone, częściowo zabite nie heblowanymi deskami witrażowe okna — mówią swoje. Kaskadowy układ sali: najwyżej fotel przewodniczącego zespołu sędziowskiego, którym według „Informatora porządku posiedzeń sądu” jest doktor praw, generał brygady C. B. A. Watkins, niżej nakryte ciemnozielonym pluszem stoły sędziów, prokuratora, po przeciwnej stronie ława oskarżonych i stoły ich obrońców, nieco dalej stół i pulpit, przy których podczas swoich wystąpień będą stawać oskarżyciele i obrońcy. Rozplanowanie sali — brytyjskie, tak samo jak procedura, według której proces będzie prowadzony.

Godzina 9.59.

Za dwie minuty odsłona kurtyny. Sala w komplecie. Wszystkie miejsca zajęte. Jest około czterystu pięćdziesięciu osób, z czego prawie jedna trzecia to wysłannicy prasowi i agencji. Wniosek o akredytację wpłynęło dwa razy więcej. Proces — poprzedzający proces przywódców politycznych i dowódców sił zbrojnych Rzeszy — wywołał ogromne zainteresowanie. Ze względu na ograniczoną liczbę miejsc wydano sto dwadzieścia jeden kart wstępu, pozostali wysłuchają procesu w zdiofonizowanej sali rozpraw. Dopuszczono przedstawicieli prasy niemieckiej.

Reprezentowane są dowództwa flot wojennych: brytyjskiej, amerykańskiej, polskiej, Związku Radzieckiego, francuskiej, portugalskiej, a także włoskiej; są przedstawiciele katedr prawa uniwersytetów Oxford, Cambridge, Eton, amerykańskich: Harvard, Princeton, francuskiej Sorbony; dopuszczono obserwatorów europejskich państw neutralnych — Szwecji i Szwajcarii. W sektorze dla gości widać znane w świecie twarze wybitnych specjalistów prawa międzynarodowego: lorda Runcimore, do którego wiedzy odwoływali się premierzy: Wielkiej Brytanii — Lloyd George, Francji — Clemenceau, a także prezydent Wilson i podczas opracowywania Traktatu Wersalskiego i statusu Ligi Narodów; są między innymi Edgar Blowhill, członek Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, i Czesław Layewski, były doradca prawny prezydenta Roosevelta.

Sensację wzbudza obecność doktora Clausa Friedemanna, Niemca, jednego z ofiar Dymitrowa w procesie o podpalenie Reichstagu. Friedemann przybył do Europy jako członek sztabu oskarżycielskiego głównego oskarżyciela amerykańskiego na proces przywódców Trzeciej Rzeszy. Jeszcze przed jedenastu laty obywatel Rzeszy, który nie uległ presji Goeringa, stanie z nim oko w oko, ale jako obywatel Stanów Zjednoczonych i jego oskarżyciel; podobno Goering bardzo się do tego spotkania przygotowuje w swojej celi.

W oszklonych kabinach zasiedli tłumacze. Językami procesu są: angielski, niemiecki, francuski, rosyjski. Wszystkie miejsca na sali wyposażone są w słuchawki radiowe i selektor języka.

Nad długim stołem sędziowskim i ławą oskarżonych zapalają się dodatkowe lampy. Białe światło jarzeniowe, wzmocnione silnymi reflektorami, pada na zwisające między witrażowymi oknami flagi Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego i Francji.

Rośli żandarmi zamykają drzwi na salę. Do nieustannego szumu urządzeń klimatyzacyjnych dołącza się cichy szmer kamer kronik filmowych.

Z drzwi po lewej stronie stołu sędziowskiego żandarmi wprowadzają pojedynczo na ławę oskarżonych czterech mężczyzn w gładkich granatowych bluzach kriegsmarine, bez insygniów służbowych, bez odznaczeń. Za ich plecami staje sześciu żandarmów z pistoletami u boku w śnieżnobiałych kaburach, w kaszkietach z czerwonym otokiem. Zapada cisza.

Marszałek sądu oznajmia donośnym głosem:

— Attention! The Court! Uwaga, Sąd idzie! Proszę wstać!

Tłumacze w kabinach przekładają to na trzy pozostałe języki procesu.

Za stołem zasiada czterech sędziów angielskich (dwóch w czarnych togach, dwóch w wojskowych mundurach), dwóch sędziów amerykańskich, dwóch zastępców sędziów, prokurator, miejsce najwyższe zajmuje ubrany w togę przewodniczący sądu, generał brygady Watkins.

Z notatnika Franka Capry, wysłannika londyńskiego „Timesa”:

„... po czym sędzia Crawford przystępuje do sprawdzania tożsamości oskarżonych:

Sędzia: — Fregattenkapitän Kurt Hacke z niemieckiej marynarki wojennej, czy to jest pańskie prawdziwe nazwisko i stopień wojskowy?

Oskarżony: — Tak.

Sędzia: — Oberstabsarzt Wolfgang Johann Frauenheim, czy to jest pańskie prawdziwe nazwisko i stopień wojskowy?

Oskarżony: — Moim stopniem wojskowym jest Marineober-stabsarzt, lekarz okrętowy,

wyższy oficer medycyny.

Sędzia: — Sąd pyta o nazwisko i stopień wojskowy, w jakim został pan zamustrowany na U-1852 i pełnił służbę do chwili wzięcia go do niewoli. O nazwisko i stopień wojskowy wpisane do książeczki wojskowej.

Oskarżony: — Marineoberstabsarzt Wolfgang Johann Frauenheim.

Sędzia: — Kapitan Hans Strelow, czy to jest pańskie prawdziwe nazwisko i stopień wojskowy?

Oskarżony: — Tak.

Sędzia: — Porucznik Gustaw Wenk, czy to jest pańskie prawdziwe nazwisko i stopień wojskowy?

Oskarżony: — Tak.

Sędzia: — Hacke, Frauenheim, Strelow, Wenk oraz zaocznie kapitan inżynier Ulrich Ihna, jesteście wszyscy oskarżeni o popełnienie przestępstwa wojennego, a mianowicie:

Operując na Oceanie Spokojnym, pod wieczór dnia 10 października 1944 roku, po zatopieniu przez dowódcę i członków załogi okrętu podwodnego U-1852 parowca »Golden Creek«, gwałcąc prawa i zwyczaje wojenne braliście czynny udział w wymordowaniu pozostałych przy życiu rozbitków wymienionego parowca. Fregattenkapitän Kurt Hacke, jest pan winny czy niewinny zarzucanego mu przestępstwa?

Oskarżony (odpowiada w języku angielskim): — Winny.

(Obrońca oskarżonego, doktor Karl Mey podrywa w zdumieniu głowę, po czym, speszony swoim odruchem, zasłania sobie twarz dłońmi).

Sędzia: — Marineoberstabsarzt Wolfgang Johann Frauenheim jest pan winny czy niewinny zarzucanego mu przestępstwa?

Oskarżony (odpowiada po niemiecku): — Nie poczuwam się do winy. Ja...

Sędzia: — Oskarżony ma odpowiedzieć formułą: „winny”, „niewinny”.

Oskarżony: — Niewinny.

Sędzia: — Kapitan Hans Strelow, jest pan winny czy niewinny zarzucanego mu przestępstwa?

Oskarżony: — Niewinny.

Sędzia: — Porucznik Gustaw Wenk, jest pan winny czy niewinny zarzucanego mu przestępstwa?

Oskarżony: — Niewinny.

Rutynowe sprawdzanie tożsamości skończone. Zaskakujące dla obrońcy dowódcy U-1852 było jego przyznanie się do winy już na wstępie procesu, stanowiące wyłom w solidarnej postawie pozostałych oskarżonych. Tego chyba Sąd się nie spodziewał.

Hacke, jeden z najwybitniejszych oficerów liniowych, kawaler najwyższych odznaczeń bojowych, chluba u-bootwaffe, potwierdza popełnienie czynu zakazanego przez prawo wojenne. Ten jasny blondyn rodem z Gdańska o przeraźliwie niebieskich oczach, wychudzony, sama skóra i kości, którego utrzymanie przy życiu kosztowało lekarzy sporo wysiłku, promieniuje siłą woli na całą salę. Ascetyczna twarz średniowiecznego rycerza pokonanego w walce, uznającego swoją klęskę. Podejrzany przyznał się do winy. Sąd będzie musiał skłonić go do otwarcia ust, wydobyć z niego motywy czynu, w przeciwnym razie wyrok skazujący, miast potępienia, przyda mu aureoli bohatera narodowego i osłoni stojących za jego plecami admirałów dowództwa kriegsmarine.

Przyznanie się do winy złamało uzgodnioną zapewne pomiędzy oskarżonymi i obrońcami linię obrony. Ale nie zmienia to postaci rzeczy, że pozostali oskarżeni mogą powołać się na fakt, że „działali na rozkaz”. Winny jest tylko jeden. Ten u góry.

Wracając jeszcze do Hackego. Jest to osobowość. Takiego dowódcy nie można nie słuchać. Całkowitym jego przeciwieństwem jest były lekarz okrętowy Frauenheim — nazwisko prawdziwe Wolff, ginekolog z obozu koncentracyjnego w Ravensbruck. Jego zbrodnicze „doświadczenia naukowe”, przeprowadzane na więźniarkach, to osobny rozdział. Przystojny brunet nadużywający brylantyny, zastępujący ją w więzieniu kremem, twarz amanta filmowego typu Rudolf Valentino, czarne, niespokojne oczy hipnotyzera, lis — Sąd będzie

miał z nim przeprawę. Pozostała dwójka: Strelow, Wenk — bez wyrazu.

Jak należało oczekiwać, oświadczenie Hackego nadało sprawie inny wymiar. Obrońca zmienił taktykę.

Z notatnika.

Obrońca byłego dowódcy U-1852 dr Karl Mey: — Proszę Wysoki Sąd o głos.

Sędzia. — Sąd udziela panu głosu.

Dr Mey: — Podnoszę sprawę zasadniczą, uprawnienia Sądu do sądenia oficerów państwa pokonanego, szczególnie teraz, po ustaniu działań wojennych. Niejako na marginesie tej kwestii niezupełnie dla mnie jest jasne, dlaczego rozprawę prowadzi sąd brytyjski. Parowiec Golden Creek« pływł pod banderą Stanów Zjednoczonych i zatopiony został na otwartym oceanie, z dala od wód terytorialnych jakiegokolwiek państwa. W związku z przyznaniem się mego klienta do winy nasuwa mi się jeszcze jedno pytanie, ale o tym później.

Sędzia: — Sąd jest rad, że niemiecki obrońca już na początku rozprawy postawił tę kluczową kwestię. Odpowiedź usunie ewentualne zastrzeżenia bądź wątpliwości nie tylko strony oskarżonej. Jakie są uprawnienia Sądu do sądenia oficerów obcego państwa? Może wpierw kilka słów o zasadzie stosowanej w Trzeciej Rzeszy wobec oficerów i żołnierzy przeciwnika. Wziętych do niewoli, a podejrzanych o różne przestępstwa, nie stawiano przed sądem wojennym, jak przewiduje Konwencja Haska, nie dawano im prawa do obrony. Podlegali oni karze śmierci wykonywanej z reguły skrzętnie przez siły zbrojne i organy bezpieczeństwa Rzeszy. Kompetencje sądów wojennych zawężone zostały do własnych oby...

Przewodniczący Sądu, generał Watkins: — Jeżeli Sędzia pozwoli. Nie jest zadaniem Sądu głoszenie przewagi prawa jednego państwa nad prawem drugiego, nawet jeżeli to ostatnie równa się bezprawiu. Zastrzeżenia obrońcy winien rozproszyć nie sędzia, lecz oskarżyciel. To do jego obowiązku należy przekonanie Sądu, oskarżonych i obrońców o praworządności swego postępowania.

Sędzia: — Istotnie, sir. Sąd oddaje głos oskarżycielowi.

Prokurator wojskowy, pułkownik C. R. Burkett: — Jeżeli Sąd pozwoli. Przewód sądowy odbywa się na mocy aktu Jego Królewskiej Mości, który nadaje sądom wojennym prawo do sądenia obywateli wroga za przestępstwa wojenne dokonane po 2 września 1939 roku. Ofiarą przestępstwa wojennego padł parowiec bandery Stanów Zjednoczonych i jego załoga, która składała się, jak ustalono, z jedenastu obywateli i żołnierzy amerykańskich, dwóch Belgów, jednego Francuza, jednego Greka, jednego Polaka, jednego Czecha i dwudziestu dwóch poddanych Korony. Przestępstwa dokonano na otwartym oceanie, podejrzanych nie wziął do niewoli okręt amerykański, lecz pływający pod banderą Royal Australian Navy, są więc jeńcami brytyjskimi i jako tacy podlegają jurysdykcji brytyjskich sądów wojennych.

Podawanie w wątpliwość podstaw prawnych do sądenia oficerów niemieckich przez sąd brytyjski i według procedury anglosaskiej jest zatem nieuzasadnione. W skład Sądu wchodzi dwaj oficerowie królewskiej marynarki wojennej, eksperci do spraw morskich. Jeżeli obrońca sobie życzy, podadzą obowiązującą na morzach wykładnię prawa morskiego, dotyczącą tego konkretnego wypadku.

Dr Mey: — To mi wystarczy. Dziękuję.

Sędzia: — Obrońca zaznaczył, że ma jeszcze jedno pytanie...

Dr Mey: — Tak, Wysoki Sądzie, zaznaczyłem, postawię jednak później.

Sędzia: — Przy głosie pozostaje zatem oskarżyciel. Proszę kontynuować.

Płk Burkett: — Przedstawiam w skrócie fakty. Dnia 10 października 1944 r. frachtowiec ss Golden Creek«, zaczarterowany przez Brytyjskie Ministerstwo Transportu, opuścił Noumeę w Nowej Kaledonii z ładunkiem rudy przeznaczonej dla Brisbane. Statek płynął bez eskorty okrętów wojennych, był uzbrojony w jedno działo obsługiwane przez artylerzystów Stanów Zjednoczonych. Po godzinie 17.40 został storpedowany i szybko zatonął. Większość jego załogi zginęła od wybuchu torpedy. Ilu dokładnie ocalało, tego nie udało się ustalić, przypuszcza się, że od osiemnastu do dwudziestu ludzi.

Kiedy statek zatonął i rozbitkowie szukali ratunku na dwóch ocalałych tratwach, z głębin

wynurzył się niemiecki okręt podwodny U-1852. Rozbitkowie, dla których nie starczyło miejsca na tratwach, podpłynęli do burty napastnika. Dalsza relacja wyda się Sądowi nieprawdopodobna, gdyż nie oszczędzono żadnego z rozbitków, oskarżenie ma jednak dowody na to, że przebieg wypadków przedstawiał się właśnie tak:

Dowódca okrętu, pragnąc zdobyć dane o zatopionym statku, jak to bywa w zwyczaju w takiej sytuacji, zażądał, żeby kapitan statku podpłynął do burty. Jak to nastąpiło, widzieli ci, którzy znajdowali się wtedy na pokładzie okrętu podwodnego. Jak mi wiadomo, oskarżony Hacke, po zapoznaniu się z danymi dziennika okrętowego, wydał rozkaz zagłady rozbitków. Nie twierdzę tego na pewno, gdyż zeznania oskarżonych i świadków w tej kwestii są rozbieżne. Nie mam natomiast wątpliwości co do samego faktu celowej zagłady rozbitków. Po likwidacji śladów swojej obecności na wodach Nowej Kaledonii okręt oddalił się.

Kilka dni później wydobyto zwłoki czterestu zamordowanych, pięć tygodni później znaleziono piętnastego członka załogi ss Golden Creek«. We wszystkich ciałach znajdowały się pociski z broni maszynowej typu Schmeisser MP 40 oraz broni bocznej oficerów — pistoletów parabellum 08, a w niektórych odłamki niemieckich granatów ręcznych. Ekspertyza pocisków, załączona do aktu oskarżenia doręczona Wysokiemu Sądowi, oskarżonym i ich obrońcom, wykazała:

a) pociski te wyprodukowano w pierwszym kwartale 1944 roku, co wyklucza możliwość wcześniejszego ich używania;

b) wystrzelone zostały między innymi z pistoletów Frauen-heima, Strelowa, Wenka, których podjęto z wody wraz z ich bronią boczną po zniszczeniu okrętu podwodnego;

c) obecność w czterech ciałach — oprócz odłamków granatów ręcznych — także drzazg z drewna balsa, użytego do budowy tratw ratunkowych zatopionego statku, oznacza, że rozbitków przebywających na tratwach obrzucono granatami;

d) postrzały w twarz świadczą o tym, że ogień do rozbitków otwarto bez ostrzeżenia, z bliskiej odległości, kiedy oczekiwali oni ratunku u burty okrętu podwodnego: postrzały w tył głowy, w kark, plecy dowodzą, że rażono ich ogniem w trakcie ucieczki od burty okrętu.

Wyklucza się możliwość przypadkowej zagłady rozbitków. »Golden Creek« widziany był przez patrolowca nadzoru lotniczego z bazy w Noumei o godzinie 17.40 — krótko przed zapadnięciem ciemności. O ile storpedowanie i zatopienie statku mogło nastąpić w ciemnościach, to do wymordowania rozbitków, będącego usuwaniem śladów obecności u-boota na tych wodach, niezbędne było światło dzienne. Oskarżenie ma swoją wersję harmonogramu tych wypadków. Punktem wyjściowym jest prędkość wodnosamolotu typu Sunderland, wynosząca 200 mil na godzinę, czyli 3,3 mili na minutę. Samolot przeleciał nad statkiem o godzinie 17.40, nie widząc w polu obserwacyjnym, które na jego patrolowej wysokości 6000 stóp wynosi około 20 mil, żadnego innego obiektu pływającego ani niczego, co by zwróciło jego uwagę — wyciąg z raportu pilota załączony jest do aktu oskarżenia. Okręt podwodny nie zaatakował więc swojej ofiary wcześniej niż 6 minut po odlocie patrolowca, czyli o 17.46. Dodajmy do tego jeszcze dwie minuty rezerwy, a uzyskamy następujący rachunek czasu: godzina 17.48 — torpeda w celu, godzina 17.51 — trafiony statek znika pod wodą, godzina 17.53 — rozbitkowie u burty okrętu podwodnego, który odpalił torpedę z odległości nie większej niż około 70 jardów.

Od tej chwili każda sekunda ma dla napastnika cenę życia lub śmierci, gdyż wynurzony jest na bardzo uczęszczanej trasie. Trzeba się spieszyć. Zadania zostały rozdzielone wcześniej, więc do roboty! Jedną, najwyżej dwie minuty trwa przejęcie i odczytanie dziennika okrętowego, na likwidację rozbitków pozostaje pięć minut światła dziennego. Ani minuty dłużej, bo można kogoś przeoczyć. Zaplanowana przed odpaleniem torpedy masakra przeprowadzona jest sprawnie. Organizacja pracy na najwyższym poziomie, godna takiego asa hitlerowskiej u-bootwaffe jak Hacke. Jeżeli likwidacja rozbitków wiszących u burty okrętu podwodnego, proszących o podniesienie z wody, gdyż akwen jest bardzo zarekiniony, była sprawą kilku salw z ręcznej broni maszynowej, to osiągnięcie granatami osób przebywających na oddalonych od napastnika tratwach ratunkowych wymagało zbliżenia się

do nich. O tym też pomyślano wcześniej. Przygotowano na pokładzie okrętu pontony, a ludzie wyznaczeni do akcji abordażowej czekali tylko na rozkaz.

Wysoki Sądzie! Rekapitulując tę część oskarżenia stwierdzam z całą stanowczością, że rozbitków z ss »Golden Creek« wymordowano z zimnym wyrachowaniem, że wszyscy oskarżeni mają w tym swój osobisty udział, a kwestia, kto był mniej lub bardziej aktywny — jest bez znaczenia. Dlatego wszystkich siedzących na ławie oskarżonych: Hackego, Frauenheima, Strelowa, Wenka, a także zaginionego Ihnę, uważam winnych popełnienia mordu z premedytacją.

I sprawa ostatnia, nie mniej ważna od samej zbrodni: jej motywy. Na ławie oskarżonych zasiada czterech byłych oficerów niemieckiej u-bootwaffe, zobowiązanych przysięgą żołnierską do posłuszeństwa. Którzy nie działali jako osoby prywatne, lecz jako żołnierze. Zadaniem Sądu jest ustalenie, w jakiej mierze działali oni na rozkaz, a w jakiej z podstępnej inspiracji.

Były dowódca u-bootwaffe, były dowódca naczelny całej kriegsmarine, były wódz Rzeszy po samobójczej śmierci Hitlera, wielki admirał Karl Doenitz czeka w więzieniu na swój proces, ale duchem jest obecny na tej sali. To on jest tutaj sądzony. Ci na ławie oskarżonych to pionki, jakich do ostatniego dnia tej przegranej wojny posyłał tysiącami na pewną śmierć, dając wyraz wierności dyktatorowi, a tym samym zabiegając o własną karierę. Wódz był dla takich hojny. Strach przed nieuchronnym końcem i odpowiedzialnością za zbrodnie, także na narodzie niemieckim, sprawiał, że wódz cenił tylko ślepa lojalność. Ale tę możemy Doenitzowi darować. Możemy mu także darować posyłanie na pewną zgubę setek okrętów podwodnych. Załogi tych okrętów, nie znając prawdy o sytuacji na oceanach, mogły mieć złudzenia, on ich nie miał. Postawą Doenitza możemy się brzydzić — to kategoria moralna, musimy natomiast zająć stanowisko w sprawie nakazywanych tym ludziom metod walki. Rozkazy — musimy przyjrzeć się im pod kątem zgodności z prawami i zwyczajami wojny na morzu.

Grossadmiral Karl Doenitz był wierny Hitlerowi do końca.

Dzielny oficer okrętu podwodnego podczas pierwszej wojny światowej wykazał się także dzielnością w opanowaniu biurokracji wojny, a jako dowódca u-bootwaffe — kunsztem w pisaniu łamigłówek przeznaczonych dla swoich liniowych podwładnych. Rozszyfrowanie ukrytych w nich przestępczych haseł nie będzie łatwe”.

Zaznajomienie Sądu z faktami zawartymi w akcie oskarżenia zajęło prokuratorowi bez mała dwie godziny. Ogłoszona przerwa pozwoli stronom ustawić szyki na sesję popołudniową. Kto pójdzie na pierwszy ogień? Hacke — zbyt zdyscyplinowany a zwałć winę na podwładnych lub górę, to nie w jego stylu. Weźmie wszystko na siebie i stłamsi sprawę. A przecież nie tylko o tę czwórkę tu chodzi! Więc kto?

Są świadkowie tego nieprawdopodobnego zdarzenia bez świadków! Idzie w świat wieść z kabin telefonicznych, przez teleksy podają ją naprędce komunikaty radiowe. Są świadkowie z załogi U-1852, są z drugiej strony... Pięć tygodni po masakrze rozbitków nie „wydobyto”, lecz „odnaleziono” człowieka z „Golden Creeka”. Żywego czy martwego? Oskarżyciel sugeruje istnienie naocznego świadka!

Siedząc przy opróżnionym do połowy, wielkim, niemieckim kuflu piwa, Capra kreślił bezwiednie na białym kartoniku figury, jakie, gdy nad czymś dumamy, same wychodzą spod pióra. Słowo „pustka” wypełniało mu głowę. Właśnie to. Próbował zastąpić je innym, sensowniejszym, lecz ono nie ustępowało. Więc dla spokoju machnął odpowiedni znak stenograficzny, ale żeby nie był czytelny tylko dla znającego alfabet stenografii, napisał — dla zabawy z samym sobą — literką „p” z poziomą kreseczką obok. „P” z kreseczką, samotna literka, nic nie znacząca, żeby więc nie turlała się po świecie jak sierotka, domalował jej „u” z kreseczką, potem „s” z tym samym znakiem, „t” dopisało się samo i aby uwolnić się od natręta, jednym pociągnięciem starego pióra marki „Waterman” darowanego mu przez władzę imperium brytyjskiego Edwarda VIII, nieszczęśliwie zakochanego w amerykańskiej rozwódce, dorzucił „k” i „a”, a żeby ostatnia literka nie porzuciła swoich sióstr splepanych

łańcuchem kreseczek, nie urwała się całości, bez której słowo to byłoby jak widmo bez głowy straszące w starym zamczysku, przybił ją zamaszystym kleksem wykrzyknika. Słowo napisane zostało w języku angielskim, lecz dla nie znającego tego języka oznaczało to samo. E-m-p-t-i-n-e-s-s nie oznacza pełni, bo fullness nie jest pustką, jest całością wypełnioną od wewnątrz treścią. Pustka. P-u-s-t-k-a — nic z zewnątrz, nic w środku — śmieszne słowo.

Słowo to przeszło długą drogę, nim siadło na ławie oskarżonych w tej sali. To groźne słowo. Jeżeli nie rozkroi się go tu na połowy, połowy na ćwiartki, nie podda się ich wiwisekcji, nie wyskrobie się z mego zgnilizny, wyjdzie z tej sali groźniejsze, niż przybyło. A przecież oznacza tylko pustkę, czyli nic.

Światem musiał wstrząsnąć paroksyzm obłędu, skoro nic oznacza aż tyle. To słowo zdaje się mieć przyszłość. Kiedy opanuje umysły ludzkie, staje się siłą niszczącą. Uwaga na pustkę!

Dwie godziny przerwy obiadowej i wóz jedzie dalej. Sądowi się spieszy.

Z notatnika Franka Capry:

„Przewodniczący Sądu generał Watkins zwraca się do jednego z obrońców Hackego (główny oskarżony ma dwóch obrońców, doktorów Karla Meya oraz Gerda Ortlieba).

Przewodniczący Sądu: — Doktor Mey zgłosił zamiar postawienia prokuratorowi jeszcze jednego pytania. Jeżeli to jest aktualne, proszę pytać.

Dr Mey: — Tak, sir, pytanie jest aktualne, pragnę jednak postawić je później, jeżeli Sąd pozwoli. Chciałbym teraz przesłuchać Fregattenkapitāna Hackego

Przewodniczący Sądu (spogląda na sędziów, na prokuratora):

— Nie widzę sprzeciwu. Głos ma doktor Mey.

Fregattenkapitān Kurt Hacke przechodzi do stołu dla świadków i po złożeniu przysięgi gotowy jest odpowiadać na pytania swego obrońcy.

Pytanie (P): — Jaki stopień wojskowy miał pan w chwili wybuchu wojny?

Odpowiedź (O): — Kończyłem Szkołę Okrętów Podwodnych w Neustadt. W październiku zostałem promowany na podporucznika.

P: — Co spowodowało, że wybrał pan broń podwodną? Jako ochotnik miał pan wolny wybór.

O: — We wczesnej młodości widywałem polskie okręty podwodne ćwiczące w Zatoce Gdańskiej. Często wyjeżdżałem do Gdyni, aby przypatrzeć się im z bliska. Byłem zafascynowany dyscypliną załóg, ich sprawnością. Podwodniacy wyróżniali się w polskiej marynarce wojennej.

P: — Kiedy odbył pan swój pierwszy rejs bojowy?

O: — W listopadzie trzydziestego dziewiątego roku.

P: — Miał pan wówczas dziewiętnaście lat.

O: — Dziewiętnaście. Ale szkołę ukończyłem jako prymus.

P: — I aż do wiosny czterdziestego czwartego roku był pan nieustannie w boju. Na Atlantyku, jak wynika z pańskiej ewidencji służbowej.

O: — Na Atlantyku, także na Południowym.

P: — Ile rejsów bojowych na Atlantyku pan odbył?

O: — Osiem.

P: — Czy to pan stoczył ów słynny pojedynek nawodny z brytyjskim niszczycielem?

Prokurator: — Panie przewodniczący, protestuję! Doktor Mey zechce łaskawie nie nawiązywać do żołnierskiej postawy w boju oskarżonego, nie mającej nic wspólnego ze sprawą. To Sądu nie interesuje.

— Przewodniczący Sądu: — Uwzględniam protest. Doktor Mey: — Jeżeli Sąd pozwoli. Postawa w boju świadczy o charakterze człowieka. Nie wyobrażam sobie, aby sąd o oskarżonym można było wydać jedynie na podstawie zarzucanego mu czynu.

Przewodniczący Sądu: Na godną postawę w boju wpływają często bodźce obiektywnie amoralne. Proszę nie wychodzić poza meritum sprawy.

Dr Mey: — Czy Sąd pozwoli kontynuować przesłuchanie?

Przewodniczący Sądu: — Proszę zadawać pytania.

Dr Mey: — Dziękuję. Fregattenkapitānie Hacke, kiedy został pan odkomenderowany na

Ocean Indyjski?

O: — Po powrocie z Atlantyku, w marcu czterdziestego czwartego roku. Zostałem pilnie wezwany do dowództwa u-bootwaffe, miałem się stawić u generała admirała von Friedeburga.

P: — Przyjął pana osobiście?

O: — Wraz z generałem admirałem Kummetzem.

P: — W jakiej sprawie?

O: — Przejęcia okrętu całkowicie nowego typu. Użyto słów: rewelacji technicznej i operacyjnej, dzięki czemu wygramy wojnę na oceanach, okrętu zaliczanego do arsenału cudownych broni führera. Dodano, że ciężar wojny morskiej przenosi się teraz na oceany Indyjski i Spokojny.

P: — Jakie zadanie panu postawiono?

O: — Paraliżowania żeglugi handlowej aliantów.

P: — Jakie instrukcje otrzymał pan przed opuszczeniem portu w Gdańsku?

O: — Instrukcje bojowe otrzymałem w Centrum Wyszkozenia U-bootwaffe w Gdyni. Krótko przed moim wyjściem z Gdańska na próby w morzu miasto to zostało ciężko zbombardowane przez lotnictwo brytyjskie, w wyniku czego spośród sześciu okrętów tego typu zniszczeniu uległo pięć. Pierwotne założenie zakładało operację w dwuokrętowym tandemie zaopatrywanym przez jeden okręt macierzysty, tak zwany krążownik podwodny typu XX. W obawie przed wykryciem naszego okrętu przez polski wywiad i zniszczeniem go z powierza szybko potem wyszliśmy w morze.

Dr Mey: — Do sprawy instrukcji powrócę za chwilę. Fregattenkapitanie Hacke, drżą panu ręce. Bardzo silnie. Nie może pan nad tym zapanować. Od kiedy występuje to u pana?

O: — Ludzie u-bootwaffe często na to cierpią...

P: — Proszę odpowiedzieć na pytanie.

O: — Od dość dawna.

P: — Czy podczas pobytu we Flensburgu już panu drżały?

O: — Staralem się to ukrywać.

P: — Czy któryś z pańskich wysokich rozmówców spostrzegł to?

O: — Pan generał admirał von Friedeburg.

P: — Czy w związku z tym nie stworzył panu możliwości honorowego wycofania się z przejścia tego okrętu?

O: — Tak. Pan generał admirał Kummetz napomknął coś o sanatorium. O kilku tygodniach odpoczynku połączonego z leczeniem. Ze niby dobrze by mi to zrobiło, on sam taką kurację przeszedł i bardzo ją sobie chwalił. Gdzieś w Sudetach. Ale wówczas okręt musiałby przejąć ktoś inny.

P: — Jak pan na to zareagował?

O: — Oświadczyłem, że to chwilowa dolegliwość. Że jestem pod wrażeniem, coś w tym rodzaju.

P: — I co dalej?

O: — Pan generał admirał von Friedeburg chwilę się zastanawiał, po czym, uśmiechając się, poradził mi, abym nie popuścił rękom podczas pobytu u führera, gdyż on jest na to wrażliwy.

P: — U führera?

O: — Dopiero wówczas zawiadomił mnie o przyznania mi Brylantów do mego Krzyża Rycerskiego z Mieczami i Wieńcem Laurowym, a te nadawał führer osobiście.

Dr Mey: — Proszę mówić dalej.

Hacke: — Następnego dnia poleciliśmy samolotem do Głównej Kwatery Naczelnego Wodza, »Wilczego Szańca«. Razem z nami leciał pewien nie znany mi cywil. Okazało się, że to lekarz führera, profesor Moreli. Zauważywszy, że drżą mi ręce, wcisnął mi fiolkę z drażetkami uspokajającymi jego własnej produkcji i zalecił zażyć jedną na piętnaście minut przed przyjęciem przez fuhra.

P: — I pomogła?

O: — Zdziałała bezbłędnie.

P: — Jak pan odczuł to działanie?

Prokurator: — Wnoszę sprzeciw! Panie przewodniczący, obrońca zmierza do tego, by przedstawić oskarżonego jako człowieka chorego, nie panującego nad sobą, ofiarę szarlatańskich praktyk. Stanowczo protestuję!

Przewodniczący Sądu: — Doktor Mey byłby złym obrońcą, gdyby nie sięgnął po wszelkie środki w interesie oskarżonego. Jak dotąd nie widzę powodu, by nie mógł przedłożyć Sądowi faktów przemawiających także na jego korzyść. Sprzeciw odrzucony. Doktorze Mey, proszę kontynuować przesłuchanie.

Doktor Mey: — Dziękuję. Fregattenkapitän Hacke, jak pan odczuł to działanie?

Eacke: — W ciągu najwyższej pięciu minut drzenie ustało całkowicie, wewnętrzne napięcie ustąpiło. Poczułem się lekki jak nowo narodzony.

P: — Jakąś skłonność do, powiedzmy, agresji?

Piokurator: — Wnoszę sprzeciw! Panie Przewodniczący, to jest podsufwanie...

Przewodniczący Sądu: — Odrzucam sprzeciw. Uważam jednak, doktorze Mey, że ta sprawa jest dostatecznie naświetlona. Sąd chciałby się jednak dowiedzieć czegoś konkretnego o instrukcjach bojowych, jakie oskarżony otrzymał w związku z tym długim, dramatycznym rejssem. Co na to zespół sędziowski?

Sędzia główny, płk Crawford: — Tak, sir, obrońca zechce przystąpić do sprawy instrukcji.

Dr Mey: — Fregattenkapitän Hacke, gdzie, kiedy i kto wręczył panu instrukcje bojowe dotyczące rejsu na całkowicie nowym typie okrętu podwodnego, mającego wyjść na wody panu nie znane? Proszę o szczegółową odpowiedź. Szczegółową!

Hacke: — Normalnie odbywało się to w bazie danego okrętu, przed wyjściem w morze. Czynił to dowódca bazy, wręczając instrukcje wraz z szyfrem, pakietem map nawigacyjnych, instrukcją radiową i tak dalej, które, w razie groźby dostania się do niewoli, należało skrupulatnie zniszczyć. Wówczas jednak poproszono mnie do gabinetu dowódcy Centrum Wyszkożenia U-bootwaffe w Gdyni, gdzie, po krótkiej towarzyskiej rozmowie, dowódca Centrum przedstawił mnie delegatowi, jak powiedział, führera, po czym zostawił nas samych.

P: — Nie wspomniał nic o wielkim admirałe Doenitzu?

O: — Nie. A raczej tak, ale to wynikło samo przez się, na końcu.

P: — Został pan z delegatem führera sam na sam. Jak się nazywał ten człowiek, czego od pana chciał? Proszę o bardzo szczegółową odpowiedź.

O: — Nazwiska nie znam, gdyż dowódca Centrum ograniczył się do przedstawienia mnie jemu, tytułując go stopniem służbowym — admirał szefostwa służb specjalnych kriegsmarine. Pan admirał — powiedział — przybył do pana z kwatery głównej führera; nie wypadało mi pytać o nazwisko. Szybko przystąpił do rzeczy. Zarekomendował mnie osobiście führerowi

404

wielki admirał Doenitz — oświadczył zaraz na początku, uświadamiając mi ogrom pokładanego we mnie zaufania. Okręt typu XXI, jaki objąłem, jest największym osiągnięciem niemieckiej myśli technicznej. Dzięki swemu ogromnemu zanurzeniu, nowemu typowi siłowni, urządzeniu do destylacji tlenu z wody morskiej i odsalania wody jest on praktycznie niewykrywalny. Musi być jednak spełniony jeden warunek, absolutnie bezwzględny. Za żadną cenę nie wolno zostawić śladu swojej bytności. Co to oznacza, tak doświadczonemu oficerowi, powiedział, nie potrzeba tłumaczyć. Ale ja zadałem to pytanie. W sytuacji opanowania przestworzy przez lotnictwo wroga, pełnego nadzoru powietrznego oceanów, każde zatopienie zostaje prędzej czy później wykryte. Statki toną, ślady pozostają. I rozbitkowie.

Spojrzał na mnie, jak gdyby rozmawiał z niewłaściwym człowiekiem. Zauważył moje dłonie, które szybko schowałem za siebie. Zapanowało milczenie. Potem, odwracając się do okna, admirał zaczął mówić o lotnictwie alianckim. O zabijaniu bez litości każdego dnia dziesiątków tysięcy bezbronnych kobiet i dzieci. O zmiotaniu z powierzchni ziemi

dywanowymi nalotami całych naszych miast. O bezprecedensowym bestialstwie wroga wobec narodu niemieckiego. Nagle odwrócił się do mnie i spytał, czy ma zgłosić wielkiemu admirałowi moją rezygnację. W odpowiedzi zameldowałem mu swoją gotowość do natychmiastowego wyjścia w morze.

Rozmowę zakończył optymistycznym akcentem. Ma pan załogę dobraną spośród najlepszych ludzi u-bootwaffe, może pan na nich polegać w każdej sytuacji. Pomyślano także o pańskich nerwach. Marineoberstabsarzt Frauenheim jest wybitnym fachowcem, niech pan mu śmiało zaufa. Instrukcje i rozkazy otrzyma pan od dowódcy Centrum. Dziękuję — odrzekłem — są mi dobrze znane. To wobec tego — klepnął mnie w ramię — wszystko jest jasne. Życzę pomyślnych wiatrów.

P: — Czy mam rozumieć, że nic na piśmie pan od niego nie otrzymał?

O: — Nic. Oprócz zalakowanej koperty do szefa służby specjalnej w rejonie Azji Wschodniej i zarazem attaché morskiego naszej ambasady w Tokio, wiceadmirała Wennekera, którą miałem osobiście przekazać dowódcy bazy w Penangu, niczego więcej od niego na piśmie nie otrzymałem.

P: — A od dowódcy Centrum?

O: — Oprócz szyfru, pakietu map oceanów Południowego Atlantyku, Indyjskiego i Spokojnego, instrukcji radiowej niczego nie otrzymałem. Sprawy operacyjne omówiono ze mną i moimi oficerami już wcześniej. O rozkazach wspominałem:

potwierdziłem podpisem przyjęcie ich do wiadomości. Były mi już znane z operacji na Atlantyku.

P: — A jakieś specyficzne instrukcje, dyskretne napomknięcia? Bądź co bądź był to w pewnym sensie pionierski rejs, w niezwykle trudnych warunkach.

O: — Na odprawie położono nacisk na konieczność zachowania wzmożonej ostrożności przed lotnictwem wroga, to znaczy — pokonywania drogi w ciągu dnia w zanurzeniu, a także przestrzegania ciszy radiowej. W przeciwieństwie do operacji na Atlantyku, gdzie byliśmy obowiązani meldować o każdym naszym ruchu, o każdej poczynionej obserwacji dowództwu u-bootwaffe, co wobec doskonałego nasłuchu radiowego przeciwnika kończyło się dla nas często tragicznie, mieliśmy się tutaj ograniczyć do odbioru rozkazów. Pomostem łączności z krajem był okręt macierzysty.

P: — Pytam pana, Fregattenkapitänie liacke, jeszcze raz, i ze względu na wagę problemu proszę o jednoznaczną odpowiedź: tak lub nie. Czy otrzymał pan od kogokolwiek z dowództwa u-bootwaffe, z naczelnego dowództwa kriegsmarine, od kogokolwiek bądź z bezpośrednich przłożonych rozkaz likwidacji rozbitków?

O: — Nie.

Dr Mey: — Dziękuję. Więcej pytań na ten temat nie marn.

Prokurator główny: — Ale ja mam! Jeżeli Sąd pozwoli, pragnąłbym wspólnie z moim amerykańskim zastępcą majorem Biddle poddać świadka krzyżowemu ogniowi pytań. Czy wolno?

Sędzia główny: — Nie ma zastrzeżeń. Ale proponuję dać świadkowi dwie minuty odpoczynku”.

Hecke prosi o karafkę świeżej wody. Łapczywie pociąga ze szklanki jeden łyk, drugi. Kredowo blada, zapadnięta twarz jest pokryta rześnistym petem. Jego drugi obrońca, doktor Gehrard Ortnarb z Hanoweru, pochyla się ku niemu z pytaniem, czy ma wystąpić o odroczenie przesłuchania do jutra. Hacke nie od razu go zrozumiał. Czy podoła? Kiwa energicznie głową, że tak. Bije z niego zdecydowanie nieodwlekania sprawy.

Jego koledzy z ławy oskarżonych rozglądają się po sali, jak gdyby nie uświadamiali sobie doniosłości chwili. Znaleźli się tu przypadkowo i na niewłaściwych miejscach. Tylko filmowo urodziwy Frauenheim zdradza objawy niepokoju. Mimo iż odpowiadać będzie Hacke, ale to wybija jego godzina.

Cztery metry na prawo od Hackego zastępcy głównego oskarżyciela, Amerykanin major James Biddle, rozkłada na stole papiery. Ruchy dużego, wymuskanego kota, któremu się nie

spiesz. W tej samej odległości, pri drugiej stronie „klatki” dla świadków, jego przeciwieństwo w posturze, Anglik Burkett, nakłada na nos cienkie szkła bez oprawy. Wygląda jak prezes fundacji dobroczynnej lub pastor witający wiernych na stopniach swojej świątyni.

Upał na sali staje się coraz bardziej dotkliwy, choć klimatyzatory pracują bez przerwy.

Dwie minuty minęły.

Główny oskarżyciel, pułkownik Burkett, z kilkoma arkuszami dokumentów w ręku kłania się przewodniczącemu Sądu. — Jeżeli Sąd pozwoli — zaczyna zwyczajową formułką.

Z notatnika Franka Capry:

„Fregattenkapitän Hacke w krzyżowym ogniu pytań”.

Płk Burkett: — Gratuluję obrońcy kunsztu zawodowego. Przedstawił pan Sądowi wizerunek bohaterskiego dowódcy okrętu podwodnego, szlachetnego człowieka, który padł ofiarą własnego patriotyzmu. Jeszcze trochę, a Sądowi wypadłoby przeprosić Fregattenkapitäna za przetrzymanie w więzieniu i puścić go do domu. Z przesłuchania wynika, że cała u-bootwaffe, ba, cała kriegsmarine składała się z admirałów zatroskanych o zdrowie podwładnych, z oddanych sprawie oficerów i marynarzy, w ogóle z ludzi bardzo subtelnych. Czy istotnie tak było, zaraz się o tym przekonamy. Przeskoczmy w tym celu na południową półkulę, dziesięć tysięcy mil od Gdyni. Oto z frachtowca »Silvester J. Walker«, zatopionego na Oceanie Indyjskim na południe od zachodniego cypla Australii, w sierpniu czterdziestego czwartego roku, ponad dwa miesiące przed zniknięciem Golden Cveeka«, ocalało jedynie dwóch ludzi. Dowódca rewelacyjnego okrętu podwodnego, okrętu bardzo przestrzennego, widzi dwóch samotnych rozbitków na środku znanego z gwałtownych sztormów, huraganów, tajfunów oceanu. Więc ludzie ci, zostawieni na tym pustkowiu wodnym, nie mają szans przeżycia. I co ten szlachetny dowódca robi? Fregattenkapitänie Hacke, dlaczego pan nie podjął ich z wody?

O: — Żaden z nich nie był kapitanem ani głównym mechanikiem statku.

P: — Czy istnieje podział rozbitków na ważnych i mniej ważnych?

O: — W sensie ogólnym nic mi o czymś takim nie wiadomo.

P: — A w sensie szczególnym?

O: — W niektórych przypadkach na Atlantyku okręty u-bootwaffe podejmowały rozbitków na pokład. Jeżeli dobro okrętu tego wymagało.

P: — Jak się pan przekonał, że to nie był kapitan i główny mechanik?

O: — Podpłynęli do nas na tratwie.

P: — Pan osobiście rozmawiał z nimi?

O: — Tak. Zatopienia dokonano z zanurzenia. Trafiony statek momentalnie obrócił się stępką do góry i zatonął. Nastąpiło to najprawdopodobniej nie tyle od wybuchu torpedy, ile od gwałtownego przemieszczenia ciężkiego ładunku na jedną burtę — wtedy załoga nie ma praktycznie żadnych szans, Kiedy kipiela ustała, z głębin wyskoczyła na powierzchnię tratwa pneumatyczna, a po sekundach podpłynęło do niej dwóch rozbitków. Chciałem dowiedzieć się danych o zatopionym statku.

P: — Otrzymał pan te dane?

O: — Tak. Ss »Silvester J. Walker«, bandera amerykańska, port macierzysty Los Angeles, pojemność 6800 ton, nośność 10 500 ton, destynacja Kalkuta.

P: — Ma pan doskonałą pamięć, gratuluję. Nie spytał pan rozbitków o ich funkcje?

O: — Nie.

P: — Przecież to mógł być kapitan i główny mechanik...

O: — Wykluczone. Sposób i czas zatonięcia statku wykluczały możliwość uratowania się kapitana i głównego mechanika. Mogli to być ludzie, którzy w momencie storpedowania przebywali na otwartym pokładzie, a wybuch torpedy od razu wyrzucił ich za burtę. Daleko od statku, gdyż inaczej wessałby ich wir po wraku.

P: — Ale bezwzględnej pewności pan nie miał?

O: — Nie zastanawiałem się nad tym.

P: — Nie zastanawiał się pan... A nie przyszło panu do głowy, że przeciętny majtek statku handlowego, który zmienia statki jak rękawiczki, nie interesuje się parametrami eksploatacyjnymi statku, a już w ogóle takimi jak pojemność i nośność; rzadko który zna różnicę między jednym a drugim.

O: — Nie myślałem o tym.

Płk Burkett: — Zwracam uwagę Sądu: inteligentny człowiek o wybitnej pamięci, doświadczony przełożony marynarzy nie wyciąga wniosków z takich rzeczy, a mając przed sobą dwóch rozbitków nie bierze ich na pokład. Fregattenkapitän Hacke, czy decydując się na pozostawienie ich swojemu losowi zaopatrzył ich pan w słodką wodę i żywność?

O: — Nie.

P: — Dlaczego?

O: — Musieliśmy się spieszyć. W każdej chwili mogliśmy być wykryci przez zwiad lotniczy. To było pole bitwy.

P: — Dlaczego nie podjął pan tych ludzi?

408

O: — Nie umiem na to odpowiedzieć.

Płk Burkett: — Odpowiem za pana. (Podnosi do oczu jeden z arkuszy, które trzymał w ręku.) Wysoki Sądzie! Mam przed sobą rozkaz sztabu dowództwa u-bootwaffe z dnia 17 września 1943 roku przekazany drogą radiową do wszystkich dowódców okrętów podwodnych. Rozkaz ten głosi: »Należy zaniechać jakichkolwiek prób ratowania członków załóg zatopionych statków, to znaczy wyciągania osób znajdujących się w wodzie i przekazywania ich na łódzie ratunkowe, stawiania przewróconych łodzi ratunkowych, podawania żywności i wody. Ratowanie jest sprzeczne z najbardziej podstawowymi wymogami prowadzenia wojny. Po zniszczeniu nieprzyjacielskich statków na pokład należy zabierać kapitanów i głównych mechaników ze względu na ważność sprawowanych przez nich funkcji. Pozostałych rozbitków należy ratować tylko w takim wypadku, jeżeli ich zeznania mogą mieć wartość dla okrętu. Bądźcie twardzi. Pamiętajcie o tym, że nieprzyjaciel, dokonując nalotów bombowych na niemieckie miasta, nie zważa na kobiety i dzieci«. Rozkaz podpisany jest przez samego wielkiego admirała Doenitza.

Zwracam uwagę Sądu na słowa: Bądźcie twardzi! w zestawieniu z ginącymi w nalotach kobietami i dziećmi. Jest to zachęta do brania na wrogu krwawego, bezpardonowego odwetu. Potwierdza to dobitnie ten oto protokół z konferencji u Hitlera w dniu 3 stycznia 1942 roku, w którym między innymi czytamy: fuhrer zwrócił uwagę na fakt, że niezależnie od tego, jak wiele statków zbudują Amerykanie, ich głównym problemem będą braki personalne. Z tego względu należy zatapiać bez ostrzeżenia również statki handlowe, tak aby jak największa część załogi poniosła przy tym śmierć. Jeżeli rozejdzie się wieść, że w wyniku torpedowania ginie większość marynarzy, to już z tego powodu Amerykanie odczują wkrótce trudności z werbowaniem nowych ludzi«. I dalej: ...Z tego względu trzeba wydać również rozkaz, że skoro marynarzy nie można brać do niewoli — na pełnym morzu jest to zazwyczaj niemożliwe — okręty podwodne po storpedowaniu jednostki nieprzyjacielskiej powinny wynurzać się i ostrzeliwać łódzie ratunkowe«. Oddaję teraz głos memu amerykańskiemu zastępcy. Mjr Biddle: — Nie zaopatrzył pan rozbitków w słodką wodę i w żywność. Czy mam rozumieć, że zostawił pan ich swemu losowi i odpłynął?

Hacke (ociera rękawem zroszone potem czoło, spuszcza głowę, nie odpowiada).

Mjr Biddle: — Zostawił ich pan?

Hacke: — Tak by to można powiedzieć.

Biddle: — Proszę o jasną odpowiedź!

Hacke: — Rozbitkowie zaczęli nam wymyślać od zbrodniarzy, od pospolitych morderców. Jeden miał rewolwer... Ni stąd ni zowąd padł nagle strzał i... posypało się. Zupełnie niezamierzenie z naszej strony. Przysięgam! Daję na to oficerskie słowo honoru!

Biddle: — Z jakiego kierunku padł strzał?

Hacke: — Według mego rozeznania z tratwy.

Biddie: — W kierunku ludzi na pokładzie okrętu?

Haeke: — Tak sądzę.

BiJdle: — Nie wygląda na to, aby był pan tego pewny.

Hacke: — Tak sądzę, powiedziałem.

Biddie: — Z tratwy pada pojedynczy strzał rewolwerów do wielkiego okrętu podwodnego... Rozbitek strzela do potężnej jednostki wojennej, do uzbrojonej po zęby załogi... Co nastąpiło dalej?

Hacke: — Poszły serie z pistoletów maszynowych. To było naprawdę niezamierzone. Stało się. Prawdopodobnie odruch rozpaczy rozbitka spotkał się z regularnym odruchem żołnierskim ze strony mojej załogi. W bitwie na strzał odpowiada mę najpierw strzałem, dopiero potem pyta się o drogę — taka jest kolejność.

Biddie: — Kto oprócz pana przebywał wtedy na pokładzie?

Kacke: — Przy wynurzeniu pierwsi, po dowódcy okrętu, wybiegają na pokład artylerzyści i strzelcy.

Biddie: — Jak byli uzbrojeni strzelcy?

Hacke: — W automaty typu Schmeisser MP 40.

Biddie: — A oficerowie?

Hacke: — W pistolety parabellum 08.

Biddie: — Kto z oficerów przebywał wówczas na pokładzie?

Hacke: — Dowódca artylerii okrętu porucznik Wenk, kapitan Strelov...

Biddie: — A lekarz okrętowy?

Hacke: — Też.

Biddie: — Odpowiedzią na strzał rozbitka była palba z broni maszynowej. Czyba ustalił pan później, ilu ludzi otworzyło ogień?

Hacke: — Dwóch. Po dwie krótkie serie.

Biddie: — A z broni bocznej? Czy któryś z oficerów też strzelał?

Hacke: — Nie przypominam sobie.

Prok. Burkett: — Proszę powiedzieć mi, jak ustawieni byli na pokładzie oficerowie?

Hacke: — Porucznik Wenk był na mostku, przy działku szybkostrzelnym, kapitan Strelov stał u mego boku.

Biddle: — A lekarz okrętowy?

Hacke: — Był, ale jego pozycji nie pamiętam.

Biddle: — Kapitana Ihny nie było na pokładzie?

Hacke: — Podczas wynurzenia główny inżynier przebywa w centrali okrętu. To jego obowiązek.

Biddle: — Czy porucznik Wenk zrobił użytek ze swego parabellum? Jak się orientuję, pan jako dowódca okrętu powinien był po walce ustalić, kto brał w niej udział.

Hacke: — Porucznik Wenk nie strzelał.

Biddle: — A kapitan Strelov?

Hacke: — Też nie, stwierdziłem już.

Biddle: — A lekarz, marienoberstsauszartz Fraenheim?

Hacke: — Jego nie sprawdzałem. Nie uważałem za stosowne go pytać.

Biddle: — Fraenheim strzelał czy nie? Ktoś z załogi musiał to widzieć i panu zameldować.

Hacke: — Nie meldowano mi. Nikt by sobie na to nie pozwolił.

Mjr Biddle: — Dwa miesiące po tym zdarzeniu wyłowiono szczątki członka załogi frachtowca Silvester J. Walker. Znajdowały się w nich pociski. Ze schmeissera MP 40 i z pistoletu parbellum 08. Oto — wręcza oskarżonemu dokument — ekspertyza tych pocisków. Jeżeli nie strzelał do rozbitków Wenk, Strelov, Fiaenheim, to strzelał pan. Fregattenkapitänie

Hacke, czy to pan strzelał z parabellum do rozbitków?

Hacke spuszcza głowę. Milczy.

Biddle: — Wzywam pana do odpowiedzi: tak lub nie.

Hecke sprawia wrażenie krańcowo wyczerpanego. Obrońca dr Goerard Ortlieb nie odrywa

wzroku od jego spierzchniętych warg. Sześćset par oczu na sali skupiło się na tym samym punkcie. Wyjątek stanowi Frauenheim, który tą gęstą ciszę wykorzystuje na przyglądanie swych posmarowanych kremem włosów.)

Biddle: — To mi wystarcza. Dziękuję.

Płk Burkett: — Przenieść się w czasie i przestrzeni. Jesteśmy trzy i pół tysiąca mil morskich na wschód od miejsca tragedii dwoili rozbitków, na wodach Nowej Kaledonii. Jest 10 października 1914 roku, godzina: po 17.40. Frachtowiec Golden Creek zniknął pod wodą. Na powierzchnię oceanu wynurza się znany obecnym na sali okręt podwodny, jego oficerowie, artylerzyści i strzelcy wybiegają na pokład. Czasu mają niedużo na wykonanie całego zadania, bo za kilkanaście minut zapadnie subtropikalna noc. Obraz, jaki mają przed sobą, nie jest dla nich nowością: kipiel powstała po wybuchu kotłów tonącego statku, pneumatyczne tratwy ratunkowe, które — jeżeli wyrzutnie nie uległy zniszczeniu lub uszkodzeniu — uwalniają się samoczynnie i ciśnienie wypycha je na powierzchnię, rozglądający się w poszukiwaniu ratunku rozbitkowie. Jest ich osiemnastu do dwudziestu. Spozregają wynurzony okręt. Kto może, spieszy ku zbawczemu pokładowi, gdyż krew rychło zwabi rekiny.

Przesłuchaniu na tę okoliczność poddano wszystkich wziętych do niewoli członków U-1852. Większość nie złożyła zeznań. Ale nie wszyscy.

Dr Ortlieb: — Prokurator wyraża się zagadkowo i ogólnikowo. Tu chodzi o życie oskarżonego. Czy osoba, która zgodziła się zeznawać, była poinformowana o przysługującym jej prawie do odmowy zeznań? Proszę o nazwisko świadka.

Płk Burkett: — Obecna na sali prasa, w tym niemiecka, jest aż nadto tego ciekawa. Podanie nazwiska świadka, Niemca do publicznej wiadomości może przez dłuższy czas stanowić w tym kraju zagrożenie dla jego życia. Jeżeli zaistnieje potrzeba, oskarżenie powoła świadka przez Sąd. Czy to satysfakcjonuje obronę?

Dr Ortlieb: — Motywacja jest przekonująca, podtrzymuj jednak wniosek, tak_e w imieniu mego kolegi, o egzemplarz zeznań.

Płk Burkett: — Życzenie obrony zostanie spełnione. Jutro po południu, jeżeli obrona uzna to za stosowne, będzie mogła prze-śluchać świadka. Czy ma pan jeszcze jakieś pytanie?

Dr Ortlieb: — Chwilowo nie. Dziękuję.

Płk Burkett: — Fregattenkapitän Hacke, jaki był przebieg dalszych wypadków?

Hacke: — Rozbitkowie podpłynęli do burty okrętu... Zapytałem o kapitana... Wyciągnięty na pokład człowiek, który miał być kapitanem, okazał się nieżywy... Zdarzenia rozgrywały się błyskawicznie, jak w przyspieszonym filmie, dopiero później, już po wszystkim, uszeregowałem je sobie. Pamiętam pierwszego oficera, bardzo wysokiego, półnagięgo mężczyznę... Pamiętam dziennik okrętowy wystający mu z zapa pod spodni... Zabrałem mu dziennik i zapoznałem się z danymi o statku. A potem...

Burkett: — Posypało się?

Hacke: — To nie to.

Surkett: — A co?

Hacke: — Stało się.

Burkett: — Też niezamierzenie?...

Hacke: — Nasza sytuacja była krytyczna. Odpowiadałem za okręt, który miał wpłynąć na ostateczny wynik wojny, miałem wyraźnie postawione zadanie do wykonania. Rozerwany na dwie części statek zatonął szybko, nie zostawiając po sobie żadnych elementów pływających. Na wodzie zostali rozbitkowie i dwie tratwy. Nie wszyscy mieli kamizelki ratunkowe. Musiałem się decydować. Płynąc w ciągu nocy w wynurzeniu, mogliśmy zrobić najwyżej dwieście mil, i to w kierunku zachodnim — pchając się pod nos niezwykle czujnym Australijczykom; o przyczajeniu się gdzieś wśród tamtejszych płycizn, koralowych wysepek nie było mowy. Akwen ten był pomostem łączącym archipelagi Salomona, Nowych

Hybrydów, Fidzi z południowo-wschodnią Australią. Cały ruch towarowy z Ameryki szedł tą trasą. Gdybyśmy mieli więcej tych doskonałych okrętów, zbieralibyśmy tam żniwa nie mniejsze niż na wodach wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych na początku wojny. Ale role były odwrócone. Zostawić...

Burkett: — Wszystko to sobie wyobrażamy. Fakty, proszę!

Dr Ortlieb: — Wnoszę sprzeciw! Nie ma faktów bez motywów, tak jak nie ma skutku bez przyczyny. Czyn Fregattenkapitana Hacktgo kwalifikowany jest przez Sąd jako przestępstwo. Jeżeli nie pozwolimy mu na podanie motywów jego czynu, cały przewód sądowy jest zbędny i można przystępować do ferowania wyroku.

Przewodniczący Sądu: — Sprzeciw uwzględniony. Prokuratorze Burkett, proszę pozwolić oskarżonemu na przedstawienie do końca jego motywów.

Burkttt: — Fregattenkapitame Hacke, słucham.

Hacke: — Zostawienie śladów równało się naszemu końcowi. Musiałem wybierać: wróg — widziałem nasze zbombardowane miasta — albo my i prowadzenie dalej walki. Dokonałem wyboru. Okrutnego, ale w naszym położeniu jedynie słusznego.

Burkett: — Po zatopieniu statku czy wcześniej? To istotne.

Hacke: — To już nie ma znaczenia. Ponoszę odpowiedzialność za całą akcję. Za jej przygotowanie i wykonanie.

Burkett: — Sąd na podstawie przebiegu zdarzenia sam wyrobi sobie opinię o zakresie pańskiej odpowiedzialności. Torpedując statek musiał pan się liczyć z istnieniem rozbitków. Kiedy pan podjął decyzję o ich likwidacji?

Hacke: — Na pokładzie.

Burkett: — Dopiero tam, powiada pan... A pontony dla sekcji abordażowej załoga przygotowała bez pańskiej wiedzy?

Hacke: — W pogotowiu bojowym każdy członek załogi ma swoje z góry wyznaczone zadania. Pontony są takim samym elementem składowym boju w wynurzeniu okrętu jak załadowana broń.

Burkett: — Dobrze. Idziemy dalej... U burty wiszą rozbitkowie. Którzy z pewnością próbują dostać się na pokład, wszak rekiny... Przed panem stoi półnagi pierwszy oficer zatopionego statku. Na pokładzie rozstawieni w tyralierze — tak to sobie wyobrażam — strzelcy. Na pomoście artylerzyści z wielolufowym działkiem szybkostrzelnym gotowym do otwarcia ognia. Czas ucieka. Nim dokończy pan tę ponurą historię, proszę powiedzieć Sądowi, jak byli rozstawieni na pokładzie oskarżeni oficerowie. Ich pozycje względem pana. Oficer artylerii Wenk przebywał, sądzę, przy działku. Gdzie byli pozostali oficerowie? Kapitan Strelow?

Hacke: — Przy strzelcach pokładowych, po mojej prawej stronie; po lewej — lekarz okrętowy.

Burkett: — A kapitan Ihna?

Hacke: — Za moimi plecami. U trapu do wieży,

Burkett: — Przecież powiedział pan, że obowiązkiem głównego inżyniera podczas wynurzenia okrętu było przebywanie w centrali... Co się stało, że kapitan Ihna złamał regulamin bojowy?

Hacke: — Ponieważ...

Burkett: — Tak?

Hacke: — ... ponieważ rozkazałem mu iść ze mną na górę.

Burkett: — Dlaczego?

Hacke: — Dla... Mechanicy znają wojnę głównie z relacji załogi pokładowej. Chciałem, aby się z nią też zapoznali.

Burkett: — Czy pańska załoga, oficerowie i marynarze, była do ostatniej chwili żołniersko zdyscyplinowana?

Hacke: — Tak.

Burkett: — A dla mnie zmuszenie rozkazem kapitana Uhny do udania się z panem na górę oznacza coś innego. Ale niech będzie. Czas ucieka, co dalej?

Hacke: — Nie mogłem przeciągać tego w nieskończoność. Strzeliłem do stojącego przede mną oficera, co moja załoga zrozumiała jako rozkaz do otwarcia ognia. Kto strzelał, kto nie strzelał, jest dla mnie bez znaczenia. Dalszych szczegółów nie jestem w stanie zrelacjonować obiektywnie, jak świadek stojący z boku, gdyż jest to niemożliwe. W walce takiej jak ta — bo to jednak miało znamiona walki — popada się w swego rodzaju szok, który mija dopiero później. Kto zabijał na wojnie, zna to uczucie. Nic więcej nie mam do powiedzenia. Za śmierć rozbitków tylko ja ponoszę odpowiedzialność.

Burkett: — Oskarżenie przyjmuje tę relację do wiadomości, ale się z nią nie zgadza. Mam kolejne, bardzo istotne pytanie. Uprzedzam pana, że w tej chwili zeznaje pan nie jako oskarżony, lecz jako świadek w swojej własnej sprawie, i może pan odmówić odpowiedzi. Pytanie moje brzmi: czy jest panu znany paragraf Konwencji Haskiej zabraniający pod karą śmierci zabijania rozbitków?

Hacke: — Tak. Paragraf taki jest mi znany.

Burkett: Proszę teraz o jasną odpowiedź: czy otrzymał pan od kogokolwiek ze swoich przełożonych, z dowództwem naczelnym u-bootwaffe włącznie, jednoznacznie brzmiący rozkaz fizycznego unicestwienia rozbitków?

Hacke: — Takiego rozkazu nie otrzymałem ani na piśmie, ani ustnie.

Burkett: — I już ostatnie pytanie: czy nikt z rozbitków ze statku »Golden Creek« nie ocalał?

Hacke: — Nie:

Burkett: — Jest pan tego absolutnie pewny?

Hacke: — Tak.

Burkett: — Oskarżenie nie ma więcej pytań. Wysoki Sądzie, dziękuję.

Operatorka z centrali telefonicznej zgłosiła połączenie z Londynem.

— Czy mam przyjemność z panną Strang? — pytał męski głos. — Z panną Florence Strang?

— Strang — przedstawiła się Florence tknięta jakimś niepokojem. — Florence Strang is speaking. Z kim mam przyjemność?

Cisza po drugiej stronie linii telefonicznej trwała denerwująco długo.

— Nie poznałaś mego głosu. To naturalne. Kiedy się zegnaliśmy, byłaś jeszcze podlotkiem. Tu mówi...

Florence nie dała głosowi skończyć.

— Ken! — wykrzyknęła. — Mój drogi, najdroższy! Skąd dzwonicz?

I dowiedziała się, że Ken dzwoni z lotniska w Londynie, że miał przylecieć przed dwoma dniami, ale coś nie wyszło according to time schedule, że właśnie odebrał bagaż, że jutro rano o szóstej zero zero leci dalej; to znaczy on i jego kolega z Sydney, niejaki komandor Kate McGovern, lecą do Hamburga...

W spokojnym głosie Kena było zmęczenie lotem przez połowę świata, była potrzeba wykąpania się, przebrania w świeżą bieliznę, było też pragnienie porozmawiania z nią, ale nie telefonicznie, a niestety. — Jutro rano — usłyszała jeszcze raz — o szóstej zero zero...

Była trzecia po południu.

Oblędny taniec liczb: jutro rano szósta zero zero odjąć dziś trzecia po południu jest piętnaście; sto dziewięćdziesiąt osiem mil (z Torquay do Londynu via Exeter, Salisbury, Aldershot) podzielić przez sześćdziesiąt mil na godzinę, to — gdyby wyjechała o czwartej — Londyn ujrzałaby jeszcze za światła dziennego. Dodać do tego godzinę na przebrnięcie city do Kensington High Street...

Nie może usiąść za kierownicą. W tym stanie nerwów skończyłaby w rowie.

— Ken — zaczęła dobitnie, abv przez dwieście mil drutów telefonicznych, przełącznic, punktów tranzytowych ani Yierka rła obróciła się wspan — za godzinę wyjeżdżam i będę... Rogal Kensington Hotel przy Kensington High Street, zapamiętaj... Będę tam, choćby świat miał się zawalić! Rezerwacją apartamentu załatwi mój agent w Londynie. Wszystko, co masz

do zrobienia, to złap taksówkę i prosto do hotelu. A rano odwiezę cię m lotnisko. Mój najdroższy — nie dopuszczała go do głosu — Koyai Kensington Hotel przy... To centrum city, niedaleko Hyde Parku, nie iózesz nie trafić. Przepróś twego kolegę na te parę godzin i błapam, bądź sam!

Poleciła dyrektorowi swojej firmy zadzwonić do maklera w Londynie. Aby facet osobiście zajął się rezerwacją. Komandor Kenneth Wall z Australii ma być przyjęty jak król, niech zapamiętają! Ale kto siądzie za kierownicą? Juz znalazła! Niezawodnym kierowcą do wyścigowej zabawy rollsem był świętej pamięci ojciec Bena Starka, jego syn na pewno nie będzie gorszy. Chwyciła go na przystani. W jakim czasie dowiózłby ją całą i zdrową rollsem do śródmieścia Londynu? — zapytała go.

Wyjeżdżając z krętych uliczek Exeter na londyńską highway, przypomniała sobie o Martinie. Zupełnie wypadł jej z głowy. Z tym chłopakiem jest źle. Cały koszmar sprzed roku przeżywa jeszcze raz, oby ten proces skończył się jak najszybciej. Postanowiła zadzwonić do mego z Londynu, przed wyjazdem liczyła się każda minuta.

Sto pięćdziesiąt koni mechanicznych uwieczonych w sześciocy-lindrowym silniku ciągnęło wysmukłą maszynę z niedozwoloną prędkością, a jej się wydawało, że siedzi w skorupie powolnego żółwia. Ken... Pamięta go doskonale; sześć stóp wzrostu, sylwetka sprintera, rudawy blondyn, szarozielone oczy w oprawie gęstych brwi, w ruchach australijska przestrzeń bez granic. Była śmiertelnie w nim zakochana, wpatrzona w niego jak w słońce Ken miał wówczas dwadzieścia pięć lat, ona piętnaście.

Od tamtych dni minęło sześć lat!

Odbity w dżungli od Japończyków, ciężko ranny znajdował się w krytycznym stanie. Długo Florence nie miała od niego znaku życia, a kiedy po miesiącach odezwał się, listy jego były niby takie same jak przed zranieniem, ale jednak inne. Coś w nim ten pocisk samurajskiego strzelca wyborowego odmienił.

Rany skroni — poinformowali ją lekarze specjaliści — jeżeli nie zabijają, zostawiają niekiedy poważne ślady w systemie nerwowym. Ale gdyby miało być z nim źle, rozumowała teraz Florence, nie wysyłano by go do Europy.

Była prawie dziesiąta, gdy znękana rozterką, kluczeniem po na pół zaciemnionych ulicach Londynu Florence przestąpiła marmurowe progi hotelu Royal Kensington. Była zdecydowana wyjść za niego za mąż, w jakimkolwiek stanie zdrowia by był. Jeżeli tylko jej nie odrzuci.

W hallu podniósł się z fotela na jej widok wysoki, bardzo przystojny mężczyzna w cywilnym garniturze. (Ten garnitur! Florence była przygotowana na Kena w mundurze marynarki wojennej.) Grube szkła okularów w ciemnej, rogowej oprawie strzegły dostępu do jego oczu. Biel prawej skroni, odcinająca się wzdłuż linii przedziałka od srebra reszty włosów przydawała mu dojrzałości. Podeszedłszy do niej, pochylił w uszanowaniu głowę. — Florence? — odezwał się dawnym swoim głosem.

Rzuciła mu się na szyję.

Nazajutrz rano, po odwiezieniu ukochanego na lotnisko, Florence wróciła do hotelu. Zmęczona nie przespaną nocą pragnęła spędzić jeszcze kilka godzin w nie wystygłej jeszcze atmosferze ich wspólnej sypialni. Wiele tragicznych zdarzeń musiało się rozegrać, aby oni oboje — każde z innego końca świata — związali tutaj swoje drogi. Kismet. Przeznaczenie.

Wszystko zawdzięczała właściwie swemu biednemu bratu. Dopiero teraz poznała pełną prawdę o próbie, jakiej poddało go życie. A jej się czasami wydawało, że Martin nie umie po prostu wziąć się w garść.

Poranna prasa donosiła obszernie o pierwszym dniu procesu w Hamburgu. Najbardziej pochłonęło Florence zdjęcie człowieka, którego nie ma na ławie oskarżonych. Tego piątego, sądownego zaocznie. Jakie zdumiewające podobieństwo do Martina!

Główny inżynier U-1852 kapitan Ulrich Ihna. Florence nigdy by nie pomyślała, że człowiek o twarzy Martina jest zdolny do rzeczy, o jakie oskarżyli go w swoich zeznaniach jego byli kamraci.

Osoba z telefonu nie przedstawiła się.

— Mam przyjemność z panią Amalie Langley? — O Amalie Langley pytała, nie o Ray Aladyne. Musiała być niezłe zorientowana nie tylko w rodowodzie Amy: o tym mieszkaniu i numerze telefonu wiedział tylko Rico.

— A bo co? — Amy odezwała się ostrożnie.

— Proszę mi wybaczyć — ciągnął głos — zachowanie anonimowości, lecz tak będzie lepiej. Dzwonię do pani z czysto kobiecej solidarności. Szczerze mi pani żal, dlatego dzwonię. Jest pani straszliwie okłamywana. Przez kogo, nie muszę tłumaczyć. Nie będę rozwlekać: Ricardo Spallazio wyłudził od pani pół miliona dolarów w gotówce, na drugie pół zaciągnął, jako pani generalny plenipotent, kredyt w banku, który przepuszcza w tak ekskluzywnych hotelach, jak Bell Air, Century Plaża, Beverly Carlton w towarzystwie dobrze pani znanej tancerki, przed kilkoma zaś dniami kupił sobie gniazdko za sto tysięcy, w którym doskonali z nią swój repertuar miłosny. Główna rola w jego filmie jest na dobre obsadzona i prawie do końca nakręcona, a repetowanie fragmentów z panią jest tylko zasłoną dymną. Jeszcze tylko kilka słów — zastrzegła się osoba z telefonu, bez obawy w głosie, że połączenie może zostać przez Amy przerwane. — Gdyby pani wątpiła w moją prawdomówność, proszę jechać do Santa Monica

— dwadzieścia mil od pani obecnego miejsca pobytu. Na Eukaliptusowy Wzgórze nad plażą stoi samotnie posiadłość należąca niegdyś do Douga Fairbanksa, a nabyta w tajemnicy przed panią przez pana Spallazio. Znajdzie go pani tam wraz z odtwórczynią pani roli, Hally Cottas. Jeżeli oczywiście pani się pospieszy, gdyż jak mi wiadomo, na weekend wybierają się oni samolotem do Las Vegas. Dziękuję za wysłuchanie mnie i proponuję dać temu łobuzowi nauczkę. Podsuwam pani pomysł: należy niezwłocznie odebrać mu plenipotencje i obłożyć sekwestrem film, gdyż inaczej puści on panią z torbami. Radzę się spieszyć. Good luck!

Głos kobiety był przyjemny, melodyjny, mógł być głosem śpiewaczki, osoby młodej jeszcze, nie mającej trudności z wysławianiem się. Amy nie miała pewności, czy z drugiego końca połączenia nie było przy słuchawce ucha jeszcze innej osoby, podsłuchującej jej reakcję. Osoba ta, stwierdziła Amy, znała aż nadto dobrze tajniki jej prywatnego życia, tajniki życia Ricarda, a także jego plany na przyszłość.

Odłożyła słuchawkę. Potem zastygła w zamyśleniu. Właściwie nad niczym, wszystko było przeraźliwie jasne. Kobiety u Lica? — całe jego życie było usłane ich ciałami, one nie miały dla niej znaczenia: myślała o jego wyrachowaniu. I jeszcze o czymś. Absurdalnym, gdyby to, co usłyszała, miało być prawdą. O swej ślepej miłości do tego łotra. Rozpacz rozsadzała jej głowę. Mimo wszystkich jego bezeceństw nie wyobrażała sobie życia bez niego.

Jeżeli jednak chciała żyć, nie mogła puścić tego telefonu płazem.

Poczuła się tragicznie sama, wyszydzona. Ona, wychowana w podmiejskiej nędzy Amy, dała się tak podejść!

— Co ta osoba od ciebie chciała, zes tak pobladła. Od kogo był ten telefon?

Dwadzieścia mil — mówiła ta osoba i kazała jechać bez zwłoki. Te samotnie stojące zabudowanie w stylu meksykańskiej hacjendy na Eukaliptusowym Wzgórze... Doug Fairbanks kochał się w koniach. Menaż, boksy dla koni — widać je było zza białego murku; pośrednik nie przesadzał, że to po Dougu...

— Co to był za telefon? — dopytywała się pani Langley stojąc z butelką podgrzanego mleka w rękę. — Co cię tak zamurowało, Amy?

Hally Cottas w roli głównej... myślała Amy. Za moją ciężką krwawicę...

Odepchnęła matkę od łóżka z dzieckiem.

— Mój Boże! — przeraziła się pani Langley. — Co chcesz robić? Dzieciak ma podwyższoną temperaturę. Zostaw go w łóżeczku, on i tak już ledwie dyszy!

Amy nie słuchała. Na Eukaliptusowym Wzgórze stoi piętrowy dom z przybudówkami okolony białym murem; przejeżdżając tamtędy z Rico, rzuciła na tę rzecz okiem. Niebrzydka. Wbita przy drodze tablica pośrednika handlu nieruchomościami zachwalała, że w latach dwudziestych postawił ją Douglas Fairbanks dla swojej wielkiej miłości, Mary Pickford — coś takiego było na tablicy. Sto tysięcy dolarów za budynek stojący samotnie, z dała od

dzielnic willowych, to niemało. Biorąc jednak pod uwagę nazwisko poprzedniego właściciela i potrzebę ukrywania się przed ludźmi...

Okutała dziecko w kołdrę i tak jak stała, wybiegła z nim do swojej wyścigowej rakiety..

Wyciągnięte w przerażeniu ręce matki, płacz niemowlęcia — nic, poza pasmem niknącego pod kołami czarnego asfaltu i światłami mrugającymi na skrzyżowaniach, na które reagowała mechanicznie, do świadomości Amy nie dochodziło. Kwilenie z tylnego siedzenia utonęło w świcie wiatru. Kiedy zostawiła za sobą kompleks zabudowań Uniwersytetu Kalifornijskiego i wydostała się na autostradę do Santa Monica, zapomniała o nim całkowicie. Milion dolarów! Pozostało nieco kosmetyki, dopracowanie niektórych drugoplanowych scenek, montaż i film gotowy. Z Hally Cottas w roli głównej... A ona podpisała wczoraj zgodę na zaciągnięcie — na poczet pieniędzy z Anglii — dodatkowych dwustu tysięcy...

Z górą pyłu zastygłego na zapłakanych oczach wjechała z autostrady w jednokierunkową drogę ciągnącą się węzłem wśród gajów kaktusowych, golizn piasku, garbów łysych wzgórz i sunąc maksymalną na tych krzywiznach prędkością, podjechała pod otwartą na oścież bramę białej hacjendy.

Wpadając do środka jak burza — ten łotr jest tak pewny siebie, że nie wstawił swego wozu do garażu — pobiegła w górę schodów.

Lepszego przyłapania wiarołomnej pary nie można sobie wymarzyć. Producenta, reżysera, głównego choreografa awizowanego już w prasie wielkiego wydarzenia artystycznego na ekranie Amy zastała tak pochłoniętego igraszkami z nagą Hally, że pojawienia się nieproszonego gościa nie spostrzegli oboje.

— Ty łotrze! — zawyła Amy boleśnie. — Ty złodzieju moich pieniędzy! Każę cię aresztować za wyłudzenie, za twoje machlojki podatkowe! — wykrzykiwała nie bojąc się jego brutalnych łap, nie widząc go wskakującego w spodnie, nic poza jej bólem do niej nie docierało. Jej pieniądze! Jeżeli w tej chwili, jak powiedziała ta z telefonu, nie odetnie mu dostępu do konta w banku, nie obłoży sekwestrem filmu i tej tutaj budy po Dougu... — Ty mnie jeszcze popamiętasz! — plunęła mu w twarz, po czym z nic nie widzącymi oczami zbiegła na dół.

W ostatniej chwili Rico zdążył wskoczyć do ruszającego samochodu na siedzenie obok niej. — Amy — zaczął jej perswadować już w pełnym biegu — wszystko ci wytłumaczę. Tę rzecz kupiłem dla nas obojga, wierz mi. Jutro weźmiemy ślub, a to z tą małą to pożegnanie stanu kawalerskiego, rozumiesz? — apelował. — Zatrzymaj wóz, wszystko ci wytłumaczę.

Na próżno apelował. Ta „tłusta krowa”, jak nazywał ją w duchu, przeistoczyła się w nieludzką bestię z nogą przyrośniętą na wieczność do pedału gazu, z kleszczami rąk zaciśniętymi na kierownicy. W rozpedzonym samochodzie wyścigowym, gnającym stromymi zakrętami na złamanie karku, wywiązała się nieprzytomna samotanina. Rico był bliski wygranej, gdy zza zakrętu wtoczyła się na wąską drogę potężna ciężarówka załadowana dźwigarami. Ból Amy osiągnął szczyt; nacisnęła gaz do deski. Stado koni mechanicznych zaklętych w silniku wykatapultowało jej meteor do przodu niczym pocisk armatni. Stalowe dźwigary, odbłask szoferki, paszcza ciężarówki — tam była zapłata dla tego łotra za wszystkie jego świństwa. Rico próbował wyrwać kierownicę z rąk Amy, wykopać jej nogę z pedału gazu, w ostatniej sekundzie akrobata-tancerz Rico zdecydował się wyskoczyć w biegu z samochodu. Za późno. Rozległ się łoskot czołowego zderzenia pędzących na siebie gór stali, zgrzyt miażdżonej blachy, huk eksplozji benzyny.

Tak skończyło się życie tej nie najlepiej dobranej pary kochanków oraz rzekomego dziecka Martina Stranga. Rozproszenie szczątków spalonych zwłok nie pozwoliło stanowej policji drogowej ustalić, które z nich ponosi winę za wypadek, co spowodowało nagłe przyspieszenie wozu i skierowanie go na ciężarówkę. Tajemnicę tego знаła tylko święta Góra Tehmani z Tahiti.

Lady Godiva Kingsdream of Strangelove powiedziała onegdaj: — Czy pan wie, hrabio

Kildare, że Rosjanie są podobno bardzo ciężcy w obcowaniu? I że w ogóle nie umieją się śmiać, tak słyszałam. Nie sądzi pan, że to straszne?

— Co ja myślę o tym procesie? — Tubalny głos Jurija Abacjewa poderwał głowy przy sąsiednich stolikach.

Jurij Abacjew ma skupioną twarz, ciemne oczy pod gęstymi brwiami, niski, tubalny głos. Słyszysz się w nim Iwana Groźnego rzucającego klątwy na swoich morderców, jesienne wycie wichru na nadwożańskich stepach. Jest to głos znamionujący siłę. I tej siły Europa zaczyna się bać. — Nie odpowiedział pan na moje pytanie — powtórzył Capra.

Rosjanin zmrużył oczy, zapatrzył się jakby w przyszłość, niezupełnie jasną. — Pytał pan, co o tym procesie sądzę ja, pracownik moskiewskiej gazety? No, zobaczymy. Jedna jaskółka nie czyni jeszcze wiosny.

Lady Godiva ma rację: Rosjanie nie są skorzy ani do śmiechu, ani do długich wywodów.

A co o procesie sądzą sprawozdawcy niemieccy, bo to nie jest bez znaczenia.

Frank Capra nie zadał im tego pytania. Odpowiedź na nie znajdował poniekąd u Francuzów. Wysłannikom ich prasy nie podoba się brak w składzie sędziowskim człowieka z Palais de Justice. Tricolore powiewa wśród flag Wielkiej Czwórki, a francuskiego sędziego nie ma. Francuzi byli zawsze zapatrzeni w swoją fasadę, nie dziw, że trudno im pojąć, iż wszystko; co z ich wielkości po tej wojnie pozostało, to kankan, Folies Bergere, koniak. Świat się zmienił. Odszedł od zwodniczego blichtru. Czy wyjdzie mu to na dobre, tego jeszcze nie wiadomo. Dziś nikt na swojej przeszłości fortuny nie zbije. W świecie, który wypruł z siebie flaki dla zwalczania siły, liczy się siła. Wyrok w Hamburgu ferować będzie też siła. W aureoli demokratycznej ornamentacji, z chwalebnyimi komponentami anglosaskiej procedury sądowej, pod czarnymi togami sędziów kryje się jednak naga siła.

Z tym wydzwiękiem zdaje sprawę z procesu błyskawicznie denazyfikująca się prasa niemiecka.

„Rozkazu likwidacji rozbitków nie otrzymałem — odpowiada jednoznacznie Fregattenkapitän Hacke!” „Naczelne dowództwo kriegsmarine nie ponosi odpowiedzialności za tę zbrodnię!” „Śmierć rozbitków obciąża dowódcę pojedynczego okrętu podwodnego!” — krzyczą tytuły ich gazet. I na tym zainteresowanie procesem właściwie się kończy. Dowództwo kriegsmarine ma czyste ręce! Winnych „wysokoku” rozstrzelać, sprawę odłożyć ad acta, koniec: Prasa niemiecka poświęca jeszcze trochę miejsca na zeznania lekarza oraz oficera artylerii okrętu, obciążające sądownego zaocznie kapitana Ihnę. Złym duchem załogi go nazwali. Główny inżynier uznany został za zaginionego, ale jest więcej niż pewne, że nie żyje. Całe szczęście, inaczej jego los byłby nie do pozazdroszczenia.

Marszałek sądu oznajmia:

— Attention! The Court! Proszę wstać! Sąd idzie!

Sędziowie i oskarżyciele siadają na krzesłach, sędzia główny pułkownik Crawford otwiera posiedzenie popołudniowe drugiego dnia przewodu sądowego.

Ze swojego miejsca przy ławie oskarżonych wstaje dr Hans Richard Lenz, obrońca sądownego zaocznie kapitana Ulricha Inny, i prosi o głos.

Dr Lenz ma nietypowy życiorys wojenny. Jako marineober-stabsrichter Łjdzia marynarki w stopniu komandora podporucznika) trybunssffu wojennego w Flensburgu-Miirwik nie zasłynął z heroicznego sprzeciwu wobec wojennego ustawodawstwa swego kraju, ale też nie skorzystał z przysługującej mu z tytułu swego zawodu okazji do urzędzenia się na tyłach, a nie chcąc firmować sobą hitlerowskiego bezprawia, zgłosił się ochotniczo w randze zwykłego grenadiera do służby w oddziałach wehrmachtu na froncie wschodnim; w bitwie pod Charkowem stracił nogę. To jedna z ciekawszych postaci niemieckiej palestry czasu wojny.

Lenz urodził się w Hanowerze, jest synem zamożnego kupca. Rodzina jego była znana z rezerwy do narodowego socjalizmu. Ten ciężko poszkodowany na ciele, skromny w zachowaniu człowiek ma w sobie coś wzbudzającego sympatię.

Sędzia główny: — Sąd udziela głosu doktorowi Lenzowi.

Dr Lenz: — Jeżeli Sąd pozwoli. Złożyłem wniosek o przesłuchanie dodatkowych świadków.

Jaka jest odpowiedź Sądu?

Wczorajsze zeznania oskarżonych Frauenheima i Wenka, obciążające głównego inżyniera kapitana Ihnę, zostały zaprotestowane przez jego obrońcę, jako niezgodne z prawdą. Do Sądu wpłynął wniosek o przesłuchanie na tę okoliczność świadków z załogi U-1852, którzy dotychczas nie zgadzali się zeznawać. Wniosek obrony zostaje przyjęty. Ponieważ sprowadzenie świadków z obozu dla jeńców potrwa około trzech godzin, posiedzenie odacza się do drugiej po południu. Dziękuję.

Z notatnika Franka Capry:

„Zgłoszenie chęci złożenia zeznań przez członków załogi U-1852, nie pociągniętych do odpowiedzialności, wywołało konsternację i na ławie oskarżonych, i wśród przedstawicieli prasy. Złamanie zmywu milczenia«, cios w plecy niemieckiej dyscypliny wojskowej« — różnie jest to komentowane. Na sali zawisła sensacja. Fakt, że dowódca okrętu wziął całą odpowiedzialność na siebie, stworzył szansę jeżeli nie uzyskania wolności, to przynajmniej niskiego wymiaru kary dla pozostałych oskarżonych, co także mogło stać się precedensem dla przygotowywanego procesu przywódców Trzeciej Rzeszy.

Głód zagląda Niemcom w oczy. Dzienny przydział żywności na kartki ma wartość odżywczą około tysiąca kalorii!

Wojskowa administracja aliantów boryka się z ogromnymi trudnościami w aprowizowaniu ludności cywilnej. Transport jest zdeorganizowany, drogi zniszczone, mosty wysadzone w powietrze, system komunikacyjny nie istnieje. Totalna ruina. Nieodgadnioną tajemnicą dla mnie jest to, jak w takich warunkach — będąc dzień i noc bombardowani z powietrza — zdołali oni produkować broń, dostarczać ją oddziałom liniowym, przemieszczać armie z frontu na front i walczyć przeciwko połowie świata.

Na moje oko główny oskarżyciel nie wystrzelał jeszcze wszystkiej amunicji, w zanadru przechowuje coś na tak zwany wszelki wypadek. Coś szczególnego.

Jest niedostępny dla nikogo, nikt nie wie, gdzie wraz ze swoim amerykańskim zastępcą mieszkają. Po każdym posiedzeniu znikają z gmachu sądu niczym przysłowiowa kamfora.”

Na sali pojawia się doprowadzony z obozu jeńców Harald Klein, wysoki młody człowiek w mundurze byłej niemieckiej marynarki wojennej, bez insygniów i odznaczeń. Doktor Lenz przejmuje go od żandarma i, podpierając się laską, prowadzi do stołu dla świadków. Po uzyskaniu zgody Sądu przystępuje do przesłuchania.

Dr Hans Richard Lenz: — Kiedy się pan urodził?

Harald Klein: — 3 lipca 1922 roku.

Lenz: — Pański ostatni stopień wojskowy, miejsce służby i funkcja?

Klein: — Podporucznik; U-1852; mechanik silnika waltera.

Lenz: — A przed zamustrowaniem na U-1852?

Klein: — Jako absolwent wydziału budowy silników okrętowych zostałem wprost z uczelni odkomenderowany do dyspozycji profesora Waltera, do pracy przy silnikach nowego typu napędzanych perhydrolem, a montowanych w Gdańsku na budowane tam okręty podwodne typu XXI.

Lenz: — Czy przed zamustrowaniem na ten okręt był pan w akcji bojowej na morzu?

Klein: — W 1941 roku odbyłem jeden rejs na Atlantyku, po którym urlopowano mnie, bym mógł dokończyć studia.

Lenz: — Czyli że miał pan już doświadczenie bojowe, a także znał stosunki panujące wśród załogi na okręcie podwodnym. Dobrze. Co było powodem zamustrowania pana, bądź co bądź już specjalisty w nowym typie silnika, na U-1852?

Klein: — Silnik był prototypowy, niezupełnie sprawdzony. Nawet tak doświadczony inżynier jak kapitan Ihna mógł mieć z nim kłopoty — to jedno, a drugie: z serii sześciu budowanych w Gdańsku okrętów typu XXI lotnictwo brytyjskie zniszczyło pięć; stan, w jakim po tym nalocie była stocznia, wykluczał rychłe podjęcie budowy następnej serii. A poza tym Rosjanie zbliżali się do Prus Wschodnich.

Lenz: — Czy pan jako jedyny z grona budowniczych tego typu okrętów podwodnych

wypłynął na nim w morze?

Klein: — Wraz ze mną zamustrowany został asystent profesora Waltera Hening Gehrman.

Lenz: — Tak więc nie czuł się pan osamotniony wśród załogi pozbieranej z różnych okrętów, a tym samym mógł pan dzielić się obserwacjami z ludźmi już sobie znanymi. Dobrze. Czy miał pan zaufanie do inżyniera Gehrmana?

Klein: — Zaufanie... Okazywanie komuś zaufania pociągało za sobą posądzenie o spiskowanie. Nazwałbym to inaczej: nie bałem się Heninga Gehrmana, a on nie bał się mnie.

Lenz: — Jak mi wiadomo, tak pan, jak i inni członkowie załogi waszego okrętu, nie objęci aktem oskarżenia, odmówiliście składania zeznań. Co pana skłoniło do zmiany stanowiska?

Klein: — Wczorajsze zeznania lekarza okrętowego oraz porucznika Wenka.

Lenz: — Co w ich zeznaniach spowodowało tę zmianę?

Klein: — Całkowicie fałszywe przedstawienie osoby kapitana Ihny.

Lenz: — Tylko to?

Klein: — Nie tylko. Także inne rzeczy związane ze znanymi wypadkami.

Lenz: — Dobrze. Panie inżynierze Klein, zeznaje pan z własnej woli, nie musi pan odpowiadać na wszystkie stawiane panu pytania, ale jeżeli już zdecyduje się pan mówić, winien pan mówić szczerą prawdę. Czy złoży pan takie przyrzeczenie?

Klein: — Tak.

Lenz: — Uprzedzam, że jeszcze w tej chwili ma pan prawo odmówić zeznawania.

Klein: — Wiem o tym.

Lenz: — Jeżeli tak, to proszę podnieść prawą rękę i powtarzać za mną słowa przysięgi.

Klein (podnosi rękę i powtarza słowa przysięgi): — Przysięgam na Boga wszechmogącego i wszechwiedzącego, że powiem szczerą prawdę, niczego nie przemilczę i niczego nie dodam.

Lenz: — Co pan kwestionuje z wczorajszych wypowiedzi oficerów Frauenheima i Wenka?

Odpowiedź (O): — Całość zeznań lekarza okrętowego. Porucznik Wenk ograniczył się do potwierdzenia ich zgodności z prawdą. Oświadczenie jego jest wobec tego kłamstwem.

Pytanie (P): — Czy mam rozumieć, że opisane przez niego wypadki na oceanach Indyjskim i Spokojnym miały inny przebieg?

O: — Wypadki oraz udział w nich poszczególnych oficerów, z dowódcą okrętu włącznie.

P: — Ma pan na myśli także osobę kapitana Ihny?

O: — Tak.

Dr Singer, obrońca lekarza okrętowego: — Wysoki Sądzie, wnoszę sprzeciw. Świadek był podwładnym kapitana Ihny. Powiązania służbowe rodzą więzy między ludźmi. Nawet przy najlepszej intencji świadek nie jest w stanie być w pełni obiektywny. I jest to naturalne. Protestuję przeciwko przesłuchaniu inżyniera Kleina w charakterze świadka jego przełożonego.

Sędzia główny: — Idąc tym traktem nie moglibyśmy przesłuchać nikogo w charakterze świadka dowódcy okrętu, gdyż był on przełożonym całej załogi... Sąd domaga się prawdy o przebiegu wypadków i faktycznym udziale w nich oskarżonych. Chyba pan przyzna, że jak dotychczas Sąd wykazał całkowite desinteressment dla stosunków panujących wśród członków załogi okrętu. Ich osobiste animozje, jakie zdarzają się w każdej zbiorowości ludzi, Sądu nie obchodzą. Sąd, mam nadzieję, będzie w stanie odróżnić obiektywizm od stronniczości. Sprzeciw odrzucony.

Dr Singer: — Wobec tego odwołuję się do Przewodniczącego Sądu. Panie Przewodniczący, podtrzymuję sprzeciw!

Przewodniczący Sąd: — Proponuję więcej zaufania do Sądu. Sprzeciw odrzucony. Doktorze Lenz, proszę kontynuować przesłuchanie świadka.

Lenz: — Dziękuję. Inżynierze Klein, mam nadzieję, że pan przemyślał swoje wystąpienie przed Sądem. Proszę o wyrażenie swych myśli możliwie jak najkrócej, rzeczowo.

Klein: — Sprawę przemyślałem aż nadto dobrze. Czasu na to miałem dosyć. Myśleć nad nią zacząłem już w Penangu, w naszej bazie na Malajach. Już tam uderzyło mnie zachowanie lekarza okrętowego, doktora Frauenheima. Jak się później okazało — nie tylko mnie.

Fregattenkapitän Hacke surowo przestrzegał dyscypliny, był do przesady formalny, nie pozwalał na jakąkolwiek poufałość między ludźmi, nie mówiąc o stosunku załogi do jego osoby. Wytworzyło to ciężką atmosferę na okręcie. Po pewnym jednak czasie okazało się, że ma to również dobre strony: załoga chodziła jak w zegarku, a swoim jednakowym traktowaniem marynarzy i oficerów zdobył sobie ogólny szacunek.

W tym doskonale pracującym organizmie pojawiła się nagle ryś: w Penangu dowódca zapadł na malarię. Kontakty jego z załogą urwały się, jedyną osobą, która miała do niego dostęp, stał się lekarz okrętowy. Kiedy po trzytygodniowym postoju w bazie wyszliśmy ponownie w morze, okrętem dowodził już całkiem inny człowiek. Zalewający się nieustannie potem, targany napadami drgawek, nie będący niekiedy w stanie utrzymać się na nogach. Na okręcie podwodnym, gdzie wszyscy widzą wszystko, nie można było tego ukryć przed załogą. Nie chcąc okazywać swojej słabości, kiedytak choroby się zbliżał, dowódca zamykał się w kabinie z lekarzem, skąd wychodził zupełnie odmieniony. Na niekorzyść. Po każdym takim seansie pojawiał się w centrali człowiek o szklanym wzroku, gwałtownych reakcjach, agresywny. Ster okrętu przejmowała powoli ręka...

Lenz: — Wystarczy na ten temat. Co świadek może powiedzieć o śmierci dwóch ocalałych rozbitków na Oceanie Indyjskim? I przede wszystkim jedno: czy świadek widział to zdarzenie na własne oczy?

Klein: — Przebywałem w tym czasie w maszynowni, więc na własne oczy nie widziałem. Ale słyszałem coś bardzo istotnego o tym wypadku. Kilka godzin później, już w zanurzeniu okrętu, rozległ się w centrali wzburzony głos: Pan strzelał do rozbitków! Fregattenkapitän Hacke, ten człowiek strzelał do rozbitków! Żądam aresztowania go!

Lenz: — Czyj to był głos?

Klein: — Kapitana Ihny. Wszyscy, go słyszeli. Kapitan Ihna był tak wzburzony, iż myślałem, że dojdzie do rękoczynów.

Lenz: — Do kogo odnosiły się te słowa?

Klein: — Do lekarza okrętowego Frauenheima.

Lenz: — Proszę sobie nie przerywać. Proszę opisać dalszy przebieg wypadków, tak jak pan je widział. Panie Klein, Sąd słucha pana...

W Hamburgu była trzecia trzydzieści po południu, gdy obrońca sądnego zaocznie kapitana Ihny zakończył przesłuchanie świadka i oddał go do dyspozycji Sądu.

W tym samym czasie profesor ortopedii Swanburne skończył w swej klinice w Plymouth badanie przedoperacyjne Martina Stranga.

Wynik rozpoznania nie był optymistyczny. Chirurgiczne połączenie nerwu ramiennego zapewniłoby pełną sprawność manualną, gdyby... dokonano operacji dwa miesiące wcześniej. W obecnym stadium zabieg może okazać się bezowocny. A nawet w późniejszej fazie może zaistnieć konieczność amputacji ramienia. Może, ale nie musi. Dlatego leczenie trzeba zacząć od skrócenia kości przedramienia o około dwóch cali.

Martin Strang przyjął tę wiadomość bez zmrużenia oka.

— Tak sprawa wygląda — zakończył profesor. — Niewesoło, musi pan jednak znać prawdę. Jeżeli pan się zdecyduje na zabieg, dokonam go osobiście.

— Kiedy? — padło krótkie pytanie.

— Każdy dzień zwłoki pracuje na niekorzyść pańskiego ramienia — odparł profesor.

— Czy... można by jeszcze dziś?

— Tak szybko to nie! Trzeba przeprowadzić analizę krwi, sprawdzić reakcję organizmu na antybiotyki, przygotować pana Ogólnie. Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, zabieg mógłby się odbyć, powiedzmy... jutro po południu.

— Decyduję się, panie profesorze. Bieliznę i niezbędne drobiazgi zabrałem ze sobą. Mogą panowie zaczynać.

— Podoba mi się pańska rzeczowość Martin. Jest pan zupełnie podobny pod tym względem do ojca. Ludzie mają poważniejsze uszczerbki i nic sobie z tego nie robią; przy pańskich warunkach zewnętrznych nie będzie to w ogóle widoczne. Ulokujemy pana w przyjemnym

pokoju, moi asystenci przystąpią niezwłocznie do przygotowania pana. Proszę tylko podpisać na tym formularzu swoją zgodę na zabieg. Zresztą — profesor uśmiechnął się pocieszająco — nawet w najgorszym wypadku ma pan i tak szczęście: jest pan po tamtej pierwszej operacji, kiedy to pan spadł z konia i też musiałem panu ramię naprawiać, leworęki...

Pacjent spociał się nagle.

— W tej rubryce, proszę. — Profesor wskazał miejsce na podpis.

Martin Strang wstał od biurka. Podniósł chusteczkę do zroszonego czoła.

— Przepraszam pana, profesorze, ale przypomniała mi się pewna sprawa. — Odsunął nie podpisany formularz. — Nie cierpiąca zwłoki. Mam coś do przekazania siostrze, która dziś przebywa w Londynie. Przyjadę jutro. Pozwoli pan, że się pożegnám.

Przechodnie gapią się na mnie jak na wariata. Co im się we mnie uwidziało? Naraz spostrzegłem przyczynę: gadałem głośno do siebie. „Na szczęście pan jest leworęki...” — powtarzałem w kółko słowa profesora Swanburne'a.

Złapałem taksówkę i kazałem się wieźć do hotelu Imperiał w Torquay. Na pełnym gazie!

Przed windą dopadł mnie recepcjonista. — Jest pilny telegram dla pana! — pomachał podłużną kopertą. — Z odpowiedzią. Czeka od rana.

Nacisnąłem guzik do windy. — Później! — przekłęta winda nie zjeżdżała na dół. Kto ją tam zablokował!

Recepcjonista nie dawał za wygraną. — Urgent i return. Trzeba odpowiedzieć. Pan będzie uprzejmy...

Rzuciłem okiem na tekst. Jakaś Beris z Melbourne obudziła się. Nie wiedząc, że żyję, wyszła za mąż za doktora Jacka Masona. Tego, który mnie operował. Kocha tylko mnie, błaga o odpowiedź; jest gotowa rzucić męża i przyjechać do Anglii. Kobiety są naprawdę nieodpowiedzialne!

— Proszę posłać tej parze moje gratulacje z okazji ślubu. Konwencjonalne gratulacje, nic więcej. Dziękuję.

Winda utknęła gdzieś na dobre. Niech to szlag! Pobiegłem schodami na górę.

Parabellum od Bena spoczywało w zamkniętej na klucz szufladzie. Połyskującą czerń magazynku wcisnąłem w kolbę, wprowadziłem pocisk do lufy i — mamó moja, Brigitte, wybaczcie mi, tak się po prostu złożyło...

Ale nie, nie tu! Krew na perskim dywanie, zwłoki... Zaoszczędzę tego Flo.

Pistolet wrzuciłem do kieszeni spodni i zbiegłem na dół. W hallu znowu nadziałem się na recepcjonistę.

— Czy tak będzie dobrze, mister Strang? „Serdeczne gratulacje młodej parze. Życzenia dożgonnego szczęścia. Oddany...”

— Do licha! — nie wytrzymałem. — Czy da mi pan wreszcie spokój!

Wskoczyłem do taksówki i kazałem jechać na przystań.

W tym samym czasie Ben Stark, siedząc przy kierownicy, kończył opowiadać Flo historię swego zdobytego w Niemczech pistoletu. Minęli Exeter, do Torquay pozostało trzydzieści mil.

— Rodzinna kolekcja? — oprzytomniała nagle Florence. — Dał pan ten pistolet z amunicją memu bratu do rodzinnej kolekcji broni?... Ben! — krzyknęła — szybko do Imperiała! Nie oglądaj się na przepisy drogowe. Na miłość boską, szybciej!

Widząc Florence wybiegającą z hotelu, Ben Stark sam skierował wóz w stronę przystani. „Glorii” przy nabrzeżu nie było. Spośród mrowia żagli daleko w zatoce rozpoznał obły kształt znanej mu błyskawicy, uciekającej po grzywach posztormowej fali ku otwartemu morzu. Podniósł lornetkę do oczu. To była ona. Już poza zasięgiem każdej pływającej jednostki cumującej w Torquay; jedynie ścigacz marynarki wojennej mógłby ją dopędzić.

Do akwenu zagrożonego minami było jeszcze sporo mil. —

Miss Florence — odezwał się z lornetką przy oczach — nie widzę innego wyjścia, jak zaalarmować Ochronę Wybrzeża.

Równocześnie z jego ostatnim słowem spod kadłuba „Glorii” wystrzelił w górę ognisty gejzer

wodnego wulkanu. Huk wybuchu, stłamszony morską pustką, odbił się od przystani dopiero po kilkunastu sekundach. Kiedy Ben Stark uniósł znowu lornetkę do oczu, miejsce, gdzie gejzer rozerwał na strzępy niebiesko-biało-czerwony jacht, nie różniło się już niczym od bezkresu granatowego morza.

EPILOG

Siwowłosego admirała zawiązał skoroszyt tasiemką. Na okładce widniał napis rezerwujący jego zawartość dla pierwszego lorda Admiralicji i premiera rządu. Wszystkie sprawy tej wojny, nie do końca jasne, nie ujrzą światła dziennego przez dwadzieścia pięć lub pięćdziesiąt n. Po tym okresie, jako przestarzałe, nie mające już świadków wśród żyjących, zostaną udostępnione w czytelni archiwum Admiralicji do publicznego wglądu. Wówczas będą historią.

Na podręcznym stoliku spoczywała sterta podobnych skoroszytów zawiązanych tasiemką, dotyczących tej samej sprawy. Zakończonych. Admirał pyknął kilka razy z fajki, po czym rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Masyw skrzydła gmachu Admiralicji Brytyjskiej, przesłaniający widok na obelisk Nelsona z okna jego gabinetu, załamał się w harmonijkę w niebieskawym dymie przedniego fajkowego capstan tobacco, gdy jednak obłok się przerzedził, szybko odzyskał swoje stabilne kształty. W gmachu tym decydowały się często losy świata, na nim opierała się potęga imperium brytyjskiego. Za każdym oknem siedział przy biurku starszy mężczyzna z masą admiralskiego złota na rękawach bluzy i — z dala od mórz i oceanów, nie widząc okrętów, flot, armat, marynarzy — pracował nad wyznaczonym mu małym wycinkiem wielkiego zadania, który — złożony w całość z wycinkami wypracowanymi za oknami innych gabinetów — składał się w dzieło znane narodom pod szyldem: Britain rules the waves. Brytania włada nad oceanami. Władala, włada i ma władać! Efektem żmudnej pracy tych panów jest obecność flagi króla jegomości na wszystkich kontynentach. Ten tron jest tylko jeden.

Kolejne zagrożenie zostało odparte. Wszystkie floty wojenne Europy przestały istnieć. Na morzach tej półkuli świata utrzymała się tylko British Royal Navy.

Jedna z kart tej wojny zapisana została przez U-1852. Wczoraj rozegrał się ostatni akt jej głównych bohaterów. Dowódca brytyjskich wojsk okupacyjnych w Europie, marszałek polny Montgomery, nie skorzystał z przysługującego mu w imieniu króla prawa łaski wobec skazanych na najwyższy wymiar kary. Wyrok śmierci został o świcie wykonany. Hackemu, Strelowowi, Wenkowi, jako „żołnierzom zabłąkanym”, pozwolono umrzeć śmiercią honorową — przez rozstrzelanie, lekarz, który zabijał potrzebujących pomocy, zawisł na szubienicy, sądzony zaś zaocznie kapitan inżynier Ulrich Ihna został uniewinniony. Gdyby stanął w sądzie, wprost z ławy oskarżonych wyszedłby na wolność.

Przed gmachem sądu kręciły się dwie kobiety: młoda, z niemowlęciem na ręku, i starsza, podobna do Ihny. W ich oczach błąkały się iskierki nadziei i dumy. Uniewinniony... Zrehabilitowany... Obie nie wiedziały, że były obserwowane z samochodu przez dwóch oficerów w brytyjskich battledressach z naszywkami „Poland”.

Nad sądzonymi w Hamburgu krążył duch ich najwyższego przełożonego. To on — w ich osobach — był oskarżony o inspirację tego przestępstwa. To w niego mierzono większość zarzutów. Ale bogom szczęście sprzyja. Przyszłym obrońcom wielkiego admirała Doenitza udało się uzyskać oświadczenie dowódcy amerykańskiej floty Pacyfiku na temat praktyki stosowanej w jego flocie wobec rozbitków wroga. Jak przystało na Amerykanina, podał je do wiadomości prasy: „Ogólnie rzecz biorąc — stwierdził w nim admirał Nimitz — amerykańska flota podwodna nie ratowała nieprzyjacielskich rozbitków, jeśli oznaczało to dla okrętu niezwykle i dodatkowe niebezpieczeństwo lub przeszkadzało okrętowi podwodnemu w wykonaniu zadań...”

Tym samym Międzynarodowy Trybunał nie będzie w stanie obciążyć naczelnego dowódcy

kriegsmarine odpowiedzialnością za tragedię na wodach Nowej Kaledonii. Międzynarodowy Trybunał nie znajdzie argumentu podważającego oświadczenie takiego autorytetu jak pogromca floty Japonii admirał Chester W. Nimitz.

Ostatniateczka na biurku starego admirała dotyczy osoby Martina Stranga alias Ulricha Ihny. Prawdziwe dzieje głównego inżyniera z U-1852 pozostaną jedną z tajemnic tej wojny. Nie świadczą bowiem zbyt chwalebnie o ekspertach Admiralicji, którzy literka po literce analizowali jego oświadczenie o zdarzeniu na Pacyfiku Południowym, a dopiero przez przypadek odkryli błąd, jakiego nie popełniłby żaden Anglik.

Na początku swego oświadczenia pacjent ze szpitala w Sydney, podając warunki pogodowe panujące pod wieczór krytycznego dnia, napisał: „temperatura — około 25°C”. Posłużył się skalą Celsjusza, kontynentalno-europejską, a nie Farenheita, stosowaną w całym świecie anglosaskim! Niebawem odkrycie, ale dopiero nieomal w przeddzień procesu. Jedna literka, a jaka kompromitacja. Zastanawiano się, jak Ulrich Ihna mógł się przemycić przez sito kontrwywiadu jako Martin Strang? Bardzo pomogły mu w tym studia w Londynie, bezbłędna znajomość języka angielskiego, slangów amerykańskiego i australijskiego, znajomość realiów brytyjskich, predyspozycje aktorskie oraz zdumiewające podobieństwo do naśladowanego wzorca. O reszcie zdecydował jak zwykle zbieg okoliczności. Admiralicja miała więc do wyboru albo dołączenie Ulricha Ihny do grona oskarżonych, albo — gdyby świadkowie potwierdzili jego niewinność — stworzenie mu warunków powrotu do normalnego życia, jeżeli coś takiego byłoby w ogóle możliwe. Osobą najbardziej pokrzywdzoną w tym wypadku byłaby panna Florence Strang.

Życie postarało się o rozwiązanie tego zawilego dylematu.

Zagadka, w jaki sposób Ihna wszedł w posiadanie pakietu dokumentów brata Florence, poszła z nim na dno morza. Można się pokusić o odtworzenie tych wypadków, każda wersja będzie miała równe szansę. Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że fale wyrzuciły zwłoki rozbitka na bezludną wysepkę, na której odnaleziono Ihnę. Poszukiwań zwłok Stranga nie podjęto. Powodzenie takiej akcji stworzyłoby problemy wielu ludziom, największy jednak — Admiralicji Brytyjskiej. Niech więc pozostanie tak, jak zdecydował los.

Ulrich Ihna zademonstrował godną postawę. Niech więc jako odnaleziony po latach brat spoczywa w grobowcu rodzinnym Strangów w Plymouth, niech w Burgdorfie żyje nadzieja jego powrotu.

Ceremonia dekoracji pracowników Służby Specjalnej Admiralicji nie odbyła się przy zapalonych jupiterach ani w obecności przedstawicieli prasy. Poza admirałem, prowadzącym od początku do końca sprawę U-1852, w ceremonii uczestniczyli: drugi lord Admiralicji, szef protokołu gabinetu Admiralicji, adiutanci.

Przedstawieni do dekoracji dwaj oficerowie wstali z miejsc, głos zabrał drugi lord. Formułka, jaką wygłosił, była krótka:

— Oficerowie! Przyczyniliście się wydatnie do uwieńczenia pełnym sukcesem jednego z delikatniejszych zadań, jakie w tej wojnie postawiono Służbie Specjalnej Admiralicji. W imieniu Jego Królewskiej Mości przypadał mi zaszczyt dekoracji komandora porucznika Paula S. Gilvraya oraz porucznika Barbary Black.

Ceremonię zakończyła tradycyjna lampka szampana wypita za pomyślność Korony i zdrowie Jego Majestatu Króla Wielkiej Brytanii Jerzego VI.